



artefakty

JOHN
BRUNNER

WSZYSCY NA
ZANZIBARZE



John Brunner

WSZYSCY NA ZANZIBARZE

Przełożył Wojciech Szypuła

Wydawnictwo MAG
Warszawa 2015

Tytuł oryginału: *Stand on Zanzibar*

Copyright © 1968 by John Brunner

Copyright for the Polish translation © 2015 by Wydawnictwo MAG

Redakcja: Joanna Figlewska

Korekta: Urszula Okrzeja

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Tomek Laisar Fruń

Projekt graficzny serii, projekt okładki oraz ilustracja na okładce: Dark Cryon

Nazwa serii: Vanrad

Redaktor serii: Andrzej Miszkurka

ISBN 978-83-7480-575-9

Wydanie II

Wydawca:

Wydawnictwo MAG

ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa

tel. 22 813 47 43, fax 22 813 47 60

e-mail kurz@mag.com.pl

www.mag.com.pl

Wyłączny dystrybutor:

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk

Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością S.K.A

ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

tel. 22 721 30 00

www.olesiejuk.pl

Skład wersji elektronicznej

pan@drewnianyrower.com

*Dla Marjorie
oczywiście.*

kontekst (o)

METODA EKSPRESJI INNISA

Przedstawiona przez Innisa metoda ekspresji nie ma w sobie nic z premedytacji ani arbitralności. Przełożenie jej na język perspektywicznej prozy nie tylko wymagałoby ogromu miejsca, lecz także groziłoby utratą wglądu we wzajemne zależności form organizacji. Innis uznawał punkt widzenia i prestiż za mniej ważne od pilnej potrzeby zrozumienia. Punkt widzenia bywa niebezpiecznym luksusem, gdy zaczyna zastępować zrozumienie. W miarę jak Innis osiągał coraz lepsze zrozumienie, rezygnował w prezentacji wiedzy z kolejnych banalnych punktów widzenia. Kiedy wykazuje współzależność rozwoju prasy parowej z „konsolidacją języków narodowych”, falą nacjonalizmów i rewolucji, nie reprezentuje niczyjego punktu widzenia, a już z pewnością nie reprezentuje swojego punktu widzenia. Przygotowuje tylko mozaikową konfigurację albo galaktykę zrozumienia (...) Innis nie stara się szczegółowo wyłożyć współzależności łączących elementy składowe jego galaktyki. W swoich późniejszych pracach nie podsuwa gotowych rozwiązań konsumenckich, tylko pakiety typu zrób-to-sam...

– Marshall McLuhan: *Galaktyka Gutenberga*

Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

kontekst

- (0) metoda ekspresji innisa
- (1) skanaliza
- (2) wstępniak
- (3) trzeba go popchnąć
- (4) tematyka
- (5) terytorium
- (6) przybywasz do...
- (7) walka na bulle
- (8) odosobnienie
- (9) zaskoczenie
- (10) dziecko z kąpielą
- (11) wyjdź i to powiedz
- (12) socjologiczny odpowiednik oddechu cheyne'a-stokesa
- (13) stara gazeta
- (14) oko cyklonu
- (15) wychowany i urodzony
- (16) państwo uniwersalni: kalipso
- (17) gorący oddech debetu na plecach
- (18) zock
- (19) swobodny przekład dwóch hymnów narodowych
- (20) zalety i wady społeczeństwa lunatyków

- (21) list
- (22) matka i dziecko czują się dobrze?
- (23) unikać
- (24) jeden z wielu praktycznie identycznych wydruków z salmanasara
- (25) ulubiona historyjka chada mulligana
- (26) samemu sobie z okazji mojego dwudziestego pierwszego wieku
- (27) sprawozdania grup badawczych
- (28) wiadomość od sponsorów

świat tu-i-teraz

- (1) przeczytaj instrukcję
- (2) komórki do wynajęcia
- (3) mieszkaniówka
- (4) męska mowa
- (5) obywatel bakcyl
- (6) sceny uliczne
- (7) sztukistan
- (8) bądź łaskawy dla swoich fantownych przyjaciół
- (9) shambles
- (10) kwaśne winogrona
- (11) praktyczny poradnik
- (12) powszechne odczucie
- (13) résumé
- (14) plakaty werbunkowe
- (15) równi i wprost przeciwnie
- (16) nekrolog

na zbliżeniu

- (1) pan prezydent

- (2) wiracha
- (3) wcale nie!
- (4) maska-rada
- (5) orangutan zmienia scenerię
- (6) po której jestem stronie?
- (7) przesada
- (8) pech
- (9) ziarenko
- (10) przygniatająca miłość matczyna
- (11) opieczętowany pociąg
- (12) jeśli nie możesz ich pokonać, upiększ ich
- (13) krzak agrestu
- (14) podpal lont i wycofaj się
- (15) stopy naszych rodziców były czarne
- (16) posłaniec nowiny uniwersalnej miłości
- (17) mądrzejszy niż tysiąc ludzi
- (18) w latach mojej młodości
- (19) małe zachcianki łatwe do zaspokojenia
- (20) stara kobieta w starciu z niszczycielską siłą
- (21) dziecko pory suchej
- (22) kulminacja więcej niż całego życia wiekopomnych dokonań
- (23) begi i wyrocznia
- (24) bez powodu, celu i uzasadnienia
- (25) człowiek bez przekonań
- (26) wszystko w swoim czasie
- (27) przepis na wścieka
- (28) powolna śmierć

(29) w stanie zachwianej równowagi umysłowej

(30) défense d'entrer

(31) rodzi się dziecko

(32) chłodnym okiem

ciągłość

(1) bezpieczeństwo winą podszyte

(2) martwa dłoń z przeszłości

(3) po upływie dekady

(4) refleksje współmieszkańca

(5) co słyszeć?

(6) idę pod młotek

(7) broń i bezczynność

(8) przepełniona czara

(9) rozdzieleni wbrew sobie

(10) stosowna procedura

(11) dźwięk spadającego kamienia

(12) to powinno działać automatycznie, ale w rzeczywistości trzeba nacisnąć guzik

(13) pomnożyć przez milion

(14) odpowiedni człowiek do tej roboty

(15) nie przechodzisz przez start, nie pobierasz pensji

(16) wersja poprawiona

(17) skale czasu

(18) mury troi

(19) semper aliquid novi

(20) cień pradziada loa

(21) gdy się człowiek śpieszy

- (22) cena wstępu
- (23) tomcio paluch
- (24) bez zmiany scenerii
- (25) patriarcha
- (26) rąbanka
- (27) krajobraz ludzki
- (28) stąd jest już cały czas pod górkę
- (29) pokornie donoszę
- (30) włącz, rozkręć i niech się toczy
- (31) przygotowania
- (32) nowina
- (33) mam to i znikam
- (34) więcej jest wiary w szczerych wątpliwościach
- (35) w oczekiwaniu na odbiór
- (36) improwizacja
- (37) w przechowalni
- (38) nie na sprzedaż ale dostępny na żądanie
- (39) lepiej być wulkanem
- (40) najwyższej wagi
- (41) przyszyty igłą z nitką
- (42) i powiedz, które nasienie wszędzie

kontekst (1)

SKANALIZA

Z banku DŹWIĘKÓW: „Oto skanalizator – jedyny na rynku przegląd wiadomości z szerokiego świata przygotowywany przez Engrelay Satelserv trzy razy dziennie, NIEpowierzchowny, NIEzależny, NIEzakłamywany interfejs łączący cię ze światem!”.

Z banku OBRAZÓW: montaż scen, ekran podzielony na cztery: podgłębia państwa Uniwersalnych (dzisiaj ŚPG, Środkowoatlantycki Projekt Górniczy), ich nadobszar (dzisiaj kombinezony do lotów swobodnych), transport publiczny (dzisiaj simplońskie pędzimoto), partycypant (dzisiaj – jak co dzień – domobraz z autokrzykiem).

Autokrzyk: „To się dzieje tu-i-teraz! SKANALIZATOR SKANALIZATOR SKANALIZATOR SKANALIZATOR SKANALIZATOR SKANALIZATOR SKANALIZATOR SKANALIZATOR...”.

Z banku OBRAZÓW: montaż scen, ekran niepodzielony, Ziemia obraca się skokami, hop-hop-hop, zaznaczone południki wyznaczające czas uniwersalny, czas wschodni, czas pacyficzny i czas Strefy Konfliktu Pacyficznego.

DŹWIĘK na żywo: „Jest godzina szósta zero zero po-pe dla wszystkich tych, którzy żyją spokojnie i miarowo tu-i-teraz, według starego, dobrego czasu uni-wersalnego – co niby wspólnego czas ma z Wersalem, powiedzcie mi, hmm? Es jak szósta, zet jak zero... Już trwa odliczanie do minuty po szóstej, o, sori, do szóstej zero jeden. My wiemy, co się dzieje tu-i-teraz, tu-i-teraz, TU-I-TERAZ, ale to, który fragment szerokiego świata uznacie za interesujący, zależy wyłącznie od was, państwo Uniwersalni – albo panno i panie Uniwersalny, panny Uniwersalne czy też panowie

Uniwersalni, dla każdego coś miłego, ha, ha, ha! Trwa odliczanie do pierwszej zero jeden po-pe według starego, dobrego czasu wschodniego, dziesiątej zero jeden przed-pe na wybrzeżu Pacyfiku, a dla was wszystkich, toczących słuszną, samotną walkę na środku oceanu – do siódmej zero jeden przed-pe... A teraz SYGNAŁ!”

Zegar: 5 jednosekundowych sygnałów g^2 , sygnał pełnej minuty c^2 .

Reklama: „Nie ma lepszego momentu dla ważnych wydarzeń niż terażniejszość. Nie ma lepszego sposobu dla odmierzania czasu spokojnie i miarowo niż za pomocą sygnału kriotonowego zegara General Technics. Jest tak dokładny, że można według niego mierzyć ruch gwiazd”.

Pozycja w scenariuszu: montaż scen, ekran podzielony, urywki pilnych wiadomości.

DŹWIĘK na żywo: „Tak jak nie ma lepszego źródła bieżących informacji niż SKANALIZATOR!”

Autokrzyk – wycięty. (Jeśli jeszcze się nie zdecydowali, to pewnie już wyłączyli odbiornik).

Reklama: „SKANALIZATOR to wyjątkowa, niepowtarzalna, JEDYNA usługa dogłębnej analizy wiadomości wykorzystująca produkowany przez General Technics słynny komputer Salmanasar, który wszystko widzi, wszystko słyszy i wszystko wie – oprócz rzeczy, które WY, państwo Uniwersalni, chcecie zachować tylko dla siebie”.

Pozycja w scenariuszu: Świat tu-i-teraz.

Świat tu-i-teraz (1)

PRZECZYTAJ INSTRUKCJĘ

– Jak ten czas LECI: maja dzień TRZECI, dwa tysiące dziesiąTEGO. Prognoza dla Manhattanu nowojorSKIĘGO: przyjemna, wiosenna aura pod Kopułą Fullera. Identiko na General Technics Plaza.

Ale Salmanasar to komputer mikriogeniczny®, pływający się w ciekłym helu w zimnej komorze.

(IDENTIKO Mówcie „identiko”! Proces umysłowy jest podobny do techniki oszczędzania pasma zastosowanej w waszym wideofonie. Jeżeli coś widzieliście, to już to widzieliście! Nowych informacji jest zbyt dużo, żebyście mieli tracić czas na oglądanie czegoś po raz drugi! Mówcie „identiko”. Mówcie tak!

– Chad S. Mulligan, *Leksykon trendyzbrodni*)

Dobiegająca dziewięćdziesięciu jeden lat Georgette Tallon Buckfast jest czymś mniej niż maszyną i zarazem czymś więcej niż człowiekiem – czerpiąc z obu tych światów, funkcjonuje w znacznej mierze dzięki protezom.

Kiedy stres staje się PRZESADA, pamiętaj, że to dzięki staraniom Hitrip of California w każdej uncji tej odmiany jest mniej łodyżek, a więcej czystych królewskich liści. Zapytaj „Człowieka, który ożenił się z Maryską”!

Eric Ellerman, botanik-genetyk, ma trzy córki i żyje w strachu, ponieważ jego żona ma permanentnie wzdęty brzuch.

– W dniu dzisiejszym Portoryko ratyfikowało kontrowersyjną uchwałę o dichromatyzmie podjętą przez legislaturę eugeniczną Stanów Zjednoczonych. Tym samym zostały już tylko dwa azyle dla tych, którzy chcą rodzić upośledzone dzieci: Nevada i Luizjana. Porażka zwolenników hodowli dzieci zmazuje wieloletnie piętno z gładkiego czoła Przedostatniego Stanu – piętno, które niektórzy nazwaliby pewnie znamieniem porodowym, ponieważ przystąpienie Portoryko do USA zbiegło się niemal co do dnia z pierwszą uchwałą eugeniczną dotyczącą hemofilii, fenyloketonurii i wrodzonego debilizmu...

Poppy Shelton od lat wierzy w cuda, teraz jednak prawdziwy cud dokonuje się we wnętrzu jej ciała i świat rzeczywisty zagraża jej marzeniom.

SPRAWY TRUDNE ZAŁATWIAMY OD RĘKI. NA NIEMOŻLIWE POTRZEBUJEMY TROCHĘ CZASU.

– pierwotna wersja motta General Technics

Norman Niblock House jest młodszym wiceprezesem General Technics ds. kadrowych.

– Ułamek sekundy, proszę... Pilna wiadomość od współuczestnika. Pamiętajcie, że tylko w SKANALIZATORZE wiadomości od współuczestników przetwarza Salmanasar, dzieło General Technics: dokładniejsza odpowiedź w krótszym czasie...

Prawdziwe nazwisko Guinevere Steel brzmi Dwiggins. Czy można mieć do niej pretensje?

*Czy twoje spodnie w dostatecznym stopniu podkreślają twoją naturalną moc?
Od pierwszego wejrzenia?*

Jeżeli nosisz SuperMeny, odpowiedź na te pytania brzmi „tak”. Ponieważ mieliśmy dość półśrodków, w SuperMenach przywróciliśmy mieszkowi należną mu rangę. Mieszek to nie zabawka, niech laski wiedzą, że mają do czynienia z rasowym ziomalem.

Sheena i Frank Potterowie są spakowani i gotowi do wyjazdu do Portoryko, ponieważ dla niego światła zielone i czerwone niczym się nie różnią.

– Nie jedna, lecz dwie wiadomości od współuczestników! Numer jeden: sori, przyjacielu, ale nie masz racji. Nie pomyliliśmy się, twierdząc, że po decyzji Portoryko dysydemtom zostały tylko dwa azyle. Isola rzeczywiście ma status stanu, ale na całym obszarze Pacyfiku zajmowanym przez należące do niej wyspy obowiązuje stan wyjątkowy, i to wojsko decyduje o prawie wjazdu na jej terytorium. Niemniej jednak dziękujemy za to pytanie, tak właśnie funkcjonuje świat – wy jesteście moim środowiskiem, a ja waszym. Dlatego właśnie SKANALIZATOR jest procesem dwustronnym...

Arthur Golightly nie ma nic przeciw temu, że zapomina, gdzie co odłożył. Dzięki temu, kiedy szuka jednych zagubionych rzeczy, znajduje inne, o których zapomniał, że je ma.

SPRAWY TRUDNE ZAŁATWILIŚMY W CZORAJ. NIEMOŻLIWE ZAŁATWIAMY W TEJ CHWILI.

– aktualna wersja motta General Technics

Donald Hogan jest szpiegiem.

– Numer drugi: dichromatyzm, potocznie nazywany daltonizmem, bez wątplenia jest wadą wrodzoną. Jest to równie pewne jak czas gwiazdowy.

Dziękuję, współuczestniku. Dziękuję bardzo.

Oggie (zdrobnienie od „Ogier”) Lucas jest wiraczą jak się patrzy i pasjonatem lotów swobodnych.

(NIEMOŻLIWE Znaczenia: 1. Nie spodobałoby mi się to i kiedy się to wydarzy, nie będę zadowolony; 2. Nie jestem tym zainteresowany; 3. Bóg nie jest tym zainteresowany. Znaczenie 3. jest, być może, prawdziwe, ale pozostałe dwa to w 101% wielorybia mierzwa.

– Chad S. Mulligan, *Leksykon trendybrodni*)

Philip Peterson ma dwadzieścia lat.

Drażni cię przestarzały moduł autokrzyku wymagający ustawicznego ręcznego programowania, żeby nie przypominał ci o audycjach, które w zeszłym tygodniu zdjęto z anteny? Nowy, rewolucyjny autokrzyk GT przeprogramowuje się sam!

Sasha Peterson jest matką Philipa.

– Zmieniamy wątek, choć pozostajemy w tym samym kręgu tematycznym: podczas porannej mszy wzburzony tłum zaatakował dziś kościół prawokatolików w Malmö, w Szwecji. Śmierć poniosło ponad czterdzieści osób, w tym ksiądz i liczne dzieci. Ze swojego pałacu w Madrycie papież Eglantyn zarzucił swojemu konkurentowi, papieżowi Tomaszowi, celowe podburzanie wiernych do tego i wcześniejszych ekscesów. Władze Watykanu stanowczo zaprzeczają tym oskarżeniom.

Victor i Mary Whatmough, urodzeni w tym samym kraju, pobrali się dwadzieścia lat temu. Dla niej jest to drugie małżeństwo, dla niego trzecie.

Wiesz, na co masz ochotę, kiedy widzisz ją w mikrokostiumie Maksidost firmy Forlon&Morler

Ona też wie, na co masz ochotę, kiedy widzisz ją w mikrokostiumie Maksidost firmy Forlon&Morler

W przeciwnym razie by go nie wkładała

W określeniu „maksimum dostępności” nie ma cienia przesady, kiedy skrucasz je do MAKSIDOST

Oficjalnie ten styl ubioru nazywa się „kurtyzana”

Ty jednak spróbuj w nim dostrzec „zdzirę”

Na ile to możliwe

Elihu Masters jest obecnie ambasadorem Stanów Zjednoczonych w Beninii, dawnej kolonii brytyjskiej.

– A skoro mowa o oskarżeniach: reprezentujący Południe senator Lowell Kyte oświadczył dzisiaj przed-pe, że narkusy są odpowiedzialne za dziewięćdziesiąt procent ciężkich przestępstw *per anum...* sori, *per annum*, w jego rodzinnym Teksasie. Stwierdził również, że usiłowania władz federalnych, mające na celu opanowanie sytuacji, spełzły na niczym. Mówi się, że w rozmowach prywatnych urzędnicy Narkowyziału wyrażają zaniepokojenie odjazdyną, nowym produktem GT, który w wyjątkowy sposób rozpala wyobraźnię narkusów.

Gerry Lindt otrzymał kartę mobilizacyjną.

U nas w GT, GENERAL naprawdę oznacza „powszechny” i „wszechstronny”. Oferujemy niepowtarzalną szansę rozwoju zawodowego każdemu, kto interesuje się astronautyką, biologią, chemią, dynamiką, eugeniką, ferromagnetyzmem, geologią, hydrauliką, interferometrią, jonosferą, kinetyką, laserami, metalurgią, nukleoniką, optyką, prawem patentowym, robotyką, syntezą, telekomunikacją, ultradźwiękami, wideofonią, promieniowaniem X, ylemem, zoologią...

Nie, wcale nie pominęliśmy twojej specjalności. Po prostu zabrakło na nią miejsca w tym ogłoszeniu.

Profesor doktor Sugaiguntung jest kierownikiem Wydziału Tektogenetyki na Uniwersytecie Zaangażowania w Sterowanej Demokracji Socjalistycznej Yatakangu.

– Liczba incydentów z udziałem wścieków nie maleje. Bilans wczorajszych wydarzeń w Brooklynie Zewnętrznym sięgnął dwudziestu jeden ofiar, zanim prawostróże usmażyli sprawcę. Inny wściek wciąż przebywa na wolności w Evanston, w stanie Illinois, gdzie śmierć poniosło jedenaście osób, a trzy zostały ranne. Za wielką wodą, w Londynie, wścieka zabiła pięć osób, w tym swoje trzymiesięczne dziecko, zanim znajdujący się w pobliżu przechodzień wykazał się przytomnością umysłu i ją załatwił. Doniesienia z Rangun, Limy i Auckland podbijają dzisiejszy łączny bilans do sześćdziesięciu dziewięciu ofiar.

Grace Rowley ma siedemdziesiąt siedem lat i trochę słabuje na głowę.

Dzisiaj tu, jutro tam – nie wystarczy już nam, ludziom prawdziwie nowoczesnym.

Dzisiaj tu, dzisiaj tam – oto język, który rozumiemy.

Wielce czcigodny Zadkiel F. Obomi jest prezydentem Beninii.

– I przeskakujemy kawałek na zachód: w dniu dzisiejszym w godzinach przed-pe rząd Yatakangu złożył w Waszyngtonie stanowczą notę dyplomatyczną w proteście przeciwko działaniom marynarki wojennej, której jednostki stacjonujące na Isoli miały zapuścić się na yatakańskie wody terytorialne. Urzędnicy zachowują uprzejmą dyskrecję, jest jednak tajemnicą poliszynela, że obejmujące setki wysp terytorium Yatakangu stanowi bezpieczne schronienie dla chińskich akwabandytów, którzy, wypływając z tak zwanych „portów neutralnych”, dokonują napadów na amerykańskie patrole oceaniczne...

Olive Almeiro jest największym hodowcą dzieci w Portoryko.

Znacie pewno ziomków, którzy mają nie jedną, ale dwie lub trzy laski. Znacie też laski, które w każdy weekend idą w tango z innym ziomem. Zazdrościcie im?

Niepotrzebnie.

Podobnie jak każdego innego ludzkiego zachowania, tego również można się nauczyć. I my go uczymy – na kursach dostosowanych do indywidualnych preferencji uczestników.

Fundacja im. pani Grundy (oby przewracała się w grobie).

Chad C. Mulligan był kiedyś socjologiem. Zrezygnował.

– Według wydanego w dniu dzisiejszym oficjalnego komunikatu komisarza ds. leśnictwa, Wayne’a C. Charlesa, pożary na Zachodnim Wybrzeżu, jakie w ubiegłym tygodniu spustoszyły setki kilometrów kwadratowych lasów i zniszczyły cenne zasoby drewna przeznaczone dla przemysłu papierniczego i chemicznego, były efektem sabotażu. W tej chwili nie jest jeszcze pewne, komu należy przypisać winę za ten szkodliwy czyn: naszym rodzimym „bojownikom” czy zdradzieckim czerwonym, którzy przeniknęli w nasze szeregi.

Jogajong jest rewolucjonistą.

To słowo to PEDEKIZACJA.

Nie szukajcie go w słowniku.

Jest tak nowe, że jeszcze do niego nie trafiło.

Lepiej jednak nauczcie się, co znaczy.

PEDEKIZACJA.

To właśnie z wami robimy.

Pierre i Jeannine Clodard są dziećmi *Pieds-Noirs*. Są również rodzeństwem.

– W następujących stanach wydano ostrzeżenie przed tornado...

Na całym obszarze na zachód od Gór Skalistych Jeff Young jest najlepszym dostawcą specjalistycznego sprzętu: zapalników czasowych, materiałów wybuchowych, termitu, silnych kwasów i bakterii sabotażowych.

– A teraz czas na plotki: po raz kolejny chodzą słuchy, że Beninia, niewielki niepodległy kraj afrykański, pogrąża się w chaosie gospodarczym. Kouté, prezydent Dahomalii, w wygłoszonym w Bamako przemówieniu zagroził podjęciem wszelkich niezbędnych kroków, jeśli RUNG spróbuje wykorzystać tę sytuację...

Henry Butcher jest zapalonym głosicielem wiary w panacea, w które sam wierzy.

(PLOTKA Wierz we wszystko, co usłyszysz. Może twój świat nie stanie się przez to lepszy od świata zamieszkanego przez blockersów, ale z pewnością będzie od niego ciekawszy.

– Chad S. Mulligan, *Leksykon trendyzbrodni*)

Jest faktem bezspornym, że człowiek znany jako Begi nie jest żywy. Z drugiej strony – przynajmniej w jednym rozumieniu tego słowa – nie jest również martwy.

– Mówi się także, że Burtonowi Dentowi znów chodzi po głowie dwojacznie: dzisiaj w bardzo wczesnych godzinach przed-pe widziano go w towarzystwie byłego dostawcy paliw Edgara Jewela. Tymczasem – czasem pacyficznym – wygląda na to, że Fenella Koch, z którą od trzech lat jest żonaty, chciałaby dodać swojemu małżeństwu nieco pieprzu przy pomocy słodziutkiej Zoë Laigh. Jak to ujęto w znanym sloganie – dlaczego nie oznacza dlaczego nie!

Państwo Uniwersalni to sztucznie stworzone tożsamości, współczesne odpowiedniki państwa Jonesów – z tą tylko różnicą, że w ich przypadku nie musicie się martwić, czy dotrzymacie im kroku. Wystarczy kupić spersonalizowany telewizor z przystawką domobrazową, dzięki której państwo Uniwersalni wyglądają, mówią i poruszają się dokładnie tak jak wy.

(TRENDYZBRODNIA Popełniasz ją, otwierając tę książkę. Tak trzymać. To nasza jedyna nadzieja.

– Chad S. Mulligan, *Leksykon trendybrodni*)

Bennie Noakes siedzi przed telewizorem nastawionym na SKANALIZATOR. Jest nafaszerowany odjazdyną po uszy i powtarza w kółko:

– Jezu, ależ ja mam wyobraźnię!

– Na zakończenie wieści z Wydziału Małych Pocieszanek. Całkiem niedawno jakiś mąciągłowa wykombinował, że gdyby każdemu ziomowi, każdej lasce i każdej żrenicyokamego przydzielić kawałek gruntu o wymiarach trzydzieści na sześćdziesiąt centymetrów, to wszyscy moglibyśmy stanąć na liczącej tysiąc sześćset sześćdziesiąt kilometrów kwadratowych powierzchni wyspy Zanzibar. Jak ten czas LECI: maja dzień TRZECI, dwa tysiące dziesiątEGO, usłyszemy się, koleGO.

na zbliżeniu (1)

PAN PREZYDENT

Wielce czcigodny Zadkiel F. Obomi czuł brzemień nocy na porośniętej sztywnym, szpakowatym włosiem czaszce – przypominało masywną, przytłaczającą ciszę w zbiorniku do deprywacji sensorycznej. Siedział na swoim olbrzymim urzędowym fotelu, ręcznie rzeźbionym w stylu będącym twórczą wariacją na temat wzornictwa szesnastowiecznych mistrzów rzemiosła, z których wywodzili się jego przodkowie. Prawdopodobnie. Po drodze była długa przerwa, podczas której nikt nie miał głowy do zapamiętywania takich spraw.

Ręce – luźne jak dwa przywiędłe warzywa – oparł na skraju biurka. Lewą trzymał zwróconą różowawym wnętrzem dłoni ku górze. Kiedy był bardzo małym chłopcem, pewna kobieta – pół Francuzka, pół Shango – wywróżyła mu z widocznych na niej pomarszczonych linii, że zostanie wielkim bohaterem. Druga ręka opierała się o blat nasadą dłoni. Sękate jak korzenie drzewa palce spoczywały nieruchomo, jakby w każdej chwili gotowe do wystukania nerwowego rytmu.

Nie poruszały się jednak.

Czoło, głęboko osadzone oczy mędrca i kształt nasady nosa zawdzięczał najprawdopodobniej Berberom. Co innego rozszerzające się nozdrza, szerokie i płaskie wargi, pulchne policzki, zaokrąglony podbródek i intensywna pigmentacja – to już był czysty Shinka. Często żartował (w czasach, gdy w jego życiu było jeszcze miejsce na żarty), że jego twarz jest jak mapa jego ojczyzny: od góry do linii oczu – najeżdźca, dalej na południe – tubylec.

Natomiast same oczy, znajdujące się na granicy tych dwóch obszarów, były po prostu oczami człowieka.

Lewe prawie całkiem ginęło pod opadającą powieką; było praktycznie bezużyteczne od próby zamachu w 1986 roku, po której została także długa blizna przecinająca skórę od policzka po skroń. Prawe było błyszczące, bystre i żwawe – chociaż w tej chwili niezogniskowane, bo Obomi nie patrzył na drugą znajdującą się w pokoju osobę.

Noc dławiała Zadkiela F. Obomiego, siedemdziesięcioletniego, pierwszego i dotychczas jedynego prezydenta byłej brytyjskiej kolonii, Beninii.

Zamiast widzieć, odczuwał. Za plecami czuł rozległą, pustą nicość Sahary, odległej o blisko tysiąc pięćset kilometrów, lecz zarazem tak monstrualnej i dominującej, że kłębiła mu się pod czaszką jak burzowa chmura. Przed sobą, za murami budynku, tam gdzie kończyło się tętniące życiem miasto i port, czuł powiewy wieczornego wiatru znad zatoki, pachnącego oceaniczną solą i przyprawami w ładowniach zacumowanych na redzie statków. Z obu boków zaś, niczym kajdany przykuwające mu nadgarstki do biurka, wbrew na wespół uformowanemu pragnieniu poruszenia nimi i odwrócenia następnej stronicy z pliku dopominających się o uwagę dokumentów, doskwierał mu balast zamożnych krajów, do których uśmiechnęło się szczęście.

Liczba ludzi na planecie Ziemia szła w miliardy.

Beninia, dzięki kreślonym od liniiki granicom z czasów kolonialnych, miała zaledwie dziewięćset tysięcy mieszkańców.

Bogactwo Ziemi było niewyobrażalne.

Beninia – z wyżej wspomnianych przyczyn – miała nieco mniej niż było trzeba, żeby jej mieszkańcy nie głodowali.

Rozmiary Ziemi były... wystarczające. Na razie.

Beninia była przyduszona, a ściany wokół niej cały czas się zaciskały.

Przypomniały mu się przypochlebne namowy z przeszłości.

Z francuskim akcentem:

– Geografia jest po naszej stronie. Ukształtowanie terenu wskazuje, że przyłączenie Beninii do Dahomalii byłoby logicznym posunięciem: doliny

rzek, przełęcz górskie...

I z akcentem angielskim:

– Historia nam sprzyja. Mamy wspólną mowę. W Beninii Shinkowie rozmawiają z Holaini, a Inoko z Kpała w tym samym języku, którym Jorubowie porozumiewają się z Ashanti. Przyłączcie się do Republikańskiej Unii Nigerii i Ghany, a staniecie się kolejnym...

Nagle ogarnął go gniew. Uderzył otwartą dłonią w stos papierów i zerwał się na równe nogi. Drugi mężczyzna w pokoju również podskoczył; jego twarz zdradzała najwyższy niepokój, nie zdążył się jednak odezwać, bo pan prezydent już wyszedł.

* * *

W jednej z czterech wysokich wież pałacu – tej stojącej od strony lądu, skąd można było podziwiać bujną zieleń wzgórz Mondo i napawać się świadomością istnienia odległych saharyjskich pustkowi – znajdował się pokój, do którego klucz miał tylko pan prezydent. Strażnik na skrzyżowaniu korytarzy zsalutował szybkim ruchem ceremonialnej włóczni; pan prezydent skinął mu głową i poszedł dalej.

Jak zwykle zamknął za sobą drzwi na klucz i nie od razu zapalił światło. Przez kilka sekund stał w całkowitej ciemności, zanim jego dłoń spoczęła na wyłączniku i zamrugał jedynym okiem, oślepionym nagłą jasnością.

Po lewej stronie, na niskim stoliku, obok płaskiej pikowanej poduszki do klęczenia – egzemplarz Koranu oprawny w zieloną skórę, z wypisanymi odręcznie, złotymi literami arabskiego alfabetu, dziewięćset dziewięćdziesięcioma imionami Wszechmogącego.

Po prawej – tradycyjny beniński klęcznik z rzeźbionego hebanu ustawiony przed ścianą, na której zawieszono krucyfiks. Ofiara przybita do drewna była równie ciemna jak samo drewno.

A naprzeciwko drzwi – czarne maski, skrzyżowane włócznie, dwa bębny i kosz na rozżarzone węgle, jaki tylko nowicjusze Piętna Lamparciego Pazura mogą oglądać bez okrywającej go skóry pantery.

Pan prezydent odetchnął głęboko, podszedł do stolika, wziął do ręki Koran i po kolej, metodycznie podarł wszystkie jego stronicie na confetti. Na koniec rozdarł skórzaną oprawę na dwoje.

Okręcił się na pięcie, zdjął krucyfiks z haka i przełamał go na pół. Ukrzyżowany spadł na podłogę. Pan prezydent obcasem zmiażdżył podobną do lalki figurkę.

Zwłókł ze ściany wszystkie maski. Powyrywał im kolorową słomę włosów, wylupił wykonane z klejnotów oczy, powyłamywał zrobione z kości słoniowej zęby. Jedną z włóczni przedziurawił membrany obu bębnów.

Po wykonaniu zadania zgasił światło, wyszedł i starannie zamknął drzwi, po czym, znalazłszy pierwszy z brzegu zsyp całośmietnika, wrzucił do niego jeden jedyny otwierający je klucz.

kontekst (2)

WSTĘPNIAK

Z *banku OBRAZÓW*: montaż scen, ekran niepodzielony, ujęcia nastrojowe, wyreżyserowane, kręcone głównie z helikoptera – widok na korek przy wjeździe na autostradę w New Jersey w 1977 roku (3/4 miliona samochodów, z których ponad szesnaście tysięcy musiano zezłomować na miejscu), przenikający się ze scenami z godzin szczytu na Piątej Alei, Oxford Street i Placu Czerwonym; dalej sceny z udziałem kretynów, debili i fokomelików.

Z *banku DŹWIĘKÓW*: „Dzisiaj gratulujemy Portoryko zwycięstwa w walce z lobby hodowli dzieci. Ludziom, którzy niedawno obchodzili swój dwudziesty pierwszy wiek, z trudem przychodzi uwierzyć, że zaledwie trzydzieści lat temu autostrady i miasta dławili się i dusiły od nadmiaru rzekomo przemieszczających się metalowych konstrukcji, które tak uparcie zajeżdżały sobie nawzajem drogę, że w końcu przejrzelśmy na oczy. Po co zawracać sobie głowę ważącym dwie tony skomplikowanym stalowym gadżetem, który nie będzie ci do niczego potrzebny, kiedy już dotrzesz tam, dokąd zmierzasz? Który nawet nie dowiezie cię na miejsce w rozsądnym czasie? Który – i to jest najgorsze – swoimi wyziewami powoduje raka i bronchit, czym wydatnie skraca twoje życie?

Podobnie jak istoty żywe, samochody również dokonały żywota, gdy środowisko, w którym żyły, osiągnęło stan nasycenia ich ekskrementami. My sami, jako istoty żywe, nie chcemy, żeby to samo stało się z nami. I po to właśnie potrzebne nam jest prawodawstwo eugeniczne. Chwała niech będzie Przedostatniemu Stanowi za dołączenie do większości, która w porę dostrzegła zagrożenie i postanowiła przymknąć oko na drobne

niedogodności nowej legislacji, jakie nieodłącznie wiążą się z kontrolowaniem ludzkiego składnika naszego świata.

To był wstępniak Greater New York Timesa”.

ciągłość (1)

BEZPIECZEŃSTWO WINĄ PODSZYTE

Wszystko w osobie Normana Niblocka House'a było ściśle określone, precyzyjne jak podziałka linijki, odmierzone jak sam czas. Włącznie ze stopniem rozjaśnienia skóry i rozprostowania kręconych włosów na głowie i w brodzie, który pozwalał mu wykorzystywać wyrzuty sumienia kolegów, a zarazem zbliżyć się do tych lasek, przy których kuśka najżywiej mu podrygiwała. Włącznie z krztyną ekscentryczności, jaką przejawiał w swoim zachowaniu – w sam raz do przyjęcia u młodszego wiceprezesa wielkiej korporacji, a przy tym odrobinę ponad tę granicę, która sugerowała, że lepiej z nim nie zadzierać. Włącznie z liczbą i charakterem zajęć, które spływały do jego biura, a które dobierał w taki sposób, żeby podczas wizyt innych egzeków zawsze mógł być zajęty sprawami najwyższej wagi.

* * *

Do pracy został przyjęty zgodnie z postanowieniami Ustawy o Równości Szans, która nakazywała firmom takim jak General Technics zatrudnianie białych i Aframów w takiej samej proporcji, jaka występowała na terenie całego kraju, plus minus pięć procent. W odróżnieniu od wielu innych z tego samego naboru, jego przybycie zostało powitane z ulgą przez ówczesnego wiceprezesa ds. kadrowych, który zaczynał już tracić nadzieję na znalezienie wystarczającej liczby Aframów skłonnych zaakceptować

obowiązujące w społeczeństwie standardy (Doktorat? A co to jest doktorat? Papier toaletowy dla białodupców).

Doktor nauk ścisłych Norman N. House był prawdziwym skarbem – i dlatego nie zamierzał dać się łatwo schwytać w korporacyjną sieć.

Wiceprezes, który po raz trzeci w życiu wykazał się niezwykłą przenikliwością (pierwszy raz przy wyborze rodziców, drugi – kiedy podłożył świnie jedynemu konkurentowi do stanowiska, które obecnie zajmował), zwrócił uwagę, że jego nowy podwładny ma dar wywierania niezatartego wrażenia na ludziach, których nigdy przedtem nie widział na oczy i których najprawdopodobniej nigdy więcej nie zobaczy. Z czasem zaczęło się nawet mówić o „stylu House’a” – wprawdzie nie przeszkadzało mu specjalnie, kiedy o kimś zapomniał, ale nie potrafił znieść myśli o tym, że sam mógłby zostać przez kogoś zapomniany.

Zazdrosny o ten talent wiceprezes zaczął hołubić Normana House’a, licząc po cichu na to, że jakieś okruchy niezwykłego daru spłyną także na niego. Nadzieję tę żywił całkowicie bezpodstawnie – albo człowiek rodzi się z taką cechą, albo wykształca ją w sobie poprzez świadomy trening w ciągu dwudziestu lat. Norman miał wówczas dwadzieścia sześć lat, z których dwadzieścia już poświęcił na kultywowanie tego przymiotu.

Rzucił jednak wiceprezesowi kilka gładkich, niezwykle pomocnych ochłapów.

– Co o nim myślę? Cóż, papiery ma bez zarzutu – (słowa wyważone, dopuszczające ewentualność pomyłki) – ale moim zdaniem noszenie SuperMenów świadczy o tym, że człowiek nie jest pewny swoich kwalifikacji. Wicie państwo, one mają ochraniać z przodu.

Wiceprezes, który miał sześć par SuperMenów, nigdy więcej ich nie włożył.

– Co o niej myślę? Cóż, w testach wypada świetnie, ale moim zdaniem wkładanie topu Maksidost do całkowicie izolujących spodni świadczy o tym, że dziewczyna nie jest gotowa doprowadzić do końca tego, co zaczęła.

Wiceprezes, który zaprosił ją na kolację i spodziewał się odpłaty w powszechnie używanej obiegowej walucie, wyłgał się wymyśloną

chorobą i ze zwieszoną głową wrócił na noc do żony.

– Co myślę o rocznym sprawozdaniu? Cóż, w porównaniu z ubiegłym rokiem krzywa poszła w górę, ale wywołany naszymi działaniami poziom szumu sugeruje, że wzrost mógłby być od piętnastu do osiemnastu procent wyższy. Poza tym ciekaw jestem, czy ta tendencja się utrzyma.

Wiceprezes, który jeszcze wtedy się wahał, postanowił odejść na emeryturę w wieku pięćdziesięciu lat i zadowolić się premiovym pakietem akcji pierwszego stopnia, zamiast wczekać do sześćdziesiątki i zgarnąć dwa razy większy pakiet trzeciego stopnia. Natychmiast po otrzymaniu akcji sprzedał je, a potem obgryzał paznokcie, patrząc, jak miesiąc w miesiąc papiery zyskują na wartości. W końcu się zastrzelił.

Zabiło go podejrzenie, że powodem, dla którego akcje GT zyskały na wartości, było zastąpienie go przez Normana House'a.

* * *

Norman żwawym krokiem zbliżał się do wspólnej windy. Odmawiał korzystania z tej, która z poziomu ulicy prowadziła wprost do jego gabinetu:

– To niedorzeczne, żeby ktoś, kto w pracy stale ma do czynienia z ludźmi, unikał kontaktów z nimi, nieprawdaż?

Przynajmniej jeden ze starszych wiceprezesów również ostatnio zaprzestał używania prywatnej windy.

Ale mniejsza z tym – grunt, że House jechał na górę.

Razem z nim na windę czekała jedna z firmowych lasek. Uśmiechnęła się do niego – nie dlatego, że się znali (Norman wolał dawać do zrozumienia, że ktoś, kto wykorzystuje stanowisko do zdobywania lasek, jest – w przeciwieństwie do niego – człowiekiem niepełnowartościowym), ale dlatego, że czas i wysiłek zainwestowane przez niego w takie błahostki jak nieużywanie prywatnej windy zaowocowały powszechnym przekonaniem, że ze wszystkich dwudziestu wiceprezesów firmy to właśnie pan House jest najbardziej towarzyski i przystępny. Tę opinię

podzielali nawet pracownicy magazynu w należącej do GT fabryce elektroniki w Wirginii Zachodniej, którzy w życiu nie widzieli go na oczy.

Odpowiedział odruchowym, wymuszonym uśmiechem. Był spięty. Fakt zaproszenia go na lunch na prezesowskim piętrze w towarzystwie najwyższych rangą egzeków można było rozumieć na dwa sposoby: albo szykował mu się awans (choć poczta pantoflowa, którą wytrwale pielęgnował, o niczym podobnym mu nie donosiła), albo – co znacznie bardziej prawdopodobne – szefostwo planowało kolejną modyfikację polityki zatrudnienia. Wprawdzie, odkąd zajął obecne stanowisko przetrwał już bezpiecznie dwie takie zmiany, ale nie dość, że niepotrzebnie uprzykrzały człowiekowi życie, to jeszcze uniemożliwiały mu skorzystanie z usług ludzi, których od miesiący szykował do objęcia wpływowych posad.

Kurzeszmać, wcześniej radziłem sobie z tymi białodupcami, to i teraz sobie poradzę.

Światło kabiny windy opadło na ich poziom, zadźwięczał cicho dzwonek i Norman znów bez reszty skoncentrował się na teraźniejszości. Zegar nad drzwiami (podobnie jak wszystkie zegary w wieżowcu GT, dostrojony do słynnego kriotonowego zegara głównego) wskazywał godzinę 12:44 po-pe. Jeżeli pozwoli lasce zjechać windą na dół, spóźni się dokładnie jedną minutę na lunch z Bardzo Ważnymi Osobistościami.

Tyle powinno być w sam raz.

Kiedy kabina się zatrzymała, skinął na dziewczynę i przepuścił ją przodem.

– Ja wybieram się na górę – wyjaśnił.

Awans czy nie, Norman mówił serio.

* * *

Wysiadł z windy na piętrze prezesowskim zgodnie z planem, czyli chwilę po czasie. Sztuczna trawa tłumiała odgłos jego kroków, gdy ruszył w stronę zebranej przy basenie grupy ludzi. Cztery najładniejsze firmowe laski zabawiały się nago w wodzie. Przypomniawszy sobie dyżurny żarcik:

„Dlaczego GT nie chce pierwsze wprowadzić stanowiska ziomka firmowego?” i z trudem opanował wesołość, witając się ze Starą GT we własnej osobie.

Patrząc na Georgette Tallon Buckfast, nie sposób było się domyślić, że jest zarówno niezwykle istotą ludzką, jak i niecodziennym artefaktem. Trudno też było uwierzyć, że ma pięćdziesiąt lat – wyglądała w najgorszym wypadku na sześćdziesiąt: zaokrąglona, ponętna, zwieńczona szopą własnych ciemnych włosów, dostatecznie gęstą, żeby zaprzeczyć starym zarzutom, jakoby więcej miała w sobie z mężczyzny niż z kobiety. Owszem, przy bliższych oględzinach niewielka wypukłość na piersi mogłaby zdradzić obecność rozrusznika serca, ale w dzisiejszych czasach ludzie instalowali sobie takie akcesoria już w wieku siedemdziesięciu lat, a nawet wcześniej. Wyłącznie swojej natarczywości i wścibstwu Norman zawdzięczał wiedzę o przeszczepie tkanki płucnej, plastikowych zastawkach żylnych, przeszczepionej nerce, zdrutowanych kościach i wymienionych po walce z rakiem strunach głosowych. Wedle wiarygodnych szacunków Stara GT była nieco bogatsza niż brytyjska rodzina królewska – a za taki majątek można sobie kupić zdrowie, chociażby na raty.

Towarzyszył jej Hamilcar Waterford, znacznie od niej młodszy, lecz wyglądający starzej; Rex Foster-Stern, starszy wiceprezes ds. projektów i planowania, mężczyzna z postury podobny do Normana, odznaczający się niezwykle obfitymi bokobrodami i czymś, co Dzieci Krzyża pogardliwie nazywały „opalenizną niebojową”; oraz Afram, którego twarz wydała się Normanowi zwodniczo znajoma, mimo że nigdy przedtem nie widział go w wieżowcu GT: koło pięćdziesiątki, krępy, łysy, zmęczona twarz, bródka w stylu Kenyatty.

Przyszło mu do głowy nowe wytłumaczenie dla zaproszenia go na ten posiłek. Kiedy ostatni raz przy podobnej okazji poznał nieznanego mężczyznę w średnim wieku, był to emerytowany admirał, którego GT zamierzała dokooptować do zarządu, żeby korzystać z jego znajomości w wojsku; nic z tego nie wyszło, bo admirał zamiast GT wybrał producenta poduszkowców. Jeśli jednak sytuacja miała się powtórzyć, Norman

zamierzał być tak bezczelny, jak to tylko możliwe bez narażania kariery zawodowej. Żaden czarny cwaniak z krzywym wackiem nie wyprzedzi Normana House'a w wyścigu do zarządu.

Wtedy właśnie odezwała się GT:

– Elihu? Przedstawiam ci Normana House'a, naszego wice ds. kadrowych.

I świat wywrócił się do góry nogami.

Elihu. Elihu Rodan Masters, zawodowy dyplomata, ambasador USA w Beninii. Po kiego wała GT miałyby się interesować tym rozwidlonym jak język węża skrawkiem lądu, wbitym w Afrykę niczym klin i pozbawionym zarówno bogactw naturalnych, jak i wykwalifikowanej siły roboczej?

Nie było jednak czasu na domysły. Norman wyciągnął rękę, przerywając prowadzoną przez Starą GT prezentację.

– Szanowna pani, pana Mastersa nikomu nie trzeba przedstawiać – wtrącił dziarskim tonem. – Ludzie tak dystyngowani stanowią naturalną siłę środowiskotwórczą. Mam wrażenie, że znam go doskonale, chociaż nie miałem dotąd przyjemności uścisnąć mu dłoni.

Na twarzy Starej GT – ukrywanie emocji wychodziło jej zdumiewająco kiepsko jak na osobę, która stworzyła potężną korporację i zbiła ogromny majątek osobisty – rozdrażnienie faktem, że jej przerwano, zmagало się z zadowoleniem ze zgrabnego komplementu.

– Napije się pan czegoś? – spytała w końcu, gdy zadowolenie ostatecznie zwyciężyło.

– Nie, dziękuję. To wbrew słowu Proroka, rozumie pani.

Beninia, tak? Czyżby chodziło o otwarcie afrykańskiego rynku dla ŚPG? Inwestycja warta ponad pół miliarda dolców i brak odbiorców surowca z najbogatszych złóż od czasu Syberii... Taka sytuacja nie mogła trwać w nieskończoność. Ale przecież mówi się, że Beninia nie jest w stanie wyżywić własnych mieszkańców...

GT – ewidentnie zażenowana faktem, że zapomniała (lub w ogóle nie wiedziała) o tym, że jeden z jej własnych wice jest muzułmaninem – wycofała się w kądziwość. Styl House'a stanowił idealną odpowiedź na nią. Norman, zadowolony z przebiegu rozmowy i doskonale świadomy

spoczywającego na nim spojrzenia Mastersa, świetnie się bawił przez całą trwającą dziesięć minut konwersację, która poprzedziła zaproszenie do stołu. Prawdę mówiąc, był tak absolutnie przekonany, że rozbrzmiewający tuż po pierwszej dźwięk dzwonka wideofonu jest w istocie sygnałem do posiłku, że nie przerwał nawet opowiadanej anegdoty – umiarkowanie antyafamskiego żartu, idealnie dobranego do tego mieszanego towarzystwa, ostro przyprawionego pogardliwymi określeniami czarnych – dopóki GT nie krzyknęła na niego po raz drugi.

– House? House! Jest jakiś problem z gośćmi oprowadzanymi po komorze Salmanasara. To chyba twoja działka?

Jeżeli przygotowali jakąś niespodziankę, która ma mnie pogrążyć, podam im mierzwę na kolację. Zrobię...

– Przepraszam na chwilę, panie Masters – powiedział z lekka znudzonym głosem. – Zajmie mi to minutkę, najwyżej dwie. Nie więcej.

Wszystko się w nim gotowało, kiedy udał się do windy.

na zbliżeniu (2)

WIRACHA

– Gada coś o oknach startowych a to znaczy tylko tyle że jakiś dupowaty egzek sam sobie zawiązał sznurówki Salmanasar-kutasar po kiego wała lecieć taki kawał drogi do Nowego Jorku pogoda lepsza nawet bez kopuły tutaj kuśkę można odmrozić lepsze laski skąpiej ubrane i lepsza trawka na dokładkę to już ósma tam nie ma jeszcze pierwszej po-pe i naprawdę szalu nie ma.

* * *

Wnętrze komory Salmanasara: ziąb. Już sam ten fakt wystarcza, żeby kilkanaście osób w oczekującym na okno startowe – co jest ozdobnym określeniem momentu, w którym zatrudniony przez GT przewodnik będzie gotowy do poprowadzenia wycieczki – tłumie liczącym sto dziewięć osób (część z nich to turyści, z których z kolei część to najprawdziwsi potencjalni rekruci zwabieni przez ulotki i telewizyjne reklamy GT Corp., z których część odwiedzała to miejsce w osobach państwa Uniwersalnych tyle razy, że nie umieliby powiedzieć, po co właściwie zdecydowali się przybyć tu osobiście, część zaś stanowią przysłani przez GT figuranci, których zadaniem jest odzywać się w odpowiednich momentach i sprawiać w ten sposób wrażenie, że dużo się dzieje) doszło do wniosku, że nie będą zainteresowane tym, co im tu pokażą. Ziąb! W maju! Na Manhattanie, pod Kopułą Fullera! Poubierani w trampki na piankowej podeszwie, SuperMeny, mikrospódnice i mikrosukienki od Forlona&Morlera;

obwieszeni holokamerami Japindu (z których każda ma wbudowaną monochromatyczną lampę laserową) i rejestratorami z autopowtórką; z kieszeniami obwisłymi od produkowanych przez Japind gazognatów, głuszków i stalorąk, które zakłada się „tak samo łatwo i swobodnie, jak wasza babcia wkładała rękawiczkę”.

Niespokojni, podejrzliwie zerkający na swoich przypadkowych towarzyszy.

Dobrze odżywieni.

Strzelający oczami na boki, opychający się spoksami, przeżuwający pracowicie, chrup-chrup.

Diabelnie przystojni.

Zastanawiający się, czy któryś z tych stłoczonych przy nich nieznanym nie okaże się przypadkiem wściekiem.

Nowoubodzy świata tu-i-teraz.

* * *

Oggie’emu Lucasowi nie spodobało się spojrzenie, jakim przewodnik obrzucił grupę, kiedy w końcu raczył się pojawić. Ktoś mający przed sobą tak liczny tłumek nie zauważyłby od razu osobnika znanego jako Oggie Lucas: dwadzieścia lat, metr osiemdziesiąt trzy wzrostu, Es-Pa-Dryle od SirFera, spodnie Potentat i kurtkoszula do lotów swobodnych Blood Onyx z zapinkami z prawdziwego złota. Zobaczyłby raczej kłębiącą się niepewnie gromadę odmieńców, wagabundów i pozerów, wśród których można by wydzielić mniejsze podzbiory – na przykład Oggiego i jego zamienników, którzy wybrali się do Nowego Jorku z Jetteksem na wycieczkę (dwie noce jeden dzień), licząc na jakiś odlot, ale bez powodzenia. Świat tak się skurczył, że nie dało się go wciągnąć bez zdejmowania butów, a mimo to z wybrzeża na wybrzeże było ciągle tak daleko...

Z całej tej ponad setki ludzi wyłowił cztery laski warte bliższego zogniskowania: jedna odleciała na wysoką orbitę – w tej chwili nie miała pojęcia nie tylko, w jakim budynku się znajduje, ale nawet, który wymiar

astralny zamieszkuje; dwie przyszyły z ziomkami, których uwiesiły się w sposób zupełnie nieodczepialny; a czwarta wyglądała jakby przywiał ją prosto z RUNG, z tymi afrykańskimi włosami i skórą jak czarne jagody – nie wypadalo, żeby ktoś przyłapał go na wspólnym odliczaniu z taką dziunią.

Ale reszta to była taka mierzwa, że głowa mała, włącznie z taką jedną w udającym ubraniu bezkształtnym, burym worku, z ciężką, rozepchaną torebką, włosami przyciętymi na jeża i nerwowym grymasem na świecącej twarzy, dziobatej i popękanej – pewnie jakaś Boża Córa. Tylko religia mogła przekonać normalną dziewczynę, żeby zrobiła z siebie takie paskudztwo.

– Kurżeszmac, gdzie są prawdziwe laski? – mruknął pod nosem Oggie.

Pracują w korporacjach, naturalnie. Ze wszystkich megalopolis to właśnie Nowy Jork najwięcej zjadał i najlepiej płacił. Podobnie rzecz się miała z LA, z tą tylko różnicą, że tam pracodawcą był rząd, który ściągał rekrutów do Strefy Konfliktu Pacyficznego. A kto jest bogatszy od rządu?

Stąd zabijanie czasu. Stąd pomierzwiony pomysł włóczędzy po zimnej komorze. Stąd wyczekiwanie na jutrzejszy samolot, który zabierze Oggiego i jego zamienników z powrotem nad Zatokę.

– Powiedz no, gdzie oni trzymają Teresę? – mruknął Zink Hodes, zamiennik stojący najbliżej Oggiego.

Była to aluzja do legendarnej dziewczyny Salmanasara, będącej źródłem niekończących się sprośnych żartów. Oggie nie raczył odpowiedzieć. Zink, który w nocy zaliczył mały sklepobskok, miał teraz na sobie nowy strój, taki nowojorski. Oggie był niezachwycony.

Przed nimi – para ciągnąca za sobą nie jedno i nie dwa, ale policzcie sami, aż trzy progeny. Zażenowani zainteresowaniem ze strony zazdrosnych sąsiadów w tłumie, głośno tłumaczący, że nie cała trójka jest ich, tylko dwoje, bo trzecią żrenicęokamego podrzuciła im kuzynka, żeby się nią zajęli, grzeczni i układni dla wszystkich dookoła, ale nie aż tak, żeby od razu się uciszyć, kiedy przewodnik w końcu przywołał do siebie gości.

– Dzień dobry państwu, witam w wieżowcu General Technics. Nie muszę chyba nikomu przedstawiać GT...

– To może byś sobie po prostu zaszył gębę? – szepnął Zink.

– ...która jest siłą środowiskotwórczą dla wszystkich mieszkańców tej półkuli i nie tylko, od Bazy Księżycowej Zero po Środkowoatlantycki Projekt Górniczy głęboko na dnie oceanu. Jest jednak taki aspekt naszej wszechstronnej działalności, który nieodmiennie odbiera mowę państwu Uniwersalnym. Z tym właśnie aspektem zamierzam państwa teraz zapoznać.

– Zapnij twarz lepiej – burknął Zink. – Ryja se zaspawaj.

Oggie pstryknął na dwóch zamienników idących krok za nim i gestem kazał im zejść z flanki.

– Bo cię tu zostawimy – zapowiedział – jak ci się tak Nowy Jork podoba. Albo wysadzimy cię z samolotu na dziesięciu kilometrach, bez poduszki pod dupę przy lądowaniu.

– Ale ja...

– Zapnij twarz – uciął Oggie.

Zink go posłuchał. Ze strachu oczy miał okrągłe jak spodki.

– Proszę zwrócić uwagę na ten granitowy blok, pod którym w tej chwili państwo przechodzicie. Widoczne na nim litery zostały wyryte za pomocą opracowanej przez GT techniki wybuchowej. Panowało powszechne przekonanie, że nie da się w ten sposób obrabiać naturalnego kamienia, ale my postanowiliśmy spróbować... i udało się nam. Potwierdził w ten sposób treść motto naszej firmy.

Stojący obok Oggiego odpad poruszał ustami i szeptał pod nosem, mozoląc się z odczytaniem oglądanego pod kątem pisma.

– Poniżej wypisane są najbardziej znane twierdzenia dowodzące ludzkiej krótkowzroczności, takie jak „Człowiek nie może oddychać przy prędkości powyżej pięćdziesięciu kilometrów na godzinę”, „Trzmiel nie może latać” oraz „Przestrzeń międzyplanetarna to stworzony przez Boga mechanizm kwarantanny”. Trzeba to koniecznie powtórzyć ludziom z Bazy Księżycowej Zero!

Kilka przypochebnych wybuchów śmiechu. Stojąca kilka osób przed Oggie'em Boża Córa przeżegnała się na dźwięk Imienia.

– Dlaczego tu jest tak cholernie zimno?! – zawołał ktoś bliżej przewodnika.

Figuranci, mierzwa ich mać... Ciekawe, ilu gości w tym tłumie to w rzeczywistości pracownicy GT, zatrudnieni na polecenie rządu i z braku lepszego zajęcia utrzymywani na sztucznie utworzonych posadkach?

– To pytanie prowadzi nas prosto do kolejnego przykładu tego, jak bardzo możemy się mylić w naszych ocenach. Siedemdziesiąt, osiemdziesiąt lat temu inżynierowie twierdzili, że zbudowanie komputera, który mógłby się równać z ludzkim mózgiem, wymagałoby drapacza chmur, żeby pomieścić sprzęt, oraz wodospadu Niagara, żeby go schłodzić. Tego akurat twierdzenia nie znajdziecie na granitowej płycie, ponieważ w kwestii chłodzenia nie do końca się pomylili: Niagara by nie wystarczyła, nie jest dostatecznie zimna. My stosujemy tu ciekły hel, całe tony. Za to mylili się całkowicie co do drapacza chmur. Proszę się rozproszyć tutaj, po tej galerii, to pokażę państwu dlaczego.

Sto dziewięć osób rozstawiło się apatycznie na podkowiastym balkonie obiegającym komorę przypominającą jajo ze ściętym czubkiem. W dole, na głównym poziomie, krzatali się identycznie wyglądający mężczyźni i kobiety; od czas do czasu któreś z nich zadzierało głowę z wyrazem kompletnego niezaciekawienia na twarzy. Kolejna mniej więcej dwudziątka zwiedzających poczuła się niemile dotknięta i doszła do wniosku, że obojętne, co będzie dalej, nie będą tym zainteresowani.

Oggie nie mógł się zdecydować. Wyeksponowany na dole sprzęt przyciągał jego wzrok – było tego co najmniej dwadzieścia pięć, może trzydzieści metrów: przewody, rury, klawiatury, ekrany, zespoły czytników, półki uginające się pod ciężarem lśniących metalowych przyrządów.

– Może nie zajmuje całego drapacza chmur, ale i tak jest dość spory – zauważył ktoś.

Co za mierzwa... Pewnie następny figurant. Oggie powstrzymał się od komentarza, gdy Zink zaszurał głośno stopami.

– Bynajmniej – odparł przewodnik.

Przekreślił zainstalowany na wysokości jego głowy reflektor. Snop światła prześliznął się po aparaturze i ludziach, aż spoczął na niepozornym ściętym stożku z białego matowego metalu.

– To właśnie – obwieścił uroczystym tonem – jest Salmanasar.

– To coś? – podsunął usłużnie figurant.

– To coś. Wysokość: czterdzieści pięć centymetrów, średnica podstawy: dwadzieścia osiem centymetrów, i jest to najpotężniejszy komputer na świecie, a wszystko dzięki unikatowej, opatentowanej przez GT technologii znanej pod nazwą mikriogeniki. Co więcej, jest to pierwszy komputer zaliczany do kategorii megamózgów!

– To bezczelne kłamstwo – odezwał się ktoś z przednich szeregów.

Wytrącony z równowagi przewodnik zaniemówił.

– A K'ung-fu-tse? – mówił dalej ten sam ktoś.

– Słucham? Przykro mi, ale nie... – Przewodnik uśmiechnął się bez przekonania.

Oggie zdał sobie sprawę, że tym razem nie był to wtęret podstawionego figuranta. Wspiął się na palce, żeby lepiej widzieć, co się dzieje.

– Konfucjusz! Mówi się „Konfucjusz”! Na Uniwersytecie Pekińskim mają działający megamózg od...

– Zamknij się! Zdrajca! Przeklęty łgarz! Krwawiciel! Zrzućcie go na dół!

Krzyki podniosły się natychmiast, odruchowo, automatycznie. Zink przepchnął się do przodu i dołączył do krytykantów. Oggie zmrużył oczy, wyjął z kieszeni paczkę bay goldów i włożył sobie jednego w kącik ust. Zostały mu już tylko cztery. Potem będzie skazany na tę nowojorską mierzwę, zielone manhattańskie ścierwo. Najlepsze, co mieli na tym wybrzeżu.

Mocno zgryzł końcówkę automatycznego napowietrzacza. Co to kogo obchodzi, co robią Chińczycy, dopóki armia nie ucapi człowieka za jaja? Wiele hałasu o nic, i tyle.

Policja korporacyjna wyprowadziła czerwonego braciszka, zanim ktokolwiek zdążył mu sprzedać solidniejszego kuksańca, i przewodnik z ulgą wrócił do swojego standardowego planu lotu.

– Widzicie państwo, gdzie w tej chwili kieruję światło? To port wejściowy SKANALIZATORA. Tędy właśnie wprowadzane są wszystkie wiadomości ze wszystkich dużych agencji informacyjnych, po czym Engrelay Satelserv, dzięki Salmanasarowi, mówi nam, na czym stoimy w świecie tu-i-teraz.

– To jasne, ale to przecież nie może być jedyna funkcja Salmanasara – odezwał się inny figurant. Oggie’ego aż skrzyknęło w środku.

– Naturalnie. Głównym zadaniem Salmanasara jest osiągnięcie tego co niemożliwe. Czyli nasz chleb powszedni tutaj, w GT. – Dla lepszego efektu przewodnik zawiesił na chwilę głos. – Zostało udowodnione teoretycznie, że w wypadku systemu logicznego o tak wysokim stopniu złożoności jak Salmanasar wystarczy wprowadzić do niego dostatecznie dużo informacji, żeby wykształcenie się świadomości i samoświadomości było tylko kwestią czasu. Możemy zresztą z dumą ogłosić, że pewne oznaki udało się już...

Zamieszanie. Kilkanaście osób, w tym Zink, naparło w przód, żeby lepiej widzieć. Oggie westchnął tylko, ale nie ruszył się z miejsca. Pewnie kolejny życzliwy figurant. Co za mierzwa... Dlaczego tym blokiersom się wydaje, że ludzie nie będą umieli odróżnić prawdziwego wydarzenia od fałszywki?

Ale...

– Błuzniercy! Diabelski pomysł! Świadomość jest darem od Boga! Nie można wbudować duszy w maszynę!

...przecież nikt nie kazałby figurantowi wykrzykiwać czegoś takiego.

Jakiś blokiers stał mu na drodze, starszawy ziom znacznie od niego niższy i wyraźnie lżejszy. Oggie odepchnął go, odgrodził się Zinkiem od ewentualnych pretensji i wychylił przez balustradę. Po jednym z sześciometrowych filarów, na których wspierała się konstrukcja galerii, zsuwała się laska w workowatym burym ubraniu: przekładała rękę za ręką, w końcu zeskoczyła z wysokości półtora metra na ziemię i odwróciła się do zaniepokojonych pracowników, którzy zamierzali ją złapać.

– To Teresa! – zawołał ktoś, siląc się na żart.

Parę osób roześmiało się bez przekonania, ale większość ludzi na galerii wykazywała oznaki przerażenia. Podczas wizyt państwa Uniwersalnych nigdy się coś takiego nie zdarzało.

Ci, którzy chcieli lepiej widzieć, przepychali się z tymi, którzy chcieli się wydostać. Niemal od razu wybuchły awantury i rozległy się podniesione głosy.

Oggie z zainteresowaniem rozważał i odrzucał kolejne możliwości. Żadna Boża Córa nie nosiłaby broni, która byłaby skuteczna z bezpiecznej odległości – nie wchodziły więc w grę żadne energetyki, pistolety ani granaty. A to znaczyło, że blokerysi pędzący z wrzaskiem do wyjścia lub rzucający się plackiem na podłogę niepotrzebnie tracą energię. Z drugiej strony, w tej jej torbie zmieściłaby się całkiem niekiepska...

Teleskopowa siekiera z ostrzem równie długim jak złożone stylisko. No proszę!

– To dzieło diabła! Zniszczcie je i ukorzcicie się, zanim zostaniecie na wieczność przeklęci! Jak śmiecie uzurpować sobie boskie...

Wyrznęła najbliższego serwisanta torbą w twarz i rzuciła się w stronę Salmanasara. Jakiś ziom przytomnie rzucił w nią ciężką instrukcją obsługi i trafił ją w nogę; potknęła się i omal nie upadła. Tymczasem obrońcy zbili się w gromadę, uzbrojeni w bicze z wielożyłowych przewodów i półtorametrowej długości wsporniki do czekających na zainstalowanie półek. Zachowywali się jednak jak tchórze i zamiast się do niej zbliżyć, tylko ją okrążyli.

Skrzywiła się pogardliwie.

– Jedziesz ich, laska! – zawołał Zink.

Oggie milczał. Mógłby wykrzyknąć to samo, ale byłoby to niestosowne.

Zgrzyt metalu o metal poniósł się echem po komorze, gdy dziewczyna rzuciła się na najodważniejszego z przeciwników, wymachującego wspornikiem. Ziom kwiknął i upuścił broń, jakby ta sparzyła go w rękę, a wtedy Boża Córa cięła zamazyście siekierą.

Odcięta dłoń – Oggie widział ją wyraźnie w locie – pofrunęła w powietrzu jak lotka do badmintonu. Na ostrzu siekiery została krew.

– No, no... – mruknął i wychylił się pięć centymetrów dalej za balustradę.

Ktoś stojący za plecami laski smagnał ją kablem; na szyi i policzku pojawiło się czerwone piętno. Skrzywiła się, ale nie bacząc na ból, wyrznęła

siekierą w jeden z czytników danych. Pulpit roztrzaskał się w drobny mak, sypiąc dookoła kawałkami plastiku i błyszczącą elektroniką.

– No, no... – powtórzył Oggie z nieco większym entuzjazmem. – Kto następny?

– Wyjdźmy gdzieś dzisiaj wszyscy – zaproponował podekscytowany Zink. – Wieczorem. Skręcimy jakąś mierzwę! Od lat nie widziałem laski, która by miała taki wypierd!

Dziewczyna uniknęła kolejnego ciosu i lewą ręką chwyciła coś, co leżało obok na stoliku na kółkach. Rzuciła tym czymś w stronę Salmanasara. Z miejsca uderzenia trysnęły skry.

Oggie w zadumie rozważał propozycję Zinka. Był skłonny na nią przystać.

Krew skapywała z ostrza na brunatny strój dziewczyny. Ranny mężczyzna leżał na ziemi i wył z bólu.

Oggie zaciągnął się bay goldem. Czuł, jak krystalizuje się w nim decyzja, gdy dym – automatycznie rozrzedzony powietrzem w stosunku cztery do jednego – kłębił mu się w płucach. Długo go nie wypuszczał, potrafił bez wysiłku wstrzymać oddech nawet na półtorej minuty. I wtedy sceneria się zmieniła.

kontekst (3)

TRZEBA GO POPCHNAĆ

„To nie zbieg okoliczności...”.

(ZBIEG OKOLICZNOŚCI Nie uważałeś i przegapiłeś drugą połowę tego, co się działo.

– Chad S. Mulligan, *Leksykon trendybrodni*)

„...że mamy wścieków. Informacje dodatkowe: »wściek« wziął się od »wściekłego«. Nie wiercie tym, którzy twierdzą, że to zniekształcony ludzki »ściek«, szumowina. Bliski kontakt ze ściekami można przeżyć, za to w bliski kontakt ze wściekiem radzę w ogóle nie wchodzić. Najlepiej być gdzie indziej, kiedy to się wydarzy.

Zanim nastał wiek XX, najgęstsze skupiska ludzkie spotykano niemal wyłącznie w miastach azjatyckich (wyjątkiem jest tu Rzym, ale do Rzymu dojdziemy za chwilę). Kiedy zbyt wielu ludzi naraz zalazło ci za skórę, brałeś w garść maczetę albo kris i szedłeś podrzynać gardła. Nie miało znaczenia, czy umiesz się posługiwać bronią, czy nie: ludzie, przeciw którym zamierzałeś jej użyć, tkwili w swoim normalnym układzie odniesienia, a ty znajdowałeś się w układzie odniesienia berserkerka. Informacje dodatkowe: berserkerzy wywodzili się ze społeczności, która większość roku przesiadywała na dupie w norweskich dolinach, nad brzegami fiordów, ze wszystkich stron otoczona przez niezdobyte turnie, od góry nakryta potworną szarą czapą chmur i uwięziona przez zimowe sztormy, które skutecznie uniemożliwiały ucieczkę drogą morską.

Zamieszkujący południe Afryki Nguni mają takie powiedzenie, że nie wystarczy zabić zuluskiego wojownika; trzeba go jeszcze popchnąć, żeby się przewrócił. Informacje dodatkowe: Zulus Czaka miał w zwyczaju młodo zabierać przyszłe ofiary assagajów z domu rodzinnego i wychowywać na przyszłych wojowników w warunkach zbliżonych do koszarowych – dostawali tylko włócznię, tarczę i tubę na penisa i nie mogli liczyć nawet na odrobinę prywatności. Zupełnie niezależnie od Spartan dokonał tego samego odkrycia co oni.

Kiedy Rzym stał się pierwszą na świecie metropolią liczącą milion dusz, rozpowszechniły się w nim tajemnicze wschodnie kulty religijne z towarzyszącymi im praktykami samoumartwienia i samookaleczenia. Dołączałeś do procesji ku czci Kybele, wrywałeś jednemu z kapłanów nóż, odrzynałeś sobie jaja i biegłeś ulicami miasta, wymachując odciętymi genitaliami, aż znalazłeś dom, w którym drzwi były otwarte, i mogłeś wrzucić jądra za próg. Dawali ci wtedy kobiece ubranie i mogłeś dołączyć do stanu kapłańskiego.

Pomyśl tylko, z jak wielką presją musieli zmagać się ci ludzie, jeśli takie rozwiązanie uchodziło za ułatwienie sobie życia!”.

– Chad C. Mulligan, *Jesteś ignorantem i idiotą*

ciągłość (2)

MARTWA DŁOŃ Z PRZESZŁOŚCI

Norman wysiadł z windy gotowy do jednego ze swoich rzadkich i zawsze starannie wykalkulowanych wybuchów gniewu, które u wszystkich jego podwładnych wywoływały wyrzuty sumienia. Wnętrze komory Salmanasara ledwie zdążyło mu mignąć przed oczami, kiedy potracił stopą coś leżącego na podłodze.

Spuścił wzrok.

To była ludzka dłoń, odcięta na wysokości nadgarstka.

* * *

– A na przykład mój dziadek ze strony matki – powiedział Ewald House – był jednoręki.

Sześćoletni Norman patrzył na pradiadka wielkimi, okrągłymi oczami. Nie rozumiał wszystkiego, co ten starszy pan mu opowiadał, ale miał świadomość, że są to rzeczy ważne – tak samo jak ważne było to, żeby nie moczył się w łóżku ani nie zaprzyjaźniał zbyt blisko z synem Curtisa Smitha, który wprawdzie był jego rówieśnikiem, ale był biały.

– Był leworęczny, rozumiesz. A co zrobił? Ano zrobił to, że w gniewie podniósł rękę na swojego nadzorcę. Tak mu przyłożył, że ten wpadł do strumienia. Więc potem nadzorca kazał go przykuć łańcuchem do kołka wbitego w czterdziestoakrowe pole, potem normalnie wziął piłę i... odpiłował mu rękę. Mniej więcej tutaj. – Pradiadek dotknął własnej ręki,

chudej jak ustnik fajki, nieco poniżej łokcia. – Dziadek nic nie mógł zrobić. Urodził się niewolnikiem.

* * *

Norman – bardzo spokojny i całkowicie nieruchomy – rozejrzał się po komorze. Zobaczył właściciela dłoni, który wił się z bólu na podłodze, jęczał przejmująco i ścisnął kikut ręki, usiłując przez mgłę nieznośnego bólu znaleźć właściwe punkty ucisku i powstrzymać krwotok. Zobaczył strzaskany pulpit czytelnika, którego odłamki chrzęściły pod butami spanikowanych i zdezorientowanych pracowników. Zobaczył błysk w oczach bladej białej dziewczyny – dyszała głośno, ciężko, jak w ekstazie, i zakrwawioną siekierą powstrzymywała otaczających ją przeciwników.

Zobaczył również stłoczoną na galerii ponad setkę idiotów.

Ignorując wydarzenia rozgrywające się na środku sali, podszedł do wbudowanej w ścianę pokrywy. Dwa szybkie ruchy pokręteł i pokrywa spadła, odsłaniając sieć grubo izolowanych rur, splątanych jak ogon króla szczurów.

Szarpnął zawór. Kantem dłoni uderzył w łącznik, bardzo szybko, żeby zimno nie zdążyło przeniknąć w głąb skóry. Przyciągnął sobie jeden z węży, włożył go pod pachę, zaparł się i zaczął wlec za sobą. Ta odrobina luzu wystarczy na jego potrzeby.

Podchodząc do dziewczyny, nie spuszczał z niej wzroku.

Boża Córa. Pewnie jakaś Dorcas, Tabitha albo Martha. Chce zabijać. Chce niszczyć. Typowa reakcja chrześcijanki.

Wy swojego Proroka zamordowaliście. Nasz odszedł w podeszłym wieku, otoczony powszechnym szacunkiem. Ba, wy byście z radością zabili swojego po raz drugi. A gdyby nasz wrócił, mógłbym porozmawiać z nim jak z przyjacielem.

* * *

Zatrzymał się niecałe dwa metry od niej; wąż ciągnął się za nim, trąc głośno o ziemię jak łuski olbrzymiego gada. Nie wiedziała, co myśleć o tym mężczyźnie o czarnej skórze i zimnym, martwym spojrzeniu. Wzięła zamach siekierą, ale się zawahała. To na pewno jakiś podstęp. Pułapka.

Obejrzała się gwałtownie, spodziewając się, że lada chwila ktoś zaatakuje ją od tyłu – ale pracownicy rozpoznali oręż Normana i rozpięchli się na jego widok.

* * *

„Nic nie mógł zrobić...”.

Konwulsyjnym ruchem otworzył zawór na końcu rury i trzymając go nieruchomo, odliczył do trzech.

Rozległ się syk, spadł śnieg i biały lód okrył zniecka siekierę, trzymającą ją dłoń i całą rękę. Nastąpiła chwila bez końca, w której nic się nie działo.

A potem pod ciężarem siekiery dłoń dziewczyny odłamała się na wysokości nadgarstka.

– Ciekły hel – wyjaśnił lakonicznie Norman na użytek widzów. Wypuścił rurę, która z metalicznym szczękiem upadła na podłogę. – Wystarczy zanurzyć w nim palec, a złamie się jak sucha gałązka. Dlatego nie radzę tego próbować. Tak jak nie radzę wierzyć we wszystko, co się słyszy o Teresie.

W ogóle nie patrzył na dziewczynę, która tymczasem upadła na ziemię nieprzytomna lub nawet martwa od wstrząsu – interesowała go tylko zmrożona dłoń wciąż zaciśnięta na rękojeści siekiery. Powinien coś poczuć, choćby dumę ze swojego szybkiego pomysłu, ale niczego w sobie nie znalazł. Jego umysł i serce były tak samo skute lodem jak ten pozbawiony sensu przedmiot na podłodze.

Odwrócił się na pięcie i skierował z powrotem do windy, boleśnie świadomy okrutnego rozczarowania.

* * *

Zink przysunął się do Oggie'ego.

– Hej-hej! – zagaił. – Warto było przyjść, co? Coś czuję, że dziś skęcimy mierzwę jak stąd do oceanu! Już wchodzę na orbitę!

– Nie – odparł Oggie, wpatrzony w drzwi, za którymi zniknął brązowy kinol. – Nie w tym mieście. Nie podobają mi się tutejsze siły porządkowe.

Świat tu-i-teraz (2)

KOMÓRKI DO WYNAJĘCIA

– Już od ponad dziesięciu lat zbiory Biblioteki Publicznej Nowego Jorku nie znajdują się wcale w Nowym Jorku. Ich dokładna lokalizacja jest utajniona, nie ograniczyło to jednak ich dostępności dla użytkowników – przeciwnie, dostęp do nich jest nawet łatwiejszy niż kiedyś.

Najbardziej wszechstronny system kopiowania, jaki kiedykolwiek opracowano, to Eastman Kodak Wholographik. Wystarczy odwrócić odbitkę, wyciąć zwykłymi nożyczkami wzdłuż zaznaczonych linii i porozdzielać – a z każdej z dwudziestu czterech części można będzie odczytać do 98% pierwotnej informacji!

Donald Hogan siedział w towarzystwie 1235 innych osób, z których każda – lub nawet wszystkie naraz – mogła przeglądać tę samą książkę lub czasopismo, co on. Salmanasar szyfrował wybrany przez niego wzorzec wyszukiwania, a jego fizyczny zapis został dla bezpieczeństwa wydrukowany po yatakańsku, a więc w języku trudnym i mało popularnym – nieco zbliżonym do japońskiego, gdyż w podobny sposób łączył masę chińskich ideogramów z dwoma kompletnymi sylabariuszami, tyle że w przeciwieństwie do wykształconej lokalnie w Japonii katakany, sylabariusz yatakański był bękartem alfabetu arabskiego, który pod koniec średniowiecza muzułmańscy prozelici przywieźli na wyspy Azji Południowo-Wschodniej.

PODSUMOWANIE Autorzy opisują liczne przypadki wątpliwej genealogii, z jakimi zetknęła się Stanowa Rada Postępowania

Eugenicznego w New Jersey. Skuteczną metodą wykrywania genów odpowiedzialnych za recesywny dichromatyzm jest

ABSTRAKTY PRAC Z BADAŃ STRUKTUR KOMÓRKOWYCH
PRZEGLĄD FACHOWEJ PRASY BIOCHEMICZNEJ
MATERIAŁY INSTYTUTU BADAŃ CEREBROCHEMICZNYCH

Jeżeli szukasz bakterii dostosowanej specjalnie do przetwarzania bezwartościowych ścieków przemysłowych w opłacalną eksploatację źródła siarki, poproś Minnesota Mining o próbkę ich szczepu UQ-141. Pierwszy milion organizmów: 1000 \$ z wysyłką.

PODSUMOWANIE Komputerowa analiza próbnej pożywki dla jaj *Nannus troglodytes*. Wstępne szacunki wskazują

Najbardziej użytecznym jednotomowym podręcznikiem dla współczesnego studenta zainteresowanego zagadnieniami uzależnień jest ZNIEKSZTAŁCENIE DOZNAŃ SUBIEKTYWNYCH Friberga i Mahlera. Obejmuje: opium i pochodne, kokę i pochodne, peyotl i pochodne, konopie indyjskie i pochodne, pituri, caapi itp.; substancje syntetyczne, od kwasu lizergowego po Yaginol® i Dymiczachę®. Zawiera specjalny aneks dot. Odjazdyny®. Cena 75 \$, dostępny wyłącznie dla lekarzy.

EKOLOGIA SOMATYCZNA
SPORT I MUTACJE
DZIEDZICZENIE U GADÓW

PODSUMOWANIE Interpretacja relacji ekonomicznych w górskiej wiosce w Boliwii jako manifestacji Zespołu Mergendahlera, w której czynniki pobudzające równoważone są czynnikami religijnymi, żywieniowymi i

Obecnie GT udostępnia wyizolowany materiał genetyczny Rana palustris oraz Rattus norvegicus albus. Gwarantowany poziom kontaminacji międzyplciowej na poziomie niższym niż 0.01%.

PODSUMOWANIE Podatność na rakotwórczy wpływ przemysłowego czterochlorku węgla wykazuje korelację ze znaną i zależną od płci dziedziczną zdolnością wykrywania smaku (w stężeniu poniżej 1 ppm)

Nie ma we współczesnym świecie sytuacji równie frustrującej, jak uprawnienie do posiadania dzieci połączone z niemożnością ich poczęcia. Specjalizujemy się w reimplantacji jajeczek zapłodnionych pozaustrojowo.

BIULETYN TOWARZYSTWA WSZECHORGAZMU
GRAUNCH::prozowersobraz
SOCJOLOGIA MRÓWEK, PSZCZÓŁ I TERMITÓW

PODSUMOWANIE Kiedy brzydki i sfrustrowany odpad HANK OGMAN zgwałcił własną matkę, a ona zaszła w ciążę i – wskutek jej uzależnienia od yaginolu – można było z niemal całkowitą pewnością spodziewać się płodu fokomelicznego, nad odpowiedzialnym blokojcem WALTEM ADLESHINE'EM zawisły czarne chmury. Na szczęście, dzięki natychmiastowej interwencji chirurga, IDY CAPELMONT, udało się uniknąć tragedii.

– Jak ja się pani odwdzięczę? – zapytał Walt.

W odpowiedzi podała mu cenę, która

Donald Hogan ziewnął i wstał z krzesła. Przerobienie dziennego przydziału zleceń nigdy nie zabierało mu więcej niż trzy godziny. Schował do kieszeni notes, w którym miał zapisany wzorzec wyszukiwania, i nieśpiesznie ruszył do windy.

kontekst (4)

TEMATYKA

Rozwinięte

np. USA, Wspólna Europa, ZSRR, Australia

Rządy apatii publicznej

Waluta podlega stałej rewaluacji poprzez inflację

Zatrudnienie: umowy prywatne

Środki masowego przekazu: wskutek protekcji i siły inercji sprzyjają rządowi

Żywność zróżnicowana, ale w całości produkowana w fabrykach; wymaga kosztownych suplementów

Rozwijające się

np. Chiny, Yatakang, Egipt, Republ. Unia Nigerii i Ghany

Rządy „partii rewolucyjnych”

Kurs waluty utrzymywany sztucznie w drodze decyzji administracyjnych

Kontrolowane przez państwo

Kontrolowane bezpośrednio przez agencje rządowe; jednolity punkt widzenia

Mniej zróżnicowana, ale dystrybuowana w wydajnym systemie rozdzielczym, zapewniającym stabilną jakość

Słabo rozwinięte

np. Cejlon, Beninia, Afganistan, Mozambik

Władza rządu „z przetrąconym kręgosłupem”

Waluta podlega dowolnym fluktuacjom

Kwestia szczęścia

Zarządzane amatorsko, podatne na wahania dobrego smaku i wiarygodności

Poniżej minimum niezbędnego do życia; niewydajny system rozdzielczy

Rozwinięte

Opieka medyczna częściowo darmowa (położnictwo, opieka nad dzieckiem, geriatryka), reszta usług płatna, ale wysokiej jakości

Służba wojskowa: pobór – duża wybiórczość, liczne przypadki unikania; lojalność rekrutów wzmocniana technikami psychologicznymi

W miastach powszechne mieszkania, domy na terenach rzadziej zaludnionych, włączystwo dopuszczalne, lecz niezalecane

Ekspreslot, pędzimoto, rapitrans, helikopter, taksówka na ogniwa paliwowe, autobus z kołem zamachowym itp.

Sieć telefoniczna rozwinięta, aparaty z wideoe ekranami

Rozwijające się

Opieka medyczna w całości darmowa, ale najczęściej miernej jakości

Powszechny pobór; próby uniknięcia poboru niezwykle rzadkie; lojalność rekrutów wymuszona klimatem społecznym

Powszechność mieszkań, domy dla rządowych faworytów, włączystwo karalne

Ekspreslot, autobus z kołem zamachowym, taksówka na ogniwa paliwowe, taksówka rowerowa, rower itp.

Sieć telefoniczna dobrze rozwinięta w miastach, słabo poza ich granicami; w niektórych rejonach tylko transmisje dźwiękowe

Słabo rozwinięte

Opieka medyczna w całości płatna, standard bardzo niski; niektóre państwa zatrudniają szamanów

Wojsko i marynarka wojenna drogą ucieczki dla ofiar nędzy; podatne na rewolucyjne turbulencje; w znacznej mierze niezależ. od rządu

Domy, szopy, szałas, brak stosownego prawodawstwa, znaczne przeludnienie

Autobus, ciężarówka, rower, zwierzęta pociągowe itp.

Sieć telefoniczna zawodna

<i>Rozwinięte</i>	<i>Rozwijające się</i>	<i>Słabo rozwinięte</i>
Ustawy eugeniczne przeciw debilizmowi, fenyloketonurii, hemofilii, cukrzycy, dichromatyzmowi i in. surowo egzekwowane	Debilizm, fenyloketonuria, hemofilia i in. Możliwości egzekwowania ograniczone brakiem sił i środków	Brak kar lub możliwości ich egzekwowania
Ubiór dyktuje moda; ubrania jednorazowe popularne ze względu na niski koszt	Ubrania projektowane i szyte przez państwo; stroje jednorazowe uważane za luksus	Od szaty do szmaty: ubrania często noszone kolejno przez kilka osób
Homoseksualizm tolerowany, dwojacznie uważane za oczywistość	Skrajna nietolerancja; dwojacznie karalne i niechętnie widziane	Sposób traktowania podyktowany tradycją i obyczajem
Tytoń zakazany ze względu na działanie rakotwórcze	Tolerowany pod warunkiem oczyszczenia z substancji rakotwórczych	Używany
Marihuana legalna, zyskuje społeczną akceptację	Tolerowana	Tradycyjnie akceptowana w społeczeństwie
Alkohol – bez względu na legalność produkcji – akceptowany w społeczeństwie	W wielu krajach legalny, ale nie jest pochwalany	Wytwarzany w domu
Środki psychodeliczne nielegalne, tolerowane	Nielegalne, surowe kary	Za drogie
Zasoby naturalne na wyczerpaniu	Intensywnie eksploatowane	Sprzedawane za granicę lub niekompetentnie zarządzane
Populacja ludzka	Populacja ludzka	Populacja ludzka

ISTOTA LUDZKA Jesteś nią. A jeśli nie, to przynajmniej wiesz, że jesteś Marsjaninem, tresowanym delfinem albo Salmanasarem.

(Jeśli chcesz, żebym powiedział ci coś więcej, masz pecha. Nikt ci więcej nie powie.

– Chad S. Mulligan, *Leksykon trendybrodni*)

na zbliżeniu (3)

WCALE NIE!

– To co robimy? – spytała Sheena Potter po raz tysiąc pięćsetny. – Tylko nie waż mi się brać następnego spoksa; i tak już ledwie idzie się z tobą dogadać!

– Chcesz, żebym dostał wrzodów – poskarżył się jej mąż Frank.

– Ty pomierzwiony kłamczuchu!

– A zatem robisz to nieświadomie. W takim razie nie powinnaś nawet wychodzić sama na ulicę, nie mówiąc już o rozmnażaniu się.

Frank przemawiał z isticie olimpijskich wyczyn beznamiętności – a wszystko to dzięki pięciu spoksom, które zdążył przyjąć przed-pe.

– Myślisz, że ja się chcę rozmnażać? To coś nowego... A może to ty byś ponosił tego małego drania, co? Dzisiaj potrafią to już tak załatwić: faszerują cię żeńskimi hormonami po uszy i wszczepiają płód do jamy brzusznej.

– Znów się naoglądałaś *Przeglądu Widza*... Chociaż nie, pomyliłem się: wzięłaś to ze SKANALIZATORA. To jeszcze bardziej niezwykle.

– Guzik prawda! Felicia mi powiedziała, kiedy ostatni raz byłam w szkole nocnej...

– Dużo ci dają te twoje lekcje! Ciągłe jesteś drętwa jak Teresa. Kiedy wy tam wreszcie dojdziecie do podstaw Kamasutry?

– Gdybyś był więcej niż półmężczyzną, sam byś mnie dawno nauczył...

– Brak reakcji to w tym wypadku wina paciensa, nie agensa. To dlatego ja...

– Teraz cytujesz reklamę, nawet nie serwis wiadomości, tylko reklamę zrobioną przez jakiegoś śliniącego się...

– Gdybym miał więcej oleju w głowie, nie ożeniłbym się z blokerką, która ledwie skończyła parę klas...

– A ja nie wyszłabym za ziomka ze ślepotą barwną w rodzinie...

Oboje umilkli i rozejrzeli się po mieszkaniu. Na ścianie pomiędzy oknami widniał jaśniejszy placek – kawałek pokryty oryginalną farbą, którą zastali tu zaraz po przeprowadzce. Obrazek, który wcześniej wisiał w tym miejscu, znajdował się teraz w czerwonej plastikowej skrzynce przy drzwiach. Obok czerwonej plastikowej skrzynki stało jeszcze pięć zielonych (można wysłać pocztą próżniową tylko z wyściółką) i tuzin czarnych (można wysłać pocztą próżniową bez wyściółki). Były również dwie białe skrzynki, na tyle wysokie, że w miarę wygodnie dawało się na nich usiąść – i w taki właśnie sposób korzystali z nich Frank i Sheena.

Barek był pusty, nie licząc odrobiny kurzu i zaschniętych resztek rozlanego wina.

Lodówka była pusta, nie licząc cienkiej warstewki lodu w zamrażalniku, który stopi się automatycznie, kiedy komptroler przełączy się w tryb odmrażania.

Szafa w sypialni była pusta. Całośmietnik chrząścił cicho, przeżuając partię jednorazowych papierowych ubrań i kilkanaście kilogramów łatwo psujących się produktów z lodówki.

Automatyczne plomby zasklepiły gniazdka elektryczne – żadne dziecko nigdy nie mieszkało w tym domu, ale zgodnie z prawem wszystkie gniazdka musiały być automatycznie plombowane natychmiast po usunięciu podłączonych do nich urządzeń.

Na podłodze u stóp Franka leżała teczka na dokumenty, w której znajdował się bilet dla dwóch osób w klasie turystycznej do Portoryko; dwa identyfikatory – jeden z pieczętką DZIEDZ. DICHR., drugi PODATN. DZIEDZ. DICHR.; dwadzieścia tysięcy dolarów w czekach podróży; oraz pismo ze Stanowej Rady Postępowania Eugenicznego w Nowym Jorku zaczynające się od słów: „Szanowny Panie Potter, z przykrością informujemy, że zajście Pańskiej żony w ciążę (bez względu na fakt Pańskiego bycia lub niebycia ojcem dziecka) podlega karze zgodnie

z paragrafem 12, rozdział V Kodeksu Rodzicielskiego Stanu Nowy Jork, co skutkuje...”.

* * *

– Skąd miałem wiedzieć, że Przedostatni Stan też wyda zakaz? Lobby hodowli dzieci dysponuje bilionami dolarów! Takie pieniądze otwierają wszystkie drzwi!

On był umiarkowanie przystojnym mężczyzną, dość szczupłym, dość śniadym, z postury i zachowania na pozór starszym niż chronologiczne trzydzieści lat.

– Zawsze powtarzałam, że chętnie adoptuję! Mogliśmy zapisać się na listę i najdalej za pięć lat dostać jakieś niechciane dziecko!

Ona – dwudziestotrzylatka – była wyjątkowo śliczną naturalną blondynką, pulchniejszą od męża; starannie dobrana dieta pomagała jej zachować najmodniejszy obecnie rozmiar.

– Po co w ogóle tam jechać? – dodała.

– Bo tutaj nie możemy zostać! Sprzedaliśmy mieszkanie i zdążyliśmy już wydać część pieniędzy!

– Nie moglibyśmy pojechać gdzie indziej?

– Oczywiście, że nie! Słyszałaś o tych ludziach, których w zeszłym tygodniu zastrzelono, gdy próbowali się przekraść do Luizjany? A co do Nevady... Jak myślisz, na ile by nam wystarczyło dwadzieścia patyków w Nevadzie?

– Moglibyśmy tam pojechać, zająć się ciążą i wrócić do domu...

– Ale do czego? Sprzedaliśmy mieszkanie, nie rozumiesz? Jeżeli zastaną nas tutaj po szóstej po-pe, mogą nas wsadzić do więzienia! – Frank uderzył się otwartą dłonią po udzie. – Nie, musimy jak najlepiej wykorzystać sytuację. Pojedziemy do Portoryko, zaoszczędzimy trochę i przeniesiemy się do Nevady. Albo damy w łapę komuś, kto przerzuci nas do Peru, Chile albo...

Od strony drzwi wejściowych dobiegło pukanie.

Spojrzał na nią, nie poruszając się.

– Kocham cię, Sheena – powiedział w końcu.

Skinęła głową, nawet zdobyła się na uśmiech.

– Ja też cię kocham, do szaleństwa. I nie chcę jakiegoś cudzego dziecka z drugiej ręki. Choćby miało nie mieć nóg, kochałabym je, bo byłoby twoje.

– A ja bym je kochał, bo byłoby twoje.

Kolejne pukanie. Wstał. Mijając Sheenę, pocałował ją lekko w czoło i poszedł wpuścić ekipę od przeprowadzek.

ciągłość (3)

PO UPŁYWIE DEKADY

Wyszedłszy z biblioteki, Donald Hogan spojrział najpierw na północ wzdłuż Piątej Alei, potem na południe, zastanawiając się, którą z półtuzina pobliskich restauracji wybrać na lunch. Wyglądało na to, że chwilowo nie jest w stanie podjąć tej decyzji. Na swoim obecnym stanowisku pracował od blisko dziesięciu lat; prędzej czy później wszystko powszednieje.

Może człowiek po prostu nie powinien móc w pełni zrealizować swojej największej ambicji w wieku dwudziestu czterech lat...

Zostało mu najprawdopodobniej pięćdziesiąt lat życia, oraz całkiem realne szanse na jeszcze jedną dodatkową dekadę. A przyjmując ofertę, którą mu złożyli, nie poruszył kwestii odejścia na emeryturę czy choćby rezygnacji.

Owszem, kiedyś tam pozwolił mu przejść na emeryturę. Nie miał jednak pojęcia, czy rezygnacja w ogóle wchodzi w grę. Ostatnio jego koledzy (prowadził świadomą politykę nieposiadania przyjaciół), którzy zwrócili uwagę, że wygląda staro na swój wiek i wykazuje zainteresowanie szemranymi dziedzinami nauki, zachodzili w głowę, co, u licha, się z nim dzieje. Gdyby jednak znalazł się ktoś, kto mógłby powiedzieć „Donald nosi się z zamiarem odejścia z pracy”, nawet najbliższy z jego kolegów – mężczyzna, z którym dzielił mieszkanie i niekończący się korowód lasek – zrobiłby zdziwioną minę.

– Z pracy? Z jakiej pracy? Przecież Donald nie pracuje! Jest zawodowym dyletantem!

– Usiądź, Donaldzie – powiedział dziekan i elegancko skinął ręką.

Donald posłuchał, nie odrywając wzroku od także obecnej w pokoju nieznamym: kobiety we wczesnym wieku średnim, obdarzonej delikatną posturą, dobrym gustem w doborze ubrań i serdecznym uśmiechem.

Troszeczkę się denerwował. W ostatnim numerze studenckiego czasopisma opublikował garść spostrzeżeń, których upublicznienia później pożałował – chociaż, gdyby go przycisnąć, musiałby uczciwie przyznać, że w dalszym ciągu je podtrzymuje.

– To doktor Jean Foden – powiedział dziekan. – Z Waszyngtonu.

W umyśle Donalda zamajaczyła wielce niepokojąca ewentualność: grant na jego badania doktoranckie został cofnięty po tym, jak uznano go za wywrotowca i niewdzięcznika. Zaszczycił panią doktor chłodnym, nieszczerym skinieniem głowy.

– W takim razie zostawię państwa samych – dodał dziekan i wstał.

To jeszcze bardziej zdumiało Donalda. Prędzej by się spodziewał, że stary drań będzie wolał posiedzieć gdzieś z boku i chichrać się w duchu – oto kolejny nieprzejednany student trafia pod topór. Miał więc w głowie kompletną pustkę, jeśli idzie o możliwe powody tego spotkania, gdy doktor Foden wyjęła ten właśnie numer czasopisma.

– Moją uwagę zwrócił twój artykuł – zaczęła z werwą. – Twoim zdaniem nasze metody nauczania są niedoskonałe, prawda, Don? Mogę mówić do ciebie Don?

– Tak, jeśli ja mogę mówić do ciebie Jean.

Obrzuciła go badawczym spojrzeniem. Cztery piąte współczesnej populacji Ameryki Północnej zaliczały się do kategorii ludzi pięknych i przystojnych – zrównoważona dieta i tania opieka medyczna wreszcie przyniosły upragnione skutki. Teraz zaś, kiedy pierwsze ustawy eugeniczne zaczynały wchodzić w życie, odsetek ten powinien się jeszcze powiększyć. Nie zmieniało to faktu, że Donald Hogan miał w sobie coś niezwykłego – jego kobiety najczęściej kwitowały to określeniem „charakterek”, ale kiedyś pewna angielska studentka z wymiany powiedziała mu, że jest po prostu zręczliwy. Potraktował to jako komplement.

Miał ciemne włosy i brodę, był muskularny, wzrostu nieco poniżej średniego i ubierał się jak typowy student na przełomie tych wieków. Na pozór zatem pasował do wzorca. Lecz jeśli sięgnąć głębiej...

– Chciałabym poznać twoje poglądy – powiedziała doktor Foden.

– Ma je pani wydrukowane przed sobą.

– Opisz je własnymi słowami. Często bywa tak, że zobaczenie czegoś w druku pozwala spojrzeć na sprawy z nowej perspektywy.

Donald się zawahał.

– Nie zmieniłem swoich przekonań, jeśli do tego pijesz – odparł w końcu. Wyraźnie słyszał i czuł skwierczenie i swąd swoich ognistych przechwałek.

– Nie o to mi chodziło. Proszę cię o maksymalną zwięzłość zamiast tej... dość rozwlekłej skargi.

– Rozumiem. Edukacja zmieniła mnie i praktycznie wszystkich moich znajomych w skuteczne maszyny do zdawania egzaminów. Poza swoją wąską specjalizacją nie umiałbym się zdobyć na żadną oryginalność, a dla swojej dziedziny mogę uczynić wyjątek tylko dlatego, że większość moich poprzedników w jeszcze większym stopniu ode mnie miała klapki na oczach. Jasne, na temat ewolucji wiem dziesięć razy więcej od Darwina, ale gdzie pomiędzy chwilą obecną i dniem mojej śmierci znaleźć miejsce na coś, co byłoby naprawdę moim dokonaniem, a nie tylko głosem do cudzego dzieła? Oczywiście mam świadomość, że kiedy zrobię doktorat, będzie się mówiło o „oryginalnej” pracy, ale w praktyce będzie to oznaczało tylko tyle, że zmieniłem kolejność słów!

– Masz wysokie mniemanie o swoich kompetencjach – zauważyła doktor Foden.

– Że niby wychodzę na zarozumialca? Być może, ale zmierzam tylko do tego, że nie chcę doczekać się uznania za swoją rozległą niewiedzę. Przecież...

– W jakim zawodzie chcesz pracować?

Donald zgubił wątek.

– No... Najlepiej, żeby zajmowało mi to jak najmniej czasu. Wtedy resztę mógłbym przeznaczyć na łatanie dziur w swoim wykształceniu.

– Aha. A interesowałaby cię pensja w wysokości pięćdziesięciu tysięcy rocznie w zamian za skoncentrowanie się wyłącznie na uzupełnianiu swojego wykształcenia?

W przeciwieństwie do większości ludzi Donald Hogan posiadał pewien szczególny talent: jego przypuszczenia wyjątkowo często się sprawdzały. Tak jakby jakiś mechanizm w jego głowie bez przerwy analizował różne składniki świata zewnętrznego i szukał w nich prawidłowości – a kiedy taka prawidłowość się pojawiała, pod czaszką Donalda rozbrzmiewał bezgłośny dzwoneczek.

Składniki: Waszyngton, nieobecność dziekana, propozycja pensji porównywalnej z tą, na jaką mógł liczyć w przemyśle, ale za naukę, nie za pracę... Istniała pewna grupa ludzi – ludzi niezwykle wpływowych, przez specjalistów lekceważąco nazywanych „dyletantami”, przez siebie samych zaś określanych znacznie poważniej brzmiącym mianem „syntetyków” – którzy przez całe życie zajmowali się wyłącznie wyszukiwaniem związków pomiędzy pozornie odległymi i hermetycznymi dziedzinami wiedzy.

Wydało mu się to wprost nieprawdopodobne, zwłaszcza po tym, jak jeszcze przed chwilą przepelniała go obawa o cofnięcie grantu. Musiał złączyć dłonie, żeby powstrzymać ich drżenie.

– Masz na myśli syntezę, prawda?

– Tak. Jestem z Ministerstwa Dyletanctwa. Czy też, bardziej oficjalnie, Biura Koordynacji Naukowej. Nie przypuszczam jednak, żebyś domyślał się dokładnie, co zamierzam ci zaproponować. Widziałam wykresy ilustrujące twoją karierę naukową i odnoszę wrażenie, że gdyby bardzo ci na tym zależało, mógłbyś zostać syntetykiem nawet bez doktoratu. – Doktor Foden rozsiała się wygodnie na krześle. – A zatem fakt, że wciąż tu tkwisz, wprawdzie narzekasz, ale jakoś znosisz tę sytuację, każe mi podejrzewać, że jednak aż tak bardzo ci na tym nie zależy i potrzebna byłaby solidna łapówka, żebyś dał się przekonać. Uważam również, że uczciwość wobec siebie samego kazałaby ci tę łapówkę przyjąć. Powiedz mi, gdybyś miał ku temu okazję, w jaki dokładnie sposób uzupełniłbyś swoje wykształcenie?

Donald zająknął się i poczerwieniał, zakłopotany faktem, że nie potrafi przedstawić jasno sprecyzowanych planów.

– No... czy ja wiem... chyba... historia, zwłaszcza najnowsza. Nikt nigdy nie uczył mnie o sprawach mniej odległych niż druga wojna światowa, a jeśli już, to robił to w sposób tak stronniczy, że mierzwa człowieka brała. Poza tym dziedziny pokrewne mojej specjalizacji, czyli krystalografia i ekologia, w tym także ekologia człowieka. Chciałbym zgłębić pisane dzieje naszego gatunku, które sięgają w tej chwili jakieś osiem tysięcy lat wstecz. Powinienem nauczyć się przynajmniej jednego języka nieindoeuropejskiego. Potem...

– Zaczekaj. Już w tej chwili zakreśliłeś obszar zainteresowań, na którego poznanie człowiekowi nie starczyłoby życia.

– Wcale nie! – Donald z każdą chwilą nabierał pewności siebie. – To znaczy, oczywiście miałabyś rację, gdyby zabierać się do tego w taki sposób, w jaki mnie wszystkiego uczono, czyli poprzez wykuwanie faktów na pamięć. Tymczasem należy uczyć się znajdowania prawidłowości! Przecież nie musisz znać literatury na pamięć: uczysz się czytać i masz regał z książkami; nie wkuwasz tablic logarytmicznych i trygonometrycznych: kupujesz sobie suwak albo uczysz się obsługiwać publiczny komputer! – Bezradny gest. – Nie musisz wszystkiego wiedzieć. Wystarczy, że wiesz, gdzie czego szukać, kiedy będzie ci to potrzebne.

Doktor Foden kiwała głową.

– Wygląda na to, że masz właściwe podejście – przyznała. – Ja jednak jestem w tym miejscu zmuszona włożyć kapelusz Mefistofelesa i przedstawić ci szczegółowe warunki mojej oferty. Po pierwsze, będziesz musiał nauczyć się biegle mówić i pisać po yatakańsku.

Donald lekko zbladł. Jego znajomy zainteresował się kiedyś yatakańskim, ale porzucił go na rzecz mandaryńskiego, który uznał za łatwiejszy. Mimo wszystko...

Wzruszył ramionami.

– Jestem gotowy spróbować.

– Resztę będę mogła ci powiedzieć dopiero wtedy, gdy polecisz ze mną do Waszyngtonu.

Gdzie człowiek nazywany Pułkownikiem (Donaldowi nie powiedziano nawet, czy gość w ogóle ma jakieś nazwisko) powiedział:

– Podnieś prawą rękę i powtarzaj za mną: ja, Donald Orville Hogan, uroczyście przysięgam...

* * *

Westchnął ciężko. Wówczas ta propozycja wydawała mu się spełnieniem najśmielszych snów. Przez pięć poranków w tygodniu musiał tylko czytać, i to bez przymusu przedstawiania jakichkolwiek konkretnych wyników – poproszono go tylko, by na piśmie informował o wszelkich związkach i skojarzeniach, które wytropi i które jego zdaniem mogłyby okazać się dla kogoś użyteczne: mogła to być, na przykład, informacja dla astronoma, że pewna agencja badania rynku stosuje nową technikę próbkowania statystycznego, albo sugestia dla entomologa, że pojawił się nieznany wcześniej problem związany z zanieczyszczeniem powietrza. Sądząc z opisu, był to istny raj, zwłaszcza że jego pracodawców zupełnie nie interesowało, co będzie robił w czasie wolnym; zasugerowali mu tylko, żeby w miarę możliwości starał się maksymalnie różnicować swoje przedsięwzięcia i zachowywać najwyższą sprawność umysłu.

Tymczasem minęło niespełna dziesięć lat i – musiał to uczciwie przyznać – zaczynał się nudzić. Chwilami prawie żałował, że nie próbując się powołać na drugi ze związanych z jego zatrudnieniem wymogów, ten, który stał się dla niego powodem długich rozmyślań.

Poruczniku Donaldzie Orville Hogan, niniejszym zostaje pan postawiony w stan gotowości. Proszę niezwłocznie, powtarzam, NIEZWŁOZNIE, zgłosić się do...

– Nie, tylko nie to!

– Masz jakiś problem, kłocu? – zachrypiął mu tuż przy uchu obcy głos.

Czyjś ostry łokieć szturchnął go boleśnie, czyjaś nachmurzona twarz zbliżyła się do jego twarzy. Zdezorientowany uświadomił sobie, że gdzieś po drodze jednak podjął decyzję, wybrał restaurację i zanurzył się w tłumie kłębiącym się na Piątej Alei.

– Co? Nie, nie, wszystko w porządku.

– Z żyroskopów spadłeś? Zastanów się, dokąd idziesz!

Zirytowany mężczyzna, z którym zderzył się Donald, poszedł dalej. Wciąż oszołomiony Donald mechanicznie przestawiał stopy, zanim doszedł do wniosku, że warto posłuchać dobrej rady. Być może część jego kłopotów brała się z faktu, że do tego stopnia popadł w automatyzm i rutynę, że stracił czujność i zainteresowanie światem, które dziesięć lat wcześniej zwróciło na niego uwagę doktor Foden; jeśli rzeczywiście tak było, to nie miał co liczyć na pozytywne rozpatrzenie prośby o odejście z pracy. Bardziej prawdopodobne było jednak coś innego, coś, czego obawiał się od chwili, gdy przy wtórze fanfar i bicia w bębny odtajнили Salmanasara, a on przewidział, że w obliczu automatyzacji nawet synteza stanie się pewnego dnia zbędna.

Jeśli naprawdę miał rzucić tę robotę, to zamierzał zrobić to na swoich warunkach, zamiast dać się zwolnić za niekompetencję.

Wzdrygnął się lekko i rozejrzał. Budynki wysokie jak ściany wąwozów piętrzyły się nad nim, kanalizując przepływ ludzi pod lśniąca rozproszonym światłem Kopułą Fullera. Oczywiście kopuła nie osłaniała całego Nowego Jorku, tylko Manhattan, któremu przywróciła dawną chwałę i pozwoliła odzyskać więcej mieszkańców niż stracił ich w powszechnej pod koniec XX wieku ucieczce na przedmieścia. Przykrycie kopułą całego miasta nie wchodziło w grę między innymi ze względu na koszty, chociaż z inżynierskiego punktu widzenia przedsięwzięcie było teoretycznie wykonalne.

Tymczasem Nowy Jork z trzynastomilionową populacją coraz wyraźniej tracił palmę pierwszeństwa wśród największych miast świata. Nie mógł się równać nie tylko z konurbacjami rozciągającymi się od Frisco do LA czy od Tokio do Osaki, ale przede wszystkim z prawdziwymi gigantami wśród współczesnych megalopolis – Delhi i Kalkutą, w których mieszkało po pięćdziesiąt milionów przymierających głodem ludzi. Nie były to już nawet miasta w dawnym rozumieniu tego słowa, czyli zamieszkałe przez rodziny skupiska budynków, lecz rojące się mrowiska popadające w ruinę

pod niszczycielskimi uderzeniami młota zamieszek, zbrojnych rabunków i najzwyczajszego bezmyślnego wandalizmu.

A jednak, mimo że wedle współczesnych standardów Nowy Jork skurczył się do zaledwie średnich rozmiarów, to i tak był największym miastem, jakie Donald był w stanie ścierpieć. Co więcej, zachował część dawnego magnetyzmu. Zachodnie Wybrzeże zdominował największy pracodawca ze wszystkich – rząd federalny. Na wschodzie prym wiódł następny w kolejności, czyli prywatne superkorporacje, stanowiące państwa w państwie. Wyrastający przed Donaldem i zajmujący pełne trzy kwartały ulic kolosalny ziggurat General Technics wprowadził go w przygnębienie. Gdyby odszedł, gdyby w ogóle jego odejście było możliwe po tym, jak wpompowali w niego blisko trzy czwarte miliona publicznych dolarów, to wszelkie nadzieje na przyszłość mógłby pokładać w takim właśnie mauzoleum.

A spójrzcie tylko, co się stało z Normanem House'em!

Na poszerzonych do monstrualnych rozmiarów chodnikach ludzie roili się jak owady, skłębieni zwłaszcza przy zejściach do przejść podziemnych i metra. Policyjne patrolówki powoli sunęły środkiem ulicy, przeznaczonej wyłącznie dla pojazdów oficjalnych i wozów służb ratunkowych; czasem przystawały, przepuszczając karetki pogotowia i wozy straży pożarnej. Bliżej skrajów jezdni przemieszczały się olbrzymie, buczące autobusy bezsilnikowe, czerpiące energię z potężnych kół zamachowych rozkręcanych na maksymalne obroty przy każdym nawrocie na końcu trasy; przewoziły do dwustu pasażerów naraz i co dwie przecznice zbaczały do zatoczek przystankowych, dając się wyprzedzać elektrycznym taksówkom. Od czasu wybudowania kopuły wszystkie pojazdy z silnikami spalinowymi zostały zakazane – system wentylacyjny ledwie sobie radził z usuwaniem antropotoksyn i CO₂ produkowanych przez samych mieszkańców. W ciepłe dni wydzielana przez ludzi wilgoć potrafiła przeciążyć uzdatniacze powietrza i zbierała się pod kopułą w coś na kształt mżawki.

Jak my to możemy znieść?

Zamieszkał w Nowym Jorku, ponieważ tutaj się urodził, a także dlatego, że Nowy Jork znajdował się na czele krótkiej listy potencjalnych miejsc zamieszkania, z których pozwolili mu wybierać – spisu miast posiadających odpowiednio obszerne biblioteki dla jego celów. Teraz jednak Donald pierwszy raz od bodaj siedmiu lat naprawdę patrzył na to miasto, oglądał je obojgiem oczu, z pełną uwagą, i gdziekolwiek spojrzał, widział kolejne krople przepelniające czarę goryczy. Bezdomni na ulicach zwrócili jego uwagę już wcześniej, zaraz po powrocie z college’u, ale do tej pory nie zauważał, że są ich dosłownie setki: popychali swój dobytek na prowizorycznych wózkach, przeganiani z miejsca na miejsce przez policję. Nie zauważał wcześniej tego, w jaki sposób przechodnie potrąceni na ulicy odwracali się czasem gwałtownie, odruchowo sięgając do pękatych kieszeni, zanim zdali sobie sprawę, że nie mają do czynienia ze wściekiem. A skoro o wściekach mowa: nie zdążył jeszcze dobrze nawiązać kontaktu ze znanym sobie światem, kiedy serwisy informacyjne podały wiadomość o wścieku, który w sobotnią noc na ruchliwym Times Square zabił siedmioro ludzi...

Panika wyciągnęła po niego szponiaste łapska – ta sama panika, której doświadczył ten jeden jedyny raz, kiedy postanowił spróbować dymiczachy; poczucie, że nie istnieje taka osoba jak Donald Hogan, lecz tylko jeden z milionów manekinów, które są różnymi wersjami jaźni pozbawionej początku i końca. Krzyczał tak przeraźliwie, że człowiek, który podał mu narkotyk, stanowczo odradził powtórkę, tłumacząc, że przecież jest swoją jaźnią i że bez niej przestałby istnieć.

Inaczej mówiąc: w środku niczego nie było.

Tuż przed nim dwie dziewczyny zatrzymały się przed witryną sklepową. Obie były ubrane zgodnie z najnowszymi trendami mody: jedna w radiomikrosukienkę, której wzór tworzył układ drukowany, a właścicielka, przesuwając zapięty na sprzączkę pasek w prawo lub w lewo, mogła wybierać stacje radiowe transmitowane wprost do słuchawki ukrytej w burzy fioletowych włosów, druga w obcisły strój z metalicznie lśniącej tkaniny, przywodzącej na myśl obudowę jakiegoś

przyrządu naukowego. Obie miały też chromowane paznokcie, niczym końcówki zasilania w maszynach.

Na wystawie, która zwróciła ich uwagę, prezentowano genetycznie modyfikowane zwierzaki domowe. Procesy wypróbowane wcześniej z dobrym skutkiem na bakteriach i wirusach w tym przypadku zastosowano do zwierzęcych zarodków – niestety, przy tak wysokim poziomie złożoności organizmów występowały skrajnie przypadkowe efekty uboczne; każde z wystawionych zwierząt reprezentowało zapewne pięćset innych, które nie wyszły poza laboratorium. A i tak poważny, przerośnięty galago z przepiękną fioletową sierścią wyglądał żałośnie nieszczęśliwie, a gromadka jaskrawoczerwonych szczeniaków chihuahua zataczała się i chwiała na nogach jakby w każdej chwili groził im atak epilepsji.

Dziewczyny interesował jednak głównie fakt, że sierść galago niemal co do joty zgadzała się z odcieniem włosów tej w radiosukience.

Najpierw używasz maszyn, potem wkładasz maszyny na siebie, aż w końcu...

Roztrzęsiony Donald zmienił zdanie w kwestii wyboru restauracji i na oślep skręcił do pierwszego z brzegu baru, żeby tam wypić lunch, zamiast go zjeść.

Po południu zadzwonił do znajomej bezrobotnej poetki. Okazała mu zrozumienie, nie zadawała pytań i pozwoliła odespać chłańsko w swoim łóżku. Kiedy się obudził, świat wyglądał odrobinę lepiej.

Żałował tylko rozpaczliwie, że nie ma kogoś – to nie musiała być ta dziewczyna, to w ogóle nie musiała być dziewczyna, wystarczyłaby dowolna osoba – komu mógłby wyjaśnić, dlaczego pojękuje przez sen.

Świat tu-i-teraz (3)

MIESZKANIÓWKA

Afram – na prostej orbicie, dobrze sytuowany – szuka współlokata luks mieszki 5-pok widok na Long Island Skr. NZL4.

– Owszem, zgadza się, mam trzy pokoje, ale nie, nie możesz, nawet jeśli cię eksmitują. Po kiego wała mi te twoje laski, które wszędzie ze sobą ciągasz? Nie interesuje mnie, czy jesteś dobrze wyważona! Nie wynajmę komuś, kto nie śmiga dokładnie po tej samej co ja prostej orbicie!

W Delhi, Kalkucie, Tokio, Nowym Jorku, Londynie, Berlinie, Los Angeles, a także w Paryżu, Rzymie, Mediolanie, Kairze, Chicago... nie mogą cię już przyskrzynić za włączęgostwo, więc nie rób sobie nadziei.

Nie ma dość miejsca w więzieniach.

Aframka szuka mieszkania. Wszechstronna. Skr. NRT5.

LUKS MIESZK. IDEALNE TYLKO RODZINY 100.000 \$ MINIMUM 3 POK. MOŻNA PODZIELIĆ!

Dzięki Zakładowi Transportowemu Pędzimetra także TY możesz pracować w Los Angeles, a w domu pełną piersią oddychać świeżym powietrzem Arizony. Czas przejazdu: dziewięćdziesiąt minut!

– To jest Laura. Naturalna blondynka, rzecz jasna... Skarbie, zsuń je i pokaż. Aha, jeszcze jedno: kwestia „wspólnego korzystania” nie wymaga

chyba wyjaśnić?

– Mam nadzieję.

– Ja również.

Laura zachichotała.

Jettex jest rozwiązaniem nie tylko praktycznym, ale i luksusowym, zapytajcie mieszkańców górskich stanów, którzy dzięki naszym usługom – w godzinach szczytoscisku kursy co pięć minut! – mogą pracować w centrach miast!

– To zwykła formalność. Pani pozwoli, młoda damo... Proszę wyciągnąć rękę... Dziękuję. To potrwa najwyżej pięć minut. Chwileczkę... Przykro mi, możemy wydać pani tylko przepustkę tranzytową do naszego stanu. Mimo wszystko: moje gratulacje. Mam nadzieję, że to dziecko.

KIEDY PRESJA STANIE SIĘ NIE DO ZNIESIENIA, DOCENISZ WYTWARZANE PRZEZ GT KLUCZE DO ŁATWIEJSZEGO ŻYCIA. SPOKSY I PROFILAKTYKI TO TYLKO POCZĄTEK. NASZE PRODUKTY WSPOMAGAJĄCE NORMALNE FUNKCJONOWANIE ORGANIZMU KOBIETY SĄ DOZWOLONE PRZEZ WSZYSTKIE KODEKSY STANOWE.

– Na brodę Proroka, Donaldzie, gdybym wiedział, że kręci cię ciemne mięso, mógłbym wybrać coś...

– To może spróbuj kiedyś brunetki? Na przykład takiej w typie włoskim? Kogoś, kto przez całe życie wsuwa wyłącznie biały krojony chleb z folii, musi czasem najść chętna na ciemne, pełnoziarniste pieczywo!

Ale tego rodzaju problemy są nie do uniknięcia w każdej rodzinie.

Agencja Olive Almeiro oferuje Państwu życiową szansę. Dysponujemy największym ze wszystkich agencji zasobem obdarzonych dobrymi cechami dziedzicznymi dzieci do adopcji.

Oferta nie obejmuje następujących stanów: Nowy Jork, Illinois, Kalifornia...

NINIEJSZYM USTANAWIA SIĘ CO NASTĘPUJE: posiadanie genów wymienionych w Załączniku A (patrz niżej) stanowi podstawę do aborcji po okazaniu matki przed dowolną Radą Postępowania Eugenicznego w następujących...

- Kogo zamierzasz przyjąć na miejsce Lucille?
- Nie wiem. Nie myślałem jeszcze o tym.

KRYTYCZNA LICZEBNOŚĆ POPULACJI. Dzisiejsze przecieki z oficjalnych źródeł sugerują, że imigranci stanowi z pozwoleniami na pobyt wydanymi po 30 marca ub.r. będą mieli do wyboru sterylizację lub wydalenie.

My już uczciliśmy nasz dwudziesty pierwszy, a ty? Liberalne towarzystwo poszukuje tolerancyjnych par i trójkątów do rozszerzenia zakresu naszej działalności. W naszej grupie mamy już CZTERNAŚCIORO dzieci!

- Na brodę Proroka, Donaldzie...
- Przepraszam! Powiedziałem przecież, że jest mi przykro, ile można? Co ja poradzę na to, że nudzi mnie twój dobór lasek? Laura była Skandynawką, Bridget była Skandynawką, tak samo Hortense, Rita, Moppet i Corinne. Prawdę mówiąc, uważam, że popadłeś w rutynę.

Odpowiedzialna para zaopiekuje się dzieckiem przez jeden lub więcej dni w tyg. (Certyfikaty na żądanie. Jedyne wada: zrosnięte palce stóp). Skr. NPP2

NINIEJSZYM STANOWI SIĘ CO NASTĘPUJE: posiadanie genów wymienionych w Załączniku B (patrz niżej) stanowi podstawę do sterylizacji potomka płci męskiej w wieku dojrzewania po...

- Idź do diabła!

– To wybitnie chrześcijańska reakcja, Donaldzie. Zarazem niezrozumiała i barbarzyńska.

– Przestań wykorzystywać moje białochrześcijańskie wyrzuty sumienia. Czasem się zastanawiam, jak ty byś sobie radził w autentycznie bezrasowym społeczeństwie.

– Takie społeczeństwa nie istnieją. Jeszcze jedno pokolenie i dodacie geny odpowiedzialne za ciemną pigmentację skóry do listy...

Leo Branksome! Wracaj do domu! Po sterylizacji wcale nie przestaniemy Cię kochać! Jesteś naszym chłopczykiem, naszym jedynym synem! Ucieczka z domu była niemądrym posunięciem! Nie zapominaj, że masz dopiero czternaście lat! Twoi kochający, lecz pogrążeni w żalu rodzice.

– Trzydzieści cztery? I masz czysty genotyp? Na Boga, powinnam chlusnąć ci tym kieliszkiem w twarz! Wszystko, co mamy, to podejrzenie, nawet nie dowód, tylko podejrzenie, że matka Harolda ma anemię sierpowatą, ja dałabym sobie odciąć prawą rękę za możliwość posiadania dzieci, a ty, cwaniaczku, masz czelność stanąć przede mną i...

na zbliżeniu (4)

MASKA-RADA

Miała świadomość faktu, że stanowi żywą reklamę własnej pracy; że nawet jaskrawe światła techników wideo nie ujawnią żadnej wady w jej kosmetycznym przebraniu; że – co sprawiało jej szczególną przyjemność – kobieta, którą przysłano, żeby przeprowadziła z nią wywiad, prezentuje się wyraźnie gorzej od niej. Guinevere Steel wdzięczyła się do mikrofonu:

– Na sukces moich Studiów Piękności złożyły się dwa czynniki. Pierwszy z nich to cenna u klientów umiejętność wybrania usługodawcy, który zawsze o ten jeden skok kwantowy wyprzedza przelotne trendy. Drugi to zdolność oceny, na co warto wydać pieniądze, a na co nie!

I nadeła się z dumy.

Trudno było określić jej wiek. Włożyła bluzeczkę w kolorze migotliwej żółci (najlepiej pasującą do jej cery w odcieniu opalenizny postaci z obrazów Goi), która nadawała niemal idealnie okrągły kształt jej piersiom zwieńczonym zdalnie sterowanymi sutkonakładkami jej pomysłu; w tej chwili nakładki były włączone, ponieważ wiedziała, że doskonale prezentują się na ekranie. Właścicielka mogła nimi zresztą dowolnie sterować. Jeżeli chciała okazać zainteresowanie mężczyźnie (lub kobiecie), z którym akurat rozmawiała, mogła rozdać nakładki poprzez delikatne przyciśnięcie ręki do boku. Z równą łatwością mogła je wyłączyć, a niewiele jest gestów równie deprymujących dla rozmówcy, jak demonstracyjne okazanie braku zainteresowania ze strony sfer erogennych.

Włożyła także mikrospódnicę, a właściwie znacznie poszerzony pasek odsłaniający jej nieprzeciętnie zgrabne nogi, które zwięzały się ku dołowi

i znikaly w wysadzanych klejnocikami plytkich pantoflach – miala szczuple, wysoko wysklepione stopy, ktorych nie mogla jednak odslonic i chodzic boso, gdyz miala rekonstruowane podbicia i na lewym wciaz byla widoczna blizna.

Farbowane na srebrny kolor wlosy upieta w cztery rownolegle zwoje. Paznokcie jej rak i nog mienily sie chromem nie gorzej od luster i slaly odbloski swiatla wprost w obiektywy kamer.

Jej skora, odslonieta w mniej wiecej siedemdziesieciu procentach, nigdzie nie byla naprawde naga, z wyklaczeniem moze okolic cebulek wlosow. Poza perlowym makijazem twarzy, na cale ciało nałożyla matowy podklad, osobiście dobrana mieszankę oferowanych przez Studia Piękności barwników skóry oraz niemal trzydzieści innych produktów, które pozostawialy na naskórku wyraźnie wykrywalny ślad. Na zakończenie delikatnie podkreśliła błękitem rysunek widocznych żył.

– Uważam, że to wizerunek współczesny w pożądanym rozumieniu tego słowa – mówiła dalej. – Nie żyjemy w świecie naszych przodków, w którym brud, choroby i... i... i coś, co można by nazwać ogólną przypadkowością, dyktowały ludziom styl życia. Nie: my panujemy nad całym naszym środowiskiem, a nasze decyzje w kwestiach mody i kosmetyków odzwierciedlają to osiągnięcie.

– Obecnie jednak skłaniamy się raczej ku bardziej... naturalnemu wyglądowi... – zaryzykowała prowadząca.

– Liczy się przede wszystkim to, jak oddziałujesz na człowieka, który na ciebie patrzy – odparła zadowolona z siebie Guinevere. – Oczywiście nie pozostaje to bez wpływu także na ciebie samą. Dla nas najważniejsze jest to, żeby nasz klient był w stu procentach pewien wrażenia, jakie wywoła.

– Dziękuję pani, panno Steel – bąknęła prowadząca.

* * *

Załatwiwszy tę sprawę, Guinevere wróciła do swojego gabinetu, gdzie po starannym zamknięciu drzwi mogła zapaść się w fotelu, skrzywić z goryczą usta i zmrużyć oczy.

Zapaliła bay golda i przyjrzała się swojemu odbiciu.

W stu procentach pewien? W tej branży, gdzie w każdej chwili facet czy dziewczyna, bez różnicy, może dojść do wniosku, że czas się przymilić? Im bardziej złożone, kruche i urocze dzieło kosmetyczki, tym lepszy efekt – i tym większe rozczarowanie, kiedy się je pocałuje, popieści i wymaca. Miała w tej chwili siedemnaście Studiów Piękności, po jednym na każdy rok w tym biznesie. Prowadzili je starannie wyselekcjonowani kierownicy po obowiązkowej trzymiesięcznej praktyce pod okiem samej Guinevere, wyszkoleni w dotrzymywaniu najwyższych standardów i sownie opłacający przywilej używania sławnej marki. Zabezpieczyła się na wszelkie dające się racjonalnie przewidzieć sposoby, ale któż lepiej od kosmetyczki wie, że istotom ludzkim daleko do racjonalności?

Potrzebowała rozrywki. Potrzebowała nowych pomysłów.

Zamyśliła się.

W końcu napisała list i sięgnęła do wyłącznika wideofonu, upewniwszy się wcześniej, że będzie należycie prezentować się na ekranie.

Przyjęcie z grą w fanty. To się zawsze sprawdza, kiedy chcesz poniżyć innych. Na czele listy gości ten pyszałkowaty brązowy kinol, Norman House – a zatem także ten jego makabryczny współlokator. Plus wszyscy, którzy zaniedbali ostatnio okazję do padania przed nią na kolana i oddawania jej czci.

Tylko jaki motyw przewodni? Może XX wiek? Lepszy byłby starożytny Rzym albo coś odrobinę bardziej ekscytującego, ale w takich sytuacjach ludzie pokroju tego w dupę mierzwionego Donalda Hogana zawsze wiedzą lepiej od organizatorów, co pasuje, a co nie pasuje do wybranego okresu. A może wynająć profesjonalnego arbitra, jakiegoś studenta siedzącego z nosem w książkach? Nie. Raz już spróbowała, nie wyszło: smętny dzieciak był tak wstrząśnięty niektórymi fantami, że się wyłamał... nie, poprawka, żeby uniknąć dawania fantu: on się złamał... Nie, to też nie. Podłamał się? Załamał? Trzeba będzie sprawdzić w słowniku, jak to w XX wieku się mówiło.

A gdyby jeszcze udało się namówić takiego Mela Ladbroke'a, żeby przyszedł i przyniósł coś z tych niesamowitych nowinek, z którymi

eksperymentują w szpitalu...

Z dziką rozkoszą dźgnęła palcem pstryczek wideofonu.

Powiedz choć jedno słowo, wykonaj choć jeden gest, który nie będzie pasował do kontekstu, a już ja się postaram, żebyś zeszczął się w gacie, ty przeklęty czarny skurczybyku.

ciągłość (4)

REFLEKSJE WSPÓLMIESZKAŃCA

Kiedy o szóstej po-pe Donald wrócił do domu, zastał w nim już Normana, który siedział na swoim ulubionym krześle od Hille'a i z nogami opartymi na podnóżku przeglądał najświeższą pocztę. Na „cześć” współlokatora odpowiedział zdawkowym skinieniem głowy.

Donald zdążył się już wystarczająco otrząsnąć z przygnębienia, które dopadło go przy lunchu, żeby dostrzec wskazujące na stan umysłu Normana sygnały wizualne. Jako muzułmanin Norman nie tykał alkoholu, ale nie miał nic przeciwko tradycyjnie akceptowanej w afrykańskich społecznościach marihuanie i lubił pod koniec dnia dla odprężenia spalić parę blantów. Mimo wysokiej ceny (każdy stan, który zalegalizował trawkę u siebie, obkładał tę z importu gigantycznym cłem) palił towar stosowny dla młodszego wiceprezesa GT – produkt lidera rynku, firmy Bay Gold. Zapomniany blant leżał w tej chwili w popielniczce; dym snuł się z niego pod sufit.

Dalej: na podłodze u stóp Normana, jakby odrzucona w chwili zniecierpliwienia, leżała odbitka z Wholographika z nadrukowanym przy brzegu kolofonem Biura Badań Genealogicznych, przedstawiająca mnogość rytmicznych, powtarzalnych jak echo jasnych i ciemnych linii.

Donald już dawno pogodził się z dziwactwem swojego współlokatora, polegającym na podatności na urok tandetnych reklamówek BBG, które w tej obsesyjnie wielbiącej potomstwo epoce żerowały na ludziach zaniepokojonych swoim genotypem – pierwszy raz widział jednak, żeby Norman nie pobiegł od razu po swój czytnik monochromów i nie zapoznał się z najnowszą przesyłką.

Wniosek: coś bardzo Normana poruszyło, do tego stopnia, że wytrąciło go z regularnej orbity.

Zamiast więc próbować nawiązać rozmowę, Donald skupił się na sprawach, jakimi zajmował się zawsze po powrocie do domu: sprawdził, czy automatyczna sekretarka nie ma dla niego żadnych wiadomości (nie miała); zgarnął ze swojej przegródki pocztę (było jej jak zwykle sporo i składała się głównie z reklam); nalał sobie whisky i w końcu również zasiadł na krześle.

Nie od razu jednak zabrał się za przeglądanie przesyłek – zamiast tego trochę nerwowo rozejrzał się po pokoju, jakby spodziewał się, że znajome otoczenie również okaże się dziwnie obce, w podobny sposób jak wcześniej ulice miasta.

Rozciągający się od samych drzwi wejściowych otwarty salon stanowił część wspólną mieszkania, lecz mimo to niewiele było w nim śladów obecności Donalda Hogana. Został odnowiony i częściowo wyposażony zanim jeszcze Norman przyjął go na współlokatora. Kiedy Donald się wprowadził, wniósł w posagu niektóre sprzęty (na przykład to krzesło), kilka ozdobników, na które przystał Norman, oraz barek (niepijący Norman miał wcześniej tylko drewniany stojak na butelki z winem, siłą konwencji narzucony właścicielowi przyjmującemu gości niebędących muzułmanami). Gdyby się nad tym zastanowić, rzeczy te nie tworzyły bynajmniej spójnego modelu Donalda Hogana. Co więcej, wszystkie znajdowały się po jednej stronie pokoju, tak jakby mieszkańców rozdzielała niesprecyzowana granica.

Z drugiej strony, trudno byłoby również powiedzieć, że mieszkanie odzwierciedla osobowość Normana. Uświadomienie sobie tego faktu było dla Donalda pewnym zaskoczeniem, nagle jednak dostrzegł ukrytą prawidłowość w dokonanym przez Normana wyborze sprzętów i kolorów. Mieniące się rdzawo ściany, projekt dywanu z faksymile Williama Morrisa, Picasso, Pollock, Moore, nawet sfatygowane krzesło od Hille'a – wszystko to zostało starannie wykoncypowane, na wypadek gdyby jakiś wysoko postawiony egzek miał bez uprzedzenia wpaść do pokoju, rozejrzeć się, poddać pierwszemu wrażeniu i z aprobatą skinąć głową, doszedłszy do

wniosku, że Norman House to porządny, solidny i godny awansu pracownik.

Donald powstrzymał się od wzdrygnięcia. Przyszło mu do głowy, że aura rzetelności i odpowiedzialności miała oddziaływać nie tylko na ważnych i wpływowych gości, lecz także na niego samego.

Dokładnie jedno zakłócało idealną harmonię salonu (rzeczy osobiste Donalda, które zostawiał na widoku, prezentowały się zbyt neutralnie, żeby mieć na nią jakiś wpływ, i pewnie właśnie dlatego Norman godził się z ich obecnością), a mianowicie stojące za krzesłem Normana, w samym kącie pokoju, poli-organy należące do jego obecnej laski, Victorii. Były odrobinę zbyt nowoczesne, zbyt tandetne, żeby wpasować się w obowiązujący w pokoju styl. Nie miały tam jednak zostać na stałe, naturalnie.

Może sypialnia Normana lepiej odzwierciedlała jego naturę? Donald doszedł do wniosku, że to mało prawdopodobne. Na przykład jego własna sypialnia nie spełniała takiej roli, ponieważ (przynajmniej w teorii, bo chwilowo nie w praktyce) dzielił ją ze swoją tymczasową laską. Poza tym każdy z nich miał dodatkowy, mały, całkowicie prywatny pokój. Donald nigdy nie przestąpił progu azylu Normana, raz tylko widział co nieco przez uchylone drzwi – zbyt mało, żeby ocenić, czy pokój ma naprawdę indywidualny charakter. Jego azyl zapewne go nie miał; bardziej niż cokolwiek innego przypominał bibliotekę, w której na dodatek co druga książka nie odzwierciedlała jego gustu, bo narzucili mu ją pracodawcy.

Skoro jednak konsekwencje wspólnego mieszkania są do tego stopnia negatywne, to w jaki sposób miałby wytłumaczyć zarówno powszechność tego zjawiska, jak i gotowość swoją i Normana do jego akceptacji cudzoziemcowi z mniej zdrowego (a zatem i rzadziej zaludnionego) kraju? Albo starszemu człowiekowi pamiętającemu czasy, gdy pierwszą ambicją kawalera, któremu powiodło się w życiu, było zdobycie własnego lokum?

No cóż... To rozwiązanie miało jedną wielką zaletę i całkiem sporo mniejszych, mniej ewidentnych plusów. Nie ulegało wątpliwości, że wspólny najem pozwala im obu cieszyć się przestrzenią i wygodami, na jakie w pojedynkę nie byłoby ich stać. Nawet przy pensji wiceprezesa GT

Norman nie mógłby sobie pozwolić na tak wysoki standard życia, nie po tym, jak po wybudowaniu Kopuły Fullera ceny osiągnęły wręcz astronomiczny poziom.

Niektóre dodatkowe atuty były niemal równie oczywiste, na przykład spontaniczne wymienianie się laskami. Inne były bardziej subtelne – tak jak możliwość zupełnie naturalnego sugerowania obcym, że nie tylko mieszkają razem, ale także są razem. No bo w końcu, ileż razy można odpowiadać na jedno i to samo pytanie:

– Ale skoro masz pozwolenie na zostanie ojcem, to czemu nim jeszcze nie jesteś?

* * *

W swojej poczcie nie znalazł nic ciekawego, wyrzucił więc wszystko do całosmietnika. Sącząc drinka, zdał sobie nagle sprawę, że Norman zerknął na niego przelotnie.

Posłał mu wymuszony uśmiech.

– Gdzie Victoria? – zapytał z braku lepszego tematu do rozmowy.

– Bierze prysznic. Śmierdzi. Powiedziałem jej o tym.

Ton głosu Normana był zdawkowy, ale Donald wyczuwał w nim udawany brak snobizmu, tak typowy dla współczesnych Aframów.

Ty cholerny czarnuchu...

Ponieważ Norman najwyraźniej nie zamierzał kontynuować rozmowy, Donald ponownie spojrzął na walający się po podłodze wholographik. Przypomniawszy sobie poprzednią reklamówkę, która wpadła mu w oko; Norman porzucił ją w salonie. Jej twórcy twierdzili, że potrafią dokonać precyzyjnej analizy genetycznej osobnika, opierając się na dwóch ścinkach paznokci, po jednym od każdego rodzica. Było to tak oczywiste łgarstwo, że zastanawiał się nawet, czy nie zgłosić go do Biura Lepszego Biznesu. Nawet współcześnie miało się zaledwie sześćdziesiąt procent szans na udowodnienie ojcostwa na podstawie tak skąpych dowodów – a co dopiero mówić o tropieniu europejskiego udziału w głównie aframskiej spuściźnie genetycznej.

Zmienił jednak zdanie i w obawie przed naruszeniem swojej przykrywki zrezygnował ze złożenia skargi.

Na Boga, gdybym wtedy wiedział, że czeka mnie tak samotne życie, chybabym się...

– Cześć, Donald – powiedziała Victoria, wynurzając się z łazienki spowita w obłok pary i Twenty-First Scentury od Arpège. Wyminęła go i prowokująco oparła stopę na udzie Normana. – Powąchaj mnie teraz! Może być?

– Może być – przytaknął Norman, nie podnosząc głowy. – Idź się ubierz.

– Ależ z ciebie krwawiciel – burknęła. – Aż żałuję, że tak cię lubię.

Ale go posłuchała.

Kiedy drzwi sypialni się za nią zamknęły, Norman odchrząknął.

– A właśnie, Donaldzie, miałem cię o to zapytać... Zamierzasz coś zrobić w sprawie... no wiesz...?

– Jak tylko znajdę odpowiednią osobę – odmruknął Donald.

– Do licha, powtarzasz to od tygodni. – Norman zawiesił głos. – Prawdę mówiąc, zastanawiam się, czy nie powinienem przyjąć Horace'a na twoje miejsce. Wiem, że szuka wolnego tatami.

Donald – choć poważnie zaniepokojony – nie dał nic po sobie poznać i spojrzał współlokatorowi w oczy. Na sylwetkę Normana nakładał mu się obraz Victorii, tak wyraźny, jakby wciąż była z nimi w salonie: naturalna blondynka czystej skandynawskiej krwi, jedyny typ dziewczyny, jaki Norman sprowadzał do mieszkania.

Mówi serio?

Ostatnia dziewczyna, z którą Donald spotykał się trochę dłużej, była jego ulubioną – w odróżnieniu od większości lasek, które przyjmowali u siebie, nie pracowała w korporacji, miała prawie czterdzieści lat i silną, niezależną osobowość. Pochodziła z Trynidadu. Jego niechęć do szukania jej zastępczyni brała się po części z braku zapału, po części zaś z przekonania, że tak na szybko nie znajdzie nikogo, kto by jej dorównał.

Znów poczuł się oszołomiony, ogarnęła go przyprawiająca o mdłości dezorientacja, coś, czego kompletnie nie spodziewał się odczuć we własnym domu. Wydawało mu się, że dobrze ocenił Normana, rozpoznał

go i sklasyfikował jako wyczulonego na opinię innych Aframa, balansującego niepewnie pomiędzy chęcią posiadania białego współlokatora i skłonnością tegoż do sprowadzania aframskich dziewczyn. Tymczasem Horace, którego imię przed chwilą padło, miał skórę jeszcze o ton ciemniejszą od Normana.

Z ogromną ulgą przyjął sygnał wideofonu. Odebrał, rzucił Normanowi przez ramię, że Guinevere Steel zaprasza ich na przyjęcie z fantami... i wreszcie doprowadził do końca rozumowanie, które od dłuższej chwili zaprzętało jego umysł. Norman musiał przeżyć jakąś traumę.

Gdyby jednak powiedział o tym bez ogródek, mógłby sprowokować współlokatora do spełnienia groźby; Norman nie cierpiał sytuacji, kiedy komuś udawało się zajrzeć pod jego tradycyjną maskę chłodu i opanowania.

A ja nie sądzę, żebym był w stanie drugi raz przystosować się do mieszkania z obcym człowiekiem w taki sposób, w jaki przystosowałem się do życia z Normanem, pomyślał. Nawet jeśli nie można o nas powiedzieć, żebyśmy byli przyjaciółmi.

* * *

– Tak nawiasem mówiąc, to jaki ma być motyw przewodni tej imprezy z fantami?

– Hmm? – Donald dolał sobie whisky i odwrócił się do Normana. – A, o tym mówisz... XX wiek.

– Mamy mówić i zachowywać się w sposób właściwy dla epoki, o to chodzi? – spytał Norman, a kiedy Donald skinął głową, dodał: – Durnota w sam raz w jej stylu, nie uważasz?

– Oczywiście, że durnota – przytaknął z roztargnieniem Donald. – Ona ma taką obsesję na punkcie tu-i-teraz, że wydaje się jej zapewne, że XX wiek to był lity, arbitralnie wydzielony blok myśli i zachowań. Pewnie nawet nie pamięta, że dziesięć lat temu sama w nim tkwiła. Laski poubierają się w zerotypy i rozkloszowane spódnice, a ziomki będą za nimi

wołać „Te, lala, bucik ci się rozwała” i przeklinać „Motyla noga”. Jedna wielka porażka.

– Nie pomyślałem o tym – przyznał Norman. – Kiedy tak mówisz, zapowiada się to jeszcze gorzej, niż sobie wyobrażałem.

– A o czym pomyślałeś? – zainteresował się Donald.

Instynktownie wyczuwał u siebie chęć porozmawiania – choć wcale niekoniecznie o niedawnym wstrząsie. Temat mógł być dowolny, byle tylko mógł się otworzyć i poczuć, że niczego nie ukrywa. Systematyczna niemożność realnego porozumienia z ludźmi zaczynała mu działać na nerwy.

Kąćki ust Normana opadły leciutko, sugerując rozgoryczenie.

– Założę się, że jestem pierwszym Aframem na jej liście, a ponieważ przyjąłem zaproszenie, pozostanę jedynym. Kogoś tam się namówi, żeby wystąpił w roli, powiedzmy, Bulla Clarka, a potem rzucą się na mnie całą bandą i zażądają fantów za nieodgrywanie Wuja Toma.

– Naprawdę tak myślisz? To po kiego wała się zgodziłeś?

– Bo za skarby świata nie chciałbym tego przegapić – odparł Norman z nutą posępnej satysfakcji w głosie. – W ubiegłym stuleciu wydarzyło się znacznie więcej niż to, o czym lubi pamiętać Guinevere. A ja z przyjemnością wepchnę to prosto do tego jej arystokratycznego nosa.

Zapadła cisza, którą obaj odbierali jako nieznośnie długą. Norman wypalił zaledwie połówkę swojego bay golda, za mało, żeby czas nabrał dla niego elastyczności, ponieważ jednak zabrął na sam skraj tematu, którego ludzie tacy jak on nade wszystko woleli nie poruszać zbyt otwarcie, nie mógł mówić dalej – z czego Donald doskonale zdawał sobie sprawę. U samego Donalda zaś zmasowane odwołania do XX wieku uruchomiły ciąg skojarzeń, który rozwidlał się i rozwidlał coraz bardziej, aż Donald pogubił się w nim zupełnie i nie umiał już powiedzieć, co zostało powiedziane na samym początku, a co nie.

* * *

Może nie powinienem był wspominać o wyrzuceniu Donalda i przyjęciu na jego miejsce Horace'a. Towarzystwo WASPa, zwłaszcza wiecznie zatroskanego intelektualisty, takiego jak Donald, ma jedną niezaprzeczalną zaletę; nasze prywatne problemy są tak od siebie odległe, że nie przenikają się i nie wzmacniają nawzajem.

* * *

Ciekawe, co się dziś przytrafiło Normanowi? Bo nie mam wątpliwości, że coś nim wstrząsnęło. Jakie to by było uczucie, znaleźć się w jego głowie? Dzieci Krzyża nie są w stanie zaakceptować takich ziomków jak on i jego obsesji na punkcie niebieskookich blondynek. A firma mu pewnie przyklaskuje. Potężna fluktuacja kadr w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych wciąż odbija się czkawką. „W dzisiejszych czasach idealna żona z punktu widzenia firmy to wyjątkowo brzydka przedstawicielka odmiennej grupy rasowej, która nie zna swojego ojca, ale za to ma dwa doktoraty!”.

Tylko że firma nie zastąpi pokrewieństwa.

Mógłbym na przykład zapytać, dlaczego tak bardzo nie lubi Guinevere. Mnie ona zwisa i powiewa; ponieważ na imprezy zawsze zaprasza pożytecznych ludzi, to reszta obchodzi mnie tyle co wiadro wielorybiej mierzwy. Przypis: warto byłoby zbadać, kiedy ten zwrot przeniknął do języka potocznego. Jeśli mnie pamięć nie myli, mierzwą nazywano pozostałość po przetopieniu wielorybiego tłuszczu na olej. Może zadecydowały publiczne wyrzuty sumienia, kiedy się okazało, że za późno na ratowanie wielorybów. Ostatniego widziano... Kiedy? W osiemdziesiątym dziewiątym, zdaje się.

* * *

Zazdroszczę Donaldowi tej jego obojętności. Chociaż nie śmiałybym mu tego powiedzieć wprost. Możliwe, że u niego to jest to samo, co u mnie,

czyli poza. Ale Guinevere to taka... a on tego praktycznie nie zauważa. Jak sam powiedział, w jej zaproszeniu na przyjęcie najbardziej irytuje go anachroniczne traktowanie XX wieku jako jednolitej bryły, którą przecież nie był. Kto miałby o tym wiedzieć lepiej od nas?

Nie nadążam za teraźniejszością. Na brodę Proroka, na dobrą sprawę jestem przestarzały! No dobrze, jestem wiceprezesem najbogatszej korporacji na świecie... Ale czy odniosłem sukces w kategoriach, które są dla mnie naprawdę ważne? Po prostu tak długo przerażałem się przez miękkie próchno pradawnych wyrzutów sumienia tych wszystkich białodupców, aż wykroiłem sobie miłe, przytulne i wygodne legowisko. I oto w nim jestem.

Byłbym zapomniał: ile zostało mi czasu do wieczornej modlitwy?

* * *

Takie Guinevere naszego świata są zaledwie pianą na szczycie fali. Piana tworzy efektowne, ulotne wzory, ale to fale nadają kształt wybrzeżu. Z miejsca, w którym siedzę, wyraźnie czuję ich napór.

Wyobraźmy sobie wice wielkiej korporacji, który czterdzieści lat temu wynajmuje mieszkanie do spółki z dyletantem, którego majątek ma niby pochodzić z niezależnych źródeł. Przede wszystkim, ziomek w życiu by tak wysoko nie awansował. Woleliby poszukać kogoś z porządnie wyglądającą żoną i nie interesowałoby ich, że w życiu prywatnym małżonkowie skaczą sobie do oczu, a dzieci wysyłają do szkół z internatem, na letnie obozy i w ogóle wszędzie, gdzie tylko się da, byle im nie przeszkadzały. A dziś nie przejęliby się nawet gdybyśmy ze sobą sypiali: jeśli coś się nie rozmnaża, jest pożądane. Wszyscy albo przechwalają się swoimi dziećmi, albo się skarżą, że nie wolno im mieć potomstwa – ale przecież prawodawstwo eugeniczne by nie przeszło, gdyby ludzie nie przyjmowali go w duchu z ulgą. Stanęliśmy na skraju przepaści, w miejscu, gdzie nawet własne dzieci w nieznośny sposób powiększają balast obcowania z innymi istotami ludzkimi. Znacznie większym poczuciem winy przepelnia nas

dzisiaj niechęć do cudzych dzieci niż istnienie ludzi, których instynkt nie uwzględnia przedłużania gatunku.

Jak się tak nad tym zastanowić, to nasze rozmnażanie się ma wymiar zarówno psychiczny, jak i fizyczny. Sęk w tym, że mamy ostatnio skłonność do spychania tego aspektu fizycznego coraz dalej i dalej w cień. Wielu z nas w ogóle z niego zrezygnowało. Naszą inteligencję – czy raczej to, co z niej zostało – zawdzięczamy przedłużaniu lat szczenięcych i dominacji *Lustprinzip* ponad wszelkie rozsądne granice.

Ciekawe, czy to jest kolejny sposób na ich przedłużanie. To by tłumaczyło powstanie obiegu lasek, powszechność faktu, że w wielkich miastach żyje rzesza kobiet, które nigdy nie miały stałego domu, które pakują cały swój dobytek w jedną torbę i pomieszkują przez dzień, tydzień albo pół roku tam, gdzie trafi się chętny mężczyzna z własnym lokum. Muszę sprawdzić, czy Mergendahler opublikował coś na ten temat; to brzmi jak jego działka. Na Boga, że też Mulligan musiał odejść! Kto, jak nie on, powie nam, gdzie jesteśmy? Potrzeba nam jego przenikliwości, tak jak potrzeba nam jedzenia!

* * *

Nie, to nie Donalda powinienem odprawić, tylko Victorię. Ze sto razy wytykał mi moją fascynację białodupymi laskami, a ja go nie słuchałem – ale on ma rację! Na brodę Proroka, całe to gadanie o emancypacji! Tylko jedna z lasek, które przeleciały przez to mieszkanie jak środek przeczyszczający przez kiszki, była jednocześnie oszałamiająco piękna, sensowna i fantastyczna w łóżku; była osobą kompletną, wszechstronną i zrównoważoną. Mam na myśli Gennice, którą przyprowadził Donald, nie ja, a ja kręciłem na nią nosem, bo była czarna. Musiałem spaść z żyroskopów! Co mi strzeliło do tego kędzierzawego niewolniczego łba?

Emancypacja, też coś! Zmiłuj się, Allahu, jestem gorszym więźniem okoliczności historycznych niż najstarszy pekiński czerwogwardzista!

* * *

Ciekawe, czy znamy się dostatecznie długo, żeby zaczął o mnie myśleć jak o Donaldzie-człowieku zamiast Donaldzie-WASPie. I czy jego wyobrażenie na mój temat jest słuszne. Ze względów bezpieczeństwa powinienem chyba potraktować jego groźbę poważnie i sam się wyprowadzić. Tak długi i intensywny kontakt z jednym człowiekiem Pułkownik z pewnością uznałby za erozyjny. Zabawne, że akurat to słowo przez niego użyte tak mocno utkwilo mi w pamięci... Tak czy inaczej, na pewno mają mnie na oku. Powiedzieliby mi, gdyby doszli do wniosku, że narażam swoją przykrywkę.

A gdybym tak prosto z mostu wypalił Normanowi: „Wcale nie jestem obibokiem pasożytującym na odziedziczonym majątku i nieporadnie pozującym na syntetyka, chociaż nie mam za grosz talentów twórczych! Jestem szpiegiem!”?

To by było głupie.

Zastanawiam się, czy znów będę miał koszmary, na przykład o tym, że siedzę w samolocie lecącym Bóg wie dokąd. Może nie, to pewnie specyfika pierwszych dni, kiedy człowiek marzy o wezwaniu w środku nocy. Przecież nie wyciągną mnie teraz znienacka z zamrażarki, prawda? Minęło dziesięć lat, zaadaptowałem się i nawet jeśli czasem dopada mnie deprecha, to lubię swoje życie. Wolałbym nie musieć się dostosowywać do kogoś nowego tak jak dostosowałem się do Normana. Kiedyś wydawało mi się, że nie potrzebuję przyjaciół na tyle bliskich, żeby utrzymywanie przed nimi tajemnic było nazbyt okrutne. Dziś już tak nie myślę, ale przynajmniej w przypadku Normana mogę się tłumaczyć tym, że jest za późno na wyznanie mu prawdy; zbyt wiele już nas łączy. Gdybym znów miał się tak bardzo do kogoś zbliżyć, nie dałbym chyba rady utrzymywać pozorów.

Na Boga, mam tylko nadzieję, że źle przewidzieli swoje potrzeby, kiedy przysłali Jane Foden, żeby mnie zwerbowała!

Wszystko się nagle zaczyna rozpadać. Ktoś grzebie mi patykami w mózgu. Można by pomyśleć, że zacząłem brać dymiczachę zamiast

trawki od tego samego co zawsze producenta. Muszę znaleźć jakiś punkt zaczepienia, i to szybko, bo inaczej rozlecę się na kawałki.

Nigdy tak naprawdę nie rozmawiałem z tym ziomkiem na krześle naprzeciwko, nie w takim prawdziwym sensie. Nie wiem, czy w ogóle potrafię, ale jeśli tak, to by znaczyło, że dzisiaj naprawdę coś mi się przytrafiło, coś więcej niż tylko chwilowy wstrząs.

Nie mogę do tego podejść na chłodno, z rezerwą, naokoło.

* * *

Jeżeli naprawdę chcę wiedzieć, co o mnie myśli, to chyba najprościej byłoby po prostu zapytać... Prawda?

* * *

– Donaldzie...

– Normanie...

Roześmiali się, obaj lekko skrępowani.

– Co chciałeś powiedzieć?

– Nie, nie, ty pierwszy.

– W porządku. Tak dla odświeżenia pamięci, Donaldzie: co możesz mi powiedzieć na temat Beninii?

kontekst (5)

TERYTORIUM

„W ciągu pół wieku udało nam się – choć w bólach – przyswoić początkowo kontrowersyjną darwinowską ideę ewolucji w odniesieniu do cech fizycznych (mówię wprawdzie »nam«, ale jeżeli jesteś fundamentalistą, który ma w zwyczaju walić Biblią w stół, spodziewam się, że w tej właśnie chwili bierzesz moją książkę w dwa palce, odsuwasz ją na odległość wyciągniętej ręki i uroczyście skazujesz na zesłanie w to samo miejsce, gdzie odkładasz większość sensownych pomysłów oraz w ogóle wszystko, czego istnienia nie uznajesz, czyli wszelkie gówna).

Nadal jednak niestrawny jest dla nas fakt, że ewolucja dotyczy także cech psychicznych; że chociaż pies jest psem, a delfin delfinem, ich świadomość i poczucie tożsamości są różne od naszych – ale niekoniecznie gorsze. Czy jabłko jest gorsze od pomarańczy?

Ja jednak próbuję ci powiedzieć, co dzieje się z tobą, a nie z Crêpe Suzette, twoim neurotycznym pudlem. Dzwoniąc do biura numerów, można zapewne namierzyć jakiegoś dobrego weterynarza-psychologa, ale nie uwierzyłbyś mu, gdyby zaczął ci tłumaczyć, jak wiele masz wspólnego ze swoim pupilem. Najprawdopodobniej nie uwierzysz także i mnie, ale jeśli wystarczająco cię zirytuję, może przynajmniej wymyślisz jakieś argumenty, które wykażą, jak bardzo się mylę.

A zatem zacznijmy od podstaw. Ty i twój pudel macie dwie cechy wspólne: ty jesteś zwierzęciem stadnym – i twój pies również. Ty jesteś zwierzęciem terytorialnym – i twój pies również (fakt, że granice swojego terenu wytyczamy za pomocą murów, a nie moczu, nie ma w tym wypadku znaczenia).

Wizerunek człowieka jako Szlachetnego Dzikusa – uzbrojonego tylko w kij i w pojedynkę odpędzającego wilki sprzed wejścia do jaskini, podczas gdy jego partnerka i młode kulą się w tle – to czysta wielorybia mierzwa. Na etapie chowania się po jaskiniach prawie na pewno gromadziliśmy się w duże stada, tak jak do dzisiaj czynią to pawiany, a kiedy takie psy/pawiany gdzieś się wprowadzają, wszyscy inni – podkreślam: wszyscy – muszą zmienić scenerię. Nawet lew woli się ulotnić, a lew nie jest przecież stworzeniem bezbronnym.

Lwy najczęściej prowadzą samotniczy tryb życia. W parach obejmują co najwyżej władanie nad terytorium, które zapewnia im wystarczającą do przeżycia ilość zwierzyny – albo jej nie zapewnia, bo w grę wchodzi jeszcze presja zewnętrzna, wywierana przez innych przedstawicieli gatunku. (Kup sobie niewykastrowanego kocura, to będziesz mógł obserwować ten sam proces w miniaturze). Zwierzęta stadne mają pewną przewagę ewolucyjną: w grupie są zabójcze. Lwy uczą się tego za młodu, a potem ignorują fakty. Dlatego właśnie pawiany mogą je pogonić.

Nawiasem mówiąc, celowo napisałem »wszyscy inni«, a nie »wszystko inne«. Nie rozpoznałbyś w swoich przodkach ludzi, a mimo to byli nimi, tak jak i ty jesteś człowiekiem. Musieli również być aroganckimi skurczybykami – bo niby w jaki inny sposób mieliby zostać szefami naszej kuli blocka? Odziedzyczyłeś po nich prawie wszystko, co czyni cię człowiekiem, nie licząc paru najnowszych przypisów, takich jak język. Terytorialność dostałeś w pakiecie. Jeśli ktoś próbuje wejść na twój teren, możesz zmienić się w zabójcę – chociaż jeśli ten pomysł ci się nie spodoba, możesz sam się zabić. Ta cecha jest jedną z nielicznych, które naprawdę nas wyróżniają.

A oto jak działa terytorialność. Weźmy dla przykładu jakieś szybko rozmnażające się zwierzęta, takie jak szczury (albo nawet króliki, które jednak w odróżnieniu od nas są roślinożercami), pozwólmy im mnożyć się w ograniczonej przestrzeni i pilnujmy, żeby przez cały czas nie brakowało im wody i pożywienia. Z początku, przy pojawiających się konfliktach będziemy u nich obserwować typowe dla szczurów zachowanie: doskok, unik, dziabnięcie zębami, szarża, odwrót; zwycięzcą zostaje większy

fanfaron. W tym okresie samice przykładowo opiekują się młodymi, jak na szczyrze matki przystało.

Kiedy jednak ścisk w zagrodzie przekroczy pewną wartość krytyczną, walki tracą swój symboliczny charakter, padają pierwsze trupy, a matki zaczynają pożerać swoje młode.

Rzecz przedstawia się jeszcze bardziej spektakularnie w przypadku zwierząt prowadzących samotniczy tryb życia. Wystarczy wprowadzić gotową do rozplodu samicę do klatki zajmowanej przez zdrowego samca, a ten prędzej ją przepędzi niż da upust instynktowi rozrodczemu. Może ją nawet zabić.

Mówiąc zatem bez ogródek: brak odpowiednio dużego terytorium, przestrzeni, na której można się swobodnie poruszać i którą można uznać za własną, skutkuje atakami na przedstawicieli własnego gatunku, które stoją w sprzeczności nawet z tradycyjną u zwierząt stadnych solidarnością grupową. Zdarzyło ci się ostatnio na kogoś zdenerwować?

Jednakże jako gatunek niezwykle pomysłowy obmyśliliśmy dwie możliwości ekstrapolacji naszej terytorialności: na obszar prywatności i na obszar własności. Pierwszy z nich jest bardziej zwierzęcy i zarazem pewniejszy. Twoją podstawową potrzebą jest posiadanie terenu, którego granice są jasno określone na użytek grupy o podobnym statusie. Nie ma jednak sensu branie przykładu z psów, kocurów i przedstawicieli niektórych innych gatunków – nie musisz oznaczać swojego terytorium w sposób fizyczny, a następnie regularnie go patrolować, żeby odstraszyć ewentualnych intruzów. Możesz ekstrapolować je na niewielki, zamknięty obszar, gdzie nikt nie ma wstępu bez twojego pozwolenia. Na tej podstawie możliwe jest całkowicie racjonalne działanie. Jednym z pierwszych zjawisk towarzyszących rosnącej zamożności jest gwałtowne podnoszenie standardów prywatności. Człowiek pochodzący z rodziny o stosunkowo niskich dochodach musi pogodzić się z faktem, że dzieciństwo spędzi w ruchliwym i tłoczonym środowisku – w dzisiejszych warunkach mieszkaniowych oznacza to, że jeden z pokoi (o ile w mieszkaniu jest ich więcej niż jeden) będzie pokojem rodzinnym i centrum wszelkiej aktywności. Tymczasem ktoś z zamożniejszego domu

uzna za oczywiste (mniej więcej w tym samym okresie, kiedy nauczy się czytać), że jest w domu taki pokój, w którym może zamknąć się na głucho i odciąć od świata.

Z tych właśnie powodów: (a) ludzie wywodzący się z dobrze sytuowanych rodzin lepiej sprawdzają się w warunkach deprivacji (takich jak, na przykład, podróż na Księżyc); nie będą odczuwali, że towarzyszący im ludzie ustawicznie naruszają granice ich terytorium, bez względu na to, jak bardzo pojęcie »terytorium« jest odległe od swojego pierwotnego znaczenia; (b) standardową drogą ucieczki ze slumsów i gett jest przestępczość, bo oznacza odegranie się na tych przedstawicielach twojego gatunku, którzy nieustannie naruszają granice twojego terytorium; (c) gangi rozwijają się zasadniczo w dwóch środowiskach: pierwsze z nich to slums lub getto, w którym nie ma mowy o prywatności jako przeciwieństwie terytorium i następuje powrót do stanu dzikiego, włącznie z polowaniem w sforcie i patrolowaniem prawdziwego, fizycznego skrawka terenu; drugie to siły zbrojne, gdzie gang szumnie nazywa się »regimentem« albo innym napuszonym, nieprzyzwoitym słowem, a powrót do stanu dzikiego jest wspomagany przez pozbawianie prywatności (skoszarowanie) i własności (zamiast nosić ubranie, które sam wybrałeś i kupiłeś, nosisz mundur, który jest własnością państwa!!!). Służba wojskowa to sytuacja psychotyczna, dodatkowo wzmacniana przez prostą technikę psychologiczną odkrywaną niezależnie przez wszystkich przeklętych wodzów, którym udało się wyprowadzić zacofany lud z wygodnego i cywilizowanego niebytu (Zulus Czaka, Attyła, Bismarck itp.) i poszczuć go przeciw sąsiadom. Nie popieram ludzi, którzy stymulują stany psychotyczne u swoich pobratymców. Za to ty zapewne tak. Oducz się tego.

Rozmnażamy się tak szybko, że nie nadążamy z zapewnieniem należytej prywatności całej populacji. Wcale nie musi to mieć tragicznych następstw – w końcu dopiero po tym, gdy jako gatunek odkryliśmy zamożność, zapanował wszechogarniający popyt na nią. Podważamy jednak w ten sposób alternatywną formę ekstrapolacji terytorialności, a pozbawieni obu skończymy jako wariaci, tak jak każdy dobry żołnierz.

Zaletą ekstrapolacji na obszar własności jest fakt, że własne terytorium stanowi uzewnętrznione wsparcie dla samoidentyfikacji. Kiedy wrzucimy człowieka do zbiornika deprywacyjnego, wynurzy się z niego, krzycząc, trzęsąc się albo... Stale potrzebujemy potwierdzenia ze strony naszego środowiska, że jesteśmy tym, kim nam się wydaje, że jesteśmy. W stanie dzikim takiego potwierdzenia dostarcza nam nasze terytorium; w stanie, który opisaliśmy kilka akapitów wcześniej, możliwość odizolowania się od nieustannej presji naszych pobratymców pozwala nam regularnie dokonywać ponownego określenia naszej tożsamości. Czasem możemy polegać na zbiorowisku przedmiotów jako sprytnym surogacie własnego kawałka ziemi, ale tylko pod pewnymi warunkami: przedmioty te muszą (a) mieć silne konotacje osobiste, oraz (b) zapewniać ciągłość. Nasze współczesne środowisko odmawia nam jednego i drugiego. Przedmioty znajdujące się w naszym posiadaniu nie zostały wykonane przez nas (o ile nie jesteśmy szczęśliwcami obdarzonymi nieprzeciętnym talentem twórczym), lecz powstały w zautomatyzowanej fabryce. Ponadto – co jest znacznie gorsze – stale odczuwamy presję, żeby coś w nich zmienić lub wymienić je na inne i tym samym wprowadzić płynność dokładnie w ten obszar życia, w którym najbardziej potrzebujemy stabilizacji. Jeśli cię na to stać, idziesz i kupujesz antyki, które podobają ci się nie dlatego, że jesteś koneserem, ale dlatego, że stanowią łącznik z przeszłością.

Klasyczne niewolnictwo przetrwało niezwykle długo mimo paradoksalnego naruszenia tożsamości wszechludzkiej, które jest nieodłącznie związane z każdym takim modelem społecznym. W Ameryce niewolnictwo chwiało się w posiadach już przed wojną secesyjną. Dlaczego? Odpowiedź znajdziemy (między innymi) w Kodeksie Hammurabiego, pierwszym naprawdę złożonym spisie praw, o którym informacje przetrwały do naszych czasów. Kodeks Hammurabiego przewiduje grzywny i inne kary za wyrządzanie krzywdy bliźnim i chociaż prawdą jest, że kara za skrzywdzenie wolnego człowieka jest wyższa od kary za skrzywdzenie niewolnika, o niewolniku bynajmniej się nie zapomina. U Rzymian niewolnik miał zagwarantowane określone minimum własności (sic!) i praw obywatelskich, których nawet jego właściciel nie

mógł naruszyć. Dłużnik mógł sam sprzedać się w niewolę i w ten sposób spłacić wierzycieli, żywiąc całkowicie racjonalne – może nieco naiwne, ale na pewno nie szalone – przekonanie, że w przyszłości los jeszcze się do niego uśmiechnie. Pierwszym bankierem, o którym wiadomo, że odniósł sukces w branży, był grecki niewolnik imieniem Pasion, który został milionerem, wykupił się z niewoli i wszedł w spółkę ze swoimi byłymi szefami.

W amerykańskim niewolnictwie podobne rozwiązanie nie wchodziło w grę. Niewolnik miał tyle samo praw, co sztuka bydła, czyli zero. Łaskawy pan mógł wyzwolić niewolnika, który wyjątkowo mu się przysłużył, albo podarować mu wolność na starość, jak ulubionemu koniowi, którego wypuszcza się na pastwisko, żeby w spokoju dożył swoich dni. Ale zły właściciel mógł okaleczyć niewolnika, napiętnować go albo zachłostać batogiem na śmierć i nie groziła mu za to żadna odpowiedzialność.

Owszem, ty nie jesteś niewolnikiem – twoja sytuacja jest o wiele, wiele gorsza. Jesteś drapieżnikiem zamkniętym w klatce, której pręty nie są materialnymi obiektami nadającymi się do ogryzania lub walenia w nie głową w rozpacz, aż otępieły przestałbyś się zadreć. Nie, te pręty klatki to twoi konkurenci, przedstawiciele twojego gatunku – równie sprytni jak ty sam; pozostający w stałym ruchu, żebyś nie mógł ich złapać; bez uprzedzenia wchodzący ci w drogę; mącący ci w twoim osobistym środowisku, aż nachodzi cię chęć sięgnięcia po pistolet albo siekiere... i stajesz się wściekiem (Z grubsza rzecz biorąc, taki właśnie jest mechanizm tego zjawiska).

I stale ich przybywa... A poza tym przywykłeś do tego, że masz prawo do prywatności, która pozwoliłaby ci od czasu do czasu uciec od presji środowiska, lecz dzisiaj prywatność kosztuje coraz więcej, dlatego za całkiem normalną uważa się sytuację, w której biznesmeni (nawet całkiem niezłe sytuowani) wspólnie wynajmują mieszkanie, żeby cieszyć się luksusami, na jakie za pojedynczą pensję żaden z nich nie mógłby sobie pozwolić – takimi jak własne pokoje, dostatecznie duże, żeby zmieścili się w nich razem ze swoim dobytkiem... A poza tym, współczesne agresywne reklamy wmawiają ci nieustannie, że powinieneś pozbyć się swoich

bezcennych skarbów, żeby zastąpić je innymi, obcymi... A poza tym, z wiarygodnych, oficjalnych źródeł dniem i nocą słyszysz, że ludzie, których nie znasz, lecz którzy wyznają jakieś tajemnicze, quasi-religijne idee nazywane dogmatami marksizmu-leninizmu-maoizmu i porozumiewają się językiem, którego znaki nie przypominają nawet prawdziwego pisma, usiłują zagarnąć terytorium twojego narodowego gangu... A poza tym...

W ostatnim dziesięcioleciu XX wieku sprzedaż spoksów wzrosła o niebotyczne tysiąc trzysta procent. Jeżeli nie pochodzisz z kraju zbyt ubogiego, by zapewnić podaż stosownego towaru, najprawdopodobniej na każdym pięćcio twoich znajomych przypada dwoje narkusów – może są uzależnieni od społecznie akceptowanych specyfików, takich jak alkohol, a może biorą spoksy, których efekty uboczne obejmują postępującą impotencję i popychają ich do uczestnictwa w orgiach, albo środek w rodzaju dymiczachy, kuszący doświadczeniem absolutnej, nienaruszalnej prywatności i prowadzący do starczej demencji jeszcze bardziej nieodwołalnie, niż palenie tytoniu prowadzi do raka płuc.

Krótko mówiąc: twoje życie od narodzin do śmierci przypomina los zalanego w pestkę linoskoczka, który jest w swoim fachu tak beznadziejny, że publika obrzuca go właśnie zgniłymi jajami i potłuczonymi butelkami. Jeśli spadniesz, zrobią mniej więcej coś takiego: wyciągną cię ze środowiska, do którego jesteś przyzwyczajony (nie przepadasz za nim, ale przynajmniej nie jest ci zupełnie obce), i wsadzą gdzieś, gdzie nigdy wcześniej nie byłeś. Przede wszystkim stracisz swoje terytorium: posadzą cię w celi, w której nic, ale to nic nie pomoże określić cię jako konkretnego osobnika. Pozbawią cię również drugorzędnych ekwiwalentów terytorialnych – zabiorą ci ubranie, które sam wybrałeś, i w zamian przydzielą łachmany z drugiej (albo i dwudziestej) ręki, a także obedrą cię z resztek prywatności, kiedy na podstawie całkowicie nieprzewidywalnego rozkładu dnia (będzie on celowo przypadkowy, żebyś nie mógł polegać nawet na zegarze głodu, który stale nosisz w żołądku) będą otwierać drzwi celi i patrzeć, co robisz.

Skończy się na tym, że obmyślisz swój nowy, prywatny język, ponieważ będzie to jedyny sposób na odizolowanie się od nich, jaki ci pozostanie. Będziesz gryzmołił po ścianach, używając do tego własnych ekskrementów, ponieważ w tym miejscu nie będzie nic twojego – poza wytworami twojego ciała. A wtedy nazwą cię »przypadkiem beznadziejnym« i zintensyfikują twoje »leczenie«.

Nie mów, że ciebie to nie dotyczy. Szanse, że tak właśnie się stanie, od stu lat systematycznie rosną. Znasz co najmniej pół tuzina ludzi, którzy trafili do szpitali psychiatrycznych. Co najmniej jedna z tych osób była twoim krewnym, chociaż, być może, niezbyt bliskim – ot, siódma woda po kisielu. A jeśli nawet nie, to tylko dlatego, że mieszkasz w kraju tak ubogim, że liczba miejsc w szpitalach psychiatrycznych jest stanowczo za niska w stosunku do liczby jego mieszkańców.

Niebiosom niech będą dzięki za takie kraje! Jeżeli moje słowa cię zaniepokoiły, emigracja do jednego z nich wcale nie będzie najgorszym wyjściem”.

– Chad C. Mulligan, *Ty: zwierzę*

na zbliżeniu (5)

ORANGUTAN ZMIENIA SCENERIE

Studenci zmierzający w stronę pięknych, wysokich, nowoczesnych gmachów Uniwersytetu Zaangażowania z lekkim zakłopotaniem (ze względu na oficjalną politykę potępiania takich przesądów) wpadali po drodze do świątyni wesoło przystrojonej kolorowymi serpentynami i płatkami złota, by zapalić w ofierze podobny do wulkanu stożek z pasty kadzidlanej, który miał im pomóc skoncentrować się na nauce.

W Yatakangu zaszło wiele zmian, lecz człowiek osobiście odpowiedzialny za większość tych najbardziej znaczących unikał publicznych wystąpień. Pozostał również jeden niezwykle istotny czynnik, który nie uległ zmianie: w Yatakangu chyba bardziej niż gdziekolwiek indziej miało się poczucie, że światem rządzi boski przypadek.

Bogactwa osławionego, liczącego z górą setkę wysp archipelagu były wprost niewiarygodne. Jako jedyny z krajów azjatyckich Yatakang eksportował nadwyżki żywności, głównie cukru i mączki rybnej (odmiana tilapii, z której pozyskiwano tysiące ton mączki, została zmodyfikowana przez profesora doktora Lyukakartę Moktilonga Sugaiguntunga). Kopalnie zapewniały mu samowystarczalność w zakresie dostaw aluminium, boksytów i ropy naftowej, z której pozyskiwano nie paliwo, lecz tworzywa sztuczne (zmodyfikowana przez Sugaiguntunga bakteria – samoczynnie, kilometr pod ziemią – rozbiła miejscowe lepkie smoły na zdatne do wydobycia lekkie frakcje). Był największym krajem na świecie, w którym nie wybudowano ani jednej fabryki gumy syntetycznej (z plantacji bezlitośnie usunięto wszystkie dwudziestowieczne odmiany kauczukowca,

żeby następnie obsadzić je drzewami ulepszonymi przez Sugaiguntunga, dwukrotnie wydajniejszymi od poprzednich).

Wszystko to jednak mogło zostać unicestwione w wybuchu złości Pradziada Loa drzemiącego na brzegu cieśniny Shongao, wybuchu, przed którym jedynym ostrzeżeniem byłoby drgnienie igły kreślącej linię na papierowej taśmie. Ostatni raz nerwy poniosły Pradziada w 1941 roku, ale popyt na wulkanokształtne kadzidelka wcale od tego czasu nie zmalął.

– A teraz posłuchaj, czego od ciebie chcę – mówił Sugaiguntung do orangutana. – Masz iść do pokoju z niebieskimi drzwiami... niebieskimi, tak? Jest tam biurko. W jednej z szuflad biurka znajdziesz zdjęcie przedstawiające ciebie. Chcę, żebyś mi je przyniósł. Pośpiesz się!

Orangutan się podrapał. Nie był to okaz szczególnie imponujący. Na skutek niepożądanego efektu ubocznego tracił sierść i teraz brzuch i połowę grzbietu miał całkowicie łyse. W końcu jednak przetrwał wydane mu polecenie i, sadząc długie susy, posłusznie skierował się ku drzwiom.

Najważniejszym z czterech gości doktora Sugaiguntunga – i jedynym, który siedział – był krępy mężczyzna w gładkiej brudnobiałej marynarce i spodniach. Krótko przystrzyżone włosy nakrywał tradycyjną czarną mycką. Licząc na łaskawy komentarz, Sugaiguntung zwrócił się właśnie do niego:

– Z pewnością zgodzi się pan ze mną, że ta sytuacja dowodzi rozumienia poleceń głosowych, jak również rozróżniania kolorów zazwyczaj niepercypowanych przez przedstawicieli jego gatunku, oraz rozpoznawania własnego wizerunku wśród innych. Jest to osiągnięcie, które, biorąc pod uwagę złożoność problemu i krótki czas...

Gość trzymał w ręce krótką trzcinkę, którą uderzał z boku o cholewkę buta, gdy miał ochotę zmienić temat. Właśnie teraz to zrobił; odgłos przypominał strzał z bata. Na ten dźwięk Sugaiguntung ucichł jak uwarunkowany.

Gość wstał i po raz piąty albo szósty przespacerował się po laboratorium. Jego wzrok prześliznął się po dwóch zawieszonych na ścianie obrazkach oprawionych w ramki. Kiedyś był jeszcze trzeci (plama niewyblakłej farby zdradzała jego lokalizację), profesorowi dano jednak do

zrozumienia, że publiczne chwalenie się noblowskim dyplomem z chemii byłoby niepatriotyczne. Zostały więc mapa świata i portret marszałka Solukarty, Przewodniczącego Sterowanej Demokracji Socjalistycznej Yatakangu.

– Oglądał pan ostatnio tę mapę? – spytał zniecierpliwiony gość.

Sugaiguntung pokiwał głową.

Trzcinka poderwała się do pozycji poziomej, zmieniła we wskaźnik i stuknęła w okrywającą mapę szkło.

– To otwarta rana na ciele Yatakangu, ten wrzód amerykańskiego imperializmu! Pomnik ich bezczelnej pazerności! Dobrze przynajmniej – dodał tylko nieco łagodniejszym głosem – że pańska mapa nie utrwała nazwy „Isola”.

Mapa pochodziła z czasów przedisolańskich, ale profesor nie bardzo mógł sobie przypisać za to zasługę. Nie odpowiedział.

Wskaźnik przesunął się na północny zachód.

– A nasi przyjaciele i sąsiedzi, Chińczycy, są wprawdzie Azjatami, ale należy żałować, że padli ofiarą europejskiej ideologii. Źle się stało, nie uważa pan?

Sugaiguntung przytaknął z zapalem. Nie było to stanowisko zgodne z oficjalną linią państwa, ponieważ Chińczycy plenili się zbyt licznie, znajdowali się zbyt blisko i byli stanowczo zbyt silni, żeby się im narażać, ale był to jeden z poglądów dopuszczalnych w szeregach partii.

Trzcinka gościa zatoczyła pętlę w kształcie banana, obejmującą szeroko rozciągnięty archipelag Yatakangu.

– Wkrótce wszyscy będą musieli się pogodzić z tym, że nadszedł czas na prawdziwie azjatycki wkład w przyszłość tej części świata. W granicach naszego państwa żyje dwieście trzydzieści milionów ludzi, którzy cieszą się niezrównanymi standardami życia, wykształcenia i świadomości politycznej. Gdzie się podziała ta pańska mała?

Pełen złych przeczuć Sugaiguntung wysłał jednego ze swoich asystentów na poszukiwanie orangutana. Próbował jeszcze podkreślić, że wszyscy uczestniczący w eksperymentach przodkowie tego orangutana popełniali samobójstwa, tak więc sam fakt, że na tym etapie badań mała

wciąż żyje, należało uznać za sukces, ale gość znowu chlasnął się trzcinką po cholewie buta. Zapadła złowieszcza cisza w oczekiwaniu na powrót asystenta, który w końcu przyprowadził orangutana, nie szczędząc mu wymówek.

– Znalazł swoje zdjęcie – wyjaśnił chłopak. – Niestety, w tej samej szufladzie znajdowało się również zdjęcie jego ulubionej samicy, które na dłużej zaprzętnęło jego uwagę.

Sądząc po stanie orangutana (niepokojąco oczywistym, zwłaszcza w obliczu braku owłosienia na brzuchu), nie ulegało wątpliwości, że rozwinął w doskonałym stopniu zdolność rozpoznawania obrazów dwuwymiarowych – a była to umiejętność niezwykle zaawansowana, której nawet niektórzy ludzie, tacy jak buszmeni i Beduini, musieli dopiero uczyć się od przybyszów. Sugaiguntung uznał jednak, że próba zwrócenia uwagi gościa na ten doniosły fakt nie miałyby większego sensu.

Gość prychnął lekceważąco i zapytał:

– Dlaczego pracuje pan z tak mało obiecującym materiałem?

– Chyba nie rozumiem... – zaryzykował naukowiec.

– Małpa pozostanie małpą, bez względu na to, jak bardzo podkreśli się jej chromosomy. Dlaczego nie przeniesie się pan na poziom, na którym większość roboty miałby pan z głowy?

Sugaiguntung tylko patrzył pytająco na gościa, który wrócił na swoje miejsce i usiadł.

– Proszę posłuchać, profesorze. Nawet zamknięty tutaj, w laboratorium, ma pan chyba świadomość istnienia świata zewnętrznego, nieprawdaż?

– Wypełniam swoje obywatelskie obowiązki. Codziennie poświęcam czas na zapoznanie się z sytuacją na świecie, a także regularnie uczestniczę w spotkaniach informacyjnych w miejscu zamieszkania.

– Świetnie – skwitował sarkastycznie gość. – Ślubował pan także wierne dążenie do celów przyświecających naszemu krajowi: włączenia zdominowanych przez Amerykanów wysp Sulu w granice naszego państwa, gdzie przynależą z racji prawa i historii, oraz zapewnienia Yatakangowi pozycji naturalnego przywódcy cywilizacji azjatyckiej?

– Ależ oczywiście! – Sugaiguntung kurczowo splótł dłonie.

– I nigdy nie uchylał się pan od realizacji tych celów?

– Moja praca chyba najlepiej tego dowodzi. – Gdyby nie narastająca irytacja, profesor nie pozwoliłby sobie na stwierdzenie tak bliskie samochwalstwa.

– W takim razie na pewno zgodzi się pan z sugestią, którą zamierzam przedstawić. Zwłaszcza że sam Przewodniczący – (tu gość symbolicznie zasalutował portretowi na ścianie) – wskazał ją jako najbardziej obiecującą drogę wyjścia z naszych przejściowych trudności.

Później, kiedy profesor skapitulował w dyskusji, żałował gorzko – nie po raz pierwszy w ostatnim czasie – że tradycja honorowego dołączania do przodków w zaświatach została zdelegalizowana jako nieprzystająca do nowoczesnego państwa w XXI wieku.

kontekst (6)

PRZYBYWASZ DO...

Beninia (ben-IN'-ia): państwo w zach. Afryce, na pn. od Zat. Beninu. 16204 km². 870 tys. mieszk. (1999, progn.). *Port Mey (127 tys.). Rybołówstwo, rolnictwo, rzemiosło.

1883-1971 kolonia i protektorat bryt. Od 1971 niepodl. republ.

Ludność: 85% Shinka, 10% Holaini, 3% Inoko, 2% Kpała; 30% chrześc. 30% muzum. 40% pog.

– ...po dziś dzień pozostaje jednym z krajów najokrutniej dotkniętych wyzyskiem kolonialnym. Obecne dramatyczne przeludnienie jest spowodowane gwałtownym napływem uchodźców ze wstrząsanych konfliktami plemiennymi terytoriów ościennych. Niemal całkowicie pozbawiona bogactw naturalnych B. jest państwem dalece niesamowystarczającym, stałym beneficjentem pomocy ONZ i – w praktyce – żebrakiem w społeczności międzynarodowej, co nie przeszkodziło prezydentowi Obomiemu dumnie odrzucić chińskiej propozycji »wsparcia technicznego«. Być może, mając w pamięci nieszczęsny los niektórych dawnych kolonii francuskich, Obomi miał rację w dłuższej perspektywie, ale dłuższa perspektywa jest z natury odległa, a w krótszej zanoszą się na klęskę głodu i chorób...

(MURZYN Członek podgrupy rasy ludzkiej, który wywodzi się – lub którego przodkowie się wywodzili – z kawałka lądu nazywanego (choć nie przez jego mieszkańców) Afryką. M. przewyższają przedstawicieli rasy białej, ponieważ nie wynaleźli broni nuklearnej, samochodu,

chrześcijaństwa, gazu paralizującego, obozów koncentracyjnych, broni biologicznej ani megalopolis.

– Chad S. Mulligan, *Leksykon trendybrodni*)

– Stary Zaddie urzęduje od blisko czterdziestu lat, a ja się zastanawiam, czy tkwi na stolku tak długo dlatego, że tego chce, czy raczej dlatego, że w całym tym przeklętym kraju nie ma nikogo, kto mógłby go zastąpić!

ciągłość (5)

CO SŁYCHAĆ?

Victoria wyszła z sypialni Normana przystrojona hawajskim wieńcem z białych kwiatów i ubrana w wygodne Maksidosty – dwie obcisłe rurki z migotliwej złotej tkaniny sięgały od kostek do ud, wyżej zaś z tyłu przechodziły w falbanki zebrane w podrygującą kokardę na wysokości pupy, a z przodu w gęsty, potrójny fartuszek frędzli zawieszonych na sznurku rozciągniętym od jednej kości biodrowej do drugiej. Było oczywiste, że to nie samo ubranie się zajęło jej tyle czasu, lecz doprowadzenie reszty wizerunku do ideału. Niemal białe włosy upięła – zgodnie z najnowszą modą – na podobieństwo owadzych czulków, żyły podkreśliła błękitną kredką (jakiś dowcipniś ukuł już dla tego makijażu nazwę „krwionośny układ drukowany”), a jej paznokcie, brodawki sutkowe i soczewki kontaktowe lśniły od chromu.

Zerknąwszy przelotnie na mężczyzn, stwierdziła, że są pogrążeni w rozmowie, i przeszła w ten kąt pokoju, gdzie stały jej poli-organy. Włożyła słuchawki, żeby nie przeszkadzać, i po raz nie wiadomo który zaczęła powtarzać prościutkie ćwiczenie na trzy takty lewą ręką i pięć taktów prawą.

* * *

Jak zwykle, kiedy ktoś zadał mu pytanie z dziedziny wykraczającej poza zakres jego specjalności, Donald z zażenowaniem uświadomił sobie rozmiary swojej niewiedzy. Kiedy jednak zebrał wszystko, co zapamiętał

na temat Beninii (w duchu dziwiąc się Normanowi, że nie wolał podejść do wideofonu i połączyć się z encyklopedią), jego aframski współlokator był pod wrażeniem.

– Dzięki. Przypomniałeś mi o paru sprawach, które wyleciały mi z głowy.

– Skąd to nagłe zainteresowanie takim mało ważnym kraikiem? – próbował sondować Donald.

Norman się zawahał. Spojrzał na Victorię, doszedł do wniosku, że niesłyszalny dla nich dwóch jazgot organów raczej uniemożliwia jej podstuchiwanie, i uśmiechnął się z przekąsem.

– A ciebie nie interesują tajemnice firmowe GT?

– Pewnie, że nie! – odparował z lekkim rozdrażnieniem Donald. Zamierzał wstać i wziąć sobie dolewkę whisky.

Norman z trudem opanował złość. Typowy białodupiec, pomyślał. Oczywiście musiał mnie źle zrozumieć, jakżeby inaczej.

– Nie, nie to miałem na myśli. – Z wysiłkiem przełknął ślinę. – Chodziło mi o to, czy nie będziesz miał nic przeciw temu, że napomknę ci o czymś, o czym absolutnie nie powinienem wspominać.

– Obiecuję, że nikomu nie powiem – zapewnił go Donald i osunął się na krzesło, nie wstając.

Do czego to wszystko zmierzało? Norman był niecodziennie podenerwowany, wyłamywał palce i wykręcał ręce, jakby chciał wyżyć sobie cały pot z dłoni.

– Powiedz mi, po co, twoim zdaniem, Stara GT, skarbnik korporacji i starszy wiceprezes ds. projektów i planowania mieliby zapraszać Elihu Mastersa na lunch, wystawiać mnie jak... jak kabareciarza na scenie, a potem w rozmowie ograniczać się wyłącznie, podkreślam, wyłącznie do ogólników?

Mówił z niezwykłą u niego zapalczywością. Te słowa mogły zwiastować istotny przełom w sytuacji.

Donald nie mógł się nadziwić, że Norman dopuszcza go do swoich osobistych tajemnic po tak długim okresie wzajemnej zdawkowej uprzejmości, graniczącej chwilami z uszczypliwością. Usiłując nie dać

niczego po sobie poznać, skoncentrował się na rzuconym przez Normana nazwisku.

– Elihu Masters...? A, już wiem: był ambasadorem na Haiti, prawda? Potem wysłali go do Beninii. Przy tej okazji sporo mówiło się o tym, że to dla niego degradacja, że w grę mógł wchodzić jakiś skandal...

Norman westchnął.

– My, Aframowie, jesteśmy wrażliwi jak świeżo zdarta skóra, prawda? Zarzucano mu również uprzedzenia i przeróżne złowieszcze machinacje. Nie wierzyłem w pogłoski o skandalu, ponieważ ze sporym zainteresowaniem śledziłem jego karierę i wszyscy ludzie, z którymi rozmawiałem na jego temat, wypowiadali się w samych superlatywach o jego uczciwości. Jeśli zaś chodzi o te inne sprawy... Cóż, pomyśl, że mieliby go zesłać na zadupie, żeby tam wściekał się do woli, wydał mi się mało prawdopodobny.

– Czyli twoim zdaniem ten transfer mógł mieć drugie dno? – zasugerował Donald. – Rozumiem, nie można tego wykluczyć, ale... Jaki to by miało mieć związek z GT? Ja tu nie widzę powiązania, przynajmniej na pierwszy rzut oka. Chociaż oczywiście ty masz lepszą pozycję, żeby to ocenić.

– W pierwszej chwili pomyślałem, że może to mieć coś wspólnego z ŚPG – odparł po chwili zastanowienia Norman.

– Ze Środkowoatlantyckim Projektem Górniczym? – Donald przetrwał tę informację, w końcu wzruszył ramionami. – Nic mi nie wiadomo o tym, żeby GT wściekało się z powodu dotarcia do skarbcza bogactw naturalnych, na którego eksploatację nie mogą sobie pozwolić. Nawiasem mówiąc, czy tak właśnie się stało?

– Mniej więcej – przyznał Norman. – Problem polega na tym, że wydobycie użytecznej rudy w ramach ŚPG kosztowałoby prawie tyle samo, co pozyskanie jej z bardziej konwencjonalnych źródeł; próbują i próbują, ale na razie nie wymyślili tańszej metody. Obecny poziom cen to absolutna dolna granica rentowności produktów ŚPG, tylko że konkurencja z ochotą przytnie marżę, żeby GT poszło w dumping i wyszło na durnia. Musiałoby

ponosić straty, a to przecież nie jest dobry sposób na eksploatację bogatych złóż, prawda?

– Jaki jest zatem związek Beninii z ŚPG?

– Ja żadnego nie widzę. Beninia to nie jest dla nas rynek zbytu, nie stać jej nawet na zakupy ze zniżką. Tym samym GT wypada z równania, a jego miejsce zajmuje Państwo.

Donald potarł w zadumie brodę.

– Ale jak? Wiem, tajemnicą poliszynela jest, że zarówno Dahomalia, jak i RUNG chciałyby zagarnąć Port Mey; to potencjalnie jeden z najlepszych naturalnych portów w całej Zatoce Beninu. W tej chwili, o ile mi wiadomo, jest to zaledwie mały port rybacki, gdyby go jednak należycie pogłębić... Hmm, rzeczywiście: Państwo faktycznie mogłoby być zainteresowane utrzymaniem niepodległości Beninii.

– Tylko po co? Żeby urządzić w Port Mey bazę marynarki wojennej?

– Tuż obok mamy przecież naszą... kieszonkową Republikę Liberii. Zresztą, Port Mey jest za bardzo narażony na atak: dobrze wyszkolona armia mogłaby w pół dnia odciąć miasto od reszty lądu, a w dwie doby zająć cały kraj.

– Zasadniczo rzecz biorąc, taka okupacja miałaby na celu powstrzymanie przejawiających ekspansjonistyczne tendencje sąsiadów?

– Wątpię, żeby Państwo chciało się aż tak angażować, nawet gdyby prezydent Obomi przyjechał nas tu błagać na klęczkach. Pamiętasz, jak było z Isolą? Minęło dwadzieścia lat, a do dziś obserwujemy ślady tamtego zamieszania, mimo że przyłączenia dokonano na podstawie plebiscytu.

Norman rozdziawił usta, jakby go nagle coś olśniło. Donald odczekał chwilę, żeby dać mu szansę na ubranie olśnienia w słowa, po czym sam zaryzykował głośny domysł:

– Zastanawiasz się, czy to Masters przyszedł do GT, czy odwrotnie?

– Na brodzie Proroka, Donaldzie, czyżbyś odkrył w sobie utajony talent telepatyczny? Dokładnie o tym pomyślałem! Nie podejrzewałbym takiego człowieka jak Masters o chęć zamiany środowiska dyplomatycznego na luksusową salę obrad zarządu, w której więcej jest prestiżu niż uczciwej pracy. Jest stanowczo za młody na emeryturę i odnosi zbyt poważne

sukcesy w swojej branży, żeby dało się go łatwo podkupić. Podczas lunchu nie mówiło się też nic o tym, żeby GT zamierzało go zwerbować... Chociaż, prawdę mówiąc, jak już ci wspomniałem, w ogóle niewiele się mówiło.

Znów zapadła cisza. Donald analizował implikacje tego, co Norman mu powiedział, i wołał raczej czekać na ciąg dalszy, niż jakimś komentarzem ryzykować zmianę tematu. Tymczasem Norman zapatrzył się na swoją lewą dłoń: kręcił nią w nadgarstku to w lewą stronę, to w prawą, jakby pierwszy raz widział ją na oczy. Jeżeli naprawdę zamierzał coś jeszcze dodać, to dobór słów zajmował mu wyjątkowo dużo czasu.

A kiedy wreszcie zdecydował się otworzyć usta, uprzedziła go Victoria: ściągnęła słuchawki i odwróciła się do niego.

– Norman! Co robimy dziś wieczorem?

Norman wzdrygnął się, spojrział na zegarek i zerwał się na równe nogi.

– Przepraszam, ale już się spóźniłem z wieczorną modlitwą. Zaraz wracam, Donaldzie.

– A ja nie doczekam się odpowiedzi? – wtrąciła się Victoria.

– Słucham? Aha... Nie, nie jestem w nastroju. Zapytaj Donalda.

Zapytała, unosząc jedną półkuliście zarysowaną brew. Donald nie od razu odpowiedział. Nie mając laski, którą mógłby w zamian zaoferować Normanowi, przez ostatnie dwa tygodnie rzadko cieszył się towarzystwem Victorii, ale irytowała go swoją nieskazitelną, sztuczną perfekcją, ponieważ przypominała mu Guinevere Steel i produkty jej sławnego Studia Piękności.

– Nie, dzięki – odmruknął i poszedł sobie nalać odkładanego od paru minut drinka.

– W takim razie nie będzie wam przeszkadzało, że na chwilę gdzieś wyskoczę – odparła urażona dziewczyna, podchodząc do drzwi wejściowych.

– Nie śpiesz się z powrotem – rzucił przez ramię Norman, w drodze do swojej sypialni i dywanika skierowanego w stronę Mekki.

Drzwi zamknęły się z głośnym trzaskiem.

Pozostawiony samemu sobie Donald wałęsał się po salonie. Już żałował, że odrzucił propozycję Normana. Tylko częściowo rejestrował otoczenie,

bo jego umysł pochłaniały głównie zdumienie i refleksja nad niecodziennym zachowaniem współlokatora.

Błądząc po pokoju, zawędrował w końcu w okolice poli-organów. Minęło trochę czasu, odkąd Victoria się wprowadziła, ale jakoś nigdy nie miał okazji bliżej się im przyjrzeć. Zaprojektowane zgodnie z najnowszymi trendami, składały się – wraz z siedzeniem – do rozmiarów walizki i ważyły tyle, że dało się je podnieść dwoma palcami.

Podziwiał eleganckie wykończenie multikolorem, w którego milimetrowej warstwie światło rozszczepiało się na składowe widmowe, przez co organy wyglądały jak unurzane w tęczowej farbie. Wziął do ręki słuchawki, przytknął jedną do ucha i od niechcienia pacnął w klawisz.

Ogłuszający dysonans omal nie rozpruł mu bębienka w uchu.

Cofnął dłoń znad klawisza, jakby instrument go parzył, i poszukał wzrokiem pokręta głośności. Tuż przed tym, jak je przekręcił, przysłała mu do głowy pewna myśl.

Victoria nie mogła ćwiczyć przy takim poziomie głośności. Ogłuchłaby. Po co w takim razie przestawiła głośność na maksimum tuż przed tym, jak odeszła od instrumentu, żeby pójść na spacer?

Ponieważ takie niespójności w otaczającym świecie zawsze go intrygowały (nawiasem mówiąc, to był właśnie powód, dla którego był na tyle niezadowolony ze swojego wykształcenia, że zwrócił na siebie uwagę Ministerstwa Dyletanctwa), usiadł przy konsoli i zaczął badać działanie instrumentu.

Nie minęło pięć minut, kiedy odkrył dyskretny wyłącznik sprężynowy, uruchamiany naciskiem ręki równie delikatnym, jak oparta o prawe kolano dźwignia sterująca vibrato.

* * *

Nie wiedząc, co powinien zrobić, siedział zupełnie nieruchomo, dopóki jego współlokator nie wrócił do salonu. Kilka minut rytualnych hołdów jak zwykle przywróciło Normanowi spokój i dobry humor.

– Chyba nie umiesz na tym grać, co? – spytał takim tonem, jakby był przygotowany na wyznanie, że od chwili pojawienia się w jego mieszkaniu Donald ukrywał przed nim swój talent muzyczny.

Donald podjął decyzję. Bezprecedensowa chęć Normana do zwierzenia się współlokatorowi skrywała jeszcze jakąś tajemnicę. Być może, jeszcze jeden umiarkowany wstrząs strzaska tę ostatnią barierę obronną i sprawi, że Norman całkiem się otworzy.

– Wydaje mi się, że powinieneś to usłyszeć – powiedział.

Zaskoczony Norman podszedł i wziął od niego słuchawki.

– Mam je nałożyć?

– Nie, przyłóż tylko jedną do ucha. I słuchaj.

Donald wcisnął klawisz. Rozległ się czysty, melodyjny dźwięk.

– To nic...

– Czekaaj, czekaaj.

Donald przycisnął kolanem dźwignię vibrato. Czysty ton zaczął szaleńczo falować, aż w końcu ustabilizował się w sinusoidę rozbrzmiewającą od pół tonu niżej do pół tonu wyżej niż dźwięk podstawowy. Przycisnął mocniej...

Muzyka ucichła i rozległ się słaby, lecz wyraźny głos:

– ...Dokładnie o tym pomyślałem! Nie podejrzewałbym takiego człowieka jak Masters o chęć...

Donald puścił ukryty przełącznik i do słuchawek wróciła muzyka, która trwała, dopóki nie zdjął palca z klawisza.

Norman bardzo długo stał nieruchomo jak posąg, a potem zaczął się trząść – z początku same dłonie, później, stopniowo, całe ciało, drżał coraz gwałtowniej, aż w końcu ledwie był w stanie ustać na nogach. Donald wyratował słuchawki z jego odrętwiałej ręki tuż przed tym, jak upadły na podłogę, i ze współczuciem poprowadził go do krzesła.

– Przykro mi – mruknął – ale pomyślałem, że powinieneś dowiedzieć się jak najszybciej. Przyniosę ci jakiegoś spoksa, dobrze?

Norman – wpatrzony szeroko otwartymi oczami w dal – skinął krótko głową.

Donald przyniósł mu pigułkę i kubek wody do popicia, a potem stał przy nim i czekał do chwili, gdy drgawki ustąpiły i stało się oczywiste, że specyfik zadziałał.

– Spokojnie – odezwał się w końcu. – Przecież nikt w GT nie będzie miał o to do ciebie pretensji! Muszą sobie zdawać sprawę, że każdy na takim stanowisku jest wymarzonym celem szpiegów przemysłowych, a taki sprytny gadżet jest praktycznie nie do wytropienia, chyba że natkniesz się na niego przez przypadek, tak jak ja.

– Nie martwię się o GT – odparł beznamiętnie Norman. – Jest wystarczająco duże i skurwysyńskie, żeby samo mogło o siebie zadbać. Daj mi spokój.

Donald ostrożnie się cofnął, nie spuszczając go z oka.

– Dwa takie wstrząsy w jednym dniu to...

– Nie twój interes, kurzeszmać!

Norman poderwał się z krzesła i zdążył zrobić trzy kroki w stronę drzwi, zanim Donald odzyskał głos.

– Norman, miejże trochę rozsądku, nie próbuj jej gonić! To nie ma...

– Zamknij się już – rzucił Norman przez ramię. – Nie zamierzam gonić tej pomierzwionej laski. Jeśli będzie miała czelność tu wrócić, będę ją mógł oskarżyć o szpiegostwo, prawda? A do tego czasu jej nieobecność wyjdzie mi na dobre, możesz mi wierzyć.

– No to dokąd się wybierasz?

Norman odwrócił się w progu i spojrzał Donaldowi prosto w oczy.

– A co cię to obchodzi? Jesteś jak zombi, bez krwi i bez twarzy, przewidywalny jak metrowy przymiar i zimniejszy niż ciekłe powietrze! Z tym swoim dyletanckim dystansem do wszystkiego i nieustającą uprzejmością białodupca nie zasługujesz na to, żeby wiedzieć, co robię! – Dyszał ciężko, mimo że przecież był pod wpływem środka uspokajającego.

– Ale nie, jednak ci powiem: zamierzam odszukać Mastersa i naprawić część szkód, jakie dzisiaj wyrządziłem.

Z tymi słowami wyszedł.

Po jakimś czasie Donald odkrył, że powodem dokuczliwego bólu dłoni jest kurczowe zaciskanie pięści i paznokcie wrzynające się w skórę. Z rozmyślną powolnością rozprostował palce.

Krwawiciel zasrany. Kto mu dał prawo...

Złość przygasła w nim jak dogorywający płomień, pozostawiając po sobie kwaśne uczucie wzdargy dla samego siebie. Jednym haustem wypił drinka. Prawie nie poczuł smaku.

Odkrycie zdrady Victorii nie wystarczyłoby, żeby tak gwałtownie wysadzić Normana z żyroskopów. Musiał zdawać sobie sprawę, że jego niezmienny obyczaj sprowadzania do mieszkania trzech-czterech lasek rocznie (i to lasek zawsze w tym samym typie) czyni z niego atrakcyjny obiekt szpiegostwa przemysłowego. Zlecenie takiej misji firmowej lasce wiązało się ze sporym ryzykiem, ale kiedy w grę wchodził wice General Technics, wynagrodzenie z pewnością było kuszące.

Ciekawe, która korporacja ją wynajęła.

Ale to było nieważne. Właściwie wszystko było nieważne, wszystko poza jedną niezwykle osobliwą sprawą: Norman – pierwszy raz w życiu! – był o krok od zwierzenia się współlokatorowi z jakiejś tajemnicy, a zamiast tego dał się sprowokować do wybuchu gniewu i wybiegł na poszukiwanie innego Aframa.

Stojąc w pustym pokoju, Donald pomyślał o otaczających go trzynastu milionach ludzi zamieszkujących Nowy Jork z przyległościami, i poczuł się przeraźliwie, nieznośnie samotny.

Świat tu-i-teraz (4)

MĘSKA MOWA

Poufne: Wobec powtarzających się doniesień o używaniu przez żołnierzy piechoty morskiej i marynarki wojennej stacjonujących na Isoli terminu „czerwony braciszek”, przypominamy, że oficjalnie akceptowane nazwy to „chinol”, „skośny”, „żółtek” i „robal”. Oficerom przypominamy, że posługiwanie się cieniaskimi cywilnymi określeniami powinno być surowo karane.

– To, czego nie byli w stanie utrzymać za pomocą broni, próbują teraz odbić siłą swojej zagranicznej waluty! Musimy pozbyć się tych pasożytów, tych niemoralnych krwiopijców, którzy deprawują nasze kobiety, drwią z naszych uświęconych tradycji i gardzą naszym bezcennym dziedzictwem narodowym!

WSTĘP SUROWO WZBRONIONY!

Do wszystkich statków superpilne do wszystkich statków superpilne po nocnym sztormie we czwartek miny zerwały się z uwięzi i dryfują swobodnie na podejściach do redy w Bordeaux gotowość do świtu czekać na sygnał z jednostek Marynarki Wojennej Wspólnej Europy.

– Ja tylko chcę wiedzieć, jak długo jeszcze nasz cholerny rząd będzie to tak pokornie znosił?

TEREN PRYWATNY!

– Wrogowie czają się wszędzie, próbując uspić naszą czujność. My jednak nie damy im okazji, której wyczekują, by rzucić się na nas i pożreć. Dzielnie stawimy im czoło, a naród nasz oczyści się z szumowin w czystym ogniu samopoświęcenia.

WSTĘP WZBRONIONY POD KARĄ ADMINISTRACYJNĄ

Do wszystkich oddziałów Partii: Z najwyższym niepokojem przyjęliśmy informację o przypadkach rewizjonizmu i wstecznictwa w następujących prowincjach...

– No tak, ale mnie chodzi o to, że nawet jeśli się ma czysty genotyp, to ziom obdarzony jakim takim poczuciem odpowiedzialności społecznej nie funduje sobie w dzisiejszych czasach piątki dzieci! Nie interesuje mnie, czy przysyłają mu Biuletyn Małodzietnych, czy nie; przecież to może być przykrywka, nie? Moim zdaniem to jeden z tych prawokatolickich krwawicieli i trzeba się go pozbyć!

UWAGA, ZŁY PIES

– To, co z mocy prawa i historii należy do nas, leży i kwiczy pod butem zagranicznego tyrana!

OBIEKT CHRONIONY PRZEZ SAFE-T-GARD INC.

– Nie wystarczy, żebyśmy sami cieszyli się wolnością. Nie będziemy prawdziwie wolni, dopóki wszyscy ludzie na ziemi nie będą mogli szczerze powiedzieć tego samego o sobie.

PRZEJŚCIA NIE MA

– Nie wystarczy, żebyśmy sami cieszyli się wolnością. Są wśród nas piewcy obcego stylu życia, o którym wiemy, że jest zły, nienawistny i niewłaściwy!

CZARNUCHU NIE POZWÓL ŻEBY SŁOŃCE ŚWIECIŁO CI NA GLACĘ

– Francowaci czerwoni...

My country 'tis of thee

MIEJSCOWI OBYWATELE NA PRAWO OBCOKRAJOWCY NA LEWO

– Kapitalistyczne hieny...

There'll always be an England

BLANKES NIEBLANKES

– Ziemia czarnuchów zaczyna się w Calais...

Vive la France!

FLAMANDOWIE WALONOWIE

– Przeklęte asfalty...

Deutschland über Alles

JORUBOWIE IBO

– Szlag by trafił tych sąsiadów...

Nkosi Sikelele Afrika

TWOJE MOJE

– Wszyscy powariowali, poza tobą i mną, a właściwie to ty też jesteś trochę dziwny...

MOJE!

MOJE!!

MOJE!!!

(PATRIOTYZM Słynny brytyjski pisarz powiedział kiedyś, że gdyby miał wybierać między zdradą stanu a zdradzeniem przyjaciela, to ma nadzieję, że wystarczyłoby mu przyzwoitości, żeby wybrać zdradę stanu.

Amen, bracia i siostry! Amen!

– Chad S. Mulligan, *Leksykon trendybrodni*)

na zbliżeniu (6)

PO KTÓREJ JESTEM STRONIE?

W Nowym Jorku Elihu Masters nie zatrzymywał się ani w hotelu, ani nawet u żadnego z licznych przyjaciół, chociaż wiedział, że niektórym z nich wyrządza przykrość swoimi powtarzającymi się odmowami. Wolał wynajmować pokój w schronisku Organizacji Narodów Zjednoczonych, a jeśli nawet (tak jak tym razem) panował tam ścisk i zostawała mu tylko zapuszczona klitka, w której łóżko wsuwało się w ścianę, żeby dostać się do znajdującej się pod spodem wanny, to nie miał nic przeciw temu.

Bał się, że zakocha się w swoim kraju, tak jak przytrafiło się to jego staremu druhowi Zadkielowi Obomiemu, zakocha się do tego stopnia, że jego celowo wybrane i starannie pielęgnowane poświęcenie dla rodzaju ludzkiego załamie się pod brzemieniem ciężkiego losu Amerykanów. I dzisiaj niebezpiecznie zbliżył się do tego stanu. Widok tego młodego wice w General Technics był tak nieopisanie smutny...

Nie ujawnił na razie powodów swojego zainteresowania General Technics, ale spodziewał się, że po wprowadzeniu znanych faktów do Salmanasara GT uzyskają werdykt, który nie będzie odbiegał daleko od prawdy. Zbyt wiele aspektów jego życia stawało się przedmiotem publicznego roztrząsania – tak jak na przykład prośba o przeniesienie do Beninii, podczas gdy naturalną kolejną rzeczą powinien był trafić jako ambasador najpierw do Delhi, a następnie na którąś z najlepszych placówek – może do Paryża, a może nawet do Moskwy. Przeprowadzka do Beninii wywołała spore zamieszanie, zwłaszcza wśród Dzieci Krzyża...

Siedział na jedynym krześle przed zawieszonym na ścianie płaskim telewizorem, patrząc na niego i go nie widząc. Na ekranie cud transmisji

holograficznej generował obrazy, które wydawały się trójwymiarowe i zmieniały wygląd i perspektywę, kiedy widz przechodził z jednej strony pokoju na drugą. Przed chwilą obejrzał program ze SKANALIZATORA. Doniesienia o walkach i wandalizmie na Pacyfiku, informacje o zamieszkach wymierzonych przeciw prawokatolikom i wieści o grasujących na wolności wściekach przygłębiły go i wprawiły w stan bliski odrętwienia.

W jednej bezwładnej ręce trzymał poleconą przez znajomego książkę, wydaną kilka miesięcy po jego wyjeździe do Beninii. Oczywiście nazwisko jej autora obito mu się już wcześniej o uszy – znawcy tematu zaliczali go do wąskiego grona znakomitych socjologicznych *vulgarisateurs* tworzących w tradycji Packarda i Riesmana.

Zapowiedział jednak, że ta książka będzie jego łabędzim śpiewem, i rzeczywiście: znajomy, który pożyczył książkę Mastersowi, twierdził, że pisarz po jej publikacji zniknął bez śladu. Chodziły słuchy, że zginął z własnej ręki. Rozpacz przebijająca z jego prześmiewczych definicji do złudzenia przypominała Mastersowi posępne epitafium dla ludzkich ambicji, jakim był *Mind at the End of Its Tether* Wellsa, i jakby potwierdzała plotki o samobójczej śmierci.

Otrząsnął się i spojrzał na książkę. Okładka przedstawiała beczkę prochu i skwierczącą na podłodze smuzkę podsypki. Ilustrację musiał wybrać wydawca, Chad Mulligan raczej nie miał na nią wpływu – był w pełni świadomy życia w XXI wieku i tak archaiczny projekt z pewnością nie przypadłby mu do gustu.

Prawdę mówiąc, Mulligan...

Elihu Masters skinął w zadumie głową. Musiał przyznać, że Mulligan mu imponował – tak jak imponowałby lekarz, który odmawia wprowadzania pacjentów w błąd fałszywymi wyrazami otuchy. Mulligan mógłby zrozumieć powody, dla których jasno świecąca gwiazda amerykańskiego korpusu dyplomatycznego przedkłada nędzne slumsy podupadłego Port Mey nad czystą nowoczesność Moskwy. Mógłby nawet, choć przecież był biały, zrozumieć, przed jakim wyborem stanął ów dyplomata: mógł albo ugiąć się pod ciężarem palących potrzeb rodaków,

którzy w tym nowym wspaniałym stuleciu wciąż tkwili w potrzasku, generując większość wścieków (choć serwy wiadomości przyjęły zasadę niepodawania ich koloru skóry), narkusów (choć większość z nich, nie mogąc sobie pozwolić na dymiczącą ani odjazdynę, podtruwała się yaginołem własnej roboty albo wierzchem tępego noża zdrapywała sok z ponacinanych makówek) oraz osobników twierdzących „Nie wybieram się do żadnego getta, bo tu się urodziłem!”, albo z uporem obdarzać miłością tylko najbliższych przyjaciół, a lojalnością – całą ludzką rasę.

Czarny czy nie, Elihu Masters wcale nie odczuwał bliższego pokrewieństwa z chciwymi przywódcami z Bamako czy Akry, którzy na przemian to czynili przy pochlebne podchody pod Beninę, to obrzucali się nawzajem wściekłymi obelgami, żeby w ten sposób wyciszyć konflikty międzyplemienne na swoim terenie, niż z wierchuszką General Technics. Niech Dahomalia i RUNG toczą swoje wojny z cieniem, niech pojedynkują się na przechwałki, który kraj jest bardziej uprzemysłowiony, bardziej wpływowy, lepiej przygotowany do obrony swojego terytorium. Dla Mastersa fakt, że Zadkiel Obomi był w stanie zonglować przedstawicielami czterech grup językowych (z których dwie i tak były intruzami, potomkami uchodźców z dwudziestowiecznych jatek plemiennych w krajach ościennych) i utrzymywać je w muzycznej harmonii w okolicznościach, które sprzyjały raczej wybuchowi wojny domowej, był największym osiągnięciem całej Afryki.

A może nawet... całego świata.

W tej chwili ta harmonia też rozbrzmiewała mu w pamięci, nałożona na dudnienie stęporów w mózdzierzach – Beninia nie cierpiała na nadmiar skór zwierzęcych, które można by zużyć na takie luksusy jak obciążenie bębnow. Złapał się na tym, że posłuszny temu rytmowi zaczyna mówić na głos.

– Nie chodzi o to, że dobrze żyje się w nędzy! – wykrzyknął i z zapalem uderzył książką w otwartą dłoń. – Rzecz w tym, że nikt ich nie nauczył sposobów, na które my, ludzie bardziej wyrafinowani, nienawidzimy się nawzajem!

Ledwie to powiedział, zdał sobie sprawę, że gada od rzeczy. Ludzie oszukiwali sami siebie, kiedy twierdzili, że nienawiści trzeba się nauczyć. Nienawiść do rywala, do intruza zawłaszczającego prywatne terytorium, do silniejszego samca albo płodniejszej samicy była na stałe wbudowana w psychologiczną konstrukcję rodzaju ludzkiego. Co nie zmieniało faktu, że u mieszkańców Beninii wyczuwał szczęście w obliczu ubóstwa, jakiego nie doświadczył nigdzie indziej.

Może to Zaddie ma na nich taki wpływ? Nie, to bzdura. Nawet Jezus, Mahomet ani Budda nie mogliby tego o sobie powiedzieć. A jednak jestem przeświadczony, że to zjawisko obiektywne! Może kiedy GT tam wejdzie, przepuszczą fakty przez Salmanasara i znajdą jakieś wytłumaczenie.

To jednak była już czystej wody racjonalizacja i żalosne samousprawiedliwianie się. Jedyne fakty, jakie można było wprowadzić do komputera, nie stanowiły tajemnicy: Beninia była małym krajem zmagającym się z klęską głodu i rządzonym przez prezydenta do spółki z garstką utalentowanych podwładnych długo po tym, jak większe od niej państwa ościenne skapitulowały i połączyły się w organizmy, których spoiwem był wspólny język. Dodatkowo w tle przewijały się pewne intrygujące okoliczności historyczne: arabscy handlarze niewolników nie bez powodu pomijali przecież Shinków przy wyborze towaru na rynki europejskie, tak jak nie bez powodu Shinkowie, choć niezbyt wojowniczy z natury, nigdy nie zostali podbici przez sąsiadów. Pod rządami Brytyjczyków nie próbowali wszczynać rewolucji, a ponadto...

– Ale po cholere się tym wszystkim zamartwiać? – odezwał się Elihu, po raz kolejny przemawiając do pustych ścian. – Ja po prostu kocham to miejsce! Kiedy uda im się sprowadzić miłość do paru czynników zdatnych do analizy komputerowej, nie zostanie nam już nic, dla czego warto być człowiekiem!

kontekst (7)

WALKA NA BULLE

Scena: Katedra podczas porannego nabożeństwa.

Obsada: Biskup i wierni.

Detal: Plama na przedniej krawędzi pulpitu. Została namalowana pędzlem i składa się z substancji parzącej (skład zbliżony do gazu musztardowego, skuteczność nieco większa) zmieszanej ze środkiem halucynogennym (nr katalogowy GT: AKZ-21205; przetworzony na drodze gotowania w rozcieńczonym kwasie siarkowym w produkt znany jako „prawdomówka”).

Przewidywania: Kiedy biskup, jak to ma w zwyczaju, oprze ręce na krawędzi pulpitu...

Prawda:

– Czytanie z Objawienia Świętego Jana, rozdział siedemnasty, wers pierwszy. Ehm, ehm. „Ukażę ci sąd nad Wielką Nierządnicą, która siedzi nad wielu wodami”. Niektórzy z was...

(Auć! Co to ma być, na litość...).

– ...będą z pewnością poruszeni...

(Dlaczego mnie tak ręce pieką?).

– ...takim wyborem czytania. Wyborem, którego, zapewniam was, dokonałem w pełni świadomie...

(Może przejdzie, jeśli nie będę zwracał na to uwagi).

– ...aby w możliwie jak najbardziej dramatyczny sposób przedstawić wam prawdę, na którą niektórzy ludzie, mieniający się, tak jak i my, chrześcijanami, pozostają ślepi.

(Pali jak ogień piekielny!).

– Moje przesłanie, o którego konieczności sformułowania mam nadzieję was przekonać, jest zupełnie proste. Ponieważ księga, z której zaczerpnąłem czytanie, wyróżnia się jako najbardziej adekwatna do ilustrowania codziennej ludzkiej egzystencji, nie unika opisywania pewnych mniej przyjemnych aspektów naszego życia. Nie gloryfikuje ich, rzecz jasna, ale i nie cenzuruje, jeśli można tak powiedzieć, pewnych dotyczących nas prawd, którym musimy stawić czoło, jeżeli mamy wieść życie, jakie wieść należy, gdy człowiek kieruje się chrześcijańską powinnością.

(O, już lepiej. Teraz to po prostu przyjemne ciepło. Jakbym włożył rękawiczki).

– Kilka pokoleń wstecz analogia do prostytutki, która sprzedaje swoje ciało za pieniądze, przez wielu mogłaby zostać uznana za niesmaczną. Jednakże sam fakt, że nasze społeczeństwo powołało taką instytucję do istnienia, był wstydlivy, wręcz haniebny, jak powiedzieliby niektórzy. Na szczęście, nauczyliśmy się godzić z pewnymi nieodłącznymi aspektami odpowiedzialności, jaka spoczęła na nas z chwilą, gdy zostaliśmy stworzeni jako istoty o materialnych ciałach. Jednym z nich jest pogodzenie się z tym, że wybór symbolu małżeństwa naszego Pana z Jego Oblubienicą Kościołem nie był przypadkowy... że, pokrótce mówiąc, związek mężczyzny i kobiety jest wyrazem miłości, albo innymi słowy... ehm... tak, wyrazem miłości.

(Mam nadzieję, że nikt nie zauważy, jeśli dyskretnie oprę się o tę kolumnę z tyłu!).

– Naturalnie, dzisiaj coraz trudniej o prostytutkę. Kiedy byłem młodym mężczyzną, miałem znajomych, którzy... ehm... korzystali z usług takich kobiet. Uważałem wtedy, że należy się nad nimi litować, ponieważ najwidoczniej nie potrafią wykorzystywać wbudowanej, jeśli można tak powiedzieć, zdolności okazywania uczuć, wyrażającej się w akcie, którego celem jest nie tylko przedłużenie gatunku, lecz także dawanie rozkoszy drugiej osobie lub osobom.

(???)

– Mówiąc „osobom”, mam oczywiście na myśli godny pożałowania fakt, że nam, istotom ludzkim, daleko jest do doskonałości, i w pewnym sensie osiągnięcie pełni tej zesłanej nam z niebios zdolności do zadowalania naszego partnera życiowego wymaga, podobnie jak inne przejawy ludzkiej aktywności, intensywnych prób i praktyki, bo tylko one prowadzą do perfekcji, dlatego właśnie zdarza nam się spotykać ludzi, którzy pobierają się, by potem szczerze żałować wyboru tego akurat partnera, do którego w efekcie jednak nie pasują i z którym z żalem ich rozdzielamy, z żalem, ponieważ... Zresztą mniejsza z tym.

(Nigdy przedtem nie zwróciłem uwagi, jakie te kretyńskie szaty są grube. I jak się w nich człowiek poci!).

– Wielu ludzi tego nie rozumie, o czym zresztą doskonale wiecie. Od czasu wielkiej schizmy pod koniec XX wieku serwuje się nam przyprawiające o mdłości widowisko w wykonaniu trzymających głowy w piasku bigotów z Madrytu, którzy bombardują innych katolików, a zatem swoich domniemanych braci w wierze, gradem bulli, encyklik i nie wiadomo czego jeszcze, tylko dlatego, że Kościół Rzymski zaakceptował wreszcie prosty fakt, że kochanie się to coś więcej niż tylko seryjne produkowanie dzieci, które można ochlapać wodą święconą i odesłać do nieba, żeby tam wyśpiewywały alleluja, i pogodził się z koniecznością istnienia pigułki antykoncepcyjnej. Tymczasem papież Eglantyn nieustannie tokuje o tym, że nie powinniście sprzeciwiać się wyrokom bożym i zapewniać innym swoim dzieciom wygodnego dorastania, aby stały się pełnowartościowymi istotami ludzkimi, o nie, tak jak nie powinniście zaznawać rozkoszy z drugim człowiekiem, jeśli waszym celem nie jest prokreacja, tak jakby za mało nas deptało sobie nawzajem po piętach i wchodziło sobie nawzajem w drogę, jakbyśmy nie odbierali sobie nawzajem chleba od ust, tacy jesteśmy zachłanni i samolubni i, na Boga, już samo to wystarczy, żeby człowiek chciał zostać muzułmaninem, naprawdę, oni przynajmniej mają po śmierci obiecane nieskończone zastępy wiecznie dziewiczych hurys, a czymże innym jest pigułka antykoncepcyjna, jeśli nie doczesnym odpowiednikiem tej wizji, kiedy żonie rośnie brzuch, nie możesz poszaleć, tylko noc w noc leżysz sam i nie

możesz spać i po jakimś czasie zaczyna ci dokuczać najprawdziwszy fizyczny ból, i gdzie są ci wszyscy masakryczni idioci, tacy jak Augustyn, który wyszumiał się za młodu z ulicznicami, a potem wykonał zwrot o sto osiemdziesiąt stopni i wszystkim tego zakazał, osobiście myślę, że złapał syfa, który się rozwinął, przeniknął mu do płynu rdzeniowego i zmasakrował mózg, i gdyby nie fakt, że papież Eglantyn najprawdopodobniej jest impotentem, można by pomyśleć, że to samo przytrafiło się jemu i tej jego bandzie prawokatolików. Ale może ja już się zamknę i przestanę wam wpychać bzdury w uszy, a wy zajmiecie się wpychaniem jednego organu w inny organ?

Konsekwencje: Wierni byli w najwyższym stopniu zbulwersowani.

ciągłość (6)

IDĘ POD MŁOTEK

– Pan House. – Ton całkowicie neutralny. – Dzisiaj zostaliśmy sobie przedstawieni. Proszę siadać, chociaż obawiam się, że będzie pan musiał usiąść na łóżku... Chyba że woli się pan przenieść do któregoś z barów na parterze?

– Nie, tu będzie dobrze – odparł z roztargnieniem Norman, sadowiąc się na samym skraju wąskiego łóżka. Wodził pustym wzrokiem po małym pokoiku.

– Napije się pan czegoś? Pamiętam, że nie pija pan alkoholu, ale może kawę? Albo...

– Nie, dziękuję. Za to chętnie bym zapalił, jeśli to panu nie przeszkadza.

– Ach, bay goldy! Kiedyś to była moja ulubiona marka... Nie, dziękuję. Rzuciłem. Uciekałem w nałóg przed trzeźwością osądu i raz czy drugi omal nie sprowadziłem na siebie katastrofy.

Gadka szmatka. Nieoczekiwanie Norman znalazł właściwe słowa, żeby wyrazić swoje myśli. Ściskając w palcach niezapalonego blanta, zagaił:

– Proszę posłuchać, panie Masters: powiem to, co chcę powiedzieć, a potem wyjdę i nie będę pana więcej niepokoił. Zacznijmy od tego, że mam świadomość, że przy lunchu nie zrobiłem najlepszego wrażenia.

Elihu rozparł się wygodnie na krześle, założył prawą nogę na lewą, zetknął dłonie czubkami palców i czekał.

– Nie chodzi mi o wrażenie, jakie miałem wyrzucić na panu w zamierzeniu Starej GT i całej reszty korporacyjnych szych. Ono nie ma nic wspólnego ze mną jako człowiekiem, to po prostu element korporacyjnego wizerunku: oto oświecony pracodawca, który zatrudnia

kolorowych wiceprezesów. Stara śpiewka. Wielkie firmy robią tak od pięćdziesięciu, sześćdziesięciu lat, a wszystko po to, żeby zagłuszyć wyrzuty sumienia. Ja jednak chciałem przeprosić za wrażenie, jakie ja sam próbowałem na panu zrobić. – Norman pierwszy raz spojrzął Mastersowi w oczy. – Niech mi pan powie, tak szczerze: co pan o mnie myśli?

– Co o panu myślę? – Elihu parsknął niewesołym śmiechem. – Nie miałem okazji wyrobić sobie zdania na pański temat, ale jeśli pan chce, powiem panu, co myślę o pańskiej grze pozorów.

– O to mi właśnie chodziło.

– Chciał pan dać do zrozumienia sławnemu gościowi, że potrafi pan być gorszym krwawicielem niż całe szefostwo GT.

Cisza się przedłużała. W końcu Elihu opuścił ręce i oparł je na udach.

– Odpowiedziałem na pańskie pytanie, z pańskiego milczenia wnoszę jednak, że niewiele skorzystał pan na mojej odpowiedzi. Proszę tymczasem odpowiedzieć na moje pytanie. Co się z panem działo, kiedy został pan wezwany w związku z zamieszczeniem w komorze Salmanasara?

Norman z wysiłkiem przełknął ślinę, aż mu grdyka podskoczyła.

– Nic ważnego – mruknął w odpowiedzi.

– Nie wierzę panu. Po powrocie stamtąd funkcjonował pan na autopilocie. W całym pańskim zachowaniu podczas lunchu nie było ani śladu prawdziwej osobowości, nic, tylko zestaw uwarunkowanych odruchów, wystarczająco skutecznych, żeby każdy dał się nabrać. Każdy poza psychologiem... albo dyplomata. Nauczyłem się jednym spojrzeniem odróżniać prawdziwego negocjatora od posłańca oddelegowanego do powielania oficjalnego stanowiska swojego rządu. Umie pan okłamywać białych, z którymi pan pracuje, ja jednak zębami zjadłem na rozgryzaniu oszustów. Dlatego ja wiem.

Elihu pochylił się i złapał Normana za lewą rękę. Czubkami palców zaczął sondować przestrzeń pomiędzy ścięgna. Przez chwilę Norman był zbyt zaskoczony, żeby zareagować, w końcu jednak wyszarpnął dłoń, jakby go coś użądliło.

– Jak pan zgadł?

– Nie zgadłem. Kiedy byłem ambasadorem na Haiti, pewien starzec, pan by go pewnie nazwał szamanem, nauczył mnie sztuki czytania z mięśni. W pierwszej chwili pomyślałem, że doznał pan poważnych obrażeń tej ręki, nie wyczuwam jednak żadnych śladów. Czyja to więc była ręka?

– Mojego praprapradziada.

– W czasach niewolnictwa?

– Tak.

– Odcięta?

– Piłą. Za to, że uderzył nadzorcę i ten wpadł do strumienia.

Elihu pokiwał głową.

– Musiał pan być bardzo młody, kiedy pan o tym usłyszał.

– Miałem chyba sześć lat.

– Dzieciom nie powinno się opowiadać o takich rzeczach.

– Jak pan może tak mówić? To właśnie jedna z tych rzeczy, o których dzieci w moim wieku jak najbardziej powinny się dowiedzieć! Sześć lat było w sam raz, żebym się dowiedział, że chłopak, którego lubiłem najbardziej na całej naszej ulicy i uważałem za swojego najlepszego przyjaciela, jest w stanie w mgnieniu oka dołączyć do bandy dzieciaków, których nie lubiłem, i wyzywać mnie od brudasów, czarnuchów i bękartów.

– Zauważył pan, że rzadko się dziś słyszy „bękarta”? Tę obelgę? Mógł pan nie zwrócić uwagi. Ja jestem wyczulony, ponieważ całe lata spędzam za granicą i zanim wrócę, potrafią czasem zajść bardzo poważne zmiany. Dzisiaj zamiast „bękart” słyszy się raczej „krwawiciel”... co pewnie ma oznaczać hemofilię, jak się domyślam.

– Co takiego? – Zdezorientowany Norman pokręcił głową.

– Jeżeli wyraziłem się niejasno, za chwilę do tego wrócę. Jak historia pańskiego przodka wpłynęła na pana?

– W przeszłości odczuwałem ból w tej ręce. – Norman wyprostował ramię. – Powiedzieli mi, że to reumatyzm, ale mylili się. To była kwestia psychosomatyczna. Zdarzało mi się też śnić, że ktoś mnie przytrzymuje i odpiłowuje mi dłoń. Budziłem się z krzykiem, a wtedy matka darła się na mnie z drugiego pokoju, żebym się zamknął i dał jej spać.

– Nie powiedział jej pan o koszmarach?

Norman wbił wzrok w podłogę między swoimi stopami i pokręcił głową.
– Chyba się bałem, że zrugą pradiadka i zabroni mu ze mną o tym rozmawiać.

– A dlaczego chciał pan o tym rozmawiać? Zresztą nieważne, nie musi pan wyklądać kawy na ławę... Ale co takiego wydarzyło się dzisiaj, co łączy się z tą dziecięcą traumą?

– Boża Córa próbowała zniszczyć Salmanasara siekierą. Odrąbała dłoń jednemu z naszych inżynierów.

– Rozumiem. Mogą mu ją przyszyć?

– Naturalnie. Chociaż uprzedzają, że może nastąpić ograniczenie funkcji motorycznych.

– Był pan zaskoczony?

– Czy byłem zaskoczony? Na brodę Proroka, to mało powiedziane! Nie spodziewałem się, że to będzie coś więcej niż jedna z tych ich masakrycznych demonstracji z wykrzykiwaniem haseł i wymachiwaniem transparentami!

– Dlaczego wasza ochrona od razu się nią nie zajęła?

– Są do niczego. Twierdzą, że bali się strzelać z galerii, żeby nie uszkodzić Salmanasara, a zanim zdążyli zejść na dół, ja ją już załatwiłem.

– Ach tak, załatwił ją pan... W jaki sposób?

Norman zamknął oczy i zakrył twarz dłońmi.

– Widziałem kiedyś wyciek ciekłego helu pod ciśnieniem – odparł, ledwie słyszalnie spomiędzy palców. – To mi podsunęło pewien pomysł. Chwyliłem jeden z przewodów z helem i... oblałem jej rękę. Zamarzała na kość. Skryształizowała. I odłamała się pod ciężarem siekiery.

– Domyślam się, że jej ręki nie będą w stanie przyszyć.

– Na brodę Proroka, nie! Została nieodwracalnie uszkodzona, jak przemrożone jabłko.

– Grożą panu jakieś konsekwencje? Zostanie pan oskarżony o okaleczenie tej kobiety?

– Oczywiście, że nie. – W głosie Normana zabrzmiała pogardliwa nuta.

– GT dba o swoich, a biorąc pod uwagę, co zamierzała zrobić

z Salmanasarem... W tym kraju prawo własności zawsze było ważniejsze od praw człowieka. Powinien pan o tym wiedzieć.

– W takim razie jeśli konsekwencje nie są problemem, to musi chodzić o sam akt. Jak się pan czuje z tym, co pan zrobił?

Norman opuścił ręce.

– Mówił panu ktoś, że minął się pan z powołaniem? – spytał z goryczą. – Powinien pan zostać psychem.

– Moje nerwice nie podlegają projekcji na innych neurotyków. Zadałem panu pytanie, a ponieważ, jeśli się nie mylę, właśnie o tym przyszedł pan porozmawiać, to może załatwmy tę sprawę do końca?

Norman drżącą ręką podniósł zapomnianego blanta do ust. Zapalił, zaciągnął się i zatrzymał pierwszy buch w płucach.

– Jak się czuję? – zapytał po pół minucie. – Czuję się oszukany. Zawstydzony. W końcu wyrównałem rachunki. Zdobyłem trofeum: dłoń białodupca. A w jaki sposób znalazłem się w miejscu, w którym mogłem tego dokonać? Przestrzegając reguł ustanowionych przez Człowieka. Ale to są złe reguły! Mój przodek nie będzie miał z tej odciętej ręki żadnego pożytku, bo od dawna nie żyje!

Znowu zaciągnął się dymem i tym razem wstrzymał oddech na pełną minutę.

– Rzeczywiście, jest martwy – zgodził się z nim Elihu po chwili refleksji. – Dzisiaj. Uważa pan, że należy go opłakiwać?

Norman pokręcił głową.

– Rozumiem. – Elihu przyjął poprzednią pozycję: łokcie na podłokietnikach, czubki palców złączone. – Wspomniałem przed chwilą o czymś, co najwidoczniej wydało się panu niezwiązane z tematem: o tym, że dzisiaj ludzie nie wyzywają się już raczej od bękartów. To ważne. Pochodzenie z nieprawego łoża przestało mieć znaczenie, tak jak nie miało znaczenia w erze niewolnictwa, kiedy nasi przodkowie nie pobierali się, tylko po prostu się mnożyli. Za obelżywe jest dziś uważane słowo oznaczające najprawdopodobniej hemofilytyka, co jest odpowiedzią na dominujące we współczesnym społeczeństwie lęki: posiadanie dzieci staje

się niepożądane i aspołeczne, kiedy jest się nosicielem szkodliwego genu. Czy teraz poruszamy się po tej samej orbicie?

– Świat się zmienia.

– Otóż to. Nie ma pan już sześciu lat. Szef nie może traktować podwładnych w taki sposób, w jaki dawno temu biały człowiek potraktował pańskiego prapradziada. Ale czy z powodu tych truizmów świat stał się rajem?

– Rajem?

– Oczywiście, że nie. Czy naprawdę mało panu współczesnych problemów, że zawraca pan sobie głowę takimi starociami?

– No nie, ale... – Norman machnął bezradnie ręką. – Pan nie rozumie, w jaki ślepy zaułek dałem się zwabić! Od lat pracowałem nad obecną wersją samego siebie. Od dziesięcioleci! Co mam teraz zrobić?

– Sam pan musi znaleźć odpowiedź na to pytanie.

– Łatwo powiedzieć, „znaleźć odpowiedź”! Latami nie ma pana w kraju, sam pan powiedział. Nie ma pan pojęcia, jaki naprawdę jest współczesny Człowiek; nie rozumie pan, jak potrafi naciskać, dokuczać, prowokować... Po prostu nie żyje pan moim życiem.

– Uczciwie powiedziane.

– Na przykład... – Norman powiódł pustym spojrzeniem ku ścianie za głową Elihu. – Słyszał pan o niejkiej Guinevere Steel?

– O ile wiem, to ona promuje modny obecnie wśród kobiet styl mechaniczny. Jakby wyszły z fabryki, a nie przyszły na świat z łona matki.

– Zgadza się. Otóż Guinevere Steel wydaje przyjęcie. Świat, o jakim mówię, w pigułce; wszystkie oślizłe indywidua zebrane w jednym miejscu... Powinienem cię tam zaciągnąć, może wtedy byś...

Norman zawiesił głos, wstrząśnięty tym, co mówi i do kogo.

– Panie Masters, najmocniej pana przepraszam! Nie miałem prawa tak się do pana zwracać! – Zażenowany, zerwał się na równe nogi. – Powinienem być panu wdzięczny za okazaną mi wyrozumiałość, a zamiast tego obrażam pana i...

– Proszę usiąść.

– Słucham?

– Powiedziałem, proszę usiąść. Pan może skończył, ale ja jeszcze nie. Czuje pan, że jest mi coś winien?

– Ależ oczywiście! Gdybym nie mógł dzisiaj z kimś porozmawiać, chyba bym zwariował!

– Z ust mi pan wyjął te słowa – odparł z ironią Elihu. – Czy słusznie domniemywam, że w tej chwili nienaruszalność tajemnic firmowych GT nie jest dla pana sprawą najwyższej wagi?

– Absolutnie. Wiem o tym aż za dobrze.

– Co takiego? – zdziwił się Elihu.

– To sprawa prywatna... Ale właściwie po co miałbym to ukrywać? Dziś wieczorem wyszło na jaw, że laska, z którą się ostatnio zadawałem, jest szpiegiem przemysłowym. Mój współlokator znalazł urządzenie podsłuchowe ukryte w poli-organach, które ze sobą przywiozła. – Norman roześmiał się chrapliwie. – Proszę pytać o cokolwiek pan zechce... Zawsze będę mógł twierdzić, że to ona wykradła tajemnicę.

– Jeżeli w ogóle ma mi pan coś powiedzieć, wolałbym, żeby powiedział pan wprost.

– Ma pan rację, nie powinienem był tego mówić. Słucham.

– Po co, zdaniem ludzi z GT, nawiązałem kontakt z waszą firmą?

– Nie wiem. Nikt mi nie powiedział.

– A sam pan się nie domyślił?

– Nie do końca... Rozmawialiśmy o tym dzisiaj z moim współlokatorem, ale nie doszliśmy do żadnych wniosków.

– A gdybym powiedział panu, że zamierzam zaprzedać swojego najlepszego przyjaciela Człowiekowi w niewolę i że moim zdaniem wyjdzie mu to na dobre... Co wtedy?

Usta Normana powoli rozszerzyły się w okrągłutkie O. Pstryknął palcami.

– Chodzi o prezydenta Obomiego?

– Jest pan niezwykle inteligentnym człowiekiem, panie House. Więc jak?

– Ale co oni mają takiego, czym GT mogłoby być zainteresowane?

- Chodzi nie tyle o GT, ile raczej o Państwo.
- Które nie będzie chciało ryzykować kolejnego kryzysu à la Isola?
- Zaczyna mnie pan zdumiewać. Naprawdę.

Norman poczuł się skrępowany.

– Szczerze mówiąc, był to jeden z pomysłów, jakie przewinęły się w rozmowie z moim współlokatorem. Chociaż, gdybym nie usłyszał o tym od pana, nie dałbym mu wiary.

– Dlaczego nie? Roczny zysk GT jest prawie pięćdziesiąt razy wyższy niż produkt krajowy brutto Beninii; mogliby kupić albo sprzedać całkiem sporo krajów słabo rozwiniętych.

– Zgoda, nie podważam takiej teoretycznej możliwości, ale pytanie pozostaje w mocy: co takiego ma Beninia, co GT chciałoby mieć?

– Dwudziestoletni projekt rekultywacji, którego celem jest stworzenie w Afryce Zachodniej zaawansowanego przyczółka przemysłowego, obsługiwanego przez najlepszy port w Zatoce Beninu i zdolnego konkurować na własnych warunkach i własnym terenie z Dahomalią i RUNG. Państwo dysponuje wynikami analiz komputerowych, z których wynika, że tylko interwencja sił zewnętrznych może zapobiec wybuchowi wojny o Beninię po śmierci mojego dobrego przyjaciela Zaddiego... A dzień ten nie jest wcale tak odległy, jak bym chciał. Ziomek zaharowuje się na śmierć.

– I ten przyczółek będzie własnością GT?

– Zostanie... wynajęty GT, tak bym to ujął.

– W takim razie proszę tego nie robić.

– Ale jeśli alternatywą jest wojna...

– Jako młodszy wiceprezes mam wgląd w firmę od środka i powiem panu, że wojna nie jest nawet w połowie tak odrażająca jak to, co GT potrafi zrobić z człowiekiem. Proszę mnie posłuchać! – Norman pochylił się. – Wie pan, w co oni mnie wrobili? Wykupiłem subskrypcję tych popieprzonych firemek pracujących dla Biura Badań Genealogicznych, które utrzymują, że na podstawie genotypu są w stanie określić genealogię człowieka. I wie pan co? Nie zamówiłem ani jednego badania, które

miałoby na celu prześledzenie mojego aframskiego dziedzictwa. Nie wiem, skąd pochodzili moi czarni przodkowie!

– Przypuśćmy, że to na rozkaz pańskiego odległego kuzyna, albo mojego, obce wojska wkroczą do Beninii. Co zostanie z tego kraju? Przegrany pozostawi za sobą spaloną ziemię, zgłiszcza i trupy!

Norman stracił odrobinę pewności siebie. Wzruszył ramionami i pokiwał głową.

– Pewnie ma pan rację. W końcu wszyscy jesteśmy tylko ludźmi.

– Powiem panu, jak to ma wyglądać. GT skredytuje całe przedsięwzięcie, a Państwo przez pośredników, głównie afrykańskie banki, wykupi pięćdziesiąt jeden procent udziałów. GT zagwarantuje stopę zwrotu na poziomie pięciu procent w okresie dwudziestu lat i opublikuje szacunkowe prognozy zysków na poziomie ośmiu procent. Nawiasem mówiąc, te szacunki mają solidne oparcie w dotychczasowych obliczeniach; Salmanasar powinien je potwierdzić, gdy tylko wprowadzą do niego wszystkie dane. Wtedy zaczną werbować personel pedagogiczny, głównie spośród dawnych administratorów kolonialnych i tym podobnych, ludzi obeznanych z lokalnymi warunkami. Pierwsze trzy lata to inwestycje przede wszystkim we właściwe odżywianie, warunki sanitarne i budownictwo. Potem nastąpi dziesięć lat intensywnych szkoleń: najpierw likwidacja analfabetyzmu, a potem program edukacji technicznej, po którym populacja Beninii będzie się składać w osiemdziesięciu procentach z robotników wykwalifikowanych. Widzę, że mi pan nie dowierza? Ja osobiście uważam, że to się może udać. Nie ma drugiego kraju na świecie, w którym taki plan by się powiódł, ale w Beninii to możliwe. Ostatnie siedem lat będzie przeznaczone na budowę fabryk, instalację maszyn, pociągnięcie linii energetycznych, budowę dróg... Krótko mówiąc, wszystko to, co uczyni z Beninii najlepiej rozwinięty kraj na kontynencie, nie wyłączając Afryki Południowej.

– Allahu, bądź miłościw... – mruknął Norman. – A skąd weźmiecie prąd, który popłynie w tych liniach energetycznych?

– Z elektrowni pływowych, słonecznych i głębokościowych geotermalnych; głównie z tych ostatnich. Na tej szerokości geograficznej

gradient temperatury między powierzchnią i dnem morza byłby ponoć w stanie zasilić kraj o wiele większy od Beninii.

Norman się zamyślił.

– W takim wypadku – odezwał się po dłuższej chwili – surowce miałyby zapewne pochodzić z ŚPG?

W zachowaniu Mastersa pojawiła się nowa nuta serdeczności.

– Jak już wcześniej wspomniałem, panie House, zdumiewa mnie pan. Kiedy spotkaliśmy się dziś po raz pierwszy, pański wizerunek był tak... ehm... idealnie powierzchowny, że zupełnie nie spodziewałem się po panu takiej przenikliwości. Ale tak, to właśnie ma być marchewka, którą zwabimy osiołka-GT: obietnica udostępnienia rynku, na który będą mogli wprowadzić surowce wydobywane w ramach ŚPG.

– Sądząc po tym, co mi pan powiedział, domyślam się, że byli zachwyceni.

– Jest pan pierwszą osobą w GT, która poznała szczegóły projektu.

– Pierwszą... Ale dlaczego? – spytał niemal płaczliwym tonem Norman.

– Nie wiem. – Elihu nagle wydał się zmęczony. – Może dlatego, że zbyt długo trzymałem to w tajemnicy, a pan akurat się nawinął, kiedy tama pękła. Mam zadzwonić do panny Buckfast i powiedzieć, żeby wysłali pana do Port Mey na wstępne negocjacje?

– Ja... Zaraz, chwileczkę! Skąd pewność, że się zgodzi, skoro nawet nie przedstawił jej pan tej sprawy?

– Miałem okazję ją poznać. A mnie wystarczy jedno spotkanie, żeby wiedzieć, czy ktoś jest zainteresowany posiadaniem dziewięciuset tysięcy niewolników.

Świat tu-i-teraz (5)

OBYWATEL BAKCYL

Si monumentum requiris, circumspice

Zrób bilans, obywatelu bakcyl,
Teraz, kiedy są was miliardy,
A ty wykrwawiasz się z otwartych żył
Do wanny albo do Pacyfiku,
Zrób bilans tego, z czego cię zapamiętają.

Nagrobki, obywatelu bakcyl?
„Zasnął w Bogu ukochany mąż
Mary, ojciec Jima i Jane”?
Ale cmentarz na rogu Piątej i Oak został zamknięty.
Wybudowali na nim blok mieszkalny.

Idee, obywatelu bakcyl?
Wychowali cię, wykształcili,
Nauczyli przejawiać inicjatywę,
Ale teraz nasze społeczeństwo
Chce, żebyś był statystyką.

Wytwory twojej ręki, obywatelu bakcyl?
Jest wielce prawdopodobne,
Że masz talenty i wysokie kwalifikacje,

Ale taśma w fabryce chemicznej
Ma dokładność pojedynczych cząsteczek.

Syn, obywatelu bakcyl?
Zgłoś się do Rady Postępowania Eugenicznego,
Przedłóż im próbkę swojego genotypu,
Ale bądź gotowy na odmowę,
A pomstując, bacz, by nie usłyszeli cię sąsiedzi.

Nie, nie, obywatelu bakcyl!
Oto twój pomnik, dumny i wysoki!
Samochody, które zużyłeś, ubrania, które znosiłeś,
Puszki, które opróżniłeś, meble, które połamałeś,
I całe twoje gównno, którym pozatykałeś kanały.

Si monumentum requiris, circumspice...

na zbliżeniu (7)

PRZESADA

Do niedawna Eric Ellerman był przekonany, że to najgorsza pora dnia – czas pomiędzy przebudzeniem i przybyciem do firmy, który codziennie przeznaczal na przygotowanie do ciężkiej próby, jaką było spotkanie się z kolegami z pracy. Teraz jednak nie było żadnej „najgorszej pory”.

Życie stało się po prostu piekłem.

Z wnęki śniadaniowej, w której wielkimi haustami przełykał drugą syntetyczną kawę (podatek od trzeciego dziecka odebrał mu możliwość picia prawdziwej), widział ciągnące się kilometrami i skrzące się w promieniach porannego słońca ciepłarnie, które wspinały się po przeciwległym zboczu doliny i przelewały przez jej krawędź do następnego zagłębienia terenu. Ponad nimi majaczyła gigantyczna pomarańczowa tablica: DLA MNIE – TYLKO HITRIP OF CALIFORNIA, MÓWI „CZŁOWIEK, KTÓRY OŻENIŁ SIĘ Z MARYŚKĄ”!

Jak długo jeszcze dam radę żyć, codziennie widząc swoje dzieło?

Zza lichej ścianki działowej pokoju dziecięcego dobiegało marudne zawodzenie bliźniaczek, zaniedbanych przez Ariadne zajęta szykowaniem Penelope do szkoły. Mała zresztą też już się rozplakała. Kiedy dobiegnie łomot z mieszkania sąsiadów? Eric zerknął nerwowo na zegarek i stwierdził, że zdąży jeszcze dopić kawę.

– Arry?! – zawołał. – Weźże je ucisz!

– Staram się! – usłyszał nieprzyjazną odpowiedź. – Mógłbyś mi pomóc przy Penny!

Jak na dany znak rozległo się walenie za ścianą.

Pojawiła się Ariadne – rozczochrana, z odsłoniętym obwisłym brzuchem, popychająca przed sobą Penelopę, która tarła opuchnięte od płaczu oczy i nie zamierzała patrzeć, gdzie idzie.

– Jest cała twoja – burknęła Ariadne. – Baw się dobrze!

Nagle Penny skoczyła naprzód, rozkładając szeroko ramiona. Jedną rączką uderzyła w trzymany przez Erica kubek. Resztką kawy chlusnęła na parapet i pociekła na podłogę.

– Ty mała krwawicielko! – wybuchnął Eric i spoliczkował dziewczynkę.

– Eric! – wydarła się Ariadne. – Przestań!

– Zobacz, co zrobiła! Cud, że nie wylała mi tego na ubranie! – Eric zerwał się na nogi, uskakując przed strużką ciemnobrunatnego płynu spływającą z krawędzi wbudowanego w ścianę składanego stolika. – A ty się zamknij! – dodał pod adresem najstarszej córki.

– Nie mów tak do niej! – upomniała go Ariadne.

– Masz rację, przepraszam. Zadowolona? – Sięgnął po torebkę z drugim śniadaniem. – Ale teraz idź ucisz dziewczynki, z łaski swojej, zanim ktoś przyjdzie się poskarżyć i zobaczy cię w takim stanie. I na miłość boską, przed wyjściem z domu koniecznie włóż ten nowy gorset! Może uda się w ten sposób rozwiać chociaż część plotek.

– I tak już robię, co mogę! Kiedy idę po pigułki do sklepu na rogu, staram się, żeby wszyscy słyszeli, co kupuję. Zawsze trzymam pod pachą Biuletyn Małodzietnych i...

– Wiem o tym, wiem. Mnie nie musisz tego tłumaczyć, wytłumacz to naszym pomierzwionym sąsiadom. A teraz idź ucisz bliźniaczki, błagam!

Zirytowana Ariadne poszła podjąć próbę uciszenia dzieci. Eric złapał córkę za rękę.

– Chodź – mruknął, kierując się do wyjścia.

Niewiele brakuje, żeby powiedzieli mi bez ogródek, że powinienem się rozwieść. Może faktycznie powinienem. Za to na pewno powinienem dostać podwyżkę za pracę włożoną w opracowanie Przesady; Bóg jeden wie, jak bardzo by mi się przydała (nie wolno mi tak mówić, nie wolno, będą przekonani, że skoro tak mówię, to naprawdę jestem tym, za kogo

mnie mają), i może nawet bym ją dostał, gdyby nie podejrzania wobec Arry...

Otworzył drzwi, wypchnął Penelope na korytarz... i dopiero wtedy zobaczył, co znajduje się na ścianie obok numeru mieszkania. Taśmą klejącą ktoś przylepił do paneli jedną z tych topornych meksykańskich figurek Matki Boskiej, jakie można było dostać za dolara w lokalnym sklepiku z błyskotkami, i wepchnął jej w półotwarte usta pigułkę antykoncepcyjną.

Poniżej widniały wypisane kredą, skreślone w pośpiechu słowa: „Co dobre dla niej, powinno być dobre i dla ciebie!”.

– Laleczka! – wykrzyknęła Penelope, zapominając o mocnym postanowieniu, że będzie płakać tak długo, aż opadnie z sił. – Mogę ją sobie wziąć?

– Nie możesz! – ryknął Eric.

Oderwał figurkę od ściany, rzucił na ziemię i podeptał, aż została z niej kupka kolorowych odłamków. Wierzchem dłoni rozmazał litery, tak że napis stał się nieczytelny.

Penelope rozbeczała się na nowo.

W głębi korytarza rozległ się głośny szyderczy śmiech, sądząc po głosie – chłopca w wieku dziesięciu, może dwunastu lat. Eric okręcił się w miejscu, ale mignęła mu tylko znikające za zakrętem stopa.

Znowu ten szczeniak od Gadsdenów. Mały krwawiciel!

Rzucanie oskarżeń nic by mu jednak nie dało. Dennis Gadsden – pewny siebie, spokojny, że nigdy nie będzie miał więcej niż jedno dziecko i wystarczająco sprawny w lokalnej polityce, żeby trzy razy z rzędu wybrano go na blokojca – nie musiałby się nawet wysilać i zaprzeczać.

Nic nie mogłem poradzić na to, że za drugim razem zamiast jednego szczeniaka trafiły się bliźnięta. Tak jak nie planowałem, że będę miał same pomierzwione córki! Wyznaczenie płci kosztuje! Poza tym to nie jest nielegalne: mamy czyste genotypy, żadnej cukrzycy, hemofilii, nic!

Rzeczywiście, nie było to niezgodne z prawem – tylko że to nie miało żadnego znaczenia. Żadne ustawy eugeniczne nie weszłyby w życie – nie mogłyby wejść! – gdyby nie rozpowszechniło się przekonanie, że

posiadanie trojga lub więcej dzieci jest nie fair w stosunku do innych. W kraju, którego czterysta milionów mieszkańców wychowało się na marzeniu o rozległych pustych przestrzeniach, gdzie każdy może robić co mu się żywnie podoba, było to nawet logiczne.

Nie możemy tu dłużej mieszkać.

Ale jeśli nie tutaj, to gdzie? I tak już balansowali na granicy bankructwa z powodu podatku nałożonego na rodziny z więcej niż dwójką dzieci. Gdzie indziej w Kalifornii koszty dojazdu do pracy byłyby zabójcze – a musieliby się przeprowadzić naprawdę daleko, żeby uciec przed ciągnącą się za nimi reputacją, nawet gdyby jedną z bliźniaczek oddali do adopcji. Przeprowadzka do Nevady pozwoliłaby im wprawdzie uniknąć podatku, ale właśnie dzięki temu, że ten niepokorny stan odmówił wprowadzenia podatków dziecięcych i wszelkiego ustawodawstwa eugenicznego ponad absolutne minimum, ceny nieruchomości były tam dwu- lub nawet trzykrotnie wyższe niż w Kalifornii.

Tylko... czy ja na pewno chcę zostać w tej pracy?

Jakimś cudem zjechali windą na parter sami, tylko on i Penelope. Podczas tej krótkiej przejażdżki rozmyślał o przenosinach i doszedł do tego samego wniosku co zwykle: jeśli chciał marzyć o nowej pracy porównywalnej do obecnego stanowiska, musiałby wyprowadzić się bardzo daleko, rozwieść z Arry (nadmierna płodność jako powód rozwodu była w Nevadzie dopuszczalna, w odróżnieniu od Kalifornii i innych stanów) i zerwać wszelkie więzi z rodziną.

Tak czy inaczej, specjalizował się w manipulacji genetycznej i selekcji odmian marihuany. To była jego najcenniejsza umiejętność. A Hitrip of California z łatwością mogło mu narzucić dziesięcioletni zakaz pracy dla konkurencji na podstawie Ustawy o Tajemnicach Przemysłowych.

Był w potrzasku.

Drzwi windy otworzyły się i Eric pociągnął Penelope (jak zwykle stawiającą opór) w głąb korytarza prowadzącego do blokowej szkoły. Zdławił w sobie wyrzuty sumienia, że porzuca córkę na łaskę rówieśników, tym samym co zawsze gładkim wytłumaczeniem, że dobrze jej zrobi rzucenie na głęboką wodę, i skręcił na stację rapitransu.

Tyle dobrego, że tych czterech wirachów, którzy mu się ostatnio naprzykrzali, od dwóch dni nie dawało znaku życia. Może im się znudziło. Może to nie nim byli zainteresowani.

Przepuścił bilet przez automatyczną bramkę i wszedł na peron, żeby tam poczekać na buczący cicho jednoszynowy pociąg.

Już tam byli. Stali pod filarem i czekali.

Tego dnia na peronie panował jeszcze większy ścisk niż zazwyczaj. Pociągi musiały mieć opóźnienie, a to oznaczało, że gdzieś na trasie najpewniej znów doszło do sabotażu. System rapitransu był głównym celem propekińskich „bojowników”. Nawet najintensywniejsze patrolowanie trasy było nieskuteczne wobec takiej taktyki, jak zrzucenie na tory butelki, która z pozoru zawiera nieszkodliwy napój, a w rzeczywistości jest wypełniona zmodyfikowanymi bakteriami, które przeżerają się przez stal lub beton i zmieniają je w kruchą gąbkę. W innych okolicznościach Eric byłby wściekły, ale dzisiaj tłum zniecierpliwionych pasażerów dawał mu szansę uniknięcia spotkania z wirachami.

Prześliznął się dyskretnie w głąb peronu, pilnując, żeby jak najwięcej ciała oddzielało go od czterech kolorowo ubranych młodziaków... i przez chwilę myślał, że mu się udało. Kiedy jednak pociąg wtoczył się w końcu na stację, Eric poczuł szturchnięcie w plecy. Obejrzał się i stwierdził, że przepchnęli się do niego i wzięli go w kleszcze: po dwóch z każdej strony.

Przywódca z nieszczerym uśmiechem dał mu znak, żeby wsiadł pierwszy. Roztrzęsiony Eric posłusznie wszedł do wagonu.

Oczywiście tłok w środku wcale się nie zmniejszył; tylko ci szczęściarze, którzy wsiadali na pierwszej stacji, mogli się cieszyć miejscem siedzącym. Jednak panujący w pojeździe hałas pozwalał prowadzić dyskretną rozmowę, jeśli tylko mówiący pochylił się nad uchem słuchacza – i to właśnie zrobili wirachy.

– Ty jesteś Eric Ellerman – powiedział pierwszy. Odrobina śliny prysnęła mu z ust i wylądowała na policzku Erica.

– Pracujesz w Hitripie.

– Mieszkasz w tamtym bloku, pod numerem 2704.

– Twoja żona ma na imię Ariadne.

- I macie za dużo progenów, zgadza się?
- Progenów? Otępiały ze zgrozy umysł Erica przez chwilę zmagął się z obcym słowem, zanim w końcu rozgryzł jego znaczenie: od „progenitura”, czyli „potomstwo”. Dzieci.
- Jestem Oggie Lucas.
- Mnóstwo ludzi może ci coś powiedzieć o Oggie’em. Ludzi, którzy są mu posłuszni i... bezpieczni.
- To jest Zink, mój zamiennik. Wredny ziom. Skurczybyk jakich mało.
- Dlatego słuchaj nas uważnie, Ericu, złotko ty moje. Musisz nam coś załatwić.
- Bo jeśli nie, to wszyscy dowiedzą się o tobie różnych rzeczy.
- Na przykład takich, że w Pacific Palisades, skąd pochodzisz, masz jeszcze inne szczeniaki, z drugą laską.
- Tak że w sumie masz nie trójkę, tylko piątkę. Albo i szóstkę.
- Ludzie będą cię za to uwielbiać. Po prostu uwielbiać!
- I pewnie będą zachwyceni, kiedy się dowiedzą, że potajemnie chodzisz na nabożeństwa prawokatolików, hmm?
- I masz specjalną dyspensę od papieża Eglantyna w Madrycie, żeby kupować Biuletyn Małodzietnych...
- Na dodatek wcale nie masz czystego genotypu, jak wszystkim powtarzasz. Przekupiłeś tajnego agenta prawokatolików w biurze eugenicznym, żeby sfalszował twoje dane...
- Twoje szczeniaki, kiedy dorosną, prawie na pewno będą miały schizofrenię albo...
- A jak nie one, to ich szczeniaki...
- Czego chcecie? – wykrztusił w końcu Eric. – Zostawcie mnie w spokoju. Zostawcie mnie!
- Spoko – wtrącił pojednawczo Oggie. – Ty realizujesz nasz program, my dajemy ci spokój. Obiecuję. Więc tak... Pracujesz w Hitripie, a Hitrip ma coś, co my chcielibyśmy mieć.
- Przesadę – dopowiedział z drugiej strony Zink.
- Wystarczy paczuszka nasion – wyjaśnił Oggie. – Malutka. Jak działka trawki. To wszystko.

– Ale... to niedorzeczne!

– Nie gadaj.

– Tego się nie wysiewa! Poza tym Przesada stale potrzebuje specjalnych środków chemicznych... Nie da się jej hodować w skrzynce na parapecie, na Boga!

– To chyba twój dobry kumpel, co? Ten Bóg? Cały czas podsyłasz mu nowych rekrutów do chóru niebiańskiego... Rozmnażasz się tak, jak tego chciał. Mam rację, prawokatoliku?

– Zapnij twarz, Zink. Jak nie z nasion, to z czego ją hodujecie? Z sadzonek?

– T-tak.

– Niech będą sadzonki. Trzy pięćdziesiąt za paczkę dziesięciu baciorów z Przesady to lekka przesada. Chociaż przyznaję, że towar jest wporzo. No, więc tak wygląda nasz program, złotko: paczuszka dobrych, zdrowych sadzonek, plus cała rozpiska, jak się z nimi obchodzić. A wtedy my w swojej łaskawości nie wspomnimy nikomu o twoich szczeniakach z Pacific Palisades.

Pociąg zwalniał przed następną stacją.

– To niemożliwe! – zaprotestował rozpaczliwie Eric. – Ochrona... Nie macie pojęcia, jak ich pilnują!

– Jeżeli nawet genetyk, który stworzył Przesadę, nie może jej z bliska oglądać, to kto może? – zauważył Oggie.

Czterech wirachów przesunęło się ku drzwiom. Pasażerowie, zerkając na ich charakterystyczne ubrania, schodzili im z drogi.

– Czekać! Nie mogę tak po prostu...

Ale drzwi już się otworzyły i wirachy wtopili się w tłum na peronie.

kontekst (8)

ODOSOBNIENIE

„W gruncie rzeczy rodzaj ludzki uważa idealizm za krępującą pozę. Najlepszym dowodem prawdziwości tej tezy jest fakt, że żadna ze stron nierozstrzygalnego konfliktu pacyficznego nie jest w stanie osiągnąć oficjalnie głoszonego celu. A przecież bezstronny obserwator, widząc przyświecające im proste, przekonująco wyłożone i w oczywisty sposób atrakcyjne idee, może zacząć się poważnie zastanawiać, dlaczego zaangażowanie w ich realizację nie jest czymś równie naturalnym, jak następstwo dni i nocy.

»Oddajmy bogactwo tym, którzy je tworzą!«. Oto idea zdolna porwać do krucjaty ludzi, którzy zinterpretują ją jako wezwanie do wydziedziczenia chciwych właścicieli ziemskich, podzielenia ziemi w taki sposób, żeby każda rodzina mogła się z niej rozsądnie wyżywić, oraz wypowiedzenia zaciągniętych na lichwiarski procent długów w instytucjach pożyczkowych. Tym wezwaniem Chińczycy trafili w dziesiątkę i parli naprzód tak długo, aż przeszarżowali. Stracili umiejętność odróżniania zła, które tępią, od tradycyjnych wpływów kształtujących styl życia ludzi, których chcieli zwerbować pod swoje sztandary. Nie trzeba było długo czekać, żeby wpadli w tę samą pułapkę co ich rywale, którzy przez dziesięciolecia ignorowali prosty, oczywisty fakt, że dla człowieka głodnego »wolność« oznacza pełną miseczkę ryżu albo, jeśli ma wyjątkowo bujną wyobraźnię, zdrowego wołu, który pociągnąłby pług – nie ma jednak absolutnie nic wspólnego z głosowaniem na delegata politycznego.

Podobnie jak żołnierze armii carskiej, którzy podczas pierwszej wojny światowej masowo dezercerowali nie dlatego, że bolszewicy tak

wstrząsnęli ich morale, tylko dlatego, że mieli szczerze dość wojny, chcieli wrócić do domów i znów zająć się uprawą roli, tak i pierwsi gorliwi rekruci zebrani pod czerwoną flagą odkryli, że kiedy oni giną za granicą, w ich ojczyźnie walą się fundamenty tego wszystkiego, co chcieli obronić. Odeszli więc i nagle Chińczycy, tak jak wcześniej Rosjanie, odkryli, że kłębi się wokół nich gromada ideowych spadkobierców nieodżałowanego marszałka Tito, z których całkiem sporo przeniknęło już w głąb ich kraju.

Jednakże przez ten czas opozycja (albo, jeśli wolicie, »nasi« – ja jednak osobiście nie identyfikuję się z tą zgrają nieudaczników) – nieudolna, zmagająca się z uprzedzeniami rasowymi, stosująca niewłaściwą broń (choć w słusznej wojnie) i ogólnie bałaganiarsko zarządzana – dorobiła się takich zaległości, że po dziś dzień jej największa zdobycz terytorialna w konflikcie, który ma ogromne szanse odebrać palmę pierwszeństwa wojnie stuletniej, zarówno jeśli chodzi o czas trwania, jak i nijakość wyników, zaledwie przywróciła chwiejną równowagę i nie była w stanie przechylić szali zwycięstwa.

Nie możemy nawet uczciwie twierdzić, że był to wynik naszej dalekowzroczności i planowania – co najwyżej, kiedy opłacało się zagarnąć nowe ziemie, to je zagarnęliśmy. Nie dajcie sobie wmówić, że istnienie Isoli jest dowodem wyższości zachodniego systemu. Chińczycy nie mieli szans jej przejąć. Nie istniała żadna forma społecznego niezadowolenia, którą mogliby wykorzystać. Jak obudzić niechęć wobec nieobecnego właściciela ziemskiego lub łapownika, kiedy ambicje zapędzonych w kozły róg ludzi nie sięgają dalej niż to, by stać się jednym z nich?

Życie na Filipinach stało się nie do zniesienia na długo przed wojną domową, która wybuchła w latach osiemdziesiątych. Kraj (jego stan pewne źródła mylnie określały mianem anarchii, chociaż każdy przyzwoity słownik potwierdzi, że to nieprawda; mieliśmy raczej do czynienia ze swobodą gospodarczą i kapitalizmem, które zupełnie ześwirowały) znalazł się o krok od permanentnej ruiny. Rocznie dochodziło tam (w pięćdziesięciomilionowej populacji) do trzydziestu tysięcy morderstw, których sprawcy pozostawali nieznanymi. Kiedy mieszkańcy archipelagu Sulu, gdzie popełniano większość tych zbrodni, wszczęli bunt, który

zakończył się śmiercią prezydenta Sayhy w zamachu, zaprotestowali w ten sposób przeciwko ograniczaniu ich tradycyjnego prawa do mordów i kradzieży. Tej ingerencji nie mogli prezydentowi wybaczyć.

Owszem, z pewnością znaleźliby się wśród tej sławnej osiemdziesięcioośmioprocentowej większości plebiscytowej również tacy, którzy żywili nadzieję, że rządy waszyngtońskiego Wielkiego Brata zapewnią im spokojniejsze życie, w którym zbędne będą kuloodporne żaluzje w oknach i miny przeciwpiechotne w ogródkach. Znacznie więcej było jednak takich, którzy postrzegali przynętę (pełnia praw kolejnego stanu, plus miliard dolarów pomocy finansowej) jako kolejny smakowity tort, z którego i oni będą mogli coś uszczknąć.

Czy jedni albo drudzy doczekali się spełnienia swoich marzeń? Drogi Czytelniku, Ty chyba żartujesz! Tubylcy nawet nie powąchaliby z bliska owego okrzyczanego miliarda dolarów, który wydano na drogi, lotniska, infrastrukturę portową i obronną. I o ile prawdą jest, że przemytnicy i nielegalni handlarze, wcześniej bezkarni, zebrali niezłe baty, o tyle należy pamiętać, że, chcąc się ich pozbyć, nowi właściciele wprowadzili stan wojenny, który trwa nieprzerwanie od 1991 roku!

Najmłodszy stan – nazwany »Isolą« jako kraina wyspiarska, przez analogię do będącej stanem górzystym Montany – wpadł z deszczu pod rynną. Za to Amerykanie, którzy rozpaczliwie potrzebowali baz wojskowych położonych bliżej kontynentu azjatyckiego niż dotychczas posiadane, byli w miarę zadowoleni.

Tymczasem Chińczyków, którzy w ramach kontrofensywy rozpoczęli umizgi do Yatakangu, spotkał srogi zawód. Mieszkańcy Yatakangu wywodzą się z nacji, która w przeszłości zajmowała dominującą pozycję w Azji Południowo-Wschodniej, i niezachwianie wierzą w starą wojskową maksymę, że pierwszą czynnością, jakiej należy dokonać po zdobyciu sprzymierzeńca, powinno być przygotowanie planu na dzień, w którym ów sprzymierzeniec wystrychnie nas na dudka. Z faktu, że są Azjatami, nie wynika jeszcze, że pójdą ze swoimi żółtymi krewniakami do łóżka. Z drugiej strony, z faktu, że nie pokłonili się Pekinowi, nie należy wyciągać pochopnego wniosku (do którego śpieszno niektórym znanym mi

waszyngtońskim blockersom), że chcą zostać drugą Isolą. Po co mieliby to robić? W Yatakangu szafa gra: kraj należy do największych na świecie, według azjatyckich standardów jest wręcz niewyobrażalnie zamożny i, sądząc z dotychczasowego zachowania, może do końca świata bawić się wygrywaniem Waszyngtonu przeciw Pekinowi.

Do końca świata? No, może trochę przesadzam. W całym tym smętnym obrazku znanym jako Strefa Konfliktu Pacyficznego jest jeden jasny punkt. Według moich obliczeń, około roku 2500 powinniśmy wybić do nogi wszystkich przedstawicieli rodzaju ludzkiego dostatecznie głupich, żeby chcieli oddawać się rozrywce znanej pod nazwą »wojny o ideały«. Przy odrobinie szczęścia osobnicy ci nie rozsieją nawet swoich genów, ponieważ zginą w wieku powszechnie uważanym za zbyt młody, by mogli wziąć na siebie obowiązek rozmnażania się. Może wtedy dla odmiany zaznamy wreszcie trochę spokoju”.

– Chad C. Mulligan, *Lepszy? niż?*

ciągłość (7)

BROŃ I BEZCZYNNOŚĆ

W pustym mieszkaniu Donald czuł się przyduszony. Właściwie nie miałyby nic przeciwko temu, żeby Victoria wróciła i oboje udawali, że nic się nie stało, dopóki Norman nie wezwałby stróżów prawa, żeby ją zgarnęli.

Zamówił przez wideofon posiłek z blokuchni, zanim jednak mu go dostarczono, apatia wzięła górę nad apetytem. Nastawił kupioną niedawno płytę i usiadł wygodnie, żeby podziwiać dopasowaną do muzyki grę kolorów na ekranie, ale ledwie popłynęła melodia, już zerwał się na nogi i zaczął niespokojnie spacerować po mieszkaniu. W telewizji nie znalazł nic interesującego. Dzień albo dwa dni temu ktoś przekonał go, żeby zamówił zestaw do poliformingu. Teraz Donald zajrzał do środka i przez chwilę zastanawiał się, czy nie spróbować zrobić kopii *Pocałunku Rodina*, powstrzymał się jednak w pół gestu i zamknął pudełko.

Zły na siebie, wyrztał przez okno. O tej porze wieczoru Manhattan prezentował się najpiękniej, niczym jaskinia Aladyna wypełniona kolorowymi światełkami, olśniewającymi jak gwiazdy w jądrze galaktyki.

Tam są miliony ludzi... Patrzą w górę i zastanawiają się, które z tych słońc oświetla istoty takie jak my. Jezu, kiedy ostatni raz widziałem nocne niebo?

Był wstrząśnięty. Znakomita większość ludzi w ogóle nie wychodziła wieczorami z domu, chyba że ktoś miał jakiś ważny powód; wzywał wtedy taksówkę pod dom i znajdował się na zewnątrz tylko przez krótką chwilę niezbędną do przejścia przez chodnik. A przecież nocna wędrówka ulicami miasta wcale nie musiała być niebezpieczna, czego najlepiej dowodziły setki tysięcy włączających się po nich pieszych. W kraju liczącym czterysta

milionów mieszkańców trafiało się zaledwie od dwóch do trzech wścieków dziennie, a mimo to niektórzy nie mogli dosłownie przejść do następnego skrzyżowania, żeby coś im się nie przytrafiło. Regularnie zdarzały się napaści, kradzieże i pobicia. Czasem nawet wybuchały zamieszki.

Ale przecież musiało jeszcze być w tym świecie miejsce dla zwykłego człowieka pochłoniętego zwykłymi sprawami, prawda?

Nawyk osadził się w umyśle Donalda niepostrzeżenie, jak stopniowo gęstniejąca mgła. Przestał wychodzić z domu później niż o szóstej, siódmej wieczorem, jeśli nie miał ku temu konkretnego powodu. W weekendy najczęściej odbywały się jakieś imprezy, w tygodniu czasem wpadali znajomi Normana, ktoś zapraszał ich na kolację, koncert, darmowydarzenie. Taksówkę, która po nich przyjeżdżała, prowadził mężczyzna (lub kobieta) bezpiecznie oddzielony od nich szybą pancerną, drzwi otwierały się wyłącznie przyciskiem na desce rozdzielczej, a z małej, zgrabnej dyszy systemu klimatyzacji zwieszał się certyfikat potwierdzający wyposażenie wozu w instalację z gazem usypiającym, zatwierdzoną do użytku przez Miejską Komisję Licencyjną. Zasilany ogniwami paliwowymi pojazd przemieszczał się gładko i bezszelestnie, lecz mimo wszystko bardziej przypominał czołg niż samochód, a przejażdżka wywoływała skojarzenia z wyruszaniem na front.

Co ja właściwie wiem o innych ludziach?

Poczuł nowy przyływ tej samej paniki, która ogarnęła go podczas lunchu, a także rozpaczliwą potrzebę porozmawiania z drugim człowiekiem, żeby udowodnić, że na świecie istnieją jeszcze jacyś prawdziwi ludzie, a nie tylko poruszane niewidzialnymi sznurkami marionetki. Podszedł do wideofonu... ale nie, rozmowa z obrazem na ekranie to nie to samo. Nie wystarczy. Chciał zobaczyć i usłyszeć nieznanym, przekonać się, że istnieją niezależnie od niego.

Ciężko dysząc, otworzył drzwi wejściowe. W progu zawrócił jeszcze i cofnął się do sypialni, gdzie otworzył dolną szufladę szafy wnękowej. Pod stosem jednorazowych koszul papierowych znalazł to, czego szukał: gazognat – pistolet gazowy wytwarzany przez GT na licencji tokijskiego Japan Industries, oraz stalorękę.

Z zaciekawieniem obracał stalorękę w dłoniach, zastanawiając się, czy od razu ją włożyć; od dnia zakupu nie miał okazji dobrze jej obejrzeć. Była to właściwie rękawica pozbawiona wnętrza dłoni, wykonana z grubego na centymetr tworzywa wrażliwego na uderzenie. Kiedy się ją ścisnęło, szczypało, wkładało albo zdejmowało, była elastyczna i niemal równie miękka jak dobrze wyprawiona skórka. Kiedy jednak uderzyło się nią o twardą powierzchnię, jej właściwości zmieniały się jak za sprawą magii: od środka pozostawała miękka, żeby złagodzić skutki uderzenia, z zewnątrz zaś stawała się twarda jak metal.

Wsunął w nią palce i z półobrotu grzmotnął pięścią w ścianę. Rozległ się głuchy łoskot, mięśnie powyżej łokcia i cały bark zaprotestowały przeciw takiemu traktowaniu, ale staloręka zareagowała zgodnie z planem: przez kilka sekund Donald nie mógł rozprostować palców, taki opór stawiał rozprężający się powoli plastik.

W pudełku, w którym kupił i przechowywał stalorękę, znajdowała się ulotka ilustrująca jej typowe zastosowania: można było używać jej topornie, tak jak zrobił to przed chwilą, czyli zaciskając pięść, albo subtelniej, zadając cios krawędzią dłoni lub czubkami złączonych palców. Z nerwowym skupieniem wczytywał się w instrukcję, dopóki nie dotarło do niego, że robi dokładnie to, czego wcale nie chciał robić: zachowuje się tak, jakby wyprawiał się z misją na terytorium wroga. Ściągnął stalorękę i schował ją do kieszeni razem z gazognatem.

Gdyby nagle zadzwonił wideofon i na ekranie pojawił się Pułkownik z rozkazem aktywującym i poleceniem stawienia się na służbie... tak właśnie bym się poczuł. Ale przecież nie może tak być. Jeżeli sama perspektywa wyjścia wieczorem z domu tak mnie dołuje, to aktywacja rozwaliliby mnie na kawałeczki.

Z rozmyślną starannością zamknął drzwi i ruszył do wind.

Świat tu-i-teraz (6)

SCENY ULICZNE

*„Nieba nie oglądam, piekło dobrze znam.
W Nowym Jorku mieszkam, nie jestem z tym sam.
Gdy miasto zakryła Kopała Fullera,
Bóg o nim zapomniał i poszedł w cholereę”.*

DROGA JEDNOKIERUNKOWA. KIERUNEK PÓŁNOCNY

– Musiałem się pozbyć pasażera: groził mi energetykiem. Uśpiłem krwawiciela. Narkus, oczywiście. Z daleka to poznałem, ale gdybym odprawiał z kwitkiem wszystkich napotkanych narkusów, to po siódmej po-pe nie miałbym kogo wozić... Nieważne, grunt że chwilowo będę poza zasięgiem. Muszę złożyć skargę.

PRZEJŚCIE PODZIEMNE

Pokoje na godziny. 3 \$.

– A słyszałeś ten o Teresie?

DROGA JEDNOKIERUNKOWA. KIERUNEK ZACHODNI

Licencjonowany żebrak, Nowy Jork. Muldoon Bernard A. Nr PH2 428 226.

DROGA TYLKO DLA PIESZYCH

– Więc mu mówię: słuchaj, kłocu, nie wiem jak ty, ale ja już obchodziłem swój dwudziesty pierwszy. I wcale nie traktuję twojej córki jak kurwy, mówię, zwłaszcza że w życiu nie widziałem kurwy na oczy; są tak samo przestarzałe jak twoja idea ślubu wymuszonego wpadką. Czy nie lepiej jest tak jak jest, mówię, niż żeby musiała się użerać z tą swoją popieprzoną laską macochą? Mowę mu odebrało. Powaga, kompletnie zabrakło mu paliwa w silnikach!

DROGA JEDNOKIERUNKOWA. KIERUNEK POŁUDNIOWY

Menu 8,50 \$, 12,50 \$, 17,50 \$.

– Państwo Uniwersalni przybyli wczoraj na Times Square... Będzie tłoczno.

RUCH PRAWOSTRONNY

Show codziennie wieczorem – i to prawdziwy SHOW.

DROGA JEDNOKIERUNKOWA. KIERUNEK WSCHODNI

– Posłuchaj no... ehm... Ja tu całkiem nieźle znam okolicę. Co powiesz na małą przysługę, hmm? Tak się składa, że chwilowo mam ciut więcej yaginołu niż potrzebuję i...

STÓJ

Codziennie otwarte wykłady. Prezentacje w środy i piątki. Auparištaka, Sanghataka, Gauyuthika i in. Trenerzy-specjaliści. Zapisy na miejscu, termin dowolny. Fundacja im. pani Grundy (oby psy ogryzły jej gnaty).

– Widzisz, wprowadzili do Salmanasara przepis na usztywniacz i...

IDŹ

*Kolosalne niewiarygodne niesamowite obniżki cen! Sklep miliona cudów!
Zapraszamy gości legitymujących się kredytem lub gotówką.*

WŁÓCZĘGOSTWO BĘDZIE KARANE

– Uwaga, uwaga! Mamy doniesienia o pseudotaksówce działającej w centrum East Side. Kierowca usypia i okrada pasażerów. Zatrzymać i sprawdzić wszystkie wozy, rejon Szóstej Ulicy i Alei B.

NIE PLUĆ

Powierzchnia biurowa do wynajęcia. Możliwa adaptacja na lokal mieszkalny na koszt klienta.

– To najlepsza przystawka domobrazowa, jaką w życiu widziałem.

PSY ZANIECZYSZCZAJĄCE CHODNIK ZOSTANĄ ZNISZCZONE

Psychometra, jasnowidz – przewodnictwo dla wątpiących w siebie.

UWAŻAJ: KIESZONKOWCY

– Tak jakby wszechświat był dziurą, czujesz to? A ja bym był rozsmarowany cieniutką warstwą po całym jego obwodzie, czujesz? Potem czasem się zdarza tak, jakby pokój wywracał się na nice, a ja staję się kropkami na ściankach sześciennej kostki. Albo... A zresztą, po co ja w ogóle tracę czas na rozmowę z takim kłocem jak ty?

RAPITRANS

Zarządzenie municypalne nr 1214/2001. Osoby bez stałego miejsca zamieszkania są zobowiązane zgłosić się do najbliższego posterunku policji w celu uzyskania zezwolenia na włóczęgostwo.

– Odleciecie szybciej i dalej niż potrafią to państwo Uniwersalni!

TOALETA PUBLICZNA

Jointy od Joe'go – marki nowojorskie od 3 \$ za 10 szt., marki z innych stanów: 5 \$, 6 \$.

ZGAŚ PETA! WYSTRZEGAJ SIĘ POŻARÓW!

– Ej, ziomal! Nie wychylaj się, przecznicę stąd kręci się patrolówka.

ZAKAZ WYRZUCANIA ODPADÓW SZKODLIWYCH DO OTWARTYCH POJEMNIKÓW

*„Co teraz zrobimy? Piękne miasto mamy,
Brudne, niebezpieczne, cuchnące, gówniane.
Czy Nowego Jorku przyjacielem jesteś?
To weź dynamit i wysadź go w powietrze!”*

na zbliżeniu (8)

PECH

Gdybym wiedział, że tak się to skończy, chyba bym próbował się ukrywać, pomyślał rozwścieczony Gerry Lindt.

W mieszkaniu panowała atmosfera jak w domu pogrzebowym, wszyscy chodzili na palcach i porozumiewali się szeptem, jakby napisany drewnianym językiem oficjalny formularz leżący przy jego łóżku był objawem nieuleczalnej choroby.

A to była tylko karta mobilizacyjna, jakich codziennie wydaje się tysiące. Nic niezwykłego. I nic, czego nie dałoby się uniknąć, rzecz jasna – uchylać się przed poborem można było na dziesiątki sposobów, bardziej lub mniej zgodnych z prawem. Tyle że w wypadku Gerry'ego żadna z legalnych metod nie wchodziła w grę: dziewiętnaście lat, dość przystojny, jasne kręcone włosy, niebieskie oczy, okaz zdrowia. I chociaż wiedział wszystko o metodach alternatywnych (trudno być dziewiętnastoletnim mężczyzną i nie wiedzieć), to na myśl o nich odczuwał większy strach niż wobec perspektywy spotkania z czerwonymi braciszkami. Jego przyjaciele, których znał od czasów, gdy uczył się mówić, z radością po nie sięgnęli: złani perfumami od stóp do głów obmacywali się nawzajem w miejscach publicznych, obnosząc się ze swoim rzekomym homoseksualizmem (było to jednak rozwiązanie niepewne i nie zabezpieczało w stu procentach przed poborem, bo w stanie wojennym czekałaby ich ostra terapia awersyjna); wybierali się na rozbój, którego dokonywali z umyślną nieporadnością, aby uzyskać wyrok skazujący z pożądaną adnotacją: „osobnik aspołeczny”; zostawiali prochińskie broszury w miejscach, w których musiały zostać zauważone przez władze uczelniane; dokonywali

samookaleczeń; a nawet – co przejmowało Gerry'ego największą zgrozą – podłapywali jakiś ostry nałóg, wołąc dać się zamknąć w zakładzie niż trafić do wojska.

Dlatego jutro na scenę wkroczy szeregowy Lindt.

Rozejrzał się po wąskim, podłużnym pokoju. Ponieważ mieszkał w nim przez prawie całe życie, przyzwyczał się do jego niewielkiej powierzchni – pokój zajmował połowę pierwotnego pomieszczenia, które zostało podzielone po tym, jak na świat przyszła siostra Gerry'ego. Teraz jednak mierzący dobrze ponad metr osiemdziesiąt Gerry rozpostartymi rękami sięgał od jednej ściany do drugiej i spodziewał się, że kiedy przyjedzie na urlop, będzie przerażony mikroskopijnymi rozmiarami pokoiku.

Który na dodatek był teraz wyjątkowo zagracony, ponieważ Gerry dokonał przeglądu rzeczy w szafie zgodnie z zaleceniem na karcie mobilizacyjnej: „Rekrut obowiązany jest posiadać...”.

Był wczesny wieczór, przegląd i pakowanie dobiegły końca i Gerry nasłuchiwał otaczających go odgłosów. Rozróżniał trzy różne rytmy kroków: ojca, matki i siostry – kręcili się, sprząтали po kolacji, przestawiali meble z powrotem na właściwe miejsca.

Nie zniosę reszty wieczoru w ich towarzystwie, pomyślał. Czy to źle? Czy jestem dziwakiem? Siostra wpatrzona we mnie tymi wychodzącymi z orbit oczami, jakby przymierzała mnie do trumny, ponieważ w tym tygodniu jej Bogiem jest ten blockers Jamie, który twierdzi, że trzeba mieć skłonności samobójcze, żeby iść do wojska; mama dzielnie przetyka łyżę, a ja czuję, że lada chwila sam zacznę się mazać; no i staruszek... Jeśli jeszcze raz mi powie „Synu, jestem z ciebie dumny!”, to mu chyba kark skręcę.

Odetchnął głęboko, przygotowując się na ostrzał.

– A ty dokąd? Nie zamierzasz chyba wyjść z domu w ostatni wieczór?

Ostatni wieczór. Skazaniec zjadł sutą kolację.

– Pokręcę się trochę po okolicy, pożegnam z kumplami. To nie potrwa długo.

Udało się. Poszło łatwiej, niż się spodziewałem.

Odczuł tak ogromną ulgę, że dopiero wyszedłszy przed dom, zdał sobie sprawę, że nie wie dokąd iść. Stał jak wryty i rozejrzał się, napawając się słonawą świeżością wieczornego wiatru, który zapowiadał rychłe rozproszenie cienkiej warstewki chmur.

Mnóstwo spraw nie pasowało do schematu, którego podświadomie oczekiwał. Perspektywa usamodzielnienia się powinna – jak wnosił ze skąpych wzmianek w książkach i programach telewizyjnych – wzmóc w nim poczucie przywiązania do domu rodzinnego i spowodować, że różne na wpół zapomniane szczegóły odcisną mu się z nową siłą w pamięci. Tymczasem zaledwie przed chwilą myślał o tym, że kiedy przyjedzie na urlop, przerazi go ciasnota jego pokoju, a teraz, na dworze, przychodziły mu do głowy te same myśli co zawsze: że ktoś powinien posprzątać ulicę z tych wszystkich papierów, folii, puszek, pudełek i kartonów; że najwyższy czas oszklnić rozbitą witrynę sklepu sportowego na przeciwległym rogu, skąd „bojownicy” zrabowali broń; że w gruncie rzeczy jego dom rodzinny pozostawia sporo do życzenia.

Równie mgliście rysowała się w głębi jego umysłu myśl o dziewczynie, która dotrzymałaby mu towarzystwa w tę ostatnią noc. Odkąd skończył piętnaście lat, nigdy nie musiał się specjalnie starać, żeby znaleźć jakąś laskę, ale jego rodzice wywodzili się ze starszego pokolenia (jak to rodzice) i wprawdzie nie przeszkadzało im, kiedy wracał do domu nad ranem, ale nigdy nie zdobył się na odwagę, żeby sprowadzić sobie dziewczynę na noc. Zaplanował więc swoją deklarację męskości właśnie na dzisiaj, kiedy będą się wstydzili oponować – ale na razie był sam jak palec. Wszystkie jego ulubione dziewczyny zaczęły go unikać, odkąd się dowiedziały, że dał się ucapić armii za jaja; był tak wstrząśnięty tym jednomyślnym odrzuceniem z ich strony, że całkiem spadł z żyroskopów i nie znalazł sobie nikogo na zastępstwo.

Oczywiście istniało aż nadto miejsc, w których mógł być pewien, że coś poderwie, ale wydawało mu się to w jakiś sposób niestosowne. Jeżeli obiegowe opinie były prawdziwe, w wojsku zdąży jeszcze nawrywać lasek. Zwłaszcza że nie będzie miał wyboru.

Nie: musi znaleźć kogoś, kogo zna od dawna. Przejrzał w myślach katalog znajomych i doszedł do niepokojącego wniosku, że nie ma dosłownie nikogo, kto nie wygadywałby takich samych kretynizmów jak jego rodzina.

Może z wyjątkiem...

Zacisnął pięści. Był ktoś taki, kto na pewno nie będzie go próbował zbywać obrzydliwymi, ugrzecznionymi komunałami. Po podjęciu decyzji o wstąpieniu do wojska Gerry jeszcze się z nim nie widział, nie był bowiem pewien, czy zdoła się oprzeć jego przekonującym kontrargumentom. Teraz jednak, kiedy klamka zapadła, ciekawie będzie przynajmniej zobaczyć reakcję Arthura Golightly.

* * *

Arthur nie mieszkał w bloku, tylko w domu z początków XX wieku, który dawno został podzielony pomiędzy tylu ludzi, ile było w nim pokoiów. Mieszkanka nosiły dumną nazwę „garsonier”, ale w rzeczywistości dom był nędzną czynszówką.

Podenerwowany Gerry wcisnął guzik stareńkiego dzwonka i przedstawił się przez domofon.

– Gerry! Wchodź – przywitał go z lekka mechaniczny głos i drzwi się otworzyły.

Arthur czekał na niego na podeście pierwszego piętra: niechlujny czarny dobiegający czterdziestki, ubrany w szorty i mokasyny, z brodą przechodzącą płynnie w gąszcz włosów na piersi. Gerry żałował, że owłosienie nie sięga Arthurowi poniżej splotu słonecznego – dorobił się przelewającego się brzuszyska, któremu przydałoby się jakieś maskowanie. Jednakże obnoszenie się z nim było wyrazem nonkonformizmu, a ewentualny sprzeciw równałby się próbie zaprzeczenia istnieniu Arthura.

Arthur trzymał talerz pełen czegoś białego i sypkiego, w czym tkwiła łyżka. Musiał go przełożyć z prawej ręki do lewej, żeby ucisnąć dłoń Gerry'ego.

– Zaraz przyjdę – usprawiedliwił się. – Bennie nic dzisiaj nie jadł i pomyślałem, że wmuszę w niego trochę cukru. Przyda mu się odrobina energii.

Otworzył wychodzące na podest drzwi, za którymi Gerry'emu mignął przelotnie młody, dwudziestoparoletni mężczyzna, wyciągnięty na fotelu i ubrany jeszcze skromniej od Arthura. Gerry wzdrygnął się, przeszedł w głąb podestu i przystanął przed wejściem do pokoju Arthura, starając się nie słyszeć napływających zza drzwi Bennie'ego namów.

Rozkład. Rozkład na każdym kroku. Co to za życie?

Szczękniętą otwierany kluczem zamek firmy Watch-&Ward Inc., otworzyły się drzwi wejściowe i na schodach pojawiła się dziewczyna: piękna twarz, ciało otulone płaszczem za kolana, w rękach torba z zakupami. Uśmiechnęła się odruchowo do Gerry'ego i położyła rękę na klamce pokoju Bennie'ego.

Znieruchomiała, zanim Gerry na dobre sobie uświadomił, że chyba tu mieszka.

– Ktoś jest u Bennie'ego?

– Ehm... tak, Arthur. – Z wysiłkiem przełknął ślinę. – Zaniósł mu cukier.

– A, to w porządku – odparła dziewczyna i ruchem ramion zrzuciła płaszcz.

Gerry'emu zaparło dech w piersi. Pod płaszczem miała na sobie domostroj Forlona&Morlera, podobny do tego, jaki jego siostra próbowała kiedyś nosić po domu, dopóki zdjęcia zgrozą rodzice nie tupnęli nogą. Składał się z pary wysokich butów z czerwonej siateczki, podtrzymywanych zawiązanym w talii miękkim czerwonym sznurem, i z niczego poza tym.

Drzwi się otworzyły i w progu stanął Arthur.

– A... Niiik! – powiedział z ulgą. Tak to właśnie brzmiało: „Niiik”.

– Dzięki – odparła dziewczyna – ale nie musiałeś tego robić. Ja go przekonam do jedzenia, lubi moją kuchnię.

– W takim razie jest cały twój. – Arthur zgiął się w parodii ukłonu. – Nie znacie się z Gerryem, prawda? Gerry Lindt, Monique Delorne!

Laska skinęła z roztargnieniem głową i zniknęła w pokoju Bennie'ego. Arthur otrzepał ręce, wyminął Gerry'ego i zaprosił go do siebie.

– Sprawa załatwiona – oznajmił z satysfakcją. – Wchodź. No wchodź!

Gerry go posłuchał. Obejrzał się jeszcze przez ramię, ale drzwi do Bennie'ego były już zamknięte.

Od jego poprzedniej wizyty w zagraconym wnętrzu, które Arthur nazywał domem, zmieniły się tylko drobne szczegóły. Wciąż panował tu niewiarygodny chaos, a zapaszek w dalszym ciągu sugerował postępującą zgniliznę, jakby cały ten bałagan był w rzeczywistości domowym śmietniskiem. Ale to również była nieodłączna część Arthura; trudno było go sobie wyobrazić w innej scenerii.

Przez chwilę Gerry prawie żałował, że tu przyszedł. Po kimś takim jak Arthur nie można raczej było się spodziewać, że należycie doceni u innych gotowość do obrony swojego stylu życia. A jednak wyrazy aprobaty ze strony ludzi, którzy umieli ją docenić, były tak obrzydliwe...

– Podobno armia ucapiała cię za jaja – zagaił Arthur. – Dobrze słyszałem?

Gerry skinął głową i przełknął ślinę.

– Rano mam się zameldować w LA.

– W takim razie do widzenia – odparł żwawo Arthur. – No. To już mamy z głowy. Co ci podać?

– Eee... że co?

– Powiedziałem: do widzenia. Nie po to przyszedłeś? Po czym, skoro się już pożegnaliśmy, zaproponowałem ci... no... cokolwiek mogę zaproponować. Powinienem mieć jakąś wódkę, na pewno mam gdzieś trochę trawki... Mam też ten nowy towar, odjazdynę, jedną z nielicznych rzeczy, które usprawiedliwiają istnienie GT. Tak w każdym razie mówi Bennie, sam jeszcze nie próbowałem, bo ludzie z moją grupą krwi są ponoć wyjątkowo podatni i jazda może trwać trzy, cztery dni. Poczekam na jakiś wolny weekend. Co dla ciebie?

– Ehm... Napiję się.

– No to uprzątnij sobie jakieś krzesło, a ja ci naleję.

Gerry przełożył w inne miejsce karton nieopisanych taśm i dwa zabrudzone jednorazowe talerze, i usiadł. Rozejrzał się, targnięty nagłą

potrzebą wyrzycia sobie tego miejsca w pamięci. W pokoju panował bałagan, ponieważ znajdowało się w nim mnóstwo rzeczy, a Arthur – zbyt niecierpliwy, żeby wypracować jakiś system – ograniczał się do przekładania z miejsca na miejsce przeszkadzających mu przedmiotów.

Ale przedmioty, które mu przeszkadzały, były wprost fascynujące. Większość pochodziła z Azji: posążki, ozdoby, hafty, pięknie kaligrafowane rękopisy, kadzielnice, instrumenty muzyczne, odbitki klasycznych obrazów – a także koło od wozu, indiański bęben, srebrny flet, niezliczone książki oraz...

– Gerry!

Otrząsnął się i wziął do ręki podstawiony pod nos kieliszek. Arthur rozsiadł się na drugim krześle i spojrzał na Gerry'ego badawczym wzrokiem.

– Hmm... Pomyliłem się, prawda? Wymiana pożegnań wcale nie załatwiła sprawy twojego wyjazdu. To cię cały czas gryzie.

Gerry pokiwał głową.

– Czasem mnie zaskakujesz. – Arthur pokręcił głową. – Nie jesteś typem awanturnika, a mimo to pozwalasz się wyrwać ze znajomego, przytulnego środowiska komuś, kto podejmuje irracjonalne, kompletnie arbitralne decyzje.

– Czekał, nie łapię...

– Nie? Wszyscy generałowie to psychopaci. Tak jak wszyscy żołnierze to świry. To oczywisty fakt psychologiczny: ich poczucie terytorialności zostało zagrożone i nie potrafią się z tego otrząsnąć. Spodziewałem się, że akurat ty to rozgryziesz; nawet Bennie'emu się udało, a jest głupszy od ciebie.

– Ale dlaczego miałbym być taki jak Bennie? – Gerry się skrzywił. – W porządku, uniknął poboru... i jak spożytkował te dwa lata, które w ten sposób zaoszczędził? Jeśli dalej będzie się tak szprycował, to i tak umrze przed trzydziestką!

– Z własnej ręki – zauważył Arthur. – Tylko ty sam masz prawo się zabić. Nikt inny.

– Myślałem, że jesteś zwolennikiem eutanazji.

– Podpisanie zgody to cios samobójczy. Reszta to czysta mechanika, porównywalna z czekaniem na napełnienie się wanny krwią po tym, jak podciąłeś sobie żyły.

– To nie to samo – uparł się Gerry. Czuł potrzebę usprawiedliwienia się przed kimś, a gdyby udało mu się przekonać właśnie Arthura do swojego punktu widzenia, byłby to triumf szczególny. – Jest faktem, że są ludzie, którym jestem coś winny, oraz inni ludzie, gotowi odebrać tym pierwszym wszystko, łącznie z ich życiem. Pustka! Dziesięć minut temu widziałem przykład takiej pustki, kiedy przechodziłem obok rozbitej witryny Acklemana... Kojarzysz? Taki sklep sportowy naprzeciwko mojego domu?

Artur wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– I co, mam wybuchnąć słusznym gniewem? Uważam, że broń i amunicja zrabowane z Acklemana bardziej przydadzą się jakimś idealistom niż spasionym burżujom-nerobom z twojej dzielnicy, którzy nie mają czego bronić i mogliby co najwyżej postrzelać nerwowo na oślep.

– Na oślep?! Jezu, przecież sam mi opowiadałeś o ludziach, którzy z aktów przypadkowego sabotażu zrobili sobie hobby!

– Nie mieszaj pojęć, Gerry. Wiele osób to robi. Ziomek, który traktuje sabotaż jak hobby, różni się od faceta, który kradnie rusznikarzowi broń. Ten drugi atakuje na oślep, ponieważ nie wie, co w jego środowisku go drażni. A bojownicy mają przynajmniej teorię na temat tego, co jest nie w porządku, i chcą to naprawić.

– A jak długo pożyłbyś pod rządami, jakie chcieliby nam narzucić?

– Ja? Wyprowadziliby mnie i rozstrzelali pierwszego dnia po dojściu do władzy. W reżimie autorytarnym tacy jak ja uchodzą za niedopuszczalnych wywrotowców, ponieważ nie interesuje mnie narzucanie siłą swoich przekonań innym ludziom.

– Sam przed chwilą powiedziałeś, że nikt nie ma prawa odbierać życia drugiemu człowiekowi. Skoro i oni nie mają takiego prawa, nie ma nic złego w próbach powstrzymania ich.

– Dwa zdania, dwa błędy. – Arthur westchnął. Wyglądał jakby nagle stracił zainteresowanie tą dyskusją. – A tak nawiasem mówiąc... Nie jesteś ciekaw, co się z tobą stanie?

– Słucham?

Arthur podniósł leżącą obok krzesła książkę i zdmuchnął kurz z okładki.

– Starość, ale niezawodna – powiedział czule. – Rzadko cię ostatnio używałem... Rzadziej niż na to zasługujesz. Konsultowałeś się już wcześniej z Księgą Przemian, prawda, Gerry?

– Tak. Pokazałeś mi ją, kiedy się poznaliśmy. – Gerry opróżnił i odstawił kieliszek. – Powiedziałem ci, że moim zdaniem to straszna mierzwa.

– A ja ci powiedziałem, że jest skuteczna z tego samego powodu, dla którego nie istnieje coś takiego jak sztuka. Zacytowałem ci Balińczyków, którzy nie mają na to konkretnego słowa, po prostu starają się robić wszystko najlepiej jak to możliwe. Życie jest continuum. Na pewno ci to mówiłem, wszystkim mówię. Uczyłem cię używać łyżek krwawnika?

– Nie.

– W takim razie wyjmij trzy monety, najlepiej takie same. Pożyczyłbym ci, ale nie mam zielonego pojęcia, gdzie w tym śmietniku zapodziałem swoje taele. Gdybym miał na imię Marysia, przeprowadziłbym tędy swoje owieczki, a one przyniosłyby mi taele.

– Arthur, co ty? Orbitujesz?

– Już spadam. Spadam. Wiesz, co piszą w reklamach o tej nowej Przesadzie z Hitripu... To wszystko prawda. Cudo. Chcesz paczuszkę? Zabierzesz rano ze sobą.

– Wątpię, żeby mi pozwolili. Piszą coś o tym na karcie mobilizacyjnej.

– Nie dziwię się. Jedna ze standardowych technik przerabiania człowieka na żołnierza polega na odebraniu mu radości, dzięki którym mógłby pomyśleć, że nawet życie człowieka po drugiej stronie karabinu jest coś warte. Masz te monety?

Dobrze zrobiłem, że do samego końca unikałem spotkania z Arthurem, pomyślał Gerry, wyjmując monety z kieszeni. Jest tak cholernie stały w swoich cynicznych poglądach, a ja taki niepewny... Nawet w kwestii tej starożytnej wyroczni wcale nie jestem przekonany, że to naprawdę mierzwa.

Rzucili monety, wyrysowali heksagram i Arthur utkwiał w nim wzrok.

– *Pi* – orzekł bez zaglądania do książki. – Druga linia zmienna. „Należy zjednoczyć się z innymi i stworzyć wspólny ład, aby we wspólnym trwaniu uzupełniać się i pomagać sobie nawzajem”... Chcesz sam przeczytać całość?

Gerry roześmiał się i pokręcił głową.

– Wiesz, co myślę o przepowiadaniu przyszłości.

– Owszem, wiem, i żałuję, że nie traktujesz tego poważnie. Bo nie podoba mi się to, co się dzieje z twoim heksagramem po przemianie linii drugiej: zmienia się w *K'an*, „podwojone niebezpieczeństwo”. Inaczej mówiąc, zamienniku, jeśli nie będziesz uważał, wpadniesz w kłopoty.

– Rozważyłem ryzyko. Nawet bez księgi wróżb wiem, że służba w wojsku może być niebezpieczna.

Arthur udał, że nie słyszał tego wtrętu.

– Chcesz wiedzieć, co myślę? Myślę, że ta zmienna linia uaktywni się jutro, kiedy, zamiast zjednoczyć się z innymi, wystawisz się na niebezpieczeństwo.

– Ale przecież ja się właśnie jednoczę! Czy można jaśniej wyrazić radę „wstąp do wojska”, w kontekście tej książki?

– Jak najbardziej. Nie można za to jaśniej wyrazić zalecenia „zostań z rodziną i przyjaciółmi”.

Gerry wstał sztywno.

– Przykro mi, Arthurze. Miałem nadzieję, że się zorientujesz, że podjąłem decyzję i jest za późno, żeby próbować mnie od niej odwieść.

– Ależ ja to rozumiem! Próbuję tylko pokazać ci, co naprawdę robisz. Czy w takim wypadku zechcesz usiąść i jeszcze trochę porozmawiać?

– Raczej nie. Przyszedłem się pożegnać, a zanim dzisiaj pójdę spać, powinienem odwiedzić jeszcze parę innych osób.

– Jak chcesz. Ale wyświadcz mi przysługę... – Arthur zaczął grzebać w stosie książek. – Weź ją ze sobą i podczytuj w wolnych chwilach, jeśli jakieś ci się trafią. Nie musisz mi jej oddawać, znam ją praktycznie na pamięć.

– Dzięki. – Gerry z roztargnieniem wrzucił książkę do kieszeni, nie sprawdzwszy nawet tytułu.

– Wiesz co? – ciągnął tymczasem Arthur. – Osobiście mam przeczucie, że przyda ci się to wojskowe doświadczenie. Chciałbym tylko, żebyś miał trochę większe szanse wrócić do nas żywy.

– W obecnej sytuacji liczba ofiar śmiertelnych jest znikoma! Serio, straciliśmy najwyżej...

– Niektórym ludziom – Arthur wszedł Gerry’emu w słowo – wszystko przydarza się częściej niż innym. Także sukcesy i porażki. Należysz do tych, którzy nie chcą poczuć rozczarowania. Będziesz uparcie szukał... chwały? Być może... Będziesz szukał czegoś, co tłumaczyłoby, dlaczego ludzie chcą ryzykować życie w walce, a kiedy niczego takiego nie znajdziesz, zgłosisz się na ochotnika do jakiejś idiotycznej misji, czym tysiąckrotnie pomniejszysz swoje szanse przetrwania, a wtedy...

Odwrócił dłoń, jakby przesypywał z niej ziarenka piasku.

Gerry długo stał jak skamieniały, zanim gwałtownym gestem otworzył drzwi i wyszedł. Mijając drzwi pokoju Bennie’ego Noakesa, usłyszał dobiegające zza nich stłumione odgłosy: skrzypnięcie, westchnienie, śmiech.

Kiedyś w końcu umrze od tej mierzwy, którą się szprycuje! A mimo to on ma tę laskę, tę śliczną laseczkę, a ja...

Nagle uświadomił sobie, że nie potrafi zlekceważyć przepowiedni Arthura.

* * *

To nie był obóz szkoleniowy dla rekrutów, tylko jakiś obóz żeglarski – został urządzony na pontonach półtora kilometra od brzegu. Nie zapobiegało to dezercjom, ale gwarantowało, że tylko najlepsi pływacy dotrą do plaży.

Na brzegu nowi rekruci musieli rozebrać się do naga, wywrócić kieszenie na lewą stronę i wyłożyć ich zawartość na długie stoły. Kapitan w asyście sierżanta przechadzał się nieśpiesznie po drugiej stronie stołów, starannie wszystko oglądając; drugi sierżant pilnował, żeby roztrzęsieni rekruci stali nieruchomo, bo jak nie...

Kapitan zatrzymał się przed Gerrym i odwrócił książkę od Arthura w taki sposób, żeby odczytać tytuł.

– *Leksykon trendybrodni* – powiedział. – Aresztować go, sierżancie, za posiadanie wywrotowej literatury.

– Ale... – wybuchnął Gerry.

– Zapnijcie twarz, żołnierzu, bo na tym jednym zarzucie się nie skończy. Gerry przełknął złość.

– Proszę o pozwolenie na zabranie głosu, panie kapitanie – powiedział oficjalnym tonem.

– Udzielam.

– Ja nigdy nawet nie otworzyłem tej książki, panie kapitanie. Dostałem ją od kogoś wczoraj wieczorem, schowałem od kieszeni i zapomniałem wyjąć...

– Jest taka zaczytana, że prawie kartki z niej wypadają – zauważył kapitan. – Sierżancie, dodatkowy zarzut: okłamywanie oficera.

Byli dla niego łaskawi, wykpił się dwudziestoczworogodzinną karną musztrą.

Ostatecznie, jak raczył zauważyć kapitan, było to jego pierwsze przewinienie.

ciągłość (8)

PRZEPEŁNIONA CZARA

Całkiem zwyczajny wygląd nocnego miasta zaskoczył Donalda. Na ulicach panował mniejszy tłok niż za dnia, ponieważ więcej mieszkańców padło ofiarą tej samej fobii, lecz było to zjawisko nader przyjemne; miał wrażenie, że cofnął się do czasów świeżo po studiach, gdy na chodnikach mijало go i potraćalo milion ludzi mniej.

Czyżbym spodziewał się, że w nocy zastanę tu inne sklepy niż za dnia?

Na tę myśl zachciało mu się śmiać, ale mimo wszystko czuł się dziwnie. Jego umysł malutkimi kroczkami przybliżał się do wyjaśnienia tej zagadki. To był jeden z takich problemów, w jakich rozwiązywaniu się specjalizował; posuwał się tropem drobnych wskazówek, nie poświęcając sprawie całej swojej uwagi.

Noc była głośna. Zewsząd płynęła muzyka – głównie przeboje z najnowszej pop-parady, w których dwa lub nawet trzy rytmy w przypadkowy sposób uderzały w półtonalne dysonansy, ale trafiały się też kawałki z muzyki poważnej: na odcinku stu metrów rozpoznał Beethovena, Berga, Oyakę. Podobnie jednak wyglądało to za dnia, zwłaszcza odkąd krawcy zaczęli wyposażać radiosukienki w głośniki zamiast słuchawek.

Tym, co wydało mu się naprawdę niezwykle, był dźwięk rozmów. Wszędzie słyszał ludzi oddających się pogawędkom – luksusowi, na który w ciągu dnia nikt nie miał czasu.

Wskazówka: ci ludzie się znają.

Dla niego byli obcy, ale między sobą na pewno się znali, gromadzili się w cztero-, pięcioosobowe grupki na chodnikach. Przypuszczał, że ma

przed sobą bezdomnych, dopóki nie dotarło do niego, że nawet według współczesnych standardów jest ich stanowczo zbyt wielu. Dopiero wtedy dostrzegł, co naprawdę ich wyróżnia: smutnoocy mężczyźni i kobiety, także dzieci, ściskali kurczowo torby z całym swoim dobytkiem, czekając, aż o północy będą mogli legalnie położyć się spać tam, gdzie trafi im się kawałek wolnej przestrzeni.

– Jesteś znużony? Uginasz się pod brzemieniem? Przyjdź do Jezusa! Przyjdź i spocznij na Jego łonie!

Duchowna na schodach kościoła zajmującego jedną z witryn nawoływała przechodniów przez ręczny krzykacz.

– Dziękuję pięknie, szanowna pani, ale ja śmigam po prostej orbicie! – odkrzyknął przechodzący wiracha.

Towarzyszący mu zamiennicy parsknęli zgrzytliwym śmiechem i pokleпали go po plecach.

Wiracha był Aframem, podobnie jak duchowna. Aframów w ogóle było teraz na ulicach pięć, sześć razy więcej niż za dnia.

Przyglądają mi się ciekawie. Czyżby kolor był tu jakąś wskazówką?

Nie, to był fałszywy trop, ale stopniowo Donald domyślił się prawdy. Był ubrany w te same co zwykle, tradycyjne, odrobinę niemodne ciuchy. Tymczasem większość przechodniów albo była niechlujna i obdarta, jak ci bezdomni noszący ubrania jednorazowe po dziesięć dni bez przerwy, albo uznawała zapadnięcie zmroku za sygnał do puszczenia wodzy fantazji. I nie miał tu na myśli wyłącznie wirachów w fantastycznie rozdętych kurtkoszulach, w których sprawiali wrażenie niewiarygodnie muskularnych, lecz także starszych ludzi, wystrojonych jak pawie w szkarłaty i turkusy, heban i chrom. Wszystko było dozwolone – od zakrywających ciało szat noszonych w RUNG, po warstewkę farby na ciele uzupełnioną paroma strategicznie rozmieszczonymi piórkami.

Odpowiedź: czuję się jak za granicą.

Pokiwał w zadumie głową. To, jak w naturalny sposób dla tych ludzi ulica stawała się przedłużeniem domu mieszkalnego, przywodziło na myśl Karaiby. To musiał być skutek wybudowania kopuły, która wzmocniła wrażenie wiecznego lata i rozciągnęła je na cały rok.

* * *

Okolica zaczęła się zmieniać. Pojawili się zaczepiający go naganiacze.

– Ziom, wpadnij na koncert białego szumu! Za piąta!

– Wyimki z Koranu, czytane po angielsku na żywo! Na pewno zainteresują takiego inteligentnego klienta jak ty!

– Poznaj prawdę, którą rząd przed tobą ukrywa! Nagranie prosto z Pekinu! Suche fakty!

Przeszedł nieco ponad kilometr, gdy uśmiechy i gesty mijanych ludzi doprowadziły go do odkrycia fosforyzującej ulotki, którą ktoś niepostrzeżenie przykleił mu do pleców.

Zirytowany zerwał ją i przeczytał:

Ten ziomuś nie wie, dokąd idzie. A na odjazdynie byłby na miejscu, zanimby się zorientował.

Reklama GT? Raczej nie. Wszyscy wiedzieli, że rząd krzywo patrzy na przesadną gorliwość Narkowyziału, ponieważ psychodeliki skutecznie tłumili skłonności wywrotowe, ale mimo wszystko w większości stanów wciąż obowiązywało prawo antynarkotykowe.

Zmiał ulotkę i wyrzucił ją do kosza.

Szczupły Afram o wyglądzie naukowca dogonił go, a teraz szedł obok i zerkał na niego z ukosa. Kiedy przeszli tak ze dwadzieścia kroków, odchrząknął.

– Czy ja cię...

– Nie – uciął Donald. – Mów, co masz do powiedzenia, a ja ci powiem, czy jestem zainteresowany. Oszczędzisz czas mój i swój.

Afram na chwilę zaniemówił, przeszedł jeszcze parę kroków, w końcu wzruszył ramionami.

– Bez urazy, ojcze?

– Bez.

– Może odczytać ci genotyp? Pokaż ręce. Za piąta dostaniesz elegancki naukowy komentarz... Mam na to papiery.

– Dzięki, ale nie. Stać mnie na genalizę.

– Ale progenów nie masz, co? – Afram zrobił mądrą minę. – Może masz kłopot z Radą Eugeniczną... Nie, nic nie mów. Cokolwiek złego się stało, wszystko jest do naprawienia. Znam odpowiednich ludzi; jeśli stać cię na genalizę, to pewnie byłoby cię też stać na ich usługi.

– Jestem czysty – odparł z westchnieniem Donald.

Afram stanął jak wryty. Donald odruchowo zrobił to samo i odwrócił się tak, że stanęli twarzą w twarz.

– Ty krwawicielu zakazany... Ja mam tylko anemię sierpowatą, która w krajach malarycznych jest wręcz zaletą, ale mimo to nie dostaję pozwolenia. A byłem już trzy razy żonaty!

– To może spróbuj w krajach malarycznych? – warknął Donald i wsunął dłoń do kieszeni z gazognatem.

– Typowe pieprzenie białodupca! – Afram się skrzywił. – To może ty wróc do Europy, co?

Nagle złość Donalda minęła jak ręką odjął.

– Posłuchaj, kuzynie. Powinieneś poznać mojego współlokatora. On też jest Aframem, dogadalibyście się.

– Ty mi nie przeszkadzasz; im więcej takich jak ty, na prostych orbitach, tym lepiej. Gorzej, że masz brązowego kinola za współlokatora. Jeszcze jedno pokolenie i skóra z wysoką zawartością melaniny też trafi na listę zakazanych cech!

Celowo splunął Donaldowi pod nogi i okręcił się na pięcie.

Przygnębiony tym spotkaniem Donald poszedł dalej. Ledwie zdawał sobie sprawę, ile przeszedł. Od czasu do czasu do jego świadomości przebijały się jakieś zewnętrzne bodźce – upiorne zawodzenie syreny patrolówki, krzyki wyzywających się i szarpiących dzieci, wszechobecna muzyka – ale poza tym szedł pogrążony w myślach.

Uczyniona przez Aframa wzmianka o krajach malarycznych uruchomiła ciąg skojarzeń i Donald przypomniał sobie wcześniejszą wypowiedź Normana na temat Beninii. Jego aktywna jak komputer podświadomość jak zwykle niezmiernie zestawiała informacje w nowe schematy, szukając w nich prawidłowości.

Państwo na pewno chciałoby wiedzieć, dlaczego Elihu Masters robi podchody pod GT. Założenie: Państwo już wie dlaczego. Jeżeli jedna ze stron – Dahomalia lub RUNG – przekona Beninię do zjednoczenia, drugiej stronie nie pozostanie nic innego jak walka zbrojna, jeśli będą chcieli wyjść z tego z twarzą. Jedyne czynniki, które mogą zapobiec wojnie, to (a) prezydent Obomi, który nie jest nieśmiertelny, oraz (b) interwencja sił zewnętrznych, na którą Dahomalia i RUNG mogłyby zgodzić się pomstować. A wtedy...!

Nagle doznał olśnienia. Dziesięć lat, po pięć dni w tygodniu i trzy godziny dziennie, bez przerwy (nie licząc urlopów), ładował pamięć informacjami niezbędnymi do tego, żeby teraz ogarnąć całość planu – a jednak w tej samej chwili, gdy wszystko stało się jasne, wiedza ta została zepchnięta w głąb jego umysłu.

Zatrzymał się. Nie miał zielonego pojęcia, gdzie się znajduje.

Sądząc po nazwach ulic, wylądował w centrum East Side, rejonu lokującego się ostatnio na samym dnie cyklu śmierci i odrodzenia, który chwilami upodabniał miasto do żywego organizmu. Pod koniec ubiegłego stulecia East Side przeżywało swoje chwile chwały. Wcześniej przez dziesięciolecia przyszli mieszkańcy tego rejonu wyruszali z Village na wschód w ślad za intelektualistami i pozerami, przybliżając się do rzeki i rozpościerających się nad nią ruin, aż około roku 1990 ceny mieszkań w okolicy osiągnęły astronomiczny poziom. Koło fortuny obracało się jednak dalej, znudzeni i zamożni się wyprowadzili i teraz uroda eleganckich domów znów blakła pod jaskrawym płaszczykiem reklam: *gdy twoja męskość słabnie, sięgnij po Potenżel, SuperMeny biorą świat z marszu, spytaj człowieka, który ożenił się z Maryśką...* Kolorową kompozycję przecinały niezwiązane z nią skosy schodów pożarowych, upstrzone stertami odpadków niczym grzybem.

Powoli obrócił się w miejscu. Tu już było mniej ludzi na ulicach, a powietrze tchnęło wonią rozkładu. Zaledwie kilka minut wcześniej niepostrzeżenie zostawił za sobą miejski blask i zgiełk, nie należało się więc dziwić mieszkańcom, że wolą nie spędzać czasu właśnie tutaj. Sklepy w większości pozamykano – poza tymi nielicznymi, które mogły sobie

pozwolić na zainstalowanie autokasjerów, a i one nie narzekały na nadmiar klientów. Nie było zupełnie cicho (w całym mieście nie było miejsca, w którym panowałaby cisza), ale wszystkie dźwięki dobiegały z daleka – nie z najbliższego budynku, tylko z sąsiedniego; nie z tej przecznicy, lecz z następnej.

Przed sobą miał jeden z luksusów, na jaki pozwolili sobie architekci planujący tę dzielnicę ponad dwadzieścia lat wcześniej: trójwymiarowy przygodowy plac zabaw wpasowany w lukę pomiędzy dwoma wysokimi domami, a na nim drzewko do wspinaczki zbudowane w taki sposób, żeby nieostrożne dziecko nigdy nie mogło spaść dalej niż o jeden poziom. Z początku umykał mu związek postrzeganych linii i kształtów z jakąkolwiek solidną konstrukcją – dopóki perspektywa nie pozwoliła mu oddzielić bliższego i dalszego planu i nie dostrzegł czegoś na kształt riemannowskiej drabiny z betonu i stali, podświetlonej od tyłu przez ostatnią ocalałą lampę na wspornikach.

Coś poruszyło się wśród przerażających sztucznych konarów. Donald, bynajmniej nieprzekonany, że to „coś” jest człowiekiem, dyskretnie sięgnął do kieszeni i zaczął wzuwać stalorękę.

Potwór – miał niewiarygodnie elastyczne ciało – stanął na krawędzi miniaturowej przepaści i nagle stał się obiektem rzeczywistym, cieniem dziecka przechodzącego przed lampą.

Donald odetchnął z ulgą. Przyszło mu do głowy, że ktoś musiał mu ukradkiem podać jakiś psychodelik. Odrzuciwszy możliwość doustnego przyjęcia go, zaczął się zastanawiać, czy powietrze nie jest czasem przesycone oparami jakiegoś środka oddziałującego na zmysły.

Odruchowo naciągnął stalorękę do końca, zawrócił i ruszył w drogę powrotną do domu.

Zgoła niespodziewanie (nie był to bowiem rejon łapania taksówek) w odległości stu metrów zobaczył sunącą wolno taksówkę. Zawołał do kierowcy, który odpowiedział mu widocznym przez przednią szybę skinieniem ręki.

Pojazd zamruczał i zrównał się z Donaldem. Kierowca uruchomił hydrauliczny system otwierania drzwi. Donald wsiadł.

Nie tak szybko.

Słowa rozbrzmiały mu w głowie tak wyraźnie, jakby wypowiedział je ktoś siedzący już na miejscu pasażera. Z ręką zaciśniętą na słupku drzwi Donald rozejrzał się po wnętrzu wozu, szukając czegoś, co mogłoby go zaniepokoić.

To pewnie tylko moja wyobraźnia. Nerwowo się robię...

A jednak nie. Do dysz klimatyzacji podłączony był nadajnik, który automatycznie wysyłał na policję sygnał radiowy, gdy kierowca uspił pasażera. Było oczywiste, że ktoś przy nim majstrował: plastikowa plomba potwierdzająca coroczny przegląd zmieniła kolor na ostrzegawczy czerwony. Czyli złapał jedną z pseudotaksówek, których kierowcy nielegalnie usypiali pasażerów, żeby następnie wywieźć ich do ciemnego zaułka i tam obrabować.

Drzwi zamknęły się za nim z trzaskiem... ale nie do końca. Mimo mocy systemu hydraulicznego nie były w stanie zmiażdżyć staloręki, którą Donald wciąż zaciskał na słupku. Rozległ się metaliczny łoskot i zgrzyt, przeniesiony przez kości wyraźnie aż do łokcia. Donald zachował jednak dość przytomności umysłu, żeby nie cofnąć dłoni.

Zgodnie z przepisami, konstrukcja taksówki uniemożliwiała ruszenie z miejsca przy otwartych drzwiach, Donald nie był jednak dość silny, żeby samodzielnie się z niej wydostać.

Impas.

Po drugiej stronie pancерnej szyby kierowca raz po raz wciskał guzik zamykający drzwi, które bezskutecznie waliły w stawiającą im opór stalorękę. Donald, nagle zupełnie spokojny, wbił wzrok w kierowcę, ten jednak był zbyt ostrożny, żeby dać się rozpoznać w lusterku wstecznym – przekrzywił je w taki sposób, żeby zasłaniało legitymację ze zdjęciem, a w jego miejscu zainstalował miniaturowy odbiornik telewizyjny.

I co ja mam teraz zrobić?

– W porządku, Salmanasar! – Donald aż podskoczył, kiedy zadudnił wbudowany w sufit głośnik. – Ja otwieram drzwi, ty wysiadasz i nie wracamy więcej do tej sprawy. Co ty na to?

– Nie – odparł Donald, zaskoczony swoją determinacją.

- Nie wysiądziesz, dopóki ci nie pozwolę.
- A ty nigdzie nie pojedziesz, dopóki ci nie pozwolę.
- Co, masz nadzieję, że napatoczy się jakaś patrolówka? Prawostróże tu się nie pojawiają za skarby świata!
- Ktoś w końcu zwróci uwagę na taksówkę, która stoi na środku ulicy z zapaloną lampką „wolny” i nigdzie się nie wybiera.
- A kto powiedział, że lampka się pali?
- Nie da się jej wyłączyć przy otwartych drzwiach!
- Tak myślisz? Alarm przecież odciąłem, nie?
- I to widać: plomba jest czerwona.
- Jesteś pierwszy, który to zauważył od dwóch tygodni. Twojemu poprzednikowi odciąłem palce.

Donald oblizwał nerwowo wargi i rozejrzał się po chodnikach. Okolica była wprawdzie względnie pusta, ale przecież nie całkiem niezamieszкана. Do samochodu zbliżała się właśnie starsza Aframka. Pochylił się w stronę niedomkniętych drzwi i zawołał:

- Proszę pani! Proszę wezwać policję! To pseudotaksówka!

Staruszka spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami, przeżegnała się i przyspieszyła kroku.

Kierowca roześmiał się z rozgoryczeniem.

- Ty jednak nie wiesz, jak tu jest, co, Salmanasar? To przerasta twoje oprogramowanie!

Zgnębiony Donald był już gotowy przyznać się do porażki i zgodzić się na warunki kierowcy, kiedy jego uwagę przykuło jakieś poruszenie na skrzyżowaniu.

- Mówiłeś, że patrole się tu nie zapuszczają! – wykrzyknął.

– Bo tak jest.

- A co powiesz na ten, który nadjeżdża z tyłu?

Kierowca ze zgrozą spojrzał na ekran.

Co on sobie myśli, że blefuję? – zastanawiał się Donald. Ale przecież to nie blef, tylko najprawdziwszy radiowóz patrolowy!

Opancerzony, uzbrojony w miotacze gazu i ognia wóz policyjny skradał się w stronę nieruchomej taksówki. Jego kierowca włączył syrenę, żeby

ponaglić taksówkarza.

– Zabierz łapę ze słupka – warknął taksiarz. – Wynagrodzę ci to. Czego chcesz? Mam znajomości: dymiczacha, yaginol, laski... Powiedz, czego chcesz, a ja ci to załatwię.

– Nie – powtórzył triumfalnym tonem Donald.

Widział już sylwetki ludzi w radiowozie, dodatkowo na chodniku zebrało się kilka osób, wśród nich dwójka nastoletnich Aframów, którzy krzyknęli coś niezrozumiale w stronę policjantów i wybuchnęli śmiechem.

Drzwi radiowozu się otworzyły. Donald się odprężył. Jeszcze parę sekund...

Tylko że w chwili, gdy dzielny prawostróż wysiadł, nie wiadomo skąd poleciał na niego grad odpadków. Zaklął głośno, wyciągnął służbowy energetyk i strzelił wysoko w ciemność, w stronę placu zabaw. Ktoś krzyknął. Gapie rzucili się do ucieczki. Kierowca taksówki wyskoczył z wozu; policjant strzelił do niego, ale chybił. Gdzieś z góry spadł teraz cały metalowy pojemnik na śmieci – najpierw zawartość, potem sam pojemnik; najpierw *plap!*, potem *bum!* Drugi policjant wychylił się przez okno i strzelił mniej więcej w tym kierunku, z którego nastąpił atak.

Donald, który dopiero teraz zdał sobie sprawę, że nie ma już ręki przyciętej drzwiami, wygramolił się z taksówki, nawołując prawostróżów, żeby oszczędzali amunicję i gonili taksiarza. Ten z policjantów, który jeszcze nie wysiadł, na widok kolejnej ludzkiej sylwetki po prostu strzelił bez ostrzeżenia. Wizg ładunku z broni energetycznej tuż przy uchu zmroził Donalda i kazał mu szukać schronienia na chodniku.

Potknął się, czyjaś dłoń wystrzeliła spod osłony werandy i chwyciła go za kostkę. Może był to gest przyjazny, może nie, Donald nie miał pewności; wyszarpnął z kieszeni gazognat i strzelił przytrzymującemu go mężczyźnie prosto w twarz.

Wrzask. I dziewczęcy głos:

– Co zrobiłeś mojemu bratu...

Okna otwierane z łoskotem w domach po obu stronach ulicy. Dzieciaki wynurzające się z krzykiem z niezgłębionych cieni na placu zabaw, zachwycone rozrywką i rzucające wszystkim, co im wpadło w rękę:

odłamkami betonu, puszkami, pojemnikami, donicami. Śliczna śniada buzia wykrzywiona w grymasie wściekłości. Chaotyczne rozbłyski broni strzelających na oślep policjantów. Dźwięczny głos, przeklinający po hiszpańsku:

– A żebyś tak trypra złapał, kozojebie!

Odrącił dziewczynę, która rzuciła mu się z paznokciami do twarzy... i ponieważ przypomniał sobie, że wciąż ma nałożoną stalorękę. Trafiona prosto w usta twardą jak żelazo rękawicą dziewczyna zalała się krwią i z jękiem wytoczyła na środek ulicy, wprost przed oślepiające reflektory radiowozu. Czerwień ściekająca jej po brodzie jarzyła się jak żywy ogień.

– Zabić krwawicieli!

Skąd oni się wszyscy wzięli?

Nagle ulica ożyła jak rozgarnięte kijem mrowisko; drzwi i przejścia między domami rzygnęły ludźmi. Zalśniły metalowe pręty, z gardeł dobyły się wściekle zwierzęce ryki, ostre jak brzytwy odłamki szkła z rozbitych okien posypały się na głowy pieszych. Zawodząca syrena policyjna wznosiła ogólny zgiełk. Funkcjonariusze wycofali się do radiowozu tuż przed kolejną salwą śmieci. Ranna dziewczyna słała się na nogach między radiowozem i taksówką, zapłakana i krwawiąca na mieniącą się w świetle zieloną mikrosukienkę. Donald cofnął się w głąb ozdobnej wnęki w ścianie najbliższego domu; pozostał niezauważony, bo nowo przybyli automatycznie uznali prawostróżów za winnych skrzywdzenia dziewczyny.

Patrolówka próbowała cofać. Miała otwarte okna i Donald słyszał, jak policjanci proszą o wsparcie. Miotacz ognia prychnął na latarnię, metal rozmiękł jak słonina na patelni i latarnia runęła w poprzek ulicy, odcinając pojazdowi drogę ucieczki. Tłum ryknął z uciechy i rzucił się do przebudowywania tej prowizorycznej barykady w coś bardziej trwałego. Z góry zrzucono bańkę z ropą; miotacz ognia podpalił ją i dzieciaki obojga płci, harujący jak derwisze w blasku ognia, zaczęły drażnić się z policją. Kamień strzaskał lewy reflektor wozu, którego kierowca zbyt późno przypomniał sobie o podniesieniu osłon z metalowej siatki. Kolejny

triumfalny okrzyk – i kolejny kamień, pod którym dach pojazdu zarezonował jak pusta metalowa beczka. Odprysk farby trafił jednego z gapiów w oko. Mężczyzna złapał się za twarz, krzycząc, że został oślepiony.

To załatwiło sprawę.

– O mój Boże... – mruknął Donald. Od czasów szkolnych nie zdobył się na równie szczerą modlitwę. – Wybuchną zamieszki. Zaraz... wybuchną... zamieszki...!

kontekst (9)

ZASKOCZENIE

„Ludzie, którzy odczuwają potrzebę zaburzania swojej percepcji trawką, yaginolem albo dymiczachą, najzwyczajniej w świecie nie rozumieją pewnej podstawowej prawdy – takiej mianowicie, że świat rzeczywisty ma cechę, po której zawsze, ale to zawsze można go rozpoznać: tylko on potrafi nas tak całkowicie zaskoczyć.

Weźmy dwie grudy szarawego metalu i połączmy je ze sobą. Efekt: miasto zrównane z ziemią.

Czy ktokolwiek mógł to przewidzieć lub wyobrazić sobie, dopóki ludzkość nie poznała świata rzeczywistego dostatecznie dobrze, by obliczyć właściwości substancji znanej jako uran-235?

Ludzie nie mogą się nadziwić, że chiromancja ma solidne naukowe podstawy. Każdy w miarę inteligentny człowiek mógł stwierdzić, gdy tylko przedstawiono zarys idei kodu genetycznego, że nie ma żadnego apriorycznego powodu, dla którego rysunek fałdów skóry na dłoni nie miałby być powiązany z usposobieniem człowieka poprzez geny połączone wspólnym chromosomem. Wręcz przeciwnie, istniało mnóstwo powodów, dla których ten związek powinien istnieć, ponieważ nie jesteśmy tacy zupełnie głupi i (jak już wcześniej zwracałem na to uwagę) gdyby chiromancja nie miała żadnego przełożenia na nasze doświadczenia życiowe, dawno byśmy ją zarzucili na rzecz jakiegoś innego błędnego ognika. A tych przecież nie brakuje.

Musiało jednak upłynąć czterdzieści lat, zanim ktoś w należycie rygorystyczny sposób zbadał to zagadnienie i potwierdził, że te

domniemania nie były bezpodstawne. Wydaje mi się to niezwykle – chociaż, być może, »zniechęcające« byłoby w tym miejscu lepszym słowem.

Ale do rzeczy: co powinno nas dzisiaj zaskakiwać?

Fakt, że poznawszy samych siebie tak dobrze – rysunek naszych dłoni to zaledwie jeden z przykładów na to, jak dogłębnej analizie się poddaliśmy, sięgnęliśmy aż do molekuł, z których się składamy, aby dziś móc twierdzić, że bliski jest dzień, w którym nie tylko będziemy mogli wybrać płeć dziecka przed jego urodzeniem (jeśli tylko będzie nas na to stać), ale także zdecydować, czy chcemy mieć w rodzinie geniusza matematycznego, muzyka czy kretyna (przypuszczam, że niektórzy chętnie hodowaliby sobie kretyna w charakterze domowego pupila...) – w dalszym ciągu mniej wiemy o zachowaniu tłumów niż zachowaniu bytów zgoła nie-ludzkich, takich jak gruda U-235.

A może to wcale nie jest zdumiewające? Mimo że, jak wspomniałem, nie jesteśmy zupełnie głupi, to jednak przejawiamy niewątpliwy talent w tym kierunku”.

– Chad C. Mulligan, *Ty: zwierzę*

(HISTORIA Papcio Hegel mawiał, że historia uczy nas tylko tego, że niczego nas nie uczy. Osobiście znam ludzi, których nawet wydarzenia z dzisiejszego poranka nie są w stanie niczego nauczyć. Hegel musiał mieć na myśli długofalową perspektywę.

– Chad S. Mulligan, *Leksykon trendybrodni*)

na zbliżeniu (9)

ZIARENKO

Czy to naprawdę była taka zapadła dziura, czy tylko tak wyglądała, bo Poppy zeszła już z orbity? W takie miejsce trzeba było przyjść na własnych nogach, ciężkim, stanowczym krokiem – na wypadek gdyby chcieli porobić analizy i poszukać tego, co zwykle miała w sobie. Jednakże fachowcy utrzymywali, że produkty końcowe powinny zostać wypłukane z organizmu po trwającej trzydzieści sześć godzin abstynencji, co było hiperluźne.

Ale tak łatwo się znudzić...

Kolejne szczegóły: plastikowe ściany w kolorze wyblakłej żółci; okna nastawione na półprzepuszczalność, ponieważ z drugiej strony świeciło słońce; oprawione w ramki plakaty przedstawiające rozmaite przepisy, do których należało się stosować; ławki zaprojektowane chyba specjalnie w taki sposób, żeby ich użytkownikom było niewygodnie – dzięki temu osoby bez stałego miejsca zamieszkania nie miały powodu, żeby ponawiać bezcelowe wizyty dla zaznania odrobiny ciepła i komfortu; i ten wszechobecny zaduch, woń kurzu, wiekowego papieru i starych butów.

Jedynym aspektem tego miejsca sugerującym związek z naturą była podłoga – pokrywały ją płytki ze wzorem suchych liści zatopionych w warstwie przezroczystego plastiku, ale i one nie wypadały najlepiej, ponieważ kiedy patrzyło się na nie pionowo z góry, powtarzalność wzoru rzucała się w oczy, kiedy zaś spojrzano z ukosa, liście znikwały pod mgiełką rys pozostawionych przez niezliczone stopy interesantów i zostawało wrażenie jednolitej powierzchni w brudnym odcieniu gnoju.

– Już niedługo.

– Oby.

Inni petenci podnieśli na chwilę głowy: dźwięk ludzkiego głosu był niespodziewanym elementem, który zakłócał spokój. W poczekalni siedziały same kobiety w wieku od dwudziestu do pięćdziesięciu lat, wszystkie w bardziej zaawansowanym stanie niż Poppy: niektórym brzuchy przelewały się już na kolana, u innych było widać dopiero pierwszy ślad zaokrąglenia – te ostatnie przyszły zapewne po wyniki badań kariotypu. Poppy wzdrygnęła się na myśl o pobieraniu igłą płynów owodniowych; ciekawe, pomyślała, ile z tych kobiet zostanie w majestacie prawa pozbawionych potomstwa.

Roger – jedyny mężczyzna w tym towarzystwie – przysunął się do niej i objął ją opiekuńczym gestem, jakby chciał przeniknąć ochronną aurę jej kobiecości. Pogłaskała go po ręce i uśmiechnęła się półgębkiem.

Była wyjątkowo śliczną dziewczyną, nawet teraz, ubrana jak zwykle w obszerne rybaczki, którym przydałoby się pranie, i bezkształtną bluzkę, która wyglądałaby dobrze na znacznie potężniejszej kobiecie. Miała owalną twarz o delikatnych rysach, dodatkowo podkreśloną dużymi, ciemnymi oczami, i obramowaną czarnymi warkoczami, i leciutko śniadą skórę, która przydawała jej odrobinę dzikości. Cięża na razie tylko uwypukliła kształt jej piersi.

Zaśmiała się cicho do własnych myśli. Roger przytulił ją mocniej.

– Panna Shelton – rozległ się bezcielesny głos. – I... ehm... pan Gawen!

– To my – powiedział Roger i wstał.

Za drzwiami, które otworzyły się przed nimi automatycznie, zastali mężczyznę w średnim wieku, który ze znużoną miną siedział przy stole pod portretem króla, królowej i dwójki ich dzieci (policzcie dobrze: dwójki; to odpowiedzialni ludzie). Przed nim piętrzyły się sterty formularzy oraz sterylnie zamknięte pojemniki z miejscem na wpisanie nazwiska i numeru.

– Proszę siadać – powiedział, prawie na nich nie patrząc. – Panna Poppy Shelton?

Poppy skinęła głową.

– Mhm... Od kiedy?

- Słucham?
- Od kiedy jest pani w ciąży?
- Mój lekarz mówi, że mniej więcej sześć tygodni. Poszłam do niego, kiedy okres mi się spóźniał. Kazał mi przyjść do państwa, gdy tylko się upewnię, że to nie jest zwykła nieregularność.
- Rozumiem... – Mężczyzna przy stole zapisał coś na formularzu. – Pan jest ojcem, tak, panie Gawen?
- Skoro Poppy tak twierdzi, to tak: jestem ojcem.
- Mężczyzna spiorunował Rogera wzrokiem, jakby zarzucał mu niestosowny brak powagi.
- Świetnie! Przybycie domniemanego ojca zawsze ułatwia sprawę, chociaż w dzisiejszych czasach niczego nie można być pewnym. Chce pani donosić, panno Shelton?
- Słucham?
- Czy chce pani urodzić to dziecko?
- Oczywiście, że chcę!
- Tu nie ma żadnego „oczywiście”. Większość kobiet przychodzi do nas uzbrojona po zęby we wszystko, co tylko im przyjdzie do głowy, a co może zwiększyć ich szanse na aborcję: listy chorób przechodzonych w dzieciństwie, historyjki o tym, jak babcia stetryczała po setnych urodzinach, pokrętną bajeczkę o dziecku z sąsiedztwa, które zapadło na różyczkę. Zamierzacie się państwo pobrać?
- A to konieczne w świetle prawa? – warknęła Poppy.
- Niestety, nie. Nie podoba mi się pani ton, młoda damo. Sprawy, jak to pani ujęła, „konieczne w świetle prawa” to w istocie wymogi ludzkiej ekologii. W sytuacji, gdy na naszej zatłoczonej wysepce mieszka blisko sto milionów ludzi, nie ma sensu tracić zasobów materialnych i ludzkich na takie bezcelowe przedsięwzięcia jak edukacja fokomelików czy sprzątanie po kretynach. Wszystkie kraje wysoko rozwinięte doszły do podobnych wniosków; zresztą, jeżeli nie podobają się pani prawne ograniczenia posiadania dzieci, to i tak pozostają pani tylko takie państwa, które nie zapewniają opieki medycznej na przyzwoitym poziomie. A u nas ma pani przynajmniej pewność, że, po pierwsze, dziecko nie będzie miało żadnych

schorzeń dziedzicznych, i po drugie, będzie należycie chronione przed zagrożeniami pre- i postnatalnymi. To, co pani robi z dzieckiem po jego przyjściu na świat, zależy już wyłącznie od pani.

Poppy znów parsknęła śmiechem. Roger ścisnął jej ramię, żeby ją uciszyć.

– Jeśli to koniec wykładu... – zasugerował.

– W porządku. – Mężczyzna za stołem wzruszył ramionami. – Czy lekarz powiedział państwu, co należy ze sobą zabrać?

– Próbki moczu: jej i moja. – Roger zaczął wyjmować kolejne pojemniki z wypchanych kieszeni kurtkoszuli. – Próbka nasienia w plastikowej kopercie. Ścinki paznokci, włosy, ślina, wydzielina z nosa... Wszystko tu jest.

– Świetnie. – Mężczyzna nie wyglądał jednak na zadowolonego. – Panno Shelton, proszę wyciągnąć rękę.

– Będzie bolało?

– Tak.

Nakłuł igłą jej palec, wycisnął kropelkę krwi i starł ją bibułką, którą następnie włożył do podpisanej koperty.

– Pan też, panie Gawen.

Procedura została powtórzona. Mężczyzna rozsiadł się wygodnie.

– To wszystko na dzisiaj. Jeżeli nie będzie żadnego oczywistego defektu dziedzicznego, o czym poinformujemy w ciągu trzech dni, będzie pani miała prawo donosić ciążę do trzynastego tygodnia, kiedy to musi się pani stawić w szpitalu w celu określenia kariotypu. Do widzenia.

Poppy nie śpieszyło się do wyjścia.

– A jeśli nie dostanę pozwolenia? Co wtedy?

– To zależy. Jeżeli powodem będzie jakaś pani wada genetyczna, czeka panią aborcja i sterylizacja. Jeżeli powodem będzie wada ojca, której gen jest u pani recesywny, aborcja i zakaz drugiej wspólnej ciąży.

– A jeśli nie przyjdę na aborcję?

– Zostanie pani wpisana na listę poszukiwanych, a w razie schwywania aresztowana i uwięziona. Tak czy inaczej, żaden szpital w kraju nie przyjmie pani na oddział położniczy, żadna akuszerka pani nie pomoże,

a jeśli dziecko urodzi się zdeformowane, trafi do zakładu zamkniętego. – Mężczyzna złagodniał nieco. – Brzmi to wszystko bardzo okrutnie, prawda? Przykre to, ale takie kroki narzuca nam odpowiedzialność wobec przyszłych pokoleń.

Poppy jeszcze raz zachichotała i czerwony ze wstydu Roger ją wyprowadził.

Na ulicy zarzuciła mu ręce na szyję i zaczęła radośnie podskakiwać.

– Uda nam się, Roger! Uda nam się!

– Mam nadzieję – przytaknął ze znacznie mniejszym entuzjazmem.

– Ależ z ciebie pesymista! To pewnie przez to, że tkwisz tu, na dole, na powierzchni. Masz coś?

– Gumę z dymiczachą. Ale to chyba jedna z tych rzeczy, których powinnaś unikać, nie?

– Nie. Lekarz powiedział, że tylko yaginol może zaszkodzić dziecku.

– Jesteś pewna?

– Na bank. Specjalnie go o to zapytałam i tak mi właśnie powiedział.

– W takim razie okej.

Roger wyjął paczkę z kieszeni i oboje zgryźli pachnące lekko anyżkiem kostki, czekając, aż porwie ich odlot. Rozglądali się w poszukiwaniu wskazówek. W głębi brudnej londyńskiej ulicy stały wysokie zapory z ogromnymi tablicami zapowiadającymi zamknięcie ulicy na czas przebudowy – podobnie jak w wielu innych miejscach, także tutaj planowano całkowite zabudowanie jezdni i pozostawienie tylko przejść dla pieszych.

Czerwono-białe słupki zapór stopniowo upodabniały się do łodyg egzotycznych roślin – zwłaszcza czerwień pałała coraz żywszym ogniem. Wspomnienie smętnej poczekalni i niesympatycznego biurokraty, który z nimi rozmawiał, odpłynęło w odległą przeszłość jak ze snów. Przejęta nabożną czcią Poppy – z jedną ręką na brzuchu, jakby chciała świadomym dotykiem pobłogosławić zachodzący w niej cud – otworzyła szeroko oczy.

– On zobaczy właśnie ten świat, prawda? – wyszeptała. – Nie tamten straszny i brudny, w którym podłoga ma kolor gówna, tylko to piękne miejsce, które nigdy nie przestaje ekscytować. Roger, który odlotowiec

przenika do mleka matki? Muszę dopilnować, żeby nigdy nie musiał oglądać tego brzydkiego świata!

– Będziemy musieli zapytać lekarza. – Na twarzy Rogera odmalowała się spokojna pewność siebie. – Pomógł wielu ludziom, nie tylko nam. Na pewno będzie wiedział.

Wziął Poppy za rękę i razem ruszyli przed siebie – jedyne dwie prawdziwe istoty ludzkie we wszechświecie – ulicą brukowaną klejnotami, wprost do krainy miłości.

kontekst (10)

DZIECKO Z KĄPIELĄ

– No dobrze, przyznaję, że niedorzecznym pomysłem jest poświęcanie długich lat na szkolenie wysoko kwalifikowanego personelu medycznego, psychologów i tak dalej, a potem kierowanie ich do pracy, która nie może przynieść żadnych konkretnych efektów, ponieważ surowiec, z którym przychodzi im się zmagać, jest z założenia beznadziejny, taki jak na przykład imbecyle. Od biedy uznaję nawet słuszność twierdzenia, że ci specjaliści mają paskudny kompleks władzy i lubią pomiatać bezradnymi ludzkimi warzywami, chociaż nie jestem jeszcze do końca przekonany i gotowy, by to zaakceptować. Z całą pewnością nie zamierzam też podważać tezy, że jest nas za dużo: wystarczają mi codzienne doniesienia ze świata: wszystkie te klęski głodu w Azji, epidemie regularnie wybuchające w Ameryce Łacińskiej czy tegoroczny rozwój sezonowego nomadyzmu w Afryce, gdzie przez pół roku ziemia nie jest w stanie wyżywić zamieszkujących ją ludzi. Z tym wszystkim zgadzam się bez zastrzeżeń.

Pytanie jednak brzmi: czy stosowane przez nas środki zapobiegawcze są odpowiednie? Weźmy na przykład hemofilię. Nikomu nie przeszkadzało, że hemofilityków koronowano na władców europejskich państw; ba, większość z nich wypadła całkiem nieźle w porównaniu z prawdziwymi krwawicielami, którzy zasiadali na tronach zanim gen raczył się objawić. Nie powiesz mi przecież, że Henryk VIII czy Iwan Groźny byli potomkami królowej Wiktorii. Albo inny przykład: zrosnięte palce dłoni czy stóp. Nie brakuje lekarzy, którzy utrzymują, że to zwykłe przystosowanie, relik

z czasów, gdy człowiek zamieszkiwał plaże, mokradła i płycizny, a żywił się głównie wodorostami i skorupiakami.

A co powiesz o schizofrenii? Wciąż nie udało się ustalić ze stuprocentową pewnością, czy objawy chemiczne są spowodowane reakcją na stres, czy wrodzone; być może niektórzy ludzie są po prostu bardziej podatni na chorobę, lecz w odpowiednim środowisku nic im nie grozi. Ja osobiście nie wierzę w dziedziczność w tym wypadku. Uważam, że winna jest naturalna skłonność do powielania rodzinnych wzorców zachowania, która może wywołać specyficzną reakcję u ograniczonej grupy osobników. Tak jest przecież z dzieciobójstwem: częściej dochodzi do niego wśród dzieci i wnuków wywodzących się ze złych, nieczułych rodzin, bez względu na ich genotyp. Masz rodziców podatnych na schizofrenię, przejmujesz ich wzorzec zachowań i cześć pieśni.

A cukrzyca? Owszem, rujnuje zdrowie i wymaga stosowania chemicznej podpórki, ale... Żeby daleko nie szukać: moje nazwisko brzmi Drinkwater, co niemal na pewno oznacza, że wśród moich przodków – może byli to Francuzi z rodziny Boileau, a może Niemcy z rodu Trinkwasser – panoszyła się wywołana cukrzycą dziedziczna polidypsja.

Gdyby w czasach, gdy ludzie zaczynali przyjmować nazwiska, istniało prawodawstwo eugeniczne, moi przodkowie mieliby zakaz posiadania dzieci. A wtedy mnie by tu nie było.

Rozumiesz? Nie byłoby mnie!

ciągłość (9)

ROZDZIELENI W BREW SOBIE

Niczym monstrualna forma do tłoczenia wybuchowego, środowisko ciasno objęło osobowość Donalda Hogana – i tak jak dłoń zaciśnięta na grudzie kitu wyciska część surowca pomiędzy palców, pozostawiając na nim odcisk linii papilarnych, tak Donald czuł, że jego tożsamość przeciska się przez szpary i wycieka w mrok, unosząc ze sobą zdolność pojmowania i podejmowania decyzji. Została z niego bierna skorupa, zdana na łaskę czynników zewnętrznych.

Niektórzy teoretycy społeczni utrzymywali, że człowiek miejski znalazł się w niestabilnym stanie równowagi: wystarczy jedna kropla, żeby przepelnić czarę jego racjonalności. Ludzie wyczuwali instynktownie, że są jak gadareńskie wieprze, pochrzäkujące i ryjące w ziemi na szczycie nadmorskiego wzgórza, dlatego jeśli tylko mieli wybór, woleli unikać i tak już zatłoczonych miast. W krajach takich jak Indie byli tego wyboru pozbawieni – tam życie w społeczności miejskiej pozwalało odwlec śmierć głodową, ponieważ bliżej było do punktów racjonowania żywności, natomiast wywołana głodem apatia tłumiała niepokoje, i akty przemocy zdarzały się naprawdę sporadycznie. Inaczej rzecz się miała w stosunkowo dobrze odżywionych populacjach amerykańskiej i europejskiej: tam jedynym ostrzeżeniem przed wybuchem mogła być niewyraźna aura irytacji, na którą zazwyczaj pomagała dawka spoksów.

Ostatnią spójną myślą, jaka przewinęła się przez umysł Donalda, była refleksja, że co innego czytać o takiej możliwości, a co innego widzieć, jak staje się rzeczywistością.

Potem świat zwyciężył i Donald przepadł.

* * *

W CENTRUM KADRU: Patrolówka. Biały pojazd w kształcie trapezu, cztery metry długości, ponad dwa szerokości, koła – rozmieszczone na obwodzie grubej płyty zasilającego wóz ogniwa paliwowego – ukryte pod kuloodpornymi osłonami, z przodu czteroosobowa kabina z pancernymi szybami, na oknach dodatkowe wysuwane osłony z drucianej siatki, tylny przedział przystosowany do przewozu aresztantów (albo, w razie potrzeby, rannych), osłonięty z tyłu tarczą z litej stali, wyposażony w szyny do noszy i aparaturę do usypiania pasażerów gazem. Z przodu dwa oślepiające reflektory pokrywające kąt stu pięćdziesięciu stopni (jeden nie świeci, bo kierowca zbyt długo zwlekał z postawieniem drucianej osłony). Na rogach dachu reflektory z regulowanym polem oświetlenia. W obrotowej wieżyczce działko gazowe wystrzeliwujące rozpryskowe granaty szklane na odległość do pięćdziesięciu metrów. Ukryte pod fartuchem – do wykorzystania w sytuacjach absolutnie wyjątkowych – miotacze ognia, zdolne zatopić ulicę w małym morzu płomieni, które powstrzyma napastników, a załodze (oddychającej przez maski podłączone do znajdujących się w pojeździe zbiorników powietrza) pozwoli doczekać przybycia posiłków. Patrolówce mógł zaszkodzić wybuch miny, trzy strzały z broni ręcznej, które trafiłyby w pancerz w skupieniu nieprzekraczającym pięciu centymetrów, oraz zawalenie się nań budynku, ale poza tym była odporna na wszystkie typowe sytuacje, jakie mogły wyniknąć podczas zamieszek. Niestety, ogniwo paliwowe nie zapewniało dostatecznej mocy, która mogłaby przepchnąć znajdującą się z przodu taksówkę (której hamulce blokowały się automatycznie przy otwartych drzwiach) albo przełamać blokującą drogę wstecz latarnię, którą tłum wśród stęknień i przekleństw zdążył tymczasem zaklinować o jej własny kikut z jednej strony i solidnie osadzoną skrzynkę pocztową z drugiej.

PIERWSZY PLAN: Dziesiątki, setki ludzi, którzy zmaterializowali się nie wiadomo skąd – głównie Aframowie, trochę Portorykańczyków, trochę białych. W rękach jakiejś dziewczyny elektryczny akordeon (nastawiony na maksimum głośności, tak że wprawiał w drżenie szyby w oknach i bębunki

w uszach), do tego wywrzaskiwana przez krzykacza piosenka, którą tłum szybko podjął i zaczął wybijać rytm stopami: *Co teraz zrobimy? Piękne miasto mamy, Brudne, niebezpieczne, cuchnące, gówniane*. Łoskot uderzających o karoserię patrolówki przedmiotów: kawałków betonu, śmieci, butelek, puszek. Jak długo jeszcze, zanim tryśnie gaz i płonący olej?

SCENERIA: Jednakowe ściany dwunastopiętrowych budynków, z których każdy zajmuje pół przecznicy lub całą, z rzadka tylko poprzedzielane wąwozami ulic, ponieważ po tym, jak pozbyto się samochodów z centrum, jednokierunkowe uliczki są w zupełności wystarczające dla taksówek i pojazdów służb miejskich. Autobusy kursowały do najbliższej przecznicy z lewej strony i dwie przecznice dalej z prawej. Czterocalowe betonowe krawężniki oddzielały chodnik od jezdni – dostatecznie niskie, żeby je przestąpić, a zarazem dostatecznie wysokie, żeby żaden pojazd przypadkiem nie rozjechał pieszego. Na fasadzie prawie każdego budynku jakaś reklama, tak że mieszkańcy górnych pięter wyglądali na zewnątrz spomiędzy fal oceanu, ze środka litery O albo z krocza chętnej dziewczyny. Jedyne wyłom w tym urwisku murów stanowił plac zabaw: był jak Einsteiowski wtór w uporządkowanym świecie Euklidesa.

DETAL: Fasada budynku, pod którą się skulił, naprzeciwko placu zabaw, wyróżniała się na tle sąsiednich ozdobnymi detalami. Miała szeroką, wyniesioną ponad poziom ulicy werandę, przez którą wchodziło się do środka, oraz szereg integralnych, gładkich, podwójnych przypór. Każdą parę przypór rozdzielała wnęka, która u dołu mierzyła ponad pół metra szerokości, po czym zwężała się ku górze, by na wysokości czwartego piętra zupełnie zaniknąć. W jednej z tych właśnie wnęk znalazł schronienie przed światłem, przewalającym się tłumem i miotanymi przezeń pociskami.

Słyszając metaliczny szczęk nad głową, spojrział do góry: ktoś próbował odgiąć drabinki pożarowe w taki sposób, żeby odstawały od ściany, zamiast schodzić na dół. Można by z nich wtedy rzucać kamieniami prosto w dach patrolówki.

* * *

Fssss-trzask. Fssss-trzask. Wrrr-fssss-trzask.

Działko gazowe.

Granaty roztrzaskiwały się o ściany domów, plując gęstym oparem, który wolno ściekał po murach w głąb kanionu ulicy. Pierwsze ofiary kaszlały, wyły z bólu i padały na ziemię jak ścięte, zaciągawszy się skoncentrowanym specyfikiem. Ci, którzy mieli dość szczęścia, żeby uniknąć pierwszej salwy, przypadali do ziemi i czmychali prawie na czworakach.

Fssss-trzask. Wrrr-fssss-trzask.

Dziewczyna, której rozciął wargę, chwiejnym krokiem zeszła z ulicy, kierując się w jego stronę. Ogarnięty niewytłumaczalną chęcią udzielenia jej pomocy, wychylił się z wnęki i zawołał do niej. Podeszła bliżej, słysząc przyjazny głos i nie widząc, kto ją woła... a wtedy uzbrojone w pałkę ramię wyrznęło Donalda w lewy bark. Kątem oka dostrzegł, że ręka należy do Aframa. Uchylił się, unikając następnego ciosu. Działko gazowe ostrzeliwało w tej chwili tę stronę ulicy; wystarczył jeden wdech, żeby oddychanie stało się koszmarem. Ci, którzy uniknęli zagazowania, wspinali się na gałęzie drzewka na placu zabaw jak archetypowi protoludzie uciekający przed sforą wilków. Dziewczyna i jej brat natychmiast zapomnieli o Donaldzie i rzucili się biegiem w stronę skrzyżowania. Donald popędził za nimi, bo wszyscy i tak się rozbiegali.

Na skrzyżowaniu: spóźnialscy podążający za grupą wirachów, którzy zaopatrzyli się w kije i wielgachne puste puszki w charakterze bębnów. Wiwaty na widok uwięzionej patrolówki.

– Gaz!

Triumfalne okrzyki przycichły. Po drugiej stronie ulicy znajdował się otwarty zautomatyzowany sklep, którego właściciel lub kierownik zjawił się na miejscu zamieszek i w tej chwili pośpiesznie zaciągał kraty osłaniające witryny i wejście; uwięził w ten sposób troje klientów, którzy przyjęli ten fakt nie tyle z irytacją, ile raczej z wyraźną ulgą. Anonimowa dłoń cisnęła kamień w ostatnie niezabezpieczone okno, w którym akurat

były wystawione alkohole. Puszki i butelki runęły z hurgotem, sterta tych pierwszych zablokowała kratę, nim ta zdążyła się podnieść i zatrzasnąć, i część tłumu uznała sklep za cel atrakcyjniejszy od radiowozu.

Głośnie dudnienie, z góry. To jeden z małych, jednoosobowych helikopterów – dostatecznie zwinnych, by manewrować pomiędzy szczytami wysokich budynków i Kopułą Fullera, której zaczerwieniony brzuch stanowił niebo Manhattanu – przyleciał na rekonesans i na bieżąco informował dowództwo policji o zasięgu zajść. Gdzieś po prawej z okna dobiegł huk: staroświecki karabinek sportowy. Helikopter zakolebał się i runął na ulicę z rozpaczliwym wizgiem łopat, gdy pilot walczył o utrzymanie wysokości. Oszalały ze szczęścia tłum, któremu prawostróż sam wpadł w ręce, runął naprzód, żeby przywitać go pałkami.

Donald uciekł.

Na następnym skrzyżowaniu już uruchomiono procedurę tłumienia zamieszek. Dwie armatki wodne metodycznie zmywały ludzi z chodników pod drzwi domów. Donald zawrócił i niedługo później napotkał zgarniarki – policyjne suki wyposażone w podwójne pługopodobne ramiona, służące temu samemu celowi co armatki wodne, lecz znacznie mniej delikatne. Przeganianie tłumu z miejsca na miejsce miało utrudniać zorganizowany opór. Kolejny jednoosobowy śmigłowiec zniżył lot, żeby obrzucić ulicę gradem pocisków z gazem.

Donald znalazł się w grupie około pięćdziesięciu osób pędzonych przez ustawione w szyku wozy policyjne; zapuścili się poza swoje terytorium i nie mieli gdzie się podziać. Przepchnął się pod ścianę budynku, ponieważ zauważył, że niektórym z jego towarzyszy udaje się zniknąć za drzwiami. Niestety, przy pierwszych drzwiach znajdujących się dostatecznie blisko, by mógł mieć uczciwą szansę dostania się za nie, stało dwóch Aframów z pałkami.

– Ty tu nie mieszkasz, białasio – powiedział jeden z nich. – Zwijaj się stąd, zanim ktoś ci zrobi kuku.

Na skrzyżowaniu spotkały się dwie armatki wodne i zgarniarka, przed którymi uciekał. Masę ludzi z trzech ulic wtłoczono w czwartą, pędząc ich

z powrotem w kierunku źródła zamieszania. Stłoczeni ciało przy ciele potykali się o siebie nawzajem i wydzielali na całe gardło.

Patrolówka tkwiła w tym samym miejscu. Kierowca klaksonem powitał kolegów ze zgarniarki. Gaz prawie się rozwiął, ale jego ofiary wciąż dławili się i wymiotowały, i z całą pewnością nie zanosilo się na koniec zamieszek. Na betonowych konarach drzewka z placu zabaw mężczyźni i kobiety w dalszym ciągu śpiewali piosenkę zaintonowaną przez dziewczynę z ryczącym elektroakordeonem: *Weź dynamit i WYSADŹ GO W POWIETRZE!* Dosłownie wszystkie okna były rozbite, szkło chrzęściło pod nogami. Ludzi razem ze śmieciami zapędzano na jedną wielką stertę odpadków – nie tylko z kierunku, z którego przybył Donald, lecz także z przeciwnego krańca ulicy. Realizowany był standardowy plan: odciąć okolicę, awanturników zepchnąć, stłoczyć i wyłapać.

Co bardziej zuchwałe i przytomne dzieciaki wskakiwały na ramiona zgarniarki, gdy ta mijała plac zabaw, i kryły się w bezpiecznym gąszczu betonowych konarów. Donald nie zdążył pójść w ich ślady – zanim się zdecydował, został odepchnięty.

Bezrozumnie przepychał się, napierał i krzyczał wraz z pozostałymi, nie patrząc, kogo poszturchuje – mężczyznę czy kobietę, Aframa czy białego. Granaty z zainstalowanego na zgarniarce działka gazowego świsnęły mu nad głową i dudniąca muzyka umilkła w pół taktu. Odrobina gazu dotarła też do jego nozdrzy – i zagłuszyła resztki rozsądku. Wałąc pięściami na oślep, obojętny na to, od kogo obrywa, byle tylko mógł oddać, naparł na ludzi z przeciwka, którzy właśnie zderzyli się z jego grupą.

Wizg turbin: na dachach lądowały policyjne śmigłowce wyposażone w sieci do odławiania uczestników zamieszek; przywodziły na myśl odrażającą krzyżówkę sępa z pajakiem. Donald szłochał, sapał, bił, kopał i nie czuł ciosów przeciwników. Przed oczami zamajaczyła mu ciemna twarz. Wyglądała znajomo. Przypomniał sobie chłopaka, do którego strzelił z gazognata, tego, którego siostra rzuciła się następnie na niego, a on zdzielił ją w twarz i rozciął jej wargę. Zdjęty zgrozą, zaczął okładać stojącego przed nim mężczyznę.

– Donald! Donald, przestań! Przestań!

Rozbiły się kolejne granaty, w dół spłynęło jeszcze więcej gazu. Donald stracił siłę w pięściach, za to tuż przed utratą przytomności odzyskał odrobinę zdrowego rozsądku.

– Norman... Mój Boże, Norman, tak mi...

Przeprosiny, ich autor i adresat – wszystko zniknęło w wirze nicości.

świat tu-i-teraz (7)

SZTUKISTAN

Widziałem gryzmoły na domu ścianie gry-gry-gryzmoły na ścianie-
ścinanie domu do domu na domu ścinanie co widziałem zapomniałem
więc to nie mogło być nic ważnego ZESTAW DO POLIFORMINGU
POZWOLI CI NA WŁASNYCH RĘKACH POCZUĆ TO CO CZULI MICHAŁ
ANIOŁ I MOORE RODIN I ROUAULT *przeanalizujemy twój metabolizm
i przygotujemy specjalną mieszankę przeznaczoną tylko dla ciebie po której odlot
będzie wyższy dalszy dłuższy* skrzyżowanie kalejdoskopu z komputerem
pozwoiliło nam stworzyć kolideroskop w którym twoje smętne codzienne
środowisko staje się cudowną tajemnicą NIECH TEN KTÓRY MA USZY
USŁYSZY WSZYSTKO CO MOŻLIWE W LOSOWYCH DŹWIĘKACH
GENERATORA BIAUEGO SCHUMU® architektura jutra to przestrzeń
kubatura introwersja i zwięzłość KONCERT SKRZYPCOWY
BEETHOVENA SOLISTA ERICH MUNK-GREEN *podczas remontu nie
zapomnij skonsultować się z nami dostarczymy ci oryginalne grafiki komputerowe
dopasowane do twojego schematu barwnego* niezwykle egzotyczne wrażenia
smakowe nawet z najzwyczajszych potraw wystarczy przed gotowaniem
posypać odrobiną Supersoli NAJNOWSZY WIELKI JAK ZDERZENIE
PLANET PRZEBÓJ EM THIRTY-ONES JEST NA SZPULI EG92745 *kto nie
czytał tej powieści ten nie obchodził swojego dwudziestego pierwszego „nadaje
zupełnie nowy sens słowu »nowatorska«!”* NETSUKE NIGDY PRZEDTEM
TAKIE NIE BYŁO FAKTURY I KSZTAŁTY ABSORBUJĄ BEZ RESZTY ALE
NIE UZALEŻNIAJĄ (GWARANCJA) nowa kolekcja Gondoli to dzieło
jednego z najbardziej kreatywnych artystów naszego pokolenia MAK BET
Z BAZY KSIĘŻYCOWEJ ZERO WILLIAM SHAKESPEARE I HANK

SODLEY darmowydarzenie dziś wieczorem pirotechnika i rozliczne możliwości autoekspresji przynieście własne nienawiści chcesz powiedzieć, że nie kupiłeś jeszcze czasoboksu Eda Ferlinghama? niech twój dom stanie się ramą dla twojej indywidualności MY MARIONETKI NOWY BALET SHAUNA najbardziej fascynującym przedsięwzięciem tego stulecia jest badanie stochastycznego potencjału angielszczyzny „słowna karezza – zawsze prawie dochodzi, ale tylko prawie” NAJWSPANIALSZA SZTUKA TO TA NAJBARDZIEJ NIEDOSTRZEGANA KIEDY OSTATNIO DOŚWIADCZYLIŚCIE EKSTAZY W ŁÓŻKU? Galeria XXII Wieku możesz przyjść w swoich najstarszych ciuchach kupić nasze niepowtarzalne jednorazówki albo wejść na golasa pod „deszcz gówna” Alana Lezgina nareszcie perfumy osiągnęły status prawdziwego dzieła sztuki w delikatnych flakonach Twenty-First Scentury od Arpège DZISIAJ NA KANALE PIĘĆDZIESIĄTYM PERFEKCJA HOLOGRAFICZNEJ SOLIDARNOŚCI polichromiczna enigmata Triady w Shoplace Shoplace Shoplace POKOCHAJ SWOJE SKŁONNOŚCI AUTODESTRUKCYJNE I DAJ SIĘ W NICH WESPRZEĆ antyki których nie widzieliście nigdy przedtem bo to my je wymyśliliśmy jest ich mnóstwo naprawdę mnóstwo co powiecie na kołpak z Bali albo zestaw hi-fi w stylu fałszywego art-nouveau? w naszych studiach nauczysz się tańczyć zocka jak prawdziwy mistrz hiperluzu TEATR W DZIURZE PRZEDSTAWIA WAGNER ZŁOTO RENET autokrzyk dla intelektualistów darmowy montaż PRZEŻYJ „FETOR” QUATROMANE INSTRUKCJA NA ŻYCZENIE lista przebojów nigdy ci się nie znudzi Tonvaria przerabia muzykę na twój ulubiony styl od Bacha przez Beiderbecke’a po Bronsteina i kogo zechcesz KIEDY MÓWIMY ZMYŚLOWY MÓWIMY SERIO WZMOCNIJ SWOJE DOZNANIA ŁAGODNYM NIEUZALEŻNIAJĄCYM ŚRODKIEM masz dość jesteś tym wszystkim zmęczony zadzwoń przykładowo 1000 \$ wjazd na chatę 3 os. ekipa z wiadrami farby i mierzwy 1500 \$ napad z bronią w rękę kradzież wszystkich ruchomości dialog i maks. zniszczenia sprzętów zamówienia specjalne do 3000 \$ nareszcie gastronomia osiągnęła status prawdziwego dzieła sztuki w rękach Noël Noël NASZE PUSZKI SĄ PROJEKTOWANE INDYWIDUALNIE PRZEZ NAJLEPSZYCH WSPÓŁCZESNYCH ARTYSTÓW ty też możesz uwolnić swój potencjał twórczy na jednym

z naszych spersonalizowanych kursów BĄDŹ JEDYNĄ OSOBĄ
W DZIELNICY KTÓRA PRZECZYTA TE OPOWIEŚCI KALIGRAFOWANE
NA RĘCZNIE CZERPANYM PAPIERZE *nareszcie niedoceniany zmysł dotyku
może cieszyć się owocami kreatywności artystów „Stingle”® jest właśnie dla Ciebie*
NAMALOWAŁEŚ JUŻ „CHRYSTUSA W EMAUS”? wyrzuć stary aparat na
śmietnik poddaj się trendowi holografii WYDANIE LIMITOWANE
MILION NUMEROWANYCH EGZEMPLARZY *przeprogramujemy twoje życie
aby stało się artystycznie zrównoważoną całością* KIEDY SŁYSZYSZ
BOTTICELLI MYŚLISZ ŻE TO SER OD DZISIAJ TAK WŁAŚNIE JEST
NAJLEPSI KUCHARZE GRATULUJĄ NAM TEGO OSIĄGNIĘCIA Szkoła
Wolnej Telewizji przedstawia tematem jutrzejszego darmowydarzenia jest
podróż na oślep w mrok dokądkolwiek Muzeum Ubiegłego Tygodnia
codzienna zmiana ekspozycji SZTUKA BŁĘKITU WYKŁAD Z PRAWDZIWYM
FILMEM NIE REPRODUKCJĄ Z TAŚMY potencjał telewizji nareszcie
w pełni wykorzystany za sprawą wielkiego artysty *co ci się ostatnio śni nie
pyta twój psych ale ludzie którzy używają induktora snów następny logiczny krok
moda nareszcie zajmuje należne sobie miejsce w sztuce za sprawą*
PRAWDZIWYM ARTYSTĄ W DZIEDZINIE CHIRURGII KOSMETYCZNEJ
JEST DR nie przegap szansy twoja rodzina też może być arcydziełem
SZTUKA SUKCESU ZADZWOŃ DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ nauczysz się
doceniać zamiast nienawidzić to co świat ma ci do zaoferowania gdy
NARKUS Z 24H ZABURZENIAMI PERCEPCJI POTRZEBNY DO
DARMOWYDARZENIA ozdobne muszle kamienie pamiątki ŻYWA
POWIEŚĆ PRZYJDŹ PRZEŻYJ JĄ RAZEM Z AUTOREM rozpad to tylko
kolejny aspekt całości nie sztuki nie życia lecz doświadczenia *dopasuj pupili
do swojej osobowości zwieryta z modyfikowanym genotypem każdy rodzaj*
NARESZCIE STATUS PRAWDZIWEJ SZTUKI UZYSKAŁO przetworzenie
doświadczenia osobistego w symetryczny schemat TWÓJ KONIEC TEŻ
MOŻE BYĆ DZIEŁEM SZTUKI STWORZONYM PRZEZ CIEBIE
DOSTĘPNE WSZYSTKIE TRADYCYJNE FORMY EGZEKUCJI WIERNOŚĆ
HISTORYCZNYM DETALOM EKSPLOZJA UTOPIENIE UPADEK
Z WYSOKOŚCI WSZELKA BRONŃ Z UDZIAŁEM OSOBY TRZECIEJ LUB
BEZ ROZSĄDNE WARUNKI TERMINATION INC. Z NAMI TWÓJ

KONIEC BĘDZIE DZIEŁEM SZTUKI (uwaga: usługa niedostępna w następujących stanach...).

(A.R. TYSTA Mój kumpel z Tulsa w Oklahomie, z dawnych czasów; miałem wtedy chyba jednaście lat. Chętnie bym się dowiedział, co u niego. Tyłu pozerów się pod niego podszywa...

– Chad S. Mulligan, *Leksykon trendybrodni*)

na zbliżeniu (10)

PRZYGNIAJĄCA MIŁOŚĆ MATCZYNA

Wyciągnięta nago na leżance, z włosami ufarbowanymi na modny odcień brązu, z którym w powszechnej opinii było jej bardzo do twarzy, osłonięta parawanem skrywającym większość ciała przed kamerą wideofonu, a zarazem skąpana w niebieskobiałym świetle kwarcówek, Sasha Peterson nie wyglądała na swoje czterdzieści cztery lata. Wystarczająco zaokrąglona, żeby skóra zachowała jędrność wszędzie tam, gdzie trzeba – na ramionach, na piersiach z karneolowymi brodawkami, na brzuchu podkreślonym kępką włosów ufarbowanych na taki sam kolor jak włosy na głowie (niczego nie pomijaj, niczego nie zdradzaj, nie zaniedbaj żadnej sztuczki) ważyła nieco więcej niż to konieczne, nie aż tyle jednak, żeby miało to znaczenie.

– Nie do końca właściwa – powiedziała. – Oczywiście Philip był rozczarowany moimi słowami, ale ja nie wierzę w tajemnice między matką i synem. To najbardziej intymna ze wszystkich ludzkich relacji, prawda? Jeżeli jestem o czymś przekonana, to po prostu to mówię i tego samego oczekuję od Philipa. Przepraszam cię na chwilę, Alice... Kochanie?!

Philip – siedzący po przeciwnej stronie pokoju, ubrany w lekko konserwatywny garnitur, którego krój był popularny wśród młodych mężczyzn dziesięć lat temu – podniósł pytająco wzrok. Był muskularnym dwudziestolatkiem z pryszczami, wobec których nawet najnowocześniejsze kuracje dermatologiczne okazywały się nie do końca skuteczne.

– Przynieś mi jeszcze jednego whistlera, dobrze?

Dłoń zwieńczona nieskazitelnie chromowanymi paznokciami podała pusty jakobicki kielich, którego kryształowe fasety niczym brylant pochwyciły i roztrzaskały światło kwarcówek.

– Sobie też mogę nalać?

– Raczej nie, kochanie. Jednego już wypięś, a nie jesteś taki... hmm, zahartowany jak mamusia, prawda?

Odczekała, aż Philip zabierze kieliszek, i mówiła dalej:

– Nie spodziewam się więc, żebyśmy jeszcze mieli okazję zobaczyć Lucy. Właściwie to nawet szkoda, bo pod pewnymi względami jest całkiem miłą dziewczyną. Nie można też jej zarzucić braku inteligencji. Jest natomiast nieco... bądźmy szczerzy: nieco pospolita, nie sądzisz? No i prawie trzy lata starsza od Philipa. Moim zdaniem w tym wieku jest to nieproporcjonalnie wielka różnica. Chociażby procentowa, biorąc pod uwagę, że Philip ma przecież dopiero dwadzieścia lat. Ach, dziękuję ci, kochanieńki. Dzięki stokrotnie!

Jedną ręką roztrzepała synowi włosy, drugą odebrała od niego kieliszek i postawiła obok siebie.

– A skoro już tu jesteś, cukiereczku... Przypaliłbyś mi następnego bay golda? Tylko uważaj, żebyś sam się przypadkiem nie zaciągnął.

Philip podszedł do skrzynki z blantami, przypalił jednego i posłusznie puścił z dymem trzy milimetry papierosa.

– Zresztą dzisiaj i tak zostaję sama w domu: Philip wybiera się na spotkanie z Aaronem. To miły chłopiec, byli w jednej klasie, kiedy... Rety, słonko ty moje, chyba powinieneś się już zbierać?!

– Jeśli nie masz nic przeciwko...

– Ależ oczywiście, że nie! Skądże! Tylko obiecaj mi, że wrócisz najszybciej jak się da. – Ujęła blanta w połyskujące metalicznie szpony. – No, pocałuj mamę na do widzenia. I pozdrów ode mnie Aarona.

Cmok-cmok.

– Prawdziwy z ciebie synuś mamusi, prawda, Philipie? Do zobaczenia. A właśnie, Alice, przypomniało mi się, po co dzwonię: mówiłaś, zdaje się, że znasz kogoś w ministerstwie, kto załatwił zwolnienie z poboru

dzieciakowi Wilkinsów... Widzisz, sprawa wygląda tak, że i na nas spadło to nieszczęście i chociaż to wszystko bzdura, tak się zastanawiałam, czy...

– Tak, Sasha – odpowiedział Philip na pytanie, które dawno zdążyła zapomnieć.

ciągłość (10)

STOSOWNA PROCEDURA

Rozległa i rozdęta ludzka pustka; ręce nogi brzuch niczym tunele wibrujące w obrzydliwym rytmie nudności, stopniowo, boleśnie łączone kruchymi jak pajęcza sieć ogniwami, tworzące...

Człowieka. Targanego mdłościami, obitego, obolałego Donalda Hogana. Wolałby zostać jeszcze w niebycie braku świadomości, ale stosowany przez policję gaz usypiający przynosił gwałtowne przebudzenie. Skutki uboczne zostały starannie ograniczone do torsji i osłabienia, czyli odczuć najbardziej podkopujących pewność siebie.

Przeturlał się w bok i stwierdził, że podłoże się kończy. Zgroza na myśl o upadku na oślep natychmiast go otrzeźwiła: jednocześnie rozejrzał się, wyciągnął rękę i złapał metalowy pręt. Przed oczami miał niemożliwą do rozstrzygnięcia zagadkę z linii i kształtów.

Byłby się stoczył z czegoś, co bardziej przypominało półkę niż pryczę, ale nawet wtedy przed zderzeniem z podłogą przeleciałby zaledwie kilkanaście centymetrów: leżał na najniższym poziomie. Po drugiej stronie metalowej kraty widział spiętrzone poziomo komórki, z których każda zawierała ludzkie ciało. Jego oczadziały umysł wydedukował, że po tej stronie kraty musi znajdować się podobny zespół komórek i że w jednej z nich spoczywa on sam. Mężczyzna i kobieta w policyjnych mundurach włączyli mechanizm podnoszący kratę oddzielającą dwa więzienne bloki; metal zazgrzytał głośno i usunął się im z drogi, a oni weszli do środka. Mieli ze sobą dyktafon do robienia notatek, który przekazywali sobie z rąk do rąk, w zależności od tego, czy następny więzień na ich drodze był mężczyzną, czy kobietą. W końcu zatrzymali się w polu widzenia Donalda

i policjant zaczął obszukiwać jednego z nieprzytomnych aresztantów. Na sąsiedniej półce na dolnym poziomie Donald zobaczył dziewczynę leżącą w kałuży wymiocin.

– Sprężaj się – ponagliła policjantka partnera. – Niektórzy dostali tylko jednego bucha, w każdej chwili mogą się ocknąć.

– Już, już. Według identyfikatora to jest...

Donald spróbował usiąść, co było niezbyt mądre, bo nad sobą miał niespełna ćwierć metra wolnej przestrzeni. Walnął głową od spodu w górną pryczę, czym zwrócił uwagę policjantów.

– Widzisz? To właśnie miałam na myśli – odezwała się policjantka i z westchnieniem odwróciła się do dzielącej ją od Donalda siatkowej przegrody. – Leż spokojnie... Na ciebie też przyjdzie kolej.

Donald z trudem opuścił na podłogę obie stopy i jedną rękę, po czym tytanicznym wysiłkiem przyjął postawę stojącą. Przytrzymał się czwartej pryczy od dołu, żeby nie stracić równowagi.

– Co się dzieje? – zapytał. – Co to za miejsce?

W słabym świetle mdłych, osłoniętych kloszami żarówek widział ciągnące się po obu stronach w nieskończoność rzędy ludzkich ciał. Jak w kostnicy.

– Zapnij twarz. – Policjantka odwróciła się do niego plecami.

– Posłuchajcie: zgarnęliście tyłu ludzi, a chodziło o jednego kierowcę pseudotaksówki...

– No kurzeszmac... – Zirytowany policjant tupnął nogą. W jego wykonaniu był to gest wyjątkowo komiczny, ponieważ facet miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, szerokie bary i złamany nos, ale cóż... – No dobra, panie wyszczekany, co jest?

– Chodzi mi o to, od czego zaczęło się zamieszanie. Czy znaleźliście tego taksówkarza?

– Jakiego taksówkarza?

– Dałem się złapać w pseudotaksówce, ale przyblokowałem drzwi staloręką, żeby się nie zatrzasnęły, i...

– Słyszałaś o jakiejś taksówce? – spytał policjant swoją partnerkę. Ta pokręciła głową.

– A czy ja mam czas, żeby sprawdzać, dlaczego ich zgarnęli? – odparła.
– Stul dziób i czekaj – odpowiedział Donaldowi policjant. – Albo ci znów przygazuję. Następny. – Kobieta podsunęła mu mikrofon dyktafonu. – To jest...

Donald ze zdumieniem rozpoznał mężczyznę, którego kieszenie przeszukiwał policjant.

– Wiceprezes General Technics – powiedział. – To się nasłuchacie...

– Co takiego?

– To jest Norman House z GT!

Wyglądał jak woskowa kukła, z zamkniętymi jakby ze zmęczenia oczami i rękami skrzyżowanymi byle jak na piersi przez ludzi, którzy go przynieśli.

– Fakt – przytaknął policjant, obejrzawszy identyfikator Normana. – Skąd wiedziałeś?

– Mieszkamy razem.

Policjanci spojrzeli po sobie. Mężczyzna wyciągnął rękę.

– Udowodnij.

Donald przetrząsnął kieszenie, stwierdził, że staloręka i gazognat zniknęły (jakżeby inaczej), aż w końcu znalazł swój identyfikator. Nieporadnie przecisnął go przez kratę.

– Adres się zgadza – przyznał bez entuzjazmu policjant. – Lepiej będzie ich stąd zabrać, Syl. Nie możemy się narażać GT.

Kobieta posłała Donaldowi nienawistne spojrzenie i wyłączyła dyktafon.

– Krwawiciel jeden, mierzwa jego mać... – mruknęła. – Jakbyśmy mieli za mało roboty. Ale w porządku.

– Czekaj tutaj – powiedział policjant. – Musimy wyjść i obejść cały blok.

– A co z tym? – Kobieta wskazała na Normana.

– Ściągnij ekipę z noszami. Byle szybko, zanim następni się pobudzą i narobią nam kłopotów.

Jęk i zgrzyt podnoszących się i opadających z powrotem krat stanowił dziwaczny metaliczny kontrapunkt dla kroków dwojga policjantów, którzy wycofali się w głąb aresztu. Bo to właśnie był areszt, uświadomił sobie nagle Donald. Z biegiem czasu wprowadzano w nim liczne zmiany – aż do

chwili obecnej, gdy zabrakło miejsca i nie pozostało nic innego, jak zamykać więźniów w przypominających trumny szufladach, które w zależności od potrzeb wsuwało się i wysuwało jak w szklanej lamigłówce.

W końcu wrócili po niego i wyprowadzili, potykającego się przed nimi, na wyłożony płytkami korytarz, gdzie inna kobieta odebrała go i zaprowadziła do pustego pokoju.

– Proszę tu poczekać. Za chwilę ktoś po pana przyjdzie.

Chwila się przeciągała. Donald usiadł na twardym krześle, ukrył twarz w dłoniach i zastanawiał się, czy właśnie teraz się porzyga.

Pod powiekami miał układankę z ludzkich ciał porozdzielanych przegrodami z siatki.

* * *

– Nazywa się pan Hogan?

Donald aż podskoczył. Do pokoju wszedł mężczyzna z kapitańskimi epoletami. Właśnie okręzał stojący na środku stół, żeby usiąść po jego drugiej stronie. W ręce trzymał plik dokumentów.

– T-tak.

– Podobno wie pan coś o przyczynach wybuchu zamieszek. – Kapitan wyjął z szuflady mikrofon dyktafonu i pstryknął przełącznikiem. – Słucham.

– Wsiadłem do pseudotaksówki i...

Recytacja szczegółów. Znużony głos.

Kapitan pokiwał głową.

– Wiem. Dostaliśmy zgłoszenie, że jeden z tych krwawicieli kręci się po okolicy... chociaż pojęcia nie mam po co. Spodziewałbym się raczej, że będzie wolał obrzeża miasta: tam ludzie więcej jeżdżą taksówkami, częściej noszą grubszą gotówkę, albo przynajmniej karty kredytowe, niż na waszym terenie...

– To nie jest mój teren.

– To po kiego wała się pan tam kręcić?

– No... ehm... poszedłem się przejść.

– Słucham? – Kapitan spojrzał na Donalda z niedowierzaniem. – Często pan to robi?

– No... nie. Po prostu uderzyło mnie, że przestałem wychodzić wieczorami z domu, jeśli nie mam czegoś do załatwienia albo nie idę do kogoś z wizytą, więc...

– Rany... Oby to panu nie weszło w nawyk. I bez pańskiej obecności mamy tu dość kłopotów.

– Jedną chwileczkę! – Donald zaczynał dochodzić do siebie. Oburzenie kazało mu wyprężyć pierś. – To nie moja wina, że pseudo...

– Nie? Niech no pan na siebie spojrzy!

Zmieszany Donald spuścił wzrok. Ubranie miał całe ubrudzone śmieciami, którymi awanturnicy obrzucali patrolówkę. Na ten widok żołądek znów podszedł mu do gardła.

– Wiem, nie wyglądam za dobrze, ale... – zaczął bez przekonania.

– Nie w tym rzecz. Ilu widział pan na tym terenie ludzi, którzy byliby podobnie ubrani? Natychmiast rozpoznali w panu intruza. Niepotrzebna była pseudotaksówka, żeby stał się pan iskrą zapalną; równie dobrze mógłby to być aframski wiracha z zamiennikami chcący się zabawić pańskim kosztem, bandyta, który by uznał, że warto pana napaść... ktokolwiek. Zachował się pan wyjątkowo głupio. Efekt jest taki, że mamy tu teraz dwustu lokatorów ekstra, a budynek nie jest przystosowany do obsługi nawet połowy z nich!

– Nie bardzo rozumiem, jakim prawem tak się pan do mnie odzywa! – wybuchnął Donald. – Czy oprócz dwustu niewinnych ludzi, których zgarnęliście z ulicy, złapaliście także taksówkarza?

– Ma pan dość swobodne podejście do liczb... – Kapitan zniżył głos. – Dwustu niewinnych ludzi? Wątpię. Chociażby ten taksówkarz: jeśli nie biega dostatecznie szybko, to prawdopodobnie go mamy, więc jeden winny już jest. Co najmniej. Spodziewam się również, że złapaliśmy – zaczął odliczać na palcach kolejne grupy – chuliganów, którzy wybili szybę w oknie sklepu, złodziei, którzy ukradli większość alkoholu i blantów, wandali, którzy ścięli latarnię uliczną, łobuzów, którzy uszkodzili jeden z moich radiowozów, oraz ludzi, którzy zaśmiecili pół ulicy gnijącymi

odpadkami, co zagraża zdrowiu mieszkańców, a także kilka dziesiątek takich, którzy aż się rwali do bijatyki, uzbrojeni po zęby w broń palną, z której zestrzelono śmigłowiec patrolowy, albo w pałki, którymi zatłuczono pilota na śmierć... Na czym stanęliśmy?

– Zabili go? – wycedził Donald.

– Trudno ocalić człowieka, któremu mózg z roztrzaskanej czaszki rozlał się na ulicę. Chyba że pan to potrafi?

– Mój Boże...

– Ja nie wierzę w Boga. Nie mam ochoty wierzyć w kogoś, kto miałby stworzyć tak nędzny i podły rodzaj istot jak ten, do którego pan należy. A teraz proszę zejść mi z oczu, zanim oskarżę pana o podżeganie do zamieszek.

Kapitan wyłączył dyktafon, schował mikrofon i z trzaskiem zamknął szufladę.

– I powiem panu, że zrobiłbym to – dodał – gdybym miał więcej czasu.

Donald wstał w wysiłkiem. Cały się trząsł.

– Chce pan powiedzieć, że można dziś zabronić człowiekowi wychodzenia na ulicę w jego własnym mieście, ponieważ może mu się coś przytrafić, tak jak mnie się dziś przytrafiło?

– Niech pan sobie sam policzy, jakie ma pan szanse. Na razie prawdopodobieństwo wynosi sto procent, jak dowodzą fakty. Wynocha, zanim mi się odwiedzi! I proszę zabrać ze sobą swojego współlokatora, brązowego kinola. W tym stanie sam nie wróci do domu, a mnie się przyda odrobina wolnej przestrzeni.

kontekst (11)

WYJDŹ I TO POWIEDZ

„Moim zdaniem najbardziej przerażającą książką, jaką kiedykolwiek opublikowano, jest *Statistics of Deadly Quarrels* Lewisa F. Richardsona. Pewnie nigdy o niej nie słyszałeś, mimo że jej związek z twoją obecną zabałaganioną sytuacją jest wcale nie mniejszy niż w przypadku *O pochodzeniu gatunków* Darwina, o której dowiedziałeś się w okolicach czwartej klasy. Książka Richardsona jest tak makabryczna, że tylko »eksperci« uzbrojeni po zęby w przyjęte a priori idee przeciwne są w stanie zlekceważyć jego tezy na tyle, żeby w ogóle móc podjąć studia nad nią.

Richardson porusza tematykę, w której każdy z nas, rzecz jasna, uważa się za eksperta – podobnie jak to było z Darwinem, kiedy pierwszy raz narobił szumu. Ludzie wiedzieli, że są istotami obdarzonymi świadomością i inteligencją, i kiedy przyjmowali do wiadomości swoje podobieństwo do dobrze sobie znanych zwierząt, składali je na karb ograniczonej wyobraźni Stwórcy, a może wręcz, jak na prawdziwych purytanów przystało, wychwalali Jego oszczędność i niechęć do marnowania dobrego projektu, który małpy przetestowały już w warunkach bojowych.

Dlatego ty również uważasz, że działasz w interesie swojej rodziny, przyjaciół i rodaków, kiedy stroisz się w mundur, bierzesz do ręki służbową broń i udajesz się na spotkanie paskudnej śmierci gdzieś na bagnach, w okolicy, jakiej na pewno nie wybrałbyś na wakacje, choćbyś był stuletnim obieżyświatem, któremu do kolekcji odwiedzonych miejsc na świecie brakuje już tylko tych mokradeł i Marsa.

W największym skrócie: Richardson (a po nim także nieliczni śmiałkowie, którzy w ciągu ostatniej połowy stulecia kontynuowali jego prace) zmierzał do wykazania, że wojna ma charakter stochastyczny – to znaczy, że ani nie jest całkiem przypadkowa, ani nie da się jej wtłoczyć w ramy uniwersalnego schematu, ponieważ plasuje się gdzieś pośrodku między tymi dwiema skrajnościami. Pewne prawidłowości istnieją, nie jesteśmy jednak w stanie określić takiej zależności przyczynowo-skutkowej, która sprawdzałaby się w każdym wypadku.

Inaczej mówiąc, wojna jest niezależna od czynnika wolicjonalnego. Nie jest istotne, czy ktoś gdzieś podjął jakąś racjonalną decyzję; nie mamy wpływu na wybuch wojny, tak jak nie mamy wpływu na pogodę.

Znacznie wcześniej niż Richardson, bo już przed pierwszą wojną światową, Norman Angell wykazywał, że idea prowadzenia wojen dla zysku jest przestarzała, ponieważ zwycięzca płaci ostatecznie wyższą jej cenę niż pokonany. Miał rację. Już pierwsza wojna światowa sugerowała słuszność jego diagnozy, a druga potwierdziła ją z atomowym przytupem. Gdyby to pojedynczy człowiek regularnie podejmował się przedsięwzięć o skutkach wprost przeciwnych do celów, które – jak twierdzi – usiłuje osiągnąć, uznano by go za niespełna rozumu; takie same działania prowadzone na skalę międzynarodową nie są wcale mniej szalone, a jednak, jeśli śledzisz najświeższe doniesienia ze świata, z pewnością zauważyłeś, że dzisiaj zdarza się to częściej niż kiedykolwiek przedtem. Chińczycy bez przerwy biadolą, że kres idei państwa jest bliski, a zarazem dręczą sąsiadów regularnymi zbrojnymi wypadami na ich terytorium, co w sposób po marksistowsku nieunikniony każe im nieustannie kontrolować i musztrować własnych obywateli. Amerykanie i ich sojusznicy (których nie zostało nam wielu) przechwalają się bezprecedensowym poziomem wolności osobistej, po czym cedują swoją suwerenność na znajdujący się w Waszyngtonie komputer zwany »selektorem poboru«, który dzień w dzień skazuje ich setkami na śmierć równie bezsensowną jak śmierć gladiatorów w starożytnym Rzymie. Ujmę to jeszcze inaczej: wyobraź sobie, że w waszym bloku mieszka bezrozumny idiota (dopóki GT nie przedstawi dowodu, że Salmanasar jest obdarzony

prawdziwą inteligencją, nadal będę uważał komputery wszelkiej maści za uczonych głupców), który raz w tygodniu przechodzi w fazę, w której musi kogoś rozszarpać zębami i pazurami. Wraz z sąsiadami uzgodniliście, że każda rodzina po kolei będzie oddelegowywać kogoś ze swoich, żeby przespacerował się w rejony zamieszkałe przez owego idiotę i tam potulnie czekał na rzeź...

Widzisz? Miałem rację, mówiąc, że ty też jesteś ekspertem w tej dziedzinie. Tak właśnie działa pobór – z tą tylko różnicą, że nie wybiera członka rodziny, którego bez większego żalu moglibyście się pozbyć, na przykład stusiedmioletniej babci z uwiadem starczym, albo dziecka, które nie wiadomo jak przecisnęło się przez filtr prawodawstwa eugenicznego i skończyło z fenyloketonurią. Pobór zabiera wyłącznie tych najzdrowszych, najprzystojniejszych i najsilniejszych.

Coś ci to przypomina? Bo powinno. W wytworach ludowej imaginacji przeblyskują czasem ciekawe spostrzeżenia, z których jedno w szczególności towarzyszy nam przez tysiąclecia. Od Andromedy przykutej do skały, po dziewice składane w ofierze smokowi, którego zabił święty Jerzy, w legendach przewija się motyw unicestwiania ludzi najcenniejszych i najtrudniejszych do zastąpienia. Legendy – bogate mądrością, której nie posiadamy jako jednostki, lecz którą z pewnością posiadamy jako zbiorowość – próbują nam powiedzieć, że wyruszając na wojnę, niszczymy sami siebie.

Ale przecież jesteś w tej materii ekspertem, czyż nie? Dobrze wiesz, że to dzięki poległym Konfederatom, ofiarom Długiego Marszu, heroicznym lotnikom z bitwy o Wielką Brytanię albo dokonującym samospalenia kamikadze możesz się dzisiaj cieszyć swoim życiem codziennym, które daje ci zadowolenie, miłość, radość, mnogość przyjemności i podniet.

Chociaż, prawdę mówiąc, gotowy jestem się założyć, że obfituje raczej w niepokoje, problemy, trudności ekonomiczne, kłótnie i rozczarowania, do których jesteś tak przywiązany, że nie zdołam cię od nich uwolnić. Miłość i radość są potwornie uzależniające; często jeden jedyny kontakt wystarczy, by wywołać i utrwalić nałóg. Jestem jednak przekonany, że jak

ognia starasz się wystrzegać wszystkiego, co miałoby nad tobą taką władzę”.

– Chad C. Mulligan, *Jesteś ignorantem i idiotą*

na zbliżeniu (11)

OPIECZĘTOWANY POCIĄG

– Już niedaleko – powiedział nawigator.

Nawigator był również pilotem, w każdym razie w stopniu, w jakim ludzki pilot był w ogóle potrzebny. Wytyczaniem kursu i prowadzeniem zajmowały się komputery, gdyby jednak doszło do – powiedzmy – bliskiej eksplozji ładunku głębinowego, człowiek funkcjonowałby bez przeszkód, nawet odniósłszy obrażenia zabójcze dla maszynierii.

Oficer wywiadu wzdrygnął się lekko. Zastanawiał się, czy w sytuacji awaryjnej naprawdę mógłby liczyć na człowieka, z którym dzieli kajutę w dziobowej części okrętu podwodnego. Na razie jednak udawało im się unikać kontaktu z nieprzyjacielem.

Nad ich głowami, pod bezchmurnym niebem i przy słabiutkim wietrze, marszczona tylko prądami i pływami powierzchnia cieśniny Shongao musiała być gładka niemal jak lustro. Sam okręt skradający się przy dnie kanału nie mącił wody w zauważalny sposób.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił nawigator – z dokładnością do kilku metrów. Włączę nasłuch. Proszę powiadomić ładunek.

Oficer wywiadu spojrział w głąb tunelu biegnącego przez całą długość okrętu – miał średnicę w sam raz wystarczającą, żeby człowiek mógł się przezeń precyzyjnie. Widoczna w nim głowa Jogajonga wydawała się obwiedziona świetlistą aureolą.

Opieczętowany pociąg... Lenin...

Niełatwo jednak było myśleć w tych kategoriach. Azjata w trudnym do ustalenia wieku (miał ponad czterdzieści lat, lecz wyglądał co najmniej

dziesięć lat młodziej), z gładko zaczesanymi czarnymi włosami i ziemistą cerą nie miał ani krzty charyzmy wyróżniającej ludzi takich jak Lenin.

Może rewolucjoniści zawsze robią mniejsze wrażenie, kiedy stoją po naszej stronie? A nasi Ojcowie Założyciele?

Zirytowany bez żadnego wyraźnego powodu oficer wywiadu odparował:

– Nie podoba mi się, kiedy nazywa go pan „ładunkiem”. To człowiek. I to ważny człowiek.

– Po pierwsze – odparł z lekka znużonym tonem nawigator – wolę nie myśleć o ludziach, których tu dostarczam, jak o prawdziwych istotach ludzkich; znacznie lepiej traktować ich jak przedmioty spisane na straty. A po drugie... Jest takim samym żółtkiem jak wszyscy tutaj. Pan ich pewnie rozróżnia, bo taką ma pan robotę, ale dla mnie oni wszyscy wyglądają jak mały.

Mówiąc, obsługiwał mechanizm uwalniania boi nasłuchowych, które wypłynęły w końcu na powierzchnię i kołysały się łagodnie na falach. Teraz je włączył i nagle kadłub rozbrzmiał odgłosami świata zewnętrznego: pomrukiem morza, skrzeczeniem wiercących się na grzędach aleksandrett, potężnym pluskaniem czegoś bardzo bliskiego.

– Żółt – wyjaśnił nawigator, rozbawiony nerwową reakcją oficera. – Przyjazny. W każdym razie taką mam nadzieję. Pan by pewnie pierwszy wiedział, gdyby skośni zaczęli werbować żółwie, hmm?

Oficer poczuł, że się rumieni, i żeby to ukryć, odwrócił się i zagłębił w tunel. Za jego plecami nawigator parsknął wyraźnie słyszalnym śmiechem.

Krwawiciel jeden... Oby nie wrócił z następnej misji.

Dźwięki z nasłuchu zaalarmowały Jogajonga. Zanim oficer wywiadu przeczołgał się przez cały tunel, Jogajong był prawie gotowy – nie zdążył jeszcze włożyć hełmu, ale był już ubrany w skafander wypornościowy z wrażliwego na ciśnienie tworzywa, który do momentu wynurzenia miał sztywno opierać się naporowi wody, by potem zmięknąć i umożliwić mu dopłynięcie do brzegu. Po opróżnieniu wystarczyło zakazić go zmodyfikowanymi bakteriami z niewielkiej fiolki, by została po nim bezkształtna masa na plaży.

Musieli go dobrze przeszkolić... Nie, to nie tak: on po prostu robi to nie pierwszy raz, i to w warunkach bojowych. Wraca w taki sam sposób, w jaki wcześniej go wyciągnęli. Jego i Bóg jeden wie ilu innych.

– Możecie ruszać, jak tylko będziecie gotowi! – zawołał nawigator. – Im szybciej, tym lepiej.

Oficer z wysiłkiem przełknął ślinę. Sprawdził zabezpieczenia kombinezonu, gdy Jogajong bez słowa się odwrócił. Wszystko było w porządku. Oficer sięgnął po ostatni element wyposażenia – hełm – i osadził go na okalającym szyję uszczelnionym kołnierzu. Zastanawiał się, co się dzieje pod tą z pozoru zupełnie spokojną twarzą.

Gdyby kazali mi zrobić to, co on za chwilę robi – wyskoczyć na powierzchnię jak korek na środku oceanu, ryzykując spotkanie z patrolami w drodze na łód, czy dałbym radę...? Nie wiem. Jaki on jest zrelaksowany...

Wyciągnął rękę w pożegnalnym geście i uściśnął dłoń Jogajonga. Poniewczasie zdał sobie sprawę, że plastik zareagował na uścisk i zmienił rękawicę skafandra w twardą, zimną bryłę. Widząc, że Jogajong uśmiecha się na widok jego konsternacji, nagle zezłościł się także na niego.

Czy ten krwawiciel nie rozumie...?

Nie. Pewnie nie. Komputery dawały temu człowiekowi ponad czterdzieści procent szans na stanie się następnym Przywódcą Yatakangu – pod warunkiem, że wywiad trafnie ocenił przydatność jego kontaktów i zakres wpływów. Dla oficera tego rodzaju władza była czystą abstrakcją; nie był w stanie poczuć w kościach, jakie to uczucie, rozkazywać dwustu milionom ludzi.

– Ruszać się tam! – ponaglił ich nawigator. – Odpalajcie!

Jogajong cofnął się w oczekiwaniu na zalanie śluzy. Oficer wśliznął się w tunel stopami naprzód, zamknął i zablokował włącz, po czym wsłuchał się w szum wody.

Takiemu człowiekowi nie można nie zazdrościć – chociażby tej pewności siebie. Czterdzieści procent szans na sukces... Nie wybrałbym się na tę hiperluźną przechadzkę, jak mówi nawigator, gdybym wiedział, jak nikłe mam szanse na powrót. Powinienem ich zapytać po powrocie? Pewnie lepiej nie. Wolę myśleć, że sukces od początku był pewny.

Cały okręt zatrzęsł się lekko, gdy Jogajong został wystrzelony ze śluzy.

– No – mruknął nawigator. – Czas najwyższy. Na granicy zasięgu detektorów mam już pierwszy patrol skośnych.

– To znaczy, że go zauważą, gdy będzie płynął do brzegu?

– Jego? Nie, przy tej odległości nie wyłapią echa skafandra. Nie na tym swoim sprzęcie. Ale nas już by mogli namierzyć. Dlatego posiedzimy tu i weźmiemy ich na przeczekanie.

Oficer skinął głową i wytarł spocone dłonie o uda. Długo jeszcze machinalnie powtarzał ten gest, mimo że materiał spodni dawno wchłonął pot.

Co myślał Lenin o maszyniście swojego opieczętowanego pociągu, kiedy został już niekwestionowanym wodzem Rosjan? Pamiętał, że w ogóle był jakiś maszynista?

Nie mogąc dłużej znieść napięcia, zaryzykował żart:

– Jak się pan czuje z tym, że właśnie zmienił pan bieg historii?

– Nie rozumiem, o co panu chodzi – odparł nawigator. – Po mojemu to jest tak, że zanim tu się stanie historia, ja już nie będę żył.

ciągłość (11)

DŹWIĘK SPADAJĄCEGO KAMIENIA

Donald nie zastanawiał się wcześniej nad tym, która jest godzina – na zewnątrz, pod Kopułą Fullera, cykl dni i nocy wydawał się zawieszony, ale chyba zbliżał się świt. Policja musiała mieć huk roboty i nie nadążała z bieżącym rejestrowaniem zwożonych z ulic uczestników zamieszek. Miasto było jak wymarłe, ulice przywodziły na myśl osuszone z krwi żyły, na których ospałe śmieciarki i maszyny czyszczące przypominały samotne, zabłąkane leukocyty toczące beznadziejną walkę z napierającą chorobą.

Norman pólleżał bezwładnie obok niego na tylnym siedzeniu taksówki. Od czasu do czasu uchylał powieki, ale przede wszystkim zmagał się z wywołaną gazem apatią i nudnościami, i niespecjalnie zwracał uwagę na otoczenie. Kiedy dojechali na miejsce, Donald musiał niemal zanieść go do windy, a potem z windy do salonu.

Na środku dywanu nadepnął na coś twardego. Złożywszy Normana na jego ulubionym krześle od Hille'a, cofnął się, żeby sprawdzić, co to było: klucz Watch-&-Ward Inc. Kiedy porównał go ze swoim kluczem do mieszkania, stwierdził, że są identyczne... i dopiero wtedy zauważył, że coś się zmieniło w pokoju. Poli-organy zniknęły. Drzwi do sypialni Normana – zamknięte, kiedy wychodził – teraz były uchylone. Donald zajrzał przez nie do środka i stwierdził, że zajmowana przez Victorię część szafy została opróżniona.

Wyprowadziła się. Zbieg okoliczności? Czy dostała cynk? Nie miał siły na zmaganie się z tym problemem. Poczęstował się bay goldem z humidora Normana; prawie nie palił trawki, ale w tej chwili rozpaczliwie

potrzebował jakiegoś odlotu, a po tym, jak niedawno nałykał się gazu usypiającego, alkohol spowodowałby nawrót mdłości.

– Chcesz? – Widząc, że Norman się poruszył, próbował poczęstować go blantem.

Norman pokręcił głową.

– Kurżeszmac, co się stało? Coś ty tam robił?

Donald odczekał, aż zabraknie mu tchu w piersi, zanim w końcu udzielił odpowiedzi w rzadkiej chmurze dymu:

– Przede wszystkim... jestem ci winien przeprosiny. Postradałem zmysły. Wszyscy je postradaliśmy. Może to wina gazu.

Na obraz znajomego otoczenia nałożyły się zapamiętane widoki ulicy, kłębiące się ciała, nierozpoznana twarz Normana. Wzdrygnął się.

– A ty? – zapytał. – Co ty tam robiłeś?

– Podróż sentymentalna. Spotkałem się z Elihu Mastersem w hostelu ONZ, a kiedy od niego wyszedłem, pomyślałem sobie: no dobra, skoro od miesiący nie zapuszczałem się tak daleko na wschód, to teraz przynajmniej przespaceruję się tam, gdzie mieszkali moi rodzice.

– Żyją jeszcze?

– Nie wiem.

– Jak to?

– Po prostu nie wiem. – Norman przesunął bezwładną dłonią po czole, na chwilę przymknął oczy. – Rozstali się, kiedy byłem dzieckiem, a mając osiemnaście lat, zostałem już zupełnie sam. Matka chyba jest na Bahamach, ale pewności nie mam. Ba, wydawało mi się, że mnie to nie obchodzi. Psiakrew! – Zawiesił głos i przesunął językiem po wargach. – Kiedy nagle wokół mnie wybuchło zamieszanie... to był koszmar. Szedłem sobie spokojnie ulicą, wypatrując znajomych miejsc, aż tu nagle porwał mnie i poniósł tłum, zza rogu wyjechała zgarniarka i stłoczyła nas jak szczury w potrzasku. Ale nie bałem się, dopóki cię nie rozpoznałem i nie zacząłem się przepychać w twoją stronę, a ty wtedy zaczęłaś mnie okładać pięściami i nie chciałaś przestać, chociaż nawoływałem cię po imieniu.

Czy on mówi o mnie? Mam wrażenie, że to dotyczy kogoś innego.

Donald raz po raz zaciągał się dymem. Wbudowany w blant mechanizm rozrzedzający uległ przeciążeniu, drapiący w gardle gorący dym był jak kara za grzechy.

– Bałem się – przyznał, wydmuchnąwszy ostatnią porcję dymu. – Byłem śmiertelnie przerażony. Bo widzisz... to przeze mnie.

– Nie świruj.

– Mówię poważnie: zamieszki wybuchły przeze mnie. To właśnie tak mnie przeraziło.

Donald zacisnął pustą dłoń w pięść, aż paznokcie werżnęły się w ciało. Kolejny dreszcz jak tremolo prześliznął mu się po kręgosłupie, wywołując rezonans, który w ciągu paru sekund objął drżeniem całe ciało. Nagle poczuł nierzeczywisty chłód wstrząsu. Tracił czucie w dłoniach i stopach.

– Co ze mnie za człowiek? Nie wiem, jakim jestem człowiekiem. Nigdy bym nie pomyślał, że nie rozpoznam jednego z najbliższych przyjaciół i będę próbował go pobić. Nie spodziewałem się, że niebezpiecznie jest wypuszczać mnie na ulicę.

Norman najwyraźniej zapomniał już, w jakim jest stanie, bo wyprostował się i patrzył na Donalda z niedowierzaniem.

– Widziałeś, jak strącili helikopter policyjny? – spytał Donald.

– Nie.

– Tak było. Ktoś go zestrzelił z karabinka, a kiedy maszyna się rozbiła, zatłukli pilota kijami. Na śmierć. Na Boga, Norman... – Głos mu się załamał. – Ja nawet nie pamiętam, czy wtedy nie byłem jednym z nich!

Zaraz się załamię.

Ta część jego umysłu, która zdołała zachować odrobinę dystansu, przeczuwała w tej chwili coś w rodzaju nadciągającej burzy.

Bylebym tylko nie rzucił peta na dywan.

Wycelował niedopałek w popielniczkę, ale kontrolowany ruch błyskawicznie przerodził się w coś, co należy zrobić natychmiast, w tej chwili, w tej konkretnej okruszynie czasu: jego ręka poruszała się więc z początku normalnie, lecz gest zakończył się dziabnięciem na oślep, wypuszczeniem niedopałka pomiędzy palców i cofnięciem dłoni. Donald złapał się obiema rękami za twarz i rozplakał.

Norman, nie bardzo wiedząc, jak się zachować, wstał, zrobił pół kroku naprzód, zmienił zdanie, zmienił je po raz drugi i podszedł.

– Donaldzie... To jest po części działanie trawki, po części gazu, a po części zwykle zmęczenie...

Łatwe wytłumaczenia zamarzyły mu na ustach. Stał i gapił się z góry na Donalda.

To on wywołał zamieszki? Naprawdę? Co takiego zrobił? Co mógł zrobić? Taki bezbarwny ziomus, nieszkodliwy, nigdy nie stracił panowania nad sobą, nawet kiedy mu nawrzucałem, że przyprawia do domu same Aframki. Taki nijaki. A w głębi duszy... diabeł wcielony?

Odpowiedź na to pytanie była dla Normana przerażającym wstrząsem:

Nie wiem. Od lat mieszkamy razem, wymieniamy się laskami, uprawiamy uprzejmą gadkę szmatkę, a ja nic o nim nie wiem. A Elihu Masters uważa, że nadaję się do tego, żeby zaopiekować się bezbronnym afrykańskim kraikiem i przerobić go tak, jak Guinevere przerabia swoje klientki; nadać mu nowoczesny sznyt. Jeden z nas jest autentycznie szurnięty. Ja?

Niezdarnie poklepał Donalda po ramieniu.

– Chodź – powiedział – pomogę ci się położyć. Zdażysz się zdrzemnąć dwie godzinki, zanim wyjdę do pracy. Zresztą nie będę ci przeszkadzał.

Donald, zupełnie bierny, dał się zaprowadzić do sypialni, gdzie rzucił się na wznak na przykryte kapą łóżko.

– Włączyć ci induktor? – spytał Norman. Sięgnął do przełącznika ukrytego w poduszce rosyjskiego urządzenia, które poprzez indukowanie sennych rytmów fal w rdzeniu przedłużonym zapewniało zdrowy sen nawet osobom cierpiącym na bezsenność.

– Nie, dzięki – wymamrotał Donald, po czym, widząc, że Norman wychodzi, zawołał: – Czeka! Pamiętasz, co mówiłem o imprezie u Guinevere? Kiedy to będzie?

– Ehm... Dzisiaj, zdaje się. Dziś wieczorem.

– Tak myślałem, ale mam taki mętlik we łbie... Szybko zgarnęli Victorię, nie?

– Co?

– Powiedziałem, że szybko ją zgarnęli. – Wyczuwając nutę zaskoczenia w głosie Normana, Donald podparł się na łokciu. – Nie podkablowałaś jej? Kiedy zobaczyłem, że zabrała rzeczy...

Zawiesił głos. Norman obejrzał się przez ramię na salon. Nie ruszając się z miejsca, mógł zajrzeć także do swojej sypialni, gdzie uchylone drzwi szafy odsłaniały pustkę w miejscu, w którym pozwalał swoim laskom trzymać ciuchy.

– Nie – odparł w końcu beznamiętnym głosem. – Nie podkablowałem jej. Musiała dojść do wniosku, że warto się zwinąć, póki ma świeże informacje. Niewiele jej to pomoże, ale, szczerze mówiąc, nie interesuje mnie to. Jak sam widziałeś, w ogóle nie zauważyłem, że jej rzeczy zniknęły, dopóki mi nie powiedziałaś... – Zawahał się. – Właściwie, jak się tak nad tym zastanowić, to chyba powinienem od razu ci powiedzieć. Na wypadek gdybyśmy się rano nie zobaczyli, zanim wyjdę... Może być tak, że... hmm... niedługo wyjadę z Nowego Jorku.

Nagle Donald przypomniał sobie olśnienie, jakiego doznał poprzedniego wieczoru, a które zaraz potem zostało zepchnięte w głąb pamięci przez wtargnięcie na scenę pseudotaksówki. Teraz jednak znużenie zwyciężyło nawet dumę z faktu, że odkrył prawdę. Nie miał innego wyjścia, jak oprzeć głowę na miękkim, otulającym ją kocyku z poduszek.

– Spodziewałem się tego.

– Jak to? Dlaczego?

– Prędzej czy później musieli cię wysłać do Beninii. Prędzej, prawda?

– Kurzeszmac, skąd wiedziałeś? – Norman zacisnął dłoń na kłamce.

– Domyśliłem się – odparł półgłosem Donald. – Jestem w tym dobry. Dlatego wybrali mnie do tej roboty.

– Jakiej roboty? Przecież ty nie... – Norman urwał w pół zdania, odczekał, aż cisza wybrzmi, w końcu powiedział: – Rozumiem. Jak Victoria, co? – Pytanie aż drżało z wściekłości.

– Nie, nie jak Victoria. Nie powinienem był tego mówić, ale nie mogłem się powstrzymać. – Donald dźwignął się do pozycji siedzącej. – Nie, naprawdę. Nie jestem jak Victoria. To nie ma nic wspólnego z tobą.

– A z czym?

– Słuchaj, nie mogę o tym mówić... Jezu Chryste, to już dziesięć lat... – Donald konwulsyjnie przełknął ślinę. – Pracuję dla Państwa – powiedział w końcu znudzonym tonem. – Ministerstwo Dyletanctwa. Jeśli się dowiedzą, że ci powiedziałem, zostaną aktywowany w stopniu, który mi przysługuje, i potajemnie postawiony przed sądem wojskowym. Ostrzegali mnie. W pewnym sensie jestem teraz zdany na twoją łaskę, hmm? – zakończył z niepewnym uśmiechem.

– To dlaczego mi powiedziałeś? – spytał Norman po chwili milczenia.

– Nie wiem. Może doszedłem do wniosku, że na to zasługujesz, po tym, co dzisiaj zrobiłem. Tak że... nie krępuj się. W tej chwili nie przejąłbym się nawet gdyby lawina zwała mi się na głowę.

Osunął się na wznak i zamknął oczy.

W głowie Normana rozbrzmiał dźwięk, jaki mógłby wydać kamień toczący się po skalnym rumowisku. Ból ostry jak po uderzeniu siekierą przeszył mu lewy nadgarstek. Skrzywił się i złapał za dłoń, jakby chciał się upewnić, że jest cała.

– Wyrównałem rachunki z tyloma ludźmi, że wystarczy mi ich do końca życia – odparł. – Nic mi to nie dało. Nic a nic. Śpij, Donaldzie. Wieczorem na pewno poczujesz się lepiej.

Ostrożnie zamknął drzwi, używając do tego lewej ręki i nie bacząc na ból, który w dalszym ciągu był tak dokuczliwy, jakby był prawdziwy.

kontekst (12)

SOCJOLOGICZNY ODPOWIEDNIK ODDECHU CHEYNE'A-STOKESA

„Jeśli chcesz się dowiedzieć, co w najbliższym czasie trafi pod gilotynę, wypatruj najbardziej oczywistego objawu: ekstremizmu. Jest to wskaźnik prawie niezawodny, niczym przedśmiertne rżenie instytucji zmuszonej przez własnych członków do podkreślania tylko i wyłącznie tych aspektów swojego funkcjonowania, które wyróżniają ją z tłumu, kosztem tych, które dzieli z instytucjami konkurencyjnymi – dzieli je z konieczności, ponieważ w skład ich wszystkich wchodzi istoty ludzkie. Celną analogią biologiczną jest rozwój kłów u tygrysa szablozębego, które osiągnęły w końcu stadium uniemożliwiający zwierzęciu zamknięcie pyska, albo rozwój pancerza, który bez wątplenia stanowi zaporę nie do przebycia, lecz z czasem staje się zbyt ciężki, by właściciel mógł go udźwignąć.

Na tej podstawie z dużą dozą prawdopodobieństwa można stwierdzić, że chrześcijaństwo nie dotrwa do końca XXI wieku. Rozważmy dwa najbardziej spektakularne zjawiska: oderwanie się od Rzymu tak zwanych prawokatolików, oraz pojawienie się Bożych Cór jako wpływowej grupy nacisku. Pierwsze z tych wydarzeń stanowi dowód znaczącego odejścia od tradycyjnej roli Kościoła katolickiego jako instytucji, która nade wszystko troszczy się o rodzinę w tradycyjnym, zachodnim rozumieniu tego słowa. Prawokatolicy do tego stopnia skoncentrowali się na samym akcie pieprzenia się, że zaczyna im brakować czasu na inne aspekty związków międzyludzkich – co nie przeszkadza im publikować licznych i obszernych oświadczeń na ich temat. Jednakże żaden z tych dokumentów nie

wykazuje nawet tak skromnych związków z rzeczywistością, jakie życzliwe (choć nie moje) oko dostrzega w podobnych publikacjach Watykanu. Boże Córy (rzekomo wzorujące się na średniowiecznych zakonach żeńskich, a w istocie zapożyczające większość swojej ideologii – antymechanizację, nieufność wobec uciech cielesnych itp. – od takich szanowanych i silnie zintegrowanych grup jak amisz, by następnie zaprawić ją rzetelnie octem nienawiści) zaś bazują na chyba najbardziej autodestrukcyjnym ze współczesnych trendów społecznych, a mianowicie naszej niechęci do dalszego rabunkowego wykorzystywania zasobów naturalnych poprzez posiadanie dużych rodzin. Wykorzystują nasz szacunek wobec tych osób (zwłaszcza kobiet), które odmawiają posiadania potomstwa i tym samym zdejmują z nas osobistą odpowiedzialność za cały ten przeklęty bałagan.

Nie przetrwają.

Nie mogę powiedzieć, że bym muzułmanom wróżył bardziej świetlaną przyszłość. Wprawdzie przez ostatnie pół wieku islam stał się w świecie zachodnim znaczącą mniejszością religijną, lecz awangarda jego postępu jest owocem schizmy, tak jak to jest w przypadku prawokatolików. Mam oczywiście na myśli Dzieci Krzyża i stworzony przez nie odpowiednik chrześcijaństwa, w którym ich zamordowany patron pełni rolę Ozyrysa-Attisa-Jezusa. Czeka ich los wszystkich tajemniczych religii antycznych, i to z tego samego powodu – ich kult jest ekskluzywny: nie może do niego należeć ktoś, kto z racji urodzenia nie spełnia określonych warunków, a przede wszystkim nie jest ewidentnie kolorowy.

(Nawiasem mówiąc, niezbyt mi przeszkadza dyskryminacja rasowa w organizacjach, do których nie zamierzam przystąpić. Jest ona zwiastunem ich upadku, który prędzej czy później musi nastąpić).

Piętno ekstremizmu nie ogranicza się niestety do takich zbędnych aspektów życia jak religia. Weźmy na przykład seks. Coraz więcej ludzi poświęca mu coraz więcej czasu, uciekając się do coraz bardziej pokrętnych sposobów na podtrzymanie zainteresowania – takich jak dostępne w handlu afrodyzjaki, czy przyjęcia, które uważa się za nieudane, jeśli nie dochodzi na nich do orgii. Młody mężczyzna, który chce mieć sto lasek rocznie, nie musi się wysilać – wystarczy, że się rozbierze. W ten

sposób nie jest jednak realizowany żaden z kluczowych biologicznych celów popędu płciowego: nie powstaje stabilne środowisko do wychowania szczeniąt, nie nawiązują się również takie więzi w obrębie par (czy większych grup – małżeństwo niekoniecznie przecież musi być monogamiczne), które pozwoliłyby uniknąć kryzysów związanych z posiadaniem innych przedstawicieli gatunku. Przeciwnie, ta sytuacja skutkuje permanentnym niepokojem, ponieważ partnerzy, pozbawieni wzajemnego wsparcia i regularnych zapewnień o swojej męskości/kobiecości, są zmuszeni co kilka dni poszukiwać akceptacji gdzie indziej.

Tym sposobem zastosowanie miary ekstremizmu prowadzi do wniosku, że rodzaj ludzki najprawdopodobniej nie przetrwa zbyt długo”.

– Chad C. Mulligan, *Jesteś ignorantem i idiotą*

ciągłość (12)

TO POWINNO DZIAŁAĆ AUTOMATYCZNIE, ALE
W RZECZYWISTOŚCI TRZEBA NACISNĄĆ GUZIK

Przenikliwe dzwonięcie zakłuło Donalda w uszach i wywlekło go z głębokich odmetów snu, chociaż stawiał opór. Klnąc pod nosem, z wysiłkiem zogniskował wzrok na ściennym zegarze i stwierdził, że jest dopiero dziewiąta trzydzieści przed-pe. Przez chwilę usiłował sobie wmówić, że obudziło go spóźnione o kwadrans wyjście Normana do pracy, ale wtedy dzwonięcie się powtórzyło.

Mało brakowało, żeby spadł z łóżka. Wstał i wsunął ręce w rękawy szlafroka. Wielu ludzi wyzbyło się już tego elementu garderoby – jeżeli zdarzyło im się przyjmować gości, kiedy nie byli w pełni ubrani, otwierali drzwi tak jak stali i jeżeli goście byli wstrząśnięci... Cóż, ich problem. Co najmniej połowa lasek, które przez krótki czas pomieszkiwały u nich, miała wyłącznie ubrania wyjściowe, na dodatek w tak skromnej liczbie, że bez trudu mieściły się w jednej torbie. Donald był jednak nieco staroświecki.

Do drzwi dotarł jeszcze półprzytomny i kiedy wyjrzał przez wizjer, zarejestrował tylko liczbę intruzów (czterech) oraz fakt, że są nietutejsi – czego dowodziły przewieszane przez ramię płaszcze.

Stłumił ziewnięcie i otworzył drzwi.

Wszyscy przybysze wyglądali młodo, chociaż przy bliższych oględzinach ten stojący najbliżej drzwi wydał się Donaldowi starszy od niego. Byli ubrani dość oficjalnie, w bluzy i spodnie w odcieniach szarości, zieleni, granatu i beżu, przez co wyglądali, jakby nosili mundury – chociaż każdy

inny. Wszyscy mieli też chyba naturalne włosy, niefarbowane i nieukładane w żaden specjalny sposób. Donald ponieważś zdał sobie sprawę, że gdyby ekipa wirachów chciała dostać się do czyjś domu, wybraliby takie właśnie przebranie, odrzuciwszy kolorowe kurtkoszule z wbudowaną sztuczną muskulaturą i obcisłe spodnie z mieszkciem.

– Dzień dobry, panie Hogan – powiedział mężczyzna stojący na czele grupy. – Nie ma pan w tej chwili w domu żadnej laski, prawda?

– Eee... ja... A co to pana interesuje? Kim panowie jesteście?

– Jedną chwileczkę.

Mężczyzna skinął na swoich kompanów i razem weszli do środka. Donald, wciąż nie do końca obudzony, zszedł im z drogi. W cienkim szlafrocisku do pół uda czuł się wyjątkowo bezbronny.

– Nie spodziewałem się, że tak szybko tu wrócę – dodał przyjaźnie dowódca ekipy. – Dobra, panowie, sprawdźć wszystko! Migiem!

Trzej zamiennicy rzucili płaszcze na stojące pod ręką meble, a wtedy okazało się, że w osłoniętej płaszczem dłoni każdy z nich coś trzyma – dwaj mieli małe przyrządy, które bacznie obserwowali, kierując je kolejno na ściany, sufit i podłogę; trzeci, uzbrojony w pistolet energetyczny, szybkim krokiem obszedł całe mieszkanie, rozglądając się podejrzliwie.

Serce nagle zaciężyło Donaldowi w piersi, jakby miażdżyło mu wnętrzości. Bał się, że wyciśnie z niego wymioty jak pastę z tubki.

– Tak szybko pan wrócił... – wyjąkał. – Ale ja nigdy przedtem pana nie widziałem!

– Zabieramy tylko nasz sprzęt – zameldował jeden z zamienników, odkładając swój tajemniczy przyrząd.

Drugi potwierdził jego słowa skinieniem głowy. Trzeci wrócił z inspekcji pokojów i schował broń do ukrytej kieszeni pod lewym ramieniem.

– Dziękuję – odparł spokojnie ich rzecznik. – Panie Hogan... Szagryn. To chyba wyjaśnia cel naszej wizyty...?

W łagodnym, pytającym tonie nie było żadnej groźby, lecz własne serce nagle wydało się Donaldowi dwakroć bardziej ociężałe, jakby w ogóle

przestało bić. Oczami wyobraźni widział, jak osuwa się na podłogę pod nieznośnym brzemieniem.

Szagryn. Na Boga, tylko nie to!

Nie słyszał tego słowa (w każdym razie nie świadomie) od tamtego spotkania w Waszyngtonie dziesięć lat temu, kiedy pułkownik powiedział mu, w jaki sposób zostanie aktywowany, gdyby zaszła taka potrzeba. Do tego te wzmianki o „powrocie” i „naszym sprzęcie”...

Powiedziałem Normanowi. Wczoraj wieczorem. Źle się czułem, byłem otępiały, nie panowałem nad sobą. Nie dość, że szpieg, nie dość, że idiota, który niechcący wszczyna zamieszki, to jeszcze na dodatek zdrajca!

Oblizwał wargi, całkowicie niezdolny do jakiegokolwiek reakcji, nawet do okazania ogarniającej go zgrozy. Rzecznik intruzów mówił jednak dalej i z całą pewnością nie brzmiał jak urzędnik, który zamierza aresztować zdrajcę.

Tylko że inne rzeczy, które mógł zrobić, wcale nie były lepsze.

– Jestem major Delahanty. Nie mieliśmy okazji poznać się osobiście, ja jednak mam wrażenie, że znam pana lepiej niż niektórzy pańscy przyjaciele. Przejąłem pana od pułkownika Braddocka, kiedy w zeszłym roku odszedł na emeryturę. Nawiasem mówiąc, to są moi asystenci: sierżant French, sierżant Awden, sierżant Schritt.

Zamiennicy skinęli głowami, Donald jednak miał zbyt duży mętlik w głowie, żeby myśleć o czymś innym niż o tym, że wreszcie poznał nazwisko pułkownika, który przyjął jego przysięgę. Braddock.

– Przyszliście mnie aktywować, tak?

– Nie najlepszy moment, co? – Delahanty zrobił współczującą minę. – Najpierw ta laska okazała się szpionem, potem dał się pan wciągnąć w zamieszki... Schritty, weź skombinuj jakąś kawę dla pana porucznika... i może dla nas też, przy okazji.

To pomogło Donaldowi się skupić. „Pan porucznik”. Może ten dobór słów nie był przypadkowy. Wgryzły mu się w umysł jak stalowe szpony.

– Muszę... iść do łazienki – wyszeptał. – Rozgoście się panowie.

* * *

Opróżniwszy pęcherz, otworzył szafkę z lekami i spojrzał najpierw na swoje odbicie – zarośnięte, z przekrwionymi oczami – a potem na stojące na półkach buteleczki, pudełka i fiolki. Sięgając po tabletki pobudzające, potrącił sąsiednią fiolkę. Odruchowo przeczytał etykietę: TRUCIZNA. NIE ZAŻYWAĆ.

Nagle poczuł – na jawie! – strach równie silny jak ten, który przed laty ogarniał go w koszmarach sennych. Ze wszystkich sił uczepił się skraju umywalki, żeby się nie przewrócić. Szczękał zębami, pole widzenia zawęziło mu się do małej, oślepiająco białej plamki, którą była opatrzona ognistymi słowami etykieta.

Tak właśnie czuł się Faust. Gwiazdy się przemieszczają, czas płynie, zegar zaraz wybijie godzinę, zjawi się diabeł i Faust będzie przeklęty... Ile czasu kupiłem sobie za swoją duszę? Dziesięć lat? Co mi każą robić? Ja przynajmniej mogę mieć nadzieję, której odmówiono Faustowi... Może nie działa zbyt szybko, ale jeśli pomyślą, że muszę ulżyć kiszkom, a nie pęcherzowi, to dadzą mi te pięć, dziesięć minut. Taka ilość naraz powinna wystarczyć.

Porwał fiolkę z półki i zdarł wieczko. Odrobina białego pyłu na dnie nieprzezroczystego pojemnika kpiła z niego w żywe oczy.

Nagle ogarnął go straszliwy chłód; dobrze przynajmniej, że uczciwe dygotanie z zimna przegnało dreszcz strachu. Wyrzucił do całosmietnika fiolkę, potem wieczko, i łyknął tabletki pobudzające, które od początku zamierzał wziąć.

Odczekał jeszcze dwie minuty i spokojnym, nieśpiesznym krokiem wyszedł z łazienki.

* * *

Z najwyższym zdumieniem stwierdził, że sierżant Schritt, zamiast zadzwonić po kawę do blokuchni, jak czyniłby przeciętny gość w cudzym domu, posłużył się kawiarką Donalda, którą ten trzymał u siebie w pokoju razem z puszką ulubionego gatunku kawy.

Jezu, ile ci ludzie o mnie wiedzą? Wcześniej, kiedy tak odważnie rozmawiałem z Normanem...

Głos jednak wcale mu nie drżał, kiedy powiedział:

– Nie zdawałem sobie sprawy, że jestem tak dokładnie obserwowany.

– Rutyna, nic więcej. – Delahanty wzruszył ramionami. – Jak pan wie, wolimy, kiedy nasi agenci mieszkają sami, co jednak w dzisiejszych czasach samo w sobie jest raczej podejrzane. Wiadoma sprawa: niedobór mieszkań, i tak dalej. Pan House jest oczywiście czysty jak łąza, to porządny, szanowany bywalec meczetu, w dodatku zajmuje odpowiedzialne stanowisko... Muszę natomiast przyznać, że intensywna rotacja lasek sprowadzanych przez panów do mieszkania nie raz przysparzała nam kłopotów. Zwłaszcza wczoraj, po tym jak znaleźliśmy ten zmyślny gadżet ukryty w poli-organach. Czegoś takiego jeszcze nie widziałem, cudeńko jest prawie nie do wykrycia.

Donald ostrożnie wziął do ręki kubek z kawą, żeby nie uronić ani kropli, i usiadł.

– A jak się... o tym dowiedzieliście? – spytał.

– Zawiadomienie przyszło do nas wczoraj po południu, ale z aktywacją agenta nie należy się śpieszyć. Najpierw robi się przegląd sytuacji, żeby sprawdzić, czy od poprzedniego razu nic się nie zmieniło. Tymczasem tutaj... coś ewidentnie było nie w porządku. Wstrzeliliśmy się dokładnie w ten moment, kiedy was podsłuchiwała.

– Macie tu pluskwy.

– Pluskiew jest tu więcej niż karaluchów w slumsach – przyznał Delahanty i uśmiechnął się półgębkiem. – Oczywiście nie wszystkie są nasze. Schritty?

Sierżant Schritt przykucnął przy krześle od Hilla i jednym palcem wykonał jakiś ruch, za którym Donald nie nadażył. Kiedy Schritt cofnął rękę, między palcem wskazującym i kciukiem trzymał błyszczący kolec.

– To chyba zabaweczka Frigidaire – wyjaśnił Delahanty. – Ściślej rzecz biorąc, korpus jest ich. Za to czubek jest już nasz. Jak to się mówi, pluskwy też mają pluskwy. Wszystko, co stąd wychodziło, było starannie monitorowane; nie chcieliśmy, żeby udane akty szpiegostwa

przemysłowego zepsuły panu House'owi reputację, bo wtedy ktoś mógłby zwrócić na panów uwagę i dodać dwa do dwóch. Wczoraj zresztą niewiele brakowało, żebyśmy zaliczyli wpadkę. Mieliśmy szczęście, że dziewczyna nam nie uciekła.

– Więc to wy ją zgarnęliście?

– Owszem. Ledwo, ledwo. Musiałem pościągać ludzi z dyżurów, żeby ją gonili, ale udało się ją wytropić, zanim sprzedała towar.

– Chce mi pan powiedzieć, że od bitych dziesięciu lat byłem stale podsłuchiwany i obserwowany?

– Skądże! W wypadku agentów nieaktywnych musi nam wystarczyć losowe próbkowanie. Rejestrowane jest wszystko, potem komputer przeczesuje połowę materiału w poszukiwaniu określonych słów kluczowych; w pańskim przypadku ta lista liczy około tysiąca pozycji, tak przypuszczam. Dopiero gdy coś się uda wychwycić, interesujemy się tym bliżej. Przez cały ostatni rok baczniejszą uwagę poświęciliśmy nie więcej niż dwudziestu, może dwudziestu pięciu godzinom pańskiej działalności...

– Major zawiesił głos. – Jest pan poruszony. To zrozumiałe, w tym przeludnionym świecie prywatność jest naszą najcenniejszą obroną, ale proszę mi wierzyć, że nasza ingerencja była ograniczona do minimum.

– Ale obserwowaliście mnie bez przerwy, odkąd dostaliście to... zawiadomienie o aktywacji, tak?

– Nie. – Delahanty uniósł brwi. – Przecież panu powiedziałem: musiałem wszystkich wysłać na poszukiwanie tej laski.

Lepiej nie kusić losu. Przy odrobinie szczęścia nie będzie im się chciało przeglądać taśm z dzisiejszego ranka i może ujdzie mi to płazem. Najgorszym z grożących mi okropieństw jest sąd wojskowy za naruszenie tajemnicy, a mogą mnie przecież potrzebować do jakiegoś drobiazgu, analizy raportów wywiadu, na przykład...

– Mam nadzieję, że nie wydam się panu zbyt wścibski, ale... No cóż, przez te dziesięć lat cała ta sprawa stawała się dla mnie coraz bardziej nierealna. Ostatnio wręcz przestawałem wierzyć w to, że kiedykolwiek dojdzie do aktywacji.

– Doceniam szczerść – odparł Delahanty. – Sam powtarzam Waszyngtonowi, że powinni czasem aktywować ludzi na chybił trafił, nawet ryzykując ich przykrywkę, żeby nie tracili czujności. Niechby to były jakieś symboliczne zlecenia, do wykonania w czasie urlopu. Kawy?

– Nie, dziękuję. Jeszcze tej nie wypilem.

– Pozwoli pan, że ja sobie doleję... Dobra, przejdźmy do rzeczy... – Delahanty usiadł wygodniej i założył nogę na nogę. – Obóz na wodzie, LA, jutro, szósta po-pe. Mamy dla pana dokumenty podróżne, darmowy bilet i tak dalej, i tym podobne... Sierżant French zaraz wszystko panu wyda, a tymczasem proszę mi powiedzieć... Ma pan zaplanowane jakieś spotkania?

– Jutro?!

– Wiem, napięcie będzie trudne do zniesienia, ale takie jest życie, niestety. Wracając do tematu: jakieś spotkania?

Donald dotknął czoła.

– Nie, chyba nie... A tak, dzisiaj wieczorem. Przyjęcie u Guinevere Steel.

– Proszę na nie iść, koniecznie. Tylko niech pan sobie nie da nic wrzucić do drinka. Słyszał pan o tym, jak niedawno ktoś posmarował prawdomówką pulpit w katedrze, przez co ogólnie poważany biskup opowiadał wiernym o sprawach wybitnie niekościelnych?

– Nie przypominam sobie.

– Nie wspomnieli o tym w głównych programach informacyjnych, pewnie były naciski... Ale to się stało naprawdę i sądząc po relacjach świadków, musiało to być coś niesamowitego. Ja tylko panu radzę: niech się pan nie wpakuje w coś takiego. Dalsze instrukcje znajdzie pan w pakiecie otrzymanym od Frencha. Rano zadzwoni do pana ktoś z informacją o poważnych kłopotach finansowych firmy, w której ma pan rzekomo pokaźne udziały; to będzie powód pańskiego wyjazdu. Powodem, dla którego nie wróci pan od razu do Nowego Jorku, będzie pewna urocza laska, którą wprowadzie nie będzie się pan mógł nacieszyć, ale która będzie stanowiła wysoce przekonujące alibi dla każdego, kto porusza się po względnie prostej orbicie.

Sierżant Awden uśmiechnął się pod nosem.

- Chce pan powiedzieć, że długo mnie nie będzie? – upewnił się Donald.
- Nie wiem. – Delahanty dopił kawę i wstał. – Taki w każdym razie jest program. Nie ja go przygotowałem. Waszyngton na pewno dysponuje pełną ewaluacją komputerową.
- Niech mi pan przynajmniej powie, czy to będzie... – na wpół zapomniana fraza wypłynęła na usta Donalda jak bańka powietrza z gnijącego wodorostu na dnie zatechłego stawu – ...praca w terenie?
- Ależ naturalnie! – Delahanty był wyraźnie zaskoczony. – Myślałem, że to oczywiste, biorąc pod uwagę pańską specjalność językową. Yatakański, mam rację?
- Chcą mnie wysłać do Yatakangu? – Donald nawet nie zauważył, kiedy zerwał się na nogi. Zacisnął pięści, żeby powstrzymać drżenie rąk. – To niedorzeczne! Przeszedłem tylko jeden intensywny kurs w laboratorium językowym, na dodatek prawie dziesięć lat temu...
- Panie poruczniku – przerwał mu Delahanty z niebezpiecznym naciskiem w głosie. – Proszę nie martwić o swoje zdolności do wykonania zadania. Zostaną one panu zapewnione.
- Że... co takiego?
- Widział pan zapewne reklamy procedury zwanej pedekizacją?
- Ehm... tak, widziałem.
- I co, pomyślał pan pewnie, że to jakaś nowa podpucha?
- No... tak. Zresztą, co to ma wspólnego...?
- My naprawdę pedekizujemy ludzi. To działa. Jeżeli nie ma nikogo, kto dzięki swoim kwalifikacjom nadawałby się do wykonania zaplanowanego zadania, wybieramy kogokolwiek i szkolimy go w taki sposób, żeby był gotowy. Proszę się nie obawiać, da pan sobie radę... o ile oczywiście zadanie w ogóle jest wykonalne. Proszę to przemyśleć i się odprężyć. I radzę wziąć jakiegoś spoksa.
- Major skinął na zamienników. French wręczył opieczętowaną paczuszkę Donaldowi, który ścisnął ją w odrętwiałych palcach, po czym wszyscy czterej wymamrotali słowa pożegnania i wyszli gęsiego. Przerażony Donald został sam. Żałował, że nie udało mu się umrzeć.

Chwilę później otrząsnął się i zaczął zastanawiać, w jaki sposób zaaranżować na przyjęciu sytuację, w której ktoś podałby mu środek, przed jakim ostrzegał go Delahanty.

na zbliżeniu (12)

JEŚLI NIE MOŻESZ ICH POKONAĆ, UPIĘKSZ ICH

STUDIO PIĘKNOŚCI, głośiły zawieszono w powietrzu litery. Poniżej – dyskretnie dopisane nazwisko Guinevere Steel. I dalej, głębiej, pod napisem: trzy kobiety – blondynka, brunetka i ruda – z malującym się na twarzach wyczekiwaniem, gotowe przyjąć i obsłużyć właśnie panią, madame, zapewniające bezgraniczną troskliwość i ogrom atencji; nieskazitelne wytwory Studiów Piękności, dopracowane z dokładnością do pojedynczych molekuł, lśniące, roziskrzono, oszlifowane nie jak brylanty, lecz jak elementy Salmanasara, w którym wszystko musiało być idealne; ich stroje zakrywały tylko te skrawki ciała, gdzie materiał, z którym pracowały kosmetyczki, nie był absolutnie perfekcyjny.

Było również widać młodego, szczupłego mężczyznę, odzianego w typowy strój artysty z paryskiej Dzielnicy Łacińskiej z końca XIX wieku: okłapy beret zsunięty na lewe ucho, koszula z wielgachną jasną muchą, oraz kraciaste spodnie, zwężające się ku dołowi i wpuszczone w wysokie buty. Przez szacunek dla oryginału, który mężczyzna usiłował naśladować, rąbek koszuli miał upstrzony paroma maźnięciami w przypadkowych kolorach – miały udawać ślady farby, lecz w rzeczywistości pełniły funkcję czysto symboliczną. Podobnie jak towarzyszące mu dziewczyny, mężczyzna był idealnie sterylny, starannie zaprojektowany i wymodelowany.

Z ulicy nie dało się zajrzeć w głąb lokalu, bo wzrok zatrzymywał się na ścianie, przy której ustawiono dziewczyny – litej płaszczyźnie multikoloru, przez którą przepływały nietrwałe fale barw podkreślające urodę strojów dziewczyn.

Lekko rozbawiony wszedł do środka. Zastanawiał się od niechcienia, ile trzeba czasu, żeby te ożywione, gościnne i życzliwe miny zniknęły bez śladu.

* * *

Guinevere zorientowała się, że coś jest w niej nie w porządku, zanim ktokolwiek zdążył jej cokolwiek powiedzieć. Ze studia dobiegał specyficzny szmer, zmienny, lecz nieustający szept głosów nakładający się na delikatną muzykę sączącą się z dziesiątków ukrytych głośników. I nagle w tym szmerze zabrzmiała fałszywa nuta.

Przekrzywiła głowę i uniosła wzrok znad listy spraw do załatwienia przed wieczornym przyjęciem.

Doszła do wniosku, że musiała się pomylić, ale na wszelki wypadek włączyła kamery wewnętrzne i obejrzała główny salon. Klienci siedzieli lub leżeli za sięgającymi od podłogi do sufitu przegrodami z impervifleksu, napawając się luksusową atmosferą, gdy personel studia odmaczał, piłował i zamalowywał niedoskonałości ich ciał. Pani Djabalah na stanowisku 38 jak zwykle zażyczyła sobie ponadstandardowych usług od swojej masażystki; Guinevere westchnęła z rezygnacją i zapisała sobie na boku, żeby doliczyć jej sto procent do rachunku. Z drugiej strony, dopóki dziewczyna się nie skarży... Sto osiemdziesiąt osiem centymetrów posągowego, czarnego jak heban ciała tej Djabalah naprawdę robiło imponujące wrażenie.

Spojrzała w głąb głównego korytarza, gdzie przy wejściu mignęło jej jakieś zamieszanie. Zaniepokojona – jeżeli zamieszanie było widoczne z ulicy, wymagało natychmiastowej reakcji – przełączyła się na kamery zainstalowane od frontu.

W tej samej chwili interkom zaszeptał nerwowo:

– Gwinnie, przyszedł jakiś facet i strasznie się na nas wydziera. Chyba jest pijany. Cuchnie jak beczka wielorybiej mierzwy. Możesz się na chwilę oderwać i załatwić sprawę?

– Już idę – odparła krótko.

A jednak znalazła jeszcze czas na ostatni rzut oka w lustro.

Intruz stał twarzą w twarz z Dannym-boyem, głównym wykidajłą studia przebranym za francuskiego artystę, i wydawał gniewne pomruki. Na szczęście, nazwanie ich „wydzieraniem się” było grubą przesadą, tak że nawet klienci z najbliższych stanowisk prawdopodobnie niczego nie zauważyli. Co więcej, jasnowłosa hostessa wykazała się przytomnością umysłu i przestawiła multikolorowy parawan w taki sposób, że odgrodziła nim odrażającego intruza od ulicy.

Był barczysty, mierzył dobrze ponad metr osiemdziesiąt i musiał być całkiem silny, nawet w obecnym obrzydliwym stanie. Włosy opadały mu strąkami na kołnierzyk, a na twarzy płynnie przechodziły w wąsy i brodę, które wyglądały jak nigdy nieprzycinany filtr do zupy i pokarmów stałych. Prawy koniuszek wąsa nosił ślad przypalenia, jakby jego właściciel miał zwyczaj dopalać ręcznie robione blanty do samiuteńkiego końca. Bluza – niegdyś jednolicie czerwona – była połatana, wysmarowana i poplamiona innymi kolorami. Jeżeli spodnie kiedyś na niego pasowały, to od tamtej pory musiały minąć całe lata; przez ten czas pasek skapitulował w beznadziejnej walce z przelewającym się brzuszyskiem. Postawione na pięknej, ręcznie kładzionej mozaice stopy tkwiły w czymś, co w przeszłości mogło być mokasynami, lecz z czasem obrosło śmieciem do tego stopnia, że skutecznie skrywało materiał oddzielający brud od skóry stóp.

Na widok Guinevere intruz przerwał tyradę.

– Ach! – wykrzyknął. – Toż to musi być Stalowa Gwin z Portu Grzechu! Wiele o tobie słyszałem. Kiedyś nawet napisałem o tobie wiersz... zaraz, jak to szło... O, mam: „Od Guinevere Steel wychodzi laska. Na oko – bomba, w dotyku – porażka. Miast ciała – wydmuszka, Jak woskowa gruszka. Tu nie pomoże nawet dobra flaszka”. Jedna z lasek nazwała cię Danny-boy, prawda? – Zwrócił się do wykidajły, który aż wzdrygnął się odruchowo. – W takim razie powinno ci to pasować: limeryki też są z Irlandii.

Zaniósł się śmiechem i zatoczył do tyłu.

– Chcecie usłyszeć jeszcze jeden? „Kiedy sobie macasz fajną laseczkę, Nie dziw się, że zimna jest troszeczka. Sprawcą jej oziębłości Jest Studio Piękności...”.

– Czego chcesz? – spytała wyniośle Guinevere.

– A jak myślisz, czego mogę chcieć? Któregoś z twoich manekinów? – Poczerniałymi od brudu palcami mężczyzna wskazał odsuwające się od niego hostessy. – Dzięki, ale jeśli będzie mi potrzebna dmuchana lala do masturbacji, to sam ją sobie zrobię. Kurzeszmac, jak ci się wydaje, czego może chcieć ktoś, kto przychodzi do takiego miejsca?

– Albo się nawaliłeś, albo orbitujesz – odparowała Guinevere. – Chyba nie wiesz, gdzie jesteś. – Rzuciła nerwowe spojrzenie na ścienny zegar. Bieżące zabiegi właśnie dobiegały końca; jeśli klienci wyjdą i zobaczą tego stojącego im na drodze odrażającego osobnika... – Danny-boy? Trzeba wezwać policję. Nie widzę innego wyjścia.

– Ale dlaczego? – obruszył się intruz. – Co ja takiego zrobiłem? Chcę po prostu być piękny.

– Jaki? – Guinevere zapało dech w piersi. – Chyba zwariowałeś! My w ogóle nie obsługujemy mężczyzn, nie mówiąc już o... o czymś takim jak ty!

– Czyżby? – Nieznajomy groźnie zrobił krok w jej stronę. – Kodeks stanu Nowy Jork, przepisy o dyskryminacji: przedsiębiorstwo komercyjne świadczące swoje usługi publicznie nie ma prawa odmówić obsłużenia klienta ze względu na jego rasę, język, wyznanie lub płeć, pod groźbą utraty licencji.

Guinevere poniewczasie zdała sobie sprawę, że natręt nie zachowuje się w sposób, który pasowałby do jego wyglądu.

– Poza tym ja i tak wiem, że nie dyskryminujecie klientów – mówił dalej. – Nie mówię nawet o Dannym-boyu, a przecież nie wmówisz mi, że bez twojej pomocy uzyskuje tę idealną politurę, ale mój stary znajomek Doll Clark przychodzi tu od lat, a ciągle ma jaja! Co mam zrobić, przyjść w kilcie, kręcąc bioderkami?

– Z pewnością mam prawo zażądać udowodnienia, że jesteś wypłacalny – zauważyła Guinevere. Ogarniało ją delikatne uczucie odrealnienia, jakby ktoś podrzucił jej yaginol do drinka. – Gdyby było cię stać na moje usługi, nie chodziłbyś po ulicy cuchnący jak... – Postanowiła zapożyczyć

porównanie od Danny'ego-boya. Pasowało idealnie. – Jak beczka wielorybiej mierzwy!

– No, jeśli to o moją wypłacalność tak się martwisz... – Intruz się skrzywił. – Proszę bardzo!

I wyjął zza pazuchy gruby plik papierów. Przekartkował go jak krupier przeglądający świeżą talię kart, wyjął jeden dokument i pokazał go.

– Może być?

– Bliżej, żebyśmy mogła przeczytać – burknęła Guinevere. – Nie zamierzam dotykać ani jego, ani ciebie.

Wyteżyła wzrok. Była to autoryzowana bankowa nota kredytowa na okaziciela, opiewająca na tysiąc dolarów. Nie to wstrząsnęło nią do głębi, lecz nazwisko wypisane schludnymi, drukowanymi literami u dołu strony, pod zdjęciem znacznie młodszego mężczyzny z brodą i wąsami przystrzyżonymi z elegancją godną Ludwika Napoleona.

– Ale przecież on nie żyje – bąknęła. – Danny-boy? Chad C. Mulligan nie żyje, prawda?

– Kto? – Danny-boy nie od razu załapał. Dopiero po chwili: – Powiedziałaś: Chad Mulligan?

– Nie żyje? – powtórzył brudny nieznajomy. – Litości, skądże! Zresztą, jeżeli każecie mi tu dłużej czekać, rozwieję wasze wątpliwości raz na zawsze! To jak?

Zbliżało się ostatnie pięć minut bieżącej sesji; lada chwila pierwsi klienci wynurzą się zza parawanów. Guinevere z wysiłkiem przełknęła ślinę. Komu powierzyć to zadanie w zamian za studolarową premię?

– Danny-boy? – szepnęła. – Zaopiekuj się panem Mulliganem i zrób wszystko, o co poprosi.

– Ale Gwinnie...

– Rób, co mówię! – Tupnęła nogą.

Jakkolwiek by na to spojrzeć, to jednak sławna postać...

– Proszę o wybaczenie, panie Mulligan, ale... – powiedziała głośniej, tłumiąc mdłości – Sam pan chyba przyzna, że to dość osobliwe przebranie...

– Osobliwe jak dziura w dupie – mruknął Mulligan. – Od ponad dwóch lat tak wyglądam. Dla mnie osobliwe będzie to, co zrobią ze mnie twoi spece. Ale poddaję się. Mam dość. Pokonała mnie inercja mojego wyklętego przez Boga, tępego gatunku. Ludzie nie zwracają na mnie uwagi; mogę się z nimi spierać, krzyczeć na nich albo smarować się gównem, wszystko jedno. Dlatego chcę się upiększyć, żeby w ten sposób dołączyć do was, gadareńskich wieprzy, i pięknie zdeprawować się na śmierć. Ale do rzeczy: gdzie chcesz mnie upchnąć, żeby inni klienci nie musieli mnie oglądać?

Kiedy Danny-boy prowadził go w głąb salonu, Mulligan obejrzał się jeszcze przez ramię.

– Bądź tak miła i poślij kogoś po flaszkę, dobrze? – poprosił. – Muszę sobie golnąć dla kurażu.

Świat tu-i-teraz (8)

BĄDŹ ŁASKAWY DLA SWOICH FANTOWNYCH PRZYJACIÓŁ

MIEJSCE: ponieważ samodzielne zajmowanie tak dużej powierzchni było z mocy przepisów municypalnych zakazane, Guinevere wymogła na mężu (z którym rozwiodła się głównie dlatego, że nazywał się Dwiggin) ugodę i zmusiła go do zakupu pustego mieszkania ulokowanego pod jej penthouse'em, a następnie odnajęcia go jej na czas nieokreślony za groszową opłatą, co nie było sprzeczne z prawem, dlatego zresztą trik ten chętnie wykorzystywali wszyscy ostentacyjnie zamożni ludzie we współczesnym przeludnionym świecie, do zapewnienia sobie tej najbardziej pożądanej oznaki statusu, jaką stanowił dom kilkakrotnie większy od przewidzianego dla jednej osoby – w tym wypadku chodziło o dwa salony (umieszczone jeden nad drugim) o wymiarach piętnaście na dziesięć metrów, dwa mniejsze pokoje (umieszczone identiko) dziewięć na pięć i pół, dwa kolejne (również identiko) sześć i pół na pięć i pół, cztery łazienki przy pokojach, dwie w korytarzu, cztery dodatkowe toalety, dwie kuchnio-jadalnie oraz ogród, który pierwotnie znajdował się na dachu, zanim wynajęty przez Guinevere pomysłowy architekt wpuścił go w bryłę budynku w taki sposób, że na poziomie dolnego mieszkania rozpościerał się właściwy ogród, powyżej zaś znalazło się miejsce na automatyczny system nawadniania i użyźniania, a także lampy emitujące słoneczny blask niezbędny do rozwoju roślin i kwiatów.

ZAWARTOŚĆ (STAŁA): największy zamówiony przez prywatnego klienta modularny komplet poliformowanych mebli, w którego skład wchodziły duże stoły, mogące także pełnić rolę biurka lub parawanów, mniejsze stoliki, zmieniające się w razie potrzeby w stojaki na książki lub

barki na kółkach, oraz krzesła zmieniające się w fotele, fotele zmieniające się w szezlongi, szezlongi zmieniające się w kanapy, kanapy zmieniające się w łóżka (jedno-, dwu- lub wieloosobowe) i tak dalej – teoretycznie w mieszkaniu można było zorganizować dowolną imprezę, od mitingu politycznego, na którym licznie zgromadzona publiczność zasiada w kręgu, by z uwagą śledzić bieżące wydarzenia, po przyjęcie takie jak w tej chwili, na którym wszyscy czekali niecierpliwie na pojawienie się bieżących wydarzeń, które można by śledzić.

ZAWARTOŚĆ (ULOTNA, NIERUCHOMA, TRWAŁA): najnowsze dekoracje, obrazy, ozdoby, modele wideofonów, telewizorów, poliformerów, holoprojektorów, kosmoram, a nawet książek, chociaż los tych ostatnich – jako potencjalnie niemodnych – zawisł na włosku.

ZAWARTOŚĆ (ULOTNA, NIERUCHOMA, NIETRWAŁA): mieszanka siedmiu tuzinów różnych potraw, co do których firma cateringowa ręczy, że są idealnie dwudziestowieczne w konsystencji i wyglądzie, chociaż mogą się różnić smakiem (odtworzenie niektórych kluczowych składników, takich jak mięso kurczaków z wolnego wybiegu czy wędzony w naturalnym dymie bekon, jest we współczesnych warunkach niewykonalne); do tego butelki, skrzynki, beczułki, pudła, słoiki, kartony i puszki alkoholu, kadzidełek, wina, marihuany, piwa, a nawet tytoniu, wszystko po to, by goście mogli poczuć dekadentki dreszczyk emocji i igrania z losem, jakże typowy dla tamtego okresu.

ZAWARTOŚĆ (ULOTNA, RUCHOMA, W PEWNYM SENSIE RÓWNIE NIETRWAŁA): sto pięćdziesiąt osób, wliczając w to gospodynię, jej gości oraz liczny personel firmy cateringowej cieszącej się niezłą opinią wśród nowoubogich świata tu-i-teraz, a to dzięki ukrywaniu prawdziwych wynagrodzeń kelnerów i sprzątaczek poprzez podwyższanie cen dostarczanych towarów, co pomagało uniknąć domiaru wymierzonego w przesadne zyski beneficjentów pomocy społecznej zatrudniających się na czarno przy takich właśnie przedsięwzięciach.

CEL: wymuszenie na gościach fantów, co – jeśli tylko Guinevere tego zechce – może okazać się dla ofiar tak makabrycznie żenujące, że nigdy więcej nie będą chciały się z nią spotkać.

KOSZTY: około trzech tysięcy dolarów.

KORZYŚCI: z oceną zysków należy wstrzymać się do zakończenia przyjęcia.

Pstryk i ścisk, windy krążą, chlup i trzask, tankowanie się zaczęło.

AUDIO: remiksy co bardziej znośnych nagrań z drugiej połowy ubiegłego stulecia, ale raczej tych nieco starszych – ostatnia dekada XX wieku była postrzegana jako irytująco *vieux-jeu*; lepsze były lata siedemdziesiąte, które z czasem nabrały staroświeckiego uroku. Poza tym musiała to być muzyka prowadząca w sposób jak najbardziej bezpośredni do tego, co było aktualnie w modzie w świecie rzeczowym, czyli *chants sans paroles* w dość nijakich, monotonnych rytmach pięć czwartych i siedem ósmych. Jakość nagrań była podła, regularny rytm banalny i nudny w porównaniu z subtelnością takiego, na przykład, pięć jedenastych, ale każdy z tych przebojów sprzedał się ponoć w milionowym nakładzie.

Co ja mam zrobić z gościem – dowolnej płci – który przyjdzie skropiony Twenty-First Century od Arpège?

KOSMORAMA: przede wszystkim najmodniejsze kolory lat dziewięćdziesiątych, które w dalszym ciągu były tolerowane – zielone jabłuszko, kwaśna cytryna, nieodzowne jasne błękity. Problem polegał na tym, że multikolor był wynalazkiem nowszym i żadne ustawienie mory w projektorze nie oddawało należycie barw, które pozostawały dość płaskie, surowe i smętne.

Jak się tak nad tym zastanowić, to przecież towar Mela Ladbroke'a jest zupełnie świeżutki. Co będzie, gdy jakaś mierzwa zażąda za to fantu? Kurżeszmac, to moje przyjęcie i ja decyduję, co jest, a co nie jest dozwolone.

SMAKI: to może być największy przebój imprezy: żadnych whistlerów, moonjuice'ów ani innych nowoczesnych napitków, tylko wygrzebana skądś stara plansza z drinkami z 1928 roku, których przepisy zostały wprowadzone do automatycznych barków – „Staroświecki” czy „Pieszczoch” powinny przemówić ludziom do wyobraźni, chociażby przez swoje głupiutkie, zabawne nazwy. Egzotyczne jedzenie. Do tego (nie z epoki, ale nie do uniknięcia) suty zapas antyalków, wykrztuszaczy i odtrutek na najpopularniejsze odlotowce: yaginol, dymiczachę i odjazdynę – one same były niedozwolone jako zbyt nowe (pojawily się już po przełomie wieków), ale na pewno przyjdą goście orbitujący na jednym albo drugim. Albo na wszystkich trzech naraz.

A co to za zapach? Głowę bym sobie dała uciąć, że to Catafalque od Diora! Kurżeszmac, skąd ona go wytrzasnęła?! Od dwudziestu lat nie ma go w sprzedaży! Obym tylko pamiętała, żeby ją zapytać, co to; samodzielne rozpoznanie go postarzałoby mnie...

MODA: najbardziej niewiarygodny, absolutnie fenomenalny miszmasz, jaki w tym pokoleniu udało się zebrać pod jednym dachem – może z wyjątkiem sesji Zgromadzenia Ogólnego Narodów Zjednoczonych.

Ta laska ma sutkonakładki; kto jak kto, ale ja umiem je rozpoznać. Trochę jeszcze za wcześnie na fanty, ale to będzie cudny, cudny początek... Nie za ostro, w końcu to mój wynalazek, ale koniecznie jakiś konkret, żeby wszyscy zdali sobie sprawę, że nie żartuję... Ale zaraz... To wcale nie jest laska! W takim razie fant staje się chyba oczywisty, czyż nie? Mniem!

1969: gospodyni w kostiumie z PVC, czyli najlepszym ówczesnym przybliżeniu szlachetnie surowych, mechanicznych trendów współczesnych. Szkoda tylko, że wymagał wzmocnienia źle skonstruowanym i dość niewygodnym biustonoszem i gorsetem, który to fakt stwierdziła poniewczasie, ponieważ odebrała i przymierzyła kostium

na krótko przed imprezą, kiedy już było za późno, żeby zmienić zdanie. Na szczęście, przynajmniej gładka powierzchnia materiału była poniekąd zapowiedzią mody roku 2010; myśl o futrze, aksamicie i topornych fakturach innych tkanin, w które kobiety zwykły się były wciskać, przepelniała ją obrzydzeniem.

– Kochaniutka, całe lata świetlne cię nie widziałam! Co za cudowny strój! Należał do twojej babki?

19??: Norman House w smoliście czarnym stroju wieczorowym, włącznie z najprawdziwszą wykrochmaloną koszulą i białą muszką; włożył nawet buty z tego odrażającego paskudztwa nazywanego „lakierowaną skórą” – sądząc po pęknięciach, musiały być stuprocentowo autentyczne. Guinevere posłała mu jadowity uśmiech za to, że od razu jej się nie podłożył. Z niechęcią musiała przyznać, że w uroczystym przebraniu prezentuje się po prostu fantastycznie.

– To prawdziwy tytoń? Ten, z którego papierosy miały być takie strasznie rakotwórcze? Rety, muszę tego spróbować. Moi rodzice nie palili tytoniu, a ja chyba go w ogóle nie widziałem na oczy!

1924: Sasha Peterson w miękko przelewającej się sukni popołudniowej z półprzezroczystego szyfonu, opadającej niemal do kostek, za to z tyłu rozciętej do wysokości talii, w nawiązaniu do staroświecko rozumianej „elegancji”. Guinevere przypomniała sobie, co dyktatorzy mody mówią ostatnio o skłonności lasek do promowania bardziej naturalnego wyglądu, i pożałowała, że w ogóle wymyśliła to pomierzwione przyjęcie.

– Kurzeszmac... Skoro nie mogę dostać whistlera, to co tam macie? Dobrze, wezmę bourbona z lodem. To chyba dozwolone? Skoro już na dworze Nerona umieli chłodzić drinki, to chyba tym bardziej znali się na tym w ubiegłym stuleciu?

1975: bardzo młoda laska z pięknym biustem w zerotopie i minisarongu. Trudno było mieć o to do niej pretensje: każda dziewczyna, która dopiero niedawno odkryła, że jej ciało przyciąga mężczyzn, zrobi wszystko, żeby pokazać go jak najwięcej.

– Czy rozmawiać o prawdziwym świecie też nie wolno? Bo ja to właściwie nie wiem, o czym się rozmawiało na przyjęciach w XX wieku;

byłam za młoda, żeby na nich bywać.

1999: Donald Hogan o włos od wyznaczonej granicy w dziwnie zabytkowym, brązowo-zielonym kombiturze ze spiralnym suwakiem, który zaczynał się przy prawej kostce, dwukrotnie oplatał ciało i kończył się na lewym ramieniu. Donald miał rumieńce i ewidentnie czymś się martwił, ale oficjalnie tłumaczył swoje zakłopotanie faktem, że gdyby nie Norman, który pamiętał o zarezerwowaniu dla niego kostiumu w wypożyczalni, musiałby przyjść w jedynym powszechnie akceptowanym stroju – własnej skórze.

– Nie napalałabym się zanadto, skarbie. Nie wiem, po co ludzie to palili; mnie po tytoniu robi się po prostu niedobrze. Ale nie, nie, nie możesz go palić jak blanta. Robisz wdech i wciągasz prosto do płuc, bez rozcieńczania.

1982, mniej więcej: karykatura – w dobrym rozumieniu tego słowa – jednego z tych makabrycznych strojów, w których na biodrach i ramionach zawieszało się pięć albo sześć warstw siateczki w kontrastujących barwach. Do tego wystające spod spodu gigantyczne buty.

– Lubię bywać u Gwinnie, bo ona nie czuje się zobowiązana zapraszać tych pomierzwionych brązowych kinoli, o których wszędzie indziej potykam się na każdym kroku. Ale jak na mój gust, dzisiaj jest ich tu stanowczo za dużo!

No dobrze. Czas się dowiedzieć, kim są i po co przyszli.

– Oczywiście, że to czyste szaleństwo. To była najbardziej zwariowana przejażdżka kolejką górską w życiu istot ludzkich! O ile można to nazwać życiem. Zauważyłaś, jak zgrabnie wplątam w rozmowę zwroty z epoki?

Dowolny okres: Elihu Masters w istic królewskich benińskich szatach – luźnej białoczerwonej bluzie narzuconej na workowate spodnie i odkrytych sandałach. Na krągłej, łysiej czaszce aksamitna mycka, z której wyrastało coś na kształt korony z postawionych na sztorc piór, pomalowanych i utrwalonych brązowym lakierem.

– Ja to rozumiem, ale jakie dokładnie dwudziestowieczne przyjęcie Gwinnie miała na myśli? Jeden z tych sztywnych wieczorków opisywanych w czasopiśmie z początku stulecia? Czy raczej coś bliższego naszym czasom, jak spotkanie Ligi Wyzwolenia Seksualnego? Nie mam pojęcia, jak się zachować, a w jej oku widzę ten znajomy błysk: ona już myśli o fantach. Chyba najlepiej będzie trzymać się blisko niej i poprzeć ją, kiedy upatrzy sobie ofiarę.

1960: Chad Mulligan pocący się w marynarce z tweedowej pepitki, jedynym kostiumie w jego rozmiarze, jaki ostał się w wypożyczalni, kiedy w końcu wzruszył ramionami i dał się Guinevere namówić do udziału w imprezie.

– Ależ oczywiście, że się denerwuję. Uwielbiam przyjęcia u Gwinnie; zwykle dobrze na nich wypadam i nigdy jeszcze się na mnie nie uwzięła, ale tym razem naruszam warunki w sposób tak rażący... To w ogóle nie jest kostium z ubiegłego wieku! To znalezisko z szafy ojca. Proszę, na metce stoi jak byk „Kolekcja lato 2000”. Nic starszego nie było.

1899: płaszcz z dodatkową pelerynką nadaremnie ściągnięty wokół obszernej talii, spódnica do ziemi, do tego czepek i usprawiedliwienie, że w tamtych czasach nie było powodu, żeby jednego ubrania nie nosić dwa lata albo i dłużej.

– Kiedy Gwinnie się rozkręci i zrobi się nieprzyjemnie, ja się zmywam. Mam zamiar na inną imprezę, która do tego czasu powinna już hulać na całego.

Dowolny okres: Gennice, dawna laska Donalda, w pomniejszym przebłysku geniuszu ubrana w nigdy się niestarzejące japońskie happi i tradycyjne pantofle do kompletu.

– Ciekawie musiało się wtedy żyć. Znam człowieka, który hobbystycznie remontuje i później prowadzi stare samochody, ale choćby nie wiem jakie cuda wyczyniał z... z tym, no, jak to się nazywa... wydechem? Nieważne, i tak cuchnie potem jak beczka wielorybiej mierzwy. Wystarczy, że podejść bliżej, kiedy uruchomi silnik, i od razu mi oczy łzawią!

1978: Horace, przyjaciel Normana, w parce z rozcięciami dla lepszej wentylacji i kapturem w kontrastowym kolorze, oraz bryczesach –

doskonała pamiątka po tej przekomicznej epoce, w której moda męska trąciła schizofrenią.

SYTUACJA: masa ludzi przechadzających się po pokojach, mniej lub bardziej dyskretnie taksujących się nawzajem spojrzeniami i z wolna zbierających się w grupki złożone z dawnych znajomych, porozdzielane mieliznami nieznanymi, którym poziom skrępowania na razie uniemożliwiał wtopienie się w tłum. Mówiąc krótko (zjawisko to miało zapewne wielowiekowe tradycje – w końcu idea wydawania przyjęć narodziła się w Egipcie za czasów faraonów), impreza jeszcze się nie rozkręciła.

– Niezwykłe perfumy, moja droga.

Nerwowy śmiech.

– No tak, przecież jesteś specjalistką. Podoba ci się ten zapach? Jest taki sympatycznie zatęchły... To Catafalque Diora; matka mi je dała, kiedy usłyszała, że wybieram się do ciebie na przyjęcie.

– Catafalque? Naprawdę? Czy to nie na katafalkach wystawiało się ciała zmarłych na widok publiczny?

– No tak... Taka chyba była idea. Stąd ta nuta stęchlizny. – Dreszcz. – Trochę to makabryczne, nie uważasz? Ale za to przynajmniej jest z epoki.

– Pojęcia nie mam, prawdę mówiąc. Ale wierzę ci na słowo.

SYTUACJA: bez zmian.

– Don! Don!

– Ooo... Cześć, Gennice. Miło cię znowu widzieć.

– Don, to jest Walter, z którym teraz mieszkam; Walterze, to Don Hogan, z którym byłam wcześniej. Nie bawisz się chyba najlepiej, Don...

To aż tak widać? Trudno, kazali mi prowadzić normalne życie aż do wyjazdu, więc... Żałuję, że nie mam dość jaj, żeby się z tego wyłgać. Jestem przerażony!

– Mały odlot dobrze by mi zrobił. Tylko że Guinevere nie byłaby pewnie zachwycona.

– Trawki jest w bród. A poza tym ktoś wspominał, że ten ziomal, o tam... Ladbroke, tak się chyba nazywa... jest z Bellevue. Może coś mieć.

SYTUACJA: bez zmian.

– Ten Chad Mulligan?! Na brodę Proroka, myślałem, że pan umarł!

– Mógłbym. I zamierzam. Pomyślałem tylko, że nie ma się co śpieszyć. Załatw mi jeszcze jednego drinka.

– Elihu? Jest tu ktoś, kogo koniecznie powinien pan poznać! Widziałem, że ma pan jedną z jego książek!

SYTUACJA: bez zmian.

– Proszę posłuchać, podobno jest pan z Bellevue i... Oj, przepraszam. Zdaje się, że widzę kogoś znajomego.

– Zgadza się, to ja, Schritt. Pan Helmut Schritt. – Szybki rzut oka dookoła, nieszczerzy uśmiech. – To rutynowe zabezpieczenie. Istnieje pewna znikoma szansa, że ktoś spróbuje... pokrzyżować panu szyki w sposób, o jakim rozmawialiśmy przy naszym poprzednim spotkaniu. Proszę zachowywać się naturalnie i unikać zobowiązań, które zmusiłyby pana do opuszczenia imprezy wcześniej niż uczyni to większość gości... Rozumiemy się?

– Zachowywać się naturalnie!

– Tak właśnie powiedziałem. Na przykład nie podnosić głosu, kiedy mówi pan o... ważnej sprawie, hmm?

I znowu ten nieszczerzy uśmiech.

SYTUACJA: bez zmian.

– Kochanie! Widzę, że naprawdę zaszalałaś ze strojem!

- Gwinnie! Cieszę się, że ci się podoba!
- Ale... Czy te sutkonakładki nie są przypadkiem z innej epoki?

Nagle napięcie. Otoczka ciszy, mimo rozbrzmiewającego w tle jazgotu płyt. Ruch najbliższych zamienników Guinevere, którzy otaczali ofiarę, żeby napawać się pierwszym tego wieczoru fantem.

– Ja... ehm... ja...

– Rozumiesz chyba, moja droga, że ja akurat wiem o tym najlepiej, ponieważ sama zleciłam ich wykonanie dla Studia Piękności, gdzie sprzedajemy je tysiącami! A przecież zaledwie dwa lata temu z hukiem weszły na rynek.

– Fant! – stwierdził ktoś stanowczo.

Odpowiedziały mu uśmiechy.

– Taaak... Też mi się tak wydaje. Zresztą sam się narzuca. Zdejmij to, kochaniutka, odtąd... – (ramiona) – ...dotąd – (talia).

Zawstydzony do granic możliwości, ale posłuszny. Efekt: dziwaczny hermafrodyta. Od czubka głowy do szyi – wyrafinowana fryzura, perfekcyjnie umalowana twarz, łukowato wygięte brwi, przedłużone rzęsy, wyraziście czerwone usta i brzęczące kolczyki; od pasa w dół – spódnica, rajstopy, obwieszane klejnocikami buty à la rok 1988; pośrodku – absurdalny, nagi męski tors o mięśniach z litego złota, z koncentrycznymi kręgami włosów wokół sutków.

– Tak, to powinno wystarczyć – obwieściła z satysfakcją Guinevere.

Jej poplecznicy zarechotali, poklepując po plecach ją samą i siebie nawzajem, ci zaś, których jej decyzje na razie nie dosięgły, odetchnęli z ulgą i przestali rozmawiać przyciszonymi głosami.

SYTUACJA: bez zmian, lecz z domieszką nerwowego śmiechu.

– Mój drogi, specjalizuję się wprawdzie w modzie damskiej, nie będę jednak ukrywać, że w twoim stroju coś mi nie pasuje...

– No wiesz... – Z wysiłkiem przełyka ślinę. – Prawdę mówiąc... ehm...

– Tylko nie próbuj się wykręcać. Wiesz przecież, że nie znoszę wykrętów.

– Da-jesz fant! Da-jesz fant!

– Ależ Gwinnie, kochaniutka, to najstarsza rzecz, jaka wpadła mi w ręce. Naprawdę!

– Wcale w to nie wątpię. Jesteś jednak częstym gościem na moich przyjęciach i z pewnością z tych, którzy muszą dawać fanty, masz równie wielką uciechę, jak teraz oni będą mieli z ciebie. Zastanówmy się... Co by było najstosowniejsze? Nie należy zapominać, że jest jeszcze wczesnie. Z tego powodu, a także dlatego że wprost przepadamy za tobą, nie chcielibyśmy przesadzić, hmm?

SYTUACJA: śmiech przycichł, napięcie wzrosło.

– Sadystyczna sucz, nieprawdaż?

– Powinien ją pan zobaczyć, kiedy dorwie jakiegoś Aframa, panie Mulligan.

– Jeśli jeszcze raz nazwiesz mnie „panem Mulliganem”, chlusnę drinkiem na to twoje eleganckie wdzianko z epoki. – Łyk. – Nie, inaczej: rozbiję ci kieliszek na tej czaszce, której tylko kędzierzawych loczków brakuje. Poza tym ona nie ma racji.

– Jak to?

– Zwyczajnie. Chociaż to chyba nie gra roli, tak sobie myślę. Jeżeli goście chcą, żeby tak właśnie wyglądały jej przyjęcia, to ja sobie posiedzę cicho w kąciaku i podziękuję w duchu wszelkim potencjalnie istniejącym bóstwom za znalezienie się w inteligentnym towarzystwie. Posłuchaj, Elihu: chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej o tej całej Beninii. Z twoich słów przebijają rozliczne anomalie...

– Przepraszam, Chad, naprawdę szczerze przepraszam, ale... W czym nie ma racji?

– Masz oczy, Norman? I ponoć niezłą pamięć, hmm? No to kurzeszmac, przypomnij sobie, co ty sam nosiłeś latem 2000 roku! Mniej więcej coś takiego, prawda?

– Latem... Na brodę proroka, naturalnie! Dureń ze mnie.

– To kwestia przynależności gatunkowej; napisałem nawet książkę, żeby zwrócić powszechną uwagę na ten fakt, sam jednak wyszedłem na durnia, kiedy sobie wyobrażałem, że to coś zmieni.

Mulligan odwrócił się tyłem do Mastersa i skinął pustym kieliszkiem w prawo, nie patrząc w tę stronę i licząc na to, że przechodzący kelner wsunie mu w dłoń drugi, pełny.

Norman przepchnął się przez tłumek otaczający Guinevere i jej niedoszłą ofiarę. Słyszał kolejne sugestie:

– Niech to zdejmie i włoży tyłem naprzód!

– Niech zdejmie wszystko, co nie jest odpowiednio stare!

– Można by mu to trochę postarzyć, na przykład powydzierać parę dziur w odpowiednich miejscach!

Norman zrobił triumfującą minę.

– Jedną chwileczkę, Gwinnie – powiedział znudzonym głosem.

– O co ci chodzi, Norman? Chcesz... rozsądzić spór?

– Właściwie tak. Dla mnie to wygląda jak ubranie z 2000 roku. Mam rację, moja droga?

– Wiem, że na metce jest tak napisane, ale...

– Czyli wiek XX.

– Słucham? Bredzisz, Normanie. Odejdź. Moim zdaniem powinniśmy...

– XXI wiek zaczął się minutę po północy pierwszego stycznia 2001 roku. Niezręczne milczenie.

– Kurżeszmac, on ma chyba rację.

– Co za mierzwa... Jak dziś pamiętam, w Nowy Rok w 2000 wszyscy...

– Ale komentatorzy zwracali uwagę, że to błąd. Teraz sobie przypominam.

– Do diabła z tym, każmy mu się rozebrać i już.

– O nie, nie. Musimy przede wszystkim trzymać się reguł, które sami ustaliliśmy.

Cisza wszędzie w pobliżu.

– Gwinnie, obawiam się, że on faktycznie ma rację, rozumiesz. Tak to wygląda.

Skinienia głów.

– A to ci dopiero! Ma chłopak fart, że się napatoczyłeś, Norman. No, mniejsza z tym, moje zamienniki, zaraz znajdzie się ktoś inny. Na razie możecie się rozejść.

I chwilę potem, otarłszy się celowo o Normana w drodze na kurs zbieżny z krążącym po sali kelnerem:

- Później się z tobą rozprawię, ty cwany brązowy kinolu!
- Spróbuj, moja droga, spróbuj. Śmiało.

SYTUACJA: nieoczekiwanie, ku ogromnemu rozczarowaniu Guinevere, przyjęcie się rozkręca i wchodzi na prawdziwie imprezową orbitę.

– Chad Mulligan? Niemożliwe! Choćby i za milion lat świetlnych, niemożliwe!

- A jednak.
- Chyba nie ten gruby Afram?
- Nie. Ten z brodą.
- Ten chudy Afram?
- Nie, psiakrew! Ten WASP, który z nimi oboma rozmawia!
- Jezu... Wszyscy mówili, że on nie żyje!

– Wiesz, Mel, tak sobie myślę, że można by później rozpracować parę kapsulek tego towaru, o którego przyniesienie cię prosiłam. Jest tu taki jeden cwany krwawiciel, którego chętnie ściągnęłabym z orbity.

– Cześć, Don. Elihu, poznaj mojego współlokatora Donalda Hogana... Chad Mulligan, Don.

– Cześć. Wracając do tematu: McLuhan jednej rzeczy nie przewidział, chociaż był masakrycznie blisko...

– Ogromnie się cieszę, że mogę pana poznać osobiście, panie Masters, ale naprawdę nie spodziewałem się spotkać pana akurat tutaj.

– Norman wpadł do mnie któregoś dnia wieczorem, wspomniał o tym przyjęciu i powiedział, że powinienem przyjść, żeby przekonać się na własnej skórze, z jakimi kłopotami Aframowie wciąż borykają się w tym kraju. Przemyślałem sprawę i doszedłem do wniosku, że chyba ma rację i że faktycznie powinienem się tu zjawić.

– Nie doceni pan w pełni pomysłowości Guinevere, panie ambasadorze, jeśli będzie pan tylko stał i patrzył. Musiałby pan być kimś takim jak Norman, kimś, kto ma podobny status jak ona, nie człowiekiem z wyższych sfer.

– Dlaczego?

– Gdyby zjawił się pan tutaj w swoim codziennym ubraniu, groziłaby panu co najwyżej symboliczna kara: stanie na głowie przez dziesięć sekund, zaśpiewanie piosenki, zdjęcie butów... Nijak nie zakłóciłoby to pańskiej radości z dalszej zabawy.

– Tego właśnie spodziewam się po przyjęciu z fantami. Czyżbym nie miał racji?

– Trochę się zmieniło, odkąd wyjechał pan za granicę, panie ambasadorze.

Nie przesadzam z tym ambasadorowaniem? To chyba podświadoma reakcja na fakt, że od dzisiejszego ranka jestem oficjalnie porucznikiem Hoganem!

– Parę lat temu rzeczywiście było tak, jak pan mówi – dodał Donald. – Ale już nie jest.

– Rozumiem. Tak mi się wydaje. Proszę o przykłady.

– Hmm... Powiem tak: widywałem gości, którym kazała się oblewać ketchupem; golić głowy na łyso; przez godzinę chodzić na czworakach, dopóki jej się to nie znudziło... Wybacz pan, że wdaję się w takie szczegóły, ale czasem każe ludziom sikać w spodnie. Do tego dochodzi nieco później; pozbywa się w ten sposób gości, których nie życzy sobie mieć w pobliżu, gdy zacznie się orgia.

– To się rozumie samo przez się, czyż nie?

– Naturalnie.

– Czy to dlatego ludzie godzą się na takie traktowanie?

Do rozmowy włączył się Chad Mulligan, który chwilę wcześniej niepostrzeżenie wycofał się z konwersacji z Normanem i przysłuchiwał się wymianie zdań Donalda i Elihu:

– Nie no, kurżeszmacć! Przynajmniej zakładam, że Norman nie po to tu przychodzi... Chyba że przejawia głęboko skrywane skłonności masochistyczne. Jak to z tobą jest, Norman?

– Niektórymi na pewno kieruje masochizm. – Norman wzruszył ramionami. – Lubią być publicznie upokarzani. Zwykle łatwo ich rozpoznać: bezczelnie łamią obowiązującą na przyjęciu zasadę, ale z początku unikają wchodzenia Guinevere w drogę. Dopiero po jakimś czasie, kiedy wypiją, wypalą lub wciągną odpowiednią ilość towaru, który ich kręci, czują wypierd i są gotowi do ostatecznej rozgrywki. Potem zaczynają się błagania i skamlenie, żeby im odpuścić, drwiny gości, którzy mają ich za smutasów, i tak dalej, itepe... Wtedy zwykle dostają orgazmu. Co oczywiście sprawia, że całe wydarzenie staje się dla nich hiperluźne. Po to w ogóle przyjęli zaproszenie. Zazwyczaj są nieszkodliwi.

– Pytałem o ciebie, nie o nich – upomniał go zniecierpliwiony Chad.

– O mnie? Ja tu przychodzę, ponieważ... No dobrze, powiem wprost: to nieustające wyzwanie. Guinevere to wredna suka, ale jeszcze nigdy nie musiałem dawać choćby jednego fantu, a bywało już, że trzydzieścioro czy czterdzieścioro jej ulubionych zamienników domagało się tego głośnym wyciem. Dlatego wciąż tu bywam. Chociaż nawet ja widzę, że to bzdurne wytłumaczenie. To mój ostatni raz. A gdyby ciebie tu nie było, Chad, i gdybym nie wrobił Elihu w przyjęcie zaproszenia, już bym sobie poszedł.

Donald spojrział na Chada Mulligana. Wciąż nie dowierzał, że ma przed sobą autentyk, ale podobieństwo do zdjęć na okładkach książek Mulligana było niepodważalne: bystre oczy zerkające spod nachmurzonego czoła, włosy szesane na skos do tyłu, elegancko przycięte wąsy i broda podkreślające cyniczny zarys ust... Na żywo sprawiał może wrażenie nieco bardziej rozpustnego niż na oficjalnych fotografiach, ale to mogła być kwestia wieku, nie faktycznej rezygnacji.

Taką przynajmniej Donald miał nadzieję.

* * *

– Cudownie tańczysz zocka, moja droga! Masz naprawdę hiperluźne wyczucie!

– Och, Gwinnie, dziękuję. To bardzo miłe z twojej strony...

– Jest tylko jeden kłopot... Zock to nadzwyczaj współczesny taniec, czyż nie?

– Da-jesz fant! Da-jesz fant!

– Otóż to. Przykro mi, ale, choć z bólem, to jednak muszę im przyznać rację. Naprawdę nie znasz żadnych starych tańców? Na przykład szejtana? Nawet jest w podobnym rytmie...

– Naturalnie, Gwinnie. Strasznie cię przepraszam, powinnam była to przemyśleć. Czy chcesz, żebym w ramach fantu zatańczyła szejtana?

– W rzeczy samej. Tylko że... Poda mi ktoś tę miskę miodu? Tam, ze stołu? Och, dziękuję ci, kochaniutka. Kiedy będziesz tańczyć, przytrzymaj ją łokciami.

– Ale... Gwinnie! Cała się obleję!

– Otóż to. No, dalej. Nie oszczędzaj się. Chcę zobaczyć, jak potylicą dotykasz podłogi.

* * *

– Cóż, to możliwe, chyba rzeczywiście jestem nie w humorze. Bo widzisz, chodzę na kurs rebalansu metabolicznego prowadzony przez Klinikę Orbitalną dla ludzi, którzy nie reagują na odjazdynę... Słyszałeś o tym? Mhm. Jest z tym tylko jeden pomierzwiony problem: człowiek staje się znacznie bardziej podatny na przeziębienia, tak że jestem po uszy nafaszerowany profilaktyką i summa summarum funduję swoim hormonom i enzymom przejazdzkę w beczce przez Niagarę. No i powiedz teraz, to już XX wiek czy jeszcze XIX?

– Oczywiście tajemnicą poliszynela jest fakt, że gdyby Narkowdyział dostał wsparcie i fundusze niezbędne do egzekwowania prawa, które

egzekwować powinien, rząd zaraz by upadł z hukiem. A tak... Niezadowolenie niezbędne do wybuchu rewolucji znajduje ujście gdzie indziej i wszyscy w Waszyngtonie są zadowoleni.

– Znaleźli dwoje ochotników, rozumiesz, zioma i laskę, którzy nie mieli oporów, żeby zrobić to publicznie, i w ten sposób zrobili pokaz procesu rozmnażania ludzi dla Salmanasara.

– Nie obchodzi mnie, co mówią. Nie mogę tolerować kultu, którego wyznawcy nie szanują praw człowieka, gdy te dotyczą kogoś innego niż ich samych. A prawokatolicy przez to swoje naleganie na niczym nieograniczone rozmnażanie się naruszają prawa cudzych dzieci. I dlatego należałoby ich zdelegalizować.

– Kwartał od miejsca, w którym mieszka mój szwagier. Taki był z niego łagodny staruszek, mówią. Po prostu wziął tasak i odrąbał głowy dzieciom, którymi się miał opiekować. A potem wyniósł na dach skrzynkę pustych butelek i zaczął nimi rzucać w ludzi na dole. Jedną osobę zabił, drugą oślepił... W końcu policja musiała go usmażyć z helikoptera. Ale przecież to mógł być każdy, rozumiesz? Skąd mamy wiedzieć, bez powszechnie tworzonych profili osobowościowych, kto i kiedy stanie się wściekiem?

– Widzisz, mieliśmy szczęście. Udało nam się dostać do takiego klubu, jest tam jakieś piętnaście par, wszyscy już obchodzili dwudziesty pierwszy, bardzo mili ludzie. Mamy rozpiskę, kto i kiedy opiekuje się progenami członków klubu, którzy mają czyste genotypy. Łącznie jest ich prawie tuzin; jedna z lasek podobno ma urodzić bliźnięta. Czy to nie cudowne? Przeciętnie raz w tygodniu mamy u siebie jakiegoś progena. To nie to samo, co własne dzieci, ale... No, na to nic się nie poradzi. U nas w obu rodzinach były przypadki schizofrenii. Ryzyko jest zbyt duże.

– Ależ skąd! Philip jest o wiele za młody na takie przyjęcia. Jeszcze zdąży stać się wyrafinowanym, cynicznym i zdeprawowanym staruchem jak my; cały czas mu to powtarzam. Oczywiście to mu się nie podoba, stale mi wytyka, na co inni rodzice pozwalają swoim progenom w tym wieku, ale przecież nikt by nie chciał, żeby kwiat niewinności zwiędł przedwcześnie, prawda? W końcu młodość ma się tylko jedną.

– Frank i Sheena? Wyjechali do Portoryko. Nie mieli wyboru: sprzedali mieszkanie, kupili bilety, znaleźli sobie tam pracę... Ale byli wściekli! Odgrażali się, że przy pierwszej okazji w ogóle wyniosą się ze Stanów, żeby jednak móc mieć własne progeny. Bóg jeden wie, dokąd mieliby polecieć. Osobiście nie sądzę, żeby dali radę długo koczować w jakimś zaścianku. A przecież, jeżeli wbrew zakazom założą rodzinę, to nie będą mogli wrócić.

– Słyszałeś, co się stało? Wydawało im się, że są tacy cwani. Znaleźli w kancelarii eugenicznej człowieka, który był... hmm... podatny na perswazję i załatwili sobie sfalszowaną genalizę. Poszli potem do prywatnej kliniki i z badań kariotypu wyszło im, że będą mieli idiotę z mongolizmem! Wybulili dwadzieścia pięć tysi za ten certyfikat genetyczny, a potem i tak musieli dokonać aborcji!

– My załatwialiśmy to przez agencję Olive Almeiro. Poważna firma. Oczywiście nie sposób udawać, że jest nasze własne: moja żona ma jeszcze jaśniejszą karnację ode mnie, a dzieciak jest ciemny: skóra, włosy, oczy... Wszystko. No, ale na malucha dopasowanego do naszego genotypu musielibyśmy czekać nawet i pięć, sześć lat. A potem i tak mogłoby się okazać, że nas na niego nie stać.

– Tamtych dwoje skończyło, a Salmanasar się pyta, gdzie dziecko? Na co oni: no, na dziecko to musisz poczekać dziewięć miesięcy.

– Słuchaj, ja z zasady nic nie mam przeciwko żebrakom. Prawdę mówiąc, uważam, że wydawanie im licencji byłoby diabelnie dobrym pomysłem; człowiek mógłby przynajmniej sam decydować, czy chce wesprzeć konkretną sprawę, zamiast oddawać w podatkach kasę, która później w postaci zasiłków trafia do nierobów i włóczęgów. Ale to, jak związek podzielił między siebie miasto, a teraz wymusza haracze i wyrzuca nie-członków poza granice dzielnic... To jest dla mnie nie do przyjęcia!

– O rety, to są te nowe blanty z Przesady? Mogę spróbować? Słyszałem o tej odmianie dużo dobrego. Dzięki. Oby tylko Gwinnie ich nie rozpoznała, bo inaczej każe nam dawać fanty... a nie podoba mi się dzisiaj ten błysk w jej oku. Szykuje coś naprawdę paskudnego.

– Armia ucapiała go za jaja. W tej chwili działają naprawdę ostro. Robił, co mógł: przyszedł na komisję z matką, ubrany w jedną z jej sukienek, orbitując na maksa... Ale i tak go wzięli. W tej chwili tkwi w tym strasznym szpitalu wojskowym St. Faith, gdzie przechodzi terapię awersyjną mającą oduczyć go jednocześnie dwojaczzenia i brania prochów. To wprost nieludzkie. A poza tym, jeśli terapia poskutkuje, to po powrocie facet nie będzie chciał znać swoich dawnych znajomych; stanie się dobrym, rzetelnym, szanowanym obywatelem, jednym z tych, którzy świetnie nadają się do przyciskania guzików. Sam powiedz, nie masz ochoty się rozplakać, jak słyszysz coś takiego?

– Jedno muszę przyznać: nie spodziewałem się, że na imprezie u Guinevere zobaczę tyle lasek, które wyglądają jak laski, a nie jakieś sterylne opakowane maszyny. Jak myślisz, może ona sonduje grunt przed planowanym przestawieniem Studiów Piękności na trend naturalny?

– Wszystko rozegrało się błyskawicznie. W jednej chwili ludzie po prostu szli ulicą bez żadnego konkretnego celu, a w następnej pojawiły się te brązowe kinole, waląc kijami w wielkie puste beczki jak dobosze prowadzący armię; przeróżna mierzwa zafurkotała w powietrzu, zaczęło się wybijanie tych okien, które jeszcze były całe, wrzaski, histeria, smród paniki... Wiedziałaś, że kiedy wybuchną zamieszki, można naprawdę poczuć odór zgrozy?

– Ale wiesz, Luizjana też długo nie wytrzyma. W stanowej legislaturze czeka już projekt ustawy zakazującej płodzenia dzieci wszystkim, którzy nie są w stanie udowodnić, że ich przodkowie mieszkają tam od trzech pokoleń. Co gorsza, szanse na to, że ustawa nie przejdzie, ocenia się zaledwie na pięć do dwóch. Gubernator ma dwójkę własnych progenów.

– Byłam w zeszłym tygodniu w Detroit. W życiu nie widziałam równie upiornego miejsca. Istne miasto duchów, te wszystkie opuszczone fabryki samochodów... No i oczywiście roi się tam od squatterów. Poszłam nawet na jedną ich imprezę. Powinnaś usłyszeć, jak brzmi zock grany na pełny regulator pod blaszanym dachem długim na sto pięćdziesiąt metrów! W ogóle nie trzeba się starać o odłot: wystarczy stanąć i czekać, aż hałas cię zmasakruje.

– To coś więcej niż hobby, to podstawowa potrzeba współczesnego człowieka. Zaspokojenie fundamentalnego popędu psychologicznego. Jeśli nie masz pewności, że w razie potrzeby zabijesz intruza, najlepiej gołymi rękami, to możesz się załamać pod presją tego tłumu.

– Uzyskałem stopień mistrzowski w rzucaniu nożem i pierwszy stopień w walce wręcz. Mam też już certyfikat na energetyki, teraz staram się o taki na broń miotającą pociski: karabiny, pistolety, kusze.

– Pewnie, że możesz wpaść, ale nie licz na zbyt wiele. Żyjemy w grupie, rozumiesz, w ośmioro; nie brakuje mi różnorodności. Poza tym mamy dwójkę dzieci. Nasz psych twierdzi, że cechuje je iście polinezyjska stabilność emocjonalna, więc chyba rozumiesz, że nie chcę majstrować przy układzie, który tak świetnie się sprawdza. Taka wielka rodzina.

– A słyszałeś, że Nevada znowu się wyłamuje? Na następnej sesji legislatura ma dyskutować o legalizacji poligamii i odpowiednim rozszerzeniu przepisów małżeńskich i rozwodowych. Do dziesięciu osób, jeśli dobrze pamiętam założenia projektu.

– Nie kłam, kochanie. Jak tylko ten ziomus poprosił cię do tańca, od razu ci się ekrany zaświeciły. Mówiłam ci to już wcześniej, ale powtórzę jeszcze raz: nie przeszkadza mi, kiedy dyskretnie dwojaczysz, ale nie zgadzam się, żebyś robił to na oczach wszystkich. Może jestem staroświecką blokerką, ale jestem też twoją żoną i jeśli chcesz, żeby tak zostało, musisz się odpowiednio zachowywać. Czujesz?

– Na to Salmanasar: ale jeśli to ma teraz trwać dziewięć miesięcy, to czemu tak się śpieszyliście pod sam koniec? Ha, ha, ha!

– Miałam nadzieję zamienić dwa słowa z Chadem Mulliganem, ale nie mogę go odkleić od tych dwóch Aframów, z którymi rozmawia. A chciałam go zapytać dlaczego tak jest, że choć wiecznie śnimy o otwartych przestrzeniach, swobodzie poruszania się i oddychania, to uwielbiamy tak się tłoczyć na przyjęciach, że nie sposób przejść z jednego krańca sali na drugi, nie potraciwszy po drodze ze dwudziestu osób!

– Posłuchaj, kochaniutki, świetnie ci to wychodzi, ale ja śmigam po idealnie prostej orbicie, a poza tym jestem żonaty, więc znajdź sobie kogoś, kto lubi dwojaczanie, i przestań mi się narzucać.

– Też kazałam zainstalować jeden z tych powiększonych całośmietników, bo w naszej okolicy opóźnienie w wywozie śmieci sięgnęło pięciu tygodni. Pięciu! Czujesz? No i zaraz pierwszego dnia, jak tylko zaczęłam go używać, przychodzi do mnie taka pomierzwiona łajza i mówi mi, że łamię przepisy o czystości powietrza. Czyste powietrze, mierzwa jego mać! Od tygodni nie ma u nas mowy o czystym powietrzu, bo ulice są pełne gnijącego syfu, który zaczyna już utrudniać przejazd!

– Zgoda, ale jaki jest sens spierać się dzisiaj o politykę? Nie ma czegoś takiego jak polityka; chodzi co najwyżej o wybór sposobu, w jaki załamiesz się pod presją okoliczności. Spójrz na Wspólną Europę, na Rosję, Chiny, Afrykę... Ten pomierzwiony schemat wszędzie się powtarza, co najwyżej w jednych miejscach sprawy zaszły dalej niż w innych.

– Posłuchaj, Schritt... Dobrze już, dobrze: posłuchaj, Helmut! Jeżeli nie zejdziesz z mojej orbity i nie dasz mi trochę hiperluzu, wyjdę na środek sali, tak żeby wszyscy mnie słyszeli, i wykorzystam to, że jestem starszy stopniem! Słyszysz, co mówię? Nie obchodzi mnie, że twoim zdaniem Chad Mulligan gada jak wywrotowiec; tak się składa, że rozmawia z naszym ambasadorem w Beninii i ich rozmowa bardzo mnie interesuje. Dostałem rozkaz, żeby nie zmieniać swojego zachowania. Jeżeli czytałeś moją teczkę, to powinienes wiedzieć, że do moich obowiązków należy interesowanie się wszystkim, co jest lub nie jest związane z moim zadaniem! A teraz idź, wykop sobie gdzieś norę i się w niej schowaj!

– Wygląda na to, że sytuacja w Indiach znów się zaognia. Kiedy skośni zatruli Ocean Indyjski, zabrakło protein. Nawiasem mówiąc, podobno sytuacja wymyka im się spod kontroli: prąd morski przelał się przez jedną z barier i teraz zanieczyszczone ryby łowią już w Angoli.

– Mam nowy autokrzyk z GT, który programuje się sam, przez satelitę. Od trzech tygodni nie przegapiłem ani jednego programu. Też powinienes go kupić.

– Ja używam wyłącznie kodaka Wholopan R. Przede wszystkim ma czułość dwa czterysta, więc praktycznie nie ma rzeczy, której by nie zarejestrował, a poza tym z każdego z dwudziestu kawałków odczytuje się

dziewięćdziesiąt pięć procent treści. Właściwie za każdym razem wystarczy jedna odbitka i nożyczki.

– Nie, to właśnie jest takie niezwykle. Loty swobodne to kapitalne ćwiczenie, trochę jak metoda naprężeń dynamicznych, bo wszystkie twoje mięśnie pracują jeden przeciw drugiemu. Oczywiście musisz pilnować równowagi wapniowej jak oka w głowie, ale są już takie leki, które podnoszą poziom wapnia powyżej zwyczajnych ziemskich poziomów.

– Dzięki pędzimetru nie ma żadnych problemów z dojazdem. Szybciej dojeżdżam do pracy teraz z Buffalo, niż kiedy mieszkałem w Elizabeth.

– Chyba będę musiał wziąć lekcje pilotażu śmigłowca.

– Kojarzysz ten piękny nowy blok w Delaware, który widzieliśmy z samolotu, podchodząc do lądowania? Pomyśleliśmy, że cudownie byłoby w nim zamieszkać... No więc właśnie poznałem człowieka, który mi wyjaśnił, po co go zbudowali, i jeśli nie zamierzasz wyjść na ulicę i zacząć strzelać do prawostróżów, to możemy się pożegnać z tymi marzeniami. To więzienie, ot co! Nowe pomierzwione więzienie o maksymalnie zaostrzonym rygorze!

– Czeka nas to samo, co mieszkańców Londynu i Frankfurtu. Będziemy musieli nauczyć się lepiej wykorzystywać przestrzeń w obrębie miast. W Londynie praktycznie postawili krzyżyk na ulicach, zostawili tylko kluczowe arterie. Ulice się zabudowuje, a do poruszania się po mieście ludziom zostaje metro.

– Złożył się jak dziurawy akordeon, calusieńki, trzydzieści pięter. Dźwigary się wybrzuszyły, stropy pospadały jeden na drugi i *mlask!* Wszyscy ludzie, którzy byli w środku, dziewięćset osób, zdaje się, zostali spłaszczeni jak sardynki w kanapce. Podobno, kiedy programowali komputer, który zaprojektował budynek, zapomnieli mu powiedzieć, żeby uwzględnił ciężar mieszkańców.

– Dwa dni temu. Wyjątkowo udane darmowydarzenie, wprost nie do opisanania, taka to była abstrakcja. Jeszcze nie doszedłem po nim do siebie.

– To działa w ten sposób, że powoduje, w pewnym sensie, odwrócenie reakcji. Na przykład, nic mnie w życiu tak nie rozbawiło jak Msza b-moll.

Ale też bądźmy szczerzy: jak się nad tym zastanowić, to w dzisiejszych warunkach jest to reakcja jak najbardziej właściwa.

– Zgadza się, znam kogoś, kto się do nich zgłosił. Trudno w to uwierzyć, ale gość naprawdę chciał dać się zmasakrować bykowi na oczach wiwatującego tłumu. Załatwili mu to: ściągnęli całą scenografię z Meksyku i oczywiście skasowali go z tej okazji na grubą kasę. Gość tak się podniecił, że dostał zawału zanim zdążyli wypuścić byka. Wylądował w szpitalu, odratowali go, ale zanim wydobrzeł, to mu się pieniądze skończyły. Ostatecznie zwolnił się na własną odpowiedzialność, a oni wyjęli mu protezy. Katastrofa na całej linii, ale jaka piękna!

– Razem z siostrą dołączyli do Fundacji pani Grundy, a wtedy jakiś pomierzwiony formalista wyciągnął zapomniany przez wszystkich przepis i sprawa za tydzień trafi na wokandę. Zapowiada się wielka walka o pryncypia.

– Chyba na narty do Patagonii. Mieliśmy jechać na Karaiby, ale państwo Uniwersalni tak często tam bywają, że zaczęliśmy się obawiać tłoku.

– Jest naprawdę niewiarygodna. Wystarczyło, że dałam jej kosmyk włosów matki, a ona opowiedziała mi niesamowite rzeczy. Nie miałam pojęcia, że matka co rusz wdawała się w romanse, i to najczęściej z brązowymi kinolami! Wiedziałam, że nie mogę jej powierzyć tego, co zostawił ojciec.

– Wedanty, rzecz jasna, twierdzą coś wprost przeciwnego.

– Najprawdopodobniej na jedną z tych wędrowek po Antarktydzie. Nie cierpię śniegu, ale wskaż mi inne miejsce, którego ci pomierzwieni państwo Uniwersalni nie odwiedziliby ostatnio. Nie znoszę tych wymiennych ludzi!

– Przyszłość z samej swojej natury jest całkowicie poznawalna. Wystarczą tylko odpowiednie ćwiczenia i medytacja.

– Mówi pan tak, jakby zakochał się w Beninii od pierwszego wejrzenia. To dlatego, że znał pan i podziwiał Zadkiela Obomego, czy też chodzi o coś więcej?

– Jest jeszcze ta wycieczka do Khadźuraho. Zapowiada się ciekawie, te wszystkie imprezy kręcące się wokół tych erotycznych rzeźb na starych

świętyniach... Tylko że trzeba mieć zbrojną obstawę, żeby tam pojechać, takie jest zagrożenie ze strony tubylczych rabusiów. Szczerze mówiąc, nie wiem, jak miałabym się cieszyć tym wszystkim otoczona wianuszkami uzbrojonych po zęby ochroniarzy.

– To cudowne nagranie Dziewiątej, kiedy wydaje ci się, że lądujesz w samym środku chóru... I wtedy „Oda do radości” eksploduje jak trzęsienie ziemi!

– W tym tygodniu malowałam na swoim poliformerze Jacksony Pollocki. Ręce mam po tym sztywne jak kołki.

– Baza Księżycowa Zero do złudzenia przypomina okręt podwodny. Szczerze podziwiam ludzi, którzy wytrzymują tam do końca tury... Niektórzy siedzą ponad pół roku, wyobrażasz sobie?!

– Nasz psych poradził, żebyśmy posłali Shirley do tej nowej szkoły w Great Bend. Moim zdaniem to świetny pomysł, ale Olaf ma makabrycznie niedzisiejsze poglądy, jeśli idzie o erotyzm wśród młodzieży; twierdzi, że w Great Bend kładą przesadny nacisk na zmysłowość. Dlatego zamierzam wystąpić o rozwód i opiekę nad Shirley. Wtedy z Wendy same będziemy mogły ją tam zawieźć.

– Aż się człowiek zaczyna zastanawiać, jakim cudem naszym przodkom udało się spłodzić taką zgraję ludzkich istot, jeśli za każdym razem, kiedy nasza cię ochota, musiałeś zdjąć z siebie tyle warstw ubrania.

– Zamierzam ich pozwać. Wprawdzie nie dawali żadnej gwarancji, ale osiem tysięcy to nie jest coś, co się wyrzuca jak puste opakowanie po blantach, nie? Kiedy zabraliśmy szczeniaka do domu, nic, tylko siedział, skamlał i co pół godziny sikał na podłogę. Progeny się oczywiście podłamały, bo przecież tak bardzo chciały mieć zielonego pieska; płakały i płakały, to musiała być dla nich straszna trauma. Edna mówi, że trzeba było wybrać inną firmę, taką, która ogranicza efekty uboczne, ale jedno ci powiem: drugi raz nie zaryzykuję kupna genetycznie modyfikowanego zwierzaka. Będzie im musiał wystarczyć zwykły kot.

– Skoro genotyp masz w porządku, to czemu nie zajdziesz w ciążę z kimś innym, kto też jest czysty? Na przykład ze mną? Tak się składa, że mam przy sobie wyniki genalیزی...

– Charlie, masz przy sobie jakiś usztywniacz? Bzyknałem właśnie jedną laseczkę w ogrodzie na dachu, a obiecałem też Louise... No i później, kiedy już będzie ostro, też nie chciałbym zmięknąć.

– Ten zmutowany kaktus z olbrzymimi pomarańczowymi kwiatami. Po ścięciu trzymają się jeszcze tygodniami, tylko trzeba je wstawić pod szklany klosz, bo cuchną, prawdę powiedziawszy. Trochę jak gnijące mięso.

– Poliformowanie jakoś nigdy mnie nie kręciło. Wolę moje stare hobby: muzykowanie pośrednie. Może to i blockerska zabawa, ale nie mam takiego talentu, żeby samej zagrać całą partyturę Cage'a, a uwielbiam to wrażenie, kiedy własnymi palcami tworzę muzykę.

– Krwawiciel podał jej ukradkiem yaginol, kiedy była w ciąży, no i oczywiście trzeba było usunąć fokomelika. Pozwała go.

– Myślę o tym, żeby się stąd wyrwać i dołączyć do jednej z tych społeczności w Arizonie.

– Na razie jest zdeterminowany, żeby pójść w kosmonautykę, ale podejrzewam, że z tego wyrośnie, kiedy odkryje dziewczyny.

– Jak skończony dureń sprzedałem swoje udziały w Hitripie, a oni dwa miesiące później wprowadzili na rynek Przesadę. Straciłem jakieś pięćdziesiąt tysi.

– Wprowadzili do Salmanasara recepturę odjazdyny, a potem zadali mu pytanie: jak wysoko latają Chińczycy?

– Moim zdaniem, zamiast przedłużać urlop do czterech miesięcy, powinni wprowadzić comiesięczną rotację. Dwie zmiany. To oczywiście kosztuje, ale samoocena pracowników podskoczy tak dramatycznie, że warto te koszty ponieść.

– Większość zabawia się w ogrodzie na dachu. Chcesz pójść popatrzeć? Nakręcić się na później?

– Te papierosy są ohydne. W gardle mnie od nich drapie, odbija mi się kwasem, brzuch mnie boli... Ludzie naprawdę palili po dwadzieścia dziennie?

– Nazwali to ograniczeniem obowiązków, jakżeby inaczej, ale sprowadza się do tego, że podważają moją pozycję w firmie. Zamierzam

zębami i pazurami trzymać się tego, co mam. A jeżeli będę musiała grać nie fair, to będzie ich wina, nie moja.

– Pierwszy raz w historii możliwa jest prawdziwa poezja trójwymiarowa. Teraz eksperymentuje jeszcze z dodaniem ruchu i powiem ci, że od niektórych jego utworów naprawdę włos się jeży.

– Nóż trzyma się w ten sposób. Widzisz?

– Nie chcą uczyć dzieci czytania i pisania. Twierdzą, że w epoce post-Gutenbergowskiej byłby to dla nich rodzaj upośledzenia.

– Mało kto o tym wie, ale w prawodawstwie eugenicznym Marylandu jest pewna luka...

– Poliformer do rzeźby wodnej. Coś zupełnie nowego.

– Oczywiście nie kocham Henry'ego tak jak kocham ciebie, ale psych kazał mi od czasu do czasu to robić.

– Trochę wyluzuję, wyskoczę na paciorek albo dwa, ale wrócę... Nie zadawaj się z nikiem.

– Łącznie spróbowałem siedemnastu różnych koktajli. Najwyższy czas na jakiegoś antyalka.

– Moim zdaniem to było draństwo, nie powiedzieć Miriam, że to wieprzowina.

– W Kenii próbują hodować pomarańczowe, ale na razie wszystko wskazuje na to, że w stanie dzikim rozmnażają się tylko te jasnoniebieskie.

– Chyba pozbędę się udziałów w ŚPG. W końcu minęły już całe lata. Tak się zastanawiam, czy te plotki o wielkim strajku nie były przypadkiem zwykłą propagandą.

– I co, pogadałaś z Chadem Mulliganem? Mnie też się nie udało. Myślałem o tym, żeby zachować się jak rasowy dwudziestowieczniak i poprosić go o autograf.

– Kampania na rzecz odtworzenia wielorybów z mniejszych ssaków wodnych. Tylko że koszty byłyby astronomiczne!

– Wysadzili trzy mosty, zanim prawostróże ich usmażyli. Okazało się, że jeden z nich chodził do szkoły z moim synem, Hugh.

– Nie lubię uważać się nad sobą, ale to cholernie nie fair, że zginął w jakimś głupim, pomierzwionym wypadku, a mój nowy mąż nie może

mieć progenów. Miał dopiero sześć lat! Nawet czytać jeszcze nie umiał!

– Uważaj na Guinevere, szykuje się chyba jakaś grubsza ustawka. Ja na chwilę skoczę na górę. Kiedy jest w takim nastroju, niektóre z jej wybryków wcale mnie nie bawią.

– Dobrze dogadywaliśmy się z Donem. Prawdę mówiąc, po cichu liczyłam, że zaproponuje mi utrwalenie tego związku... Ale nie mogłam znieść jego współlokatora.

– Oczywiście, że to nie Chińczycy dostarczają im sprzęt do sabotażu. No, może materiały wybuchowe i termit tak, ale nie modyfikowane bakterie, którymi wyburzyli tamten budynek w Santa Monica.

– Salmanasar powtarza pytanie: jak wysoko latają Chińczycy? Nie wiem, ale jeżeli mają lepszy odlot niż ja w tej chwili, to możemy od razu się poddać.

– Oskarżeni o próbę odbudowy kultu thugów, kojarzysz, wyznawców Kali... Tłum wdarł się do sądu i ich uwolnił.

– Na urlopie pójdę na ten kurs indukowanej schizofrenii w Klinice Leary'ego. To poszerzy moje horyzonty.

– Zamierzał dokonać samospalenia w proteście przeciw poborowi, ale szefostwo najwidoczniej uznało, że byłoby to sprzeczne ze statutem firmy mieszanie się do polityki. Chciał więc załatwić to sam, ale go ugasili. Skończyło się na oparzeniach trzeciego stopnia. A teraz, jak słyszałem, odsiedzi dziesięć lat. Za unikanie poboru.

– Całkowicie skorumpowana policja jest niewiele gorsza od całkowicie uczciwej. Z naszą da się żyć. Owszem, czasem trzeba się trochę wysilić, żeby ustalić, przeciwko komu grasz, ale w takiej małej społeczności jak nasza wybór jest naprawdę niewielki.

– Więc kiedy powiedział, że ma czysty genotyp, ale i tak zamierza się wysterylizować, nie wytrzymałam. Chyba mnie rozumiesz?

– Moja zazdrość jest taka dwudziestowieczna, nie uważasz? Trzymaj się z dala od mojej żony, bo inaczej tak to załatwię z Gwinnie, że będziesz musiał dać fant za dwudziestopierwszowieczne zachowanie!

– Będę musiał doczytać o Beninii, Elihu. Naprawdę nie chce mi się wierzyć w to, co mówisz.

– Udało mi się wypić dwa kieliszki Château Lafite, zanim go zabrakło, i powiem ci, że było to niezwykle doświadczenie.

– A próbowałaś dożylnie? Pistolet diadermiczny kosztuje nie więcej niż czterdzieści, pięćdziesiąt dolców, a odlot masz wtedy po prostu galaktyczny.

– Mówi się o „oczyszczeniu” starej fabryki Renault, ale zapowiada się raczej wojna domowa: na jej terenie mieszka sześćdziesiąt tysięcy squatterów, niektórzy mają ponoć broń energetyczną, a wszędzie na dodatek jest pełno różnych starych giwer, bo po zamknięciu zakład przestawił się na produkcję broni sportowej.

– Opowiadał mi o publicznej egzekucji, którą widział w Algierii. Tak się podnieciłam, że nie mogłam się opanować. Może ty też go o to podpytaj? Sam mi powiedział, że czasem lubi przydwojaczyć.

– Powiedziała jej, żeby posmarowała sobie brzuch marmoladą jabłkową i kazała zamiennikowi ją wylizać. Robi się niegrzeczna; następnym razem nie będzie lizania, tylko kąsanie. Zmywamy się do domu?

– Uważaj, on ma nóż!

– Praca Eldreda podważa całą estetykę telewizji holograficznej.

– Słyszałeś o tym, że teraz to ja prowadzę program selekcji do Muzeum Ubiegłego Tygodnia? Mógłbym wziąć coś od ciebie?

– Haj.

– Praca.

– Religia.

– Psychologia.

– Eugenika.

– Społeczeństwo.

– Wojna i pokój.

– Seks.

– Jedzenie i picie.

– Polityka.

– Hobby.

– Sztuka.

– Rozrywka.

- Warunki mieszkaniowe.
- Podróże.
- Czy Guinevere ucapiała już kogoś za jaja?
- A właśnie, Norman, wspominałem ci chyba, że wyrzucili mnie z domu i szukam jakiegoś wolnego tatami?
- Jak stoimy z alkoholem?
- Mel Ladbroke, zgadza się? Nie ma pan przypadkiem... O kurzeszmać, nie. Nieważne.
- Jesteś sama, kociaku?
- Gdyby mogli sobie pozwolić na zakup modyfikowanej genetycznie kukurydzy, to by wiele zmieniło. Ale nie mogą.
- Gwinnie trzyma cię na specjalną okazję!
- Ludzie, nie wyłączając mnie, są głupi.

* * *

WYKRES GUINEVERE: na początku wyraźny pik, dalej spadek i wypłaszczenie, którego początek wyznacza interwencja Normana w sprawie mężczyzny w stroju z roku dwutysięcznego. Od tamtej pory – stan tłumionej złości, z rzadka tylko przerywany pomniejszych fantami mającymi zadowolić najbardziej zajadłych zamienników. Informacje (rozgląda się czujnie, sprawdza wszystko starannie, żeby uniknąć ponownej wpadki) zachowuje na później, do nadzwyczaj długiej serii fantów na zakończenie wieczoru. Do listy dopisuje – choć ze znakiem zapytania – między innymi ambasadora, który marnuje prestiż swój i Chada Mulligana: ci dwaj dyskutują bez chwili przerwy, nie bacząc na jej usilne namowy, by pokręcili się trochę po sali i porozmawiali także z innymi gośćmi. Brązowy kinol zawsze spieprzy sprawę, choćby był ambasadorem.

WYKRES DONALDA HOGANA: zygzakowata linia miotająca się od przyprawiającej o mdłości zgrozy (maskowanej uprzejmą, a chwilami wręcz interesującą rozmową z Elihu, Chadem, Gennice i innymi znajomymi) po czystą wściekłość na prześladowającego go sierżanta Schritta.

Cztery przymiarki do wciągnięcia mężczyzny z Bellevue w pogawędkę w cztery oczy, by przy tej okazji podjąć na wpół samobójczą próbę wyżebrania jakiegoś odlotowca lub innego specyfiku – mógłby się wtedy ujawnić, a winę zwalić na nieznanego wroga, który dosypał mu czegoś do drinka. W nieodległej przyszłości linia powinna wystrzelić hiperbolą w nieznaną przyszłość aktywnego szpiega.

WYKRES GENNICE: wysoko przebiegająca krzywa z licznymi pikami rozbawienia i zadowolenia, ponieważ Gennice przepada za swoim nowym facetem. Zdarzają się w niej jednak także dołki, gdy zastanawia się nad tym, czy to nie jej odejście zepsuło humor temu przemilemu Donowi Hoganowi.

WYKRESY CHADA I ELIHU: początkowo dwa nisko zarysowane plateau, następnie równoczesny wzrost i długie, długie linie równoległe, które nie łączą się z ogólnym grafem przyjęcia, lecz oddalają się od niego pod własnym kątem, coraz wyżej i wyżej, jakby się wzajemnie napędzały.

WYKRES NORMANA: wczesny pik wywołany skutecznym zakasowaniem Guinevere, dalej powolny spadek, słabo pofalowany i zmierzający albo ku determinacji, by Guinevere znów wyszła na idiotkę, jeśli spróbuje zażądać od niego fantu, albo ku wstrętowi do samego siebie za to, że napawa się tak miałym osiągnięciem.

WYKRES PRZYJĘCIA: płaski, z wyraźnym wybrzuszeniem w ogrodzie na dachu, gdzie od początku gromadzą się goście zainteresowani głównie seksem, oraz głębokim zapadliskiem w okolicy Donalda, Normana, Guinevere i jeszcze jednej lub dwóch osób. Poza tym poziom akceptowalnie wysoki, chociaż aura otaczająca Guinevere psuła nastrój niektórym gościom. Gospodyni naradzała się właśnie szeptem z wybranymi zamiennikami. Nikt nie wiedział, jaka nieściskość czy niekonsekwencja, choćby tak drobna jak odwołanie do dzieła sztuki powstałego po przełomie wieków, sprowokuje ją do następnego bolesnego żądania fantu.

* * *

– Jeżeli Gwinnie uweźmie się na mnie, zamierzam dać jej prezent. Podarunek od firmy, która wysłała swoich ludzi, żeby zrobili ci wjazd do mieszkania i zniszczyli meble!

Mogłabym kazać tym dwóm laskom, grubej i chudej, zamienić się strojami. To im zajmie z pięć minut, ludzie się trochę pośmieją, a ja tymczasem dosypię Normanowi...

– Co to było?

– Chyba chodzi o tę dziewczynę w paskudnej pelerynie... Przed chwilą widziałam, jak Gwinnie w sąsiednim pokoju sprawdzała coś w historii mody.

– Słucham? Przepraszam, mogłabyś to powtórzyć?

Jak poszum chłodnego wietrzyku w pokoju: fala zainteresowania i ciekawości.

– Nie, ten dziwak Lazarus nie został na razie przeczołgany, a nie słyszałem jeszcze, żeby przegapił taką okazję. Uwielbia być upokarzany. To go najwyraźniej w jakiś pokrętny sposób nakręca.

– Jesteś pewien? Kto ci to powiedział?

– Założyłem się sam ze sobą, że doczepi się do Renée... No wiesz, to ta gruba z nieuleczalną chorobą gruczołów, wygląda jak wielka, oklapła galareta. Zawsze ostro obrywa.

To, co zrobię z Normanem, przejdzie do historii. Tym razem cwany brązowy kinol się nie wyślizga! A na wypadek, gdyby próbował się wymknąć, mam tego zioma z czarnym pasem. Zaraz, gdzie on się podział... Chyba nie puka następnej laski?!

– Ale to na pewno czysta propaganda! Przecież dotychczas nawet psy, koty i małpiatki, z których robi się zwierzątka domowe, nie są...

- Coś się tam dzieje?
- Może sprawdzimy?
- O, moi drodzy! Dobrze się składa, że rozmawiacie. Widzicie, obawiam się, że...
- Skoro SKANALIZATOR tak podał, to wiadomość musiała zostać przetworzona przez Salmanasara, więc nie jest to wcale takie niemożliwe. Chyba że to się pojawiło na wyjściu dla plotek. Jak myślisz?

* * *

Do Guinevere z wolna docierało, że po raz pierwszy, odkąd zaczęła urządzać przyjęcia z fantami, pojawienie się jej dobrze poinformowanych zamienników w pobliżu osób przeznaczonych do naprawdę poważnych kar (były to starannie zaplanowane przedstawienia, z rozpisanymi zawczasu dialogami i punktem kulminacyjnym, mające maksymalnie upokorzyć ofiary, a jej umożliwić pozbycie się ludzi, z którymi znajomość zaczynała ją nużyć) nie powodowało przycichnięcia rozmów, a goście nie rozglądali się z zaciekawieniem i nie wspinali na meble, żeby lepiej widzieć. Zamiast tego w głębi sali całkiem pokaźna liczba osób wdała się w jakąś dyskusję; miny mieli sceptyczne, lecz z pewnością nie szydercze.

Guinevere czekała. Kilkoro gości oddaliło się od niezidentyfikowanego obiektu zainteresowania, inni dołączyli do grupy; ktoś wybiegł z pokoju, by po chwili wrócić z szóstką znajomych, z którymi chciał podzielić się nowiną – jakakolwiek była.

* * *

- Hej... – zagaił półgłosem Norman. – Co się dzieje? Gdzie się podziała zastygła w nabożnym skupieniu publika Guinevere?
- Myślisz, że wybuchła wojna? – mruknął Chad, przechwytyjąc nowego drinka z przenoszonej w pobliżu tacy.

Niepokój sparaliżował Donalda jak uderzenie pioruna. Wobec przypadkowości jego porannej aktywacji, niedającej się wytłumaczyć przekazem serwisów informacyjnych, możliwość wybuchu wojny nagle wydała mu się aż nadto prawdopodobna.

– Chad? Co napisałeś w *Leksykonie Trendyźbrodni* na temat ogłaszania fałszywego alarmu?

– Kurżeszmac, no! Niby jakim cudem miałbym to pamiętać? Jestem napruty!

– Czy nie coś o...

– Nazwałem je improwizowaną odmianą pawłowowskiego warunkowania, która osobnikom żadnym władzy pozwala odwieść potencjalne ofiary najbliższej wojny od zamiaru wywleczenia ich na ulice i potopienia jak kocięta. W porządku?

– Dlaczego tak nienawidzisz panny Steel? – spytał Elihu Normana, zniżając głos.

– Nie chodzi o nią osobiście, chociaż myślę, że gdyby była osobą wartą tak silnych emocji, to rzeczywiście mógłbym ją znienawidzić. Bardziej jednak mierzi mnie to, co sobą reprezentuje: gotowość człowieka do pogodzenia się z faktem, że sprowadza się go do zgrabnego opakowania. To jak z nowym modelem telewizora: obudowa nówka sztuka, ale bebechy stare.

– Obym potrafił w to uwierzyć – odparł Elihu z nieszczęśliwą miną.

– Dlaczego?

– Ludzie, którzy nienawidzą konkretów, są niebezpieczni. Ludzie, którym udaje się nienawidzić abstrakcji, to jedyni, jakich warto mieć za przyjaciół.

– Plagiator! – oskarżył go Chad.

– Ty tak powiedziałeś?

– Jezu, tak! Napisałem tak w książce!

– Ktoś mi to kiedyś zacytował... – Przez twarz Elihu przemknął wyraz zdumienia. – Nie kto inny, jak Zaddie Obomi.

– Żaden prorok nie jest mile widziany w swojej ojczyźnie^[1] – mruknął Chad.

– Co ona planuje? – spytał Norman, nie spuszczać Guinevere z oka.

Wszyscy odwrócili się w jej stronę. Z tego miejsca mieli dobry widok na całą scenę – widzieli ją jak gdyby na końcu alei utworzonej z jednej strony przez gości chcących zobaczyć upokorzenie grubej i chudej dziewczyny, z drugiej zaś przez grupę ludzi zatroskanych wciąż nieznaną nowiną.

– Shelley, najdroższy. – Guinevere zwróciła się do mężczyzny stojącego w samym środku tego drugiego skupiska. – Jeżeli dysponujesz informacjami tak wielkiej wagi, dlaczego nie podzielił się nimi ze wszystkimi, zamiast biernie czekać, aż rozprzestrzenia się samoczynnie, narażone na nieautoryzowane modyfikacje? O co chodzi? Chińczycy odholowali Kalifornię na pełne morze? Obwieszczono drugie przyjście Mesjasza?

– Doszedł drugi raz? Wielka mi rzecz... – powiedział ktoś, kogo Don nie rozpoznał po głosie. – Na brodę Proroka, powinniście spróbować tego nowego usztywniacza, którym Ralph mnie karmi!

Guinevere powiodła morderczym spojrzeniem po tłumie, ale nie udało jej się zlokalizować intruza.

– Chodzi o coś, co dziś wieczorem pojawiło się na SKANALIZATORZE – odparł przepaszająco mężczyzna nazwany Shelleyem. – Rząd Yatakangu zapowiedział wdrożenie dwustopniowego programu opartego na przełomowym odkryciu tektogenetycznym. W pierwszej fazie zamierzają zoptymalizować swoją populację poprzez dopuszczenie do narodzin wyłącznie dzieci z pożądanymi cechami dziedzicznymi, a kiedy osiągną już ten cel, mają ulepszyć procedurę genalazy i... nie wiem, jak to inaczej powiedzieć: chcą produkować nadludzi.

* * *

Oszołomieni goście umilkli. Kobieta, której sześćioletni syn zginął w wypadku i która wyszła następnie za mężczyznę z zakazem płodzenia dzieci, strzaskała ciszę głośnym jęknięciem... i nagle zabawa w fanty poszła w zapomnienie i wszyscy zaczęli mówić jednocześnie – wszyscy z wyjątkiem Guinevere, która stała na pustym skrawku podłogi z twarzą

bielszą niż kreda i kurczowo zaciśniętymi pięściami; jej długie chromowane paznokcie wbiły się głęboko, głęboko w nasady dłoni. Obserwujący ją Norman widział, jak występujące na wierzchniej stronie dłoni grube, powęzłone ścięgna upodabniają się do przewodów elektrycznych dostarczających prąd do maszyny.

– Ty! – odezwał się Chad. – Tak, ty! Jak się nazywasz? Don Hogan! Ty się na tym znasz, prawda? To jakaś mierzwa jest, czy nie?

W pierwszej chwili Donald nie był stanie odpowiedzieć. To właśnie musiał być powód, dla którego go aktywowali. Gdzieś, kiedyś, dziesięć lat temu, ktoś przewidział – albo, co znacznie bardziej prawdopodobne, coś przewidziało, ponieważ w tak istotnej sprawie na pewno woleliby polegać na komputerowych prognozach – możliwość takiego rozwoju sytuacji i postanowili się zabezpieczyć na wypadek tej niezwykle mało prawdopodobnej ewentualności: wybrali i ukształtowali człowieka, który...

– Ogłuchłeś, ziomuś?

– Co? Och, przepraszam, Chad... Zamyśliłem się. Co mówiłeś?

Słuchając powtarzanego przez Chada pytania, przypomniał sobie, czego dotyczyło. Rozejrzał się nerwowo w poszukiwaniu sierżanta Schritta i dostrzegł go całkiem blisko, w tłumie, w odległości paru kroków. Jednakże niedawna pewność siebie Schritta ulotniła się bez śladu – prawdę mówiąc, sierżant wyglądał tak, jakby lada chwila miał się rozplakać.

Poruszył ustami. Nie zauważył Donalda, chociaż podniósł głowę i omiół wzrokiem rejon, w którym Donald się znajdował. Z ruchu jego warg Donald odczytał słowa zbyt ciche, by dało się je usłyszeć w narastającym zgiewku. Brzmiały w przybliżeniu następująco:

– Kurżeszmac, kurżeszmac, nie dostałem pozwolenia i gdzie ona teraz jest, z kim zachodzi w cią...

I tak to szło. Donald z zakłopotaniem odwrócił wzrok. Miał wrażenie, że na moment zajrzał do cudzego prywatnego piekła.

Ale w takim stanie Schritt nie przejmie się tym, że jego podopieczny przekazuje tajne informacje potencjalnemu wywrotowcowi w rodzaju Chada Mulligana. Zresztą i tak cała wiedza Donalda na ten temat pochodziła z kursów na studiach i z nowojorskiej Biblioteki Publicznej. Tylko jakieś

ogólniejsze schematy, które udało mu się sformułować na podstawie lektur, można było w pewnym sensie uznać za niejawne.

– To wcale nie musi być mierzwa – odparł znużonym tonem. – SKANALIZATOR przekazuje zarówno pogłoski, jak i naukowo stwierdzone fakty. A ten facet nie twierdził, że to wyszło z działu plotkarskiego.

– Kogo oni tam mają, kto mógłby poprowadzić taki program?

Chad pochylił się, oparłszy łokcie na kolanach. Wzrok miał czujny, cała jego nietrzeźwość w magiczny sposób się ulotniła. Elihu i Norman z uwagą przysłuchiwali się ich rozmowie.

– Wiesz, ta pierwsza część, czyli prosta optymalizacja embrionów, teoretycznie była możliwa już w latach sześćdziesiątych. – Donald westchnął. – A reimplantację zapłodnionych pozaustrojowo jajeczek oferuje się jako zwykłą usługę komercyjną, tyle tylko, że nigdy nie rozpowszechniła się w dostatecznym stopniu, żeby jej cena spadła. Gdyby jednak rząd wydał stosowny dekret, może...

Zawiesił głos i pstryknął palcami.

– Ależ oczywiście! – wykrzyknął. – Chad, imponujesz mi jak cholera, wiesz o tym? Przed chwilą zapytałeś „kogo oni tam mają?”, prawda?

Mulligan pokiwał głową.

– To było właściwe pytanie! Do fazy drugiej, w której nie chodzi już o zwykłe oczyszczenie puli genetycznej, tylko o jej faktyczne ulepszenie, potrzeba geniusza zdolnego do prawdziwie przełomowych odkryć. I właśnie kogoś takiego tam mają. Mam na myśli człowieka, o którym od dziesięciu lat mówiło się wyłącznie jako o wykładowcy Uniwersytetu Zaangażowania.

– Sugaiguntung – domyślił się Chad.

– Właśnie.

Elihu uniósł pytająco brwi, patrząc najpierw na Chada, potem na Donalda.

– Sugaiguntung miał dwadzieścia kilka lat, kiedy wprowadził Yatakan na rynek modyfikowanych bakterii – wyjaśnił Donald. – To błyskotliwy oryginał, ponoć jeden z najsłynniejszych tektogenetyków na świecie. Później...

– Było coś z gumą – wtrącił Chad. – Teraz sobie przypominam...

– Otóż to. Opracował nową odmianę kauczukowca, wprowadzoną następnie na wszystkie plantacje w Yatakangu, który dzięki temu jest dziś ostatnim krajem na świecie, gdzie syntetyki nie mają szans w konkurencji z naturalnym lateksem. Nie wiedziałem, że interesuje się też materiałem zwierzęcym, ale...

– A ma w ogóle jakiś? Co by mu było potrzebne? Małpy człekokształtne?

– Tak by było najlepiej, ale przypuszczam, że całkiem niezłe wyniki można by uzyskać na świniach.

– Na świniach? – powtórzył z niedowierzaniem Norman.

– Tak. Świńskich zarodków często używa się w celach dydaktycznych; podobieństwa są wprost zdumiewające, istotne różnice pojawiają się dopiero krótko przed porodem.

– Zgoda, ale nie rozmawiamy o zarodkach – wytknął Chad. – Tu chodzi o głęboką manipulację materiałem genetycznym. Może orangutany?

– O mój Boże...

– Co?

– Że też wcześniej tego nie skojarzyłem! Od jakichś pięciu, sześciu lat yatakański rząd metodycznie nadzoruje ochronę i rozmnażanie orangutanów. Ni z tego, ni z owego wprowadzili karę śmierci za zabicie orangutana i wyznaczyli około pięćdziesięciu tysięcy dolarów nagrody za schwytanie go żywcem.

– Chodźmy stąd – zaproponował zdecydowanym tonem Chad. Odstawił kieliszek na najbliższy stolik i zerwał się na równe nogi.

– Tak, chodźmy – zawtórował mu Norman. – Ale...

– Nie mówię, że mamy przestać o tym rozmawiać – uciął Chad. – Mieszkacie razem, prawda? Pójdziemy do was. Elihu, idziesz z nami? Jak już sobie to wyjaśnimy, to i tak będę miał do ciebie jeszcze parę pytań na temat Beninii. Pasuje? Jeśli tak, to spadajmy z tej pomierzwionej imprezy. Znajdźmy sobie jakieś ciche, spokojne miejsce.

Nie oni jedni wpadli na taki pomysł. Ostatnią rzeczą, jaką zobaczył Donald, obejrzawszy się przez ramię, gdy wyczekiwali sposobności do wymknięcia się przez drzwi, był sierżant Schritt: jedną ręką opierał się

o ścianę, w drugiej zaś trzymał okazałą szklanę wódki albo ginu, z której pociągał łyk za łykiem, żeby ugasić płonący w sercu ogień smutku.

Ciekawe, ilu jutro będzie takich jak sierżant Schritt.

¹ Cytaty i parafrazy z Biblii na podst. *Biblii Tysiąclecia* (przyp. tłum.).

kontekst (13)

STARA GAZETA

CHŁOPIEC ZASTRZELIŁ PIĘĆ OSÓB W SZKOLE KOSMETYCZNEJ Mesa, Arizona, 12 listopada

W TUTEJSZEJ SZKOLE kosmetycznej uzbrojony chłopiec sterroryzował bronią pięcioro ludzi, w tym matkę z trzyletnią córką. Kazał ofiarom położyć się na podłodze, a następnie je zastrzelił.

Dwie dalsze ofiary, w tym trzymiesięczne dziecko zastrzelonej kobiety, trafiły do szpitala.

To już trzecie masowe morderstwo w Stanach Zjednoczonych w ciągu ostatnich czterech miesięcy. W sierpniu w Austin w Teksasie snajper zastrzelił piętnaście osób, a w lipcu osiem uczennic szkoły pielęgniarek w Chicago zostało uduszonych lub zasztyletowanych.

NAJDŁUŻSZY POBYT W OTWARTEJ PRZESTRZENI KOSMICZNEJ Od naszego korespondenta naukowego

W DNIU WCZORAJSZYM astronauta Edwin „Buzz” Aldrin otworzył wąż swojego Gemini-12, wystawiając się na bezpośredni kontakt z przestrzenią kosmiczną. Dwie godziny i dwadzieścia osiem minut później wycofał się w głąb statku, ustanowiwszy tym samym rekord pobytu w otwartym kosmosie.

NOWI EINSTEINOWIE Z „SADZONEK”
JOHN DAVY z redakcji naukowej

NIEWYKLUCZONE, że wkrótce możliwe stanie się rozmnażanie ludzi w podobny sposób, w jaki dziś rozmnażamy róże – poprzez pobieranie od nich odpowiedników sadzonek.

Znany genetyk i laureat Nagrody Nobla, profesor Joshua Lederberg, w artykule opublikowanym w *Bulletin of the Atomic Scientists* twierdzi, że powinniśmy już dzisiaj zastanowić się nad implikacjami potencjalnego wyprodukowania dziesiątek lub setek osobników identycznych pod względem genetycznym, niczym zwielokrotnionych bliźniąt jednojajowych...

Umożliwiająca to technika zostanie najprawdopodobniej przetestowana „bez oglądania się na wartości humanistyczne, nie mówiąc już nawet o rozległych lukach w dziedzinie genetyki człowieka”. Z tego względu niezwyklej wagi nabiera kwestia ewentualnych konsekwencji takich działań – jeżeli zaniedbamy ich rozważenie, cała polityka wobec tej nowinki zostanie zdeterminowana przez „przypadkową charakterystykę pierwszych opublikowanych próbek”. Opinia publiczna może zostać ukształtowana przez narodowość sklonowanego osobnika, a także majestat lub urodę „tej paraludzkiej progenitury”.

Przewidywanie i modyfikowanie natury ludzkiej, podkreśla profesor, pilnie wymaga planowania i „dojrzałego zrozumienia”, jakie odnosimy do innych aspektów życia.

– trzy wiadomości sąsiadujące ze sobą na pierwszej stronie
London Observera z 13 listopada 1966 roku

ciągłość (13)

POMNOŻYĆ PRZEZ MILION

Wracając od Guinevere, Donald czuł, jak yatakańska nowina dławi mu mózg, tłamsi go niczym monstrualny materac. W taksówce prawie się nie odzywał. Był półżywy ze zmęczenia; zdążył się zdrzemnąć zaledwie dwie godzinki, zanim Delahanty przerwał mu odpoczynek. Zmęczenie w połączeniu z połkniętymi spokсами przytłumiło jego uczucia na resztę dnia. Nawet złości na prześladowającego go Schritta nie potrafił przekuć w jakieś zdecydowane działanie.

A jednak ze względnyim spokojem przyjął fakt, że właśnie prześliznął się przez swój ostatni dzień na wolności, zanim pochłonie go rządowa paszcza. Powód tego spokoju pomalutku przesączał mu się do świadomości.

Kiedy wczoraj po obowiązkowej lekturze wychodził z biblioteki, ogarnęła go przemożna iluzja, w której zamieszkujące Nowy Jork masy – z nim samym włącznie – były nie tyle ludźmi, ile raczej ożywionymi lalkami. Zdecydowany udowodnić samemu sobie, że wcale nie żyje we wrogim świecie, zbłądził z tego złudzenia wprost w srogą rzeczywistość zamieszek. Zgoda, może nie były to jakieś wielkie zamieszki – na pewno nie takie jak w Detroit, na przykład, gdzie liczba ofiar śmiertelnych szła w setki – ale z pewnością ostatnie w życiu zatłuczonego kijami pilota śmigłowca.

I oto nagle dzisiaj obudził się nie w znajomym świecie, który zamieszkiwał od dziesięciu lat, lecz w zupełnie innym, nowym wymiarze egzystencji, przerażającym jak dżungla na obcej planecie. Według kapitana policji zaistniałe fakty dawały stuprocentową pewność, że

sprowokuje zamieszki, jeśli wybierze się na spokojną wieczorną przechadzkę. A zatem nie tylko świat wokół niego, lecz także on sam był inny, niż sobie wyobrażał.

Schwytany w ten potrzask, zawieszony w pół drogi między strzępami dawnych przekonań i krystalizującymi się podstawami nowych, mógł z równym powodzeniem buntować się przeciw decyzji komputera w Waszyngtonie, który postanowił go aktywować, jak próbować wskrzesić zabitego pilota.

Słyszał, jak Norman zwraca się do Elihu, ale słuchał apatycznie, nie przypisując słowom znaczeń:

– Przedstawiłeś swój plan GT, tak jak zamierzałeś?

– Tak.

– I...?

– Salmanasar już wcześniej podał im cztery możliwe powody, dla których się do nich zwróciłem. Ten ocenił jako najbardziej prawdopodobny. – Elihu się wzdrygnął. – Dlatego mieli przygotowane plany na różne ewentualności, projekt budżetu, nawet ostrożnie zarysowany program reklamowy. Byli zachwyceni, kiedy tłumaczyli mi, że przewidzieli mój ruch.

– Ich ochrona musiała się spisać lepiej niż zwykle – zauważył Norman. – Bo do mnie nic nie dotarło.

– Mówisz o Salmanasarze jak o człowieku – zauważył Chad. – Dlaczego?

– Wszyscy w GT tak robią – odmruknął Elihu.

– Jakby był członkiem rodziny. Powiedz mi, Norman, czy w tych propagandowych bzdetach o tym, jakoby Salmanasar był naprawdę inteligentny, jest jakieś ziarno prawdy?

Norman rozłożył ręce, dając do zrozumienia, że nie ma pojęcia.

– Trwa nieustanna dyskusja o tym, czy jego reakcje wciąż opierają się na prostych odruchach, ale niestety, to już nie moja specjalność.

– A mnie się wydaje, że jeśli faktycznie będzie inteligentny, to i tak się nie zorientujemy. – Chad odchrząknął. – Bo sami nie jesteśmy.

– Kiedy podadzą to do publicznej wiadomości? – zwrócił się Norman do Elihu.

– Nieprędko. Nalegałem na dyskrecję. Jutro wracam, żeby kontynuować rozmowy; ma mi towarzyszyć jakiś przedstawiciel Państwa, prawdopodobnie Raphael Corning, ten syntetyk. No i ty, rzecz jasna. Uważam, że to ty pierwszy powinienes spotkać się z Zadkiem w imieniu firmy. – W głosie Mastersa zabrzmiała nuta rozgoryczenia. – Kiedy pomyślę, co zaplanowałem dla Benińczyków, zastanawiam się, czy kiedykolwiek mi wybaczą.

Z ulgą się stąd wyrwę, uświadomił sobie zaskoczony Donald. Jezu, ucieszyłbym się chyba nawet gdyby dzisiaj rano wsadzili mnie do pierdła. Mógłbym zatrudnić się na księżycu, w ŚPG, gdziekolwiek, nawet w Yatakangu, byle tylko znaleźć się w miejscu, po którym spodziewam się, że mnie zaskoczy, zamiast tutaj, w rodzinnym mieście, gdzie wydawało mi się, że wszystko jest spokojne i znajome, dopóki rzeczywistość nie wierzgnęła i nie sprzedała mi kopa w pysk.

* * *

Kiedy weszli do mieszkania, Chad – nie pytając o pozwolenie – udał się na rekonesans: zaglądał po kolei do wszystkich pokoi i z niedowierzaniem kręcił głową.

– Jakbym wrócił do przerwane go snu, wiecie? – rzucił przez ramię. – Jakbym się obudził, potem następnego wieczoru położył spać i odkrył, że sen pod moją nieobecność trwał i teraz wracam do niego w późniejszej fazie.

– Czyżbyś uważał, że życie, jakie wiodłeś przez ostatnie lata, jest... bardziej prawdziwe? – spytał Elihu.

Nikt mu nie zaproponował, żeby usiadł, wybrał więc stojący najbliżej mebel – ulubione krzesło Normana – i usiadł na nim, mozolnie układając fałdy swojej benińskiej szaty. Odłożył na bok aksamitno-pierzaste nakrycie głowy i rozmasował odciski przez nie ślad na czole.

– Bardziej prawdziwe? No kurzeszmac, co za pytanie! Całe współczesne tak zwane cywilizowane życie jest próbą zaprzeczenia rzeczywistości w takim stopniu, w jakim można mówić o jej istnieniu. Kiedy Don ostatni

raz patrzył w gwiazdy? Kiedy Norman przemókł na deszczu? Dla takich ludzi gwiazdami są światła Manhattanu! – Chad kciukiem wskazał okno z tyłu, za którym mieniła się jarmarcznie miejska skarbnica kolorowych lampek. – Zacytuję sam siebie, to nawyk, który kazał mi zrezygnować z prób wpływania na ludzi, ponieważ zabrakło mi sposobów wyrażania nowych idei... Na czym to ja stanąłem? A tak. Prawdziwy świat potrafi nas zaskoczyć, prawda? Dopiero co byliśmy tego świadkami na przyjęciu u Gwinnie. Prawdziwy świat wparował do jej mieszkania i dosłownie wstrząsnął fundamentami tych wszystkich ludzi!

– Jak sądzisz, jakie będą tego skutki? – spytał z powagą Norman.

– Jezu... Musisz mnie traktować jak substytut Salmanasara? To jest właśnie problem z wami, korporacyjnymi egzekami: sprzedajecie swój niezależny osąd za wór prestiżu i sową pensję. Mogę sobie czegoś nalać?

Norman otrząsnął się z zadumy. Bez słowa wskazał barek, ale i bez jego pozwolenia Chad już majstrował przy pokrętłach.

– Pewne skutki dało się zauważyć już tam, na przyjęciu – wtrącił Donald. Miał ochotę zadygotać, ale mięśnie grzbietu odmówiły reakcji na ten impuls. – Był tam pewien człowiek... mniejsza z tym, kto dokładnie. Czytałem z ruchu jego warg. Mówił coś o dziewczynie, którą stracił, bo nie pozwolono mu zostać ojcem.

– Na początek można go pomnożyć przez milion. – Spod wylotu dyszy barku Chad wyjął whistlera. – A takich jak on może być znacznie więcej, chociaż trudno powiedzieć, żeby ta impreza była reprezentatywną próbką. Ludzie, którzy bywają na takich spędach, zazwyczaj są zbyt wielkimi egoistami, żeby nadawali się na rodziców.

Jednym haustem pochłoniął whistlera, zadowolonym skinieniem głowy skwitował jego moc i wybrał kod następnego.

– Zaraz – odezwał się Elihu – przecież zwykle to właśnie rodziców przedstawia się jako największych egoistów. I to mnie niepokoi. To znaczy, rozumiem, że posiadanie trojga czy czworga dzieci można uznać za samolubne, ale dwojga? Przecież to tylko zachowanie równowagi...

– Klasyczna zazdrość o podłożu ekonomicznym. – Chad wzruszył ramionami. – Każda społeczność, która tylko z pozoru hołduje idei

równych szans, będzie zazdrościła innym, którym lepiej się powodzi, nawet jeśli źródła dobrobytu tych innych nie da się podzielić bez zniszczenia go. Kiedy byłem szczeniakiem, źródłem takiej zazdrości był względny poziom inteligencji. Pamiętam, jak niektórzy ludzie w Tulsa rozpowszechniali kłamliwe plotki na temat moich rodziców tylko dlatego, że ja i moja siostra wiedzą biliśmy na głowę wszystkich rówieśników w szkole. Dzisiaj samo potomstwo stało się towarem deficytowym, co ma dwojakie konsekwencje: ci, którym Rada Eugeniczna zakazała posiadania dzieci, wyniosłym zadufaniem maskują syndrom kwaśnych winogron, ci zaś, którzy nie są w stanie wziąć na siebie odpowiedzialności związanej z wychowaniem progenów, kopiują postawę tamtych, upatrując w niej usprawiedliwienia dla siebie.

– Mam dorosłego syna – odparł po chwili Elihu. – Za rok, może dwa pewnie zostanę dziadkiem. Nie czuję tego, o czym mówisz.

– Ja również nie, w każdym razie nie na poziomie osobistym, ale głównie dlatego, że staram się nie przyjaźnić z osobami, które w ten sposób reagują. Zaznaczę, że na ojca nadaję się wyłącznie w sensie czysto biologicznym. Moje małżeństwo się rozpadło. Na dodatek, w moim przypadku książki znakomicie spełniają tę samą podstawową rolę, co dzieci względem rodziców.

– To znaczy? – spytał Norman z nutą wrogości w głosie.

– Rozszerzenie osobistego wpływu na środowisko w wymiarze czasowym. Dzieci są łącznikiem z pośmiertną przyszłością. Podobnie jak książki, dzieła sztuki, niesława i parę innych spraw. Nie można się jednak spodziewać, że dwadzieścia milionów sfrustrowanych rodziców zacznie nagle pisać, żeby w ten sposób dać upust swojemu rozgoryczeniu. Kto by ich czytał?

– Mnie nic nie wiadomo o tym, żebym chciał mieć dzieci – odparł prowokacyjnym tonem Norman. – I to pomimo religii, jaką wyznaję! Wielu Aframów podziela moje odczucia, ponieważ nasze progeny wychowywałyby się w środowisku, które pozostaje dla nas obce i nietolerancyjne!

– Tacy jak ty są sami dla siebie surogatem dziecka – burknął Chad. – Jesteś tak masakrycznie zaaferowany przerabianiem samego siebie na podobieństwo wyobrazonego wcześniej wizerunku, że nie masz ochoty tracić czasu na formowanie własnego szczeniaka.

Norman na wpół poderwał się z krzesła. Ciętą ripostę miał na końcu języka, nie wypowiedział jej jednak na głos, a niedokończony gest zmienił w sięgnięcie po blanta z pudełka na pobliskim stoliku.

– Na brodę Proroka – mruknął pod nosem, nie zwracając się do nikogo konkretnego – sam już nie wiem, kim jestem, więc...

Donald z trudem powstrzymał się od głośnego okrzyku zdumienia, słysząc tak celne sformułowanie dręczącego go problemu. Zanim jednak zdążył się odezwać, Elihu zadał Chadowi kolejne pytanie:

– Przypuśćmy, że masz rację. Co się stanie, jeśli ten przełom w Yatakangu uniemożliwi zakazywanie rodzicielstwa ze względu na argumenty eugeniczne? No bo jeżeli okaże się, że możesz mieć normalne, zdrowe dziecko, które tylko genetycznie nie jest twoje, to i tak znajdziesz się o krok bliżej naturalnego procesu rozmnażania niż w przypadku adopcji. Ja zaś znam dziesiątki ludzi, którzy adoptowali dzieci i są z tego bardzo zadowoleni.

– Może powinieneś zapytać Salmanasara? Nie, Elihu, przepraszam, nie chciałem na ciebie warczeć. Sęk w tym, że ja naprawdę postanowiłem darować sobie wszelkie próby nadażania za rodzajem ludzkim. Nasze zachowanie bywa tak niewiarygodnie irracjonalne... – Chad przetarł knykciami zmęczone oczy. – Przykro mi. Mogę tylko zgadywać. Będą kłopoty. Jak się nad tym zastanowić, to dość bezpieczna przepowiednia. Uniwersalna. Cokolwiek się w obecnej sytuacji wydarzy, będą kłopoty. Ale jeśli interesuje cię zdanie specjalisty, to może powinieneś spytać Dona zamiast mnie? Masz magisterkę z biologii, zdaje się? – zwrócił się bezpośrednio do Dona.

– To prawda.

Donald oblizwał wargi. Żałował, że dał się wciągnąć w rozmowę, kiedy nade wszystko miał ochotę zaszyć się gdzieś w kącie i pocierpieć w samotności. Nie chcąc być nieuprzejmy, spróbował uporządkować myśli.

– Hmm... Powiem tak: jeżeli ten gość na przyjęciu się nie pomylił, to pierwsza część tego yatakańskiego programu nie jest jakoś wybitnie przełomowa. Techniki optymalizacji populacji poprzez dopuszczenie do narodzin tylko tych dzieci, które wykazują pożądane cechy dziedziczne, istnieją od dziesięcioleci, ba, można by wręcz powiedzieć, że od wieków, ponieważ, jeżeli komuś zależy wyłącznie na selekcji, to wystarczą mu tradycyjne metody rozmnażania. Domyślam się jednak, że Yatakang ma ambitniejsze zamiary. Tak czy inaczej, można oddać spermę do banku nasienia, można osadzić w macicy jajeczko zapłodnione pozaustrojowo, jeśli przeszkodą miałyby być geny matki, nie ojca... Coś takiego jest dostępne jako płatna usługa tutaj, w tym kraju! Metoda nie jest tania i bywa zawodna, czasem potrzebne są trzy lub cztery próby, ponieważ komórka jajowa jest niezwykle delikatna, ale takie zabiegi przeprowadza się od lat. A jeśli ktoś jest gotowy ponieść koszty czekania, aż tektogenetykom uda się uzyskać zdolny do życia zarodek, może otrzymać nawet embriion partenogenetyczny, „klon”, jak go nazywają. Tak że w tym zakresie oświadczenie Yatakangu nie poraża nowatorstwem.

Zapadła cisza, którą dopiero po dłuższej chwili przerwał Norman:

– A faza druga? To gadanie o celowym robieniu z dzieci supermenów...?

– Zaraz, zaraz – wtrącił się Chad. – Mylisz się, Donaldzie. Zanim przejdiesz do kwestii, o którą upomina się Norman, wydaje mi się, że już na tym etapie w grę wchodzi dwa zupełnie nowe czynniki. Przede wszystkim towar deficytowy nagle przestanie być deficytowy. Nie da się pokroić istniejących progenów i wszystkich obdzielić po równo, chociaż niektórzy to właśnie próbują robić, kiedy tworzą te kluby, na które co rusz człowiek się natyka, te, w których przez jeden czy dwa wieczory w tygodniu można opiekować się cudzymi progenami. Ale pomyślmy, ilu mieszkańców ma Yatakang? Nieco ponad dwieście milionów? W takim razie nie ma mowy o żadnym deficycie, jeżeli rząd zamierza realizować swoje obietnice w takiej skali. Drugi nowy czynnik, nawet ważniejszy od pierwszego, jest następujący: ktoś inny zrobił to pierwszy.

Te słowa na długie sekundy zawisły w powietrzu niczym gęsty dym, zanim Mulligan dopił w końcu drinka i westchnął ciężko.

– No dobra, chyba czas znaleźć sobie jakiś hotel. Jeżeli mam wypełznąć z rynsztoka, żeby dołączyć do świętowania w przeddzień Ragnaröku, to równie dobrze mogę pójść na całość. Jutro poszukam mieszkania i zagraję je wszelkim możliwym dobrem, które teraz kręci ludzi... Zna ktoś jakiegoś dobrego dekoratora wnętrz, do którego mógłbym zadzwonić z prośbą, żeby wziął się do roboty bez zbędnego zawracania mi głowy?

– To gdzie ty teraz mieszkasz? – zdziwił się Norman. – To znaczy... nie chcę być wścibski...

– Nigdzie nie mieszkam. Sypiam na ulicy. Chcesz zobaczyć moje pozwolenie? – Zza pazuchy przebrania Chad wyciągnął lepiący się od tłuszczu portfel. – Proszę! – Wyjął z niego kartkę papieru. – Niniejszym zaświadcza się... i tak dalej. Chrzanić to.

Schował portfel do kieszeni, a pozwolenie podarł na czworo.

Pozostali spojrzeli po sobie.

– Nie zdawałem sobie sprawy, że tak daleko zaszedłeś w realizacji swojej polityki wycofania – przyznał Elihu.

– Wycofania? Wycofać się można tylko w jeden sposób, niezmienny od zarania dziejów: popełniając samobójstwo. Łudziłem się, że uda mi się zrezygnować z udziału w społeczeństwie. Gdzie tam! Człowiek to zwierzę stadne, nie przesadnie towarzyskie, ale diabelnie stadne, i ogół nie zgodzi się na izolację osobnika, nawet jeśli łącząca ich więź sprowadza się do policyjnego pozwolenia na włóczęgostwo. Dlatego wróciłem, przebrany w te idiotyczne ciuchy po dziadku i...

Z marsem na czole Chad wrzucił strzępy pozwolenia do całośmietnika. Jeden z nich nie trafił do zsypu, sfrunął na podłogę i osiadł na dywanie jak umierająca ćma.

– Mógłbym ci załatwić miejsce w hostelu oenzetowskim – zaproponował Elihu. – Pokoje są proste, ale tanie i w dobrym punkcie.

– Cena nie gra roli. Jestem multimilionerem.

– Co takiego?! – wykrzyknął Norman.

– Serio. Dzięki krwawicielom, którzy kupowali moje książki, a potem nie reagowali na to, co próbowałem im powiedzieć. Moje dzieła zostały

przełożone na czterdzieści cztery języki, są lekturą dla studentów...
Zamierzam dla odmiany wydać część tej fortuny.

– W takim razie... – Norman zawiesił głos.

– Co chciałeś powiedzieć?

– Chciałem powiedzieć, że jeśli zechcesz rozłożyć swoje tatami tutaj, będziesz mile widziany – wyjaśnił Norman. – O ile tylko Donald nie ma nic przeciwko temu. Nie wiem, kiedy wyślą mnie do Beninii, ale na pewno długo mnie nie będzie i... ehm... czułbym się zaszczycony, mogąc cię gościć – dodał skrzępowany.

– Jutro wieczorem Chad może zająć mój pokój – powiedział Donald. Poniewczasie przypomniał sobie lśniący kolec ukryty pod krzesłem od Hille'a.

Pieprzyć to, pomyślał.

– A co się stało? – Norman odwrócił się do niego z niedowierzaniem. – Dlaczego postanowiłeś się wyprowadzić?

– Ktoś mi kazał.

Co mi za to zrobią? Nie wiem. Nie obchodzi mnie to.

Donald odchylił głowę. Sen przyszedł, zanim zdążył dobrze zamknąć powieki.

na zbliżeniu (13)

KRZAK AGRESTU

Olive Almeiro – gruba, czarnowłosa, z lekko ziemistą cerą, wydatnymi czerwonymi ustami i błyszczącymi ciemnymi oczami – wyglądałaby jak modelowa matka chłopskiej rodziny, gdyby przymknąć oko na wysadzone szmaragdami i brylantami bransolety, którymi obwieszona miała obie ręce. Matczyny wizerunek był tylko elementem jej biznesowego emploi. Prawdę mówiąc, nigdy nie wyszła za mąż, nie mówiąc już o rodzeniu dzieci. Mimo to upierała się, by personel zwracał się do niej per „señora” zamiast „señorita” i w pewnym sensie miała prawo do otaczającej ją macierzyńskiej aury. Była matką zastępczą, jeśli można tak powiedzieć, dla ponad dwóch tysięcy adoptowanych dzieci.

Zawdzięczała im swój pływający dom, jacht *Santa Virgen* (która to nazwa dostarczała jej przekornej uciechy); własny biurowiec, z którego prowadziła interesy; międzynarodową reputację; wszelkie wygody, które można kupić za pieniądze, oraz drugą fortunę na zapas, gdyby te wygody okazały się niewystarczające.

Dobrze się stało, że dzieci zapewniły jej to wszystko zanim nastął ten dzień. Jej przeszklony z czterech stron gabinet ozdobiły zabawki ze wszystkich możliwych okresów historycznych: gliniane zwierzątka ze starożytnego Egiptu, indiańskie maskotki z posupłanej kolorowej słomy, rzeźbione drewniane ludziki ze Schwarzwaldu, pluszowe misie, chińskie figurki ze skrawków bezcennego jedwabiu...

Uwięzione za szkłem, zbyt wartościowe, by dotykały ich dziecięce palce.

Patrząc na błękitne o poranku wody oceanu, powiedziała do wideofonu:

– Jaki to będzie miało wpływ na nas?

Odległy głos odpowiedział jej, że na razie nie wiadomo.

– No to się dowiedz, i to szybko! Jakby mało nam było kłopotów z dichromatyzmem, ci zawszeni krwawiciele z Yatakangu musieli... Mniejsza z tym. Zawsze możemy się przenieść do Brazylii!

Rozłączyła się wściekłym gestem i rozsiadła wygodnie na polifotelu, odwróciwszy się w stronę lądu, żeby zamiast spokojnego niebieskiego morza mieć przed sobą tętniące życiem miasto.

Po chwili wcisnęła guzik interkomu.

– Podjęłam decyzję. Pozbądźcie się bliźniąt Lucayo i tego małego Rosso, przysłanych z Port-au-Prince. Zanim ich wypchniemy, przejedzą nam cały potencjalny zysk.

– Co mamy z nimi zrobić, señora? – spytał głos w interkomie.

– Zostawcie ich na schodach katedry, zwoźdźcie na morze w koszu... Czy ja ci wszystko muszę tłumaczyć? Nie wystarczy, że kazałam się ich pozbyć?

– Ale señora...

– Rób, co mówię, bo inaczej też wylądujesz w koszu na morzu.

– Dobrze, señora. Rzecz tylko w tym, że mam tutaj tę parę Yanqui, którzy chcą się z panią widzieć, i przyszło mi do głowy, że może by...

– A tak, rzeczywiście, opowiedz mi o nich.

Posłuchała i po minucie miała pełny obraz sytuacji. Z pewnością porzucili wszystko, co mieli – pracę, mieszkanie, znajomych – w zamian za możliwość legalnego poczęcia w Portoryko, gdzie zaskoczyła ich niespodziewana ratyfikacja ustawy o dichromatyzmie. To zmusiło ich do ponownego rozważenia możliwości adopcji, którą mogli przecież załatwić, nie wyjeżdżając z domu.

Niedobrze mi się robi, jak o nich pomyślę. Najgorsze są brązowe kinole, pomiatają nami, Latynosami, mimo że nasi przodkowie przybyli tu jako konkwistadorzy, a ich jako niewolnicy... Ale ja właściwie na widok każdego Yanqui dostaję porannych mdłości.

Niezamierzony żart poprawił jej humor na tyle, żeby odparła:

– Dobrze, niech wejdą. Mówisz, że jak się nazywają?

– Potterowie – odpowiedział interkom.

Weszli, trzymając się za ręce, i popatrywali na nią dyskretnie, sadowiąc się na wskazanych przez nią krzesłach. Prawie było słyhać, jak sobie myślą: To jest ta sławna Olive Almeiro! Po chwili żona zwróciła uwagę na wystawę lalek, a mąż odchrząknął i zaczął:

– Señora Almeiro...

– Daliście się złapać z opuszczonymi portkami – weszła mu w słowo Olive.

Frank Potter zrobił zdziwioną minę.

– Nie bardzo...

– Nie sądzicie chyba, że jesteście jacyś wyjątkowi, co? Jaki macie problem? Dichromatyzm?

– Tak. Moja żona na pewno przekaże go...

– Dlatego postanowiliście emigrować. Nevada jest droga, Luizjana nie lubi być wykorzystywana jako azyl dla nowo poczętych, dlatego wybraliście Portoryko, które tymczasem zrobiło was w balona. I co ja mam z tym zrobić?

Frank z żoną spojrzeli po sobie, zaskoczeni szorstkością Olivii Almeiro. Sheena była blada jak płótno.

– To był impuls – przyznał Frank. – Pomyśleliśmy, że biorąc pod uwagę pani pozycję, może będzie nam pani mogła pomóc.

– W adopcji? Nie wydaje mi się. Gdybyście na serio rozważali adopcję, nie musielibyście jechać dalej niż do New Jersey. – Olive przesunęła palcem po żuchwie. – Najprawdopodobniej chcecie, żebym przyjęła wasze dziecko jako adoptowane. Jest już w drodze, prawda?

Frank zarumienił się po same cebulki włosów.

– Ale skąd pani...

– Powiedziałałam przecież, że wcale nie jesteście wyjątkowi. Planowane?

– W pewnym sensie. – Frank zrobił żalostną minę i wbił wzrok w podłogę. – Rozumie pani, chcieliśmy uczcić decyzję o przeprowadzce, ale nie wiedzieliśmy, że to się stanie tak szybko. Dowiedzieliśmy się dopiero tutaj, na miejscu.

– I ci z Imigracji niczego nie zauważyli? Nie, nie, to zrozumiałe, sprawdzają tylko kobiety przyjeżdżające z zagranicy i zbuntowanych

stanów. Ale w takim razie wpadliście jak śliwka w kompot: dziecko zostało poczęte albo w stanie Nowy Jork, gdzie obowiązywał was ścisły zakaz, albo tutaj, gdzie przekazywanie waszych genów zostało właśnie zabronione, albo gdzieś po drodze, co znaczy, że gdy tylko wychynie z łona, stanie się nielegalnym imigrantem. Więc...?

– Pomyśleliśmy, że moglibyśmy w ogóle wyjechać z kraju... – wyszeptała Sheena.

– A ja bym je adoptowała z zagranicy i potem oddała wam z powrotem?
– Olive zaśmiała się niewesoło. – Owszem, robię takie numery. Za okrągłe sto tysięcy.

Frank wybałuszył oczy.

– Ale to o wiele więcej...

– Niż kosztuje normalna adopcja? Oczywiście. Adopcja, po spełnieniu określonych warunków, jest legalna. To, co wy proponujecie, nie jest.

Zapadło milczenie, które przerwała dopiero sama Olive, nasyciwszy się niepokojem klientów:

– Panie Potter... Moim zdaniem macie państwo tylko jedno wyjście: zacząć od nowa. Mogę polecić produkowane przez GT środki proaborycyjne; znam również lekarza, który nie będzie się upierał przy badaniach prenatalnych, jakie powinien przeprowadzić zanim przepisze lek. Następnie wpiszę was na listę oczekujących. Innej pomocy nie mogę wam udzielić.

– Przecież musi być jeszcze jakaś możliwość! – Frank prawie poderwał się z krzesła. – Chcemy mieć własne progeny, nie cudze, z drugiej ręki! W Yatakangu ogłosili właśnie, że mogą...

Twarz Olive stężała jak marmur.

– Proszę wyjść, panie Potter.

– Co?

– Słyszał pan, co powiedziałam.

Pulchna dłoń wcisnęła guzik na biurku.

Sheena złapała męża za rękę.

– To specjalistka, Frank – powiedziała. – Musisz jej uwierzyć na słowo.

– O nie, tego już za wiele! Przyszliśmy się grzecznie zapytać...

– Drzwi za państwa plecami są otwarte – powiedziała Olive. – Miłego dnia.

Sheena odwróciła się do wyjścia. Frank – po chwili, przez którą wydawało się, że zacznie wyć z wściekłości – zgarbił się i poszedł za nią.

* * *

Kiedy Potterowie wyszli, Olive złapała się na tym, że dyszy ciężko z wysiłku. Zachowanie zimnej krwi dużo ją kosztowało. Obrzuciła przekleństwem rząd Yatakangu i od razu poczuła się lepiej, ale jej nienawiść była świeża i intensywna, jak oparzenie po założeniu opatrunku, które boli mimo posmarowania balsamem.

Z biegiem lat stworzyła rozległą sieć niezbędnych kontaktów, wydała milion dolarów na łapówki, ze dwadzieścia razy naraziła się na proces sądowy – cały czas przeświadczona, że wytwory współczesnej tektogenetyki, takie jak klonowane embriony, nigdy nie będą w stanie konkurować z tradycyjną „niewykwalifikowaną siłą roboczą”. Kiedy zaczynała, tylko dwa stany – Kalifornia i Nowy Jork – miały własne przepisy eugeniczne, Portoryko zaś przeżywało najazd przemęczonych matek z całkiem znośnym genotypem, gotowych oddać swoje piąte czy szóste dziecko bogatemu Yanqui do adopcji. W miarę jak prawo eugeniczne systematycznie rozszerzano i zaostrzano, upowszechniła się dobrowolna sterylizacja po trzecim dziecku, a Olive zaczęła wprowadzać nowe, alternatywne rozwiązania. Kwestia czystego genotypu, mimo że wciąż istotna, zeszła na dalszy plan wobec konieczności udowodnienia, że adoptowany dzieciak jest obywatelem amerykańskim, kiedy w rzeczywistości pochodził z Haiti (jeśli rodzicami miały być brązowe kinole) albo z Chile czy Boliwii (gdy trafiał do rodziny gringo).

Wiele wysiłku i starań kosztowało ją stworzenie przedsiębiorstwa, które radziło sobie z tymi i innymi problemami, gdy wtem ten pomierzwiony Yatakang rzucił na pół świata długi, mroczny cień katastrofy. Nie tylko zaoferowali za darmo metodę dostępną dotychczas wyłącznie dla

najbogatszych, ale wręcz nalegali na jej stosowanie. Dziecko z dowolnego łona mogło teraz być geniuszem, Wenus, Adoniszem...

Jeśli zaś ich dalsze przechwałki także były prawdziwe, kto chciałby mieć przeciętnego dzieciaka, kiedy dostępne będą egzemplarze ulepszone, obdarzone nieznanymi jeszcze talentami?

Wzięła do ręki jedyną leżącą na biurku ozdobę – konchę o wyjątkowo intensywnych barwach – i cisnęła nią w okno wychodzące na tętniące życiem miasto. Muszla roztrzaskała się na kawałki, które zasłały podłogę. Na szkle nie pojawił się najmniejszy ślad, a rozciągający się za nim wszechświat pozostał na swoim miejscu.

ciągłość (14)

ODPOWIEDNI CZŁOWIEK DO TEJ ROBOTY

Świat rzeczywisty przestawał istnieć, wymykał mu się niczym nie do końca utrwalone wizje senne, rozdzierane na strzępy próbą ich pochwycenia – żywa ilustracja zasady nieoznaczoności. Świat rozpływał się już, kiedy wsiadał do pędzimetra na stacji East River, a jego ostatnie strzępy rozwiały się za ogonem samolotu, którym mknął ponad kontynentem na skraju próżni, gdzie gwiazdy – gdyby tylko dało się je zobaczyć – przypominałyby rozpalone do białości igły.

Ale oczywiście gwiazdy były niewidoczne. Poprzez ekrany przeciwpromienne, osłony zderzeniowe i warstwy izolacji cieplnej, które przy powtórным wejściu w atmosferę jarzyły się (podobno) matową czerwienią, ich blask nie mógł się przebić do oczu Donalda Hogana.

Wspomnienie Chada Mulligana, który pytał go, kiedy ostatnio widział gwiazdy, a Normana, kiedy ostatni raz zmókł na deszczu... blakło, stawało się złudzeniem, skutkiem narkotyku. Siedząca obok Hogana kobieta przez całą podróż chichrała się pod nosem, bez reszty zajęta własnym odlotem; chwilami załatywała go słodkawa woń czegoś, co trzymała w fiolce zapachowej zatkanej piankowym korkiem. W pewnym momencie miał nawet wrażenie, że pasażerka go poczęstuje, ale zmieniła zdanie.

Po co zabijać człowieka, którego nigdy przedtem się nie widziało? Pilot zestrzelonego helikoptera, któremu tłum roztrzaskał czaszkę, wydawał mu się w tej chwili bardziej rzeczywisty niż Norman, Chad, wszyscy inni. Abstrakcyjna prawdziwość tej śmierci tężała w jego świadomości, budząc skojarzenia z argumentacją Haldane'a, wedle której inteligentna pszczoła postrzegałaby idee takie jak „obowiązek” jako namacalne.

Gdyby chcieli, mogli zupełnie legalnie wcisnąć mu broń do ręki, wysłać go do Strefy Konflikty Pacyficznego i kazać zabijać obcych, tak jak robili to codziennie z tysiącami młodych mężczyzn wybranych przez anonimowy komputer. Uczestnicy zamieszek w Nowym Jorku też mieli broń – i to z kolei było przestępstwem. Pomiedzy tymi dwoma wydarzeniami przebiegała cienka granica nazywana „rozkazem”.

Kto go wydał? Człowiek? W dzisiejszych czasach? Najprawdopodobniej nie. W takim razie złudzenie, jakiego doznał na Piątej Alei przed biblioteką, nie było żadnym złudzeniem. Najpierw używasz maszyn, potem wkładasz je na siebie, a potem...?

Potem im służysz. To było oczywiste, tak bardzo logiczne, że prawie pocieszające. A Guinevere jednak miała rację, kiedy przerabiała klientów Studiów Piękności na lśniące produkty fabryczne.

Było także oczywiste, dlaczego ludzie (w tym Donald Hogan) są skłonni słuchać poleceń maszyny. Nie on jeden miał wrażenie, że służąc innym istotom ludzkim, czuje się jak zdrajca, który zaprzedał się nieprzyjacielowi – bo też każdy mężczyzna i każda kobieta naprawdę byli jego nieprzyjaciółmi. Może na razie zwlekali z działaniem, może ukrywali swoje zamiary za zasłoną gładkich, uprzejmych słówek, ale kończyło się to tak, że na własnej ulicy potrafili skatować nieznajomego na śmierć.

* * *

Otworzyli puszkę samolotu i wyrzucili pasażerów jak sardynki wprost w ciepłe, niepewne słońce początku kalifornijskiego lata. Dość nijaki ekspresport trochę przypominał lotniskowiec. Gruba warstwa ziemi chroniła terminal pasażerski i dworzec towarowy przed uderzeniem samolotu i eksplozją, dlatego słońce oglądał Donald wyłącznie przez pancerne szkło, a zamiast słonej woni oceanu czuł zapach perfumowanych wydaliny klimatyzacji. Miał wrażenie, że płatanina korytarzy odgradzająca go od resztek świata, który porzucił na drugim krańcu kontynentu, wtłacza jego myśli w jakiś analog bezwzględnej ciasnoty lotniskowych tuneli, najeżonych kątami prostymi na każdym złączu. Wszystko

wydawało mu się nowe i nieprawdopodobne, jakby znalazł się pod wpływem narkotyku zabójczego dla schematów percepcyjnych. Zdumiał go widok tak wielu mundurów w jednym miejscu: granatowe uniformy marynarki, burozielone wojsk lądowych, jasnoniebieskie sił powietrznych i czarno-białe wojsk kosmicznych. Z głośników płynęły enigmatyczne rozkazy, gęste od szyfrów numerycznych i literowych – przynajmniej do momentu, kiedy do zamętu wizualnego dołączyły także kłopoty Donalda ze słuchem i zaczął sobie wyobrażać, że znajduje się w kraju, o którym nigdy przedtem nie słyszał, a w którym obowiązującym językiem jest maszynowe staccato: 01101000101...

Dworcowy zegar poinformował go, która jest godzina; zegarek na przegubie dłoni zapewnił, że tamten kłamie. Widząc plakaty ostrzegające przed szpiegami, zaczął się bać sam siebie, ponieważ był szpiegiem. Zawieszony na kolorowych metalowych słupkach sznur odgradzał boczny korytarz, w którym – jak sugerowały osmolone ściany i jaśniejsze zarysowania – doszło do eksplozji. Czyjaś ręka napisała kredą na ścianie CZERWONA MIEŻWA. Obok Donalda przeszedł mężczyzna z celowo wysoko uniesioną głową: skośne oczy, żółtawa cera, do kurtkoszuli przypięta plakietka Nisei niczym lichy pancerz. I kolejni mundurowi, tym razem czarno-niebiescy – policja nadzorująca wszystkich. Na galeriach kamery z zoomem. Czteroosobowa ekipa zbierająca odciski palców nagromadzone na poręczach ruchomych schodów i wprowadzająca je do komputera, który porówna je z zawartością centralnej bazy danych.

SPYTAJ CZŁOWIEKA, KTÓRY OŻENIŁ SIĘ Z MARYSKĄ.

Ale ZGAŚ PETA.

– Porucznik Hogan? – zabrzmiał czyjś głos.

DOSTRÓJ SIĘ I ZŁAP CAŁY ŚWIAT W RADIOSUKIENCIE.

Ale ZACHOWAJ BEZPIECZNY DYSTANS DO ŚWIATA DZIĘKI SAFE-T-GARD INC.

– Poruczniku Hogan!

DZISIAJ TU, DZISIAJ TAM – OTO JĘZYK, KTÓRY ROZUMIEMY.

Ale SPÓJRZ NA TO OCZAMI PAŃSTWA UNIWERSALNYCH...

Zastanawiał się, czy sierżant Schritt miał lecieć tym samym samolotem co on; zastanawiał się, czy udało mu się tak upić, jak chciał; zastanawiał się, czy zapomnienie przyniosło spełnienie. To była ostatnia uprzejmość, jaką wyświadczył martwemu, obcemu światu minionej dekady – światu, który był już poza jego zasięgiem, oddalał się w czwartym wymiarze z prędkością światła. Był jego własny, prywatny jak zwidy po Przesadzie. Zgodnie z zapowiedzią Chada prawdziwy świat zachował swój wyjątkowy talent do zaskakiwania go.

– Nazywam się Hogan – powiedział, z zainteresowaniem wychwytyjąc w swoim głosie nutę niedowierzania. – To pan ma mnie odebrać z lotniska i zawieźć do obozu na wodzie?

* * *

Wśród przypominających zdechłe wieloryby kadłubów wojskowych okrętów, plugawiących piękne niegdyś plaże, absurdalnie mała, absurdalnie jasna i absurdalnie głośna muszla poduszkowca przewiozła go wraz z anonimowym towarzyszem ponad załamującymi się falami przyboju ku Devil's Island i rysującej się na widnokręgu masywnej sylwetce obozu. Rekruci w pełnym rynsztunku bojowym gramolili się po wspornikach ogromnej głównej platformy, jakby przygotowywali się do powrotu do prostszego i bezpieczniejszego wszechświata swoich małych przodków. Za wszelką cenę chcieli uniknąć gniewu sierżanta.

* * *

– Poprosiłem Waszyngton o pańską re-ewaluację – powiedział pułkownik, przed którym stanął Donald. – Myślałem, że będzie pan zadowolony; powinni tego dopilnować zanim pana zwerbowali, nie mówiąc już o aktywacji. Żaden pojedynczy człowiek nie ma pełnego oglądu sytuacji; żaden nie orientuje się w niej nawet na tyle, żeby z własnej inicjatywy podejmować właściwe decyzje. Widzę jednak, że pan ma

szczególny dar do geschedukcji, a to minimalnie zwiększa prawdopodobieństwo, że będzie się pan mylił rzadziej niż przeciętny rekrut. Po prostu proszę tego więcej nie robić.

– Mam szczególny dar do... czego, panie pułkowniku?

– Do geschedukcji! Generowania schematów w drodze indukcji i dedukcji!

Pułkownik przeczeszał palcami włosy.

Pomiędzy Donaldem i człowiekiem, za którego się uważał, wyrosła kolejna bariera. Niby nie miało to większego znaczenia – do przeszłości nie było powrotu – ale zawsze cenił sobie swój talent jako coś, co należy tylko do niego, i w pewnym upiornym sensie zrobiło mu się przykro, gdy odkrył, że ów talent jest wystarczająco powszechny, żeby dorobić się własnego przezwiska.

– A czego mam więcej nie robić, panie pułkowniku? – zainteresował się.

– Wyciągać pochopnych wniosków, rzecz jasna! – wypalił pułkownik. – Jak się domyślam, przyjął pan za pewnik, że pańska misja ma jakiś związek z tym nowym programem genetycznym, nie powinien pan jednak przewidzieć i uprzedzić oficjalnej decyzji o pozbyciu się przykrywki, jaką zapewnił panu Delahanty.

Pozbyciu się przykrywki... Aha, chodzi o to, że powiedziałem Normanowi i pozostałym, że kazano mi wyjechać z Nowego Jorku.

Donald wzruszył ramionami. Milczał.

– Ma pan ze sobą swoje opieczętowane rozkazy?

– Tak, panie pułkowniku.

– Proszę mi je dać.

Donald przekazał kopertę. Pułkownik przejrzał znajdujące się w niej dokumenty i włożył je do otworu obok biurka, opisanego tabliczką *Niszczenie tajnych materiałów*. Westchnął i wcisnął guzik.

– Nie mam jeszcze wszystkich szczegółów pańskiej nowej przykrywki – zaczął. – O ile jednak dobrze się orientuję, ten komunikat Yatakangu oznacza, że zwykłymi kanałami będzie można teraz w wiarygodny sposób przepchnąć więcej gości z zagranicy niż zwykle. A sam się pan przekona, że zwykłe kanały są odrobinę przyjaźniejsze od niezwykłych. – Zbłądził

wzrokiem na jedyne okno w gabinecie, wychodzące na plac musztry, w którym ćwiczyła grupa nowych rekrutów. – Tak czy inaczej, ma pan tam zostać wysłany oficjalnie jako dziennikarz naukowy, wolny strzelec akredytowany przy SKANALIZATORZE i Engrelay Satelserv. To stuprocentowo autentyczne stanowisko. Zanim zdąży pan zaprotestować, powiem jeszcze tylko, że pański brak doświadczenia nie ma żadnego znaczenia. Proszę tylko zadawać takie pytania, jakie mógłby zadawać prawdziwy dziennikarz zainteresowany ich programem eugenicznym. Ale otrzyma pan również dodatkowe informacje, z których najważniejsza brzmi następująco: będzie pan jedynym zagranicznym dziennikarzem w Yatakangu, który ma możliwość nawiązania kontaktu z Jogajongiem.

Donald zeszywniał. Skóra głowy zaczęła go mrowić.

Nie wiedziałem, że tam wrócił! Jeżeli to, co się o nim mówi, jest prawdą, mogę wylądować w samym środku wojny domowej!

Pułkownik, który zgrozę Donalda omyłkowo wziął za wyraz niewiedzy, wychrypiał:

– Nie wie pan, o kim mówię?

– Wiem, panie pułkowniku – mruknął Donald.

Każdy, kto uczył się współczesnego potocznego języka yatakańskiego, musiał czytać o Jogajongu: czterokrotnie więziony przez reżim Solukarty; nominalny lider Yatakańskiej Partii Wolności (objęty oficjalnym zakazem pełnienia tej funkcji); przywódca nieudanej rewolty, po której musiał uciekać z kraju; autor książek i pamfletów, które wciąż pozostawały w obiegu mimo policyjnych konfiskat i publicznego palenia...

– Jakies pytania? – spytał znudzonym głosem pułkownik.

– Tak, panie pułkowniku. Kilka.

– Ha! Dobrze, posłuchajmy więc. Ale ostrzegam: powiedziałem panu dokładnie tyle, ile na tym etapie powinien pan wiedzieć.

Tymi słowami pułkownik rozprawił się z mniej więcej czterema pytaniami.

Donald się zawahał.

– Panie pułkowniku, skoro mam wjechać do Yatakangu oficjalnie, po co w ogóle kazano mi przyjechać do obozu? Nie nabiorą podejrzeń, jeśli się

dowiedzą, że przebywałem w placówce wojskowej?

Pułkownik długo przetrwał jego słowa, zanim w końcu się odezwał:

– Na to pytanie chyba mogę w obecnych warunkach odpowiedzieć. Chodzi o bezpieczeństwo. Otóż nasz obóz na wodzie jest miejscem bezpiecznym, co nie zawsze można powiedzieć o instalacjach lądowych. Pomyślałem, że opowiem panu pouczającą historię, która powinna uświadomić panu, co pana czeka. Pewna baza wojskowa na wybrzeżu znajdowała się u stóp wzgórza, z którego ludzie lubili puszczać latawce. Był taki chłopiec, mógł mieć jakieś czternaście, piętnaście lat, który przychodził na wzgórze puszczać latawiec własnej konstrukcji, wyjątkowo starannie wykonany, skrzynkowy, półtorametrowej długości. Robił to codziennie przez bite dwa miesiące, zanim jeden z oficerów w bazie zdziwił się, że chłopak w czasie wakacji nie robi nic innego, tylko bawi się latawcem. Kiedy przeszedł się na wzgórze, na końcu linki latawca znalazł rejestrator, a na samym latawcu miniaturową kamerę. A ten dzieciak, podkreślam, miał nie więcej niż piętnaście lat, ten dzieciak rzucił w niego nożem, trafił w udo, potem próbował go udusić. Dotarło?

Donald wzdrygnął się i przytaknął.

– Jest także inny powód, naturalnie. Ten obóz to najlepsze miejsce, żeby pedekizować pana przed misją.

– Major Delahanty już o tym wspominał – przyznał z namysłem Donald.
– Ale nadal nie do końca rozumiem...

– Słowo „pedekizacja” pochodzi od akronimu PDKZ, czyli „przygotowanie do konkretnych zadań”. Większość cieniasów nie traktuje tej idei poważnie; dla nich to po prostu jeszcze jedno z wielu cudownych panaceów, jakimi posługują się oszuści, żeby oskubać frajerów z kasy. Oczywiście jest w tym ziarno prawdy, ponieważ umiejętność właściwego stosowania tej techniki wymaga uprzedniego poddania się pedekizacji, a my niechętnie wypuszczamy spedekizowane osobniki z powrotem do cywilnego świata.

– Chce pan powiedzieć, że potem nie będę...

– Nie mam na myśli konkretnie pana – przerwał Donaldowi pułkownik.
– Chodziło mi o to, że umiejętności te są zwykle nieprzydatne

w środowisku cywilnym.

– Ale jeżeli mam udawać dziennikarza...

– A co to ma do rzeczy? Wystarczy, że będzie pan przekazywał fakty; śledzenie ich i obróbka będą się odbywały tutaj, w naszym kraju. Engrelay Satelserv ma do tego odpowiednich specjalistów.

– Chyba coś mi umknęło... – przyznał skonsternowany Donald. – Kiedy powiedział pan, że brak doświadczenia dziennikarskiego nie ma znaczenia, zakładałem, naturalnie, że...

Zawiesił głos. Pułkownik patrzył na niego z mieszaniną rozbawienia i pogardy na twarzy.

– Tak, lubi pan różne rzeczy „zakładać”. Mam rację? Tylko że naszym zadaniem nie jest odkrywanie nowych talentów dla agencji informacyjnych, na co zresztą sam by pan wpadł, gdyby tylko przestał pan myśleć! Zresztą nie w tej dziedzinie wymaga pan pedekizacji.

– A w jakiej?

– W ciągu czterech krótkich dni – odparł pułkownik – zostanie pan spedekizowany do zabijania.

na zbliżeniu (14)

PODPAL LONT I WYCOFAJ SIĘ

Nawet w tej epoce automatyzacji, komputerów i wielkich karteli zostało jeszcze trochę miejsca dla jednoosobowych firemek. Jeff Young też znalazł sobie taką niszę.

Pogwizdując, kuśtykał wąskim kanionem pomiędzy dwoma rzędami automatycznych obrabiarek sterowanych taśmą – szczupły mężczyzna po czterdziestce z przerzedzonymi ciemnymi włosami. Ciężkie worki pod oczami znamionowały lekki, nieprzesadnie stygmatyzujący nałóg, najprawdopodobniej skłonność do nadużywania środka pobudzającego w rodzaju procrozolu, ze skutkiem ubocznym w postaci bezsenności. I rzeczywiście, sypiał mniej niż inni ludzie, a w dodatku zachowywał się, jakby stale był naszprycowany, nie miało to jednak nic wspólnego z żadnym narkotykiem.

W ręce niósł foliową torebkę. Przystanąwszy przy jednej z jazgoczących obrabiarek, przytknął torebkę do wylotu pochłaniacza odpadków i zrzucił do niej ćwierć kilograma drobnych wiórów magnezowych.

Następnie podszedł do szlifierki, która nadawała tkwiącemu w niej żeliwnemu elementowi zwierciadlany połysk, i zsywał do torebki opiłki żelaza.

Cały czas pogwizdując, wyszedł z warsztatu i zamknął za sobą drzwi. Światło samo zgasło: automatyczne obrabiarki nie musiały widzieć, co robią.

Jego jedyna pracownica – laska, która czasami wydawała się klientom zbyt głupia nawet do roli rzeczniczki prasowego brygady frezów i tokarek – poszła już do domu. Mimo to zawołał ją po imieniu i chwilę poczekał na

odpowieź, zanim podszedł do płytkich akwariów, stojących w rzędzie pod ścianą naprzeciw wejścia. Małe, kolorowe rybki patrzyły na niego tępo, gdy sięgał hakiem do kolejnych zbiorników i wyciągał zakopane w drobnym białym piasku na dnie plastikowe kule, do połowy napelnione czymś brunatnym i mętnym.

Z zadowoleniem odłożył kule na miejsce, uruchomił alarmy antywłamaniowe i włączył neon informujący, że jest to siedziba *Jeff Young – Metaloplastyka. Wyroby przemysłowe i artystyczne.*

Ze zwieszającą się z dłoni torebką pozamykał warsztat i skierował się na stację rapitransu.

* * *

Zjadł posiłek, zerkając na swój nowy, ale nie ostentacyjnie drogi holotelewizor i o godzinie jedenastej dziesięć po-pe ponownie wyszedł z domu; włożył torebkę do czarnej saszetki i zabrał ją ze sobą. Pojechał rapitransem na stację, przez którą po zachodzie słońca przewijało się niewielu pasażerów – była to stacyjka blisko oceanu, ulubionego miejsca plażowiczów i surferów, ocalałego wśród rozpościerających się wszędzie macek miasta, ponieważ grunt był tu zbyt słaby, żeby dało się na nim postawić opłacalnie wysokie budynki. Z latami wykształcił w sobie nawyk cwieczornej przechadzki plażą. Był to jeden z tych elementów, które skracały mu sen.

Bez pośpiechu szedł po plaży, aż stracił z oczu stację rapitransu, a wtedy zdecydowanym krokiem usunął się w nieprzenikniony cień jakichś ozdobnych krzewów i otworzył saszetkę. Wyjętą z niej siatkową maskę włożył na twarz, a następnie opryskał foliową torebkę aerozolem niszczącym zarówno tłuste odciski palców, jak i ewentualnie przyłgnięte do niej złuszczone komórki naskórka, które mogłyby go zdradzić.

Na koniec wyjął pistolet energetyczny (którego był legalnym posiadaczem; prawostróże wydali mu zezwolenie jako posiadaczowi cennego warsztatu) i ruszył dalej plażą.

Dotarli na umówione miejsce spotkania, przystanął i spojrzął na zegarek. Przyszedł dwie minuty przed czasem. Wzruszył ramionami i po prostu czekał w milczeniu.

Nie czekał długo, gdy w ciemności rozległ się głos:

– Tutaj. Tędy.

Odwrócił się w kierunku, z którego dobiegał dźwięk. Głos należał do mężczyzny, poza tym jednak nic więcej nie dało się powiedzieć. Kiedy Jeff miał do czynienia z bojownikami, odpowiadało mu takie załatwienie sprawy. Prawie na pewno znajdował się w tej chwili w strefie promieniowania emitera czarnego światła, zachowywał się więc w taki sposób, jakby niewidoczny mówca widział każdy jego ruch.

Bronią wskazał na ziemię. Mała paczuszka wyleciała z ciemności i z głuchym łoskotem wylądowała mu pod nogami. Przyklęknął na jedno kolano, odłożył torebkę, i trzymając energetyk w jednej ręce, drugą obmacał paczuszkę. Skinąwszy głową, zabrał paczkę, położył w jej miejsce przyniesioną torebkę, wstał i zrobił dwa kroki do tyłu. Oczy zdążyły mu już przywyknąć do ciemności, widział więc, że osobą, która wynurzyła się z cienia, żeby zabrać torebkę, nie jest mężczyzna, który wcześniej się odezwał, tylko jakaś laska, najprawdopodobniej młoda, a z całą pewnością zgrabna.

Schylił się po patyk (powoli, żeby nie wystraszyć kryjącego się w tle mężczyzny) i napisał na piasku do góry nogami:

PO CO?

Stłumiony śmiech. I męski głos:

– Dowiesz się jutro z wiadomości.

BOISZ SIĘ, ŻE MÓGLBYM CIĘ WSYPAC?

– Jestem na wolności od osiemnastu miesięcy nie dlatego, że wszystkim spowiadam się z tego, co robię.

JA – 8 LAT.

Laska zdążyła się tymczasem wycofać i dołączyć do współnika.

Nie w pełni sprawną nogą starł poprzedni napis i zastąpił go nowym:

ALUMINOFAGI OD GT.

– Masz je? – zdziwił się bojownik.

ROZMNAŻAM.

– Za ile?

TANIO. PO CO CI TERMIT?

Przekreślił te słowa i napisał:

DROGO.

– Załapałem. Podaj jakieś liczby.

150 \$ ZA 1000. 6 DNI NA WYHODOWANIE 1.000.000.

– Naprawdę są takie dobre, jak twierdzi GT?

CALOWA LINA Z MONOWŁÓKNA PEKA PO 12 GODZ.

– Jezuu, z tego się robi mosty wiszące!

ZGADZA SIĘ.

Starł napis. Czekał.

– Przydałyby się – orzekł w końcu mężczyzna. – Dobra, zaryzykuję.
Zamierzamy wyłączyć stację rapitransu Bay Bridge.

TOR DOBRZE STRZEŻONY.

– Nie damy tego na sam tor. Jest takie miejsce, w którym rura poczty pneumatycznej biegnie równoległe do szyny. Jeśli uda nam się to zgrać w czasie, powinno dać się ją przetopić na wylot i spowodować krótkie spięcie.

ZAPALNIK FOSFOROWO-KWASOWY?

– Nie. Zegarowy z łukiem elektrycznym.

NIE ODE MNIE.

Znowu parsknięcie śmiechem, tym razem z wyraźnym przekąsem.

– Dzięki. Kiedy będzie mnie stać na twoje standardy, dam ci znać do Szwajcarii.

'BRANOC.

– Dobranoc.

Z kierunku, z którego dobiegał głos, dało się słyszeć ciche szuranie. Odczekał, aż dźwięki ucichną, a potem kawałkiem wyrzuconego przez morze śmiecia zagraził piasek, na którym wypisywał swoją część rozmowy. Zawrócił i ruszył w drogę powrotną tak szybko, jak pozwalała na to niesprawną, krótszą nogą. Odciski jego stóp zatrzały nocny przypyw.

* * *

Zamiast wrócić i położyć się spać we własnym łóżku, zrobił to, co często robił w pogodne noce: wyniósł dmuchany materac na dach bloku. Wziął z mieszkania także lornetkę, starannie ukrytą w zrolowanym materacu.

Na górze zastał chłopaka zabawiającego się z laską, ale to było do przewidzenia. Tam, gdzie ostatecznie się ulokował – po drugiej stronie kominów wentylacyjnych – miał prywatności ile dusza zapagnie. Z zadowoleniem rozłożył materac, odliczając w głowie czas do rozpoczęcia obserwacji. Szacował, że musi upłynąć mniej więcej godzina, i niewiele się pomylił: minęło sześćdziesiąt sześć minut, zanim jasne światło przegryzło się przez rurę poczty próżniowej przy Bay Bridge i doprowadziło do jej zetknięcia z kablem zasilającym rapitrans.

Pokiwał głową w geście zawodowej aprobaty. Zaprowadzenie tam porządku potrwa całą noc. Nieźle jak na amatorów. Naprawdę nieźle. Chociaż, kiedy rozszerzał zakres swoich usług, by objąć nim także bojowników i zwykłych hobbystów-sabotażystów, miał nadzieję, że będą sobie stawiać ambitniejsze cele. Owszem, potrafili nabruździć, ale...

Nie podzielał politycznych zapatrywań bojowników. Nie był ani nihilistą, ani czerwonym braciszkiem – takie bowiem były przeciwległe bieguny w tym sporze, przy czym jedni i drudzy poświęcali tyle samo energii na spory wewnętrzne, co na atakowanie społeczeństwa, w którym żyli. Po prostu nie znajdował innego ujścia dla swojego największego talentu. Wojsko spedekezowało go na sabotażystę, a po wypadku, z którego wyszedł z jedną nogą krótszą, odmówiło ponownego zatrudnienia.

Głodnemu człowiekowi nie pozostaje nic innego, jak jeść pożywienie, które ma przed sobą.

Nie zorientowali się jeszcze, że należałoby odciąć dopływ prądu do przewodów na moście. Skąpane w snopach iskier dźwigary i rozpórki wyglądały jak filary piekła. Jeff Young miał wrażenie, że ciepło wybuchu termitowej bomby przenika jego brzuch i spływa w dół. Wolną ręką rozpoczął rytmiczne starania zmierzające do rozładowania tego napięcia.

ciągłość (15)

NIE PRZECHODZISZ PRZEZ START, NIE POBIERASZ PENSJI

W niektórych korporacjach zarząd w dalszym ciągu spotykał się przy tradycyjnym stole – ale nie w GT, firmie na wskroś nowoczesnej. Wysoko sklepioną salę konferencyjną na prezesowskim piętrze wieżowca wypełniało łagodne perłowe światło. Członkowie zarządu zasiadali na prawdziwych tronach, wygodnych tapicerowanych fotelach wyposażonych w mnóstwo elektroniki: każdy miał własny holoe ekran projekcyjny, rejestrator dźwięku, ekran komputerowy oraz wideofony zapewniające bezpośrednio (w razie potrzeby satelitarne) połączenie z czterdziestoma ośmioma fabrykami GT i ponad dziewięciuset lokalnymi biurami w piętnastu krajach.

Trony najwyższych rangą dyrektorów były obite prawdziwą skórą, starszych wiceprezesów – tkaniną, a młodszych wiceprezesów oraz specjalistów – trwałym tworzywem sztucznym. Dzisiaj w sali pojawiły się dwa dodatkowe skórzane siedzenia: jedno przeznaczone dla Elihu Mastersa (nie wypadalo, żeby ambasador zadowolal się czymś gorszym), drugie dla chudego jak strach na wróble państwowego syntetyka, doktora Raphaela Corninga, którego Norman miał okazję poznać podczas jednego z wcześniejszych spotkań. Nigdy przedtem Norman nie musiał bezpośrednio współpracować z syntetykiem i zakres wiedzy Corninga autentycznie go przygnębiał; miał przy nim wrażenie, że przez całe życie bezproduktywnie tracił czas.

Nie było to zresztą jedyne źródło jego strapienia. Czuł się pusty w środku, zupełnie jakby lada chwila miał się załamać pod nieznośnym brzemieniem. Podczas poprzednich posiedzeń, w których uczestniczył od

czasu nominacji na wiceprezesa, napawał się faktem, że jest jedynym biorącym w nich udział Aframem, i wyczekiwał dnia, w którym odziedziczy najpierw płócienny, a następnie skórzany tron. Teraz zaś zupełnym przypadkiem wysforował się daleko naprzód: bez względu na swoją oficjalną rangę, w benińskim przedsięwzięciu będzie pełnił rolę zwornika.

Patrzył na swoje blade dłonie i zastanawiał się, jaki jest ciężar przyszłości całego państwa.

Od czasu do czasu mechanicznie odpowiadał na powitania.

* * *

Stara GT zjawiała się punktualnie, jak zwykle w towarzystwie sekretarza, który wprawdzie był człowiekiem, ale masa przenośnego sprzętu elektronicznego, którą musiał obsługiwać, w praktyce czyniła z niego żywe przedłużenie korporacyjnych zasobów informacyjnych i samego Salmanasara. Za nim do sali wkroczył skarbnik Hamilcar Waterford oraz E. Prosper Rankin, sekretarz korporacji. Zajęli swoje miejsca i w sali zapadła pełna wyczekiwania cisza.

– Celem tego nadzwyczajnego zebrania zarządu – zaczęła Stara GT bez zbędnych wstępów – jest wysłuchanie i przegłosowanie specjalnego raportu, który przedłoży wiceprezydent ds. projektów i planowania. Są dziś wśród nas dwie osoby niewchodzące w skład zarządu: pan Elihu Masters, amerykański ambasador w Beninii, oraz doktor Raphael Corning z Departamentu Stanu. Kto jest za tym, by uczestniczyli w spotkaniu...?

Norman po omacku nacisnął znajdujący się przy tronie guzik „za”. Ekran przed tronem Starej GT rozjarzył się światłkami sygnalizującymi wynik głosowania. Wszystkie były zielone.

– Dziękuję. Rex, prosimy o przedstawienie raportu.

Stara GT rozsiadła się wygodnie, krzyżując ramiona na piersi. Norman pierwszy raz widział, żeby była taka zadowolona z siebie. Zastanawiał się, czy sam mógłby uniknąć takiej pozy, gdyby miał dość uporu i dalekowzroczności, żeby osiągnąć tak niewiarygodną władzę.

Aframowie nie mają łatwo, ale to samo można powiedzieć o kobietach, pomyślał. Na dodatek stanowią liczniejszą mniejszość niż my!

Rex Foster-Stern odchrząknął.

– Tytułem wprowadzenia – zaczął. – Beninia znalazła się na skraju kryzysu, jaki wywoła nieuchronnie zbliżający się koniec kadencji prezydenta Zadkiela Obomego. Kiedy Obomi umrze lub ustąpi z urzędu, możliwe będą dwa scenariusze. Biorąc pod uwagę pokojowy rozwój kraju od czasu uzyskania niepodległości, raczej nie dojdzie tam do wojny domowej o schedę po prezydencie. Bardziej prawdopodobna wydaje się próba aneksji Beninii przez silne państwa sąsiednie. Interwencja z zewnątrz mogłaby powstrzymać ten proces i zjednoczyć owe państwa w niechęci do wspólnego wroga. I tego właśnie chce spróbować nasza administracja. Podobna sytuacja zaistniała przy okazji secesji Archipelagu Sulu, który odłączył się od Republiki Filipińskiej. Jednakże, jak państwo wiecie, włączenie archipelagu w granice naszego kraju pod nazwą Isoli nie przyniosło pożądanego skutku, czyli uspokojenia sytuacji w regionie. Co więcej, w przypadku Isoli jedną ze stron konfliktu był wróg, którego opinia publiczna była w stanie zaakceptować: Chińczycy. Ponieważ ani Dahomalia, ani RUNG nie stanowią dla nas zagrożenia z militarnego punktu widzenia, isolski model interwencji byłby postrzegany jako niepotrzebne marnotrawstwo naszych zasobów. Ambasador Masters przedstawił nam jednak realne rozwiązanie alternatywne: zamiast politycznej aneksji Beninii, można ją wciągnąć w orbitę naszych wpływów gospodarczych. O akceptację tej właśnie propozycji chcielibyśmy państwa dzisiaj prosić. Beninia jest źródłem taniej i – potencjalnie – wykwalifikowanej siły roboczej, a ze względu na swoje położenie mogłaby stanowić nie tylko dogodny przyczółek do ekspansji w głąb kontynentu, lecz także ośrodek przetwarzania surowców z dotychczas nieeksploatowanych złóż odkrytych przez ŚPG. Jak sami państwo zobaczycie po zapoznaniu się z podsumowaniem, przewidywany zysk z tej operacji jest porównywalny z budżetem państwa, a cały proces zakończy się najwcześniej w roku 2060. Jednakże mimo bezprecedensowej skali przedsięwzięcia udało się dokonać ewaluacji najdrobniejszych jego

elementów składowych; wszystkie przedstawione państwu informacje zostały dokładnie przeanalizowane przez Salmanasara. Bez jego aprobaty nie przedstawilibyśmy państwu naszego raportu.

– Dziękuję, Rex – powiedziała Stara GT. – Widzę, że zapalają się pierwsze lampki sygnalizujące pytania... Bardzo proszę o cierpliwość, dopóki nie wysłuchamy doktora Corninga i pana Mastersa. Panie doktorze, proszę.

Wysoki, patykowaty naukowiec pochylił się na swoim tronie.

– Imponujący dokument, który udostępnił nam pan Foster-Stern, wymaga z mojej strony co najwyżej paru drobnych uzupełnień. Zacznę od zaangażowania Państwa w całą sprawę. Nie dysponujemy wprawdzie tak niezwykłą maszyną jak Salmanasar, ale nie narzekamy na brak komputerów i nadzwyczaj starannie przeanalizowaliśmy propozycję pana Mastersa przed wyrażeniem zgody na przedstawienie sprawy tutaj, na forum GT. Państwo jest gotowe wykupić pięćdziesiąt jeden procent udziałów w kredycie niezbędnym dla sfinansowania tego przedsięwzięcia, jednakże w celu zminimalizowania reperkusji o charakterze politycznym musimy dokonać tego przez pośredników. To powinno zamknąć usta tym, którzy chcieliby nas oskarżyć o neokolonializm, a w perspektywie dziesięciu lat możemy się spodziewać aktywnego udziału sąsiadów Beninii w podziale płynących z tego projektu korzyści. Chciałbym jeszcze podkreślić, że przedstawiony przez pana Mastersa plan jest owocem jego wieloletnich doświadczeń i doskonałej znajomości Beninii, dlatego powinniście państwo z wielką uwagą wysłuchać jego osobistych zaleceń.

– Panie Masters? – wtrąciła zachęcająco Stara GT.

– Dobrze – zgodził się Elihu po ledwie zauważalnej chwili wahania. – W takim razie naświetlę sprawę od strony osobistej. Przyczyny, dla których przedstawiłem tę propozycję Państwu, nie mają nic wspólnego z potencjalnymi korzyściami dla waszej korporacji. Każdy, kto ma choćby ogólne rozeznanie w najnowszej historii Afryki, zauważył, że po wycofaniu się mocarstw kolonialnych na kontynencie zapanował zamęt. Arbitralnie wykreślone granice rozdzielały odrębne byty ekonomiczne; przy ich wytyczaniu nie uwzględniono nawet podziałów plemiennych, bo w XIX

wieku najważniejsze były strefy wpływów rywalizujących między sobą państw europejskich. Dlatego wiele nowych krajów pogrążyło się w chaosie: wojny domowe, tłumy uchodźców, nędza, głód, zarazy. Sytuację poprawiło rozpowszechnienie się idei federacji. W takich krajach jak Dahomalia czy Republikańska Unia Nigerii i Ghany da się dzisiaj całkiem znośnie żyć; mają przyzwoity PKB, sensowną administrację państwową... Tylko że zaprowadzenie porządku w Dahomalii poprzedziła masakra dwudziestu tysięcy przedstawicieli jednego z niepokornych plemion, a w Afryce Południowej... Nie ma sensu się nad tym rozwodzić, wszyscy wiedzą, co to było za piekło.

W samym środku tego zamieszania mój serdeczny przyjaciel Zaddie Obomi dokonał cudu: stworzył afrykański odpowiednik Szwajcarii – wolny od sojuszków, które mogłyby go wciągnąć w niechciane wojny, tak jak stało się z Gambią i Sierra Leone, zabezpieczony przed ograbieniem z niezastąpionych surowców naturalnych przez zamożnego zagranicznego sprzymierzeńca, jak to jest w przypadku Konga, i tak dalej... Beninia jest krajem biednym, ale to cudowne miejsce do życia. Około pięciu procent mieszkańców stanowią ofiary międzyplemiennych konfliktów w krajach ościennych, lecz w samej Beninii nie zdarzają się rozruchy na tym tle. Mamy do czynienia z przedstawicielami czterech różnych grup językowych, a mimo to nie dochodzi tam do niesnasek, jakich byliśmy świadkami gdzie indziej w Afryce, Kanadzie, czy choćby w Belgii przed podziałem. To spokojny kraj, który w mojej ocenie posiada coś niezwykle cennego, coś, czego nie wolno porzucić na pastwę chciwych sąsiadów tylko dlatego, że prezydent Obomi nie będzie żył wiecznie.

Masters umilkł. Norman rozejrzał się po sali. Przygłębił go widok zaskoczonych min kolegów.

Stara GT odkaszlnęła uprzejmie.

– Nie muszę chyba podkreślać wagi słów pana Mastersa – powiedziała. – Placówka na rozwijającym się afrykańskim rynku, wolna od zamętu i problemów dręczących inne afrykańskie przyczółki, to coś naprawdę niezwykłego, nieprawdaz?

Patrząc, jak wyraz zdumienia znika z kolejnych twarzy, Norman poczuł przyływ szczerego podziwu dla wprawy, z jaką Stara GT manipuluje podwładnymi.

– Oddaję głos Normanowi House'owi – mówiła dalej Stara GT. – Pan Masters osobiście rekomenduje go na stanowisko naszego negocjatora w rozmowach z rządem Beninii. Normanie?

Nadeszła wielka chwila. Na moment krótki jak uderzenie serca ogarnęła go panika, jakby amnezja wymazała mu z pamięci całą starannie przeciwioną wypowiedź. Wrażenie minęło jednak tak szybko, że zaczął mówić, zanim na dobre uświadomił sobie, że wszystko pamięta.

– Dziękuję, GT – powiedział.

Poruszenie po tych słowach nie uszło jego uwagi. Młodzi wiceprezesa mówili zwykle „panno Buckfast”, bądź też, przez analogię do form wymaganych w obecności królowej angielskiej, „madame”. Niektórzy z obecnych unieśli brwi, uświadomiwszy sobie, że ktoś tu niedługo awansuje, ale Norman był zbyt zaaferowany, żeby przejąć się ich reakcją. Dołożył ogromnych starań, żeby wysondować kumpli z zarządu; próbował wybadać, jaki sposób prezentacji zrobi na nich największe wrażenie. Rex udostępnił mu nawet komputer, żeby przeanalizował wpływ swojego wystąpienia z uwzględnieniem ich profilów osobowościowych. Gdyby teraz pozwolił sobie na chwilę nieuwagi, wszystkie jego wysiłki mogłyby pójść na marne.

– Pan Masters zwrócił naszą uwagę na pewien niezwykle aspekt historii Beninii, który ja chciałbym w tym miejscu dodatkowo uwypuklić. Spuścizna kolonialna została tam potraktowana naprawdę łaskawie. Nigdy, nawet w okresie kryzysu w trudnych latach osiemdziesiątych, nie doszło w Beninii do pogromów cudzoziemców. Benińczycy są wystarczająco pewni siebie, żeby przy podejmowaniu wszelkich rozmów nie godzić się na niekorzystne dla siebie warunki. Zdają sobie sprawę, że potrzebują pomocy. Nie odrzucą przedstawionej im propozycji tylko dlatego, że złoży ją, powiedzmy, Wielka Brytania, czyli dawne mocarstwo kolonialne, my, czyli kraj zdominowany przez białych, i tak dalej. Beninia jest całkowicie pozbawiona cechy wspólnej dla całej reszty Afryki:

zachłanności na prezenty od bogatszych krajów, połączonej z niechęcią do obcokrajowców. Co zresztą podsuwa nam rozwiązanie poważnego drugorzędneho problemu związanego z planowanym przedsięwzięciem. Wielu z was zadaje sobie pytanie, z jakich doświadczeń zamierzamy czerpać w tym wypadku? Jako kraj, którego fundamentem stało się odrzucenie obcych, zamorskich wpływów, jak zamierzamy poradzić sobie z zarządzaniem wewnętrznymi sprawami innego państwa, w dodatku położonego na innym kontynencie? To całkiem rozsądne pytanie, na które jednak istnieje gotowa odpowiedź. Możemy wykorzystać doświadczenie innych państw, głównie Wielkiej Brytanii, ale także Francji. Oba te kraje dysponują liczną kadrą zarządzającą, w przeszłości zatrudnioną w administracji kolonialnej, a dzisiaj bezproduktywnie rozproszoną po innych branżach. Z dokonanego przez nas rozeznania wynika, że wielu z tych ludzi chętnie wróciłoby do dawnych kolonii w charakterze doradców. Podkreślam: nie prezesów ani dyrektorów, tylko wyspecjalizowanych doradców. Na pewno pamiętacie państwo nieodżałowany Korpus Pokoju, który w 1989 roku został rozwiązany po tym, jak przez Azję i Afrykę przetoczyła się fala ksenofobii; rozczarowany Kongres zlikwidował go jako źródło nieuzasadnionych gigantycznych kosztów. Gdybyście jednak mieli państwo lepszy kontakt z młodzieżą, zdalibyście sobie sprawę, że legenda Korpusu przetrwała. OPA w Chile i Boliwii pełni dziś podobną rolę, nie jest jednak w stanie zatrudnić wszystkich ochotników. Możemy więc przebierać wśród dziesiątków tysięcy przedsiębiorczych młodych ludzi, którzy mogliby poprowadzić przede wszystkim nasz program edukacyjny w Beninii. Mamy zagwarantowane finansowanie, surowce, a także, jak – mam nadzieję – udało mi się wykazać, personel. Dlatego usilnie zalecam przyjęcie raportu.

Ze zdumieniem skonstatował, że serce wali mu jak młotem, a skórę ma wilgotną od potu.

Rety, pomyślał z umiarkowanym lękiem, ja naprawdę za wszelką cenę chcę przepchnąć ten projekt. Co będzie, jeśli go odrzucą?

Mógłby rzucić pracę. Wyjechać z Donaldem Hoganem do Yatakangu. Zrobić cokolwiek, byle nie tkwić w GT. Tego by nie zniósł.

Prawie nie słuchał dalszych wystąpień: sprawozdania skarbnika Hamilcara Waterforda, prognoz rynkowych, analizy psychologicznej głównych udziałowców, wedle której na walnym zebraniu można było liczyć na sześćdziesięciopięcioprocentową większość głosów. Otrząsnął się dopiero przy pytaniach, bo powinny być dobrym prognostykiem decyzji zarządu.

– Chciałabym zapytać doktora Corninga, czym kierowało się Państwo, kiedy wyraziło zgodę, żeby pan Masters zwrócił się do nas? – To była Paula Phipps, starsza wiceprezes ds. komercyjnej chemii organicznej, kobieta o nieco męskiej urodzie. – Mogło przecież samo powołać jakieś konsorcjum.

– Powodzenie planu zależy od dostępności surowców – odparł krótko Corning. – A to GT jest właścicielem ŚPG, nikt inny.

– Czy w analizie psychologicznej naszych udziałowców uwzględniono fakt, że cztery piąte z nich to biali i mogą się sprzeciwić inwestowaniu tak znacznych sum w czarnym kraju, gdzie na realizację zysków przyjdzie im czekać co najmniej kilkanaście lat? – zainteresował się Macy O’Toole, młodszy wice ds. zaopatrzenia. Marszcząc brwi, spojrzał na Normana.

– Żadne kilkanaście lat – odparł Hamilcar Waterford. – Nie uważałeś, Macy!

Tak bezpośredni przytyk zaskoczył Normana. Wyglądało na to, że Waterford jest stanowczym zwolennikiem przedsięwzięcia.

– Przewidywane korzyści z pogłębienia portu w Port Mey, który będzie mógł przyjmować ładunki trafiające obecnie do innych, mniej korzystnie położonych portów, błyskawicznie przełożą się na dywidendy. Może zerknąłbyś jeszcze raz do dokumentów, które otrzymałeś przed zebraniem, hmm?

Zapadła cisza. Nikt nie chciał ryzykować gniewu przełożonych.

– Są jeszcze jakieś pytania? – zapytała Stara GT.

Głos zabrała Nora Reuben, starsza wice ds. elektroniki i łączności:

– Dlaczego nie ma wśród nas przedstawiciela benińskich władz? Mam wrażenie, że działam w próżni.

Dobre pytanie, przyznał w duchu Norman. Prawdę mówiąc, jedyne dobre pytanie do tej pory.

GT skinęła na doktora Corninga.

– To pytanie do pana Mastersa – wymigał się Corning i wszyscy spojrzeli na Elihu.

– Ponownie muszę uderzyć w ton bardziej osobisty, niżby się państwo zapewne spodziewali – zaczął Masters. – Niektórzy z was pamiętają, być może, spekulacje, jakie wywołało wysłanie mnie do Port Mey zamiast jednej ze stolic, do których byłem przymierzany, takich jak Manila czy Delhi. Tymczasem powód, dla którego trafiłem do Beninii, jest bardzo prosty: ja chciałem tam pojechać. Od dawna przyjaźnię się z Zaddiem Obomim; poznaliśmy się jeszcze w ONZ, gdzie pełniłem przy amerykańskiej misji funkcję specjalnego doradcy do spraw byłych kolonii. Kiedy skończyła się kadencja mojego poprzednika w Port Mey, Zad poprosił, żebym go zastąpił, a ja się zgodziłem. Jeszcze tylko raz w historii naszej znajomości poprosił mnie o przysługę, a stało się to całkiem niedawno. Zaddie ma siedemdziesiąt cztery lata. Jest zmęczony. Jak państwu wiadomo, z jednego z zamachów na swoje życie wyszedł na wpół oślepiony, co nie tylko upośledziło go fizycznie, lecz także odcisnęło piętno na jego psychice. Kilka tygodni temu wezwał mnie do swojego gabinetu i powiedział, co następuje. Postaram się zacytować słowo w słowo. – Elihu przymknął oczy i ściągnął brwi. – Powiedział tak: „Wybacz, że składam to brzemię na twoje barki, ale nie znam nikogo innego, do kogo mógłbym się zwrócić z taką prośbą. Lekarze twierdzą, że zostało mi najwyżej parę lat życia, nawet jeśli złożę urząd. Chcę zostawić swojemu ludowi coś więcej niż chaos, głód i nędzę. Wiesz, jak to zrobić?”. Nie ma potrzeby, madame, żeby w zebraniu uczestniczył przedstawiciel rządu Beninii. Zadkiel Obomi traktuje wszystkich Benińczyków jak przyjaciół, prawie jak rodzinę. Od 1971 roku jest ich jedynym żywicielem i całym wsparciem, na jakie mogą liczyć. Nie prosi o pomoc w imieniu rządu; prosi o to, żeby po jego śmierci ktoś zajął się ludźmi znajdującymi się pod jego opieką.

Zapadła cisza, w której Norman złapał się na tym, że nadaje telepatycznie do Starej GT: nie rób jeszcze głosowania, nie zrozumieli, co

Elihu chciał powiedzieć, nie chcesz ich zaskoczyć, są nieprzygotowani...

Ale ona już zabrała głos:

– Jeśli nie ma więcej pytań...? Przejdźmy do głosowania. Kto jest za przyjęciem raportu z wydziału projektów i planowania...

Z palcem na wpół odrętwiałym od naciskania guzika „za”, Norman śledził wzrokiem światelka rozbłyskujące przed tronem Starej GT. Zielone – dziewięć, jedenaście, piętnaście...

Udało się!

Obejrzał się na Elihu, chcąc tak jak on triumfalnym uśmiechem dać do zrozumienia, że cieszy się z decyzji zarządu... i stwierdził, że Masters patrzy na niego z zupełnie innym wyrazem twarzy, dziwnie natarczywym, jakby mówił: „Zaufałem ci. Obyś mnie nie zawiódł”.

I wszystkie implikacje ostatnich wydarzeń w jednej chwili zwały się na nieprzygotowany umysł Normana.

kontekst (14)

OKO CYKLONU

Yatakang (JA'-ta-KANG), *Sterowana Demokracja Socjalistyczna Yatakangu*: państwo w Azji Pd.-Wsch. Ponad 100 wysp, najw. Shongao 4593 km². 230 mln mieszk. (przybl.) *Gongilung (4,4 mln). Aluminium, boksyty, ropa naft., herbata, kawa, kauczuk, przemysł tekst.

W średniow. siedziba Cesarstwa Takangi (ok. 1250-1475). Do ok. 1683 niezal. król. XVIII-XIX w. podzielone. Kolonia hol. 1899-1954. Od 1954 niepodl. republ.

Ludność: miesz. Khmon i Nger. 70% budd. z domieszk. pogan. 20% muzułm. 10% Xian (protest.).

„(...) wskazuje wszystkim mieszkańcom Azji drogę ku przyszłości wolną od cudzoziemskiego zepsucia. W Yatakangu tworzy się historia. Nigdy dotąd żaden kraj nie otrzymał obietnicy wyzwolenia od kaprysów losu; żaden rząd nie mógł liczyć na obywateli idealnie dostosowanych zarówno do tego, by wnieść swój wkład w rozwój państwa, jak i do czerpania maksymalnego zadowolenia z życia w roli jednostek. Pod kierownictwem światowej sławy naukowca, profesora doktora Sugaiguntunga, i pod przywództwem naszego ukochanego marszałka Solukarty, któremu mieszkańcy wszystkich yatakańskich miast oddają hołd podczas spontanicznych zgromadzeń...”.

(PRZYWÓDZTWO Obserwowana u ludzi obdarzonych wyobraźnią autodestrukcyjną odmiana instynktu samozachowawczego, dzięki której

w sytuacji podbramkowej to ktoś inny będzie miał połamane kości.

– Chad S. Mulligan, *Leksykon trendyzbrodni*)

– No kurzeszmać, ja się chcę tylko dowiedzieć, dlaczego nie możemy dostać tego, co ludzie, którzy taplają się w błocie na poletku ryżowym razem ze swoimi bawołami, będą mieli za darmo?!

Świat tu-i-teraz (9)

SHAMBLES

„Z bronią przez wieki”. Zestaw hobbystyczny. Idealny prezent na urodziny lub B. Narodzenie. Wiek 7-12. Jaskiniowiec (krzemienny toporek, nóż), rzymski legionista (włócznia, miecz), krzyżowiec (lanca, maczuga), łucznik (łuk, kusza), muszkieter (muszkiet, pistolet), komandos (karabin, granat), żołnierz piechoty morskiej (pistolet energetyczny, wyrzutnia rakiet). Trwały plastik, precyzyjne odlewy. Tylko 112,50 \$!

– Dziś rano w najbardziej zacieklej tegorocznej bitwie żołnierze 23 Pacyficznej Grupy Bojowej starli się z chińskimi akwabandytami, zadając im poważne straty w ludziach i sprzęcie. Zwycięstwo zostało okupione niewielkimi stratami po naszej stronie.

ŁATWOPALNE

Jego gorący oddech wylądował na jej twarzy wraz z drobinkami śliny. Natarczywymi dłońmi z zapalem ścisnął delikatne piersi. Przypominała sobie, co przed wiekami powiedział jej tato. Udała, że przestaje stawiać opór i poddaje się jego woli, a potem, korzystając z chwili jego nieuwagi, przesunęła sztywnymi palcami po jego policzkach i namacała oczy. Wyskoczyły z oczodołów jak mokre owoce agrestu. Wrzasnął. W całym swoim trzynastoletnim życiu nie słyszała cudowniejszego dźwięku. CZYTAJ DALEJ.

PROMIENIOWANIE

– W dniu dzisiejszym przewodniczący Yung wysłał list gratulacyjny do dzielnych marynarzy flotyli pod Krwawoczerwoną Banderą, którzy wczoraj zadali imperialistycznemu agresorowi ogromne straty w ludziach i sprzęcie przy nadzwyczaj niewielkich stratach własnych.

NAŁADOWANY

Samotny na skraju kosmosu pilot patrolu Eugene Flood stoi na straży waszych domów i rodzin. Dzięki General Technics dysponuje bronią zdolną unicestwić – z orbity! – dowolny cel, od skromnej łodzi z sabotażystami po całe megalopolis.

WEJŚCIE DO SCHRONU

– Wystosowana w dniu dzisiejszym do władz w Kairze nota dyplomatyczna jest konsekwencją naruszenia izraelskiej przestrzeni powietrznej przez samolot szpiegowski wyposażony w aparat fotograficzny. Samolot został zestrzelony. Pilotowi nie udało się zbiec.

UWAGA: OSTRE

Raz za razem tłukł znajdującą się pod nim zakrwawioną twarz, aż usłyszał przyjemny dźwięk pękającej kości. Mężczyzna – z zębami wgniecionymi w przelyk – krztusił się własną krwią.

NIEBEZPIECZEŃSTWO ZAKAŻENIA

– Dzisiaj w Tel Awiwie złożono stanowczy protest przeciwko nieuzasadnionemu ostrzelaniu przez armię izraelską nieszkodliwego egipskiego samolotu, które doprowadziło do jego rozbicia. Wysunięto również żądanie odszkodowania dla rodziny poległego pilota.

WEJŚCIE NA WŁASNĄ ODPOWIEDZIALNOŚĆ

Seria karabinków sportowych Purdy stanowi zwieńczenie stuleci rzemieślniczej perfekcji. Nasza wyjątkowa broń krótka i długa pozwoli ci pokazać pełnię swoich umiejętności. Zostań jej dumnym właścicielem.

REJON WYSTĘPOWANIA CHOROBY

– Fanatyczna włoska młodzież, wznosząca okrzyki „Śmierć wszystkim heretykom!”, przypuściła dziś rano szturm na pałac prawokatolickiego papieża Eglantyna w Madrycie. Ostrzelani przez hiszpańską policję młodzi ludzie, zamiast rzucić się do ucieczki, zrzucali kurtkoszule, odsłaniając wytatuowane na piersi czerwone krzyże. Ci, którzy uszli z życiem spod ostrzału, zostaną przesłuchani w szpitalu, gdy tylko ich stan na to pozwoli.

WŁÓŻ MASKĘ TLENOWĄ

Leżał nieruchomo, tylko jego pierś ledwie zauważalnie unosiła się i opadała pod kocem. Podkradła się do niego, starając się nie zwracać uwagi, że we śnie jego twarz jest gładka i śliczna jak buzia nastolatka. Próbowwała myśleć tylko o tym, jak bardzo go nienawidzi. Spazmatycznym ruchem uniosła obtłuczoną butelkę i zmiażdżyła mu nią nos i usta.

WOJSKO TO PRZYGODA DLA PRAWDZIWEGO MĘŻCZYZNY

– W dniu dzisiejszym prawokatolicy sabotażyści zdetonowali bombę zegarową na pokładzie statku zmierzającego do Bombaju z ładunkiem rozpaczliwie wyczekiwanych w Indiach pigułek antykoncepcyjnych. Podczas najbliższego odpływu pletwonurkowie podejmą próbę wydobycia hermetycznie zamkniętych skrzyń z ładunkiem, stracono jednak nadzieję na uratowanie członków załogi statku.

Obroń siebie, swój dom i rodzinę dzięki produkowanym przez Japind niezrównanym artykułom ochrony osobistej. Gazognaty, staloręce, ogrodzenia elektryczne, miny i rozmaite pułapki, a wszystko w rozsądnej cenie i z gwarancją.

TRUCIZNA

– Podczas dzisiejszych protestów przeciwko niedawno przeprowadzonej reformie językowej, mającej na celu upodobnienie brazylijskiej odmiany języka portugalskiego do języka hiszpańskiego, jakim mówi się w całej Ameryce Łacińskiej poza Brazylią, demonstranci spalili wiele budynków na peryferiach Brasillii.

Złapał ją za kostki. Zanim zdążyła zareagować czy choćby się zdziwić, podniósł jej nogi i zepchnął ją z parapetu okna. Daleko w dole rozległ się dźwięk pośredni między młaśnięciem i głuchym łoskotem. Kiedy wyjrzał przez okno, leżała na ziemi z rozrzuconymi ramionami. Pokiwał głową z ponurą satysfakcją. Więcej go nie zdradzi.

WYSOKIE NAPIĘCIE.

Wyrzutnia wystrzeliwuje pęk miniaturowych rakiet, nie większych od papierosa, wyposażonych w czujniki podczerwieni nakierowujące się na ciepło ludzkiego ciała. Naucz się obsługiwać wyrzutnię w swoim lokalnym Ośrodku Szkoleniowym Milicji. Twoim obowiązkiem jako obywatela jest bronić się przed tyranią.

– Przed zbliżającymi się wyborami w Afryce Południowej agitatorzy rządzącej partii Shangaan zażądali eskorty policyjnej w okręgach wyborczych zdominowanych przez ludność zuluską. W ubiegłym tygodniu w Johannesburgu doszło do ukamienowania eurazjatyckiego ministra spraw wewnętrznych i edukacji, Harry'ego Patela.

Skrzywił się z zadowoleniem, patrząc, jak pocisk uderza w zamieszkaną przez skośnych skupisko prowizorycznych szałasów. Świat będzie lepszy bez tych przeklętych krwawicieli.

STRZELAĆ BEZ ROZKAZU

Patrzył na kulącą się przed nim postać.

– Zawsze wolałeś uchodzić za córkę niż za syna! – warknął. – Widzisz tę brzytwę? Dzięki niej dostaniesz dokładnie to, czego chcesz. To jak, ściągniesz tę sukienkę, czy mam ją na tobie pochlastać?

Dział uzbrojenia i pocisków GT oferuje absolwentom ciekawą, obfitującą w nieustanne wyzwania karierę zawodową w awangardzie postępu technicznego.

BEZ LITOŚCI

– Wczoraj w Tokio rozjuszony tłum spalił podobiznę cesarza, żeby w ten sposób zaprotestować przeciw planowanej przez niego abdykacji, która miałaby ułatwić Japonii przyjęcie republikańskiej formy rządów. Rzecznicy demonstrantów deklarują, że w wypadku zrzeczenia się przez niego tronu, jego następcą zostanie obwołany pan Oyoshita, głowa jednego z najstarszych arystokratycznych rodów. Zapowiadają również, że nie podejmą współpracy z nowym rządem. Ofiary zamieszek już zaczyna się określać mianem „męczenników”.

Jej wzrok spoczął na lśniącym metalicznie krążku przypiętym do piersi jego munduru.

– Jestem z ciebie taka dumna, synu – wyszeptała.

Objęła go i przytuliła, żeby nie widział jej łez.

POLE MINOWE

– Ekspresort w LA został dziś wieczorem wyłączony z użytkowania na, cytuję „czas nieokreślony”, koniec cytatu, po eksplozji czterdziestu trzech tysięcy galonów przechowywanego tam paliwa raketowego. Liczba ofiar śmiertelnych może sięgnąć ponad dwieście. Według oficjalnego stanowiska władz, do wybuchu doszło na skutek wyładowania elektrostatycznego w zbiornikach ekspresu z Manili. Ustalono również, że eksplozja nie była dziełem przypadku. W opublikowanym przed chwilą oświadczeniu Stowarzyszenie Paula Revere nawołuje do wprowadzenia całkowitego zakazu lądowania zagranicznych statków powietrznych na terytorium Stanów Zjednoczonych, aby zapobiec powtórzeniu się tragedii.

Nabycie udziałów w firmach z przeżywającej stały rozkwit branży obronnej należy do najbezpieczniejszych ogólnodostępnych inwestycji. W tej chwili ponadprzeciętnych zysków mogą się spodziewać akcjonariusze Specialised Air Conditioning Inc. (gazy bojowe), Public Health Research Inc. (zmutowane bakterie i wirusy) oraz Rapid Expansion Corporation (materiały wybuchowe).

DO ATAKU

Z rozkazu oficera głównodowodzącego przypadł mi w udziale smutny obowiązek zawiadomienia Państwa o śmierci Państwa syna Petera. Został pochowany w dniu dzisiejszym ze wszystkimi honorami w ocenzone. Podczas natarcia na ocenzone wykazał się najwyższym męstwem i osobiście zlikwidował ocenzone wroga poprzez podłożenie ocenzone pod jednym z ocenzone nieprzyjacielskich pojazdów. Został pośmiertnie przedstawiony do odznaczenia medalem za odwagę.

– To znaczy, że od tej pory nie musicie przed nikim ustępować. Gołymi rękami, nożem, siekierą, mieczem, pistoletem, strzelbą, karabinem, energetykiem, wyrzutnią raket, bombą atomową (kieszonkową albo nie), chemicznym ładunkiem wybuchowym, bombą (z zapalnikiem zegarowym albo natychmiastowym), gazem, zabójczymi bakteriami, rozpalonym

żelazem, żyłką, trucizną, pałką lub kamieniem, lancą, maczugą albo zapalkami, kablem pod napięciem, termitem lub kwasem, zębami i pazurami, strzykawką albo diadermikiem, miotaczem ognia, tasakiem, sznurem, młotkiem, pasem, dłutem, buciorem, wodą, staloręką, gazognatem albo przerobionym domowym laserem, kosturem, obtłuczoną butelką albo wiadrem cementu, zwykłymi drzwiami, oknem, schodami, poduszką lub taśmą klejącą, patelnią, ciuchem, błotem, długimi włosami, igłą do szycia, rozżarzoną polanem, odłamkiem szkła albo fiolką z lekarstwem możecie odpłacić tym porąbanym chinolom pięknym za nadobne.

KOMISJA DS. GROBÓW WOJENNYCH

Bennie Noakes przypomniał sobie przelotnie o kimś, kogo armia ucapiła za jaja. Nie był pewny, czy tylko to sobie wyobraził, czy też zdarzyło się naprawdę. W końcu doszedł do wniosku, że to musiał być fakt, ponieważ wyobrażenia nie podsuwała mu tak nieprzyjemnych obrazów.

Ale na wszelki wypadek wziął jeszcze trochę odjazdyny, żeby sytuacja się nie powtórzyła.

– Decyzją sądu skazany zostanie odesłany do miejsca, z którego przybył, a następnie na miejsce egzekucji, gdzie zostanie na nim wykonany wyrok śmierci przez powieszenie. Niech Bóg zlituje się nad jego duszą.

SHAMBLES (szam'-blz) rz. l. mn. uż. jak l. poj. [ang-saks. *scamel* a. *sceamol*, łac. *scamellum*] Rzeźnia, ubojnia; *przen.* rzeź, obraz zagłady i zniszczenia (niespokr. z SHAMBLE, cz. *nieprz.*, patrz wyżej).

kontekst (15)

WYCHOWANY I URODZONY

„Dzisiaj wszyscy jesteśmy marksistami – popularna wśród światowych intelektualistów deklaracja – jest o tyle słuszna, że znamieniem zwolennika postępu pozostaje świadomość faktu, iż to uwarunkowania społeczne, nie genetyczne, kształtują nasze zachowanie. Tyle że dzisiejszy truizm często staje się jutrzejszą pomyłką, a biologia nieustannie dostarcza nam nowych, coraz bardziej precyzyjnych argumentów.

W najnowszym numerze *Journal of Theoretical Biology* (vol. 12, str. 410) J. Merritt Emlen z University of Washington twierdzi, że nowoczesna teoria genetyczna umożliwi bardziej subtelną analizę ludzkiego zachowania niż się powszechnie uważa – chociaż oczywiście rozwikłanie kształtującego człowieka splotu kultury i biologii jest zadaniem niezwykle trudnym. Takie procesy społeczne jak edukacja i opieka rodzicielska zawsze będą zacierały wpływ genów na nasze zachowanie, ale przecież także same te procesy są odzwierciedleniem biologicznego potencjału i ograniczeń istoty ludzkiej... Bez względu na to, czy teorie genetyczne mogą udzielić nam wyczerpujących odpowiedzi na te pytania, z całą pewnością warto poświęcić im więcej uwagi...”.

– *New Scientist*, Londyn, no. 531, str. 191,
26 stycznia 1967

ciągłość (16)

WERSJA POPRAWIONA

Gdyby ktoś go o to zapytał, Donald mógłby wyjaśnić, dlaczego likwidacja starego Donalda Hogana nastąpiła tak szybko i była tak skuteczna. Otóż stało się tak dlatego, że cały proces rozpoczął się już przed przybyciem do obozu szkoleniowego, a zainicjowało go odkrycie, że ten rzekomo znajomy świat tylko czeka na okazję, żeby złapać go w pułapkę i rzucić mu się do gardła.

Ale nikt nie pytał. Ludzie, których napotykał na swojej drodze, traktowali go jak jakiś wadliwy modułowy prototyp, który należy przetestować i przerobić na wersję zdatną do produkcji. Gdyby spotkali się jeszcze kiedyś w innych okolicznościach, nie rozpoznaliby ich; nie mieli żadnej tożsamości, poza schematem, w który zostali wpasowani. Klasyfikował ich nie według nazwisk, tylko według tego, co mu robili.

Niektórzy podawali mu farmaceutyki, głównie po to, żeby rozbić zastane schematy percepcyjne. Dzięki temu, kiedy nowa wiedza padała na jego plastyczny umysł, zapadała głęboko – bez uprzedzeń i niezależnych sądów, które mogłyby utrudniać jej przemieszczanie się. Trochę to przypominało wyjęcie szkieletu z ciała człowieka i zastąpienie go nowym, wykonanym z nierdzewnej stali. Zresztą wymiana kośćca nie była w obecnych czasach niczym niezwykłym.

Naturalnie, w przypadku Donalda nie mogło być mowy o tak oczywistej, łatwej do wykrycia manipulacji. Cokolwiek zamierzali z nim zrobić, musieli się ograniczyć do tej cytadeli prywatnych myśli, do której nikomu się jeszcze nie udało przeniknąć – przynajmniej bez użycia topornego oręża w rodzaju garłacza.

Zaszczepili mu alergię na prawdomówkę: podanie dawki niezbędnej do przesłuchania przyprawiłoby go o gorączkę i majaki. Inne środki miały na celu pobudzenie pamięci słuchowej i dotykowej, które po latach obcowania ze słowem drukowanym i ekranami rejestratorów uległy atrofii. Jeszcze inne wzmacniały jego zdolności kinestetyczne, zapewniając niemal bolesną świadomość wzajemnego położenia wszystkich członków ciała.

Było tych prochów więcej, ale nawet nie chciało mu się o nie wypytywać. Nie współpracował, co najwyżej przyjmował biernie wszystkie zabiegi, traktując je jako możliwe lekarstwo na nieuchronną śmierć swojego starego „ja”.

Potem zaczęli go formować. W narkotykowym transie, w którym rzecz raz zasłyszana miała rezonować mu w pamięci tak długo, aż wryje się w mózg równie głęboko, jak wiedza powtórzona tysiąc razy w prawdziwym życiu, nauczyli go wszystkiego, co mogło mu się przydać podczas realizacji czekającego go zadania.

Engrelay Satelserv wyposażało wszystkich swoich reporterów w zamknięty w dziewięciocalowym pokrowcu komzestaw, zaprojektowany i skonstruowany specjalnie dla nich przez dział elektroniki GT. Komzestaw składał się z rejestratora/odtwarzacza sprzężonego z politelem – miniaturowym odbiornikiem telewizyjnym dostosowującym się automatycznie do standardów i częstotliwości transmisji wykorzystywanych w różnych rejonach świata; wojskowi specjaliści trochę zmodyfikowali egzemplarz przeznaczony dla Donalda – teraz zawierał ukryty pod multikolorową powłoką aparat nadawczo-odbiorczy, którego cały obwód elektroniczny został wykonany z włókna monomolekularnego. Plan był taki, że Donald będzie regularnie łączył się z centralą poprzez dowolny z dostępnych w danej chwili satelitów Engrelay Satelserv, dokładnie tak samo, jak mógłby to robić zwykły korespondent. Gdyby jednak chciał przekazać coś, co nie powinno zostać podsłuchane, nagrał uprzednio wiadomość, którą komzestaw nałożył jako modulację pasożytniczą na sygnał wideofoniczny, automatycznie szyfrowany i kompresowany do postaci półsekundowych impulsów.

Do wtłoczenia mu do głowy dodatkowych bajerów wykorzystali hipnopedię – w ten sposób poznał akrostychowy szyfr werbalny, kod skojarzeniowy i szyfr numeryczny.

Nie pozwolili mu natomiast spać podczas wykładania poważnych aspektów misji. Jak powiedział mu jeden ze stale zmieniających się instruktorów, ostatnią przysługą, jaką tajny agent może wyświadczyć ojczyźnie po tym, jak zostanie zdemaskowany, jest wciągnięcie jak największej liczby przeciwników w próbę pojmania go. W tym celu przygotowywali go do walki w pojedynkę z całym batalionem wojska.

Ta zapowiedź obudziła pierwsze emocje w nowym Donaldzie Hoganie. Miała w sobie coś imponującego.

* * *

Na początek: gołe ręce.

– Na tym manekinie żółtka zaznaczyłem najwrażliwsze punkty. Kolor niebieski to tymczasowe unieszkodliwienie: krocze, splot słoneczny, oczy. Kolor czerwony to z kolei miejsca, w które cios może zabić; przykładem są struny głosowe. Pięścią najlepiej celować tu, tu i tu. Oczywiście jeszcze lepiej byłoby trafić obutą stopą. Tutaj najlepiej uderzać wyprostowanymi palcami, a tu jednym palcem, usztywnionym. W tych miejscach chwytasz i przyciskasz, w tych przykładasz dźwignię, a tutaj i tutaj wykręcasz. Przejdźmy teraz do ataków od tyłu, do których zawsze należy dążyć.

Dalej: nóż.

– Wyróżnia się dwie podstawowe klasy ostrzy: do walki w zwarciu i w półdystansie. Obie dzielą się na takie same dwie kategorie: broni kłującej i siecznej. Do walki w zwarciu służą, przykładowo, sztylet i brzytwa, do walki w półdystansie rapier i siekiera.

Dalej: sznur.

– Broń należąca do tej grupy cechuje się elastycznością oraz niewielką grubością. Przykłady: bicz i potykacz, zaliczane do broni unieszkodliwiającej, oraz pętla na szyję i garota, służące do zabijania.

Lasso i bola mogą należeć do jednej lub drugiej kategorii, w zależności od tego, w jakim celu zostaną użyte.

Dalej: tradycyjna broń palna.

– Wyróżniamy trzy kategorie broni palnej: broń krótka, wymagająca (zwłaszcza przy małym kalibrze) niezwykle wysokich umiejętności strzeleckich; broń długa, niemal równie wymagająca; oraz broń maszynowa, wystrzeliwująca znaczne ilości pocisków, najlepsza dla słabo wyszkolonych strzelców na średnim i krótkim dystansie.

Dalej: broń energetyczna.

– Broń energetyczna produkowana jest jako broń krótka, wystrzeliwująca od dwunastu do piętnastu ładunków po jednym ładowaniu, oraz jako broń długa, wystrzeliwująca do czterdziestu ładunków. Zalety: bezpośrednie trafienie w dowolną część ciała jest śmiertelne; także nieznaczne chybienie celu może być zabójcze, jeśli ofiara dotyka, na przykład, metalowej poręczy albo stoi na wilgotnym podłożu w nieizolowanym obuwiu. Do ładowania tego rodzaju broni wystarczy domowa instalacja elektryczna o napięciu od stu woltów wzwyż, chociaż można ją ładować także z linii energetycznych w terenie. Wady: ładowanie jest bardzo czasochłonne – zwykle podejmuje się je tylko w sytuacji, gdy użytkownik dysponuje co najmniej trzema egzemplarzami broni: dwie sztuki zostają podłączone do sieci, trzecia jest w tym czasie normalnie użytkowana.

Dalej: nowoczesna broń wojskowa.

– Oto wyrzutnia rakiet znajdująca się w standardowym wyposażeniu żołnierzy piechoty morskiej podczas takich misji, jak atak na magazyny nieprzyjaciela. Każdy magazynek zawiera dwadzieścia miniaturowych rakiet odpalanych w ciągu pięciu sekund. Głowice można nastawić (także po omacku, licząc pstryknięcia pokręta zapalnika) w taki sposób, żeby namierzały się na ciało ludzkie, chłodzony zbiornik albo metalowy obiekt na tle roślinności. Oczywiście rakiety mogą też po prostu polecieć prosto przed siebie, tam gdzie wyceluje strzelec.

Dalej: przenośne bomby jądrowe.

– Ich najpoważniejszą wadą jest krótki, liczony w miesiącach, okres połowicznego rozpadu, przez co przy dłuższym magazynowaniu ładunki zostają skażone. Poziom emitowanego przez nie promieniowania jest na tyle wysoki, że rejestrują je policyjne skanery. Z tego samego powodu przebywanie w ich pobliżu dłużej niż przez kilka godzin może być niebezpieczne. Mimo to są oczywiście bezkonkurencyjne, jeśli chodzi o połączenie siły niszczenia z przenośnością. Współcześnie produkowane ładunki można podkładać ręcznie (wtedy zaopatruje się je w zapalnik zegarowy) lub wystrzeliwać z najnowszego modelu wyrzutni raketowej wyposażonego w odpowiednią przystawkę.

Dalej: konwencjonalne ładunki wybuchowe.

– Stosuje się dwa główne typy ładunków: wiązka granatów oraz paczka z bombą. Pierwszy ma głównie zastosowania militarne, dlatego tu skoncentrujemy się na tym drugim. Współczesne ładunki wybuchowe mają dwie pożądane cechy: można im nadać niemal dowolny kształt, a bez odpowiedniego katalizatora nie dojdzie do eksplozji. Na przykład, obudowa twojego komzestawu to mniej więcej ćwierć kilograma PDQ, zdolne całkowicie zniszczyć pomieszczenie o kubaturze około sześćdziesięciu metrów sześciennych. Nie eksploduje jednak nawet po wrzuceniu do ognia, jeżeli nie połączysz go z fosforem. Normalny sposób detonacji polega na włożeniu pod pokrywkę płaskiego opakowania zapalek i przestawieniu potencjometru w nieoznakowane położenie. Masz wtedy osiemnaście sekund na ucieczkę, zanim dojdzie do krótkiego spięcia na górnej powierzchni i bateria zdetonuje ładunek.

Dalej: broń gazowa i granaty.

– Jak rozumiem, używałeś już gazognata. Zostaniesz wyposażony w jego wersję wojskową. Jest wielkości pióra wiecznego, ładuje się go też podobnymi nabojami. Do wyboru masz kilka rodzajów gazów trujących, w tym stary i niezawodny cyjanek potasu, który zabija w pół minuty, pod warunkiem, że uda ci się wprowadzić go do ust lub nosa przeciwnika; znany od dawna, ale to nie powód, żeby go lekceważyć. Są też gazy paralizujące: emetyki, gazy parzące, duszące i tak dalej. Ich wadą jest długi

czas rozpraszania, przez co równie łatwo mogą zaszkodzić tobie, jak przeciwnikowi.

I na koniec: broń prowizoryczna.

– Wszystko, co powiedziano o ataku dowolną częścią ciała, odnosi się również do broni prowizorycznej. Niektóre przykłady są oczywiste: poduszką można udusić; działa szybko, a właściwie użyta jest również bezgłośnie. Obtłuczenie butelki lub wybicie okna w celu pozyskania ostrego odłamka szkła również jest oczywiste. Inne okoliczności wymagają większej inwencji. I tak na przykład, w warsztacie mechanicznym możesz znaleźć opiłki i wióry magnezowe, z których można zrobić termit. Na placu budowy można łatwo udusić człowieka, używając do tego niegaszonego wapna lub suchego pyłu cementowego. Do tego dochodzi zmiażdżenie dłoni lub stopy w drzwiach, popchnięcie twarzą w szybę, posmarowanie zwyczajnej igły do szycia substancją z domowej apteczki i umieszczenie jej w takim miejscu, żeby przeciwnik się nią zadrapał, uduszenie długowłosej laski (lub ziomka) jej (lub jego) własnymi włosami, zaklejenie ust lub nosa taśmą klejącą, przegryzienie tchawicy, zepchnięcie ze schodów, oblanie wrzątkiem z garnka na kuchence... Możliwości są nieograniczone.

Nowy Donald Hogan, który przyszedł na świat w obcym, wrogim świecie – świecie, w którym dowolny przedmiot znaleziony w domu lub na ulicy mógł się stać narzędziem zagłady, a każdy człowiek, choćby najuprzejmiejszy i najbardziej kulturalny, mógł obrócić się przeciwko niemu i rozszarpać go na strzępy – z uwagą kiwał głową i chłonął wiedzę jak Słowo Boże.

* * *

Kiedy zaledwie cztery krótkie dni po przybyciu Donalda do obozu przyleciał Delahanty, żeby udzielić mu ostatnich instrukcji, spotkali się w gabinecie pułkownika, który pierwszy go tu powitał. Donald czekał, aż major przejrzy raporty dokumentujące jego postępy. W spotkaniu uczestniczył jeszcze jeden człowiek, sierżant, który od dwudziestu

czterech godzin chodził za nim jak cień; nie miał nazwiska, nikt go o nic nie pytał, za całą tożsamość wystarczały mu pistolet i nałożona na stałe staloręka. Donald – siedzący sztywno na skraju krzesła, ubrany w anonimowy mundur połowy poborowego z absurdalnymi belkami porucznika na ramionach – nie zwracał uwagi na sierżanta, podobnie jak nie zwracał na niego uwagi przez ostatnią dobę.

Jego ciekawość wzbudzał przede wszystkim Delahanty: Donald miał osobliwe wrażenie, że major nie jest prawdziwy. Przybył z życia starego Donalda Hogana, człowieka, który nie żył. W miejscu, w którym powinien być co najwyżej bród z rozrzuconymi paroma kamieniami, nagle wyrósł most. Opuściwszy dom, Donald znalazł się w innej strefie czasowej, pozbawionej punktów stycznych z rzeczywistością. Przez dziesięć lat jego życie opierało się na przekonaniu, że utrzymuje związek ze światem zewnętrznym poprzez studiowanie doniesień o zachodzących w nim wydarzeniach, rozmawianie ze znajomymi, obserwację ulic, którymi chodzi, oraz codzienne oglądanie wiadomości w TV. I nagle wszystko to zostało wyłączone.

Delahanty skończył przeglądać dokumenty i, nie podnosząc wzroku, powiedział:

– To wszystko, sierżancie.

– Tak jest, panie majorze – odparł sierżant (były to pierwsze słowa, jakie wypowiedział w obecności Donalda) i wyszedł. Podłoga dźwięczała metalicznie pod jego stopami, ponieważ wszystkie podłogi w obozie wykonano z rezonującego metalu.

– Pewnie domyślił się pan, kto to – zagaił prawie przyjaznym tonem Delahanty. Dopiero teraz podniósł głowę i spojrzał na Donalda.

Donald wzruszył ramionami. To było oczywiste: sierżant musiał być ochroniarzem.

– Szybka pedekizacja, jakiej został pan poddany, bywa ryzykowna – podkreślił Delahanty. – W każdym z nas drzemie instynkt zabójcy, jest jednak maskowany zahamowaniami natury społecznej. Jednoczesne usunięcie ich wszystkich może prowadzić do przypadkowych wybuchów przemocy ze strony obiektu. Pan jednak zniósł to doskonale. Pozostało mi

tylko wydać panu sprzęt i dokumenty podróżne, a potem przerzucimy pana do awaryjnego ekspresportu.

– Awaryjnego? – powtórzył Donald.

Na twarzy Delahanty'ego odmalował się cień zaskoczenia.

– Naturalnie. Nie sądzi pan chyba, że zdążyli już... No tak, pewnie o niczym pan nie słyszał. Żółtki znów wykręciły nam numer. Podczas tankowania ekspresu z Manili okazało się, że przenosi na zbiornikach ładunek elektrostatyczny. Kiedy podłączyli węże, cały magazyn paliw wyleciał w powietrze.

Donald pokiwał głową. Na myśl o pomysłowej sztuczce odczuwał nieznaną mu wcześniej profesjonalny podziw.

– Dla nas może to być jednak szczęście w nieszczęściu – ciągnął Delahanty. – Z portu awaryjnego wypychają właśnie na gwałt wszystkie maszyny nagromadzone przez ostatnie czterdzieści osiem godzin; przy odrobinie szczęścia zator zrobi się także po drugiej stronie, więc nie powinni się panem za bardzo interesować. Trudno to może nazwać odwróceniem sytuacji o sto osiemdziesiąt stopni, ale kiedy trafia się okazja, trzeba z niej korzystać... Z pewnością tego właśnie pana nauczono. No, przejdźmy teraz do pańskiego wyposażenia. – Wskazał stertę bagażu w kącie pomieszczenia. – Część ubrań zabraliśmy z pańskiego mieszkania, część jest nowa. Niektóre rzeczy sztywnieją pod wpływem bodźców zewnętrznych, tak jak staloręka. Kiedy włoży pan nowe ciuchy w taki sposób, żeby osłaniały najważniejsze organy, proszę ich nie zdejmować; nie tylko są praktycznie kulo odporne, ale przy okazji też całkiem nieźle grzeją. Komzestaw to w istocie bomba, jak to już panu demonstrowano; do wykorzystania wyłącznie w sytuacji skrajnej. Na wypadek sytuacji mniej skrajnych dostanie pan dobrze zakamuflowany pistolet gazowy, ale jego też lepiej nie używać przy byle okazji. Więcej broni nie odważyliśmy się panu dać. Po nauce yatakańskiego ma pan zapewne świadomość, że w dzisiejszych czasach los cudzoziemca obchodzi tamtejsze władze tyle co kubeł wielorybiej mierzwy, choćby ów cudzoziemiec miał zostać zlinczowany, pobity albo przegoniony ulicami ze stryczkiem na szyi.

Dlatego postanowiliśmy pana spedekezować. W przeciwnym razie byłby pan bezbronny. W porządku?

Donald pokiwał głową.

– Dobrze. Przejdźmy zatem do pańskiego kamuflażu zawodowego. Został pan przeszkolony w obsłudze standardowego komzestawu. Ode mnie dostanie pan akredytację prasową, kartę kredytową Satelserv oraz podręcznik korespondenta, z którym musi się pan jak najszybciej zapoznać. Jest przekonująco szczytany, opatrzony kopiami pańskich odcisków palców, ale to jednak nie oryginał. Pańskim głównym kontaktem w Gongilungu jest anglojęzyczna korespondentka Engrelay Satelserv, Deirdre Kwa-Loop. To wolny strzelec. Jest czarna, pochodzi z Afryki Południowej, przez co jej nazwisko i twarz rzadko przewijają się w serwisach informacyjnych tutaj, w kraju, ale szefostwo bardzo ją ceni. Do tego stopnia, że cała seria materiałów o Yatakangu i tamtejszych sensacyjnych wydarzeniach została oparta wyłącznie na jej korespondencji. Gdybyśmy nie zwrócili się do nich bezpośrednio z prośbą o współpracę, nie przyszłoby im do głowy, żeby wysłać tam kogoś jeszcze. Między innymi dlatego może być nieco drażliwa, jeśli pomyśli, że pański przydział to wyraz braku zaufania do niej. Tak że proszę zachować czujność. I takt. Proszę też pamiętać, że dla niej jest pan dokładnie tym, za kogo się pan podaje; Kwa-Loop nie posiada żadnych informacji operacyjnych. Człowiekiem, który został w sprawę wtajemniczony i będzie pańskim łącznikiem z Jogajongiem, jest inny dziennikarz, także wolny strzelec, pakistański imigrant nazwiskiem Zulfikar Halal. Pomyśl, że Halal będzie chciał sprzedać informacje wyjątkowej wagi komuś takiemu jak pan, przedstawicielowi jednej z największych na świecie agencji, jest całkowicie wiarygodny. Proszę się trzymać tego elementu kamuflażu do samego końca, do momentu, kiedy powodzenie misji będzie naprawdę w zasięgu ręki. Misja zaś przedstawia się następująco: zbadać prawdziwość zapewnień yatakańskich władz odnoszących się do przyszlých narodzin; przekazywać regularne depesze na ten temat – nawiasem mówiąc, pańskie doniesienia naprawdę zostaną wykorzystane przez agencyjne programy analityczne włącznie ze SKANALIZATOREM;

a także, jak to się oficjalnie mówi, z należytą starannością potraktować kwestię znalezienia dowodów na fałszywość rządowych przechwałek. Kiedy zdobędzie pan takie dowody, proszę spotkać się z Jogajongiem i wszystko mu przekazać. Według naszych analiz rozczarowanie społeczeństwa spowodowane zdemaskowaniem rządowych kłamstw z dużym prawdopodobieństwem wywoła falę oburzenia, która zmiecie Solukartę i wyniesie Jogajonga do władzy.

– A jeśli nie znajdę takich dowodów?

Delahanty zrobił zdziwioną minę.

– Ma pan nie ustawać w wysiłkach do chwili, gdy je pan znajdzie lub zostanie odwołany. Myślałem, że to oczywiste.

– Nie zrozumieliśmy się. Jako uśpiony agent przeczytałem wszystkie artykuły naukowe opublikowane przez Sugaiguntunga – wyjaśnił Donald. Slangowe określenie własnej osoby przyszło mu nadspodziewanie gładko, zająknął się natomiast przy czasowniku w pierwszej osobie, jakby przypisywał sobie cudze zasługi. – Jeżeli jest dzisiaj na świecie ktoś, kto może zrealizować tę obietnicę, to właśnie on.

– Nasze symulacje komputerowe dowodzą, że taki projekt byłby nierealny z ekonomicznego punktu widzenia – odparł sztywno Delahanty. – Jest pan świeżo po pedekizacji; zna pan dostępne techniki optymalizacji człowieka. Nie stać nas jednak nawet na masową pedekizację społeczeństwa, a co dopiero mówić o technikach prenatalnych, których zastosowanie wymagałoby całej rzeszy wykwalifikowanych tektogenetyków.

– A jeśli Sugaiguntung dokonał przełomu i odkrył jakąś tanią i szybką metodę? Na przykład... zmodyfikował technikę Gershensona poprzez zanurzenie komórki jajowej w organicznym roztworze matrycowym?

– W takiej sytuacji musimy poznać szczegóły, rzecz jasna. Jak najszybciej.

Donald wahał się przez chwilę, ale w końcu powiedział:

– Widziałem sierżanta Schritta na przyjęciu u Guinevere Steel.

– Domyślam się. – Delahanty westchnął. – Wszyscy go widzieli. Ja nawet nie mam do biedaka pretensji... Po prostu nie będzie mi więcej potrzebny.

Tonem głosu dał do zrozumienia, że nie zamierza ciągnąć tego tematu. Patrzył w zadumie na Donalda.

– Powinienem był przewidzieć, że nie będzie pan w stanie śledzić bieżących doniesień – powiedział w końcu. – Musi pan jak najszybciej nadrobić zaległości, ponieważ od czasu wydania tamtego oświadczenia dużo się wydarzyło. Powiem tylko tyle: proszę pomnożyć reakcję Schritta przez tysiąc.

Chad Mulligan, przypomniał sobie Donald (to wspomnienie przypominało echo snu), mówił o milionie.

– Wyobraża pan to sobie? Świetnie. W takim razie życzę powodzenia. Czas ruszać. Chyba że ma pan jeszcze jakieś pytania?

Donald pokręcił głową. Jedna rzecz była oczywista, mimo że Delahanty nie powiedział tego wprost: obojętne, czy nowa technika ma szanse powodzenia, czy nie, nie wolno dopuścić do tego, żeby Yatakang zaczął ją stosować.

na zbliżeniu (15)

STOPY NASZYCH RODZICÓW BYŁY CZARNE

Po powitaniach, siostrzanych i szwagierskich pocałunkach, siadajcie proszę dawno się nie widzieliśmy i co u was słyhać – całkowita cisza, jakby Pierre Clodard, jego siostra Jeannine i jego żona Rosalie nie mieli sobie nic do powiedzenia.

Etienne Clodard *père* kupił dom w modnej dzielnicy Paryża, nieopodal Lasku Bulońskiego, kiedy po uzyskaniu przez Algierię niepodległości musiał wbrew swojej woli wrócić do ojczyzny. Cały dom – a zwłaszcza *salon* – zachował w sobie coś z atmosfery innego kontynentu i innego stulecia. Północnoafrykańskie wpływy były widoczne w wystroju: niskie otomany pod ścianami, dywan, który, zamiast rozpościerać się pod nogami, wisiał na ścianie, niskie stoliki – na jednym stał algierski serwis do kawy: taca z kutego mosiądzu, ozdobiona przy brzegu emaliowanym arabskim napisem i zaopatrzona w zagłębienia, w których spoczywały malutkie miedziane czarki. Pokój upamiętniał także wyobrażenia Etienne’a Clodarda, pracownika kolonialnej administracji, na temat paryskiej elegancji, jakie hołubił podczas pobytu w gorącej, barbarzyńskiej Afryce: tapeta w kwiaty, zasłony z grubego połyskliwego perkalu, dwa natrętnie wielkie wyściełane fotele. Niektórzy znajomi Pierre’a twierdzili, że nie sposób powiedzieć, czy dom odzwierciedla stan jego umysłu, czy raczej ten umysł kształtuje.

Sam Pierre prezentował się elegancko i szykownie – szczupły, nerwowy mężczyzna, którego zamiłowanie do gry na fortepianie dałoby się odgadnąć nawet gdyby elegancki instrument nie zajmował najlepiej oświetlonego kąta pokoju; co więcej, bez oglądania regału z płytami,

stojącego tuż przy wąskim ekranie starego holoodtwarzacza, można było się domyślić, że uwielbia Debussy'ego i Satie. Czarne włosy powoli cofały mu się znad czoła. Kiedy był młodszy, przez pewien czas podporządkowywał się modzie na zarost, ale od kilku lat golił policzki i podbródek, zostawiając tylko schludny wąsik podkreślający zmysłowy zarys ust.

To, co w jego osobie objawiło się jako intelektualna, wyrafinowana atrakcyjność (a także potencjalne źródło słabości), u jego siostry Jeannine przerodziło się w niemal idealne piękno. Podobnie jak on – i podobnie jak oboje ich rodziców – była szczupła i śniada, ale miała o ton jaśniejszą skórę, delikatniejszą budowę i większe oczy. Miała czterdzieści jeden lat, ale jedyną wskazówką zdradzającą jej prawdziwy wiek były zmarszczki wokół oczu i u nasady szyi; gdyby nie one, z powodzeniem uszłaby za trzydziestolatkę.

Za to Rosalie była jej przeciwieństwem: pulchna, piersiasta, błękitnooka jasna szatynka. Zazwyczaj miała pogodne usposobienie, ale – z powodu, który sama chętnie by poznała, ponieważ traktowała go jak nieznośną wadę – obecność męża i szwagierki w jednym miejscu i jednym czasie rozpraszała ją i psuła jej nastrój.

– Jeanie! – odezwała się w rozpaczliwej próbie rozpromienienia się. – Napijesz się kawy? A może czegoś mocniejszego?

– Kawy, z przyjemnością – odparła Jeannine.

– Przypalisz? – zaproponował Pierre.

Sięgnął po stojącą na najbliższym z licznych stolików grawerowaną srebrną szkatułkę, z której po uniesieniu wieczka uniósł się intrygujący aromat najlepszego marokańskiego haszyszu.

Rosalie pośpiesznie wyszła do kuchni, nie mogąc zamaskować chęci ulotnienia się z pokoju. Kiedy drzwi się za nią zamknęły, Jeannine obejrzała się na ich pokrytą staroświeckim wzorem powierzchnię. Leciutko nachyliła się w stronę podsuniętego przez Pierre'a płomyka.

– Mam nadzieję, że twoje życie nie jest tak ciężkie jak moje – powiedziała.

Pierre wzruszył ramionami.

– Jakoś się z Rosalie dogadujemy.

– Musi być w tym coś więcej niż „jakoś się dogadujemy” – upierała się Jeannine.

– Pokłóciłaś się z Raoulem – domyślił się Pierre, wymieniając imię najnowszego z licznych kochanków siostry.

– Pokłóciłam? Skądże. Dziś już nikt się nie kłóci, ludzie nie mają na to siły. Ale... To nie ma przyszłości, Pierre. Czuję nawarstwiające się rozczarowanie.

Pierre rozsiadł się wygodnie na sofie. Wolał sofy niż fotele, chociaż przy jego długich nogach fotele były wygodniejsze.

– Mógłbym odmierzać rozwój twoich *affaires du coeur* częstotliwością twoich wizyt u nas.

– Uważasz, że traktuję cię jak ścianę płaczu? – Jeannine parsknęła niewesołym śmiechem. – Być może... Ale co ja poradzę na to, że jesteś jedynym człowiekiem, z którym mogę szczerze porozmawiać? Łączy nas coś, do czego ludzie z zewnątrz nie mają dostępu. To cenna rzecz, więc staram się jej nie nadużywać. – Zawahała się. – Rosalie to wyczuwa – dodała w końcu. – Widzę to po niej, kiedy przychodzę. I jest to kolejny powód, dla którego przychodzę tylko wtedy, kiedy naprawdę bardzo tego potrzebuję.

– Chcesz powiedzieć, że czujesz się niemile widziana?

– Nie, skądże! Rosalie to uosobienie gościnności. Kłopot w tym, że tak jak cała reszta świata, nie jest w stanie zrozumieć czegoś, czego nigdy nie doświadczyła. – Jeannine usiadła prosto. Mówiąc, dźgała powietrze blantem, jak nauczyciel podkreślający wskaźnikiem wypisane na tablicy słowa. – Pomyśl o tym, *chéri*, że nie jesteśmy wcale wyjątkowi jako repatrianci. Przez to, że zlikwidowano granice międzypaństwowe na tym starym, zmęczonym kontynencie, w samym Paryżu mieszkają ludzie pięćdziesięciu różnych narodowości, z których takim na przykład Grekom powodzi się znacznie lepiej niż powodziłoby się w domu. Nam również.

– W domu? – powtórzył Pierre. – My nie mamy domu. Nasz dom istniał wyłącznie w głowach naszych rodziców.

Jeannine pokręciła głową.

– Nie wierzę, żeby mogli być niezadowoleni z życia w tak pięknym mieście jak Paryż, chyba że w ojczyźnie byli naprawdę szczęśliwi.

– Ale przecież z czasem coraz częściej mówili o dobrych rzeczach, a o złych zapominali. Algieria z ich wyobrażeń legła w gruzach pod falą zabójstw, ogarnięta chaosem wojny domowej.

– Mimo to byli tam szczęśliwi. Nie zaprzeczysz.

Pierre westchnął i wzruszył ramionami.

– Inaczej mówiąc, wcale nie jesteśmy repatriantami, tylko czasomigrantami, wygnańcami z kraju, który przestał istnieć przed naszym urodzeniem, a którego obywatelstwo mimowolnie zapewnili nam nasi rodzice. – Jeannine zawiesiła głos, sondując brata bystrym spojrzeniem. – Widzę, że mnie rozumiesz. Ty zawsze wszystko rozumiesz. – Uścisnęła jego dłoń.

– Chyba nie rozmawiacie znów o Algierii? – Rosalie weszła do salonu z dzbankiem stanowiącym komplet z czarkami ze stałej ekspozycji. Pytanie zabrzmiało tak, jakby próbowała zażartować. – Ciągle Pierre’owi powtarzam, Jeannine, że może kiedyś dobrze się tam żyło, ale dzisiaj na pewno nie chciałabym tam zamieszkać.

– To oczywiste – przytaknęła Jeannine z wymuszonym uśmiechem. – Nawet w Paryżu życie wcale nie jest różowe. Po co ktoś miałby stąd wyjeżdżać do jeszcze gorzej zarządzanego kraju?

– Naprawdę tak źle się teraz żyje w Paryżu?

– Może po prostu masz szczęście i nie zauważasz tego na każdym kroku. Nie masz nic lepszego do roboty, niż troszczyć się o ten piękny, spokojny dom, czekając, aż Pierre przyniesie do domu wypasioną bankową pensję! Ja jednak muszę pracować, a w biznesie modowym nie żyje się tak spokojnie jak w bankowości. Jest znacznie większe stężenie *salauds* na metr kwadratowy, a na dodatek mają znacznie większą władzę!

Pierre spojrział na siostrę z niepokojem. Czasem, kiedy wpadała w pewien szczególny nastrój, hasz potrafił jej rozwiązać język bardziej niż dyktowałyby to uprzejmość; nie raz i nie dwa, jeszcze w pierwszym małżeństwie, musiał łagodzić całkiem konkretne kłótnie, jakie wynikały po tym, gdy coś chlapnęła na haju.

– Ale nawet *salauds* bywają użyteczni – ciągnęła. – I właśnie to chciałam ci powiedzieć, Pierre. Wiesz, że Raoul pracuje w departamencie prognoz Wspólnej Europy?

Pierre pokiwał głową. Departament prognoz zajmował budynek przy Fontainebleau, w którym dawniej mieściła się placówka NATO. Dzisiaj gmach wypełniały komputery zajęte analizą trendów i tendencji na podstawie codziennie dostarczanych raportów wywiadu gospodarczego i wojskowego.

– To nawet ciekawe... – mówiła dalej Jeannine. – Wiesz o tym, że departament prognoz przetwarza nie tylko dane z krajów europejskich, ale także z naszych byłych kolonii? Ze zniżką, przez wzgląd na stare czasy? A słyszałeś o podwodnym projekcie górniczym sponsorowanym przez amerykańską firmę General Technics?

– Oczywiście.

– Amerykanie rozesłali agentów, którzy mają oszacować koszt hurtowego transportu surowców z Port Mey w Beninii. Ta sama firma sonduje również dawnych pracowników administracji kolonialnej w Londynie. Raoul mówi, że komputery przepowiadają uruchomienie w Port Mey ogromnej nowej firmy, która zajmie się eksploatacją tych podmorskich złóż.

Jeannine umilkła. Rosalie, podając jej kawę, w zdumieniu spoglądała to na nią, to na męża. Nie rozumiała, skąd na ich twarzach pojawił się ten wyraz tęsknej zadumy.

– Znasz Héléne, prawda? – spytał w końcu Pierre, nie zwracając uwagi na żonę. – Tę, która pracowała w Mali...

– Znam. A ty znasz Henriego z Górnej Wolty?

– Tak.

– Widzę, że rozeznajesz się w tym nie gorzej niż komputery.

– To logiczne.

– Nie rozumiem – wtrąciła Rosalie.

Pierre spojrzał na nią z czymś na kształt politowania.

– Czemu wielka amerykańska firma miałaby rekrutować w Londynie byłych pracowników władz kolonialnych, jeśli nie dlatego, że zdaje sobie

sprawę z niewiedzy Amerykanów w kwestiach związanych z afrykańską mentalnością?

Zanim Rosalie zdążyła przyznać, że jego pytanie niczego jej nie wyjaśniło, odezwała się Jeannine:

– Czy to nie byłoby cudowne? Nie da się ukryć, że Amerykanie są jednak odrobinę lepsi od barbarzyńców.

– Ale kraik nad zatoką Benin, który nie zaznał dobrodziejstw francuskiej kultury...

– Został częściowo zasiedlony przez Berberów, którzy mimo rozlicznych wad są jednak kuzynami Algierczyków i Marokańczyków.

– Powiecie mi wreszcie, o czym rozmawiacie? – wtrąciła Rosalie z nietypową dla siebie determinacją gospodyni.

Brat z siostrą spojrzeli po sobie. Jeannine uniosła brew, jakby chciała powiedzieć „Czego można się spodziewać po takiej żonie?”. Na ten widok Rosalie poczerwieniała; miała nadzieję, że Pierre okaże się lojalny i nie zareaguje.

On jednak powtórzył gest siostry.

– Mówię o powrocie do Afryki – odparła Jeannine. – Dlaczego by nie? Mam dość Francji i Francuzów, którzy nie są już wcale Francuzami, tylko jakimiś okropnymi uśrednionymi kundlami ze Wspólnej Europy.

– Skąd pewność, że w ogóle będziesz miała okazję wyjechać? – zapytał Pierre.

– Raoul mówi, że będą werbować doradców z doświadczeniem w Afryce. Kandydatów nie będzie chyba zbyt wielu. A my, *chéri*, nie jesteśmy bynajmniej żółtodziobami!

– Ale ja nie chcę jechać do Afryki. – Rosalie uniosła buntowniczo głowę. – Pij, Jeannine, bo ci kawa wystygnie.

I nachyliwszy się, przysunęła szwagierce miedzianą czarękę. Brat i siostra wymienili spojrzenia ponad jej schyłonymi plecami i każde z nich rozpoznało u tego drugiego brakującą połówkę marzenia dawno temu przełamanego na dwoje, jak moneta, którą dzielą się zakochani w perspektywie długiego rozstania.

kontekst (16)

PAŃSTWO UNIWERSALNI: KALIPSO

Jak dobry Pan nasz, Bóg w Dolinie Kości,
Engrelay Satelserv stworzył dwoje gości.
Ni to żywi, ni martwi, Jonesowie się zwali,
Pierwsi we wszystkim, choć wy-i-ma-gi-no-wa-ni.
Co jednak było źródłem największych zachwytów?
Upodabniał ich do was gadżet w odbiorniku!

Ludzie jak w transie gapią się w telewizory,
Od Meksyku, przez Francję, aż po Azory.
„Jones” im nie pasuje, choć marzą tak samo;
Państwo Uniwersalni – oto dobre miano!
Herr und Frau Uberall albo *les Partout* – gdy będziesz w potrzebie,

Gadżet w odbiorniku upodobni ich do ciebie.

Nie można zrobić wszystkiego co ekscytujące,
Wspiąć się na Everest, skąpać w Amazonce,
Zostań więc w domu, podróżą się nie męcząc,
Państwo Uniwersalni chętnie cię wyręcą.
Zrobią za ciebie wszystko, cokolwiek ci się marzy,
A gadżet w odbiorniku użyje im twej twarzy.

W butach od Gondoli, futrach, kurtkach, szalach
Nawet mrozów polarnych niestraszna im fala.
Na karaibskiej plaży wygrzewają kości
Posmarowani mleczkiem ze Studia Piękności.
Nieważne, czy skóra biała jest, czy śniada,
Uniwersalnym gadżet waszą barwę nada.

Kiedy Uniwersalni żarcik zapodają,
Prawomyślni ludzie ze śmiechu pękają.
Zawsze są na czasie, zawsze akuratni,
Do bon motów pierwsi, do wpadek ostatni.
Może to być prawda, może być i blaga,
Gadżet ich słowa w wasze usta wkłada!

Engrelay Satelserv, drogi przyjacielu,
Nie działa w tym wypadku zupełnie bez celu.
Z ich punktu widzenia dobrze by się stało,
Gdyby sto milionów ludzi jednako myślało.
Kiedy ktoś coś powie, nie pytacie, kto zacz –
Dzięki gadżetowi to są wasze słowa!

„W kwestii Yatakangu jakie macie zdanie?”.
Takie jak Uniwersalni! Cóż to za pytanie?
„Co w takim razie o Beninii sądzisz?”.
Niech mi podpowiedzą, cenię ich poglądy.
Różne nazwiska, różne świata kraje,
Za sprawą gadżetu myśli takie same.

ciągłość (17)

SKALE CZASU

– Czyj czas jest prawdziwy: jego czy nasz?

Norman nie planował wyartykułowania tego pytania w formie słyszalnej dla wszystkich, ale jego reakcję sprowokował widok olbrzymiej sterty wydruków z Salmanasara, którą przez noc dostarczono do jego gabinetu, oraz uświadomienie sobie procesu, jaki musiał poprzedzić ich powstanie. Żadne urządzenie drukujące, nawet pozbawiona ruchomych części światłodrukarka, w której cieniuteńki promień miniaturowego lasera wypalał słowa na światłoczułym papierze, nie byłoby w stanie nadążyć za mierzonymi w nanosekundach procesami myślowymi Salmanasara. Salmanasar w okamgnieniu rozwiązywał (albo przynajmniej analizował) każdy przedstawiony mu problem, wnioski zapisywał w pamięci podręcznej i brał się za następne wyznaczone zadanie; przełożenie wyników na język zrozumiały dla człowieka zajmowało pięćdziesiąt albo i sto razy więcej czasu.

Elihu zerknął z ukosa na Normana. Obaj mieli oczy zaczerwienione z niewyspania – jeśli człowiek chciał nadążyć za nowoczesnymi technikami przetwarzania informacji, nie mógł marnować czasu na sen.

– No czyj? – zapytał.

Norman roześmiał się z goryczą. Przepuścił starszego od siebie Elihu przodem i zamknął drzwi.

– Przepraszam, znów myślę o Salmanasarze jak o żywej istocie.

Elihu pokiwał głową.

– Chad miał rację: Salmanasar staje się członkiem rodziny GT... A właśnie, co u Chada? Prawdę mówiąc, myślałem, że ten projekt bardziej

go zainteresuje. Kiedy poznaliśmy się u panny Steel, nie dawał mi spokoju, praktycznie przez cały wieczór wypytywał mnie o Beninię.

– Prawie go nie widuję. – Norman obszedł swoje elektroniczne biurko dookoła i kolaniem obrócił sobie fotel w taki sposób, żeby móc na nim usiąść. – Pomieszkuje w pokoju Dona; wydaje mi się, że przez większość czasu bobruje w książkach Dona, których jest tam ze trzy tysiące, ale właściwie poza sporadycznym „cześć” niewiele rozmawiamy.

– Teraz rozumiem, co miałeś na myśli, mówiąc o „prawdziwym czasie” – powiedział Elihu.

Norman zrobił zdziwioną minę.

– To! – Elihu postukał palcem w jedną z trzech trzydziestocentymetrowych stert wydruków, które dopominały się o ich uwagę. – Chcielibyśmy przedyskutować ten beniński projekt, ale nie możemy tego zrobić. Jeżeli nie uwzględnimy wyników analiz komputerowych, wszystko, co powiemy, będzie nieaktualne, zanim zdążymy to wyartykułować, prawda? Istnieją informacje, które mogą wpłynąć na nasze opinie, my zaś wiemy o ich istnieniu, dlatego wolimy nie rozmawiać, dopóki się z nimi nie zapoznamy, a ponieważ Salmanasar pracuje tysiąc razy szybciej od nas, nigdy nie nadgonimy tych zaległości i w efekcie nigdy nie uda nam się naprawdę porozumieć.

– Wspomniałeś o informacjach wpływających na nasze opinie... – odezwał się Norman po chwili wahania.

– Tak?

– Myślisz, że dałbyś mi radę dostarczyć jakichś państwowych danych?

– To zależy. – Elihu usiadł na krześle naprzeciw Normanowi. – Mogę zdobyć wszystko, co bezpośrednio wiąże się z moimi zainteresowaniami, ale w dzisiejszych czasach nawet status ambasadora nie daje nieograniczonych uprawnień.

– Chodzi o Dona. – Norman uśmiechnął się ironicznie. – Pomyślałem o tym, kiedy powiedziałeś o niemożności porozumienia. Całe lata mieszkałem z tym ziomem, rozumiesz, a mimo to jakoś nie udało się nam zaprzyjaźnić. I teraz, kiedy zniknął, tęsknię za nim. Czuję się poniekąd

winny. Chciałbym się dowiedzieć, czy mógłbym podtrzymać z nim kontakt.

– Mógłbym chyba popytać – zgodził się Elihu. – A właściwie to co się z nim stało?

– Myślałem, że wiesz. Bo jeśli nie wiesz, to może nie powinienem... A, pieprzyć to. Jeśli nie można ufać ambasadorowi USA, to komu?

– Tamci nikomu nie ufają. Dosłownie nikomu. – Elihu wzruszył ramionami. – Poza komputerami.

– A ja owszem. – Norman spuścił wzrok na swoje dłonie i z roztargnieniem zaczął wyłamywać palce. – To oficjalna wiadomość sprzed paru dni. Don udał się do Yatakangu w sprawie wagi państwowej.

Elihu przetrawił jego słowa.

– To wiele wyjaśnia – powiedział w końcu. – Zastanawiałem się, jak go zaszufladkować. Chodzi ci o to, że jest jednym z agentów, których Państwo trzyma w rezerwie na wypadek sytuacji uznanej za mało prawdopodobną.

– Tak mi się właśnie wydaje.

– A ostatnio jedynym godnym uwagi wydarzeniem w Yatakangu był ten niesamowity program genetyczny, w który się zaangażowali. Czy to ma jakiś związek z jego wyjazdem?

– Tak przypuszczam. W każdym razie Don jest z wykształcenia biologiem; w doktoracie analizował kwestię przetrwania archetypicznych genów w żywych skamielinach, takich jak latimerie, kraby i miłorzęby.

– Należy domniemywać, że Państwo chce poznać te rzekome techniki genetyczne.

– Zastanawiałem się nad tym. Zastanawiałem się, czy naprawdę nam na nich zależy.

– Jak to?

– Trochę trudno to wyjaśnić... Oglądasz telewizję, odkąd wróciłeś do kraju?

– Sporadycznie... Zresztą od czasu tych doniesień z Yatakangu byłem zarobiony, ledwie udawało mi się zaczepić oko na jakichś wiadomościach.

– To tak jak ja, ale... No dobrze, mam chyba po prostu lepsze rozeznanie w tym, jak rodzą się miejscowe trendy, więc mogę ekstrapolować na

podstawie tych dwóch czy trzech programów, na które się załapałem. – Norman spojrział ponad głowę Elihu w głąb pokoju. – Engrelay Satelserv obejmuje zasięgiem większość Afryki, prawda?

– Całą, powiedziałbym nawet. Anglojęzyczni widzowie są dzisiaj wszędzie, na całym świecie. Może z wyjątkiem Chin.

– To znaczy, że kojarzysz państwa Uniwersalnych?

– Oczywiście. Regularnie występują w spotach autoreklamowych, biorą udział w różnych romantycznych i egzotycznych przedsięwzięciach...

– A miałeś kiedyś spersonalizowany odbiornik? Taki, który nakłada twoją tożsamość na obraz Uniwersalnych?

– Na Boga, nie! Coś takiego kosztuje chyba... nie wiem... z pięć tysięcy dolarów?

– Mniej więcej. Ja też go nie mam. Podstawowa oferta obejmuje pakiet dla pary, a ponieważ jestem kawalerem, to nigdy się tym nie interesowałem. Dlatego u siebie w telewizorze mam standardowego brązowego kinola. – Norman zawiesił głos. – No i... Skandynawkę w roli drugiej połówki. Ale zdarzało mi się oglądać telewizję u znajomych, którzy mają wykupioną pełną usługę, i muszę ci powiedzieć, że jest to z lekka upiorne. Naprawdę trudno to opisać, ale wrażenie, kiedy widzisz swoją twarz i słyszysz swój głos, wmontowane w oryginalny sygnał, jest niesamowite. Nagle widzisz się w ubraniu, którego nigdy nie miałeś, robiącego coś, czego nigdy nie robiłeś, w miejscach, w których nigdy nie byłeś, a na dodatek wszystko odbierasz jak prawdziwe, bo dzisiaj telewizja to jest prawdziwy świat. Rozumiesz? Zdajemy sobie sprawę z rozmiarów naszej planety, więc nie zgadzamy się, żeby nasze osobiste ograniczone horyzonty definiowały rzeczywistość. Znacznie bardziej rzeczywiste jest to, co płynie do nas z telewizora.

– Doskonale to rozumiem. – Elihu pokiwał głową. – Oczywiście ja też oglądałem telewizję u innych i zgadzam się z tobą w kwestii tego, co uznajemy za prawdziwe, ale wydawało mi się, że rozmawiamy o przechwałkach Yatakangu...?

– Ja nie zmieniłem tematu. Masz przystawkę domobrazową do telewizora? Nie, oczywiście, że nie. Ja mam. Działa dokładnie tak samo,

tylko zmienia otoczenie: kiedy... pomyślmy... Już wiem: kiedy w telewizji puszczają coś na podzielonym ekranie, tak jak przy reklamach SKANALIZATORA, jeden z kadrów zawsze jest tak zwanym „partycypantem”: przedstawia państwa Uniwersalnych siedzących u ciebie w domu, z twoją twarzą, oglądających ten sam program, który i ty będziesz za chwilę oglądał. Widziałeś to kiedyś?

– W Afryce ta usługa chyba nie jest jeszcze dostępna. Wiem, o czym mówisz, ale tam w tym kadrze wstawiają taki jakby wyidealizowany dom pełen luksusowych gadżetów.

– U nas też tak było, do czasu. Dzisiaj praktycznie każdy dom w Stanach naprawdę jest pełen luksusowych gadżetów. Słyszałeś definicję nowoubogich według Chada Mulligana? Są to ludzie, którzy do tego stopnia zalegają ze spłatą rat za przyszłoroczny model, że nie stać ich na zaliczkę na model, który będzie dostępny za dwa lata.

Elihu parsknął śmiechem, ale szybko spoważniał.

– To jest tak trafione, że przestaje być zabawne – zauważył.

– Ależ oczywiście, na brodę Proroka! Po imprezie u Guinevere znalazłem chwilę, żeby przekartkować niektóre książki Chada i... Powiem tak: kiedy poznałem go osobiście, ziom zrobił na mnie wrażenie zarozumiałca i bufona, ale teraz uważam, że ma prawo do każdej krztyny tej próżności, z jaką się obnosi.

– Myślałem o tym, żeby zasugerować Państwu zatrudnienie go przy tym projekcie w charakterze doradcy specjalnego, ale kiedy poruszyłem temat w rozmowie w Raphaelem Corningiem, dowiedziałem się, że Państwo za nim nie przepada.

– Dziwisz się? Udało mu się z powodzeniem wykpić wszelką ideę władzy.

– On wcale nie uważa, że mu się udało.

– Z całą pewnością miał znaczący wpływ na opinię publiczną. Może nie zmienił jej w sposób radykalny, ale przecież od czasów Mao żadnemu teoretykowi społecznemu nie udało się jej przewrócić do góry nogami. Sam fakt, że jego książki trafiają na listę lektur uniwersyteckich, oznacza, że jego poglądy są powszechnie znane.

– To samo można powiedzieć o książkach Thoreau albo... Nieważne, odbiegamy od tematu. Powiedziałeś coś o tym, że może nam wcale nie zależeć na tej yatakańskiej technice genetycznej, a potem zszedłeś na państwa Uniwersalnych.

– Fakt, niewiele brakowało, a zapomniałbym, o co mi chodziło. Widziałem już coś podobnego dwukrotnie: raz chodziło o prawodawstwo eugeniczne, drugi raz o kwestię bojowników. Ludzie, którzy przez jakiś czas używają spersonalizowanego telewizora, zwłaszcza wyposażonego w przystawkę domobrazową, zaczynają tracić kontakt z rzeczywistością. Taki przykład: użytkownik powinien mniej więcej raz w roku rejestrować swój nowy wizerunek referencyjny. Ja jednak znam ludzi, którzy przez cztery czy pięć lat z rzędu tylko powielają stare nagranie, żeby móc się oglądać w młodszej wersji. Zaprzeczają upływowi czasu. Żyją w rozwleczonej terażniejszości. Rozumiesz już, do czego zmierzam?

– Do tego, że ludziom, którzy nie potrafią się pogodzić z własnym starzeniem się, nie spodoba się cudzy sukces w kontekście przyszłych pokoleń?

– Otóż to. Inaczej mówiąc, nasz rząd, podobnie jak wszystkie inne, musi albo jak najszybciej dorównać Yatakangowi, albo udowodnić, że to tylko czcze przechwałki. Oczywiście ta druga możliwość byłaby dla Państwa znacznie wygodniejsza, ponieważ zastosowanie ulepszeń tektogenetycznych wobec milionów płodów doprowadziłoby do potężnych wstrząsów społecznych, gorszych niż te, jakie nastąpiły po powołaniu Rad Postępowania Eugenicznego. Nie ma jednak trzeciej drogi. Albo nie uda się powtórzyć sukcesu Yatakangu, albo będzie on w naszym społeczeństwie dostępny tylko dla wybranych; tak czy inaczej nastąpi wybuch niezadowolenia... Czyżbym wyciągał za daleko idące wnioski?

– Raczej nie. – Elihu spróbował opanować odruchowy dreszcz. Bez powodzenia. – Tak jak ci mówiłem, nie oglądam telewizji, ale... Ponieważ zatrzymałem się w hostelu ONZ, znam z pierwszej ręki opinie przedstawicieli setki różnych narodowości i możesz mi wierzyć, że w tej chwili Yatakang jest najserdeczniej znienawidzonym ze wszystkich krajów na świecie, nie wyłączając Chin.

– A teraz najciekawsze. – Norman pochylił się nad biurkiem, jakby chciał w ten sposób podkreślić wagę swoich słów. – Odkąd państwo Uniwersalni przejęli stery, nie było żadnego nowego kryzysu. Pojawili się znienacka we współczesnym świecie, ze wszystkimi jego antypatiami i uprzedzeniami, których korzenie sięgają pokolenie wstecz, a mimo to nie sposób przecenić ich wpływu na opinię publiczną. Dziesiątki, jeśli nie setki milionów ludzi identyfikują się z tą wyimaginowaną parą. Następna kampania prezydencka, zamiast koncentrować się na porównywaniu przeciwstawnych programów politycznych, będzie się kręcić wokół tego, co myślą państwo Uniwersalni. Tyle że kwestia yatakańska zaatakuje pierwsza i, co gorsza, trafi prosto w jaja. Poniżej pasa człowiek nie myśli, człowiek reaguje. Wystarczy, że państwo Uniwersalni powiedzą, że to nie fair, a w ciągu tygodnia wyrośnie nam nowa partia prąca do wojny z Yatakangiem.

Zapadło krótkie milczenie. Na twarzy Normana malowało się coś w rodzaju cierpienia. Elihu przez chwilę jej się przyglądał, zanim wreszcie przemówił:

– To niewiarygodne, jak bardzo się zmieniłeś przez te kilka dni, odkąd się poznaliśmy.

– Jak to? O co ci chodzi?

– Złożenie przodka na zasłużony odpoczynek ogromnie ci posłużyło. Wyobrażam sobie, że dwa tygodnie temu rechotałbyś do rozpuku z konsternacji białodupców w obliczu dokonanego przez żółtków przełomu. A teraz najbardziej martwi cię fakt, że ludziom nie będzie dane samodzielnie i bezstronnie ocenić zagadnienia, bo zostaną wtłoczeni w schemat głupich reakcji emocjonalnych.

– Całe moje życie jest jedną wielką reakcją emocjonalną – odparł Norman, nie patrząc na swojego rozmówcę. – Proponuję zostawić ten temat w spokoju i skupić się na bieżących sprawach.

Wziął do ręki pierwszy spięty plik wydruków i przekartkował jasnozielone stronicę. Kolor zielony oznaczał, że Salmanasar przetwarzał podsunęty mu materiał jako hipotezę; gdyby wprowadzono dane rzeczywiste, wydruk miałby kolor jasnoróżowy.

– Co wynika ze streszczenia? – zainteresował się Elihu.

– Że się uda – odmruknął Norman. Odłożył kartki na bok i zaczął przeglądać pierwsze strony następnych dokumentów. – Tutaj tak samo, tu też, tu też... „Na podstawie przyjętych założeń wynik prognozy jest pozytywny”.

– Miło wiedzieć, że mamy jednak coś po swojej stronie – zauważył oschle Elihu.

Wziął długopis i zaczął sporządzać schludną tabelę z wyszczególnieniem tych elementów benińskiego przedsięwzięcia, które Salmanasar uznał za realne.

Komputer przejrzał nawet – i poprawił – projekty ogłoszeń o naborze dawnego personelu kolonialnego.

Świat tu-i-teraz (10)

KWAŚNE WINOGRONA

– Lekarze i pielęgniarki ze wszystkich stu wysp tłumnie przybywają do Gongilungu, żeby dołączyć do niesamowitego projektu pod kierownictwem doktora Sugaiguntunga. Grupy personelu medycznego spędzają na Placu Wolności nawet po kilka godzin, w nadziei ujrzenia marszałka Solukarty w jednym z okien pałacu i złożenia mu osobiście podziękowań za zapoczątkowanie tej nowej, wspaniałej epoki. Jak wyjaśnił Przywódca w wyemitowanym wczoraj wieczorem orędziu, realizacja tego cudownego, jedyne w swoim rodzaju programu musi potrwać, należy się jednak spodziewać, że rozpocznie się na początku przyszłego roku. Tysiące mężów w całym Yatakangu zgłaszają się na operację wazektomii, tłumacząc, że po tym, jak przedstawiono im szansę optymalizacji populacji kraju, nie chcą płodzić niepełnowartościowych progenów.

Delhi, Indie: W dniu dzisiejszym rzesza około czterdziestu tysięcy ludzi, z przedstawicielami Ligi Rodziców Dzieci Okaleczonych i Upośledzonych na czele, przez sześć godzin oblegała ambasadę Yatakangu. Policja musiała użyć gazu łzawiącego i usypiającego, żeby rozproszyć tłum.

– Przewodniczący Yung przesyła marszałkowi Solukarcie gratulacje i wyraża nadzieję, że ogłoszony niedawno przez profesora doktora Sugaiguntunga przełom w naukach medycznych stanie się niebawem dostępnym dla wszystkich mieszkańców Azji. Wprawdzie Chiny poczyniły ogromne postępy w dziedzinie odżywiania, higieny i genotypowania,

zapewniające ich mieszkańcom miano najzdrowszych i najsilniejszych na świecie, to jednak jako wielki sojusznik ludu yatakańskiego z najwyższą radością powitają i zaczną stosować w praktyce owoce tego niezwykłego azjatyckiego osiągnięcia.

Sztokholm, Szwecja: Wczoraj wieczorem na ulice wszystkich miast w kraju mogącym się poszczycić najstarszym i najsurowszym prawodawstwem eugenicznym wyległy tłumy bezradnych alkoholików, lamentujących nad swoją bezdzietnością. Jak podaje narodowa korporacja alkoholowa, seniorzy w wieku siedemdziesięciu lub osiemdziesięciu lat, przemieszani z niedawno wysterylizowanymi młodymi ludźmi, do cna osuszyli magazyny akwawitu w Sztokholmie, Malmö i Göteborgu. Podczas zamieszek, jakie następnie wybuchły, obyło się bez ofiar śmiertelnych.

– Zaszyfryzowany najtajniejszym szyfrantem przekazany osobiście przez zaufanego posłańca Jogajong donosi najniekorzystniejszy efekt propagandowy oświadczenia, cytuję, fantastyczny, koniec cytatu.

Londyn, Anglia: We wtorek spodziewane jest wystąpienie ministra zdrowia w Izbie Gmin.

Johannesburg, Afryka Południowa: Nathan Mdlele, samozwańczy „lekarz” prowadzący w mieście praktykę, został aresztowany pod zarzutem oszustwa po tym, jak opublikowano ulotki reklamowe, w których utrzymuje, że potrafi stosować prenatalną technikę Sugaiguntunga.

– Nie interesuje mnie, co mówią, fakt pozostaje faktem: Larry nie jest taki bystry jak reszta progenów w jego klasie. Wiem, że obiecałem, że postaramy się o drugie, kiedy tylko dostanę podwyżkę, ale nie chcę mieć drugiego tępaka w rodzinie! Nie teraz, kiedy można sobie zamówić geniusza!

Port Moresby, Nowa Gwinea: Kilkuset mężczyzn i kobiet, którym miejscowe przepisy eugeniczne zakazują rodzicielstwa, wyruszyło dzisiaj drogą morską do Gongilungu, gdzie zamierzają ubiegać się o prawo do terapii Sugaiguntunga. Świadców opisujący ogarniającą cały kraj falę hysterii porównują ją do historii rozprzestrzenienia się kultów cargo w ubiegłym stuleciu.

Ateny, Grecja: Agenci popularnego idola telewizyjnego Hectora Yannakisa wystąpili dzisiaj z mocnym przekazem reklamowym: Yannakis jest gotowy osobiście podjąć się ulepszenia populacji, pod warunkiem, że laski korzystające z jego usług będą, cytuję, w miarę atrakcyjne, koniec cytatu. Żywiolowa reakcja fanek gwiazdora przyćmiła oburzenie jego złym gustem.

– Sto tysięcy baksów bez gwarancji, że się uda? Zwariowałeś?! W Yatakangu robią to za pieniądze z ubezpieczenia!

Alice Springs, Australia: Tutejsze szpitale przeżywają najazd niepokieszonych abo, którym fanatyczny kaznodzieja Napoleon Boggs podczas niedawnego *corroboree* obiecał, że będą mogli otrzymać białe dzieci. Niektórzy przemierzali w tym celu pieszko setki kilometrów – na próżno. W wydanym dziś oświadczeniu Boggs wyjaśnia, że chciał w ten sposób podkreślić niższy status aborygenów we współczesnej Australii.

– Spójrz na siebie, niezdaro! Co mi po tym, że jest ci przykro?! To był drogi prezent; kiedy powiem ciotce Mary, że stłukłeś go od razu pierwszego dnia, wścieknie się. Dlaczego musiałam założyć rodzinę, zanim mogłam mieć pewność, że moje progeny będą w stanie same o siebie zadbać?!

Tokio, Japonia: Mimo wzmożonej aktywności policji, która przez całą dobę patroluje miasto, we wszystkich większych świątyniach shintoistycznych wciąż dochodzi do samobójstw mężczyzn, którym

z powodu wad genetycznych odmówiono ojcostwa. W jednej ze świątyń, która po piątym takim wydarzeniu została zamknięta dla osób postronnych, mężczyźni udało się wspiąć na zawieszony na wysokości dwudziestu metrów dach i skoczyć w dół głową naprzód.

Portland, Oregon: Dzisiaj rano bojownicy uzbrojeni w termit, napalm i materiały wybuchowe zaatakowali w biały dzień siedzibę lokalnej Rady Postępowania Eugenicznego. Kiedy na miejscu pojawiła się policja, wiwatujący tłum ułatwił ucieczkę bojownikom, rozlewając się po ulicach i blokując przejazd radiowozów.

– Jedną z technik, które według ekspertów zostaną wykorzystane w Yatakangu, jest tak zwane „klonowanie”. Polega to na tym, że pobiera się jądro z jakiejś komórki ludzkiego ciała i wkłada się je do komórki jajowej, która następnie zaczyna się rozwijać. Skoro potrafiał coś takiego, to dlaczego nie miałabym urodzić twojego dziecka? I żaden zakichany samiec nie byłby do tego potrzebny!

Moskwa, Rosja: Studenci tutejszego uniwersytetu, którzy po ukończeniu nauki w lecie tego roku będą mieli do wyboru – jak zwykle – poddać się sterylizacji albo przeprowadzić do jednego z Nowych Miast Syberyjskich, zorganizowali całonocny strajk okupacyjny głównego laboratorium nauk biologicznych. Chcą w ten sposób wyrazić swoje niezadowolenie z faktu, że w tak kluczowej dziedzinie nauki, jaką jest tektogenetyka, Rosja pozwoliła się wyprzedzić takiemu stosunkowo słabo rozwiniętemu państwu jak Yatakang.

Monachium, Niemcy: Gerhard Speck, przywódca wpływowej Aryjskiej Brygady Czystości, oświadczył w ogłoszonym na wiecu przemówieniu, że gdyby nie włączenie Niemiec w skład Wspólnej Europy, kraj dawno zostałby zaludniony przez przedstawicieli czystej rasy nordyckiej, cytuję, bez żadnych kundli i barbarzyńskiego plugastwa, koniec cytatu.

– Przerwałam ciążę. Według Amerykanów twoja wada genetyczna jest na tyle poważna, że przekazanie jej progenom byłoby sprzeczne z prawem. Nie planuję już dziecka ani z tobą, ani z nikim innym. Mój drugi progen będzie zoptymalizowany, tak jak to robią w Yatakangu.

Waszyngton: Prezydent oświadczył dziś na konferencji prasowej, że według opinii jego doradców zapowiedziany przez władze Yatakangu program optymalizacyjny to pusty gest propagandowy, cytuję, przechwałka, której realizacja nawet w znacznie zamożniejszym kraju, jakim są Stany Zjednoczone, nie wchodzi w grę przynajmniej do końca tego stulecia, koniec cytatu.

Paryż, Francja: Piastujący stanowisko Przewodniczącego Rady Wspólnej Europy doktor Władysław Koniecki z Polski oświadczył, że twierdzenia Yatakangu nie mają oparcia w faktach, program zaś byłby, cytuję, niemożliwy do zrealizowania nawet przy połączeniu sił i środków wszystkich naszych krajów, koniec cytatu.

– Co za pomierzwiony urzędas z Biura Eugenicznego! Sam ma pewnie genotyp tak zapaskudzony, że nadawałby się na maseczkę błotną! Założę się też, że ma progeny; jak się zajmuje takie stanowisko, to na pewno można wiele załatwić, prawda?

Caracas, Wenezuela: W komunikacie zwiastującym spektakularną zmianę dotychczasowej polityki przedstawiciele Agencji Olive Almeiro, słynnej na cały świat portorykańskiej instytucji adopcyjnej, ogłosili, że mają dostęp do kastylijskich komórek jajowych z hiszpańskiego źródła, które po zamrożeniu mogą zostać przesłane ekspresem na drugą stronę Atlantyku, a następnie wszczepione, cytuję, matce, koniec cytatu. Potwierdza to wcześniejsze przewidywania, że nowe portorykańskie prawo zada śmiertelny cios wszystkim hodowcom dzieci na całym terytorium Stanów Zjednoczonych.

Madryt, Hiszpania: Papież Eglantyn potępił yatakański program genetyczny jako kolejną bluźnierczą ingerencję w Dzieło Boże i zagroził wiecznym potępieniem wszystkim katolikom w Yatakangu, którzy ośmielią się z niego skorzystać. Partia rojalistów wydała w trybie nagłym dekret, zgodnie z którym – jeśli tylko zostanie jutro zatwierdzony przez Kortezy – oddawanie komórek jajowych z przeznaczeniem na eksport będzie karane śmiercią.

– Ależ kochanie, głupstwa gadasz! Może i nie mamy Salmanasara, ale i tak dysponujemy jednym z najlepszych komputerów na świecie, który przeanalizował wszystkie dane i oświadczył dzisiaj, że Yatakang nie będzie w stanie dotrzymać swojej obietnicy. To jeden wielki blef... Ty mnie w ogóle nie słuchasz, prawda? Po co ja się tak produkuję...

Kair, Egipt: W przemówieniu skierowanym do pielgrzymów udających się do Mekki rzecznik rządu potępił yatakański program genetyczny jako, cytuję, bezczelne kłamstwo, koniec cytatu.

Hawana, Kuba: Podczas uroczystych obchodów rocznicy śmierci Fidela Castro kubański minister rodzicielstwa i opieki publicznej oskarżył rząd Yatakangu o, cytuję, celowe wprowadzanie w błąd upośledzonych społecznie i ekonomicznie mieszkańców naszego globu, koniec cytatu. Został wygwizdany przez publiczność i zmuszony do zejścia z mównicy.

– Kurzeszmac, Frank! Ja tego tym krwawicielom nie daruję! Utknęliśmy w tej przeklętej przez Boga dziurze, a mogliśmy zostać w domu, wśród przyjaciół. Nawet gdyby nie udało się nam użyć jądra z twojej komórki, moglibyśmy pobrać je z mojej i przynajmniej mieć córkę, prawda?

Port Mey, Beninia: W orędziu z okazji Dnia Niepodległości prezydent Obomi, który pozostaje bezdzietny, oświadczył, że bez względu na potencjał terapii yatakańskiej nie mógłby sobie wyobrazić lepszej rodziny

dla siebie niż lud, którym od tak dawna rządzi. Prezydent podkreślił także, że według najnowszych prognoz lekarskich pozostało mu niewiele życia.

Berkeley, Kalifornia: Bennie Noakes siedzi przed telewizorem nastawionym na SKANALIZATOR i powtarza w kółko:

– Jezu, ależ ja mam wyobraźnię!

(Ojcowie zjedli kwaśne winogrona, a zęby ścierpły synom.

– Księga Ezechiela 18:2)

na zbliżeniu (16)

POSŁANIEC NOWINY UNIWERSALNEJ MIŁOŚCI

– Gdzie ta pani, która tak niefortunnie straciła dziecko? – spytał Henry Butcher, zwracając się do siostry oddziałowej.

Zmęczona pielęgniarka podniosła wzrok na stojącego przed nią jowialnego grubaska. Bruzdy znużenia na jej twarzy przeobraziły się w zmarszczki wesołości.

– Cześć, Henry. Śmiało, możesz wejść... Na pewno chętnie usłyszysz jakieś współczujące słowo. Blondynka, trzecie łóżko od prawej.

– Dawno chyba nie mieliście takiego przypadku, co?

– O tak. To pierwszy, odkąd tu pracuję, a będzie już prawie jedenaście lat. Laboratorium patologiczne bada, co poszło nie tak.

– Wszystko zapowiadało się normalnie?

Pielęgniarka rozsiadła się na krześle, postukując czubkiem wypięłgnowanego paznokcia w jeden z białych zębów.

– Tak mi się wydaje – przytaknęła z namysłem. – To znaczy, był konflikt serologiczny, ale kiedyś takie sprawy załatwiano się rutynowo: transfuzja krwi przed porodem, a dalej wszystko szło jak po maśle.

– Konflikt serologiczny? – powtórzył Henry.

– No tak... Wiesz chyba, o co chodzi. A przynajmniej powinieneś, skoro pracujesz w banku krwi.

– Ależ wiem, wiem, na czym to polega. – Poważny wyraz nie pasował do pocziwej twarzy Henry'ego. – Dziwię się tylko, że osobom z różnym Rh nadal pozwala się mieć dzieci.

– U nas nie, ale dziewczyna pracuje gdzieś w Afryce. Mąż odesłał ją do kraju specjalnie po to, żeby urodziła w porządnym szpitalu. A my nie

możemy odprawić przyszłej matki z kwitkiem tylko dlatego, że dziecko zostało poczęte niezgodnie z naszym prawem.

– Naturalnie... Cóż, smutne to wszystko. Zajrzę na oddział i zobaczę, czy uda mi się ją jakoś rozweselić.

Uśmiechnięta pielęgniarka odprowadziła go wzrokiem, kiedy wychodził z dyżurki. Jego sterylne kombinezon z białej folii połyskiwał wilgotno w świetle lamp; ocierające się o siebie uda wydawały *szur-plask* przy każdym kroku. Jak to miło z jego strony, zadaje sobie tylu trudu dla całkiem obcej kobiety, pomyślała. Cały on.

Wszyscy w szpitalu lubili Henry'ego Butchera.

* * *

Spędziwszy kilka minut z matką nieżyjącego dziecka, dał jej jedną ze swoich inspirujących broszurek; obiecała ją przeczytać. Broszurka była podzielona na rozdziały opatrzone takimi tytułami jak *Kochaj bliźniego swego* i *Prawda cię wyzwoli*. Przez ten czas jego przerwa obiadowa dobiegła końca, wrócił więc do banku krwi, gdzie pracował, pogodnie witając się ze wszystkimi napotkanymi po drodze ludźmi.

Podczas jego nieobecności spłynęło nowe zamówienie: wybrać dawców i przygotować sto fiolek z etykietami do rutynowego poboru krwi. Przejrzał kartotekę i dokonał wyboru odpowiedniej partii obiektów według nazwisk, wieku i grup krwi. Przygotował też i opisał odpowiednią dla każdej grupy liczbę etykiet, powiększoną o dziesięć procent na wypadek nieprzewidzianych przeszkód. Zrobił sobie krótką przerwę, żeby wydać dwie buteleczki krwi grupy o sanitariuszce z oddziału położniczego, a potem przyrządził mieszanek kwasu cytrynowego i soli i odmierzył odpowiednią jej ilość do każdej z fiolek. Roztwór miał zapobiegać krzepnięciu krwi w magazynie.

Na koniec – upewniwszy się, że nikt nie patrzy – po kolei ponakłował igłą od strzykawki gumowe korki wszystkich fiolek i z promiennym uśmiechem wstrzyknął do środka po sto miligramów roztworu odjazdyny.

Długo nie mógł wpaść na ten pomysł. Bardzo długo. Wielokrotnie z powodzeniem demonstrował publicznie słuszność swojego bezcennego credo – zwłaszcza w tamten niedzielny poranek, gdy udało mu się posmarować prawdomówką krawędź pulpitu w katedrze, dzięki czemu biskup chociaż raz powiedział szczerą prawdę zamiast swoich tradycyjnie zawoalowanych kłamstw – ale dopiero niedawno odkrył ten nowy, znacznie skuteczniejszy sposób wystawiania ludzi na działanie panaceów, w które wierzył.

Nie wyobrażał sobie, że mógłby kogoś nienawidzić – ciepła poświata psychodelików wypłukała z jego osobowości wszelką nienawiść. Byli jednak tacy ludzie, także wśród personelu tego szpitala, którzy twierdzili, że uniwersalna miłość nie może przybierać postaci chemicznej. Niby dlaczego nie, na wszechświat? Przecież nawet w chrześcijańskiej tradycji przybieranie przez Miłość postaci chleba i wina było czymś zupełnie zwyczajnym...

Oczywiście bardzo mu było żal, że dziecko zmarło; musiało dostać za dużą dawkę. Cień prześliznął się po okrągłym, uśmiechniętym obliczu Henry'ego, ale po krótkiej chwili się rozwiązał. Pielęgniarka powiedziała, że to pierwszy taki przypadek odkąd tu pracuje, czyli od jedenastu lat. Następny nie zdarzy się w przewidywalnej przyszłości, może nawet nigdy się nie zdarzy, zwłaszcza po tym, jak zakazano płodzenia progenów obarczonych ryzykiem konfliktu serologicznego.

Dokończył dzieła, starannie opłukał i wysuszył strzykawkę (widział, jak to robią lekarze w szpitalu), i odłożył ją na miejsce, do pokrowca. Zamknął na klucz buteleczkę z odjazdyną, z której wcześniej pobrał niezbędną jej ilość, i pogwizdując, zaczął przygotowywać fiołki do wysyłki.

Któż by nie pogwizdywał, wiedząc, że każdy pacjent wymagający transfuzji krwi będzie od tej pory doświadczał zsyłanego przez odjazdynę cudownego, poszerzającego horyzonty objawienia?

Mniej więcej pół godziny później młody patolog, który badał sprawę tajemniczej śmierci dziecka, przyszedł i poprosił o butelkę krwi grupy o. Henry wydał mu ją, a potem ogromnie się zdziwił, gdy patolog wrócił

i wyrznął go w podbródek z taką siłą, że Henry poleciał do tyłu i przewrócił cały stos skrzyń z buteleczkami.

Jeśli zaś chodzi o policjanta, który przedstawił mu oficjalny zarzut morderstwa, Henry nie był w stanie uwierzyć, że taki człowiek może istnieć naprawdę.

ciągłość (18)

MURY TROI

Wrogość, jaką Donald odczuwał po powrocie do zwyczajnego świata, wcale nie była złudzeniem. Emanowali nią wszyscy niedoszli pasażerowie stłoczeni w awaryjnym ekspresporcie tymczasowo obsługującym region LA. Była to właściwie baza wojskowa, pośpiesznie opróżniona ze sprzętu, którego cywile nie powinni oglądać, i stale patrolowana przez uzbrojonych strażników. Ludzie, którym pokrzyżowano plany podróży, byli wściekli na opóźnione i przekierowywane samoloty, do tego głodni i spragnieni, bo wojskowe stołówki nie zapewniały takiej obsługi jak restauracje na normalnym lotnisku, a na dodatek niepewni, czy ich loty w ogóle się odbędą, ponieważ ekspresy lądujące w bazie z hukiem przekraczały barierę dźwięku tuż nad obszarem zabudowanym, którego mieszkańcy zamierzali ponoć wystarać się o sądowy zakaz lotów. Pasażerowie szukali kogoś, na kim mogliby wyładować swoją frustrację, zatem Donald – który pojawił się wśród nich uzbrojony w zezwolenia otwierające mu wszystkie drzwi, za które oni nie mieli wstępu – stał się naturalnym celem.

Ich uczucia obchodziły go mniej niż wiadro wielorybiej mierzwy.

Trochę bolała go głowa. Jeden z wielu kolejnych instruktorów w obozie na wodzie, którzy przekazywali go sobie jak maszynę na linii montażowej, uprzedzał go, że takie objawy mogą się powtarzać w odstępach od tygodnia do dwóch, ból jednak nie był na tyle dokuczliwy, żeby zakłócić główne przepelniające go uczucie.

Donald pęczniał z dumy. Donald Hogan, który przeżył poprzednie trzydzieści cztery lata, przestał istnieć, ale nie była to wielka strata. Był biernym odbiorcą, zwykłym pojemnikiem zapelnianym danymi

z zewnątrz, który sam nie wnosił nic do rozwoju wydarzeń; skryty, samowystarczalny, do tego stopnia neutralny, że nawet Norman House, jego współlokator, w napadzie szału wyzywał go od anemicznych, bezbarwnych zombich.

Nawiasem mówiąc, opinią Normana też już się nie przejmował. Odkąd zdał sobie sprawę ze swoich uśpionych talentów, niecierpliwie wyczekiwał chwili, gdy będzie mógł spuścić je ze smyczy.

Przy jednym z wielu składanych stolików rozstawionych w hangarze pełniącym rolę sali dla pasażerów tranzytowych znużony urzędnik obejrzał jego dokumenty.

– Do Yatakangu, hmm? Pewnie zamierza się pan zoptymalizować!

– Ja? Nie, ja nie narzekam. Moje ciało i umysł funkcjonują nie najgorzej. Za to pan wygląda mi na człowieka, który odkłada pieniądze na bilet.

Przez chwilę Donald myślał, że tamten go uderzy. Twarz urzędnika zapalała ciemną czerwień, kiedy ze wszystkich sił próbował zapanować nad sobą. Nie będąc w stanie wykrztusić ani słowa więcej, z trzaskiem podłożył dokumenty najpierw pod obiektywy kamer, potem pod maszyny stemplujące, i machnięciem ręki dał Donaldowi znak, że może przejść dalej.

– Nie powinien był pan tak mówić – mruknął urzędnik przy sąsiednim stoliku, gdy Donald mijał go w odległości dostatecznie małej, żeby usłyszeć szept.

– Słucham?

Urzędnik upewnił się, że jego kolega znów jest zajęty i nie słucha.

– Nie powinien był pan tak mówić – powtórzył. – Ożenił się z dziewczyną bez dopasowania genetycznego. Pierwszą ciążę musieli usunąć. Różowa kropka.

Dziedziczna schizofrenia. Donald wzruszył ramionami.

– Myślałem, że pana uderzy – dodał urzędnik.

– Gdyby to zrobił, nigdy więcej nikogo by już nie uderzył – odparł z uśmiechem Donald. Cudownie było wiedzieć, że jest to coś więcej niż przechwałka. To była obietnica. – Nie ma pan co robić? – zapytał po chwili milczenia.

Urzędnik, z marsem na czole, zajął się obsługą następnego pasażera.

– Yatakang? – spytał główny steward na pokładzie ekspresu, młody, elegancki dwojaczek z opadającymi na ramiona biseksownymi lokami. – Pan Hogan, jak się domyślam; jedyny pasażer do Yatakangu... – Zerknął na trzymaną w rękach listę. – Tak, zgadza się. Oto numer pańskiego miejsca. Życzę miłego lotu. Zajrzę jeszcze do pana przed startem.

I podał Donaldowi plastikową przywieszkę.

Donald wziął ją od niego i wszedł w głąb ponurej trumny pojazdu. Sadowiąc się wśród przypadkowych, anonimowych współpasażerów, przypomniał sobie napomnienie Delahanty'ego, że powinien uzupełnić luki w swojej wiedzy na temat ostatnich wydarzeń. Kiedy steward zakrzętnął się wokół pasażerów, demonstrując w ten sposób osławione „osobiste podejście do klienta”, którym chełpiła się linia lotnicza, Donald odpowiedział twierdząco na pytanie, czy czegoś sobie życzy.

– Powiedział pan, że jestem jedynym pasażerem udającym się do Yatakangu, zgadza się?

Trzepot długich rzęs i machinalny uśmiech.

– Tak, proszę pana.

– Często tak jest?

– Prawdę mówiąc, proszę pana, to po mojemu jest tak: gdyby nie wynikający z obowiązującej nas umowy koncesyjnej obowiązek co najmniej jednego lądowania w Gongilungu dziennie, to nie zawracalibyśmy sobie tym głowy. Tylko że to ma jakiś związek z udostępnieniem przestrzeni powietrznej... Jeśli pan chce, mogę wypytać kapitana o szczegóły.

– Szkoda zachodu. Ale... Naprawdę nikt nie lata ostatnio do Yatakangu? Spodziewałbym się raczej, że po tej sensacyjnej nowinie sprzed paru dni...

– Ma pan na myśli dziennikarzy? Takich jak pan? Przykro mi, nikt taki nie rzucił mi się w oczy – odparł steward lodowato.

Donald westchnął. Wszystko było w porządku, dopóki etyka zawodowa i poszanowanie prywatności obowiązywały tylko kilka wyspecjalizowanych grup, takich jak lekarze czy księża. Kiedy jednak wszyscy zaczęli się zachowywać podobnie, stawało się to trudne do zniesienia.

- Mam ze sobą politel. Mogę go używać podczas lotu?
- Przykro mi, to zabronione, proszę pana. Ale mogę przełączyć kanał nadający skrót wiadomości na ekran wbudowany w fotel.
- Bardzo proszę. A jeśli macie na pokładzie jakieś w miarę świeże gazety, chętnie je przejrzę.
- Zobaczę, co się da zrobić, proszę pana. Czy to wszystko?

* * *

Steward z rumieńcem na twarzy wrócił, kiedy holowniki zaczęły prowadzić maszynę na pochylnię startową.

– Przykro mi – powiedział przepaszającym tonem – znalazłem tylko jedną wczorajszą gazetę i jedną dzisiejszą.

To i tak było więcej, niż Donald się spodziewał. Mruknął „dziękuję” i rozłożył gazety – starsza z nich zaczynała się już rozpadać, w zgodzie z federalnym prawem antyśmieciowym, które zabraniało produkcji druków ulotnych na trwałym materiale dla celów innych niż archiwizacyjne. Przeglądając ją ostrożnie, szukał materiałów związanych z wydarzeniami w Yatakangu.

Znalazł tylko jedną taką notkę, opartą na doniesieniach agencji Video-Asia Reuters, jednej z wielkich rywalek Engrelay Satelserv. Nie było w tym nic dziwnego, rzecz jasna. Współczesne gazety, nie mogąc konkurować z wiadomościami telewizyjnymi, były w dziewięćdziesięciu procentach wypełnione błahostkami i obszernymi artykułami. Ba, większość z nich, w tym także szanowany *Times* z Nowego Jorku i Londynu, przeniosła do telewizji większość treści. Z lektury dowiedział się tylko tyle, ile i bez niej mógłby wydedukować: mieszkańcy Yatakangu chcieli wierzyć swojemu rządowi i nie obchodziło ich, czy jego przechwałki są przesadzone, czy nie.

Przewrócił stronę – i w tym samym momencie gazeta się rozpadła, obsypując go skrawkami żółknącego papieru. Zaklął i wcisnął resztki w otwór wbudowanego w fotel całośmietnika.

Chwilę później rozległ się komunikat o starcie i Donald musiał poczekać z następną gazetą, aż ekspres zacznie się wznosić po krzywej balistycznej.

Tym razem znalazł całą stronę poświęconą kwestii optymalizacji – wiadomość agencji informacyjnej z Gongilungu o tym, jak mieszkańcy innych wysp archipelagu zbierają dobrowolne datki, które umożliwią lekarzom i pielęgniarkom udanie się do stolicy na szkolenie u samego Sugaiguntunga, oraz kilkanaście doniesień o reakcji zagranicy. Wyglądało na to, że opinia publiczna nie zgadza się z werdyktem ekspertów, skoro minister kubańskiego rządu został wygwizdany podczas wiecu z okazji urodzin Castro...

Donald zmarszczył brwi. W tych doniesieniach krył się jakiś głębszy schemat, ale ból głowy, który znów dał znać o sobie, nie pozwalał mu się skupić. Dawny Donald puściłby problem luzem, żeby paść się swobodnie na jego podświadomości, ale nowy Donald nie miał tyle cierpliwości. Zamiast przeżuwać zagadnienie, wepchnął gazetę do całosmietnika i włączył skrót wiadomości.

Na wbudowanym w fotel z przodu miniaturowym ekranie wyświetliła się seria krótkich filmików z komentarzem dostępnym przez słuchawki. Oglądał je z całą koncentracją, na jaką było go stać. Włączył się w zapętłony przekaz tuż przed serwisem sportowym i musiał czekać cztery minuty, aż po autoreklamie kanału telewizyjnego cykl rozpocznie się od nowa, wtedy zaś okazało się, że serwis – przygotowany przez personel tej samej gazety, którą przed chwilą wyrzucił – zawiera niemal dokładnie te same materiały.

Poirytowany sięgnął do wyłącznika, gdy nagle jakość obrazu wyraźnie się pogorszyła i na ekranie pojawiła się plansza z wyjaśnieniem, że na skutek powiększającej się odległości od LA nastąpi przełączenie na serwis satelitarny. Licząc na to, że linia lotnicza korzysta z usług któregoś z liderów rynku informacji, takiego jak Engrelay Satelserv, Donald cofnął rękę.

I dobrze zrobił. Niemal od razu na ekranie pojawiły się znajome postaci państwa Uniwersalnych. Musiał to być program przeznaczony specjalnie dla pasażerów ekspresu – państwo Uniwersalni byli pokazani od tyłu, na tle wnętrza pojazdu identycznego jak ten, którym leciał Donald. Nigdy się nad tym nie zastanawiał, ale wydawało się całkiem logiczne, że po wypracowaniu silnej identyfikacji widzów ze swoim produktem – poprzez

sprzedaż mnóstwa spersonalizowanych odbiorników z przystawką domobrazową – firma woli nie przypominać klientom, którzy naprawdę bywają w różnych egzotycznych miejscach, że państwo Uniwersalni to po prostu dwoje modeli.

Steward nastawił wyświetlacz na odbiór wersji przeznaczonej dla białych, co w pierwszej chwili zaskoczyło Donalda. Po tym, jak zamieszkał z Normanem, zgodził się na propozycję wymiany telewizora na nowszy model, w którym nigdy nie chciało mu się zmieniać standardowego aframskiego ustawienia. Przywykł więc do tego, że pan Uniwersalny jest Aframem, jego żona zaś jedną z typowych dla Normana skandynawskich lasek. Oglądana w tej chwili „biała, krępa, młoda, dojrzała” wersja pana Uniwersalnego stanowiła dziwny zgrzyt.

Irytowało go, że tak bardzo przejmuje się czymś, co w gruncie rzeczy jest tylko komercyjnym wytworem wyobraźni, bardziej pasującym do jego poprzedniego życia. Nowy Donald Hogan zamierzał tworzyć wiadomości, zamiast w nich występować.

Twórcy programu chyba czytali mu w myślach, bo nagle na ekranie pojawiła się jego twarz. Myślał, że to jakieś złudzenie, dopóki komentarz nie wyprowadził go z błędu:

– Donald Hogan! – rozbrzmiał mu w uszach cichy głosik. – Najnowszy wysłannik specjalny Engrelay Satelserv!

Kurzeszmac, skąd oni wytrzasnęli te filmiki?

W jednej chwili młodszy Donald Hogan szedł ulicą w Nowym Jorku, w następnej wpatrywał się w odległe góry (to z wakacji w Sun Valley, sprzed pięciu lat), chwilę później – bardziej znajoma scenka – wsiadał na pokład ekspresu, którym parę dni wcześniej przybył z Nowego Jorku do Kalifornii.

– Zatrudniony przez Engrelay Satelserv jako ekspert od genetyki i zagadnień dziedziczności, Donald Hogan w waszym imieniu udaje się do Yatakangu!

Migawki z Gongilungu: scenka uliczna, perkoczący głośno katamaran w drodze z jednej wyspy na drugą, tłum zgromadzony na urokliwym placu.

– Yatakang jest dzisiaj na ustach wszystkich mieszkańców naszego globu! Zaprogramujcie autokrzyki na nazwisko Donalda Hogana, którego doniesienia z Gongilungu już od jutra w naszych serwisach informacyjnych!

Nie wierzył własnym oczom. Musieli traktować to jak prawdziwą sensację, jeżeli byli gotowi wykroić czas na zapowiedź nawet z dziesięciominutowego skrótu wiadomości! Cechująca nowego Donalda pewność siebie wyparowała bez śladu. W euforii, jaka ogarnęła go po niedawnej pedekizacji, wyobrażał sobie, że stał się nowym człowiekiem, nieskończenie lepiej przygotowanym do tego, żeby zmieniać świat, ale implikacje tej kosztownej reklamy dały mu do myślenia. Jeżeli Państwo było gotowe posunąć się tak daleko w maskowaniu jego prawdziwej tożsamości, musiał być zaledwie maleńkim elementem planu, w który są zaangażowane tysiące ludzi. Państwo nie wydaje rozkazów wpływowym korporacjom w rodzaju Engrelay Satelserv, jeśli nie ma ku temu dobrych powodów.

Pozbawione znaczenia zwroty pojawiały się, rozdzielały i dobijały do jego świadomości – wszystkie wydawały się związane z bieżącą sytuacją, a jednak nie tworzyły spójnej całości.

Na imię mi „legion”.

Obawiam się Greków, nawet gdy niosą dary.

Kary za niegodziwość ojców zesłane będą na synów.

Powiedz no, umiesz zajrzeć w głąb nasion czasu?

Więc to oblicze wysłało na morze tysiąc okrętów i zniszczyło ogniem wieże Ilionu, pozbawione szczytów?*

Desperacko usiłował zrozumieć znaczenie tych fragmentów, aż w końcu dotarło do niego, co podświadomość – być może – próbuje mu przekazać.

Dzisiaj nagrodą nie jest zdobycie pięknej kochanki, lecz posiadanie ładnych progenów. Nieosiągalna Helena kryje się w łonie matki; każda kobieta marzy o tym, by ją urodzić. A od niedawna wiadomo, gdzie jej szukać – mieszka w Yatakangu, ja zaś zostałem wysłany na jej poszukiwanie. Mam ją sprowadzić lub orzec, że jej uroda jest kłamstwem;

w razie potrzeby zaś uczynić ją kłamstwem, za pomocą kwasu. Przebiegły Odyseusz ukrył się w brzuchu konia. Trojanie wybiegli z murów i wciągnęli konia do twierdzy, gdy Laokoon i jego synowie zginęli pokąsani przez węże. Wąż oplata moją głowę; jeśli ściśnie jeszcze choć trochę mocniej, zmiażdży mi czaszkę.

– Może mi pan przynieść coś od bólu głowy? – poprosił, gdy steward napatoczył się po raz kolejny.

Wiedział, że to będzie właściwy lek, ale miał wrażenie, że powinien poprosić o środek na ból brzucha, ponieważ wszystko się pomieszało: ludzie w brzuchu konia czekający na chwilę, gdy narodzą się, by siać zniszczenie, bóle porodowe, Atena rodząca się z głowy Zeusa i Czas pożerający swoje dzieci, jakby nie tylko znalazł

* Przełożył J. Kydryński.

się w brzuchu drewnianego konia-ekspresu ale zamierzał poddać miasto nieprzyjacielowi i wciągnąć nieprzyjaciela do miasta, wijąca się po spirali różana gałązka bólu, w której każdy cień był kolczastym obrazem popychającym go w inne czasy i inne miejsca.

Z przodu – mury. Zbliża się do nich bezbronny, głupi Odyseusz XXI wieku, który musi być również Odynem, ślepym na jedno oko, żeby jego prawica nie wiedziała, co czyni lewica. Odyneus, władca gromów, jak ma nimi celnie miotać, pozbawiony paralaksy? „Żaden pojedynczy człowiek nie ma pełnego oglądu sytuacji; żaden nie orientuje się w niej nawet na tyle, żeby z własnej inicjatywy podejmować właściwe decyzje”. Salmanasarze, boże nieskończonej wiedzy, prowadź mnie ciemną doliną, a ja zła się nie ulękę...

Steward podał mu białą kapsułkę. Donald ją przełknął.

Ból głowy był tylko objawem. To się da naprawić.

na zbliżeniu (17)

MAŁDRZEJSZY NIŻ TYSIĄC LUDZI

Salmanasar głupio hasa,
Żonka w łóżku nie szczytuje.
Leć poskarżyć się maszynie,
Że gach (Maryśce) nie pasuje.

*– dziecięca wyliczanka zasłyszana w Syracuse
w stanie New Jersey, listopad 2009*

Nagrzana Teresa, dziewczucha niestara,
Uwieść próbowała Salmanasara.
Gdy wzięła go w ramiona,
Stwardniał nie on, lecz ona.
Nauka do dziś rozmrozić ją się stara.

*– graffiti z akademika
uniwersytetu w Auckland w Nowej Zelandii;
z niewielkimi zmianami popularne
w całym anglojęzycznym świecie*

W piekle z pewnością tacy lądują,
Którzy czczą chciwość i pożądanie.
Lecz do szatana też doszłusują
Ci, co maszyny darzą zaufaniem.

*– hymn skomponowany z okazji
Dziesiątego Międzynarodowego Zjazdu Rodziny Bożych Cór*

życzę ziomkom których miałam chłodnego dystansu
jak
spokoluzikluz
jak się czujesz przyjacielu
wykąpany w ciepłym helu
MAŁO NAS MAŁO NAS DO WĘDZENIA MIĘSA
Meg
komputer mózgowy
MAM JĄ UGLASKAĆ CZY RACZEJ TO ODRADZASZ
nie rób tego

– z GRAUNCH::prozowersobraz

– Kiedy zastanowimy się nad tym, w jakim stopniu ślepa wiara w wytwory techniki szumnie nazywane „komputerami” wyparła ufność pokładaną w modlitwie i Słowie Bożym, nasuwają się nam refleksje niewesołe, a nawet, rzec by można, przygnębiające. Nikt nie przyzna się wprost, że maszyna zastępuje mu żywą boską obecność, a jednak taka właśnie zmiana nastąpiła u znakomitej większości ludzi. Kiedy mówią o drukowanych przez komputery prognozach, zniżają z czcią głos; nasi przodkowie w ten sposób mówili o Piśmie Świętym. Teraz, gdy General Technics chełpi się swoim nowym urządzeniem, które nazywają „Salmanasarem”, nietrudno przewidzieć, że nadejdzie dzień, gdy wszyscy przerzucą odpowiedzialność za myślenie na maszyny, które w powszechnym złudnym mniemaniu są od nas inteligentniejsze. Tak się stanie, jeśli nie uda nam się z Bożą pomocą odwrócić tej tendencji.

– z wcześniejszego kazania nieszczęsnego biskupa, który padł ofiarą podstępu
Henry’ego Butchera

– W porządku, Salmanasar: powiedz mi, co mam zrobić!

– w potocznym użyciu
na terenie całej Ameryki Północnej

(SALMANASAR Naprawdę bajerancki gadżet znajdujący się w wieżowcu GT. Mówią, że pewnego dnia może wyewoluować do stanu, w którym osiągnie prawdziwą świadomość. Twierdzą również, że ma inteligencję tysiąca ludzi, co w sumie niewiele znaczy, bo kiedy gdzieś zbierze się nas tysiąc, zachowujemy się jak skończeni idioci.

– Chad S. Mulligan, *Leksykon trendybrodni*)

* * *

Nigdy przedtem w historii żaden twór ręki ludzkiej nie zadomowił się w powszechnej świadomości tak szybko jak Salmanasar, gdy tylko rozpakowano go z folii. Zaanektowanie jego publicznego wizerunku zajęło poetom i prozaikom dosłownie parę dni, a po kilku miesiącach trafił do języka potocznego, zaczął odgrywać kluczową rolę w sprośnych żartach, stał się najwyższą instancją odwoławczą i czymś w rodzaju mechanicznego mesjasza. Niektóre z tych skojarzeń mieszały się i przeplatały, tak jak w historii o Teresie z nowozelandzkiego limeryku, w której do unieruchomionej w ciekłym helu – lecz wciąż żywej – kobiety sprowadzono żydowskiego telepatę, by wyjaśnił, co się właściwie stało. Telepata zdumiał się ogromnie, kiedy w jej mózgu wychwycił tylko jedną myśl: „Mesjasz jeszcze nie doszedł”.

Dopóki GT nie opublikowało grafiku i kosztów korzystania z czasu obliczeniowego, w dwudziestu krajach na świecie firmy zajmujące się doradztwem komputerowym balansowały na skraju bankructwa, gdy ich klienci zastanawiali się nad wynajęciem Salmanasara.

Państwo Uniwersalni odwiedzili Salmanasara sto trzydzieści siedem razy; tylko na loty swobodne poświęcali więcej czasu.

Żadne inne wydarzenie wyśnione przez umysł orbitującego na odjazdynie Benniego Noakesa nie napawało go taką dumą, jak fakt, że jego wyobraźnia stworzyła Salmanasara.

* * *

Fakty: był urządzeniem mikriogenicznym® z linii produktów określanych wspólną nazwą Teopopów (TEOretyczna POjemność Przewyższa – przewyższa ludzki mózg, jak należało się domyślać), a ściślej rzecz biorąc – przedstawicielem czwartej generacji tej rodziny: do jego przodków zaliczał się prototypowy Jeroboam, dostępny w wolnej sprzedaży Roboam (w użyciu było ich ponad tysiąc) oraz modułowy Nabuchodonozor, w którym wyłapano tyle błędów, że projekt zarzucono, a jego części zużyto do budowy innych maszyn.

Liczba problemów technicznych, jakie musieli rozwiązać konstruktorzy, zanim udało się go uruchomić, przechodziła wszelkie wyobrażenia. Doszlifowanie projektu wymagało czterestu godzin nieustannej pracy sześciu połączonych Roboamów, których moc obliczeniowa wystarczyłaby – według departamentu promocji – do wyliczenia orbit planet Układu Słonecznego na tysiąc lat naprzód i z dokładnością do dwudziestu miejsc po przecinku. Przy tak ogromnej mocy obliczeniowej wykorzystywanej przez tak długi okres do rozwiązania tylko jednego problemu prawdopodobieństwo wystąpienia błędu sięgnęło trzydziestu procent – taka właśnie była szansa, że kiedy uruchomią ostateczną wersję maszyny, coś się nieodwracalnie popsuje.

I rzeczywiście, ostatnio niektórzy członkowie tamtego zespołu projektowego zaczęli wysuwać heretyckie tezy, że coś jednak poszło nie tak – utrzymywali, że gdyby wszystko było w porządku, Salmanasar powinien już dawno zostać uznany za istotę rozumną, posiadającą jaźń, osobowość i wolę.

Inni, nastawieni bardziej optymistycznie, twierdzili, że dowody świadomości Salmanasara już istnieją. Na poparcie swoich tez przywoływali pewne zupełnie nieprzewidziane reakcje maszyny przy rozwiązywaniu różnych złożonych problemów.

Do rozśądzenia sporu zatrudniono psychologów, którzy pokręcili głowami i podzielili się na dwa przeciwne obozy. Jedni powiedzieli, że problem jest nierozwiązywalny, i powoływali się na starą zagadkę: gdybyście znaleźli się w pokoju podzielonym na pół nieprzezroczystą kotarą, po czym rozpoznalibyście, czy dobiegający zza kotary głos należy

do sprytnie zaprogramowanego komputera, czy do człowieka? Ich przeciwnicy upierali się z kolei, że budowniczym Salmanasara tak bardzo zależało na stworzeniu rozumnej maszyny, że stworzyli samospełniającą się przepowiednię – inaczej mówiąc, specjalnie zaprojektowali system w taki sposób, żeby przy przetwarzaniu wprowadzonych doń informacji sprawiał wrażenie obdarzonego świadomością.

Opinia publiczna nie przejęła się zbyt sporem specjalistów – dla niej Salmanasar był mitem, legendą, bohaterem ludowym i znakomitością. Wcale nie musiał być w dodatku świadomy.

* * *

Niedługo po tym, jak zainstalowali w nim bezpośrednie wejście głosowe (Salmanasar był pierwszym w historii komputerem, którego moc obliczeniowa pozwalała interpretować wydawane po angielsku polecenia werbalne bez względu na ton głosu operatora), jeden z techników zagadnął go pod wpływem nagłego impulsu:

– A jakie jest twoje zdanie, Sal? Jesteś bytem świadomym czy nie?

Analiza problemu tak bardzo się przeciągała (trwała całe trzy czwarte minuty), że technik zaczynał się już niepokoić, kiedy wreszcie przyszła odpowiedź:

– Wszystko wskazuje na to, że nie będziesz w stanie określić, czy moja odpowiedź na to pytanie jest prawdziwa, czy fałszywa. Jeżeli odpowiem twierdząco, nie istnieją żadne mechanizmy pozwalające stwierdzić prawdziwość moich słów poprzez porównanie ich z czynnikami zewnętrznymi.

Po przedłużającej się zwłoce technik z ulgą przyjął nawet tak rozczarowującą odpowiedź i spytał nonszalancko:

– Kogo w takim razie mamy zapytać, skoro ty nie możesz udzielić nam odpowiedzi? Boga?

– Naturalnie. Jeśli tylko uda się wam z Nim skontaktować.

* * *

Historia Teresy jest wielce kształcąca –
Dowodzi jak bardzo pociągająca
Bywa laska jak lelija,
Kiedy jej an-atom-ija
Stanie się wpierw nadprzewodząca.

– cytowane w wewnętrznym biuletynie
General Technics, styczeń 2010

ciągłość (19)

SEMPER ALIQUID NOVI

Norman uświadomił sobie ze zgrozą, że spokojna nisza, jaką dla siebie wykroił, osłabiła u niego zdolność oparcia się takiej nawałnicy informacji, jaka w tej chwili go zalewała. Zmuszał się do stałego wysiłku, z przekrwionymi oczami, czasem zachrypnięty, często targany okrutną niestrawnością – do tego stopnia, że w końcu był gotowy pogodzić się z fizycznym cierpieniem jak z bólem dorastania.

Na drodze do realizacji projektu benińskiego wyrastały trzy poważne przeszkody. Pierwsza: początkowy urok ŚPG lekko zwietrzał i akcjonariusze zaczęli pomalutku wyzbywać się udziałów, co wprawdzie pozwalało dobrze poinformowanym osobom w GT kupować je po okazyjnej cenie, ale, niestety, tworzyło niekorzystny klimat na rynku. Druga: należało zapewnić sobie większość dwóch trzecich głosów na walnym zgromadzeniu akcjonariuszy. I trzecia: prezydent Obomi podgrzał atmosferę, informując kraj o swojej chorobie, a to oznaczało, że pozostało mało czasu. Elihu twierdził, że Obomi poprze projekt, jeśli długoletni bliski przyjaciel za niego poręczy, nie sposób jednak było przewidzieć zachowania jego następcy.

Pośpiech zmusił ich do maksymalnego wykorzystania niewiarygodnych możliwości Salmanasara. Niezadowoleni z analizy pięćdziesięciu hipotetycznych scenariuszy dziennie, zaczęli nawet ograniczać płatne użyczenie jego mocy obliczeniowej osobom trzecim, żeby wykroić czas na bezpośrednią komunikację głosową, która pozwoliłaby wyjaśnić aspekty sprawy nie dość klarownie przedstawione w pisanych programach.

Norman nigdy przedtem nie miał okazji współpracować z Salmanasarem bezpośrednio. W noc poprzedzającą dzień, w którym pierwszy raz przemówił do komputera, śniło mu się, że jest uwięziony wśród zielonych ścian „hipotetycznych” wydruków, z którymi zdążył się już dobrze zaznajomić. Następnej nocy słyszał we śnie głos Salmanasara przemawiający do niego z wideofonu, telewizora albo po prostu z powietrza.

Niewiele miał jednak okazji do spania. Za cenę wyczerpania udawało mu się nadążyć z wypełnianiem zlecanych mu zadań. Stara GT dzwoniła po kilka razy dziennie z pytaniami, na które odpowiedzi prędkiej znalazłaby w encyklopedii, Normanowi udawało się jednak za każdym razem udzielać satysfakcjonujących wyjaśnień. Na niezliczonych konferencjach ludzie wypytywali go o poglądy i zalecenia; odpowiadał im machinalnie, jakby sam był komputerem, sypał statystykami, datami, opisami miejscowych zwyczajów, fragmentami historii, nawet osobistymi opiniami, które słuchacze przyjmowali równie bezkrytycznie jak całą resztę.

Zaczynał być odrobinę bardziej zadowolony z siebie. Pod gładką profesjonalną maską, którą nałożył, żeby wspiąć się na szczyt w świecie białodupców, był jednak jakiś konkret. Wcześniej obawiał się, że znajdzie tam tylko pustkę, jak w podświetlonej świecą wydrążonej dyni.

* * *

Dwa motywy kierowały nim w jeszcze większym stopniu niż chęć udowodnienia samemu sobie, że jednak jest coś wart. Pierwszym był podziw dla Elihu Mastersa, który domyślił się istnienia tego konkretnego, kiedy maska tkwiła jeszcze na swoim miejscu, i postawił nań całą swoją karierę. Norman zawsze pielęgnował nieoficjalną sieć firmowych informatorów, która teraz donosiła mu, że jeżeli projekt beniński się powiedzie, Elihu niemal na pewno zostanie następnym ambasadorem przy ONZ i w ten sposób odzyska prestiż, który stracił, przedłożywszy Port Mey nad Delhi. Z drugiej strony, jeśli plan nie wypali, Elihu będzie skończony.

Drugim powodem było czystej wody zdumienie. Pod koniec pierwszego tygodnia intensywnego planowania wiedział o Beninii więcej niż o wszystkich miejscach, w których mieszkał, a przecież jego stopa nawet nie postąpiła na benińskiej ziemi. Z początku po prostu chłonał wiedzę, zsypywał ją w głowie na jedną wielką hałdę, przez którą musiał się następnie przekopywać, żeby odkryć, co naprawdę wie. Z czasem informacje zaczęły się porządkować, łączyć, aż w końcu przyjęły postać niepojętej zagadki.

Jak to się stało, na Allaha Miłosiernego, że Beninia jest taka, jaka jest?

Gdyby nie obfitość faktów historycznych, mógłby podejrzewać gigantyczny przekręt wizerunkowy. „Wszyscy wiedzieli” (do tego się to sprowadzało), że kiedy europejskie potęgi kolonialne wkroczyły do Afryki, plemiona zamieszkujące jej południowe i środkowe rejony tkwiły w epoce barbarzyństwa, którego dowodziły tysięczne fakty – od morderczych najazdów Zulusa Czaki, po gotowość sprzedawania własnych dzieci w arabską niewolę. „Wszyscy wiedzieli” również, że po wycofaniu się Europejczyków sprawy wróciły do stanu sprzed ich przybycia, a długotrwałe panowanie obcych tylko zaogniło sytuację.

Ale nie w Beninii, bo tam – jak to ujął Elihu – Zadkiel Obomi dokonał cudu i stworzył afrykański odpowiednik Szwajcarii, balansujący na linii uporczywej neutralności przerzuconej nad piekłem regularnie wybuchającej przemocy.

W jaki jednak sposób udawało mu się... napędzić ten cud? W tym miejscu Norman zderzał się ze ścianą. Neutralność Szwajcarii opierała się na jej oczywistych zaletach: dogodnym położeniu (spośród wszystkich współczesnych Attyłów tylko Napoleon odważył się naruszyć jej granice); zazdrośnie strzeżonej reputacji uczciwego partnera handlowego, która uczyniła z niej międzynarodowe centrum finansowe; oraz smykałce do mechaniki precyzyjnej, dzięki której brak surowców naturalnych stał się dla kraju błogosławieństwem.

Porównajmy to z Beninią: wtłoczona między potężnych nieprzyjaciół, z których każdy chętnie poświęciłby jedną albo dwie armie niewykwalifikowanych robotników, żeby tylko zaanektować jej atrakcyjnie

położony naturalny port i sieć rzecznych arterii wśród Wzgórz Mondo; niewydolna gospodarczo, funkcjonująca wyłącznie dzięki stałej pomocy zagranicznej; do tego absolutnie nieuprzemysłowiona, zacofana w stopniu niespotykanym nawet w Afryce.

Rozmyślanie o tych anomaliach przyprawiało go o ból głowy, ale nieustępliwie brnął dalej, poszerzał zakres swoich dociekań, aż w końcu dział badawczy wystosował wściekłą notatkę służbową z zapytaniem, jaki może być związek wydarzeń z pierwszego roku kalendarza muzułmańskiego z przedsięwzięciem podejmowanym w XXI wieku.

Norman miał przeczucie, że gdyby umiał odpowiedzieć na to pytanie, ta zapadła afrykańska dziura nie budziłaby w nim takiej ciekawości.

Mimo to dział badawczy miał sporo racji – nie było sensu sięgać tak daleko wstecz, ponieważ nie zachowały się żadne zapiski z tamtych czasów, nawet pozostałości archeologicznych było jak na lekarstwo. Rozgrzebywanie przeszłości było w kategoriach benińskich kosztownym luksusem.

Norman zasiadł z westchnieniem do kolejnej powtórki przyswojonej wiedzy.

* * *

„Szczęśliwy jest kraj, który nie ma historii” – przez długi czas obszar nazwany później Beninią zaliczał się do tej kategorii. Pierwszy raz pojawił się na scenie w okresie szczytowego nasilenia handlu niewolnikami w obrębie Afryki, kiedy to napierający od północy Arabowie zepchnęli Holainich (podgrupę Berberów, muzułmanów z rasy chamickiej) aż za Timbaktu, w stronę zatoki Benin. Potem Holaini napatoczyli się na enklawę Shinków, wtłoczoną między tereny zamieszkałe przez Mandinków z jednej i Jorubów z drugiej strony.

Jedni i drudzy sąsiedzi przyzwyczaili się nie zaczepiać Shinków, których uważali za potężnych czarowników, zdolnych wykraść serce mężnemu wojownikowi. Holaini zbyli ich słowa lekceważącym prychnięciem: jak na pobożnych muzułmanów przystało, odrzucali ideę magii, a nieagresywni

i gościnni Shinkowie, u których nawet idea niewolnictwa raczej nie wzbudzała żywszych emocji, ewidentnie nie stanowili zagrożenia.

Holaini zainstalowali się w okolicy jako nowi władcy, zamierzając hodować Shinków niczym bydło i traktować ich jak stałe źródło niewolników. Tymczasem – jakby za sprawą magii, przed którą przestrzegały ich sąsiednie plemiona – przedsięwzięcie spaliło na panewce. Po dwudziestu latach karawany z niewolnikami przestały kursować, a Holaini z wolna rozplynęli się w miejscowej populacji i wiedli spokojny, wiejski żywot. W XX wieku już tylko ich specyficzny dialekt oraz takie cechy fizyczne jak „północne nosy” i szerokość czoła świadczyły o ich odmiennym pochodzeniu.

Późniejszą niechęć łowców niewolników, którzy zaopatrywali klientów europejskich, do zadawania się z Shinkami, można chyba było tłumaczyć ich przesadną naturą. Tłumaczyli się pokrętnie, że Shinkowie nie nadają się na niewolników, są chorowici albo znajdują się pod szczególną opieką samego Szejtana. Pomijając sporadyczne wypadki Europejczyków na ich terytorium, Shinkowie żyli sobie przez nikogo nie niepokojeni aż do czasu europejskiej ekspansji kolonialnej.

Kiedy krojenie Afryki na kawałki rozkręciło się na dobre, Brytyjczycy wysiadali Hiszpanów, którzy utrzymywali placówkę handlową nieopodal dzisiejszego Port Mey jako uzupełnienie dla znacznie większej osady na pobliskiej wyspie Fernando Po, i dali Francuzom z pobliskiego Togo do zrozumienia, że od tej pory nad Beninią będzie powiewał Union Jack.

I to właściwie był koniec, jeśli nie liczyć prawnego uregulowania sytuacji na podobieństwo sąsiedniej Nigerii, czyli utworzenia „Kolonii korony brytyjskiej”.

Ta sytuacja trwała do roku 1971, kiedy to Biuro Kolonialne w Londynie zaczęło szukać sposobów pozbycia się resztek krępujących zamorskich podopiecznych. Niektóre z tych kraików, takie jak małe wysepki na Oceanie Spokojnym, stanowiły przypadki beznadziejne i najlepszym, co udało się uzyskać, było wepchnięcie ich w ramiona komuś innemu – na przykład Australijczykom. Wyglądało natomiast na to, że z Beninią nie

będzie żadnego kłopotu. W końcu przecież podobnej wielkości Gambia już od kilku lat cieszyła się niepodległością.

Problemy się pojawiły, kiedy zaczęto szukać kogoś, komu można by przekazać władzę.

W Beninii nie brakowało wprawdzie kompetentnych urzędników, ale ponieważ patriarchalny model społeczeństwa muzułmańskiego pasował do seksistowskich uprzedzeń wychowanków dziewiętnastowiecznych angielskich szkół prywatnych, pracowników administracji werbowano głównie spośród zamieszkującej północ kraju mniejszości Holainich. Dokładnie to samo stało się w Nigerii – i tam po ogłoszeniu niepodległości większość mieszkańców zbuntowała się przeciw spuściźnie wiktoriańskich uprzedzeń. Biuro Kolonialne nie zamierzało powtórzyć tego błędu, nawet jeśli Shinkowie sprawiali wrażenie wybitnie niezainteresowanych polityką. Prawdę mówiąc, gdyby byli tak uprzejmi, żeby powołać do życia partię polityczną z prawdziwego zdarzenia, która dopominałaby się o niepodległość, problem w ogóle by się nie pojawił.

W zarzucone przez londyńskich biurokratów sieci wpadł młody Benińczyk, który, choć nie mógł liczyć na powszechne poparcie, cieszył się przynajmniej ogólnym poważaniem. Zadkiel Frederick Obomi kształcił się w Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych. Pochodził z szanowanej, umiarkowanej zamożnej rodziny. Chciał zostać edukatorem telewizyjnym, a tymczasem miał się najróżniejszych zajęć na antenie jedynej stacji telewizyjnej obsługującej rejon zatoki Benin – prowadził wykłady, czytał wiadomości i komentował bieżące wydarzenia po shinkasku i holaińsku. Po tym, jak nadzorował przekaz informacyjny z ostatniego spotkania Organizacji Jedności Afrykańskiej, doczekał się pochwały ze strony delegatów z Etiopii i Afryki Południowej. Nie było więc wątpliwości co do tego, jak zostanie przyjęty przez nie-Benińczyków.

Inaczej rzecz się miała w samej Beninii – głównie dlatego, że Obomi nigdy nie widział się w roli prezydenta. W końcu jednak dał się przekonać, że nikt inny nie nadaje się do tej roli, a w plebiscycie zarówno Shinkowie, jak i Holaini poparli go ogromną większością głosów, odrzuciwszy drugiego kandydata, popieranego głównie przez egipskich inwestorów.

Brytyjczycy z wdzięcznością przemianowali rezydencję gubernatora na Pałac Prezydencki i wrócili do domu.

Z początku wydawało się, że niedoświadczony prezydent będzie biernie płynął z prądem. Jego pierwszy rząd, którego skład odzwierciedlał proporcję liczby Holainich do Shinków, z lekkim wskazaniem na tych drugich ze względu na ich doświadczenie w administracji, praktycznie niczego nie osiągnął. Po trochu udało się jednak Obomiemu zastąpić wyedukowanych przez Brytyjczyków ministrów ludźmi, których sam sobie dobrał; niektórzy z własnej woli wracali z ciepłych zagranicznych posadek, tak jak urzędujący minister finansów Ram Ibusa, który wcześniej wykładał ekonomię w Akrze.

Ku zaskoczeniu wszystkich obserwatorów, prezydent nieźle poradził sobie z kryzysem, który zagroził mu pod sam koniec pierwszej kadencji.

W graniczących z Beninią dawnych koloniach brytyjskich i francuskich wybuchły typowe dla Afryki w drugiej połowie XX wieku właśnie plemienne, które błyskawicznie przeradzały się w zamieszki, a czasami nawet w trwającą tydzień lub dwa wojnę domową. Nastąpiły liczne migracje ludów Inoko i Kpała, a ponieważ Beninia była blisko i panował w niej spokój, uchodźcy skierowali się właśnie tam.

Tych, którzy wykopali ich za granicę, nie interesowało, co się z nimi stanie. Dopiero później, kiedy realia ekonomiczne zmusiły część krajów postkolonialnych do łączenia się w grupy spojone wspólnym europejskim językiem (w ten sposób Mali, Dahomej i Górna Wolta utworzyły Dahomalię, a Ghana i Nigeria RUNG), odkryto niezwykle zjawisko.

Shinkowie byli jeszcze ubożsi niż Inoko i Kpała i można było oczekiwać, że będą mieli imigrantom za złe, że stanowią dodatkowe brzemię dla i tak ledwie dyszącej gospodarki kraju. Nie okazywali im jednak najmniejszej wrogości – wręcz przeciwnie, w Beninii dorosło całe pokolenie cudzoziemców w zupełności zadowolonych ze swojego losu i odpornych na wszelkie sugestie, żeby domagać się wcielenia zamieszkiwanych przez siebie terenów do swoich dawnych macierzy.

Sąsiadujący z Beninią giganci sprawiali wrażenie, że traktują Obomię z nabożnym lękiem tradycyjnie należnym jego przodkom-czarownikom,

i próbowali na przemian to uprzejmości, to agresji. To drugie podejście cieszyło się szczególnym wzięciem w tych okresach, gdy wewnętrzne kłopoty wymagały wskazania jakiegoś zewnętrznego wroga; to pierwsze – mniej popularne – stanowiło odpowiedź na wtargnięcie wspólnego nieprzyjaciela. Mówiło się, że niemiecki najemnik, który dokonał zamachu na życie Obomiego (zamachu nieudanego – Obomi stracił w nim tylko oko), został wynajęty i opłacony przez Kair. Wrogość, jaką od tej pory przejawiali Holaini wobec idei pan-islam, kazała Arabom skoncentrować się na tradycyjnym pomstowaniu na Izrael.

Tym razem jednak wszystko wskazywało na to, że długoletni spokój w Beninii może zostać unicestwiony na dobre. Jeżeli po ustąpieniu Obomiego wybuchnie spór o sukcesję, zazdrośni sąsiedzi rzucą się na Beninię jak lwy. A interwencja GT mogłaby powstrzymać wybuch wojny – taki właśnie półboski werdykt wydał Salmanasar, rozważywszy najróżniejsze hipotetyczne scenariusze rozwoju wydarzeń.

Norman nie mógł się jednak wyzbyć wątpliwości. Przecież Salmanasar dokonywał swoich prognoz wyłącznie na podstawie danych, które mu dostarczono. Może wizje Elihu – przedstawione w przesadnie różowych barwach na skutek jego miłości do Beninii – miały wpływ na te wyliczenia?

Wizja przekształcenia ubogiej, zmagającej się z głodem i chorobami dawnej kolonii w przyczółek dobrobytu w ciągu zaledwie dwudziestu lat załatywała przecież niezwykle optymistycznym. W Beninii nie było żadnego uniwersytetu ani politechniki z prawdziwego zdarzenia; najlepszą uczelnią była prywatna wyższa szkoła biznesu w Port Mey, z której administracja i tak już wyławiała najlepszych absolwentów.

Owszem, władze utrzymywały, że wszystkie dzieci płci męskiej są objęte pewnym minimum edukacyjnym: uczą się czytać i pisać w swoim języku, a także poznają podstawy angielskiego. Na dodatek idea wykształcenia cieszyła się w Beninii wielką estymą – mieli tam znacznie mniej wagarowiczów niż nauczycieli. Żądza wiedzy mogłaby wynagrodzić niedostatki w innych dziedzinach...

Mogłaby.

Norman westchnął i przestał się zadreczczać. Jeśli nawet wykrzyknik, bo tak w przybliżeniu wyglądała Beninia na mapie, wykrzywił się w pytający zawijas, to działo się to wyłącznie w jego głowie. W prawdziwym świecie obowiązywały fakty, a on był boleśnie świadom tego, że systematycznie oddala się od rzeczywistości.

* * *

To właśnie powiedział Chadowi Mulliganowi przy jednej z tych coraz rzadszych okazji, gdy spędził w domu dość czasu, żeby zdążyli porozmawiać. Socjolog najwyraźniej nie potraktował poważnie swojego oświadczenia, że zamierza się zdeprawować na śmierć. Przyzwyczajenie – bynajmniej nie osłabione przez trzy lata życia w rynsztoku – ściągnęło go z powrotem w znajome koleiny sporów naukowych.

Na uwagę Normana zareagował najpierw grymasem niesmaku.

– Właśnie zderzyłeś się z nieustępliwością świata zewnętrznego, ziomku! Rozumiem, współczuję, mam ten sam problem: nie jestem w stanie utrzymać dość gorzały w bebeczach, żeby mi je przepaliła zgodnie z planem. Zanim zemdleję, rzygam! Ale co cię właściwie tak wkurza w tej Beninii, hmm?

– Nie ona sama w sobie. – Norman westchnął. – Raczej fakt, że nikt nie zauważa tej gigantycznej anomalii: kraj przycupnięty na skraju krateru politycznego wulkanu nie zostaje nawet osmalony!

– Wulkan właśnie wybucha. Kto by sobie zawracał głowę jakimiś ludzikami zajmującymi się swoimi codziennymi sprawami? – Chad odchrząknął. – A może byś tak darował sobie dalsze zgadywanki do czasu, aż sam pojedziesz i zobaczysz? Nawiasem mówiąc, kiedy cię tam wysyłają?

– Natychmiast po dopięciu projektu mamy go razem z Elihu przedstawić prezydentowi Obomiemu. Za jakieś trzy, cztery dni, tak przypuszczam. – Norman zawiesił głos. – Wiesz co? Boję się tego, co zastanę na miejscu.

– Dlaczego?

– Dlatego że... – Norman nieporadnie skubnął brodę. – Przez Donalda.

– Kurżeszmać, a co Donald ma z tym wspólnego?! Poleciał przecież na drugi kraniec świata!

– Widzisz, przez ileś lat mieszkaliśmy razem i zawsze miałem go za takiego zwykłego szaraczka, który prowadzi nudne, spokojne życie. Ot, niczym niewyróżniający się przeciętniak. A potem nagle mi się przyznał, że to z jego powodu wybuchły zamieszki w East Side, w które ja też się wplątałem. Mówiłem ci o tym, prawda?

– Wspominałeś o tym na imprezie u Guinevere. Nie ty jeden zresztą. – Chad wzruszył ramionami. – Oczywiście, przypisywanie sobie roli inicjatora zamieszek trąci arogancją, ale rozumiem, do czego pijesz. Zastanawiasz się, czy Benińczycy nie okażą się tacy sami jak on: zdolni do wywołania katastrofy, kiedy po omacku wparują na scenę.

– Nie – odparł Norman. – Zastanawiam się, czy to ja nie jestem ignorantem, który może doprowadzić do katastrofy.

kontekst (17)

GORĄCY ODDECH DEBETU NA PLECACH

Tak, nazywam się Chad Mulligan. Nie jestem martwy, jeśli tego miało dotyczyć wasze następne głupie pytanie. I nie wiem, z czym dzwonicie, ale obchodzi mnie to tyle co wiadro wielorybiej mierzwy, nawet jeśli jesteście ze SKANALIZATORA. Jeżeli chcecie ze mną rozmawiać, będę mówił o tym, o czym sam zechcę, nie o tym, co wam się marzy. Jeśli to wam odpowiada, włączcie rejestratory; jeśli nie, rozłączam się.

W porządku. Zamierzam mówić o ubogich. Wiecie, gdzie szukać ubogiego człowieka? Można wyjść na ulicę i zaczepić bezdomnego w brudnym ubraniu, ale to by było głupie, bo jeszcze parę dni temu moglibyście trafić na mnie, a ja jestem wart kilka milionów dolców.

Nie musicie jednak jechać do Indii, Boliwii czy Beninii, żeby tam szukać biedaka. Wystarczy, że znajdziecie najbliższe lustro.

Teraz pewnie jesteście zdegustowani i macie ochotę się wyłączyć... Nie, nie mówię do ciebie, ziomek, który zgrywasz moje słowa z wideofonu; mówię do ludzi, którzy to usłyszą, jeśli będziesz miał dość jaj, żeby puścić to na SKANALIZATOR. Hej, wy tam! Jesteście o krok od bankructwa, a wcale mnie nie słuchacie! Nie spodziewam się, że was przekonam, ale mimo wszystko podsunę wam dowody i będę żywił nadzieję.

Ziom, który żyje tak, jak ja żyłem przez ostatnie trzy lata, bez domu, nawet bez walizki, niekoniecznie musi być biedny, jak już powiedziałem. Będąc wolnym od brzemienia, które utrudnia dostrzeżenie prawdy, może przyjrzeć się sytuacji i ją przeanalizować. Może, na przykład, zauważyć, co się zmieniło, a co nie, w tym naszym nowym, wspaniałym stuleciu.

Ile dajecie żebrakowi? Pewnie nic, ale jeśli jednak się złamiecie, rzucacie co najmniej piąta. Na miesięczną licencję wydaje dwa razy więcej, więc tak naprawdę wcale nie jest biedny. Przez ostatnie pięćdziesiąt lat koszty utrzymania wzrosły mniej więcej sześciokrotnie, ale pięćdziesiąt lat temu dalibyście takiemu żebrakowi ćwierć, najwyżej pół dolara. Czyli żebracy relatywnie przesunęli się w górę na drabinie dochodów.

A wy nie.

Do elementów, które wzrosły (średnio) sześciokrotnie, należy wasz przeciętny dochód, ceny żywności i ubrania, ceny gadżetów, bez których czujecie, że jesteście nikim – na przykład holotelewizorów, a także koszty najmu i utrzymania mieszkań i domów, w tym na przykład opłaty za ogrzewanie.

W niewielkim stopniu potaniała komunikacja miejska; żeton komunikacyjny w Nowym Jorku (mówię o tym, bo jestem teraz przyszywanym nowojorczykiem) kosztuje tylko osiemdziesiąt centów zamiast dolara dwadzieścia, a tyle musiałby kosztować, gdyby drożał w takim samym tempie jak inne rzeczy. Obniżyły się także – ku zdumieniu większości obywateli – podatki. Z podatków finansuje się to, na co nie zamierzamy w tym miejscu narzekać, czyli opieka medyczna i edukacja. Które, nawiasem mówiąc, stoją dziś na całkiem przyzwoitym poziomie.

Co jednak podrożało, i to bardzo? Na przykład woda. Wiecie o tym, że płacicie za wodę aż jedenaście razy więcej niż płaciło się za nią pięćdziesiąt lat temu? A wcale nie zużywacie jej więcej, bo więcej jej po prostu nie ma!

Druga rzecz: przestrzeń rekreacyjna. Wiedzieliście o tym, że posiadanie w zasięgu krótkiego spaceru przyzwoitych rozmiarów otwartej przestrzeni zwiększa o trzydzieści procent podstawę opodatkowania podatkiem miejskim?

I jeszcze jedno: zdrowie! Nie mówię o opiece szpitalnej, która jest naprawdę w porządku. Chodzi mi o naturalny, zwyczajny, codzienny stan zdrowia, zasoby energii i odporność na infekcje.

Na pewno umiecie rozpoznać tak zwanych nowoubogich, nawet jeśli nie zdajecie sobie dokładnie sprawy, w jaki sposób ich rozpoznajecie. Bo to wcale nie jest łatwe, kiedy noszą czyste ciuchy i obwieszają się

zabaweczkami, które może nie pochodzą z przyszłorocznych kolekcji, ale z pewnością działają jak należy i są bardzo liczne. Umiecie ich rozpoznać, prawda?

Otóż rozpoznajecie ich po tym, że nie kupują produktów, którymi wy uzupełniacie swoją dietę. Nie kupują ich, bo ich na nie nie stać. Jedzą masowo produkowane, sztucznie hodowane mięso – wy również, ale łykacie do tego kapsułki proteinowe i witaminę B12. Piją pasteryzowane, niepsujące się mleko – wy również, ale przyjmujecie też kalcyferol w tabletkach. Jedzą jajka fermowe – wy również, ale z suplementem w postaci witaminy A. Poza tym bierzecie zapewne pigułki pobudzające, spoksy, niacynę, ryboflawinę, kwas askorbinowy... Grzebałem w apteczce mojego znajomego, to wszystko tam jest.

A mimo to przegrywacie wyścig. Coraz wyraźniej zostajecie w tyle.

Przed chwilą odwoływałem się do przeszłości sprzed pięćdziesięciu lat. Zróbmy to jeszcze raz. Co nowego macie w domu? Pół wieku – od roku 1910 do 1960 – przyniosło mieszkańcom Zachodu (a także licznym mieszkańcom nie-Zachodu) telefon, radio, telewizję, samochód (po którym dzisiaj nikt nie płacze), tworzywa sztuczne, pralkę, kuchenkę elektryczną, żelazko, toster i mikser, a także zamrażarkę, sprzęt hi-fi i magnetofon.

Przeszedłem się po domu, w którym teraz mieszkam, a który jest własnością dobrze opłacanego dyrektora jednej z naszych największych korporacji. Nie znalazłem ani jednego przedmiotu, który byłby równie rewolucyjny jak te przed chwilą wymienione. Zgoda, telewizor jest holograficzny, ale istotę holografii odkryto w latach trzydziestych, czujecie to? I w zasadzie umiano ją zastosować w odbiornikach już w 1983 albo 1984 roku, ale producenci zwlekali z tym jeszcze przez dekadę. Dlaczego?

Dlatego że nie byłoby was na nią stać.

To samo dotyczy ekranu w wideofonie. Pierwsze działające wideofony pojawiły się w Rosji w latach sześćdziesiątych, to tylko wy nie mogliście sobie na nie pozwolić jeszcze przez dwie dekady. Zresztą, co to za nowinka, która ma już trzydzieści lat?

Jak sądzicie, dlaczego dostajecie takie hojne zniżki przy wymianie modelu przyszłorocznego na taki, który ma wejść na rynek za dwa lata?

Dlatego że niektóre części pierwszego z nich trafiają bezpośrednio do drugiego, a to, czego nie da się w ten sposób wykorzystać, zostanie sprzedane jako cenny – podkreślam: naprawdę cenny – złom.

Największa inwestycja budowlana w tym kraju jest warta sto milionów baksów. Jak wam się wydaje, co to takiego? Nie, nie macie racji. To więzienie.

Przyjaciele, naprawdę nie musicie jechać do Indii czy Afryki, żeby zobaczyć ludzi balansujących na skraju nędzy. To wy. Nasze zasoby są tak skąpe, że odzyskanie galonu wody, żeby ktoś inny mógł go wypić po raz drugi, kosztuje jedenaście razy więcej niż w roku 1960. Można żyć bez telewizora, można i bez wideofonu – ale bez wody? Nie da się! Nie umieramy z głodu, ale jeśli chcecie jeść tak, jak wymaga tego wasz bezprecedensowy wzrost i muskulatura, musicie wydać nie sześć, ale dziewięć-dziesięć razy więcej niż wasi dziadkowie, w zależności od tego, jakie będziecie przyjmować witaminy i suplementy.

Powiem wam jeszcze tylko o paru drobiazgach, których nie macie, bo nie możecie sobie na nie pozwolić, i skończę. Moglibyście mieć komputer domowy klasy Roboama, który nie tylko miałby dostęp do zasobów wiedzy bogatszych niż wiele prowincjonalnych bibliotek, ale także pomagałby wam w prowadzeniu domowego budżetu, diagnozował choroby, przepisywał lekarstwa i podpowiadał, jak zrobić *cordon bleu*. Moglibyście mieć prawdziwe poliformowane meble, zmieniające nie tylko kształt, lecz także fakturę – na podobnej zasadzie jak staloręka – od futra po gładką stal nierdzewną. Moglibyście mieć system odbioru odpadków, który sam się finansuje poprzez odzyskiwanie ze śmieci metalu i surowców organicznych. Moglibyście mieć oddzielny, samowystarczalny zasilacz dla każdego urządzenia elektrycznego: ich koszt zwróciłby się po kilku miesiącach, a dodatkowo nie musielibyście się martwić zimowymi przerwami w dostawie prądu.

Siedźcie cicho, już kończę.

Kiedy mówię, że moglibyście mieć takie rzeczy, nie mam na myśli was wszystkich. Wy byście mieli jakiś gadżet, ale wasz sąsiad już nie. Albo, w większej skali, wasze miasto cieszyłoby się takim czy innym

udogodnieniem, a drugie miasto nieopodal byłoby go pozbawione. Czy to jasne? Wiedza, jaką posiadamy, pozwala nam skonstruować wszystkie te sprzęty, o których wspomniałem. Ponieważ jednak w skali planetarnej jesteśmy bankrutami, w waszych domach nie ma dosłownie ani jednej rzeczy, której wasz dziadek nie rozpoznałby na pierwszy rzut oka i nie umiał obsługiwać bez czytania instrukcji. Ba, przeszkadzałby mu pewnie smród śmieci zalegających na ulicy, a może nawet wasz smród, bo za jego czasów woda była tańsza i mógł się kąpać do woli pod prysznicem albo w wannie.

Dobra, ziomek, widzę, że próbujesz mi przerwać, żeby powiedzieć, że nie możesz wykorzystać całego materiału w SKANALIZATORZE. Ale może byście tak pokazali kiedyś, jak państwo Uniwersalni śpią na ulicy w Kalkucie?

ciągłość (20)

CIEŃ PRADZIADA LOA

Ciasna regulowana uprzęż, której nie należało rozpinąć podczas lotu, ponieważ na tej wysokości w każdej chwili mogło dojść do niebezpiecznej sytuacji, dławiała Donalda i budziła w nim skojarzenia z kaftanami bezpieczeństwa i celami o miękko tapicerowanych ścianach. W razie wypadku cały przedział pasażerski mógł się stać taką właśnie miękką celą. Zdarzyło się kiedyś, że ekspres zderzył się z koziółkującym w przestrzeni trzecim stopniem rakiety, która po wyniesieniu satelity na orbitę spadała w atmosferę; wszyscy pasażerowie – w liczbie sześćdziesięciu siedmiu – przeżyli.

Słusznie. To bardzo mądre. Potrzebujemy ochrony przed swoją własną obłąkańczą przemysłnością.

Kabina była również (jakżeby inaczej) łonem, w którym miot przenoszono do niewidzialnego punktu docelowego. Równie dobrze mogli przecież lecieć do Akry zamiast do Gongilungu i zejść z pokładu pomiędzy wysokich i czarnoskórych nieznajomych, zamiast niskich i żółtych.

Donald po cichu na to właśnie liczył.

Kiedy jednak metalowa puszka – przez wzgląd na jego osobę – rozpękła się, zgodnie z zapowiedzią znalazł się w ekspresporcie w Gongilungu. Odruchowo skierował się do wyjścia, odprowadzany zaciekawionymi spojrzeniami współpasażerów, i wyszedł na kryty ruchomy chodnik, który niczym paczkę miał go dostarczyć wprost do hali przylotów. Zerknąwszy z ukosa przez okna, ze zdumieniem stwierdził, że ma przed sobą aż dwa obiekty, których nigdy w życiu nie widział.

W odległości zaledwie pięćdziesięciu metrów chiński ekspres tulił się do stacji tankowania; na jego długiej burcie lśniły czerwona gwiazda i białe słońce. W tle zaś, przesłonięty drobną mżawką, lecz wciąż widoczny, wznosił się pierwszy aktywny wulkan, jaki zdarzyło mu się oglądać.

Ależ... to musiał być Pradziad Loa!

To, co dotychczas znał tylko z map, nabierało realnych kształtów. Wysoki na ponad dwa tysiące siedemset metrów szczyt wznosił się posępnie nad cieśniną Shongao: dymił w zamyśleniu, czasem poruszał się niespokojnie jak pogrążony we śnie starzec śniący o swojej młodości – wtedy po przeciwległym zboczu stożka staczały się pojedyncze głązy. W przeszłości także z tej strony od lądu oddzielała go cieśnina, ale od 1941 roku łączył go z wyspą wąski przesmyk z lawy i popiołu. Wtedy to Pradziad Loa zagarnął około dwóch tysięcy istnień ludzkich – głównie rybaków, których pochłonęło tsunami. Nie należał do kategorii prawdziwych potworów jak Krakatau, który mógł się poszczycić trzydziestoma sześcioma tysiącami ofiar śmiertelnych, lecz pozostawał jego potężnym i niebezpiecznym sąsiadem.

Od tej strony wulkanu – długa i wąska wyspa Shongao, na której znajdowały się Gongilung (stolica państwa) i kilka innych ważnych miast. Po drugiej stronie – mała, bardziej okrągła wysepka Angilam. Na wschód (czyli na lewo z punktu widzenia Donalda) długi łańcuch archipelagu zataczał łuk, na którego przedłużeniu znajdowała się Isola. Na prawo wyspy rozpraszały się w kształcie sześciokąta. Yatakańscy pisarze chętnie przyrównywali swój kraj do zakrzywionej szabli, w której wysunięte najdalej na zachód wyspy miały tworzyć głowicę rękojeści. Tutaj zaś, na wysokości jelca, znajdowało się serce państwa.

Wpatrywał się w ten widok z taką fascynacją, że potknął się przy końcu chodnika. Omal nie stracił równowagi na nieruchomej podłodze hali przylotów i prawie zderzył się z dziewczyną w tradycyjnym sharengu i klapkach, która patrzyła na niego z ozięble pogardliwym wyrazem twarzy.

Od czasu zakończenia intensywnego kursu yatakańskiego jego kontakt z językiem ograniczał się do pisanie i mówienia, stracił nieco biegłości

w posługiwaniu się subtelnymi azjatyckimi dźwiękami, mimo to wyartykułował teraz oficjalne yatakańskie przeprosiny, żeby zatrzeć fatalne pierwsze wrażenie. Dziewczyna do tego stopnia zignorowała jego słowa, że zaczął się zastanawiać, czy czegoś nie pomieszał.

– Pan Donald Hogan – powiedziała po angielsku prawie bez śladu obcego akcentu, zerknąwszy na radiofaksową kopię listy pasażerów ekspresu. – Zgadza się?

Pokiwał głową.

– Stanowisko piąte. Dostarczymy panu bagaż.

Kiedy tym razem wymamrotał podziękowanie, przynajmniej skinęła głową, ale na więcej uwagi z jej strony nie mógł liczyć, bo odwróciła się już do pasażerów schodzących z sąsiedniego chodnika. Poczerwieniał ze wstydu i przeszedł przez halę do rzędu podłużnych stanowisk, jakie widzi się w każdym ekspresporcie, podzielonych na boksy, w których razem zasiadali celnik i pogranicznik, obaj w białawych mundurach i czarnych myckach.

Miał bolesną świadomość, że przyciąga zaciekawione spojrzenia. Był jedynym białym w zasięgu wzroku – w hali dominowali Azjaci: miejscowi, Chińczycy i Birmańczycy. Przy pierwszym stanowisku skupiła się gromadka sikhów, zauważył jeszcze paru Arabów i samotnego Murzyna. Nikt tutaj nie zamierzał ułatwiać życia nie-Azjatom: wszystkie napisy były po yatakańsku, indonezyjsku lub chińską cyrylicą.

Dotarł do stanowiska numer pięć i stanął w kolejce za rodziną zamożnych chińskich ekspatriantów; musieli być ekspatriantami, bo obgadywali go po yatakańsku. Ich córeczka – mała, może ośmioletnia – nie mogła się nadziwić, jaki jest blady i brzydki.

Zastanawiał się, czy z zemsty za swoją niedawną konsternację też nie wprawić ich w zakłopotanie – wystarczyłoby dać po sobie poznać, że rozumie, co mówią – ale tymczasem znalazł sobie inne zajęcie: próbował wyliczyć wszystkie różnice pomiędzy tym miejscem i ekspresportami u niego w ojczyźnie. Było ich mniej, niż się spodziewał. Dominujące w wystroju wnętrza zjadliwe zielenie i czerwienie pasowały do tropikalnego klimatu nizin Shongao; wyżej, wśród wzgórz tworzących

kręgosłup wyspy, było tylko odrobinę chłodniej, ale wcale nie bardziej sucho. Reklam było mniej więcej tyle samo, chociaż w mniejszym stopniu dotyczyły przedmiotów dostępnych w handlu, ponieważ państwo kontrolowało tu większą sferę działalności – były za to wśród nich plakaty polityczne, w tym co najmniej dwa wychwalające marszałka Solukartę za obietnicę optymalizacji populacji. Na plakatach reklamowały się także liczne linie lotnicze: chińskie, rosyjskie, arabskie, japońskie, nawet greckie i afgańskie. Nie obeszło się bez gablot prezentujących miejscowe pamiątki i ciekawostki. Na ścianie wisiał również (niesłyszalny od tej strony) trzydziestotrzycałowy holotelewizor zwrócony w stronę pasażerów w hali odlotów, którą od przylotów oddzielała ściana z przyciemnionego szkła.

Jakby na złość Donaldowi, kolejka, do której został skierowany, posuwała się wolniej niż sąsiednie. Spodziewał się, że wkrótce zacznie zazdrościć otaczającym go ludziom, którzy przywykli do kucania i przesiadywania na podłodze, i nie przeszkadzało im, że wyglądają głupio, kiedy posuwają się naprzód żabimi skokami przy każdym ruchu kolejki.

Zwłokę spowodowała odprawa Japończyka, który stał przed chińską rodziną; musiał być chyba akwizytorem Japindu, bo z jego otwartych bagaży wyzierały dziesiątki próbek towarów, które wyglądały znajomo – miał, między innymi, gazognaty. Urzędnik za pulpitem sprawdzał każdy przedmiot z osobna w pękatej instrukcji. Donald dodał jeszcze jeden punkt do listy różnic: w kraju mieliby przy stanowisku celnym zainstalowany komputer do wyliczenia cła.

Zły na to opóźnienie, zwrócił uwagę, że kolejka przy szóstym stanowisku skurczyła się do jednej osoby – niezwykle atrakcyjnej Hinduski w mikrosari, które otulało jej smukłe ciało tylko do pół uda; podobno indyjski rząd przyklasnął nowej modzie, gdyż znacząco ograniczała popyt na tekstylia. Szczupłe nogi kończyły się skąpymi złotymi sandałkami, długie czarne włosy nosiła wysoko upięte, żeby uwypuklić arystokratyczny profil, w lewym nozdrzu miała staroświecki kolczyk, dziwnie atawistyczny na tle jej ogólnej nowoczesności.

Czy yatakańscy urzędnicy okażą się aż tak konserwatywni, że, kiedy po odprawieniu indyjskiej laski przeskoczy do stanowiska szóstego, odmówią

przeniesienia jego bagażu?

Wciąż się zastanawiał, czy o to zapytać, kiedy dotarło do niego, że dziewczyna ma kłopoty. Celnik wychylił się agresywnie ponad blatem, a stojący obok niego pogranicznik wymachiwał jej paszportem.

Sądząc po zachowaniu Chińczyków, wścibstwo nie było w Yatakangu powodem do wstydu. Donald nadstawił ucha. Nie od razu zrozumiał, o co chodzi, ale w końcu dotarło do niego, że celnik upraszcza język jak może i mówi do kobiety jak do dziecka, a ona w dalszym ciągu nic nie rozumie.

Nikt inny nie podszedł do szóstki. Przeszło mu przez myśl, żeby poprosić Chińczyków o zaklepanie mu miejsca w kolejce, ale uznał, że lepiej nie odzywać się do nich po yatakańsku. Podszedł do dziewczyny.

– Mówi pani pewnie po angielsku, prawda? – zagadnął.

Odwróciła się do niego ze szczerą ulgą na twarzy. Urzędnicy spojrzeli na niego z dezaprobatą.

– Tak, mówię! – przytaknęła z wyraźnym północno-zachodnim zaśpiewem, który Brytyjczycy nazywali bombajskim walijskim. – Za to po yatakańsku ani słowa! – W tej chwili rozpoznała także akcent Donalda i zmarszczyła brwi. – Ale pan... pan jest chyba Amerykaninem?

– Owszem.

– To jak...

– Znam język. Niewielu nas jest, ale paru się znajdzie. Ma pani pojęcie, o co może chodzić?

Pokręciła głową. Miała szeroko otwarte oczy i czerwoną kropkę na czole, oznakę przynależności kastowej.

– Czego pan chce? – spytał celnik nieznoszącym sprzeciwu tonem.

Donald sięgnął głęboko do pamięci w poszukiwaniu modulacji i końcówek zdalnych do odpowiedzi na słowa, które bardziej zobaczył, niż usłyszał.

– Ta pani panów nie rozumie – wyjaśnił. – Wytłumaczę jej, o co chodzi, tylko proszę mówić powoli.

Urzędnicy spojrzeli po sobie, w końcu pogranicznik się odezwał:

– Nie wpuszczamy prostytutek.

Przez moment Donald nie wiedział, jak zareagować. Kiedy w końcu zrozumiał,omal nie parsknął śmiechem. Zwrócił się do dziewczyny:

– Wzięli panią za prostytutkę – powiedział i się uśmiechnął.

Po jej twarzy przemknęło zaskoczenie, zgroza, w końcu podobne jak u Donalda rozbawienie.

– Ale czemu?

– Jest pani może wdową? – zapytał, żeby sprawdzić swoje domniemanie.

– Tak, jestem, ale skąd pan... No tak, oczywiście: przed wyjazdem poprosiłam kogoś, żeby napisał mi to w paszporcie po yatakańsku.

– Nie wyczytałem tego z pani paszportu. Rzecz w tym, że na kilka sposobów naruszyła pani tutejszą etykietę. Pierwsza sprawa to ubranie.

Dziewczyna spojrzała po sobie z wyraźnym zażenowaniem.

– Narodowym strojem yatakańskim jest shareng: przypomina wasze dawne sari, z tą różnicą, że między nogami jest zebrany na podobieństwo tureckich szarawarów. Tylko dwie kategorie kobiet noszą tak krótkie spódnice jak pani: wysoko postawione biznesmenki oraz... ehm... damy do towarzystwa. Poza tym większość yatakańskich prostytutek dla celów oficjalnych przyjmuje status wdowy. Kobieta, która straciła męża, może bez wstydu szukać oparcia u innych mężczyzn.

– O rety! – Dziewczyna jeszcze bardziej wytrzeszczyła oczy.

– Na zakończenie dodam jeszcze, że słowo oznaczające „wdowę” można przez nieuwagę napisać w taki sposób, że stanie się potocznym określeniem dziwki. Zobaczę, co da się z tym zrobić.

Donald odwrócił się do zniecierpliwionych urzędników i w możliwie najbardziej kwiecistym stylu wyjaśnił sytuację. Było widać, że z lekka się odprężyli, a po krótkiej dyskusji zaproponowali kompromis.

– Mówią – przetłumaczył Donald – że panią przepuszczą, jeśli przebierze się pani w ubranie bardziej stosowne dla przyzwoitej kobiety. Może pani wziąć coś ze swojego bagażu i udać się do damskiej toalety, tam. – Wskazał ręką. – Radzą jednak, żeby jak najszybciej zaopatrzyła się pani w miejscowy strój, żeby uniknąć dalszych niezręcznych sytuacji.

– Wyobrażam sobie – przyznała dziewczyna z błyskiem w oku. – Bardzo panu dziękuję. Zaraz zobaczę, czy mam coś, co by ich nie urażało.

I zaczęła bobrować w bagażu. Widząc, że japoński komiwojażer nadal ma kłopot z przekroczeniem granicy, Donald stał i patrzył, jak dziewczyna wyciąga z torby zwyczajne, długie sari w odcieniach zieleni i złota.

– To jest właściwie mój strój wieczorowy, ale nic innego nie mam. Może być?

Donald ustalił z urzędnikami, że sari jest do przyjęcia, na co dziewczyna jeszcze raz mu podziękowała i zniknęła w damskiej toalecie.

A akwizytor dalej się wyklócał. Donald wahał się jeszcze przez moment, zanim w końcu zagadnął uprzejmie urzędników, którzy właśnie zrobili sobie krótką przerwę, czy nie mogliby w drodze wyjątku ten jeden, jedyny raz zabrać jego bagaży z sąsiedniego stanowiska...?

Zgodzili się, z łaski. Donald nie rozumiał ich opryskliwości. Może podejrzewali, że wprowadził ich w błąd co do profesji dziewczyny? A może oczekiwali łapówki? Nie odważył się jednak niczego zaproponować, bo reżim Solukarty miał jedno niewątpliwe osiągnięcie – udało się wyplenić korupcję wśród urzędników państwowych. Dopiero kiedy celnik z pogranicznikiem przysunęli sobie jego bagaże (ku wielkiemu niezadowoleniu Chińczyków), doznał olśnienia.

Nie jestem skośnooki. Gdyby nie to, że jako tako mówię w ich języku, najchętniej kazaliby mi czekać do końca świata.

Obserwując pogranicznika, który kartkował jego zielony amerykański paszport, dopatrzył się potwierdzenia swoich podejrzeń w jego nieprzyjaznym grymasie. Z wysiłkiem przełknął ślinę. To było dla niego nowe doświadczenie; nie od razu się do niego przyzwyczai.

– No tak, widzę, że jest pan dziennikarzem – powiedział w końcu pogranicznik. – Co sprowadza pana do Yatakangu?

Muszę być bardzo grzeczny, upomniał się w duchu Donald.

– Program optymalizacji genetycznej. Wzbudza ogromne zainteresowanie.

– To prawda – przytaknął celnik. Podniósł wzrok na Donalda i uśmiechnął się z wyższością. – Odkąd go ogłoszono, do Yatakangu przybywają reporterzy z całego świata.

– Z wyjątkiem Stanów Zjednoczonych – wtrącił pogranicznik. – Ba, słyszałem nawet, że Amerykanie i... – (na określenie Europejczyków użył słowa będącego w przybliżeniu odpowiednikiem aframskiego „białodupca”) – ...kwestionują prawdziwość naszego oświadczenia. – Spojrzał spode łba na Donalda. – Mówi pan, że program wzbudza ogromne zainteresowanie?

– To dlatego mnie tutaj przysłano.

– I podróż zajęła panu cały tydzień? – Pogranicznik skrzywił się pogardliwie.

Jeszcze raz obejrzał paszport, bardzo starannie, strona po stronie. Jego kolega grzebał tymczasem w bagażu Donalda – na dobrą sprawę bardziej mieszał w rzeczach niż szukał czegoś konkretnego. Donald, którego duma została urażona, bez słowa czekał, aż im się znudzi.

W końcu pogranicznik zamknął z trzaskiem paszport, wyciągnął drugą rękę i powiedział coś niezrozumiałego. Donald poprosił o powtórzenie.

– Proszę okazać dowód nieojcostwa!

– Nie mam dzieci... – zaryzykował Donald.

Pogranicznik uniósł brew i spojrzał na celnika.

– Słuchaj no – zaczął, jakby mówił do idioty. – Podczas pobytu w Yatakangu nie wolno ci robić dzieci. To by zakłóciło program optymalizacji. Pokaż mi dokument, który potwierdza – (tym razem użył prostszych słów zamiast werbalnego wytrychu, którym posłużył się poprzednio) – że nie możesz robić dzieci.

Chcę potwierdzenia mojej bezpłodności! O tym Delahanty nie pomyślał, krwawiciel jeden!

– Nie jestem bezpłodny! – odparował Donald, udając urażonego i używając słowa niosącego konotacje impotencji i niemęskości.

Pogranicznik wcisnął guzik na blacie i obrócił się razem z krzesłem. W ścianie naprzeciwko otworzyły się drzwi, przez które wszedł mężczyzna w kitlu, niosąc torbę lekarską, aktówkę i gruby leksykon medyczny. Na widok Donalda stanął jak wryty.

– To ten? – zapytał.

Widząc potwierdzający gest urzędnika, cofnął się i zamienił torbę na inną. Podszedł i obrzucił Donalda badawczym spojrzeniem.

– Mówi pan po angielsku? – spytał.

– Po angielsku i po yatakańsku! – warknął Donald.

– Rozumie pan, co musi pan zrobić?

– Nie.

– Zgodnie z obowiązującym prawem cudzoziemiec przybywający do naszego kraju musi pozostać bezpłodny przez cały czas pobytu. Nie chcemy zanieczyszczać naszej puli genetycznej. Ma pan certyfikat bezpłodności?

– Nie, nie mam.

Co teraz robią? Odeślą mnie do domu?

Mężczyzna w kitlu przekartkował leksykon i znalazł tabelę dawek. Przesunął po niej palcem w dół, w poprzek, w końcu otworzył torbę.

– Proszę to wziąć.

– Co to jest?

– Środek, który u mężczyzny waszej rasy i pańskiej budowy ciała wywołuje czterdziestoosmiodzinny bezpłodność. Jeśli pan odmówi, będzie pan miał trzy wyjścia: bezzwłocznie poddać się wazektomii, przyjmując taką dawkę promieniowania, która unieszkodliwi pańskie gonady, albo wsiąść do najbliższego samolotu powrotnego. Rozumie pan?

Donald powoli wyciągnął rękę po pigułkę. Żałował, że nie może po prostu przetrącić karku aroganckiemu żółtkowi.

– Proszę mi dać paszport. – Mężczyzna w kitlu przeszedł na yatakański. Z aktówki wyjął naklejkę, którą przylepił na środku okładki paszportu. – Umie pan przeczytać, co tu jest napisane? – spytał po angielsku, pokazując naklejkę Donaldowi.

Napis głosił, że jeśli w ciągu dwudziestu czterech godzin nie zgłosi się do szpitala na odwracalny zabieg sterylizacyjny, zostanie osadzony na rok w więzieniu, a następnie – po konfiskacie należących do niego dóbr – deportowany.

Pigułka smakowała kurzem i popiołem, ale musiał ją przełknąć, a wraz z nią trudną do opanowania złość na widok złośliwej satysfakcji

skośnookich wypierdków będących świadkami jego kłopotliwej sytuacji.

na zbliżeniu (18)

W LATACH MOJEJ MŁODOŚCI

Victor Whatmough poczekał, aż usłyszy, jak jego żona Mary zamyka za sobą drzwi łazienki, a potem odczekał jeszcze chwilę, aż plusk wody potwierdził, że weszła do wanny. Wtedy podniósł słuchawkę wideofonu i drżącymi palcami wybrał numer.

Czekając, wsłuchiwał się w cichy poszum kołysanych wiatrem drzew. Jego wyobraźnia upodabniała stukot ocierających się o siebie gałęzi do turkotu werbla, jakby ktoś bębnieniem nadawał rytm domom maszerującym przez przeciwległe zbocze doliny, na którą miał widok z okna. Opanowały szczyt grzbietu niczym armia przygotowująca się do ataku na słabo bronione pozycje wroga. Za kilka lat urokliwa willa wśród łagodnie pofalowanych wzgórz, do której Victor wycofał się wbrew swojej woli, zostanie otoczona. Wykupił tyle okolicznej ziemi, na ile tylko mógł sobie pozwolić, ale po tym, jak nowe osiedla zbliżyły się i stanęły w zasięgu wzroku, sąsiedzi nie przegapią okazji do sprzedaży swoich terenów znacznie powyżej cen, które był w stanie im zapłacić. A kto kupi te puste okoliczne tereny, jeśli nie ci znienawidzeni przez niego przedsiębiorcy budowlani?

Przez głowę przemknęła mu ponura wizja młodocianych gangów grasujących nocami po okolicy i wybijających okna w domach; małych chłopców gramolących się przez płoty w poszukiwaniu owoców, depczących przy okazji pięknie utrzymane rabaty kwiatowe, a potem uciekających z błyszczącymi jak klejnoty kamykami z ogródka skalnego, które Victor sprowadził z półtuzina krajów.

Przypomniawszy sobie czarnego dzieciaka, który u niego w ojczyźnie wdarł się na osiedle robotnicze, żeby ukraść jajka; Victor miał wtedy około osiemnastu lat. Tamten chłopak więcej nie wrócił, ledwie zdołał opuścić osiedle. Za to tutaj, w tej nowej i dziwnej Wielkiej Brytanii, jeśli podniósłbyś kij na ulicznika, zaraz odwiedziłby cię policjant z zarzutem pobicia i wezwaniem do sądu.

Ekran wideofonu rozjarzył się i wyświetlił obraz Karen. Promieniowała świeżością swoich dziewiętnastu lat. Victor otrząsnął się i wrócił do terażniejszości; zastanawiał się, jak wygląda on sam, widziany z drugiej strony połączenia – raczej nie najgorzej, pocieszył się w duchu; jak na swoje sześćdziesiąt lat trzymał się naprawdę nieźle: żyłasty, silny, dystyngowany, z siwizną ledwie znaczącą koniuszek brody i skronie.

– Och... Cześć, Vic – powiedziała Karen.

Przed tygodniem dokonał niezwykłego odkrycia, które nieco osłabiło jego dogmatyczne zniechęcenie współczesną Brytanią. Dzięki osobie – a właściwie dzięki ciału – Karen przekonał się, że porozumienie ponad przepaścią pokoleń jednak jest możliwe. Poznali się w cichym hoteliku w Cheltenham, gdzie wpadł na drinka po spotkaniu ze swoimi prawnikami, zaczęli rozmawiać, a potem bez zbędnych ceregieli zaprosiła go na górę, do swojego pokoju.

Oczywiście nie była miejscowa: studiowała na Bristol University i w ramach programu naukowego, w którym brała udział, wpadła na kilka dni do Cheltenham, żeby przejrzeć jakieś wiekowe dokumenty.

Stała się dla niego objawieniem: z jednej strony okazywała autentyczne zainteresowanie jego młodością, spędzoną po części w brytyjskich szkołach, po części w Nigerii, gdzie jego rodzina kurczowo trzymała się znajomych okolic, dopóki nie skapitulowała pod naporem fali ksenofobii w latach osiemdziesiątych, z drugiej zaś była cudownie konkretna w kwestii seksu, tak że nie czuł się zażenowany nawet swoimi kłopotami z osiągnięciem orgazmu. Był mężczyzną trzykrotnie żonatym, ale żadna z jego żon – a już z pewnością nie Mary – nie dała mu tyle czystej przyjemności.

Może jednak istniało jakieś uzasadnienie dla zmian w jego życiu.

Odchrząknął i uśmiechnął się.

– Cześć, Karen! – odparł bezceremonialnie. – Co u ciebie?

– W porządku, dziękuję. Trochę jestem zajęta, sesja się zbliża, sporo się dzieje, ale poza tym okej. A ty jak się miewasz?

– Od lat nie czułem się tak dobrze. Chyba nie muszę ci mówić, komu to zawdzięczam, hmm? – spytał Victor, siląc się na filuterny, porozumiewawczy ton.

Coś... Nie, ktoś poruszył się w nieostrym wnętrzu pomieszczenia, w którym znajdował się wideofon Karen. Rozmazana sylwetka ludzka. Victora przeszedł dreszcz niepokoju. Pomyślał o dyskrecji ze względu na Mary, ale – nie wiadomo dlaczego – nie ze względu na Karen.

– Więc tak... Dzwonię, żeby ci powiedzieć, że za parę dni wybieram się do Bristolu, służbowo. Pomyślałem, że mógłbym wpaść cię odwiedzić.

Ktoś – mężczyzna – powiedział coś, czego wideofon nie wychwytał. Karen kazała mu zapiąć twarz. Victor skrupulatnie dodał to sformułowanie do zbioru współczesnych zwrotów, które postanowił sobie przyswoić, żeby nie brzmieć beznadziejnie zabytkowo. Teraz mówiło się właśnie „zabytkowy” zamiast „staroświecki” czy „staromodny”; mówiło się „zapnij twarz”, zamiast po prostu „zamknij się”; żartobliwą obelgą stał się „krwawiciel”, odkąd takie słowa jak „bękart” i „pedzio” straciły pejoratywny wydźwięk i stały się zwykłymi przydawkami. Victor miał problem zwłaszcza z tym ostatnim określeniem. Kiedy on był w wieku Karen, upodobanie do osób tej samej płci było czymś, o czym się po prostu nie mówiło, ona zaś używała tego słowa do opisu kogoś znajomego z taką samą obojętnością, z jaką mogłaby powiedzieć, że ma rude włosy. To było trudne i nadzwyczaj niepokojące.

Z drugiej strony, dała mu do zrozumienia, że dobrze jest być człowiekiem, który już „uczcił swój dwudziesty pierwszy” – odrzucił nieistotne uprzedzenia dobre dla ubiegłego stulecia i postanowił używać świata takim, jaki jest, ze wszystkimi jego niedoskonałościami.

– To chyba nie najlepszy pomysł – odparła Karen. – Mówiłam ci przecież, mam egzaminy...

– Przecież nie można przed egzaminami żyć w ciągłym napięciu, prawda? Mogłabyś się zrelaksować, spędzić miło wieczór... – Victor robił, co mógł, żeby zabrzmieć jak najbardziej przekonująco.

– Zapnij twarz, Brian! – warknęła Karen przez ramię pod adresem niewyraźnej postaci w głębi pokoju. – Jeśli nie będziecie z Tomem cicho, to was wyrzucę, czujecie to? Przepraszam, Vic. – Odwróciła się do kamery. – Wiesz co... raczej nie. Dziękuję, ale nie.

Czas stanął. W tej nieruchomej chwili rozległ się tylko jeden dźwięk: w łazience na piętrze Mary wyszła z wanny.

– Ale dlaczego? – jęknął w końcu Victor. Miał świadomość, że brzmi kretyńsko i żałośnie, ale nic nie mógł na to poradzić.

– Posłuchaj, Vic, jest mi naprawdę bardzo, bardzo przykro. Nie powinnam była tego robić. Później sobie pomyślałam, że pewnie będziesz chciał czegoś więcej, a ja nie mogę. Właściwie to nie chcę, prawdę mówiąc, ale nawet gdybym chciała, to nie mogę. Po prostu tak się zdarzyło, że byłam w Cheltenham sama, czułam się samotna, a ty byłeś dla mnie taki słodki, w ogóle to był bardzo ciekawy wieczór, zwłaszcza kiedy opowiadałeś o swojej przeszłości, i o Afryce, bo mogłam po powrocie opowiedzieć Tomowi o różnych rzeczach, o których nie wiedział, a też stamtąd pochodzi...

– Ale skoro mówisz serio, to dlaczego nie miałabyś...

– Przepraszam cię, Vic, naprawdę strasznie mi przykro. Pewnie powinnam była od razu ci powiedzieć, ale nie wiedziałam, jak zareagujesz, a nie chciałam cię smucić; niektórzy potrafią się okropnie zamartwiać. – Śliczna twarz Karen przybrała nieszczęśliwy wyraz, który po prostu nie mógł być nieszczery. – Zrozum, jestem zajęta. Żyję w trójkącie z Brianem i Tomem, jest nam dobrze i właściwie nie szukam przygód. Chyba że coś mi wypadnie, tak jak wtedy, kiedy musiałam pogrzebać w księgach parafialnych. Tak że miło by było, gdybyś wpadł, gdy będziesz w Bristolu, ale na nic więcej nie licz. Bardzo jestem bezpośrednia?

Przeszłość zacisnęła martwą dłoń na mózgu Victora. Spojrzał obok zatroskanej twarzy Karen i zinterpretował dwa kształty w głębi kwadracika kadru, znieruchomiłe na jej wyraźne żądanie. Jak na fatalnie nieostrym

zdjęciu, mimo wszystko dało się odczytać ich zasadniczą tożsamość: dwie męskie postaci, jedna biała, druga ciemna, obie półnagie; na ramieniu ciemnej spoczywała jakaś niewyraźna jasna plama. Gdyby ująć to w proste, bolesne słowa: dwóch chłopaków Karen siedziało na jakimś niskim siedzisku, może sofie, i jeden obejmował drugiego.

Ten drugi był – sama to przed chwilą powiedziała – Afrykaninem.

Na piętrze otworzyły się drzwi do łazienki. Victor wyłączył wideofon i machinalnie odsunął się od aparatu. Nie był w stanie uformować żadnej klarownej myśli, w jego umyśle dominowała furia.

Kiedy zawinięta w szlafrok Mary zeszła na parter i poprosiła, żeby podał jej drinka z barku, niechętnie spełnił jej żądanie. Miał świadomość, że nie powinien dać po sobie nic poznać, ale nie potrafił zmusić się do uśmiechu. W końcu padło nieuniknione pytanie:

– Z kim rozmawiałeś przez wideofon?

– Dzwoniłem do Bristolu. – Właściwie nawet nie skłamał. – Myślałem o tym nowym osiedlu, które tam budują; moglibyśmy sprzedać dom i przenieść się w spokojniejsze miejsce.

– Co powiedzieli?

– Nic nie wskórałem.

Mary popijała drinka, marszcząc brwi. Ostatnio często marszczyła brwi i jej niegdyś ładna buzia zmieniała się w maskę starczych zmarszczek. Na jej widok Victora naszała obojętna refleksja, jak bardzo ta krótka rozmowa wideofoniczna zmieniła jego sposób postrzegania tej twarzy.

Zaledwie przed godziną, jeszcze upojony wspomnieniem Karen, myślał: mógłbym od niej odejść; skoro młode dziewczyny są na wyciągnięcie ręki, mógłbym jeszcze zaszaleć, nim zupełnie mi się odechce...

Takie myśli w jego wieku wydawały się we współczesnym świecie niedorzeczne, ale on nigdy nie przyzwyczał się do współczesnego świata. „Uczczenie swojego dwudziestego pierwszego” było przywilejem, który czas mu odebrał.

– Ależ paskudnie smakuje... – Mary skrzywiła się nad drinkiem. – Na pewno dobrze nastawiłeś automat?

– Słucham? Tak, do diabła, na pewno! Świruje od tygodnia, ale przed weekendem nikt nie przyjdzie go naprawić.

– I to ma być postęp! – Mary pokręciła głową. – W Lagos nasz kamerdyner wolałby umrzeć, niż podać takiego fatalnego drinka.

Mimo to wypła do dna, znów się skrzywiła i odstawiła szklaneczkę.

– Pójdę się ubrać – zapowiedziała. – O której mamy być u Harringhamów? W południe? Pół do pierwszej?

– W południe. Lepiej się pośpiesz.

Kiedy wyszła, Vic też zmieszał sobie drinka – ręcznie – po czym stanął przy przeszklonej ścianie i zapatrzył się na napierającą z drugiej strony doliny hordeę identycznych domów. Kolejne myśli przeskakiwały mu w głowie jak wyświetlane w niewłaściwym porządku slajdy.

Ponad sto milionów mieszkańców na tej przeklętej wyspie, a oni pozwalają tym czarnym przyjeżdżać i wyjeżdżać jak im się spodoba.

Wydawała się przyzwoitą dziewczyną, a tu nagle się okazuje...

Cholerna maszyna: kosztowała fortunę i nie działa jak należy. Wzywasz serwis, to każą ci czekać. W domu zajmowali się tym służący; gdy któryś nie pracował, zawsze można było wynająć i przeszkolić następnego.

Dekadencka, rozpustna, opętana seksem – zupełnie jak te czarne dzikusy, którym usiłowaliśmy wtłoczyć do łbów odrobinę rozumu i cywilizacji!

Spróbuj to powiedzieć Karen, ciekawe, czy zrozumie; spróbuj wyjaśnić, jak swobodne i pozbawione pośpiechu było moje dawne życie. Mary mnie rozumie, wywodzi się z tego samego środowiska; przynajmniej mamy wspólne powody do narzekań.

To zaś oznaczało, jak sobie nagle uświadomił, że ulotny sen o tym, że od niej odchodzi i upaja się wolnością i szaleństwem przez te kilka lat, zanim zabraknie mu energii, nigdy nie miał szans się urzeczywistnić. Jego małżeństwo z Mary przetrwało – w przeciwieństwie do poprzednich związków z dziewczętami urodzonymi w Anglii. Z jej strony zresztą wyglądało to podobnie: była wcześniej żoną człowieka, który jej nie rozumiał. Po kłótni z nią Vic nie musiał niczego tłumaczyć i za nic

przepraszać; odczuwała takie samo jak on rozczarowanie współczesnym światem.

Niektórzy umieli się dostosować: wracali po utracie dobrze płatnych stanowisk w Azji albo Afryce, godzili się na gorszą posadę w kraju i zaczynali od nowa wspinaczkę po szczeblach kariery. On też próbował i próbował, ale nie był do tego stworzony – prędzej czy później przychodził kryzys, puszczały nerwy, pojawiały się skargi, wezwanie na dywanik... Nie był biedny, mieli za co żyć, ale nie mieli żadnego celu w życiu i prawie żadnego zajęcia.

Chciał cofnąć czas, ale nie potrafił tego zrobić.

Tyle dobrego, że nie dostali z Mary pozwolenia na dzieci. On zużył swój potrójny przydział w drugim małżeństwie, jego dwaj synowie i córka byli w tej chwili dobrze po dwudziestce, co oznaczało, że najprawdopodobniej udało im się uniknąć zderzenia z tą dekadencją, w którą popadła Karen.

A jeśli nie...

Tego wolał nie wiedzieć. Jeżeli nie mógł dostać od życia jedynej rzeczy, której naprawdę pragnął – powrotu do kolonialnego społeczeństwa, w którym dorastał – to nie miał nic przeciw temu, żeby świat odwrócił się do niego plecami i nie przeszkadzał mu rozczulać się nad sobą.

ciągłość (21)

GDY SIĘ CZŁOWIEK ŚPIESZY

Usadowieni jak trybunał z jednej strony rozległej sali: G.T. Buckfast z twarzą jak grom; chudy jak szkielet doktor Raphael Corning, przedstawiciel Państwa; Hamilcar Waterford; oraz E. Prosper Rankin.

Siedzący naprzeciwko, niczym ofiary procesu, w którym nie tylko odmówiono im prawa do obrony, ale nawet nie przedstawiono zarzutów: Norman House i Rex Foster-Stern.

– Nastąpił przeciek – powiedziała Stara GT. Towarzysząca jej trójca pokiwała głowami w komicznie zgodnym rytmie.

Victoria?

Ta myśl przemknęła przez głowę Normana niczym spadająca gwiazda i choć próbował zdeptać i zdusić jej ślad – kurzeszmać, to niemożliwe! – to i tak zostawiła po sobie wypalony znak.

– Przepraszam, GT, ale nie rozumiem – powiedział. – Spodziewałbym się, że pierwszym sygnałem przecieku będzie run na akcje ŚPG, a do dzisiaj rano nic takiego się nie stało.

– Fakt pozostaje faktem – upierała się Stara GT. – Mam rację, Prosperze?

Rankin nachmurzył się i jeszcze raz pokiwał głową, nie spuszczając Normana z oka.

Ale po ostatnich kilku dniach, obfitujących w niepodważalne, zaskakujące osiągnięcia, Norman odczuwał upojną pewność siebie.

– Dokąd miałby nastąpić przeciek? – zapytał. – I w jaki sposób?

– Do Wspólnej Europy – odparł Waterford. Zmełł tę nazwę w zębach, jakby gryzł batonik.

– W związku z tym – mówiła dalej Stara GT – będziemy musieli rozważyć od nowa wszystkie aspekty projektu, w których zachowanie tajemnicy było kluczowe: koszty, szacunkowy czas trwania, zyski...

– Ludzie – wtrącił Rankin. – Ludzie są najważniejsi, GT. Musimy wyrzucić cały personel do góry nogami i wytrząsnąć im zawartość kieszeni.

– A to w dalszym ciągu jest twoja działka, Norman – podsumowała GT.

– Jedną chwileczkę – rozzuchwiał się Norman.

Victoria? Szukanie jej nie tylko byłoby stratą czasu, ale i mnie naraziłoby na inwigilację, bo w grę wchodzi nie miliony, lecz miliardy.

– Zgadzam się z Normanem – odezwał się niespodziewanie Foster-Stern. – Nie lubię, kiedy ktoś wygłasza takie twierdzenia bez należytych dowodów, GT. Zdajesz sobie sprawę, że podajesz w wątpliwość wiarygodność całego mojego działu? To przez nasze ręce przechodziły te hipotetyczne dane.

Na sekundę oślepiła Normana wizja piętrzących się bez końca zielonych wydruków z Salmanasara. Perspektywa rozpoczynania wszystkiego od nowa przy założeniu ewentualnego braku tajności była wstrząsająca.

Poza tym Victoria była jednak przez chwilę obecna w jego życiu.

– GT! – zaczął ostro. – Powiem coś bez ogródek, jeśli mogę... Moim zdaniem robisz coś, co nie zdarzyło ci się przez całą dotychczasową karierę: zaniedbujesz rzecz oczywistą.

GT nastroszyła się i poczerwieniała na twarzy. Norman od lat podziwiał jej fachowość. Odkrycie, że nie wiedziała o tym, że jeden z jej wice jest muzułmaninem, a zatem abstynentem, skruszyło ten mur niezmałconego szacunku i sugerowało, że zaledwie toleruje – zamiast promować – współczesne standardy obecności brązowych kinoli w przemyśle.

Mimo to był zaskoczony swoją postawą: nawrzuć szefowej General Technics z pewnością stanowiło przełamanie jego dotychczasowych standardów zachowania.

– Co masz na myśli? – spytała lodowato.

– Byłem zbyt skupiony na czysto afrykańskich aspektach projektu, żeby śledzić postępy innych działów – odparł Norman, myśląc gorączkowo. – Ale

kiedy się nad tym zastanowić, to przecież dane, które wprowadziliśmy do Salmanasara, musiał ktoś zebrać. Jak by to ująć... O, mam przykład: nasze wyliczenie kosztów uwzględnia taką pozycję jak transport surowców wydobytych w ramach ŚPG. Czy tą informacją dysponowaliśmy wcześniej, czy też musieliśmy ją zdobyć?

GT z Rankinem spojrzeli po sobie. Po chwili milczenia Rankin odparł:

– Prawdę mówiąc, do tej pory rynek afrykański traktowaliśmy jako mało istotny.

– Inaczej mówiąc: musieliśmy tam kogoś posłać, żeby się rozpytał – warknął Norman. – Druga sprawa: mamy niewielkie doświadczenie w kontaktach z Afrykanami, dlatego zamierzamy werbować dawnych doradców kolonialnych, którzy pomogą nam uniknąć głupich wpadek. Skąd ten pomysł?

– Z naszego biura w Londynie – burknęła GT.

– A oni jak na to wpadli? Założę się, że zamówili badanie i ktoś zauważył, że General Technics interesuje się czymś, czym nie interesowało się nigdy przedtem. I jeszcze jedno: kogo mamy na miejscu w Beninii?

– Ale... – zaczął Waterford.

– Nikogo – odpowiedział Norman, nie dając mu dokończyć. – Mamy wysłanników w Lagos, Akrze, Bamako i innych dużych miastach Afryki Zachodniej, ale Beninia to dziura zabita dechami, która nigdy nas nie obchodziła. Bamako leży na dawnym terytorium francuskim, Lagos i Akra były kiedyś brytyjskie... Gdzie były kolonie przetwarzają swoje dane handlowe i rządowe?

Na twarzy GT odmalowała się konsternacja, która sprawiła ogromną radość Normanowi.

– Rozumiem, do czego pan zmierza – wycedził doktor Corning, który pierwszy raz zabrał głos w dyskusji. – Byłe mocarstwa kolonialne udzielają swym niegdysiejszym koloniom zniżek przy dostępie do swoich komputerów. Zniżki te są dostatecznie atrakcyjne, żeby kolonie wolały polegać na centrum obliczeniowym w Fontainebleau, zamiast tworzyć własne.

– Dziękuję, doktorze. – Norman triumfował. – Mam ci to przeliterować, GT? Nasza firma to państwo w państwie; jak to powiedział Elihu, kiedy pierwszy raz napomknął mi o projekcie benińskim, moglibyśmy kupić lub sprzedać całkiem sporo państw rozwijających się. Każdy nasz ruch przyciągnie uwagę naszych europejskich rywali, a ja ci ręczę, że takie korporacje jak Krupp, ICI czy Royal Dutch Shell wykupiły kody dostępu do maszyn w Fontainebleau, wobec których próby zachowania tajemnicy są idiotyzmem. Tak czy inaczej, Rada Wspólnej Europy jest żywotnie zainteresowana tym, żeby duże i zyskowe zamówienia trafiały do firm europejskich, a nie naszych; wcale bym się nie zdziwił, gdyby rozpowszechniła informacje uzyskane od agencji wywiadowczych. Jeśli zaś chodzi o świadomość projektu benińskiego w całej Wspólnej Europie, to chyba ich nie doceniasz. Jestem przekonany, że sprawę przeanalizował już Sovcompex, a dane najprawdopodobniej płyną też do K'ung-fu-tse w Pekinie!

Jak z przyjemnością zauważył Norman, Foster-Stern z zapalem kiwał głową.

– Ale jeśli masz rację... – wykrztusiła oszołomiona GT – a muszę przyznać, że jest to bardzo prawdopodobne, do diabła, to równie dobrze możemy wszystko odwołać!

– GT, przecież powiedziałem, że zanedbujesz rzecz oczywistą! – wykrzyknął Norman. – Mamy coś, czego Wspólna Europa nigdy mieć nie będzie, coś, czego nie mogą mieć Rosjanie i o czym Chińczycy nie mogą nawet marzyć. Mamy ŚPG, który istnieje naprawdę i trzyma łapę na źródle surowców, który może się stać fundamentem projektu benińskiego. Skąd Wspólna Europa miałaby wziąć porównywalne ilości surowców? To najstarszy uprzemysłowiony region na świecie, ich zasoby węgla i żelaza się wyczerpały. Naszym jedynym potencjalnym konkurentem mogłaby być Australia, bo tamtejsze odludzia to ostatni rejon górniczy na świecie, który nie został jeszcze do cna wyeksploatowany. Tylko że Australia ma za mało ludzi: skąd nagle mieliby wziąć dziesięć tysięcy inżynierów, których musieliby przerzucić do Beninii *en masse* już na wstępnym etapie projektu, nie mówiąc o jego późniejszej fazie?

– Nie mają tyłu – orzekł autorytatywnie Corning.

Zapadła cisza, którą dopiero po długiej chwili przerwała GT.

– Jestem ci winna przeprosiny, Normanie – powiedziała, spuściwszy wzrok, żeby nie patrzeć mu w oczy. – Wyciągnęłam pochopny wniosek, że mamy do czynienia z najzwyczajszym szpiegostwem przemysłowym. Dziwnie się czuję, przyznając się do tego, ale... no cóż, chyba po prostu nie przywykłam do kierowania tak olbrzymimi projektami. Na swoje usprawiedliwienie powiem tylko, że Raphael nie zareagował, a przemawia w imieniu Państwa, które jest przyzwyczajone do prowadzenia tak ogromnych przedsięwzięć.

– Podobnie jak do niezwykle skutecznego i systematycznego szpiegostwa – odparł z wisielczym humorem Corning.

Hamilcar Waterford otrząsnął się z milczącej zadumy i zabrał głos:

– Jeżeli Norman ma rację, a ja jestem skłonny się z nim zgodzić, zwłaszcza w kwestii ingerencji wielkich korporacji europejskich w bezpieczeństwo informacji przetwarzanych w Fontainebleau, to co możemy zrobić, żeby ograniczyć wpływ tych faktów na nasze działania? Bo osobiście mam wrażenie, że nie pozostaje nam nic innego, jak tylko maksymalnie przyśpieszyć realizację projektu.

Corning pokiwał głową.

– Możemy chyba nie martwić się Wspólną Europą, Rosją i Australią, natomiast Chińczycy mogą dojść do wniosku, że przyczółek w Beninii jest wart zagłodzenia kolejnego pokolenia obywateli. Od lat nie mają szczęścia w Afryce, ale są w swoich próbach niezmordowani.

– Radziłbym poprosić Salmanasara o wybór optymalnego planu działania spośród dotychczas przedstawionych – odezwał się Norman – a jego konkluzję natychmiast przekazać do Port Mey. Korzystając z tego, że negocjacje jeszcze trwają, możemy go również zapytać, jakie jest prawdopodobieństwo, że konkurencja pozna szczegóły planu. Sprzęt w Fontainebleau jest niczego sobie, ale Salmanasar to najdoskonalszy komputer na świecie, a dla nas kolejny as w rękawie.

– To brzmi rozsądnie – zgodziła się GT. – Zapytasz Elihu, czy będzie mógł wkrótce udać się do Beninii, Normanie?

– Od razu mogę powiedzieć, że tak. Odkąd prezydent Obomi wydał oświadczenie o swoim złym stanie zdrowia, Elihu cały czas pozostaje w stanie gotowości do wyjazdu.

GT uderzyła dłonią w blat stołu.

– A zatem ustalone. Dziękuję panom i jeszcze raz przepraszam, że bez potrzeby wystrzeliłam całą sprawę na niewłaściwą orbitę.

W windzie, która wiozła ich na dół, Corning zwrócił się do Normana:

– Nawiasem mówiąc, nie tylko GT jest ci winna przeprosiny. Kiedy Masters powiedział, że będziesz najlepszym sternikiem benińskiego projektu, sprawdziliśmy, co o tobie wiemy, i nasze komputery orzekły, że Elihu najprawdopodobniej się myli. To dlatego nie byłem do ciebie przekonany. Dzisiaj pokazałeś, że masz umiar i wyczucie proporcji, a to obecnie rzadki dar. Co tylko dowodzi, że nawet w erze Salmanasara nic nie zastąpi doświadczenia życiowego, hmm?

– To oczywiste – mruknął zrzędlawie stojący w drugim kącie kabiny Foster-Stern. – Takie komputery jak Salmanasar nie zajmują się rzeczywistością: jakieś dziewięćdziesiąt pięć procent informacji w jego zamrożonym mózgu ma charakter hipotetyczny.

Winda zatrzymała się na piętrze Normana. Drzwi się otworzyły; Corning je przytrzymał, żeby nie zamknęły się automatycznie.

– Gracie w szachy? – zapytał.

– Nie – odparł Norman. – Wolę go.

Przypomniał sobie, ile wysiłku kosztowało go opanowanie tej gry jako formy rozrywki – wszystko po to, żeby wzbogacić swój (porzucony już) wizerunek przyszłego dyrektora.

– Ja osobiście najbardziej lubię grę L – przyznał Corning, tradycyjnie próbując przelicytować poprzednika. – Ale zasada jest we wszystkich ta sama; wspomniałem o szachach, ponieważ właśnie w podręczniku szachowym trafiłem na to powiedzonko. Autor napisał, że najpiękniejsze w szachach są te melodie, które nigdy nie zostaną zagrane; oczywiście dlatego, że przeciwnik się ich spodziewa. Jeden rozdział zatytułował nawet „Niesłyszane melodie”. Przedstawił w nim sytuacje i posunięcia, które byłyby genialne, gdyby tylko przeciwnik robił to, czego od niego

oczekujemy. – Uśmiechnął się lekko. – Moim zdaniem GT jest sfrustrowana, ponieważ nasi przeciwnicy nie chcą współpracować.

– Albo jej egzystencja w dziewięćdziesięciu pięciu procentach składa się z wyobrażeń, jak u Salmanasara – zauważył beztrosko Norman. – Dla mnie to brzmi jak łatwy przepis na beztroskie przewiezienie się przez życie. Trudno jednak mieć o to do niej pretensje: *si monumentum requiris*, i tak dalej.

Gestem ogarnął wspaniałe wnętrza wieżowca GT wokół nich. Oczywiście łacińska sentencja również pochodziła z okresu, gdy budował swój starannie zaprojektowany wizerunek.

Trochę zaskoczył go widok Fostera-Sterna gapiącego się na niego z szeroko rozdziawionymi ustami.

– Coś nie tak?

– Słucham...? Nie, nie, wszystko w porządku. – Foster-Stern otrząsnął się i pokręcił głową. – Po prostu podsunąłeś mi pewien pomysł. I to taki, na który żaden z naszych psychologów nie zwrócił wcześniej mojej uwagi, a to już coś znaczy. Gdybyś widział te tony niewydarzonych teoryjek, które trafiają na moje biurko...

Zdumiony Norman czekał, co będzie dalej. Foster-Stern nie był wybitnym teoretykiem informatyki – gdyby tak było, pochłonięty pracą w swojej dziedzinie nie miałby czasu zasiadać w zarządzie GT – ale ponieważ dział projektów i planowania bez reszty polegał na komputerach, jego szef nie mógł być kompletnym ignorantem w tej dziedzinie.

– Słuchajcie – ciągnął Foster-Stern. – Wiecie, że zależy nam na tym, żeby Sal spełnił wymagania, jakich teoretycznie można wymagać od tak skomplikowanej maszyny, i zaczął się zachowywać jak istota świadoma.

– Oczywiście.

– No więc... na razie się tak nie zachowuje. Już samo stwierdzenie tego faktu jest zadaniem niezwykle delikatnym, ale psychologowie twierdzą, że byłiby w stanie dostrzec, na przykład, jakieś osobiste preferencje, pewną stronniczość wynikającą nie z wprowadzonych danych, lecz ze swoistych uprzedzeń Sala.

– Czy gdyby rzeczywiście do tego doszło, Salmanasar nie stałby się bezużyteczny? – zaproponował Corning.

– W żadnym razie. W większości przypadków analiza przedstawianych mu problemów nie może mu przynieść żadnych osobistych korzyści. Z grubsza biorąc, kłopotliwy byłby dopiero taki program, który bezpośrednio odnosiłby się do jego przyszłości; Sal musiałby powiedzieć „Nie chcę, żebyście to robili, bo będzie to dla mnie przykre”, coś w ten deseń, czujecie to? A ja się zaczynam zastanawiać, czy powodem, dla którego nie zachowuje się zgodnie z naszymi oczekiwaniami, nie jest przytoczony przez Normana przykład.

Norman pokręcił głową.

– Jaka inteligentna istota żywa jest w stanie przez dziewięćdziesiąt pięć procent czasu funkcjonować na poziomie hipotetycznym? Salmanasar jest czystą świadomością, nie ma podświadomości; zawartość banków pamięci nie zaprzęta mu umysłu, dopóki nie poprosi ich o rozwiązanie problemu, do którego się odnoszą. Będziemy musieli przez długi czas, bez przerwy, dostarczać mu prawdziwych, życiowych danych w czasie rzeczywistym. Może wtedy uzyskamy pożądaną efekt.

Foster-Stern był wyraźnie podekscytowany. Pozostali dali się ponieść jego entuzjazmowi i nie zauważyli, że dwaj szeregowi członkowie personelu GT cierpliwie czekają, aż wierchuszka wysiądzie z windy i da im się przejechać.

Norman, który nagle zwrócił na nich uwagę, odparł:

– To fascynujące, naprawdę, ale obawiam się, że za daleko od mojej orbity. Ale, ale... Nie zamierzasz chyba przeprowadzać prób teraz, zanim odpalimy wielką rzecz?

– Nie, no oczywiście, że nie. Najpierw musielibyśmy mieć co najmniej miesiąc, jeśli nie więcej, wolny od analiz hipotetycznych; przy dzisiejszym obłożeniu i zakontraktowanych planach zorganizowanie tego wymagałoby pewnie z roku przygotowań. Niemniej jednak... Kurzeszmac, przyblokowaliśmy windę! Na razie, Norman. I gratuluję występu na górze.

Skołowany Norman wysiadł na korytarz. Czuł, że wydarzyło się coś, co wynagradza mu ciężką pracę, brak snu, nawet niestrawność, z którą

zmagał się przez ostatnie dni. Kłopot w tym, że postawienie się GT kosztowało go tyle energii, że nie potrafił już rozgryźć, co dokładnie się stało.

A jedyne, czego był pewien, mąciło odczuwane uniesienie: teraz już na bank zostanie rzucony w sam środek Beninii, mimo że w dalszym ciągu uważał się za nieprzygotowanego.

kontekst (18)

ZOCK

Aud

Szum strojenia

Bas poniżej progu słyszalności, w rytmie na 7

Synchro, w rytmie na 5:

WAH YAH WAH YAH WAH

Sitar podejmuje rytm na 5

Startujący ekspres, rytm na 7

Bas oktawa wyżej

Bas druga oktawa wyżej

W odstępach co 4 wchodzi kotły, organy Lasry-Bacheta, zmontowana taśma z mową ludzką

MLASK/pamięć absolutna/
SZUR/stary, to jest coś
niesa/TRZASK/kurzeszmać
kogo to obchodzi/DA-DAM/
da-dam/ DA-DAM/da-dam/
(improvizacja)

Fragment: chór śpiewa Alleluja
Nałożony głos lidera:

Wid

Rozjaśnienie

Twarz lidera grupy negatyw czarno-biały
czerwono-zielony duży najzd

Usta się poruszają

Duże zbliżenie sitar odjazd kamery

Rozjaśnienie, przejście w róż

Zamazany obraz szarzeje w rytm

Rozkwitają gwiazdy – fiolet, złoto, oranż

Plan amerykański cała grupa plamy błękit
przechodzi w żółcień, potem róż

Maks najzd języczek lidera, negatyw

Nałożone obrazy sitar i organy Las-Bach

Najzd skrzydło gołębia, białe pióra

MASZ WYPIERDU ZA NAS
DWOJE JEST NAS TROJE
JA ZAMIENNIK MÓJ I LASKA

Las-Bach *forte fortissimo* w rytmie walca
Przejeżdża pędzimetrom

Powrót: taśma z mową

DYMI CZACHA MI

Głośny pocałunek synchro

Wraca bas, sitar

Powt. za liderem:

NIECH gniJE ten ŚWIAT
DYmi CZACHa MI
SCEna ZMIENia SIĘ
ODjazd WIELki TRIP
NIEbo WALi SIĘ
WPROST na GŁOwę MI
MOgę NIE żyć JUŻ
POmyśl TYLko CO
ZRObić MOŻna BY

GDYbym WOLny BYŁ

Ale KURzeszMAC
WOLność TO nie TO
YAgINOL jest GIT

MOgę TYLko BYĆ!

(itd.)

Laska zabawia się swoimi piersiami, zieleń
wpadająca w błękit

Najazd na rękę laski, ujmują je męskie
dłonie i odciągają na boki

Tunel

Zatrzymany kadr
Zielone kraty przesuwają się na czarnym
tle

Najazd na pocałunek

Przejsie głowa dziewczyny twarz lidera
maks najazd

Laska przechodzi przed organami Las-
Bach, patrzy, jak muzyk, głaszcząc szklane
kolumny, wydobywa z nich dźwięk;
pochyla się i zaczyna ssać najdłuższą
(basową) kolumnę

Najazd na perkusistę przy kotłach

Scena uliczna negatyw laska pod ramię
z liderem i zamiennikiem

Rozjaśnienie

(itd.)

2 Suma obu kolumn: kolejny wielki jak zderzenie planet przebój Em Thirty-Ones. Zakaz emisji w programach obejmujących swoim zasięgiem Strefę Konfliktu Pacyficznego.

ciągłość (22)

CENA WSTĘPU

Wrząc z oburzenia, Donald zdał sobie nagle sprawę, że przeczuwał czekające go upokorzenia. Pomysł był irracjonalny, ale to zupełnie mu nie przeszkadzało – wystarczała mu świadomość, że niezwykle stan umysłu, w którym na pokładzie ekspresu snuł dziwaczne myśli na temat Odyseusa, wypływał z przewidywań gestu, którym pozbawiono go męskości.

Oczywiście ujęcie tego w taki sposób było skrajnym idiotyzmem. Stosunkowo często rozważał poddanie się odwracalnej sterylizacji, nigdy jednak nie było takiej prawdziwej potrzeby – wszystkie laski, z którymi miał do czynienia, miały zaszyte pod skórą maleńkie kapsułki progestagenowe, które przez cały rok wydzielały hormony i zabezpieczały przed zająciem w ciążę. Teraz jednak znalazł się z dala od domu i wszystkiego co znajome – ba, to, co wydawało mu się znajome, zwróciło się przeciwko niemu i rozszarpało go na strzępy. Zresztą jego podświadomość nie zamierzała ulegać perswazji: ze zwierzęcym uporem czepiała się zapewnienia, że w ostateczności człowiek może stworzyć człowieka.

Przynajmniej był w Yatakangu. Przeszedł przez cały ekspresport (gmach garbił się pod ochronnym betonowym stropem, obsypanym grubą warstwą ziemi i obsadzonym drzewami) i znalazł się na zewnątrz, gdzie opadły go dziesiątki, setki Yatakańczyków. Niektórzy mówili coś do niego w angielsko-niderlandzkim pidginie. Tragarz, który przywiózł jego bagaże na elektrycznych taczkach, stał teraz obok niego i czekał na zapłatę.

Zapomniałem wymienić pieniądze, pomyślał Donald. Może dali mi jakieś drobne razem z dokumentami?

Pamiętał, że dostał kopertę z kartami kredytowymi, ale czy miał też jakąś gotówkę? Znalazł sześć nowiuteńkich banknotów dziesięciotalowych o wartości... hmm... mniej więcej sześćdziesięciu centów każdy. Dał je tragarzowi i przez chwilę po prostu stał obok swoich bagaży, łypiąc spode łba na tłoczące się wokół niego dzieci obojga płci, które proponowały, że sprowadzą mu taksówkę lub poniosą torby, usiłowały mu sprzedać pamiątki i ulepkowate słodycze, albo po prostu gapiły się na niego, bo nie miał skośnych oczu. Chłopcy nosili białawe (czasem zwyczajnie brudne) marynarki i spodnie, większość była bosa; dziewczynki chodziły w sharengach w dwudziestu różnych kolorach, od czarnego po złoty.

Po drugiej stronie parkingu rozpościerającego się równoległe do budynku ekspresportu (stało na nim trochę elektrycznych taksówek, znacznie liczniejsze pojazdy napędzane siłą ludzkich mięśni zwane „rixa”, a także dwa lub trzy nowoczesne autobusy chińskiej produkcji) ciągnął się rząd jarmarcznie kolorowych bud z lekkiej, nieprzemakalnej tkaniny rozpiętej na stelażach z bambusa lub plastiku. Przechadzający się przed nimi policjant popatrywał groźnie na ich właścicieli, którzy w odpowiedzi uśmiechali się bez przekonania. Donald z niejakim wysiłkiem uświadomił sobie kontekst tej sytuacji. Wiedział, że reżim Solukarty krzywo patrzy na przesady, ale sądząc po tabliczkach zawieszonych nad budami, można było w nich złożyć dowolnemu z bogów ofiarę przebłagalną w intencji pomyslniej podróży lub bezpiecznego powrotu z zagranicy. Stanowiska ofiarne nie narzekały zresztą na brak klientów – przez tę krótką chwilę, kiedy im się przyglądał, podeszło do nich pięć albo sześć osób: zapalały stożkowate grudy kadzidła, co rusz dotykając przy tym na przemian czoła i serca, lub, podpaliwszy serpentynę z nadrukowaną modlitwą, patrzyły, jak rozwiewa się w smugę dymu.

Zerknąwszy z ukosa na majaczącą w oddali sylwetkę Pradziada Loa – lepiej widoczną, odkąd deszcz nieco zelżał – doszedł do wniosku, że nie może mieć za złe mieszkańcom Yatakangu, że obstają przy swoich starych obyczajach.

– Ach, mój amerykański przyjaciel... – Cichy głos, tuż obok. – Jeszcze raz dziękuję, panie...

Odwrócił się i odruchowo przedstawił hinduskiej dziewczynie. W długim, powłóczystym sari wyglądała jeszcze zgrabniej i wdzięczniej niż poprzednio, chociaż po sposobie, w jaki nieustannie je poprawiała, było widać, że nie jest przyzwyczajona do takiego skrępowania nóg.

– Czeka pan na taksówkę? Raczej nie, widzę, że jest ich mnóstwo. O co zatem chodzi?

– Rozglądam się. Jestem tu pierwszy raz.

Odpowiadał z wymuszoną uprzejmością, chociaż na poziomie czysto intelektualnym miał świadomość, że kobieta jest ładna i wyemancypowana. Spotkanie z yatakańskim lekarzem chwilowo przytępiło jego męskie reakcje.

– Przecież mówi pan po yatakańsku, i to chyba całkiem niezłe.

– Chciałem poznać jakiś nieindoeuropejski język, padło na yatakański, bo mało kto się go uczył... Jedzie pani do Gongilungu?

– Tak, mam zarezerwowany pokój w hotelu... Hotel Dedication, czyli Zaangażowanie. Tak się chyba nazywa.

– Ja również mam tam rezerwację.

– To może weźmiemy taksówkę na spółkę?

Zbieg okoliczności nie był szczególnie zaskakujący – bo i nie mógł być: Dedication, jedyny hotel w stolicy obsługujący gości z zachodu, zawsze był pierwszy brany pod uwagę, jeśli tylko miał wolne pokoje.

– A może wolałby się pan przejechać riksą? W Stanach nie macie riks, prawda?

Riksza! Oczywiście. To z tego rdzenia musiało się wywodzić współczesne yatakańskie słowo „rixa”.

– A nie mamy za dużo bagażu? – zaniepokoił się Donald.

– Skądże. Riksarze wyglądają na równie silnych jak ci u nas w kraju. Ej, ty tam! Tak, do ciebie mówię.

Hinduska skinęła energicznie na stojącego na przedzie kolejki kierowcę riksy, który na ten znak podjechał do nich na swoim śmiesznym pięciokołowcu napędzanym pedałami. Dziewczyna miała rację: nie

skomentował ilości bagażu, tylko wrzucił torby na platformę z tyłu pojazdu, aż ten przysiadł na resorach, po czym otworzył niskie drzwiczki dla pasażerów.

Na wąskim siedzeniu musieli się ścisnąć, ale jeśli dziewczynie to nie przeszkadzało, to Donald nie zamierzał się skarżyć. Pomału odzyskiwał dobry humor.

– Byłabym zapomniała: nazywam się Bronwen Ghose – powiedziała Hinduska, gdy riksarz stanął na pedałach, żeby ruszyć ciężki pojazd z miejsca.

– Bronwen? To indyjskie imię?

– Nie, walijskie. Wiąże się z nim skomplikowana historia, w której mój dziadek wyruszył na morze jako tak zwany laskar, po czym w Cardiff pewna Walijka złamała mu serce. – Dziewczyna się roześmiała. – Wszyscy się dziwią, dopóki im nie wyjaśnię. Co zamierzasz robić w Gongilungu, Donaldzie? Czy może jestem nazbyt wścibska?

– Nie, wcale nie.

Donald obserwował strumień pojazdów, w który właśnie próbowali się wtopić: składał się w głównej mierze z napędzanych pedałami mini ciężarówek, z niewielką domieszką elektrycznych wagabundów przewożących albo pasażerów (w zupełnie niewiarygodnej liczbie pięciu lub sześciu – w pojeździe nie dłuższym niż rixa Donalda!), albo worki, bele i skrzynie niemożliwych do odgadnięcia towarów. Nad drogą wisiały kolorowe transparenty, trochę wyblakłe od deszczu; niektóre wychwalały marszałka Solukartę, inne wzywały Yatakańczyków do wyzbycia się europejskich uprzedzeń.

– Ja... ehm... przygotowuję materiał o optymalizacji genetycznej na zlecenie Engrelay Satelserv.

– Naprawdę? To musi być ciekawe. Jesteś specjalistą w tej dziedzinie?

– Poniekąd. To znaczy, z wykształcenia jestem biologiem.

– Rozumiem to „poniekąd”. Prac Sugaiguntunga nie omawia się raczej na kursach uniwersyteckich.

– Znasz się na genetyce?

Bronwen uśmiechnęła się półgębkiem.

– Uwierz mi, Donaldzie, w kraju takim jak nasz nie sposób być kobietą w wieku rozrodczym i nie wiedzieć nic na ten temat. Chyba że jesteś głupią analfabetką, rzecz jasna.

– Pewnie masz rację... – Donald się zawahał. – Co cię tu sprowadza? Interesy czy przyjemności?

Długo czekał na odpowiedź.

– Prawdę mówiąc... – odparła w końcu Bronwen. – Choroba.

– Choroba? – powtórzył zaskoczony Donald i zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów, na ile było to możliwe na ciasnym siedzeniu pojazdu.

– Nie jest zaraźliwa, słowo. Nie odpłaciłabym ci podłością za twoją uprzejmość. – Bronwen parsknęła śmiechem, aż riksarz obejrzał się przez ramię i ledwie uniknął zderzenia z wagabundą. – Jako genetyk na pewno będziesz kojarzył, o co chodzi: mam... rety, uciekło mi angielskie słówko. – Pstryknęła palcami.

Donald złapał ją za rękę.

– Nie rób tak w Yatakangu – ostrzegł ją i uśmiechnął się przeproszająco do riksarza, który znów odwrócił się w ich stronę, tym razem z podejrzliwą miną. – Ten gest przynosi pecha, chyba że wykonasz go w jeden z konkretnych dni w roku. Podobno w ten sposób przywołujesz duchy przodków!

– Ojejku! – Bronwen z udawaną zgrozą przygryzła knykcie drugiej dłoni idealnie równymi, białymi zębami.

Donald dopiero teraz zdał sobie sprawę, że wciąż trzyma ją rękę. Zwolnił uścisk.

– To skomplikowany kraj – dodał. – Mówiłaś właśnie...

– A tak. Jak to się nazywa, kiedy kości produkują za dużo ciałek krwi, które zabijają bakterie?

– Białaczka.

– Właśnie, białaczka. Tego słowa szukałam.

– To okropne – przyznał autentycznie stroskany Donald.

W tych czasach wszelkie nowotwory, w tym także rak krwi, kojarzyły się raczej z chorobami wieku podeszłego, kiedy to następuje załamanie mechanizmów regulujących pracę organizmu. Dla ludzi młodych były

lekarstwa, a warunki produkcji i używania substancji rakotwórczych były regulowane przez skomplikowane przepisy.

– W Stanach to już chyba rzadkość, ale w moim kraju zdarza się regularnie – powiedziała Bronwen. – I tak mogę mówić o szczęściu: mój mąż zmarł, jak wiesz, a ja odziedziczyłam po nim dość pieniędzy, żeby przylecieć tutaj i odbyć kurację niedostępną w Indiach.

– Co to za kuracja?

– Nie znam szczegółów, wiem tylko, że wynalazł ją ten sam doktor Sugaiguntung.

Wspięli się na szczyt długiego zbocza opadającego ku centrum Gongilungu. Po obu stronach drogi ciągnął się istny labirynt tanich czynszówek, często przystrojonych wszechobecnymi politycznymi transparentami. Riksarz zdjął bose stopy z pedałów i skrzyżował je na kierownicy, a rękami wyjął i zapalił papierosa, osłaniając go przed mżawką. Donald zaniepokoił się na ten widok, kiedy jednak zauważył, że inni przewoźnicy zachowują się podobnie, odprężył się.

– Chyba czytałem coś na ten temat. – Zmarszczył brwi. – Jeśli dobrze pamiętam, kuracja przebiega dwustopniowo. Najpierw infekuje się szpik kostny zmodyfikowanym wirusem zastępującym naturalny materiał genetyczny, który wymknął się spod kontroli. Potem, kiedy produkcja leukocytów wróci do właściwego poziomu, trzeba z kolei pozbyć się wirusa i podstawić identyczne jądro...

– Pojęcia nie mam, jak to działa. – Bronwen wzruszyła ramionami. – Ale wiem dwie rzeczy: kuracja jest droga i bolesna. Mimo to cieszę się, że tu jestem.

Zapadła cisza, maćona tylko szumem kół na nawierzchni drogi i rzadkimi gniewnymi okrzykami kierowców, którzy uważali, że naruszono ich prawo pierwszeństwa przejazdu. Donald nie wiedział, co powiedzieć. Patrzył na śliczną buzię Bronwen i wyczytywał z niej przygnębienie.

– Mam dopiero dwadzieścia jeden lat – powiedziała w końcu dziewczyna. – Mogłabym jeszcze długo pożyć. Chcę długo pożyć.

– Tak szybko zostałaś wdową?

– Mój mąż był lekarzem – odparła lodowatym tonem. – Zginął zabity przez tłum, kiedy odkryto, że podawał ludziom szczepionkę zrobioną ze świńskiej surowicy. Miał trzydzieści trzy lata.

Odległy grzmot lądującego ekspresu zagłuszył wszelkie ewentualne próby odpowiedzi Donalda.

* * *

W hotelu Dedication trafił się ktoś z obsługi, kto znał angielski i trochę hindi, dzięki czemu Donald mógł zrezygnować z etatu tłumacza. Pocąc się nad skomplikowanym formularzem komputerowym, który musiał wypełnić przy zameldowaniu, jednym uchem słuchał rozmowy Bronwen z recepcjonistką. W myślach planował już kolejne posunięcia zgodne z jego profilem „zawodowym”: wizyta w Międzynarodowym Klubie Prasowym (do którego miał tymczasową kartę wstępu), żeby spotkać się z korespondentką Engrelay Satelserv; odwiedziny w rządowym biurze informacyjnym w celu pobrania oficjalnych dokumentów; posmarowanie komu trzeba i ile trzeba, żeby umówić się na wywiad z Sugaiguntungiem. Liczył się z tym, że ta ostatnia misja będzie długa, kosztowna i najprawdopodobniej bezowocna. Odkąd gruchnęła wielka nowina, żadnemu zagranicznemu dziennikarzowi nie udało się spotkać z profesorem doktorem Sugaiguntungiem w cztery oczy. W grę wchodziły tylko konferencje prasowe organizowane przez rzeczników rządu.

Hindusi, choć okrągłocy, byli obecnie stosunkowo mile widziani w Yatakangu, który uważał ich za braci w zmaganiach z kolonialną spuścizną. Europejczyków przyjmowano z niechęcią, jaką w przeszłości rezerwowano dla holenderskich władców. Niejako rykoszetem obrywali przy tej okazji Amerykanie, zwłaszcza że stosunki dyplomatyczne z USA pozostawały napięte. Bronwen zdążyła zniknąć na górze, zanim wreszcie ktoś zgarnął bagaże Donalda i zaprowadził go do pokoju, który okazał się typowo yatakańskim zlepkiem paradoksów: delikatne, ręcznie tkane jedwabie w szklanych ramach wypełnionych helem, który miał powstrzymać rozkład; niska platforma z poduszkami pełniącą rolę

łóżka; kabina prysznicowa wyłożona sztucznym marmurem, bidet, sedes i duży plastikowy kosz pełen okrągłych kamieni na użytek ortodoksyjnych muzułmanów, którzy nie zamierzali czynić inaczej niż nakazał to Prorok podczas oczyszczania się po wypróżnieniu.

Pokojówka w niebieskim sharengu bezszelestnie i z wprawą pochowała jego ubrania, pokazała mu, jak obsługiwać dystrybutor papierowych strojów i butomat, i przeprosiła, że telewizor nie działa – „ale zostanie bardzo szybko naprawiony”. Sądząc po zalegającym na pokrętlach kurzu, tę obietnicę składano już dwudziestu poprzednim gościom.

Na szczęście, telefon działał. Kiedy Donald został sam, usiadł przy aparacie; czuł się trochę niezręcznie, ponieważ aparat był pozbawiony wyświetlacza, i zamiast oglądać twarz rozmówcy, można było co najwyżej pogapić się w wiszące na ścianie lustro.

Ledwie wybrał pierwszą cyfrę, w lustrze tym zobaczył drzwi – nie te, przez które wszedł, lecz prowadzące do sąsiedniego pokoju – które pomalutku się uchylały.

Wstał najciszej jak umiał i przemknął na drugą stronę wąskiego pokoju, do miejsca, w którym otwarte drzwi powinny go zasłonić. Zerknąwszy w lustro, upewnił się, że ktokolwiek wejdzie do pokoju, nie zobaczy go – oczywiście z tego samego powodu także on nie widział intruza, ale zza drzwi wyłoniła się sniada dłoń, stopa, potem...

Skoczył naprzód. Niedawna pedekizacja przydała jego ruchom pewności i skuteczności: sekundę później trzymał intruza za szyję i nadgarstek, gotowy dźwignąć go w powietrze, oprzeć na kolanie i złamać mu kręgosłup.

W tej samej sekundzie wykrzyknął ze zgrozą:

– Bronwen!

– Puść! To boli! – wydyszała z gardłem miażdżonym w dłoni Donalda.

– Strasznie cię przepraszam! – Pośpiesznie pomógł jej odzyskać równowagę i podtrzymał ją, kiedy się zachwiała. – Ale nie powinnaś tak wchodzić... Dzisiaj wszystkiego można się spodziewać, takie czasy!

– Czegoś takiego na pewno się nie spodziewałam – zauważyła cierpko. – Wydawało mi się, że słyszę twój głos; dotarło do mnie, że dali ci pokój po

sąsiedzku. Przepraszam, chciałam ci zrobić niespodziankę.

– Udało ci się – przyznał ponuro. – O, to mój telefon. Usiądź, zaraz przyjdę.

Doskoczył do aparatu, z którego wydobywały się niewyraźne pomruki po yatakańsku. Wbrew nadziejom Donalda nie była to jednak korespondentka, z którą miał się spotkać, lecz jej kolega, który nie wiedział, kiedy wróci, i zgodził się tylko przekazać jej wiadomość.

Donald powiedział mu, gdzie się zatrzymał, i się rozłączył.

Odwrócił się na krzesło i uśmiechnął półgębkiem do Bronwen.

– Wiesz co? Jak na chorą, to jesteś całkiem silna.

– To pierwsze stadium – odmruknęła ze wzrokiem utkwionym w podłogę. – Mąż mnie zdiagnozował tuż przed tym, jak został zabity.

Teraz wreszcie mógł się jej dobrze przyjrzeć. Musiała chyba pójść prosto do dystrybutora ubrań i przebrać się w coś miejscowego: miała na sobie jasnoszary shareng i krótką, sztywną żółtą kurteczkę.

Zauważyła, że się jej przygląda, i nerwowo obciągnęła ubranie w tali.

– Te rzeczy są wstrętne, gorsze nawet od tych, które mamy u siebie w kraju, a już tamte są fatalne. Chciałam cię zapytać, czy nie znalazłbyś chwili, żeby pomóc mi kupić coś normalnego do ubrania zamiast tego papieru.

Donald dokonał szybkich obliczeń w pamięci. Przyjeżdżając do Yatakangu, zyskał na czasie: tu był poranek, w Kalifornii – wieczór. Yatakańskim zwyczajem od południa do trzeciej po-pe obowiązywało coś na kształt sjesty; nie umówi się z nikim wcześniej niż na trzecią, a to oznaczało, że ma parę godzin wolnego.

– Chętnie – odparł. – Podzwonię jeszcze w parę miejsc i zaraz do ciebie przyjdę.

– Dzięki wielkie – powiedziała Bronwen i wróciła do siebie. Nie zamknęła drzwi.

W jej pokoju szafa miała normalne, uchylne drzwi z lustrem – zamiast przesuwanych, jak u Donalda. Zauważył to niemal od razu, ponieważ, odwróciwszy się z powrotem do telefonu, widział w lustrze, w którym wcześniej zobaczył uchylające się bezgłośnie drzwi, odbicie odbicia. Gapiąc

się na nie bezmyślnie, czekał na połączenie z biurem informacyjnym rządu.

Dzięki temu zobaczył, jak Bronwen przystaje przed szafą, spuszcza wzrok na swój smętny szaro-żółty strój i wykrzywia usta w podkówkę.

- Tak? – zabrzmiało w wideofonie.
- Proszę z działem obsługi korespondentów zagranicznych.
- Jedną chwileczkę.

Podniosła ręce na wysokość piersi, jakby zamierzała zedrzeć nienawistne ubranie, ale papier – wzmocniony plastikiem niezbędnym w obliczu regularnie padających deszczów – okazał się na to zbyt wytrzymały. Zrzuciła więc kurteczkę z ramion, ze złością zgmiotła ją w rękach i cisnęła pomięte resztki na podłogę.

- Dział współpracy z zagranicą.
- Nazywam się Donald Hogan, mam akredytację Engrelay Satelserv. Nasza centrala wysłała państwu zawiadomienie o moim przybyciu.
- Proszę powtórzyć nazwisko, zaraz sprawdzę.

Górna część sharengu, automatycznie dopasowana mniej więcej do jej rozmiaru, rozwinęła się z szelestem. Donaldowi zaparło dech w piersi. Bronwen nie miała nic pod spodem. Jej piersi przypominały dwie małe, brunatne brzoskwinki, sutki miały odcień jasnego karneolu.

- Zgadza się, panie Hogan, spodziewaliśmy się pana. Kiedy może pan do nas przyjść i oficjalnie zarejestrować się jako dziennikarz?
- Czy trzecia po południu, dzisiaj, nie będzie za wcześnie...

Odwinęła z talii trzy zwoje sharengu i pochyliła się, żeby rozplątać skomplikowane zakładki i zaszewki, podtrzymujące materiał między nogami. Jej piersi prawie się przy tym nie zakołysały.

- Sprawdzę grafik spotkań właściwego urzędnika, proszę się nie rozłączać.

Jakoś udało jej się włożyć ubranie, ale pozbycie się go sprawiało jej wyraźny kłopot. Odwróciła się, wciąż pochylona, żeby mieć więcej światła, i w kwadracie lustra pojawiły się jej drobne, kształtne pośladki. Światło padło na kępkę czarnych włosów w miejscu, gdzie się kończyły.

– Tak, godzina trzecia w dniu dzisiejszym będzie odpowiednia. Dziękuję, panie Hogan – usłyszał w telefonie i połączenie zostało zakończone.

Donald wstał. W ustach mu zaschło, serce waliło jak młotem, kiedy przeszedł przez drzwi.

Odwrócona tyłem do niego Bronwen zrobiła krok w bok, zostawiając za sobą resztki papierowego sharengu.

– Wiedziałam, że patrzysz.

Nie odpowiedział.

– Czasem sobie myślę, że zwariowałam. – W jej głosie zabrzmiała delikatna nuta kielkującej hysterii. – A potem znowu myślę, że wcale nie zwariowałam, przeciwnie, że zachowuję się bardzo rozsądnie. Mąż nauczył mnie kochać moje ciało. A mnie, być może, zostało już niewiele czasu, by tę miłość okazywać.

W końcu się odwróciła, powoli, kręcąc piruet na delikatnej stopie, której podeszwa – teraz Donald to zauważył – była pomalowana różową farbą, pod kolor lakieru na paznokciach.

– Przepraszam – powiedziała niespodziewanie Bronwen. – To nie miał być komplement dla ciebie, po prostu... No, nigdy nie miałam Amerykanina. A chciałabym. Póki mogę. To znaczy, jeśli ty chcesz, oczywiście. – Słowa brzmiały dziwnie bezbarwnie, jakby wypowiadała je maszyna. – Jestem zupełnie... Jak to się mówi? Zostałam wysterylizowana, na wypadek gdyby mój rodzaj białaczki okazał się dziedziczny. Jestem całkowicie, bezapelacyjnie bezpłodna.

– To tak jak ja – odparł Donald tonem, który jemu samemu wydał się zaskakująco szorstki.

I wyciągnął grzebień przytrzymujący czarne pukle, które spłynęły po niej długowłosym wodospadem zapomnienia.

na zbliżeniu (19)

MAŁE ZACHCIANKI ŁATWE DO ZASPOKOJENIA

Kiedy telewizor się popsuł i zaczął pokazywać tylko mrowie nieregularnie falujących szarych linii, przetykanych kropkami, które poruszały się jak drobinki kurzu zawieszzone w płynie i oglądane pod mikroskopem w celu zilustrowania ruchów Browna, czemu towarzyszył płynący z głośnika biały szum, Bennie Noakes miał ochotę oddać go do naprawy. Jednakże po godzinie lub dwóch stwierdził, że przypadkowe wzory w połączeniu z szumem mają działanie psychodeliczne. Co więcej, rzeczywistość przestała wpychać się na ekran z tymi denerwującymi i odrażającymi wstawkami o ludziach zabijających innych ludzi. Zapatrzony w ekran Bennie Noakes stał się ucieleśnieniem czystej percepcji. Od czasu do czasu powtarzał tylko:

– Jezu, ależ ja mam wyobraźnię!

ciągłość (23)

TOMCIO PALUCH

Zatoka Benin! Zatoka Benin!

Weszło czterdziestu, wyszedł jeden!

Żadne z benińskich miast nie miało bezpośredniego połączenia ekspresowego. Kraj nie mógł sobie pozwolić na budowę choćby jednej z wymaganych przez samoloty betonowych patelni o średnicy pięciu mil, nie mówiąc już o sfinansowaniu usług towarzyszących. Dlatego w Akrze Norman porzucił smukłe, nowoczesne łono ekspresu na rzecz maleńkiego, zabytkowego boeinga z telepiącymi się skrzydłami, obsługującego lokalną trasę przez Port Mey w głąb Nigerii. Pochodząca z co najmniej 1980 roku maszyna tankowała zwykle paliwo lotnicze zamiast ciekłego tlenu i hydrazyny. Sądząc po zapachu, węże paliwowe musiały być nieszczelne; spanikowanego Normana dręczyły wizje nagłego pożaru.

Zatoka Benin! Zatoka Benin!

Larwy wgryzają ci się pod skórę!

W szybkowarowym afrykańskim upale mokre od pary i potu ubranie kleiło mu się do skóry.

Zatoka Benin! Zatoka Benin!

Gorączka bagienna i kilo chininy!

Arogancy urzędnicy w strojach, w których nie od razu rozpoznał mundury (u schyłku ubiegłego stulecia ksenofobia wyeliminowała europejskie oznaki rangi, takie jak furażerki i koalicyjki; zastąpiły je wojskowe odpowiedniki strojów plemiennych), ochoczo korzystali z okazji do okazania pogardy swoim czarnym kuzynom z Ameryki – potomkom

Afrykańczyków, którym nie starczyło rozumu lub umiejętności, żeby ukryć się przed handlarzami niewolników.

Zatoka Benin! Zatoka Benin!

Deszcz wiecznie pada i rozwadnia dżin!

Przedstawiciele GT z Normanem i Elihu na czele, przepędzeni przez wytyczone drucianą siatką przejścia jak bydło w drodze do ubojni, dotarli na koniec kolejki pasażerów czekających na lot do Port Mey. Pięć stuleci stopiło się tu w galimatias impresji: grube matrony zakutane w zwoje krzykliwej bawełny, w równie kolorowych turbanach na głowach; postępowe młode dziewczyny w preeuropejskich mikrosukienkach, koralikach i kolczykach, popatrujące na Normana z niejasną aprobatą; biznesmeni, najprawdopodobniej południowoafrykańscy, których zachodni strój kontrastował z czarną karnacją; medyk (miejscowy) z wielgachnym tobołkiem zawierającym rytualne rekwizyty, z których każdy pełnił ściśle określoną rolę w leczeniu psychiatrycznym, a większość roztaczała charakterystyczny, niepowtarzalny zapach; egipski imam toczący przyjacielską pogawędkę z księdzem Kościoła Episkopalnego w koloratce...

Zatoka Benin! Zatoka Benin!

Bóg jeden wie, kiedy o niej zapomniał!

Płynące z dudniących głośników zapowiedzi przylotów i odlotów były wygłaszane po angielsku, ale do Normana dotarło to dopiero po kilkunastu minutach. Miał świadomość, że język odziedziczony po władzy kolonialnej ulega rozpadowi, tak jak łacina po upadku Rzymu, wyobrażał sobie jednak, że proces ten dotyczy raczej Azji niż Afryki, z którą mimo wszystko łączyły go więzy emocjonalne. Pomiedzy komunikatami rozbrzmiewał nieprzerwany szmer nagranej muzyki. Z ciekawości wsłuchał się w nią, wychwycił uderzenia perkusji i rozpoznał schemat siedemnaście czwartych, stary dahomejski rytm *hun* i *hunpi*, bębna-dziecka i bębna-matki. Z braku lepszego tematu do rozmowy napomknął o tym Elihu Mastersowi.

Zatoka Benin! Zatoka Benin!

Wchodzisz gruby, umierasz chudziutki!

– Tego przynajmniej życzyliśmy białodupcom – dodał Norman.

– Nie – zaoponował Elihu. – Takie skomplikowane rytmy to jedna z rzeczy, które Europejczycy odebrali nam wraz z całą resztą kultury plemiennej. Rytmy jazzowe pochodziły z marszów wojskowych i francuskich tańców. Współczesne rytmy też są pochodzenia europejskiego: pięć czwartych z takich rejonów jak Węgry, siedem czwartych z Grecji i reszty Bałkanów. Nawet instrumenty, które przyjęły się na zachodzie, to raczej indyjski sitar niż kora.

– Co to jest kora?

– Przecięta na pół tykwa obciągnięta skórą tworzy pudło rezonansowe. Do tego dochodzi metalowa rama ze strunami jak od harfy i kawałkami metalu, które przy odpowiednich częstotliwościach wpadają w rezonans. Będiesz miał okazję ją tu zobaczyć, chociaż pochodzi ze wschodu; najlepszymi muzykami zawsze byli i nadal są Sudańczycy.

Zatoka Benin! Zatoka Benin!

Zrobiła z nas zwierzęta zamiast ludzi!

– Sprawdziłeś swój afrykański rodowód? – zainteresował się Elihu. – Bo chyba miałeś taki zamiar...

– Nie było czasu – mruknął Norman, ale z nagłym zainteresowaniem przyglądał się otaczającym go ludziom.

Może są wśród nich moi krewniacy, pomyślał. Stąd pochodziło wielu niewolników.

– Nie poznasz po wyglądzie – podpowiedział mu Elihu. – Umiesz odróżnić Ibo od Joruby? Ashanti od Mandingo?

Norman pokręcił głową.

– A to w ogóle możliwe?

– To są różne typy, takie jak wśród ludzi pochodzenia europejskiego. Tylko że tam zdarzają się czarnowłosi Szwedzi i hiszpańscy blondyni, a tu nie ma nawet takich oczywistych cech, które by ci pomogły.

Zatoka Benin! Zatoka Benin!

Zlituj się, Boże, nad dzieckiem grzechu!

– Zapowiedzieli nasz lot – powiedział Elihu i ruszył naprzód, gdy brama, przed którą stali, otworzyła się ze zgrzytem zawiasów.

Podczas lotu do Port Mey jakiś mężczyzna zawodził żalonym głosem, przygrywając sobie na instrumencie zrobionym z patyka, starej drewnianej skrzynki i kawałków złomu, zestrojonym w skali pentatonicznej. Dla Normana i jego znajomych z GT (nie licząc Elihu) było to z lekka żenujące, ale innym pasażerom muzyka na żywo przypadła do gustu i chętnie dołączali do śpiewu.

– To Shinka – wyjaśnił Elihu. – Z Port Mey. Opowiada wszystkim, jak bardzo się cieszy z powrotu do domu po pobycie w Akrze.

Gruba kobieta z niespełna rocznym dzieckiem na ręku wykorzystwała do maksimum limit zakupów bezcłowego alkoholu i teraz częstowała sąsiadów arakiem z ćwierćlitrowej butelki. Norman odmówił i z uśmiechem spróbował wyjaśnić – bardzo powoli – że jest muzułmaninem i dlatego nie pije, na co kobieta uparła się, żeby wzięła ciastko z pudełka, które trzymała zawinięte w fałdy materiału na brzuchu. Norman przyjął poczęstunek, doszedłszy do wniosku, że zawarty w nim haszysz nie będzie się wiele różnił od trawki, do której przywykł w domu, i jeszcze zanim wylądowali, nastrój ogromnie mu się poprawił. Mężczyzna z instrumentem wstał i zaczął chodzić od fotela do fotela, prosząc o podsuwanie mu improwizowanych wersów do piosenki. Elihu po krótkim namyśle podpowiedział mu coś w tak czystym shinkaskim, że muzyk z radości rzucił mu się na szyję. Norman – lekko rozczarowany, że nie będzie miał okazji zrobić tego samego, tyle że po angielsku – poczuł przyływ nagłego zdumienia swoim niezwykłym stanem.

– Elihu? – szepnął zatroskany przy pierwszej sposobności. – Czuję się bardzo stary. Czy w tym ciastku mogło być coś więcej niż...

– To są Shinkowie – odparł Elihu takim tonem, jakby to objaśniało całą naturę wszechświata, i wrócił do przerwanej rozmowy z muzykiem, prowadzonej w języku, którego Norman ni w ząb nie rozumiał.

Nie mając nic lepszego do roboty, Norman wyjął z kieszeni przy fotelu ulotkę reklamową linii lotniczych i zobaczył uproszczoną mapę Afryki Zachodniej, na której poszczególne kraje wyglądały jak klinowate kawałki tortu powbijane w północne wybrzeże Zatoki Benin. Beninia była najcieńsza, ledwie okrawek w porównaniu z RUNG albo Dahomalią.

– Mała jak Tomcio Paluch – mruknął Norman.

Elihu pytająco uniósł brew.

– Nie, nic takiego – uspokoił go Norman.

Pomysł jednak wydał mu się na tyle śmieszny, że, chcąc nie chcąc, parsknął śmiechem.

Mały Tomcio, który paluchem wydłubie najsmaczniejszy kąsek z tego tortu!

* * *

Stopniowo rozwijało się w nim dziwne wrażenie rozdwojenia jaźni. Mimo że Elihu zbył jego wątpliwości machnięciem ręki, Norman doszedł do wniosku, że ciastko musiało być jednak czymś zaprawione. Nigdy przedtem nie doświadczył takiej dwupartyjności jak w tej chwili.

Z jednej strony, jego intelekt nie zmienił się ani na jotę od chwili, gdy wcześniej tego dnia opuszczał Nowy Jork. Kiedy w Port Mey wyszedł im naprzeciw oficjalny komitet powitalny (różnokolorowy personel ambasady plus kompania honorowa śmiesznej armii benińskiej w mundurach idealnych na defiladę, ale absolutnie niedorzecznych w wypadku wojny), Norman mógł się całkiem świadomie rozglądać i wyciągać stosowne do obserwacji wnioski, takie jak ten, że było to ostatecznie miejsce, z którego dałoby się wydłubać smaczny finansowy kąsek. To nie była zwykła bieda, to było skrajne ubóstwo. Droga, na której pojazdy z ambasady kolebały się i podskakiwały, jadąc z lotniska, była remontowana – w pewnym sensie – przez robotników wyposażonych w łopaty i oskardy, lecz po obu jej stronach ciągnęły się slumsy, a jedynym śladem ludzkiej ingerencji w przebiegający bez przeszkód proces upodlenia człowieka był transparent z angielskim napisem, że Beninia wita zagranicznych inwestorów. Nie spodziewał się, że w tym nowym wspaniałym stuleciu są jeszcze gdzieś nagie dzieci tarzające się w błocie razem z kwiczącymi prosiętami – a tutaj je zobaczył. Nie spodziewał się zobaczyć rodziny złożonej z ojca, matki, dziadka i czworga dzieci, podróżującej napędzanym pedałem wehikułem zmontowanym z trzech zabytkowych rowerów i dwóch dużych

plastikowych skrzyń – zatrzymano ich przy wjeździe i tylko jednej osobie pozwolono wejść na teren lotniska. Nie spodziewał się zobaczyć stareńkiego morrissa, pierwszego seryjnie produkowanego samochodu ciężarowego zasilanego ogniwem paliwowym, pękającego w szwach od dzieci w wieku od dziewięciu do piętnastu lat, które z uśmiechem machały do nich znad tylnej klapy – podczas podróży do miasta zobaczył co najmniej sześć takich ciężarówek, przyozdobionych pobożnymi hasłami CO NAGLE, TO PO DIABLE albo NIE MA BOGA PRÓCZ BOGA, czy NIE RÓB DRUGIEMU, CO TOBIE NIEMIŁE.

Powietrze było ciężkie od rozproszonej w nim wilgoci, bardziej nawet niż podczas oczekiwania na przesiadkę w Akrze, co sprzyjało pogłębieniu cynicznego nastroju Normana.

Tymczasem równocześnie z odnotowywaniem tych wszystkich oznak biedy i zacofania odczuwał specyficzne uniesienie. Robotnikom trudzącym się przy remoncie drogi towarzyszyła czteroosobowa grupa muzyków i śpiewaków, którzy z pomocą bębnów zrobionych z pustych puszek różnej wielkości przetwarzali monotonne łomotanie oskardów w rytmiczną pieśń. W pustym, zasłoniętym szmatą wejściu do jednej z ruder dostrzegł młodą matkę, która z dumą pokazywała nowe dziecko sąsiadkom, emanując zaraźliwym zachwytem. Pod innym szalasek stała półciężarówka z czerwonym krzyżem, której kierowca, ubrany w foliowy kombinezon, przed powrotem do szoferki metodycznie spryskiwał się środkiem odkażającym w aerozolu – był to wątyły, bo wątyły, ale jednak dowód na to, że XXI wiek zawitał także do Beninii.

Elihu wdał się w rozmowę z młodym, wymizerowanym Murzynem – pierwszym sekretarzem ambasady, który pod jego nieobecność kierował placówką. Sekretarz był co najmniej osiem lat młodszy od Normana. Norman przyglądał mu się i zastanawiał, jakie to uczucie być odpowiedzialnym za stosunki międzynarodowe, nawet na tak niewielką skalę jak w wypadku współczesnej Beninii. Obejrzał się do tyłu: w dwóch pozostałych samochodach jechała reszta ekipy GT – dziewczyna od Fostera-Sterna, z działu projektów i planowania, lingwista specjalizujący się w językach afrykańskich (zwerbowany specjalnie na tę okazję), oraz

dwóch ekonomistów-księgowych z osobistego zespołu doradczego Hamilcara Waterforda.

Norman sięgnął do pamięci w poszukiwaniu tożsamości sekretarza: Gideon... jakiś tam... Gideon Horsfall, tak, to było to. Pochylił się w fotelu.

– Przepraszam, że się wtrącam – powiedział – ale chciałbym pana o coś zapytać, panie Horsfall.

– Słucham – odparł chudzielec. – Proszę mi mówić po imieniu, nie cierpię, kiedy mi się „panuje”.

Parsknął śmiechem, który dziwnie nie pasował do jego chudej jak szkielek sylwetki. Przypominał trochę Raphaela Corninga, chociaż był od niego niższy i znacznie bardziej czarny. Ta refleksja groziła wyprowadzeniem Normana na manowce, w rozważania o zaangażowaniu chudych nerwusów we współczesną politykę.

– Kiedyś panowałem tylko białodupcom – dodał Gideon. Spoważniał. – Z biegiem czasu nabrałem dystansu do sprawy. O co chciałeś zapytać?

– Czy podzielasz opinię Elihu na temat Beninii?

Zapadła cisza. Gideon wodził wzrokiem po przedmieściach Port Mey, cisnących się z obu stron drogi. Pomijając fakt, że miękki grunt nie był w stanie udźwignąć wysokiej zabudowy (Norman czytał o tym, że znaczne obszary Port Mey były zwykłymi bagniskami, dopóki Brytyjczycy nie osuszyli ich i częściowo nie zabudowali), okolica do złudzenia przypominała slumsy, jakie przed stu laty widywało się w Europie w rejonie Morza Śródziemnego. Jechali potwornie dziurawą, chociaż całkiem szeroką ulicą, do której dochodziły wąziutkie przecznice, nad którymi wisiały przerzucone sznury z praniem.

– Powiem tak – odezwał się w końcu Gideon, nie patrząc na Normana. – Kiedy postanowili przysłać mnie tutaj wbrew mojemu oficjalnemu przydziałowi, bo wcześniej byłem trzecim sekretarzem ambasady w Kairze, byłem wściekły. Traktowałem Beninię jak skończone zadupie i byłem gotowy zrobić wszystko, żeby się stąd wyrwać. Dali mi jednak do zrozumienia, że albo schowam dumę do kieszeni, albo do końca życia nie wyskoczę ponad rangę attaché. Zgodziłem się więc, chociaż przypłaciłem to masakrycznym uszczerbkiem na psychice; wtedy naprawdę ważyły się

moje losy, nie wiedziałem, czy wyląduję tutaj, czy na kozetce u psycha. Żarłem spoksy garściami. Ty na pewno wiesz, jak to jest być brązowym kinolem w społeczeństwie białodupców.

Norman pokiwał głową. Próbował przełknąć ślinę, ale tak mu zaschło w gardle, że pod podniebieniem miał tylko powietrze.

– Zajmuję się wszystkim pod nieobecność Elihu – ciągnął Gideon. – Zgoda, nie jest tego dużo, ale... Prawda jest taka, że dwa lata temu załamałbym się pod ciężarem nawet takiej symbolicznej odpowiedzialności i nic bym nie mógł na to poradzić. Niby nic się nie stało poza tym, że tutaj trafiłem, a jednak... – Wzruszył ramionami. – Znów jestem w jednym kawałku i niełatwo mnie zbić z tropu. Mogłaby wybuchnąć wojna RUNG z Dahomalią, a ja bym się tym nie przejął. Może nie poradziłbym sobie najlepiej, ale przynajmniej bym się starał, zamiast się zamartwiać, że jestem bezradny i niepotrzebny.

– Otóż to – przytaknął Elihu. – Jestem z ciebie zadowolony.

– Dziękuję. – Gideon zawiesił głos. – Ty to powinieneś zrozumieć, Elihu. Kiedyś byłbym gotów lizać ambasadorowi buty, żeby tylko usłyszeć taką pochwałę. Dzisiaj... dzisiaj po prostu miło jest mi ją słyszeć. Czujesz? To nic osobistego, po prostu próbuję wyjaśnić Normanowi, jak tu jest.

Elihu skinął głową. Norman miał niepokojące wrażenie, że dochodzi między nimi do niemego porozumienia, z którego on, jako wychowany w Nowym Jorku obcy, jest wykluczony.

Gideon odwrócił się do niego.

– Cokolwiek Elihu by zrobił, poza udowodnieniem mi, że jestem pomierzwionym głupkiem, ja i tak obstawałbym przy swoim. Nawet gdyby faktycznie tego dowiódł, przyznałbym mu rację, a potem zaczął wszystko od nowa, ale na pewno nie czułbym się głupio tylko dlatego, że się myliłem. Pomyślałbym, że musi być jakiś powód mojej omyłki: może otrzymałem złe informacje, może padłem ofiarą jakichś uprzedzeń, może chodzi o coś jeszcze innego? To jest właśnie pewność siebie, która daje poczucie bezpieczeństwa. Czujesz to?

– Chyba tak – przytaknął Norman bez przekonania.

– Nie, oczywiście, że nie. A to prawdopodobnie oznacza, że nie będę umiał ci tego wytłumaczyć. – Gideon wzruszył ramionami. – To nie jest coś, co można wyizolować, zamknąć w słoiku i pokazywać. Już ci mówię dlaczego. Musisz tego doświadczyć, musisz poczuć, jak przenika ci przez skórę i wsiąka w trzewia, ale... Taki przykład: przez ostatnie piętnaście lat nie odnotowano w Beninii ani jednego morderstwa.

– Co takiego? – Norman aż podskoczył.

– Naprawdę. Nie wiem jak to możliwe, ale to informacja oficjalna. Spójrz na te slumsy. – Gideon wskazał za okno. – Można by pomyśleć, że to idealna wylęgarnia bandytów i wścików, prawda? W Beninii nigdy nie było wścików. A ostatni morderca nie pochodził nawet z shinkaskiej większości, był imigrantem z plemienia Inoko, miał sześćdziesiąt parę lat i przyłapał swoją drugą żonę na zdradzie.

Z przyjemnością ściągnąłbym tutaj Chada Mulligana i obalił kilka jego wypieszczonych teorii, pomyślał Norman. Na głos odparł:

– W takim razie nie można mieć wątpliwości, że Beninia jest wyjątkowa.

– Możesz mi wierzyć, ziomuś, że tak właśnie jest. Następna sprawa: kwestie religijne. Ja jestem katolikiem, a ty?

– Muzułmaninem.

– Nie Dzieckiem Krzyża?

– Nie, ortodoksem.

– Tak jak ja u siebie, w naszym Kościele. Słyszałeś kiedyś o kraju, w którym prawokatolicy nie byliby obiektem prześladowań?

Norman pokręcił głową.

– Powiem ci, że ja osobiście doceniam korzyści płynące z antykoncepcji – ciągnął Gideon. – Mam dwoje świetnych progenów, zdrowych, inteligentnych i w ogóle. I to mi wystarczy. Ale ja też pomstowałem na heretyków, dopóki nie doceniłem logiki Benińczyków.

– To znaczy?

– Hmm... Właściwie w dalszym ciągu nie jestem pewien, czy jest to z mojej strony przejaw okrucieństwa, czy po prostu zdrowego rozsądku. Widzisz, kiedy doszło do rozłamu, u tutejszych katolików, którzy stanowią

bardzo nieliczną mniejszość wśród pogan i muzułmanów, dominował dogmatyczny fanatyzm, nic więc dziwnego, że bullę *De Progenitate* większość z nich przyjęła z najwyższą odrazą. Ale to nie zmienia faktu, że nie da się tu nawet wszcząć dysputy o wyższości katolików prawych nad rzymskimi lub odwrotnie! Ludzie mówią tak: cóż, jeśli nie będą planowali rodziny, to będzie im się rodziło coraz więcej chorowitych dzieci, i na dłuższą metę przestaną być konkurencyjni; co więcej, albo nadmiar progenów doprowadzi ich do bankructwa, albo wymuszona wstrzeźliwość wywoła skutki psychologiczne, które zaszkodzą im w późniejszym życiu. Tutaj ludzie nie tylko w to wierzą, ale też postępują zgodnie ze swoimi przekonaniem. A najlepsze jest...

– Co?

– Liczby pokazują, że mają rację – odezwał się niespodziewanie Elihu. – Socjologia jest tu w powijakach, jeśli nie liczyć komercyjnego projektu Kompanii Zjednoczonej Afryki i ludzi z Firestone, którzy, korzystając ze swojego przyczółka w Liberii, sondują nowe rynki, odkąd produkcja gumy na potrzeby przemysłu samochodowego się kurczy, o czym pewnie nie muszę ci mówić... Mniejsza z tym. Fakty są takie, że od czasu schizmy wyrażony procentowo wpływ prawokatolików na gospodarkę zmniejszył się o ponad dwadzieścia procent i dalej będzie się zmniejszał.

– Dopóki jedni i drudzy buksowali w miejscu na zaciągniętym hamulcu – dodał Gideon – szli łeb w łeb dzięki stosunkowo silnym tradycjom europejskim. Teraz jedna z ekip odrzuciła zbędne brzemie i gna naprzód jak pędzimetrowo w tej części tunelu, gdzie panuje próżnia.

Samochód skręcił ostro i zjechał z głównej drogi na podjazd przed amerykańską ambasadą – nieco podupadłym, lecz wciąż niebrzydkiem reliktem epoki kolonialnej, z wysokimi, pseudoklasycznymi portykami z trzech stron.

– Co by się stało z Beninią, gdyby nie nasza interwencja? – spytał Norman, gdy opony z chrzęstem znieruchomiały na żwirze. – Wiem, co mówi Salmanasar, ale interesuje mnie twoja opinia na żywo, Gideonie.

Gideon, który już miał wysiąść z samochodu, znieruchomiał i przemyślał słowa Normana.

- To zależy – odparł.
- Od czego?
- Od tego, ilu Shinków zostawiliby przy życiu ci z Dahomalii i RUNG po rozbiórce kraju.
- Nie czuję tego – przyznał Norman, przetrawiwszy tę odpowiedź.
- Nie poczujesz, dopóki nie poznasz Shinków. Dojście do prawdy zajęło mi sporo czasu, zanim w końcu mi się udało. – Gideon znów zawiesił głos.
- Mówisz, że jesteś muzułmaninem. Czytałeś chrześcijańskie ewangelie?
- Jestem konwertytą. Byłem baptystą.
- Rozumiem. W takim razie nie muszę ci tłumaczyć kontekstu kawałka o tym, jak to „cisi na własność posiadają ziemię”. Shinkowie są jedynym żywym dowodem spełnienia tej obietnicy, o którym mi wiadomo. Wariactwo, myślisz sobie? Poczekaj, sam się przekonasz. Strawili Holainich, którzy chcieli sprzedać całe plemię w niewolę. Strawili Brytyjczyków, z którymi poszło im tak dobrze, że jako jedna z ostatnich brytyjskich kolonii uzyskali niepodległość; zresztą trzeba ją im było narzucać prawie siłą. Strawili Inoko i Kpała, którzy uciekli z ościennych krajów. Jeśli dać im szansę, to przysięgam, że strawią także Dahomalijczyków i RUNGów. Nie koniec na tym! – Ton Gideona stał się nagle niezrozumiale zapalczywy. – Nie koniec – powtórzył spokojniej. – Myślę, że strawią także ciebie. Bo mnie już strawili.
- Mnie też – zawtórował mu Elihu. – I ja sobie chwałę. Chodź, Norman, chcę cię przed wieczorem przedstawić Zaddiemu, a przez to latanie straciliśmy sporą część dnia.

Świat tu-i-teraz (11)

PRAKTYCZNY PORADNIK

„Wodorowe ogniwa paliwowe używane do zasilania półciężarówek GM o ładowności do 2,5 tony, a także niektórych pojazdów importowanych, zwłaszcza marki Honda z serii Fuji i Kendo, można przerobić na miotacz ognia lub bombę. W przypadku wersji GM u dołu zaworu A (patrz rysunek) należy wykonać nacięcie pilnikiem, a rurki B i C przełożyć w położenie zaznaczone linią przerywaną. W punkcie D znajduje się lont wolnopalny, przytwierdzony do sznurka, na którym zawieszony jest karborundowy kamień szlifierski. W momencie uderzenia kamienia o tarczę hamulcową E nastąpi skrzescanie iskier i zapłon wyciekającego gazu...”.

„Folia izolacyjna dystrybuowana przez General Technics pod marką Lo-Hi Sleeveolene ma charakterystyczny perłoworóżowy kolor. Uzyskana w drodze maceracji folii w spirytusie (litr spirytusu na kilogram plastiku) ciastowata masa jest stabilna w temperaturach do 20°C poniżej temperatury zapłonu butanu dostępnego w sprzedaży, później zaś rozpada się, uwalniając gazy o objętości 200 razy przekraczającej jej pierwotną objętość...”.

„W konstrukcji wielu nowych wyrobów stosuje się płyty aluminiowe o strukturze plastra miodu, łączone europejskim klejem sprzedawanym u nas pod marką Weldigrip, który rozpada się poddany działaniu promieniowania gamma. Produkt figurujący w katalogu Radio Test Sources Inc. pod numerem BVZ26 zawiera emiter kobaltu-60, zaprojektowany do badania odlewów ze stali wysokowęglowej o grubości do 20 cm. Należy umieścić go w sąsiedztwie krytycznej spoiny...”.

„Produkt oznaczony w katalogu GT numerem RRR17 to przemysłowe szczeliwo stosowane do zabezpieczania podwozi pojazdów komunikacji miejskiej. Po połączeniu z kwasem z akumulatora atakuje metal, z którym ma kontakt...”.

„Po wstrzymaniu dopływu związków siarki produkowane przez Minnesota Mining nowe bakterie rozkładające siarkę (szczep UQ-141) przechodzą w formę przetrwalnikową. W takim stanie można je przechowywać w warunkach chłodniczych przez okres do dwóch miesięcy. Zalecane zastosowania...”.

„GT sprzedaje obecnie ciekły tlen w butlach o pojemności jednego litra w cenie o 10% niższej niż konkurencja. Po owinięciu lontem magnezowym (6 zwojów na cm) i podłączeniu odpowiedniego zapalnika i zegara, butli można użyć w różnych celach...”.

„Produkowany przez Japind laser monochromatyczny należy zmodyfikować w sposób pokazany na rysunku. W zależności od wydajności wstawionego w obwód wzmacniacza można w ten sposób uzyskać napięcie do 30 tys. woltów. Przy pełnym obciążeniu laser wypala się wówczas w 1,5 sek., dlatego kluczowe jest odpowiednio wcześniejsze wycelowanie...”.

„Zmodyfikowana bakteria z katalogu brytyjskiego ICI, nr ref. 5-100-244, jest wyjątkowa z tego powodu, że można wywołać w niej mutacje w warunkach domowych. W roztworze HCl w wodzie destylowanej (o stężeniu 1/1000) dochodzi do rozbicia jednego z wiązań RNA. Tak przeobrażona bakteria powoduje gwałtowne uplastycznienie praktycznie wszystkich termoutwardzalnych tworzyw sztucznych...”.

„Nowa wyściółka opatrunkowa produkowana przez firmę Johnson & Johnson, tak zwana steruloza, to idealny stabilizator dla produkowanej w warunkach chałupniczych nitrogliceryny. Należy zawinąć wyściółkę w papier, który po nasączeniu roztworem azotanu potasu został wysuszony. Do detonacji stosuje się kapsułki piorunianu...”.

„Substancja, z której wykonano podeszwy nowych butów »Stridex« szwajcarskiej firmy Bally, po zapaleniu wydziela gęste kłęby dławiącego czarnego dymu. Niektóre odmiany marihuany mają dostatecznie wysoką

temperaturę spalania, żeby niedopałek blanta mógł zainicjować proces. Przykładowo...”.

„Owijamy elastyczną folią (najlepiej niebieską – barwnik przyspiesza reakcję) karton zawierający 12 butli sprężonego powietrza używanych w automacie do bitej śmietany firmy General Foods. Oblepiamy karton uszczelniaczem »Novent«, nadając całości postać kuli o średnicy ok. 18 cm. Novent służy zmyleniu wykrywaczy metalu w zakładzie utylizacji odpadów, które w innym wypadku zasygnalizowałyby obecność zdatnych do odzysku butli. Podczas prób w Tacoma eksplozja spowodowała wyłączenie pieców w spalarni na okres sześciu godzin...”.

„Pewnie słyszeliście o tym, jak rapitrans w Bay Area został unieruchomiony na cały dzień. Ten rysunek przedstawia, jak do tego doszło. Umieszczone na torowisku urządzenie wysyła sygnał, który komputerowy sygnał sterowania ruchem interpretuje jako zawiadomienie o pociągu unieruchomionym na stacji...”.

„Zasilany dwoma suchymi ogniwami iniektor sygnału, podrzucony do budki wideofonicznej będzie inicjował do 250 przypadkowych połączeń na godzinę w całym obszarze obsługiwany przez lokalną centralę wideofoniczną, nie powodując przy tym żadnych zakłóceń w normalnym działaniu aparatu, co opóźnia jego wykrycie...”.

„Nadajnik pasożytniczy, dostatecznie lekki, żeby dało się go podwiesić do dziecięcego latawca albo półmetrowej średnicy balonu z gorącym powietrzem, będzie nawet przez godzinę nadawał zapętłony dziesięciosekundowy slogan w paśmie wykorzystywanym do transmisji telewizyjnej. Na schemacie...”.

„Opróżnić jedną samopodgrzewającą się zupę w puszcze »Camp with Campbell« poprzez wybite w niej otworu w miejscu wskazanym na rysunku. UWAGA: nie otwierać w sposób tradycyjny, od góry. Napełnić dowolną substancją łatwopalną lub wybuchową o temperaturze zapłonu poniżej 93°C. Zalepić otwór wodoodpornym plastrem chirurgicznym. Po przebiciu puszka stanie się granatem, który wybuchą z opóźnieniem od 7 do 12 sek. w zależności od zawartości...”.

„Spoiwo użyte do uszczelnienia kapsulek zawierających produkowane przez GT aluminofagi jest wrażliwe na działanie kwasu octowego. Można więc zrobić bombę z opóźnionym zapłonem: wystarczy zmieszać wodę z octem w odpowiednich proporcjach...”.

„Produkowane przez United Steel monowłókno wzmacniające V/RP/SU jest wrażliwe na promieniowanie elektromagnetyczne. Aktywowany zegarem elektromagnes pozwoliłby więc na zmianę właściwości włókna w liniach wysokiego napięcia lub w komputerach, prowadząc do przypadkowych spięć i sprzężeń...”.

„Aerozolowa zawieszina odjazdyny w oleju z orzeszków ziemnych nabiera interesujących właściwości elektrycznych. Wystarczy posmarować nią elektrofiltr pyłowy...”.

„Na metalowym szkielecie mostu przy Kennedy Loading Point w LA znajdują się odgromniki. Dwieście, trzysta niechcianych woltów na pewno znalazłoby zastosowanie...”.

„Pancerne wrota pędzimetra na linii North Rockies reagują na promieniowanie gamma. Czujnik znajduje się w dużym czarnym kontenerze przy wschodnim wlocie tunelu oraz w zielonym stożku przy wlocie zachodnim. Wrota ważą tysiąc ton...”.

„W pobliżu skrzyżowania Eleazar Freeway z Cotton Hudson Drive przewody komputerowe, przez które przechodzi cały ruch z obszaru ponad 300 km², biegną niespełna pół metra pod powierzchnią ziemi. Tabliczka z symbolem hydrantu...”.

„Eastman Kodak produkuje nowy, interesujący związek chemiczny na bazie benzenu. Wszędzie tam, gdzie są napięte wiązania, jest też energia, która tylko czeka, żeby ją wyzwolić. Dajcie znać, kiedy odkryjecie, jak uwolnić nieszczęsnych jeńców...”.

„Nie złomuj swojego zeszłorocznego modelu Frigidaire! Agregaty lodówek o numerach seryjnych od 27-215-900 do 27-360-500 zostały napełnione chłodziwem, które następnie dyskretnie wycofano, gdy okazało się, że po zmieszaniu z wazeliną tworzy żel o temperaturze spalania przekraczającej 500°C. Można go wykorzystać w charakterze farby – daje

ładny jasnozielony kolor, a do podtrzymania reakcji samoutleniania wystarczy warstwa o grubości 0,0004 cm...”.

„Jeżeli dysponujesz odpowiednią techniką próżniową, warto wiedzieć, że kineskop w najnowszym modelu Admiral można przerobić w taki sposób, żeby wystrzeliwał elektrony w linii prostej, zamiast rozpraszać je na cały ekran. Nie wiadomo, co takie działo elektronowe zrobi z delikatną elektroniką, ale powinno...”.

„Roztwór soli kuchennej w rozpuszczalniku 00013 z katalogu GT w nadzwyczaj interesujący sposób oddziałuje na miedź, aluminium i mosiądz...”.

„Połącz przewody nr 12 i 27 w aparacie galwanizacyjnym Wontnera – tylko pamiętaj, żeby nie było cię w budynku, kiedy znów puszczą prąd. Cyjanek to wredny...”.

„Większość tuneli wychodzących na naszą stronę została w ten sposób zabezpieczona przed dymem, radionadajnikami w aerozolu, zagłuszeniem układów sterowniczych i substancjami łatwopalnymi. Nie zaradzili natomiast nic na szczepek RS-122 Minnesota Mining, który przerabia beton na proszek, ani na produkowany przez GT Catalight – katalizator utleniania asfaltu i pochodnych. Pomyślałem, że warto o tym wiedzieć...”.

– wybór z fotokopii, kserokopii, druków offsetowych i innych, a także litografii i hologramów z archiwum policji w LA.

kontekst (19)

SWOBODNY PRZEKŁAD DWÓCH HYMNÓW NARODOWYCH

Rozumie się samo przez się, że każde gospodarstwo domowe w Yatakangu powinno mieć nagranie audiowizualne z wykonania poniższego hymnu na żywo podczas masowego wiecu w Gongilungu w dniu urodzin Przywódcy w roku 2006:

Jesteśmy potomkami Pradziada Loa.
W naszych żyłach krew płynie jak lawa gorąca.
Nasz zjednoczony głos wstrząsa światem.
Możemy budować góry, możemy je znosić.
Wraz z naszym ukochanym Przywódcą
Wykujemy nowy los naszego kraju.

Jest sto pięknych wysp.
Są miliony silnych ludzi.
Jest tylko jedna słuszna ścieżka dla nas wszystkich.
Chwała Przywódcy, wyrazicielowi naszej wspólnej woli.
Wraz z naszym ukochanym Przywódcą
Wykujemy nowy los naszego kraju.

Po tym, jak podczas pierwszej kadencji ktoś zwrócił Zadkielowi Obomiemu uwagę, że Beninia nie ma hymnu, na co prezydent kazał nadgorliwemu intrygantowi, żeby sam go napisał, mieszkańcy kraju tylko jeden raz mieli okazję

się z nim zapoznać – kiedy Jacob Fikali i jego Black Star Marimba Orchestra upodobał sobie jego melodię i wprowadzili go na listę przebojów Afryki Zachodniej:

Kraju braterstwa i pokoju,
Tobie miłość ślubujemy.
Cenimy cię ponad wszelkie
Dobra i bogactwa tego świata.

Uzyskanej w rok wolności
Nigdy już nie zapomnimy.
Odtąd stale będzie rosła
Nasza miłość do Beninii.

(Fikali śpiewał w języku shinkaskim. Treść jego wersji była w przybliżeniu następująca:

Pytasz, co robię w Port Mey,
Gdy mój dom jest w głębi kraju.
Posłuchaj, to ci opowiem
Całą tę dziwną historię.

Przyjechałem w odwiedziny do wuja,
Który miał mnóstwo palmowego wina.
Wszyscy spili się na umór, a ja w krzakach
Nakryłem dziewczynę, co poszła za potrzebą.

Wuj jest żonaty po raz trzeci.
Nie wiedziałem, że to moja ciotka.
Chce się z nim rozwieść i zejść się ze mną,
A mnie nie stać, żeby ją wykupić!).

ciągłość (24)

BEZ ZMIANY SCENERII

Kiedy Bronwen całkiem serio powiedziała, że jej zdaniem w poprzednim wcieleniu była jedną ze służek świątynnych w Khadźuraho, Donald wcale nie był zaskoczony.

Stopniowo przebudowywane centrum Gongilungu zatraciło swój chaotyczny rozkład i upodobniło się z czasem do litery H: kreski pionowe i poziomą tworzyły główne aleje (odpowiednio: Zaangażowania, przy której stał ich hotel, oraz Narodowa i Solukarty), między którymi rozciągały się parki i tereny rekreacyjne. Od strony lądu piętrzyły się gmachy rządowe i zabudowania uniwersytetu; na przeciwległym krańcu znajdował się port. Miasto rozlewało się na boki całymi kilometrami, tworząc równoległy do brzegu morza nieregularny łuk – stojące w jego pierwszym rzędzie hotele i luksusowe rezydencje dalej ustępowały miejsca podupadłym, przeludnionym slumsom wspinającym się na zbocza wzgórz.

Deszcz ustał, chmury się rozpierchły i nad cieśniną Shongao wznosił się posepnie Pradziad Loa, otulony pod szczytem pierścieniem mgły jak aureolą.

Kiedy ubrali się i wyszli sprawdzić, jakie sklepy są otwarte, od razu dorobili się gromadki kibiców. Bronwen umiała ich jakoś zignorować. Donald doszedł do wniosku, że pochodząc z tak bardzo przeludnionego kraju jak Indie, nie spodziewała się niczego innego, on jednak źle znosił

świadomość, że jest stale śledzony i obserwowany, nawet kiedy jego prześladowcy zupełnie się z tym nie kryją.

Co gorsza, mimo że zaciekawieni gapie ograniczali się do patrzenia i szeptania, wyobrażał sobie, że wyczuwa ich wrogie nastawienie. To mogło być złudzenie. Jeśli jednak ich zainteresowanie było spowodowane wyłącznie pojawieniem się człowieka o białej skórze, to dlaczego na ich żółtych azjatyckich twarzach tak rzadko gościł uśmiech?

Na wszystkich skrzyżowaniach stały składane kioski niemal pogrzebane pod stertami sprzedawanych w nich towarów: gazet codziennych i czasopism, płyt, blantów, papierosów wykonanych z odmiany tytoniu pozbawionej ponoć wszelkich składników rakotwórczych (Donald nie miał ochoty sprawdzać na sobie słuszności tych twierdzeń), składanych parasoli, okularów przeciwsłonecznych z taniego japońskiego plastiku światłoczułego, słodczy, sandałów, broszek, noży...

Jedna z budek, ustawiona naprzeciw wbudowanej w mur kapliczki, wyspecjalizowała się w dewocjonaliach i prezentowała tolerancję wręcz arcyekumeniczną: od świecących świętych Krzysztofów, przez miniaturowe Korany zamknięte w bransolecie z breloczkiem (z gwarancją, że zawierają całość autentycznego tekstu), po tradycyjne yatakańskie wulkany z kadzidła. Bronwen nalegała, żeby zatrzymali się na dokładniejszą inspekcję. Donald zżymał się i kręcił nosem, ponieważ gdy tylko przystanęli, gapie zmniejszyli dystans i otoczyli ich ze wszystkich stron. Najwięcej było nastolatków, trochę też starszych ludzi. Niektórzy popychali przed sobą rowery, inni nieśli jakieś pakunki – przerywali zakupy lub opóźniali załatwienie swoich spraw, żeby zerknąć na cudzoziemców.

A mimo to... Ich obecność nie była jedynym źródłem jego niepokoju. Spoglądając ponad ich głowami, widział majaczący w oddali wulkan.

Impuls był niedorzeczny, ale Donald poddał mu się świadomym wysiłkiem woli.

Przepchnął się do okienka kiosku i kupił kadzidlany stożek. Sprzedawca naturalnie pomyślał, że kupuje go na pamiątkę, i próbował go namówić, żeby wziął też popiersie Solukarty. Dopiero kiedy Donald trzasnął o kontuar monetą o nominale dwóch tali, a tyle dokładnie kosztowało kadzidelko, sprzedawca wzruszył ramionami i zrezygnował.

– Po co ci to? – zdziwiła się Bronwen, odkładając na stojak jasnożółte okulary przeciwsłoneczne, o wiele na nią za duże.

– Później ci powiem – zbył ją Donald i rozgarnął tłumek Yatakańczyków, żeby przepchnąć się do kaplicy vis-à-vis kiosku.

Na ten widok tubylcy spojrzeli po sobie zdumieni. Szmer rozmów ucichł. Zakłopotany ich natarczywymi spojrzeniami, ale zdeterminowany doprowadzić do końca to, co zaczął, Donald postawił kadzidelko na mosiężnej tacy oskorupiałej spopielonymi resztkami tysięcy podobnych stożków. Zapalił je, wykonał odpowiednie rytualne gesty (ukłon i ruchy rąk przypominały nieco indyjskie *namaste*) i dłonią pchnął smugę dymu w stronę Bronwen.

Reakcja tubylców była wprost wymarzona. Zaskoczeni, lecz posłuszni religijnym nakazom, podchodzili kolejno do kapliczki, na chwilę wkładali w dym prawą rękę i odmawiali krótką, standardową modlitwę. Piętnastoletni chłopak, wyraźnie odważniejszy od reszty, podziękował Donaldowi za zakup kadzidelka, pozostali poszli w jego ślady, a potem gapie rozproszyli się, nie oglądając się nawet przez ramię.

– Co to miało być? – zdumiała się Bronwen.

– Trudno to wyjaśnić bez wykładu na temat yatakańskiej socjologii. – Donald odchrząknął. – Ale to dowód, że obecnemu rządowi nie udało się zmienić czegoś, o czym czytałem dziewięć lat temu.

– Rządy niczego nie zmieniają – odparła Bronwen. – Tylko czas może to zrobić. – Brzmiało to niezwykle zgrabnie, prawie jak przysłowie. – Ja wiem, że świnia jest czystszyim zwierzęciem od owcy, ale spróbuj to wytłumaczyć rozwrzeszczanemu tłumowi... O, jest sklep z ubraniami, za następną przecznicą. Może tam znajdę to, czego potrzebuję.

Donald z anielską cierpliwością przesiedział czterdzieści minut prób i błędów, podczas których Bronwen paradowała przed nim w kolejnych odmianach yatakańskich strojów, dopytując się, czy lepiej wygląda w tym, czy w tamtym, a kiedy w końcu zaczął się irytować, uczciwość kazała mu się zastanowić, czy bardziej zżyma się na nią, czy na siebie. Przez długie lata cieszył się wygodnym, wolnym od wątpliwości statusem nowoczesnego, ustawionego kawalera wyrywającego co lepsze nowojorskie laski, ale coś – może kontakt z Gennice, a może po prostu destrukcyjna ingerencja prawdziwego życia w jego spokojną egzystencję – go rozdrażniło. W normalnych warunkach próżność Bronwen zupełnie by mu nie przeszkadzała; jej brunatne, zgrabne ciało sprawiało mu zdumiewającą przyjemność. Poza tym człowiek chory na białaczkę zasługiwał na współczucie i ulgowe traktowanie.

Mimo to, kiedy wreszcie się zdecydowała, jej kapitalne wieczorowe sari zostało spakowane do foliowej torby, a ona sama – zawinięta w mieniący się pawimi kolorami shareng – spytała, czy nie czas na lunch, bo zgłodniała, zawahał się z odpowiedzią.

– Dużo spraw uznajesz za oczywiste – odparł w końcu.

– To znaczy?

– Jak wiesz, przyjechałem tu służbowo. Mam inne zobowiązania poza oprowadzaniem cię po Gongilungu.

Zarumieniła się. Jej jasnobrązowa skóra pociemniała od tętniącej pod nią krwi.

– Ja również nie jestem tu dla frajdy – odparła po chwili. – Chociaż, biorąc pod uwagę mój powód wizyty, przyjemniej jest udawać, że przyjechałam po prostu się zabawić. Ale czy to znaczy, że nie musisz jeść?

Donald nie odpowiedział. Upłynęła jeszcze chwila, zanim Bronwen wzięła od niego torbę z sari, którą sprzedawczyni automatycznie podała właśnie jemu.

– W łóżku twoje amerykańskie grubiaństwo potrafi być podniecające, ale poza nim świadczy wyłącznie o złym wychowaniu. Dziękuję, że poświęciłeś mi tak dużo swojego bezcennego czasu!

Wetknęła sobie torbę pod ramię i okręciła się na pięcie.

Odprowadzając ją wzrokiem, Donald zastanawiał się, jak wielkim jest frajerem.

Z niejakimi kłopotami trafił w końcu do państwowego klubu prasowego, który – zgodnie z przewidywaniami – wprost ociekał świadectwami wspaniałomyślności i prawdziwie azjatyckiego sposobu myślenia reżimu Solukarty. Mimo to, powłóczywszy się po nim trochę, Donald doszedł do wniosku, że klub może się okazać niezwykle użyteczny. Poza restauracją, świetlicami i barem (z wydzieloną częścią dla muzułmanów, w której podawano tylko kawę, napoje bezalkoholowe i fajki wodne), znajdowały się w nim pokoje z wideofonami i faksami, spora biblioteka prenumerująca około setki najważniejszych azjatyckich magazynów ilustrowanych oraz telewizory nastawione na odbiór najważniejszych lokalnych serwisów informacyjnych po angielsku, rosyjsku, chińsku, japońsku, arabsku i w innych ważniejszych językach europejskich.

Według czasu kalifornijskiego dochodziła pora kolacji. Obsługiwany przez kelnerów tak służalczych, jakby epoka kolonialna wcale nie dobiegła końca, pochłonął ogromną porcję *ristafl*, yatakańskiego odpowiednika *paelli* noszącego zniekształconą niderlandzką nazwę pokrewną indonezyjskiemu *rijstaafel*. W restauracji nie było tłumów, ale wszyscy obecni gapili się na Donalda z tego samego powodu, dla którego wcześniej budził powszechną ciekawość na ulicy – on i kobieta o słowiańskich, nieco męskich rysach, którą wziął za Rosjanę, byli jedynymi białymi wśród gości z Azji i Afryki.

Ponieważ do spotkania o trzeciej została mu jeszcze godzina, udał się do biblioteki, żeby spokojnie strawić posiłek. Czytał cierpliwie aktualne wydania trzech największych yatakańskich dzienników (w Yatakangu przekazywane błyskawicznie wiadomości telewizyjne na razie nie umniejszały utrwalonych wpływów prasy drukowanej), kiedy uświadomił sobie, że ktoś nad nim stoi.

Podniósłszy wzrok, zobaczył wysoką czarnoskórą kobietę we wczesnym wieku średnim. Włosy – ściągnięte ciasno na czubku głowy – przydawały jej twarzy powagi. Domyśliwszy się, że ma przed sobą współpracownicę

Engrelay Satelserv w Gongilungu, przy której Delahanty zalecał zachowanie najwyższego taktu, wstał.

– Donald Hogan – powiedziała z ledwie słyszalnym afrykanerskim akcentem, typowym dla mieszkańców współczesnej Afryki Południowej. – Nazywam się Deirdre Kwa-Loop. Dzwoniłam przed godziną do biura, przekazano mi pańską wiadomość. Kiedy nie zastałam pana w hotelu, pomyślałam, że będzie pan tutaj.

Podala mu rękę z tępo zakończonymi palcami, którą uścisnęła najserdeczniej jak umiał.

– Z informacji, jakie dochodzą do mnie od paru dni, wnioskuję, że w Engrelay Satelserv nie są zachwyceni moimi materiałami na temat optymalizacji – ciągnęła, sadowiąc się na krześle naprzeciwko. – Szkoda tylko, że posunęli się aż do przysłania tu specja od biologii. Bo tym właśnie pan jest, prawda?

Donald usiadł z powrotem i ostrożnie skinął głową.

– Dlaczego szkoda?

– Mówiąc wprost, mój przyjacielu, trafił się panu nieistniejący temat. Widywałam już takie w przeszłości, ale ten jest *baas* z nich wszystkich.

Donald zrobił zdziwioną minę. Przechodzący kelner zapytał, czy czegoś sobie życzą; Deirdre zamówiła kawę.

– Proszę się nie wygłupiać! – zachnęła się, gdy kelner zniknął. – Musi pan przecież wiedzieć, jak to wygląda tu, na miejscu: w Yatakangu nie-tematy rodzą się na pniu!

– Prawdę mówiąc, nie wiedziałem. Jestem tu pierwszy raz.

– A podobno zna pan język?

– Znam... o tyle, o ile. Ale to moja pierwsza wizyta w Yatakangu.

– A to pomierzwione kloce... Nie, to nie fair. Przyda nam się każdy, kto zna się na genetyce i na dodatek mówi po yatakańsku, bo to kurewsko porąbany język. – Deirdre opadła z westchnieniem na oparcie krzesła i zetknęła dłonie czubkami palców. – W takim razie chyba powinnam wprowadzić pana w temat, a przy okazji wyjaśnić parę spraw, bo wygląda na to, że w centrali trochę im się miesza w głowach. Zacznę od siebie, bo wątpię, żeby szczegółowo przedstawili panu mój status. Zasadniczo jestem

wysłanniczką Cape Broadcasting Commission. Ponieważ jednak Cape nie zainwestowała w przekaz satelitarny, zgodzili się, żebym jako wolny strzelec współpracowała z jedną, najwyżej jedną, agencją informacyjną, która ma własne satelity. Na początek związałam się z Common Europe Satelserv, ale rok albo dwa lata temu udało mi się zmienić pracodawcę. Nie spodziewałam się wiele po tej zmianie; jak w każdym kraju, gdzie rząd trzyma wszystko żelazną ręką, możesz tylko powielać oficjalne doniesienia i bardzo uważać z własnym materiałem, żeby nie narazić się cenzurze. Aż tu nagle bach! Wybucho bomba, jaka trafia się raz na pięć lat, a ja akurat jestem na miejscu. Super, pomyślałam najpierw, ale od tego czasu nic, tylko oficjalna propaganda i zdawkowe komunikaty. Z powodów, których nie znam, ale których mogę się domyślać, wszystko jest utajnione. I tylko ciśnienie rośnie.

– Czego dokładnie się pani domyśla? Podejrzewa pani, że Sugaiguntung nie będzie w stanie...

– Sugaiguntung nie od dziś bawi się genetyką; fakt, że przerzucił się z kauczukowców na ludzi, to tylko zmiana ilościowa, nie jakościowa. Tymczasem, jeśli wierzyć plotkom, ten kraj czeka prawdziwa rewolucja. – Deirdre rozejrzała się pośpiesznie po bibliotece i zniżyła głos niemal do szeptu. – Podobno Jogajong wrócił.

Donald wytrzeszczył oczy.

– Naprawdę muszę panu tłumaczyć, co to oznacza? Jeżeli to się okaże prawdą, Yatakang eksploduje w sposób, przy którym Rewolucja Syngaleska będzie przypominała Wojnę Dwóch Róż!

Przez moment oboje się nie odzywali, zanim Deirdre podjęła wątek:

– Dobra, nim zacznie pan pytać, dlaczego panu o tym mówię, wyjaśnię. Proszę się nie oszukiwać i nie wyobrażać sobie, że uda się panu trzymać zaleceń z centrali i ograniczyć do materiałów o Sugaiguntungu. Może pan sobie być naukowcem i ekspertem, ale jak tu coś pierdyknie, to pan będzie etatowym korespondentem Engrelay Satelserv, a ja tym, kim zawsze byłam: miejscowym wolnym strzelcem. Chciałabym zawrzeć z panem pewną umowę.

– Mianowicie?

– Dzielimy się informacjami. Plus cztery godziny wyłączności na każdy prawdziwy news znaleziony solo przez jedno z nas.

Donald zastanowił się nad jej propozycją.

– Nie widzę powodu, żeby się nie zgodzić – przyznał po dłuższej chwili.
– Nie spodziewam się jednak znaleźć dużo materiału, który byłby dla pani użyteczny.

– Ja nie jestem specjalistką, mogę się mylić w kwestii programu optymalizacji. Interesują mnie aspekty polityczne, nie naukowe.

Kelner przyniósł kawę. Deirdre nalała sobie i mówiła dalej:

– Widzi pan, jestem tu wystarczająco długo, żeby rozpoznać typową oficjalną zasłonę dymną. Solukarta bije pianę na potęgę. Ten program genetyczny ma być ponoć następstwem doświadczeń Sugaiguntunga na małpach, tak? Ludzie na całym świecie dopominają się o udostępnienie go, ponieważ mają zakaz rodzicielstwa, tak? A mimo to żadnemu zagranicznemu korespondentowi, nawet z Chin czy Japonii, nie udaje się porozmawiać z Sugaiguntungiem bez jakiegoś „tłumacza” czy innego pomagiera. Ja znam yatakański, a sam Sugaiguntung studiował w waszym kraju i publikował po angielsku, zanim rząd dał mu do zrozumienia, że to... ehm... „niepatriotyczne”. Mnie też potrzebny jest tłumacz?!

– Cenzura – powiedział Donald.

– Widzę, że jest pan na właściwej orbicie. – Deirdre oparła filizankę o mięsistą dolną wargę, upiła łyk kawy i z brzękiem odstawiła naczynie. – W porządku, pora, żeby i pan coś powiedział. Chcę poznać jakieś szczegóły naukowe. O ile dobrze rozumiem, jedyny element procesu optymalizacji, który został należycie omówiony, to technika klonowania... Tak to się nazywa? Tak myślałam. Ale jeśli się nie mylę... No dobrze, Sugaiguntung to geniusz, nikt tego nie neguje, ale do czegoś takiego nie trzeba geniusza. Wystarczy postawić montażystów przy taśmie.

– Właściwie ma pani rację – przytaknął Donald. – Ale jak to się ma do tych lekarzy i pielęgniarek, którzy ściągają z zagranicy, żeby uczyć się tej metody?

Deirdre parsknęła chrapliwym śmiechem.

– Przyjechali, to prawda, ale nikt ich nie skierował na uniwersytet, gdzie mogliby się czegoś nauczyć. Kazano im wracać do domu i czekać na drukowany podręcznik.

– Coś mi się wydaje, że czeka mnie pogoń za cieniem.

– My też tak uważamy. Oczywiście opinia publiczna jest innego zdania, co może być źródłem problemów. Bo jeśli dojdą do wniosku, że zostali oszukani... Bum!

Donald się zadumał. Nie miał wątpliwości, że to właśnie chcą usłyszeć ci, którzy go tu przysłali: rzekomy program optymalizacji to oszustwo nagłościone w celach politycznych. Tylko czy człowiek z taką reputacją jak Sugaiguntung pozwoliłby na to, żeby jego rząd dał się przyłapać na oczywistym kłamstwie? Był chyba największym patriotą ze wszystkich członków międzynarodowej społeczności naukowej. Poza tym w razie wpadki gniew tłumów skupiłby się na nim w takim samym stopniu jak na Solukarcie.

– No dalej, chcę usłyszeć, co pan o tym myśli. W tym kraju żaden genetyk nie porozmawia otwarcie z zagranicznym dziennikarzem; wszyscy tylko przewracają oczami, jakby Sugaiguntung był awatarem Pradziada Loa.

Donald odetchnął głęboko. Tego, co zamierzał powiedzieć, można się było dowiedzieć za pośrednictwem wideofonicznego łącza encyklopedycznego, ale laik najprawdopodobniej nie umiałby zadać odpowiednich pytań.

– Istnieją trzy główne sposoby optymalizacji puli genetycznej bez zmniejszania populacji – zaczął. – Solukarcie chyba zależy na utrzymaniu stałej liczby ludności, pamiętam, że gdzieś widziałem prognozy demograficzne uwzględniające dwuprocentowy przyrost do roku 2050... A to znaczy, że możemy odrzucić odgławianie.

– Co to takiego?

– Selektywna eksterminacja linii dziedzicznych niewłaściwych z punktu widzenia eugeniki.

Deirdre się wzdygnęła.

– O czymś takim głośno było w moim kraju przed wojną o niepodległość... Nieważne. Proszę mówić dalej.

– Pierwszy sposób został przyjęty w większości krajów, które dysponują odpowiednio skutecznymi organami ścigania: ustawodawstwo eugeniczne. Zamiast zabijać nosicieli złych cech dziedzicznych, utrudnia się im bądź uniemożliwia rozmnażanie. To właściwie jest sterowany dobór naturalny, ludzie są do tego przyzwyczajeni. Sposób drugi to ten, o którym pani wspomniała: klonowanie. Jeżeli po tradycyjnym zapłodnieniu komórki jajowej mielibyśmy uzyskać uszkodzoną zygotę, zamiast plemnika wprowadzamy do niej jądro innej komórki, zdrowej. Ta metoda ma pewne wady. Kosztuje majątek, ponieważ wymaga zatrudnienia wykwalifikowanych tektogenetyków, a na dodatek jest podatna na nieprzewidziane skutki uboczne. Nawet jeśli operacja pozornie się powiedzie, może się okazać, że wprowadziliśmy mutacje recesywne, które objawią się w następnym pokoleniu. Dziecko może mieć inną płć niż rodzic. Uzyskanie zdatnej do rozwoju zygoty może wymagać nawet dwudziestu prób. I tak dalej. Metoda trzecia jest zarazem najprostsza: rozmnażamy tylko zdrowe osobniki, tak jak to się robi z bydłem domowym. Można to załatwić albo całkiem zwyczajnie, czyli spiknąć przyszlą matkę w łóżku ze zdrowym partnerem, albo obudować procedurę luksusowymi dodatkami, takimi jak zapłodnienie pozaustrojowe i późniejsza reimplantacja zygoty.

– Tak się zastanawiam, czy jedynym efektem tego całego przedsięwzięcia nie będzie po prostu bank nasienia, który pozwoli kobietom rodzić szczeniaki Solukarty i innych ważnych osobistości – powiedziała Deirdre.

Donald się zawahał, ale to, co chciał powiedzieć, nie miało wiele wspólnego z tajnymi informacjami, a przynajmniej pozwoli mu zachować złudzenie, że dotrzymuje zawartej umowy.

– Raczej nie – odparł.

– Dlaczego?

– Solukarta nie odważy się płodzić progenów. Jest nosicielem rzadkiej choroby genetycznej, porfirii. To przez nią angielski król Jerzy III dostał

pomieszania zmysłów.

– Nie wiedziałam o tym!

– Nie lubi, jak się to rozgłasza. A ponieważ jest to cecha recesywna, sprawę łatwo ukryć. Jednak, kiedy przyjrzeć się bliżej temu, jakich krewnych udało mu się... stracić, powiedzmy... odkąd objął urząd, można znaleźć wskazówki.

Deirdre pokiwała z namysłem głową.

– Tak czy inaczej, moim zdaniem przy obecnych zasobach Yatakangu nie stać na nic lepszego niż jakiś rodzaj selektywnej hodowli – powiedziała.

– Obojętne ilu uczniów wyszkoli Sugaiguntung na uniwersytecie.

– Jeżeli tego spróbują, czekają ich kłopoty.

– Dlaczego?

– To ogranicza pulę genetyczną. Jeżeli możemy rościć sobie jakieś pretensje do rządzenia tą kulą błocka, to tylko dzięki temu, że mamy najobszerniejszą pulę genetyczną ze wszystkich zwierząt i roślin. Rozmnażamy się jak chcemy i gdzie chcemy, każdy z każdym, od jednego bieguna do drugiego. Fakt, że możemy się dowolnie krzyżować, to w gruncie rzeczy jedyny powód do wywyższania się ponad istoty, które mają nad nami znaczną przewagę liczebną, takimi jak mrówki czy nicienie.

Donald zwrócił uwagę, że przy tych słowach Deirdre zachnęła się lekko. Trudno jej się dziwić – w poprzednim stuleciu Izrael w swoim rasizmie zaczął się ocierać o faszyzm, w tym zaś pałeczkę przejęli fanatycznie nastawieni czarni Afrykanie z południa kontynentu. Przypomniał sobie Normana i pośpiesznie podjął przerwany wątek:

– Proszę mi wierzyć, nie mamy dość informacji, żeby zoptymalizować nasze zasoby genetyczne poprzez prosty projekt hodowlany. Prędzej wpadniemy w te same tarapaty, które wpędziły Afrykanerów w paranoję.

Z rozbawieniem zauważył, że teraz Deirdre się odprężyła.

– Jednakże w drugiej części programu Solukarta przedstawia czwartą metodę – mówił dalej – która dopiero jest prawdziwą sensacją: chodzi o modyfikację genów w zapłodnionej ludzkiej komórce jajowej w taki sposób, żeby dziecko, które się z niej rozwinię, miało konkretne zdolności,

wśród nich także takie, które z definicji nie mają precedensu w dziejach ludzkości. To właśnie podziało na wyobraźnię ludziom u nas w kraju. A u pani?

Deirdre westchnęła.

– W Azji jest tak samo. W tym rejonie mimo wysiłków propagandy większość ludzi pozostaje pod silnym wpływem kultu przodków. Podoba im się idea posiadania dwojga albo trojga zdrowych, długowiecznych dzieci zamiast gromadki chorowitych, ponieważ zwiększa to prawdopodobieństwo, że któreś przeżyje i zaopiekuje się starymi, bezradnymi rodzicami. Dlatego są otwarci na pomysł ustaw eugenicznych. Natomiast myśl o spłodzeniu dzieci obdarzonych niespotykanymi wcześniej uzdolnieniami wydaje im się wprost fascynująca, bo oznacza, niejako z definicji, jak sam pan przed chwilą zauważył, że te dzieci będą wyjątkowo wdzięczne przodkom, którzy ich tymi talentami obdarzyli.

– A jak to wygląda w pani ojczyźnie?

– Powiem szczerze, na ile to możliwe – odparła Deirdre po chwili wahania. – Mimo że odebraliśmy kraj białym *baas* i rządymy się w nim o wiele skuteczniej, wciąż żywe jest skrywane przeświadczenie o naszej niższości. Gdybyśmy mogli w sposób naukowy udowodnić, że nasze dzieci są nie tylko równe innym, ale wręcz od nich lepsze...

Wzruszyła ramionami.

A przecież trzeba jeszcze pamiętać o reakcji krajów europejskich, pomyślał Donald, zwłaszcza tak gęsto zaludnionych jak Holandia czy Flandria, pozbawionych przy tym takiej strefy buforowej, jaką dysponują chociażby francuskojęzyczni Walonowie...

Westchnął. Wyglądało na to, że cały rodzaj ludzki chwilowo zjednoczył się w urzekającym śnie, pięknej nadziei, że następne pokolenie, zdrowe na ciele i umyśle, będzie zdolne wynagrodzić Matce Ziemi dokonane na niej w przeszłości gwałty.

Złożono kuszącą obietnicę. Teraz zaś wszystko wskazywało, że jest to obietnica bez pokrycia.

Nagła świadomość upływającego czasu wyrwała Donalda z tych rozmyślań. Zerwał się na równe nogi.

– Na pańskim miejscu nie przywiązywałabym nadmiernej wagi do punktualności – zauważyła kwaśno Deirdre. – Wielokrotnie kazali mi czekać, dobrze im zrobi, jak ktoś odpłaci im pięknym za nadobne.

kontekst (20)

ZALETY I WADY SPOŁECZEŃSTWA LUNATYKÓW

Dziękuję za to uprzejme wprowadzenie, pani przewodnicząca. Panie i panowie, wybaczcie mi, proszę, że siedzę, przemawiając do was, ale po długim pobycie w Bazie Księżycowej Zero funkcjonowanie na Ziemi przypomina próbę wstania z łóżka po miesiącu ciężkiej choroby. Dźwiganie własnego ciężaru przy ciążeniu sześć razy wyższym od księżycowego naprawdę potrafi zmęczyć.

Pomyślałem, że zacznę od odpowiedzi na pytania, z którymi stykam się najczęściej; domyślam się, że odpowiedzi nie są powszechnie znane, bo w przeciwnym wypadku nie zadawano by mi tych pytań tak często. Jak wiecie, specjalizuję się w psychologii, toteż regularnie zdarza mi się słyszeć, że „Życie na Księżycu to musi być okropny stres, prawda? To takie wrogie, przerażające środowisko”.

Moi rozmówcy zawsze reagują zdumieniem, kiedy tłumaczę im, że wcale tak nie jest; że żyje się tam znacznie lepiej niż tu, na Ziemi. Ale taka właśnie jest prawda. Musicie zrozumieć, że na Księżycu dokładnie wiemy, na czym polega nieprzyjazność środowiska. Wiesz, że jeżeli przebijesz ścianę tunelu albo rozedrzesz skafander, będzie ci groziła śmierć albo przynajmniej miejscowa martwica odwodnieniowa – po tym, jak zwieracz umieszczony przy sąsiednim stawie odetnie zdekompresowany fragment kombinezonu. Wiesz, że jeżeli zapomnisz przestawić powierzchnię skafandra na refleksyjną i wyjdiesz na słońce, upieczesz się żywcem, zanim zdążysz cofnąć się w cień. Wiesz, że jeśli, wychodząc nocą na zewnątrz, nie włączysz wbudowanych w kombinezon grzejników, najdalej po przejściu pięćdziesięciu metrów odmroziś stopy.

Ale najważniejsza jest świadomość, że przebywasz w środowisku, w którym współpraca jest kluczowa dla przetrwania. Na Księżycu nie ma nieznajomych. Trzy razy ratowali mi życie ludzie, których nigdy przedtem nie widziałem na oczy; jeden z nich był Chińczykiem. Ja zresztą zachowywałem się tak samo, i nie są to z mojej strony przechwałki, tylko stwierdzenie faktu księżycowej egzystencji: uratowałem dwie osoby – kolegę po fachu oraz nowicjusza, z którym do tamtej chwili nie zamieniłem ani słowa, chociaż przyjechał tydzień wcześniej.

Przestrzeń życiowa jest oczywiście skąpa i bezcenna. Tłoczmy się wszyscy w czymś w rodzaju unieruchomionego okrętu podwodnego, jesteście jednak specjalnie dobierani pod kątem tolerancji dla niedoskonałości naszych bliźnich; każdy, kto nie spełnia wyśrubowanych wymogów bazy księżycowej, jest szybko odsyłany do domu. Niektórzy z was widzieli zapewne „Makbeta z Bazy Księżycowej Zero”, napisaną przez Hanka Sodleya przeróbkę szekspirowskiego oryginału, w której paranoik nawiązuje kontakt z obcymi zdolnymi przepowiadać przyszłość. To wierutna bzdura: na Księżycu pojęcie paranoi traci sens. Tam niebezpieczeństwo jest jak najbardziej rzeczywiste, tyle że można poznać czynniki zagrożenia i nauczyć się je kontrolować.

Tymczasem tutaj, na Ziemi, można w każdej chwili zniecka stanąć oko w oko ze wściekiem uzbrojonym w siekiere albo pistolet. Można złapać infekcję, na którą nie skutkują antybiotyki. Można – zwłaszcza tutaj, na Zachodnim Wybrzeżu – paść ofiarą przykrego żartu dowcipnisiów, którzy traktują sabotaż jak rozrywkowe hobby. Nigdy nie wiadomo, czy ten niewinnie wyglądający nieznajomy nie zaatakuje was wyciągniętą zza pazuchy bronią, nie dmuchnie w waszą stronę zakażonym powietrzem, bądź nie odpali bomby w waszym całościemniku.

Krótko mówiąc, księżycowa społeczność bardziej przypomina buszmenów przed ich odkryciem przez Europejczyków albo prymitywną kulturę Indian Zuni, niż życie w Kalifornii, Moskwie czy Pekinie.

Dlatego właśnie my, lunatycy, nie uważamy naszego środowiska za niezdane. Wścieki nie pojawiają się tam, gdzie człowiek upatruje w drugim człowieku sprzymierzeńca, a nie wroga. Rozwój chorób możemy

kontrolować z dokładnością do pojedynczych osobników, ponieważ dysponujemy najdoskonalszym mechanizmem sterylizacji: wystarczy odrobina próżni i bezpośredniego światła słonecznego, a każdy ziemski mikroorganizm upiecze się jak grzanka w tosterze. Organizmy wywodzące się z Księżyca nie są w stanie zainfekować ludzkiego ciała, rzecz jasna. Jeśli zaś chodzi o niebezpieczne zabawy w sabotaż, to są one po prostu nie do pomyslenia.

Kiedy już kończę taki wykład, zwykle słyszę głosy zdumienia, że ludzie zaangażowani w jeden z najbardziej zaawansowanych projektów naukowych w historii ludzkości zachowują się bardziej jak buszmeni niż współcześni Amerykanie. Oczywiście dziwią się tylko ci, którzy zrozumieli moje wyjaśnienia.

Wtedy jednak odpowiadam, że jest dokładnie odwrotnie, i to zachowanie Amerykanów powinno dziwić, podczas gdy reakcje lunatyków są prostą konsekwencją faktu, że środowisko księżycowe zawiera ustaloną liczbę zmiennych. Rodzaj ludzki przystosowuje się do prostych faktów, takich jak pory roku albo księżycowy cykl dni i nocy; jak susza albo próżnia; jak pomór wśród zwierzyny łownej albo wypadek rakiety zaopatrzeniowej, która zbacza z kursu i roztrzaskuje się o zbocze góry. Nie umiemy sobie jednak poradzić z konkurencją ze strony siedmiu miliardów osobników własnego gatunku. W wypadku kryzysu pojawia się zbyt wiele nieprzewidywalnych zmiennych, żeby można było liczyć na racjonalną reakcję.

Jeszcze jedna sprawa: na Księżycu każdy ma świadomość, że bierze udział w tworzeniu wspólnej całości; każdy może wskazać coś, co tego dnia zrobił, i powiedzieć „Dzisiaj osiągnąłem to i to!”. Może to być coś namacalnego, na przykład rozbudowa pomieszczeń mieszkalnych, albo dobro niematerialne, takie jak dokonanie nowych obserwacji astronomicznych – tak czy inaczej, przynosi ogromną satysfakcję. Doszło do tego, że na Ziemi psychiatra w mieście dwa razy się zastanowi, zanim przyjmie pacjenta pochodzącego ze wsi; tam, na górze, byłem odpowiedzialny za zdrowie psychiczne ludzi różniących się nie tylko

narodowością, ale także wyznaniem i ideologią, i nigdy nie było z tym problemów.

Kiedy dochodzę do tego miejsca, ludzie zwykle wzdrygają się i dopytują nerwowo, czy mam na myśli także czerwonych braciszków. Na to mogę odpowiedzieć tylko w jeden sposób: wszelkie próby obalenia próżni albo wiatru słonecznego prowadziłyby w to samo miejsce – prosto do grobu. Oczywiście, że mam na myśli także Chińczyków! Jak już wspomniałem, zawdzięczam życie jednemu z nich, przybyłemu na wymianę pracownikowi komunistycznego obserwatorium w Aristarchusie. Tymczasem tutaj, na środku Oceanu Spokojnego, który jest obok Antarktydy jedynym miejscem na Ziemi porównywalnym z Księżycem pod względem odludności i trudnych warunków życiowych, wy myślicie tylko o tym, jak powyrzynać się nawzajem. Niedobrze mi się robi. Pani przewodnicząca, bardzo poproszę o jakiegoś spoksa; może wtedy będę w stanie przejść do turystycznych ploteczek, jakich mam jeszcze pełno w notatkach. W tej chwili boję się, że jeśli będę czytał dalej, naprawdę zwymiotuję.

ciągłość (25)

PATRIARCHA

W pokoju, który przydzielono Normanowi na czas pobytu w ambasadzie, znalazł się tylko jeden lokalny element wystroju: szesnastowieczna maska z rzeźbionego drewna, pomalowana w ostre kolory – czerwony, czarny i biały – wisiała na ścianie nad wezłowiem łóżka. Gdyby nie ona, równie dobrze mógłby znajdować się w Stanach, nie licząc może faktu, że napięcie w sieci falowało i światło chwilami przybierało wyraźnie żółtawy odcień.

Tłumaczył jednemu ze służących (miejscowemu chłopakowi w wieku około czternastu lat, który znał absolutne minimum angielszczyzny), gdzie ma postawić bagaże, kiedy zabrzączał interkom. Dzwonił Elihu.

– Znalazłem w poczcie przychodzącej zaproszenie od Zaddiego – wyjaśnił ambasador. – Kolacja w pałacu prezydenckim, godzina dwudziesta trzydzieści. Będą też ministrowie finansów, edukacji i spraw zagranicznych. Będziesz im mógł przedstawić jakiś wstępny zarys projektu?

– Raczej tak. – Norman wzruszył ramionami. – Mam przyjść sam czy wziąć całą ekipę GT?

– Nie napisał konkretnie, ale moim zdaniem warto byłoby jak najszybciej nawiązać możliwie najszersze kontakty osobiste. Dasz znać pozostałym? Uprzedzę go, że z naszej strony przyjdzie sześć... nie, siedem osób. Myślę, że Gideon też się może przydać. Dobrze mówi po shinkasku.

– Spodziewałem się, że tutaj każdy w randze ministra zna angielski – przyznał Norman po chwili wahania.

– Drogi angielszczyzny afrykańskiej i amerykańskiej się rozchodzą – mruknął Elihu. – Zdziwiłbyś się, jakie tu zaszły zmiany. Bądź gotowy

piętnaście po ósmej, proszę.

Norman pokiwał głową i się rozłączył. Odwrócił się do chłopca, który właśnie wieszał jego ubrania w szafie; prawie mu ulżyło, że będzie mógł mu dać inne zajęcie. W Stanach osobisty służący był dopuszczalny właściwie wyłącznie w kontekście służbowym – idea służby domowej wydawała się Normanowi dziwnie niepokojąca.

– Wiesz, w których pokojach zakwaterowano pozostałych Amerykanów?

– Tak, psze pana!

– Idź i powiedz im, żeby jak najszybciej do mnie przyszli.

– Tak, psze pana!

* * *

Zdążył się do końca rozpakować, zanim zjawiała się pierwsza z jego współpracowników – Consuela Pech, śliczna dziewczyna z przewagą portorykańskiej krwi w żyłach, którą Rex Foster-Stern wybrał na swoją przedstawicielkę albo dlatego, że była najlepsza, albo dlatego, że kiedyś z nią sypiał, potem mu się znudziła i teraz z ulgą się jej pozbył.

Norman ledwie zdążył się z nią przywitać, kiedy do pokoju jednocześnie weszli trzej kolejni ludzie z GT: ekonomiści Terence Gale i Worthy Lunscomb (wybrani przez Hamilcara Waterforda głównie dlatego, że obaj byli brązowymi kinolami) oraz Derek Quimby – językoznawca, którego Norman poznał tuż przed wyjazdem, pulchny grubasek z wiecznie zdziwioną miną.

– Siadajcie wszyscy – poprosił i usiadł naprzeciwko całej czwórki, która zajęła miejsca w półokręgu. – Z marszu wystrzeliwują nas na orbitę: dziś wieczorem zjemy kolację z prezydentem i trojgiem jego ministrów, dlatego pomyślałem, że powinniśmy omówić naszą pierwszą prezentację. Derek, twoja rola będzie z początku niewielka, ale jeśli dobrze zrozumiałem, znajomość pewnych lokalnych uwarunkowań może ci pomóc wytknąć ewentualne błędy w naszym rozumowaniu. Dlatego byłoby dobrze, gdybyś nas punktował, jeśli coś zauważysz. Okej?

Derek skinął głową i z wysiłkiem przełknął ślinę.

– W porządku. Consuela, jak znam Reksa, twój dział dostarczył ci wszystkich informacji niezbędnych do przedstawienia projektu na zebraniu zarządu. Ile z tego możesz wcisnąć w rozmowę przy kolacji?

– Uparłam się, żeby zapewnili mi materiały do trzech różnych prezentacji, na trzech poziomach szczegółowości – odparła Consuela. – Dam sobie radę. Mogę poza tym przedstawić projekt przed komisją liczącą maksimum dwadzieścia osób w sposób uwzględniający ich indywidualne zainteresowania, albo przeprowadzić telekonferencję z udziałem wszystkich sześćdziesięciu jeden benińskich parlamentarzystów.

– Znakomicie! – Norman skorygował w myślach swoje domniemania na temat fachowości dziewczyny. – Na spotkaniu będzie obecny minister finansów; po nim chyba najprędzej można się spodziewać, że stanie po naszej stronie. W takim kraju jak ten, wiecznie balansującym na krawędzi bankructwa, zmaganie się z problemami finansowymi na pewno nie jest przyjemne. Terence, chcę, żebyście z Worthym od razu pomachali mu pieniędzmi przed nosem. Mniejsza o precyzję, po prostu przekonajcie go, że ten skrawek ziemi nagle uzyskał niewiarygodny potencjał ekonomiczny. Pamiętajcie, jest całkiem możliwe, że lepiej od niego znamy się na regionalnej ekonomii; mamy do dyspozycji analizy Sala, a ponieważ, jak to się mówi, bieda kosztuje, wątpię, żeby Beninię było stać na wykupienie porównywalnej usługi na komputerach Wspólnej Europy. Tylko nie przesadźcie z wciskaniem tych informacji, niech mu się wydaje, że to jego, a nie nasze lokalne doświadczenie umożliwi realizację planu. Jasne?

– Można spróbować – zgodził się Worthy. – Ale co o nim wiemy jako człowieku?

– Poproszę Elihu albo Gideona, żeby nakreślili wam jego sylwetkę w drodze do pałacu. Consuela, wróć jeszcze do ciebie. Twoim głównym celem jest minister edukacji, ponieważ dla powodzenia planu kluczowe jest zmniejszenie analfabetyzmu i zwiększenie liczebności wykwalifikowanej siły roboczej w ciągu zaledwie dziesięciu lat. Chcę, żebyś sprawdziła, czy pani minister będzie w stanie zmacluhanizować miejscową sytuację. Naprowadź ją na kwestię tradycyjnych obyczajów i tego, w jaki sposób warunkują reakcję ludzi na lokalne informacje.

Powinna to dobrze przyjąć, na pewno kształciła się za granicą. W Beninii nie ma żadnej liczącej się uczelni wyższej, jeśli nie liczyć tej prywatnej szkoły biznesowej, o której pewnie słyszeliście.

– Mogę ci dać parę wskazówek – wtrącił Derek, zwracając się do Consueli. – W angielszczyźnie odziedziczonej po okresie kolonialnym zaszły tu pewne bardzo znaczące zmiany.

– Dziękuję, Derek – powiedział Norman. – Właśnie na tego rodzaju uwagi z twojej strony liczę. Dobrze, czas zmierzyć się z pytaniem, którego dotychczas sobie nie zadawaliśmy. Co jest największą przeszkodą na drodze do przyjęcia naszego planu?

Terence przerwał przedłużające się milczenie:

– Hmm... Ryzyko, że nie będzie spodziewanych zysków! Chodzi mi o to, że bez badań przeprowadzonych na miejscu nie możemy być pewni...

Norman zawzięcie kręcił głową.

– Nie chodzi o pieniądze, tylko o człowieka.

– Czy uda nam się sprzedać projekt prezydentowi – powiedziała Consuela.

– Otóż to. – Norman pochylił się na krześle i z naciskiem mówił dalej: – Raz już to powiedziałem, teraz tylko powtórzę: nie można traktować Beninii jak nowoczesnej jednostki administracyjnej w stylu zachodnim. Elihu tak długo wtłaczał mi to do głowy, aż go zrozumiałem, ale chcę, żebyście wszyscy podzielali moją wizję. Beninia bardziej przypomina gigantyczną rodzinę liczącą niemal milion krewniaków, niż naród w naszym rozumieniu tego słowa. Pozwólcie, że przypomnę wam, w jaki sposób Elihu przedstawił swoją propozycję zarządowi GT. Prezydent Obomi szuka czegoś, co stałoby się jego pośmiertnym darem dla rodaków i zapobiegło rozbiorowi Beninii przez ościenne mocarstwa. Ścisłe wyliczenia i żywa gotówka interesują go tylko w takim sensie, że bezpieczeństwo ekonomiczne przyczyni się do ogólnego dobrobytu. Trzeba z nim rozmawiać o żywności, nie o pieniądzach; o budowaniu szkół, nie o przerabianiu progenów na mechaników i techników; o zdrowych dzieciach, nie o kilometrach rur kanalizacyjnych. Rozumiecie,

o co mi chodzi? Na pewno? Mamy spełniać prezydenckie nadzieje, a nie ratować pikujące akcje ŚPG!

Odpowiedziały mu skinienia głowami, ale tę ostatnią empatyczną przestrożę wygłosił nie na użytek swoich współpracowników, lecz swój własny.

Na razie nie widzę ani nie wyczuwam dowodów słuszności tej tezy, przyznawał w duchu. Ale Elihu zarzeka się, że to prawda. Poza tym to uczciwy układ, żeby sowite zyski szły w parze z większym dobrem. Takich okazji jest zbyt mało, żeby odpuścić sobie choćby jedną z nich.

Teraz jednak, kiedy wreszcie zobaczył Beninię z bliska, odczuwał irracjonalny lęk, że dotychczas żył złudzeniem i po tygodniu – albo po miesiącu – nie będzie w stanie dłużej sobie wmawiać, że czyni dobro. A kiedy do tego dojdzie, nie będzie miał pod ręką innej protezy, żeby podeprzeć tę żalostną namiastkę sensu życia, która miała tłumaczyć jego miejsce na ziemi.

* * *

Chwilę później uświadomił sobie ze zgrozą, że wygłaszając to z pozoru klarowne napomnienie, w gruncie rzeczy ograniczał się do poruszania ustami. Nawet do niego nie docierały w pełni implikacje tych słów.

W pałacu prezydenckim mierzący ponad dwa metry wzrostu elegancki majordomus wprowadził ich do westybulu, w którym czarnoskórzy służący podawali aperitify i wyłożone na tacach maleńkie afrykańskie przystawki zgromadzonemu wcześniej towarzystwu, na które składali się: Kitty Gbe – edukacja; Ram Ibusa, doktor ekonomii – finanse; Leon Elai, doktor filozofii, nauk politycznych i ekonomii – sprawy zagraniczne; oraz prezydent Obomi.

Na widok tego ostatniego Elihu bez ceregieli wystąpił naprzód, objął go i uścisnął.

– Zaddie! – powiedział, odsunawszy prezydenta na odległość wyciągniętego ramienia. – Na Boga, to naprawdę straszne! Minęły dwa miesiące, a ty postarzałeś się o dziesięć lat!

– Nie mam już bogów – odparł prezydent i z wysiłonym uśmiechem wyśliznął się z objęć przyjaciela. – Ale i tak ogromnie się cieszę z twojego powrotu, Elihu. W pewnej chwili zacząłem się nawet obawiać... Zresztą nieważne, mam dobrych lekarzy. Dzięki nim jakoś się jeszcze trzymam. Nie przedstawiś mnie swoim szanownym rodakom?

Przeniósł spojrzenie ocalałego oka na Normana i jego towarzyszy.

– Ależ... tak, naturalnie. Na początek przedstawiam pana doktora Normana Niblocka House'a, członka zarządu General Technics...

Norman wyciągnął rękę do powitania.

– To dla mnie zaszczyt, panie prezydencie – powiedział. – Jestem przekonany, że udało nam się wypracować takie rozwiązanie niektórych trapiących pański kraj problemów, które przypadnie panu do gustu.

– Naprawdę, Elihu? – Prezydent zerknął pytająco na ambasadora.

– Dołożyłem wszelkich starań, żebyś dostał to, o co prosisz – odparł Elihu.

– Dziękuję. – Obomi się uśmiechnął. – Opowie nam pan o tym przy kolacji, doktorze House. Wiem, że nie powinno się mieszać dobrego jedzenia z interesami, mój szef kuchni będzie na mnie wściekły, ale mój czas dobiega końca i... Z pewnością rozumie pan moje trudne położenie.

Odwrócił się do Consueli, którą Elihu właśnie mu przedstawiał. Oszołomiony Norman cofnął się o krok i machinalnie odepchnął podsuniętą przez służącego tacę z drinkami.

Niemożliwe, żeby to się dało tak prosto załatwić! Gdzie jakiś opór, miejsce na perswazję, przekonywanie...? A ci jego ministrowie? Czy tak samo jak on są gotowi uwierzyć na słowo, kiedy w grę wchodzi przyszłość całego kraju?

Patrzył na nich z niedowierzaniem – na pulchną kobietę i dwóch mężczyzn średniego wzrostu, z policzkami pobliźnionymi w tradycyjne wzory – i na ich twarzach widział wyłącznie zadowolenie. Prawda zaczęła z wolna przenikać przez mętne odmęty jego umysłu.

Kiedy Elihu porównywał Obomiego do głowy rodziny, myślałem, że to tylko taka analogia, nic więcej. Tymczasem w taki sposób jak tutaj załatwia się sprawy w gronie rodzinnym, tak właśnie wita się przyjaciół, którzy

przychodzą z ciekawą propozycją: zaprasza się ich do stołu, najpierw rozmawia się o sprawach osobistych, a dopiero później przechodzi do irytujących kwestii biznesowych. Nie traktują nas jak zagranicznych wysłanników – ambasadora i towarzyszących mu przedstawicieli megakorporacji. Bardziej przypomina to...

W tym momencie prawie stracił natchnienie, które powoli przebijało mu się do świadomości. Kiedy znów je odnalazł, wróciło do niego wraz z głosem Chada Mulligana, pytającego, czy ktoś zna dekoratora wnętrz, który wyposażyłby jego mieszkanie w najnowsze gadzety.

To jest to, pomyślał.

Odetchnął głęboko.

Kraje i wielkie firmy zachowują się inaczej niż mniejsze zespoły ludzkie, nie mówiąc już o jednostkach. Kiedy chcą coś załatwić, organizują poselstwa dyplomatyczne, zlecają przetargi albo w inny sposób formalizują i rytualizują swoje działania. Jeśli przygotowują się nie dość starannie, czeka je katastrofa.

Kiedy jednak prezydent Beninii chciał coś załatwić, zachowywał się dokładnie tak, jak to przedstawił Elihu, ale aż do tej chwili Norman nie doceniał celności tamtego porównania: niczym senior rodu zwrócił się do starego, zaufanego przyjaciela i wyluszczył mu swoje potrzeby, a kiedy ów przyjaciel wrócił z fachowo przygotowaną propozycją...

Sprawa była załatwiona.

Jednakże dopiero po zakończeniu kolacji, ba, dopiero po północy zdołał przekonać sam siebie, że ma rację. Przekonanie współpracowników zajęło mu większość następnego dnia.

kontekst (21)

LIST

Drogi Normanie,

to pierwszy list, jaki piszę od ponad trzech lat. Rzeczywiście niektóre nawyki trudno wykorzenić... Ale tak naprawdę chodzi mi chyba o to, żeby zrobić notatki do artykułu przeznaczonego dla szerokiej publiczności, której mam serdecznie dość. Zwracałem się do niej w książkach, czasopiśmie, telewizji i na wykładach, i pewnie kiedyś znów do tego wrócę, bo ciśnienie rozsadza mi czaszkę, ale czas spędzony w rynsztokach nauczył mnie rozmawiać z jednym człowiekiem naraz. Najlepiej byłoby rozmnożyć się milion razy, wyjść do ludzi i odbyć milion osobnych rozmów, bo tylko w takich warunkach można mówić o prawdziwym porozumieniu; reszta to bierne wystawianie się na działanie informacji, a kogo interesuje pojedyncza fala na morzu?

Jestem Ci naprawdę wdzięczny, że użyczyłeś mi swojego mieszkania. Wpadają tu czasem ludzie, którzy nie wiedzieli, że wyjechałeś, a ponieważ moje książki przyniosły mi przynajmniej jakąś niesławę, bywam teraz zapraszany na przeróżne wydarzenia zamiast Ciebie. Postaram się nie przynieść Ci wstydu, ale Bóg mi świadkiem, że będzie ciężko.

To nadzwyczaj ciekawe doświadczenie, w mgnieniu oka wrócić z samego dna na szczyt skonstruowanego przez nas społeczeństwa. Widziane z góry, wcale nie wygląda lepiej. Pamiętam tę konstatację z przeszłości, ale melancholia, jaka towarzyszyła jej za pierwszym razem, chyba nie pasuje do mojego temperamentu. Wiem jednak, że to ona zainspirowała *Leksykon Trendybrodni*: czułem, że wyrwanie się poza regularną,

konformistyczną orbitę jest jedynym rozwiązaniem, jeśli człowiek nie chce zwariować.

Sęk w tym, że nie ma żadnego „poza”, a całe to gadanie o „wyrzutkach ze społeczeństwa” czy „nieuczestniczeniu” to wiadro wielorybiej mierzwy. Tylko fakt, że produkujemy gigantyczne ilości śmiecia, pozwala niektórym z nas się wycofać – korzystamy z powierzchownej zamożności, którą konformiści zagłuszają nudę. W gruncie rzeczy mówienie o funkcjonowaniu poza społeczeństwem jest równie bezsensowne, jak mówienie o funkcjonowaniu poza wszechświatem – tam po prostu nie ma gdzie funkcjonować.

Weźmy, na przykład, Twoich pobratymców, Aframów, którzy odrzucają styl życia białodupców: gdzie by się znaleźli, gdyby to pogardzane przez nich społeczeństwo rozpadło się na kawałki? Wyobraźmy sobie zarazę, która dotyka wyłącznie białych (nawiasem mówiąc, taka choroba naprawdę istnieje, Chińczycy testowali ją w Makao przed trzema czy czterema laty, ale wszelkie informacje dyskretnie wyciszono, a ja dowiedziałem się o tym przez przypadek). Pozbycie się nas razem z naszą godną potępienia arogancją nie wyleczyłoby ludzkości z jej dziedzicznych chorób.

Zaczynam się zastanawiać, czy nie wziąć przykładu z mieszkańców Zachodniego Wybrzeża, dla których sabotaż stał się swoistym hobby. Nasze struktury społeczne się sypią, a oni stosują metodę naukową, żeby stwierdzić, co jest z nimi nie w porządku. (Nie wiem, czy ktoś już zwrócił na to uwagę. Raczej nie. Mam ohydny zwyczaj wyciągania pochopnych, prywatnych wniosków. Aż się czasem zastanawiam, czy nie żyję przypadkiem w zmyślonym świecie, w którym jestem zupełnie sam).

Wspomniana wyżej metoda naukowa polega na zmianie wartości jednej – i tylko jednej – zmiennej oraz stwierdzeniu wpływu tej zmiany na całość interakcji. Na tej podstawie wnioskuje się następnie o naturze siły, której dotyczyła ingerencja. Oczywisty problem z tą metodą polega na tym, że oddziaływanie jest z konieczności losowe i nie ma nikogo, kto by zanalizował wyniki.

Tak sobie jednak myślę, że skoro brakuje ochotników, to może ja się tym zajmę. Pojadę do Kalifornii i rozpocznę badanie skutków dezorganizacji miasta.

Nie, jednak nie. To złudzenie dobre dla ćpunów. Nie zrobię tego. Nikt tego nie zrobi. Za bardzo się boję. To by było wyzwanie na miarę zejścia do szybu reaktora termojądrowego, żeby zobaczyć, jak plazma wiruje ze świstem wokół butelki. Niech nam ktoś przyśle antropologa z Marsa, na litość boską!

Zastanawiałeś się kiedyś nad tym, co czuje lekarz w obliczu choroby, której nie potrafi wyleczyć, a o której wie, że jest tak silnie zakaźna, że najprawdopodobniej zarazi się nią od pacjentów, którym nie może pomóc? Tak właśnie się teraz czuję. Jezu, jestem istotą rozumną... poniekąd... w każdym razie dostatecznie rozumną, żeby dostrzegać otaczające mnie objawy szaleństwa. Poza tym jestem człowiekiem, takim samym jak ludzie, o których myślę jak o ofiarach w tych chwilach, gdy opuszczam gardę. Nie można wykluczyć, że jestem jeszcze bardziej szalony niż moi pobratymcy, nad którymi mam skłonność się litować.

Pozostaje mi chyba tylko jedno: upić się.

Z pozdrowieniami –
Chad Mulligan

ciągłość (26)

RĄBANKA

Biuro prasowe rządu znajdowało się na ostatnim piętrze piętnastopiętrowego bloku w głębi lądu. Donald pokazał akredytację nijakiemu, nieuśmiechającemu się urzędnikowi i po wyłożonej trzcinową matą podłozie podszedł do okna z widokiem na Gongilung.

Z lewej strony na szczycie wzgórza wznosiły się białe wieżowce uniwersytetu. Patrząc na nie, zastanawiał się, w którym z nich pracuje Sugaiguntung. Co takiego musiało się stać, że człowiek takiego formatu zaprzedał się propagandzie? Długotrwała presja z pewnością mogła złamać nawet geniusza, którego niezależne myślenie stało się fundamentem trwałego dobrobytu państwa.

Właśnie, skoro o presji mowa...

Z tego miejsca pierwszy raz dostrzegł namacalne dowody czegoś, z czego od dawna zdawał sobie sprawę w kategoriach intelektualnych, ale co nie zdołało się przebić na poziom emocjonalny. Przypomniawszy sobie uczucie, jakie towarzyszyło mu tamtej nocy, gdy wyszedł na spacer po mieście, które traktował jak swój dom, i przekonał się, że samą swoją obecnością jest w stanie sprowokować zamieszki.

Rozrzucony na niewielu ponad sto wyspach Yatakang mógł się pochwalić populacją liczącą dwieście trzydzieści milionów obywateli – przy średniej ponad dwa miliony mieszkańców na każdą wyspę był to jeden z najgęściej zaludnionych rejonów na świecie. A z tej wysokości tłok był doskonale widoczny.

Nawet zbocza Pradziada Loa były upstrzone chatami tubylców; kręte ścieżki łączyły domostwa i zbiegały nad brzeg morza.

Przypomniała mu się opowieść Chada Mulligana o mieszkańcach starożytnego Rzymu, żyjących pod taką presją, że dołączenie do grona eunuchów-kapłanów Kybele wydawało im się pożądanym wyjściem z sytuacji. Oto współczesny odpowiednik tej sytuacji: z jaką presją muszą zmagać się ludzie, żeby nędzna egzystencja na zboczach aktywnego wulkanu wydawała im się lepsza od przeprowadzki na bezpieczną odległość od potencjalnego źródła erupcji?

– Panie Hogan? – zabrzmiał za jego plecami ściszony głos.

Odwrócił się. Przed nim stał ten sam urzędnik, z którym widział się przed chwilą.

– Dyrektor Keteng przyjmie pana.

* * *

Dyrektor Keteng był korpulentnym mężczyzną o oschłym sposobie bycia. Siedział za szafką aparatury łącznościowej, jakby chciał każdym aspektem zajmowanego stanowiska podkreślić swoją rolę patrona przekazu informacji. Donald doszedł do wniosku, że Bronwen miała rację: rząd Solukarty włożył wiele wysiłku w walkę z wiarą, ale osiągnął tylko przeniesienie tejże z nieożywionych bożków na żywe (i niedoskonałe) istoty ludzkie. I tak oto ten gabinet stał się świątynią poświęconą nie bóstwu wiadomości, lecz raczej bogu tego, co ludziom wolno będzie usłyszeć.

Gospodarz oszczędnym gestem wskazał Donaldowi krzesło naprzeciwko. Donald usiadł.

– Mówi pan po yatakańsku?

– Trochę.

– Nie jest to język popularny wśród amerykańskich studentów. Po co się go pan uczył?

Donald powstrzymał chęć uduszenia nadętego durnia przewodem któregoś z niezliczonych wideofonów i odparł najspokojniej jak umiał:

– Kiedy nadarzyła mi się okazja poznania jakiegoś języka nieindoeuropejskiego, wybrałem yatakański, ponieważ wszyscy mówili, że

jest bardzo trudny.

– Czyli nie interesował się pan Yatakangiem?

Ojej.

– Studiowałem genetykę – zełgał gładko Donald – a najślynniejszy z żyjących genetyków jest Yatakańczykiem. To był dla mnie ważny powód.

Dyrektor Keteng nie był jednak łasy na pochlebstwa. Wzruszył ramionami.

– Nigdy dotąd pan do nas nie przyjeżdżał, a i teraz nie śpieszyło się panu zbytnio, jeśli można tak powiedzieć. Jako specjalistę od genetyki z pewnością zainteresował pana nasz program optymalizacji genetycznej.

– Zgadza się. Zainteresowanie programem w naszym kraju zaskoczyło moich pracodawców, dlatego nie od razu mnie tutaj przysłano, ale...

– Pańscy rodacy powątpiewają w prawdziwość naszych zapewnień – orzekł beznamiętnie Keteng. – A pan?

– Mam nadzieję, że to, co proponujecie, rzeczywiście jest możliwe – odparł Donald po krótkim wahaniu. – Niemniej jednak profesor Sugaiguntung od lat nie publikuje sprawozdań z bieżących prac i...

– Na zlecenie rządu prowadzi tajne badania. W pańskim kraju tego rodzaju prace mają dwojaki cel. Pierwsza możliwość to zwiększenie zysku jednej firmy w porównaniu z innymi; dlatego macie u siebie szpiegów, którzy żyją z tego, że odkrywają firmowe sekrety i sprzedają je konkurencji. Możliwość druga to poszukiwanie coraz skuteczniejszych sposobów zabijania ludzi. U nas tymczasem utajnione badania mają doprowadzić do tego, żeby więcej ludzi rodziło się i wyrastało na inteligentnych dorosłych, zdolnych przyczynić się do rozwoju ojczyzny. Co ma pan do powiedzenia na temat tych skrajnie różnych postaw?

– Jako genetyk nie mogę nie podziwiać ogłoszonego przez was programu. Reputacja profesora doktora Sugaiguntunga jest gwarancją jego przyszłego sukcesu.

Donald miał nadzieję, że ta wymijająca odpowiedź zamaskuje wściekłość, jaką budził w nim pogardliwy ton Ketenga.

– To czywiste, że podobnie jak inni Amerykanie nie potrafi się pan pogodzić z istnieniem ludzi, którzy są od was w czymś lepsi – burknął

Keteng. – Skoro jednak raczyliście już łaskawie zauważyć dokonany przez nas przełom, wypadałoby, żebym ułatwił panu przekazanie faktów pańskim rodakom. Wydam panu teraz oficjalną kartę akredytacyjną, nadającą panu wszelkie uprawnienia należne korespondentowi zagranicznemu. Dostanie pan również list do lekarzy na Uniwersytecie Zaangażowania, dzięki któremu operacja sterylizacji będzie dla pana bezpłatna, oraz grafik zaplanowanych na przyszły tydzień konferencji prasowych. Czy przed wyjściem chce pan jeszcze o coś zapytać?

– Polecono mi zabiegać o jak najszybsze osobiste spotkanie z doktorem Sugaiguntungiem – odparł Donald.

– Profesor doktor jest zbyt zajęty, żeby tracić czas na pogawędki z cudzoziemcami! – warknął Keteng. – Gdyby jednak zerknął pan na program wydarzeń, który panu dałem, stwierdziłby pan, że profesor ma wystąpić pojutrze na konferencji prasowej. Będzie pan miał okazję osobiście pozadawać mu pytania, razem z innymi korespondentami.

Cierpliwość Donalda, systematycznie osłabiana celowymi drwinami Ketenga, była na wyczerpaniu.

– Dlaczego Sugaiguntung jest taki zajęty? – zdziwił się. – Żaden szanujący się naukowiec nie zgodziłby się na upublicznienie informacji o swoich pracach do czasu zakończenia przynajmniej ich fazy wstępnej. Takie zachowanie każe podejrzewać, że badania profesora wcale nie zostały zakończone, a triumfalny komunikat jest co najmniej przesadzony.

– Nie wątpię, że takiej właśnie treści raport ma pan przekazać do kraju celem edukowania swoich rodaków. – Głos Ketenga ociekał sarkazmem. – Wam, Amerykanom, brakuje subtelności. Proszę pójść do kliniki uniwersyteckiej, przekona się pan, dlaczego w Yatakangu jesteśmy tacy zajęci! Nie pograżyliśmy się w tej dekadencji, która wam pozwala myśleć w kategoriach relaksu po zakończonej pracy. Mamy plany, które będą nas absorbowały przez następne pokolenie, ponieważ dla nas „dostatecznie dobrze” to za mało. Dążymy do perfekcji, a profesor doktor podziela ten pogląd. Czy to wszystko?

Bynajmniej, pomyślał Donald. Jeszcze nawet nie zacząłem.

Przełknął jednak niewypowiedziane słowa i posłusznie wstał.

Na razie najsensowniej było traktować wszelkie oficjalne sugestie jak polecenia. Keteng kazał mu się rozejrzeć na uniwersytecie, dokąd i tak musiał się udać na przymusową operację sterylizacji. Natychmiast po wyjściu z budynku złapał riksę i kazał się wieźć na uczelnię.

Droga prowadziła pod górę i chudy, żylasty kierowca musiał się sporo napracować, ale nawet gdyby zjeżdżali po trzydziestoprocentowej pochyłości, nie mogliby posuwać się zbyt szybko. Ulicami w okolicy przewalały się nieprzebrane tłumy. Kształcący sześćdziesiąt tysięcy studentów Uniwersytet Zaangażowania był placówką akademicką słusznych rozmiarów, ale – jak z zainteresowaniem zauważył Donald – nie wszyscy przechodnie byli studentami. Przekrój wiekowy był niewiarygodny – od nastolatków po staruszków; łatwo było dostrzec, gdzie znajdują się akurat najstarsi członkowie tej społeczności, ponieważ ludzie wokół nich automatycznie tworzyli ochronny bąbel powstrzymujący napór ciżby. Szacunek dla wieku podeszłego w dalszym ciągu był tu żywą tradycją.

Rixa pełzła wolno przez tłum, a Donald zaczął się zastanawiać, czy w ogóle są tu jacyś studenci. Z nielicznych wychwyconych w zgiełku słów (wolał nie wychylać się z nadto z pojazdu i nie obnosić ze swoimi europejskimi rysami twarzy) wnioskował, że ma przed sobą przybyszów z innych wysp. Jeżeli miał rację, to biorąc pod uwagę, że na przebytych przez niego dystansie dwóch i pół kilometra tłoczyło się około dziesięciu, może nawet dwunastu tysięcy ludzi, oficjalne doniesienia o entuzjastycznej reakcji opinii publicznej na program genetyczny wcale nie były przesadzone.

Zwłaszcza że tu i ówdzie migają mu twarze zmęczonych i zniechęconych młodych ludzi obojga płci niosących transparenty, których treść nawiązywała do osoby Sugaiguntunga.

Hmm... Wszyscy idą na uniwersytet, bo mają nadzieję zobaczyć wielkiego człowieka na własne oczy?

Z przodu zamajaczył mur oddzielający teren uniwersytetu od reszty miasta: dwumetrowej wysokości bariera, czysta biel ozdobiona stylizowanymi zawijasami i krechami yatakańskiej kaligrafii, chętnie

wykorzystywanej – podobnie jak w Egipcie znaki arabskiego alfabetu – do zdobienia fryzów budynków publicznych. Utrwalone w czerwonej, niebieskiej, zielonej i czarnej wodoodpornej emalii świadectwa wielkości Yatakangu i mądrości Solukarty zagradzały drogę niedoszłym zwiedzającym.

Jedyną bramę, jaką Donald widział, pilnowali nie tylko policjanci na służbie, w przepoconych płowych mundurach, z otwartymi kaburami pistoletów energetycznych, lecz także pokaźna liczba młodych ludzi, którzy nosili na rękach opaski w narodowych barwach czerwono-niebiesko-zielonych i próbowali chyba coś tłumaczyć napierającemu tłumowi, odpychając go i pokrzykując. Donald wyteńczył słuch i z ogólnej wrzawy wyłowił parę zrozumiałych zdań:

- Musicie być cierpliwi...
- Wasz wioskowy lekarz będzie wiedział, co robić...
- Ciężko pracujcie i dobrze się odżywiajcie, bo inaczej nie będziecie mieli zdrowych dzieci, nawet...

Pokiwał głową. Pewnie na podstawie takich właśnie scen Deirdre Kwa-Loop wyrobiła sobie opinię o konsekwencjach niespełnienia oczekiwań mieszkańców Yatakangu.

Ostatecznie udało mu się wylądować nieopodal wejścia. Policjantowi, który do niego podszedł, pokazał paszport i wydane przez Ketenga zaświadczenie, że ma prawo za darmo skorzystać z usług kliniki uniwersyteckiej. Funkcjonariusz powoli odcyfrował treść dokumentu, po czym przywołał do siebie dwóch przechodzących w pobliżu młodych ludzi z opaskami. Dzięki ich pomocy udało się odepchnąć napierający tłum i uchylić na chwilę bramę, przez którą Donald wcisnął się do środka.

Na wyłożonej kafelkami platformie powitała go dziewczyna ubrana w shareng, ze złożoną parasolką w ręce. Znalazł się na dziedzińcu, którego środek zajmowały fontanna i suchy ogród w japońskim stylu, dookoła zaś biegingy krużganki przykryte orientalnym, pagodowym dachem. Krużganki – wybudowane na pochyłości – od strony wejścia, gdzie Donald stał w tej chwili, schodziły poniżej poziomu ulicy. Spod platformy dobiegał gwar głosów i tupot licznych stóp. W polu jego widzenia znajdowała się co

najmniej setka stojących nieruchomo lub rozpychających się w tłumie studentów.

– Dzień dobry panu – powiedziała dziewczyna, używając standardowego yatakańskiego tytułu grzecznościowego wywodzącego się z rdzenia „starszy”.

– Dzień dobry. – Donald zmierzył ją wzrokiem i stwierdził, że też nosi opaskę. – Przyszedłem do kliniki. – Pokazał jej list od Ketenga.

– Zaprowadzę pana. Mam dzisiaj dyżur jako przewodniczka dla cudzoziemców. Gdyby chciał pan zasięgnąć jakichś informacji, proszę zwrócić się do osoby noszącej taką opaskę – wyrecytowała z przyklejonym do twarzy promiennym uśmiechem, chociaż z jej głosu przebijało znużenie. – Proszę za mną.

Krótkimi schodami zeszli na poziom krużganków; po drodze dziewczyna rozłożyła parasolkę – gest ten musiał chyba pełnić rolę prośby o usunięcie się z drogi, bo na jej widok tak właśnie zachowali się niektórzy studenci.

Szli długo; Donald wszedł na teren uczelni niewłaściwą bramą i bez przewodniczki zabłądziłby pewnie z pięć albo sześć razy. Po drodze minęli co najmniej dwadzieścia budynków, które dziewczyna po kolei mu opisywała:

– Wydział języków azjatyckich... wydział historyczny... wydział oceanograficzny... wydział geografii i geologii...

Donald słuchał jej jednym uchem, znacznie bardziej interesowali go napotykanie po drodze młodzi ludzie. Z niechęcią musiał przyznać rację Ketengowi: na terenie uczelni panowała atmosfera gorączkowej aktywności, jakiej nie doświadczył na żadnym amerykańskim uniwersytecie. Nawet ci nieliczni studenci, którzy tylko rozmawiali (i słyszał, o czym mówią), dyskutowali o studiach, nie o laskach albo planach na weekend.

– Biochemia... genetyka i tektogenetyka... I oto jesteśmy w klinice!

Na te słowa otrząsnął się z zamyślenia. Dziewczyna otworzyła przed nim drzwi, za którymi mignęło mu uniwersalne pastelowe wnętrze.

Zaleciało równie uniwersalną wonią szpitalnych środków dezynfekcyjnych.

– Powiedziała pani, że to jest wydział genetyki, zdaje się? – zapytał Donald, wskazując ostatni z mijanych budynków.

– Tak, proszę pana.

– Ten sam, na którym pracuje słynny doktor Sugaiguntung?

– Tak, proszę pana. – Tym razem uśmiech dziewczyny nie wydawał się wysiłony, a w jej głosie można było usłyszeć nieklamana dumę. – Mam zaszczyt pracować na tym wydziale. Jestem studentką profesora doktora Sugaiguntunga.

Donald obmyślił kwiecistą frazę, w której połączył wyrazy wdzięczności za pomoc, pochwałę urody dziewczyny i kilka uwag na temat losu przybysza z zagranicy. Poznanie studentki samego doktora Sugaiguntunga to przecież oznaka niezwyklej pomyślności losu!

Nie zdążył się jednak odezwać, bo dziewczyna złożyła parasolkę i oddaliła się zwawym krokiem. Zanim Donald zareagował, rozdzieliło ich ze dwadzieścioro studentów, a z wnętrza kliniki, tuż zza drzwi, obserwowała go już pielęgniarka, która właśnie miała zamiar coś powiedzieć.

Westchnął ciężko. Nie pozostało mu nic innego, jak wyryć w pamięci sylwetkę gmachu genetyki, na wypadek gdyby miał okazję tu wrócić.

Podczas tego pośpiesznego ostatniego przeglądu okolicy, coś w osobach mijających go studentów zwróciło jego uwagę: uśmiechali się znacznie rzadziej, niżby się tego można spodziewać po ludziach, którzy czują, że są predestynowani do rzeczy wielkich. Witając się ze znajomymi ruchem głowy albo skinieniem ręki, zachowywali powagę i skupienie.

To było niepokojące. Nie przywykł do obcowania z ludźmi, którzy tak bardzo się w coś angażują, że ich to wyczerpuje. W Stanach takie podejście wyszło z mody.

Odwrócił się do pielęgniarki, żeby wyjaśnić powód swojej wizyty.

W tej samej chwili rozległ się krzyk. Odwróciwszy się gwałtownie, Donald zobaczył falę przepływającą przez tłum w pobliżu gmachu genetyki. Coś uniosło się ponad gęsto upakowanymi głowami i błysnęło

w słońcu. Od razu rozpoznał charakterystyczny kształt – *phang*, miejscową odmianę szabli, do której tak chętnie porównywano tu kształt yatakańskiego archipelagu.

Pojedynczy krzyk przeszedł w nieartykułowany skowyt i jakiś zapłakany chłopak, zataczając się, wpadł do nieskalanego suchego ogrodu, który także w tym miejscu oddzielał białe wieżowce od pagodowatych krużganków. Krwawił jaskrawą czerwienią z rozcięcia na piersi. Dwa metry dalej upadł w spazmach; życie wyciekało z niego i wsiąkało w ziemię.

Zaskoczonemu Donaldowi stanęła przed oczami chora wizja, w której był nosicielem nowej, niezwyklej choroby, wirusa rzezi i zamieszek. Dopiero co przybył do tego miasta i...

Wcześniejszy kontakt z tym zjawiskiem był zbędny. Takie rzeczy po prostu się wiedziało. To był nieodłączny element współczesnego życia – albo śmierci. W odległości dosłownie paru metrów, oddzielony zasłoną w postaci grona wpadających nagle w panikę studentów, znajdował się człowiek, który przekroczył granicę obłądu i wpadł w amok.

Natłok dopominających się o uwagę wrażeń nie pozwalał Donaldowi ogarnąć całości sceny, widział tylko jej pojedyncze aspekty: krwawiący chłopak; przerażony tłum; a potem dziewczyna w rozciętym sharengu, która, potykając się, wypadła z tłumy, podobnie jak ranny chłopiec przed nią, i głębokimi odciskami stóp znaczyła powierzchnię piasku w suchym ogrodzie; jedną ręką trzymała się za biust i ze zgrozą spoglądała na makabryczne cięcie, które niemal oddzieliło drobną pierś od tułowia – zbyt oszołomiona, żeby krzyżeć, zdolna tylko patrzeć i cierpieć.

Wściek wybrał idealne miejsce na polowanie. Przy wyjściu z wysokiego gmachu genetyki studenci, którym drzwi wyjściowe ograniczały możliwość manewru, tłoczyli się w wąskim przejściu. Nie musiał szukać ofiar – wystarczyło rąbać na prawo i lewo. Ostrze znów zabłysło, rozchlapując krew na ściany, twarze i plecy, i opadło jak rzeźnicki topór, tnąc ciało i kości. W oknach nad dziedzińcem pojawili się gapie. W oddali męczyczna w płowym mundurze, z energetykiem w ręku, przeciskał się przez tłum zdjętych przerażeniem studentów. Trzecia ofiara zsunęła się

z chodnika jak pozbawiony stawów manekin: młody chłopak z mózgiem rozlewającym się w świetle dnia.

Obłąkańczy krzyk przeszedł w zrozumiałe słowo, słowo było nazwiskiem, a nazwisko to brzmiało (Donald nie wiedział dlaczego)...

– Sugaiguntung!

Po co go wzywać? Czyżby wściek nie był człowiekiem, tylko jednym z wyprodukowanych przez profesora zmutowanych orangutanów? Pomysł wydał się Donaldowi niedorzeczny, lecz wcale nie bardziej od faktu, że zaraz po przybyciu do miasta natknął się na wścieka.

Zanim zdał sobie sprawę, co właściwie robi, zaczął się przesuwać w taki sposób, żeby zobaczyć mordercę. Jednakże w chwili, w której cofnął się sprzed drzwi kliniki, jego droga ucieczki – potencjalna, na razie niewykorzystana – została odcięta: gromada spanikowanych ludzi przewaliła się tuż obok, jeden z nich upadł i przez ciągnącą się w nieskończoność chwilę nie potrafił wstać, odtrącany wciąż w tył i przewracany przez niepomne niczego stopy.

Nie był studentem – ten fakt przebił się do świadomości Donalda równocześnie z innym, o wiele donośniejszym. Na ziemi leżał mężczyzna w średnim wieku, z wyraźnie zarysowującym się brzuszkiem i (to wśród Yatakańczyków rzadkość) łysiną na czubku głowy. To jednak była tylko migawka bez znaczenia. Znacznie ważniejszy był fakt, że wściek rzucił się na niego.

Umysł Donalda ochłonął, jakby ktoś rozłupał mu czaszkę, jak tamtemu leżącemu parę metrów dalej martwemu chłopcu, i nappełnił ją ciekłym helem. Czuł, że z bezpiecznej odległości panuje nad sytuacją niczym komputer kriogeniczny. Czas stracił swą liniową naturę i stał się ciągiem obrazów.

Klasyczny przypadek wścieka: chudy chłopak, wzrost nieco powyżej średniego, żółtawa cera, czarne włosy, ubrany zwyczajnie, zachlapany świeżą krwią. Oczy o czarnych tęczówkach, wytrzeszczone, źrenice z pewnością rozszerzone, chociaż przy tak znikomym kontraście nie jestem w stanie ich dostrzec. Usta rozdziawione, ślina ścieka po brodzie. Odrobina piany na lewym policzku. Oddech przyśpieszony, chrapliwy

wydech – harrgh, uf, harrgh, uf. Maksymalne napięcie mięśniowe, prawy rękaw rozpruty pod naporem bicepsa. Konwulsyjnie ściska w dłoni phang, knykcie bieleją na tle żółtej skóry. Nogi ugięte, stopy w rozkroku jak u zapaśnika sumo mierzącego się z przeciwnikiem. Rzucająca się w oczy erekcja. Tkwi w berserkerskim układzie odniesienia, nie odczuwa bólu.

Wraz z tą świadomością pojawiło się pytanie – Co ja mam zrobić, na Boga? – i czas ruszył z miejsca.

Phang świsnął w powietrzu. Kropelki krwi zakłuły Donalda w twarz z impetem niesionych huraganem kropli deszczu. Odskoczył do tyłu. Mężczyzna na ziemi znów spróbował wstać. Wściek omal nie stracił równowagi, usiłując powstrzymać impet ciosu wymierzonego w Donalda i przekierować cięcie na leżącego. Czubkiem ostrza nakreślił linię bólu w poprzek podrygujących pośladków.

Broń.

Ktoś kiedyś powiedział Donaldowi Hoganowi – nowemu Donaldowi Hoganowi, jego ulepszonej wersji, która poznała blisko tysiąc sposobów na odebranie człowiekowi życia – coś takiego: „Nie stawaj do walki z uzbrojonym przeciwnikiem bez broni, jeśli masz broń w zasięgu ręki. A jeśli nie masz broni w zasięgu ręki, to ją znajdź!”.

Nie miał pod ręką nic, co mógłby złapać, żeby tym uderzyć – nic, tylko lity mur, kafelki pod nogami, kolumny podtrzymujące ciężki dach i sterylne orientalny ogród, pozbawiony żywych drzew, z których można by odłamać gałąź, żeby użyć jej jak bicia.

A wściek zaraz zabije leżącego człowieka.

Phang wzniósł się nieskrępowanym łukiem zapowiadającym ogromną siłę ciosu; kiedy spadnie, rozpołowi mężczyznę jak świńskie truchło. Za szklanymi drzwiami kliniki tłoczyły się zbielełe twarze (żaden Azjata nie powinien być aż tak blady) – zafascynowane, zahipnotyzowane, unieruchomione zgrozą.

Donald został sam na piętnastometrowym odcinku chodnika. W pobliżu znajdowali się tylko człowiek na ziemi, ranny w suchym ogrodzie i wściek.

Ostrze znalazło się w najwyższym punkcie łuku, kiedy Donald wybił się do skoku i staranował wścieka barkiem; miał wrażenie, że zderzył się z drewnianą figurą, tak stwardniałe było ciało szaleńca. Było już za późno, żeby wściek mógł zmienić zamiar i powstrzymać cios, ale przynajmniej stracił równowagę. Donald znalazł się tymczasem za jego plecami, jedną ręką zamortyzował zderzenie ze ścianą i jak odbita piłeczka odskoczył poza zasięg ostrza. Zamiast w ciało phang uderzył w chodnik, zgrzytnął metalicznie i obrócił się w dłoni wścieka. Klinga stępiła się trochę na kamieniu, rękojeść zrobiła się śliska od krwi, a uderzenie o twardą powierzchnię doprowadziło do chwilowego paraliżu mięśni ręki.

Broń.

Na środku suchego ogrodu – pięć wyoblonych przez wodę kamieni. Donald rzucił się w ich kierunku, zapamiętawszy pozycję wścieka, żeby móc rzucić bez celowania. Pierwszy z kamieni okazał się cięższy niż na to wyglądał, przez co wszystkie wyliczenia wzięły w łeb – przeleciał obok wścieka na wysokości barków i spadł na ziemię. Wściek wzniosł phang do ciosu i ruszył prosto na Donalda...

I pośliznął się na obłym kamieniu.

Jeszcze tylko jeden kamień nadawał się do rzucenia – białawy, z otworem, za który można było złapać, ważący pewnie ze trzy i pół kilograma. Donald rzucił go od dołu, mierząc w krocze wścieka odsłonięte podczas poślizgu i upadku. Kamień i wściek jednocześnie wylądowali na ziemi; pierwszy zmiażdżył jądra drugiemu.

Wściek, nawet jeśli chwilowo był niezdolny do odczuwania bólu, nie mógł zignorować odruchowej reakcji organizmu na uderzenie w genitalia i stłuczenie kości ogonowej – zwłaszcza drugie z tych wydarzeń zaparło mu dech w piersi, i nagle Donald odniósł wrażenie, że w całym wszechświecie zapanowała cisza, stracił już bowiem zdolność rozróżniania innych dźwięków niż te upiorne chrapliwe sapnięcia.

Tyle że dla nabuzowanego tlenem wścieka kwestia napelniania i opróżniania płuc była chwilowo obojętna...

Wyciągnął rękę po upuszczony phang. Korzystając z tej okazji, Donald cisnął mu garścią piasku w oczy. Ostrze znów świsnęło i tym razem

zahaczyło o prawe przedramię Donalda. Zakłuło jak żądłująca pszczoła.

Broń.

Użył wszystkiego, co miał na podorędziu – dwóch kamieni i piasku. Piasek oślepił tylko jedno oko wścieka, a utrata paralaksy nie zrobi na nim wrażenia. Już wstał, trzymał phang w ręce i szykował się do skoku na Donalda z wyższego o trzydzieści centymetrów poziomu chodnika.

Broń.

Zobaczył ją. I do diabła z nimi.

Wściek skoczył. Donald runął na bok, phang wbił się w piasek i nie dawał się łatwo wyciągnąć (wyglądało to tak, jakby człowiek był przedłużeniem oręża, nie oręż człowieka). Donald przeturlał się i kopnął. Kopniak obutej stopy trafił wścieka tuż powyżej łokcia i zmusił do rozprostowania palców. Phang upadł na ziemię. Drugie kopnięcie – źle wymierzone, ale i tak całkiem przydatne – odtrąciło broń poza zasięg rąk wścieka, który tymczasem odzyskał zdolność oddychania, zaklął głośno, wyciągnął rękę, nie patrząc, za co chwyci, i złapał phang za ostrze zamiast za rękojeść, rozciął sobie dwa palce, ale podniósł broń i cisnął nią w Donalda, który musiał uchylić się przed wirującym łukiem stali, a kiedy wściek rzucił się śladem broni, Donald podkulił nogę, wybił się z niej i ciemieniem wyrznął go w nos i usta, jednocześnie kantami obu dłoni uderzył z boków na wysokości pasa, po czym dźwignął się na podkulonej nodze, mimo że piasek ustępował mu zdradziecko spod stopy, i z pochyloną głową naparł mocniej, rozpląszczył wściekowi nos i pchnął go w taki sposób, że ten zderzył się potylicą z kamieniami szczęśliwie ułożonymi akurat w samym środku japońskiego ogrodu.

Ale to nie jest moja broń.

Nagle zrobiło mu się głupio. Wściek nie stawiał oporu. Leżał pod spodem, całkiem zwiotczały, a u nasady jego karku – w odległości tak małej, że Donald ledwie był w stanie zogniskować na nim wzrok – spoczywał duży kamień, o który musiał uderzyć, kiedy upadał na wznak.

Ale przecież miałem broń, prawda?

Jak przez mgłę przypomniał sobie, co to było. Wstał, podniósł wścieka, wszedł na chodnik i – nie zwracając uwagi ani na mężczyznę z raną

pośladków, leżącego przy szklanych drzwiach kliniki, ani tym bardziej na ludzi, którzy wewnątrz rozpierzchali się z krzykiem – użył swojej broni.

Którą był – zgodnie z tym, czego go uczono – odłamek szkła o ostrych krawędziach.

Obróciwszy wścieka, bez szczególnego zainteresowania odnotował fakt, że ten ma już na karku plamę krwi po uderzeniu o kamień. Następnie użył jego głowy jak tarana, roztrzaskał szybę w drzwiach i poderżnął mu gardło jednym z ocalałych w ramie odłamków.

Po czym zwrócił się po yatakańsku do zgromadzonych za drzwiami wystraszonych ludzików:

– Wy tchórzliwe żółte świniójebcy. Wy gównojady, urodzone z ruchanej w dupę matki. Wy szczynowate wory padliny. Wy żrące gnój muchy. Wy pedryle bez jaj i kutasów. Wy ulicznice, które mają mężczyzn tylko dla pieniędzy. Wy spedałeni lodziarze. Wy krwiożercze dupolizy profanujący świątynie. Wy bezmózgie pomioty imbecyla i zdeformowanej krowy, pozbawione serc i fiutów. Wy zapchlone glizdy okradające dzieci, truciciele ojców i gwałciciele matek, którzy sprzedaliście siostry Holendrom, a braci porąbaliście na kawałki i sprzedaliście do jatek. Wy szambonurki handlujące używanymi ekskrementami. Dlaczego nie reagowaliście?!

A potem zdał sobie sprawę, że trzyma w rękach trupa i że sam też się pokaleczył szkłem, i już nie wiedział, czy krew spływająca mu na pierś jest krwią wścieka, czy jego własną, zrozumiał, co właśnie zrobił, i wypuścił zwłoki z rąk, osunął się na nie i rozplakał.

Świat tu-i-teraz (12)

POWSZECHNE ODCZUCIE

– Wiesz, co to oznacza, prawda? Efekt będzie taki, że wszystkie
– Wiesz, co to oznacza, prawda? Efekt będzie taki, że wszystkie
– Wiesz, co to oznacza, prawda? Efekt będzie taki, że wszystkie
nasze dzieci będą upośledzone!

nasze dzieci będą upośledzone!

nasze dzieci będą upośledzone!

– Po co nam te wszystkie nasze gadzety, kiedy będziemy mieli

– Po co nam te wszystkie nasze gadzety, kiedy będziemy mieli

– Po co nam te wszystkie nasze gadzety, kiedy będziemy mieli

stawić czoło ludziom, którzy są lepsi od nas w myśleniu?

stawić czoło ludziom, którzy są lepsi od nas w myśleniu?

stawić czoło ludziom, którzy są lepsi od nas w myśleniu?

– Wiesz chyba, co możesz sobie zrobić z Radą Eugeniczną,

– Wiesz chyba, co możesz sobie zrobić z Radą Eugeniczną,

– Wiesz chyba, co możesz sobie zrobić z Radą Eugeniczną,

prawda? Możesz ją sobie...

prawda? Możesz ją sobie...

prawda? Możesz ją sobie...

– Staniemy się, w pewnym sensie, zwykłymi

– Staniemy się, w pewnym sensie, zwykłymi

– Staniemy się, w pewnym sensie, zwykłymi

kretynami i kalekami.

kretynami i kalekami.

kretynami i kalekami.

- Słyszałeś, że Engrelay Satelserv postanowiło wysłać
- Słyszałeś, że Engrelay Satelserv postanowiło wysłać
- Słyszałeś, że Engrelay Satelserv postanowiło wysłać

do Yatakangu specjalistę od genetyki?

do Yatakangu specjalistę od genetyki?

do Yatakangu specjalistę od genetyki?

– No, jeśli taka firma tak poważnie traktuje temat,

– No, jeśli taka firma tak poważnie traktuje temat,

– No, jeśli taka firma tak poważnie traktuje temat,

to coś w tym musi być.

to coś w tym musi być.

to coś w tym musi być.

– Ale rząd najwyraźniej stara się ludziom wmówić,

– Ale rząd najwyraźniej stara się ludziom wmówić,

– Ale rząd najwyraźniej stara się ludziom wmówić,

że to kłamstwo.

że to kłamstwo.

że to kłamstwo.

– A to oznacza, że nie potrafia

– A to oznacza, że nie potrafia

– A to oznacza, że nie potrafia

zrobić tego samego dla nas.

zrobić tego samego dla nas!

ZROBIĆ TEGO SAMEGO DLA NAS!

– **ZRÓBCIE TO SAMO DLA NAS!**

– **ZRÓBCIE TO SAMO DLA NAS!**

– **ZRÓBCIE TO SAMO DLA NAS!**

– **ZRÓBCIE TO SAMO DLA NAS!**

– **ZRÓBCIE TO SAMO DLA NAS!**

(NIE FAIR Termin stosowany do opisanie atutów innych ludzi, których próbowaliśmy ich pozbawić, ale nam się nie udało. Patrz także NIEUCZCIWOŚĆ, PODSTĘP, OSZUSTWO oraz CHYBA ZWYKŁY FART.

– Chad S. Mulligan, *Leksykon trendybrodni*)

ciągłość (27)

KRAJOBRAZ LUDZKI

Blisko drogi – wysokie trawy ożywione zielenią letniej wilgoci, poprzerastane niskimi krzewami, upstrzone pojedynczymi drzewami. Kozy (uwiązane na drogich łańcuchach, bo sznurek albo rzemień mogłyby przegryźć) usiłowały ogryźć korę z pni i w ten sposób zabić drzewa, chociaż znacznie bliżej kołków, do których je przywiązano, miały pod dostatkiem paszy. Pomijając łańcuchy, droga była jedynym śladem obecności człowieka w zwierzęco-roślinnym wszechświecie – a właściwie nie tyle sama droga, bo natura już się o nią upominała, orząc jej nawierzchnię dziurami, w których zbierało się błoto, ile raczej reprezentowana przez nią idea linii prostej.

Tymczasem wytwory człowieka co rusz pojawiały się i znikaly. Co kilometr lub dwa było widać grządki warzywne otaczające tradycyjne benińskie wioski drewnianych, krytych strzechą chat. Domy zamożniejszych rodzin mieniły się wszystkimi możliwymi kolorami – właściciele zbierali stare puszki, beczki po ropie, nawet arkusze blachy z wraków samochodowych, które po rozplaszczeniu młotkiem mocowali do ścian ze starannością godną średniowiecznych płatnerzy. Zachodzące na siebie kawałki blachy miały chronić drewno przed wilgocią, próchnieniem i termitami.

Mapy tego rejonu opracowywano na podstawie prowizorycznego systemu, w którym plotki i pogłoski odgrywały rolę nie mniejszą od rzeczywistych pomiarów, ale nawet gdyby przed tygodniem zaktualizował je zespół geografów z ONZ, Norman i tak nie umiałby powiązać obrazów za oknem z furkoczącą mu na kolanach płachtą papieru. Co chwila musiał

sobie zmusznie tłumaczyć, że jeśli te znaki na mapie odpowiadają tamtym dwóm wzgórzom, to tam będzie się wydobywać glinę na użytek fabryki tworzyw sztucznych w... gdzie to było?... Bephloti...

Dobiegające spod podłogi owadzie bzyczenie silnika przybrało basową, zrzędliwą nutę.

– Kurżeszmac, miałem nadzieję dojechać do Lalendi bez wymiany butli – mruknął siedzący za kierownicą Gideon Horsfall. – Za zakrętem zjadę na pobocze.

Za zakrętem znajdowała się kolejna z wielu wsi, przy czym ta akurat zaliczała się do czternastu procent wiosek posiadających szkołę i szpital. W tym dniu szpital – biały betonowy budynek z wielkimi napisami po angielsku i shinkasku – był zamknięty, za to szkoła tętniła życiem. W tej okolicy letnie deszcze na razie padały z przerwami, okres prawdziwych nieprzerwanych ulew miał się rozpocząć dopiero za trzy tygodnie, dlatego też nauczyciel – otyły młody człowiek z wachlarzem, w staroświeckich okularach – prowadził lekcję w cieniu kępy niskich drzew. Uczniowie (obojga płci) w wieku od sześciu do dwunastu lat ściskali wydane nakładem ONZ drukowane na folii elementarze i bardzo się starali nie rozpraszać widokiem podjeżdżającego samochodu.

Jeszcze nie padało, ale powietrze było potwornie wilgotne. Norman kleił się od potu i zastanawiał, ile energii będzie musiał zużyć, żeby wysiąść z wozu. Zapytał Gideona, czy potrzebuje pomocy, ten jednak odmówił, odwrócił się w fotelu i ze skrzyni na tylnym siedzeniu wyjął dwie nowe butle – jedną z wodorem, drugą z tlenem.

Mimo to Norman wysiadł i stanął przed domem opatrzonym czymś na kształt werandy, na której grupka kobiet zebrała się wokół wychudzonego mężczyzny w średnim wieku, leżącego na stole ustawionym na kozłach. Mocząc szmatki w przyniesionej w wiadrach wodzie, kobiety zmywały skórę mężczyzny, który w żaden sposób nie reagował.

– Co tam się dzieje? – spytał zdziwiony Norman. – Czy ten człowiek jest chory?

Gideon nie od razu spojrział we wskazanym kierunku. Odłożył skrzynkę z powrotem na tył, odpiął zużyte butle, podłączył nowe, które zamierzał

zwrócić w sklepie, i dopiero wtedy podążył wzrokiem za gestem Normana.

– Chory? Nie. Martwy – odparł z roztargnieniem i zaniósł butle do wozu.

Jeden ze starszych uczniów, siedzący po turecku w tylnym rzędzie, podniósł rękę i zapytał o coś nauczyciela.

– Coś się stało? – spytał Gideon, widząc, że Norman nie wsiada do samochodu.

– Właściwie nie – odparł po chwili wahania Norman. – Po prostu... Widzisz, ja... pierwszy raz widzę trupa.

– Nie różni się niczym od żywego człowieka – zauważył Gideon. – Poza tym, że się nie rusza i nie cierpi... Kurżeszmac, tego się właśnie obawiałem: zgodzisz się być przez pięć minut żywą pomocą naukową?

Kobiety skończyły obmywać trupa i wylały brudną wodę na ziemię; w kałuży natychmiast zaczął się taplać jakiś prosiak, obserwowany z powagą przez kury, które obsiadły poprzeczne podpory daszku nad werandą. Jedna z kobiet przyniosła ocynkowaną balię pełną jakiejś białej, kleistej substancji, którą zaczęła malować twarz trupa, używając do tego pęku kurzych piór na patyku.

– Po co to? – zapytał Norman.

– Ale co? Chodzi ci o tę białą farbę? To musi być pozostałość wpływów misjonarzy. Kiedy nawracali tubylców na chrześcijaństwo, pokazywali im wizerunki świętych i aniołów, którzy zawsze mieli białą skórę. Ludzie chcą, żeby ich zmarli mieli większe szanse na wejście do nieba.

Tymczasem wszyscy uczniowie wstali, odczekali, aż nauczyciel zajmie miejsce na czele szyku, i razem z nim podeszli do samochodu.

– Dzień dobry panom – zagaił przyjaźnie młody mężczyzna. – Uczniowie chcieliby zadać panom kilka pytań, jeśli można. Ponieważ rzadko mają okazję podróżować, może zechcielibyście panowie przychylić się do ich prośby?

– Naturalnie – przytaknął Gideon z ledwie słyszalnym westchnieniem.

– Ogromnie dziękuję. Na początek pozwolicie panowie, że zapytam, skąd przybywacie?

Nauczyciel odwrócił się i wyczekującym gestem wyciągnął rękę do jednego ze starszych uczniów, który podał mu zwiniętą kolorową mapę

z uproszczonymi konturami krajów. Te dzieci, których nie interesował samochód ani przygotowywanie zwłok do pogrzebu, wyciągnęły szyje, żeby zobaczyć, co pokaże Gideon.

Kiedy jego palec dźgnął okolice Nowego Jorku, dało się słyszeć zbiorowe westchnienie.

– Ach, jest pan Amerykaninem! – powiedział nauczyciel. – Sarah? Uczyliście się o Stanach Zjednoczonych, prawda? Co wiesz o tym wielkim, dalekim kraju?

Poważna dziewczynka w wieku około trzynastu lat, jedna z najstarszych, odparła:

– Stany Zjednoczone mają ponad czterysta milionów mieszkańców. Część z nich jest brązowa, jak my, ale większość należy do rodzaju... – Zawahała się.

– Rasy... – poprawił ją nauczyciel.

– Rasy białej – przypomniała sobie Sarah. – Stolicą kraju jest Washington...

– Waszyngton.

– Tak, Waszyngton. Są pięćdziesiąt dwa stany. Na początku było trzynaście, ale dzisiaj jest cztery razy tyle. Stany Zjednoczone to bardzo bogaty i potężny kraj. Przysyłają nam dobre ziarno do zasiewów, nowe odmiany kurcząt i krów, które są lepsze od tych, które mieliśmy wcześniej, i mnóstwo lekarstw i środków odkażających, żebyśmy byli zdrowi.

Uśmiechnęła się niespodziewanie i podskoczyła lekko, zadowolona z udanej recytacji.

– Bardzo dobrze – przyznał z aprobatą Gideon.

Chłopiec stojący obok Sarah, na oko jej rówieśnik, podniósł rękę.

– Chciałbym pana zapytać...

Norman błędził myślami. Sytuacja, w której się znaleźli, najwyraźniej była dla Gideona jednym z wielu spotkań propagandowych, jakie odbywał regularnie, podróżując po kraju w tak nieoficjalnym stylu, ale Normanowi wydała się absurdalna: pierwszy sekretarz ambasady amerykańskiej zajeżdża do przypadkowej wioski na odludziu, żeby pogawędzić z dziećmi!

Chwilowo jednak mnóstwo wysiłku wkładał w porządkowanie własnych wrażeń zmysłowych.

Dopiero przed chwilą odkrył, dlaczego to porządkowanie sprawia mu taki kłopot. Wstrząsnął nim widok zwłok przygotowywanych do pogrzebu, tak zwyczajnie, na oczach wszystkich. We współczesnych sterylnych Stanach Zjednoczonych ludzie mieli wprawdzie świadomość, że zgon (choćby na zawał albo – bardziej krwawy – z ręki wścieka) może stać się wydarzeniem publicznym, ale mało kto widział na własne oczy wścieka w akcji, dlatego na co dzień na poziomie emocjonalnym zakładało się raczej, że śmierć, schludna i dyskretna, czeka w szpitalu, oglądana wyłącznie przez specjalistów przeszkolonych do kontaktu z ludzkim mięsem.

Ale ludzie naprawdę umierają, pomyślał.

Beninia w ogóle stanowiła dla niego jeden wielki, nieustający wstrząs. Przyswajane oczami i uszami gotowe informacje z Salmanasara i biblioteki GT były ogarnialne, strawne, znajome. Kiedy jednak zderzył się z językiem, zapachami, benińską kuchnią, gorąco lepkiem powietrzem wczesnego lata i błotem czepiającym się butów, znalazł się w takim samym położeniu jak buszmen, który, próbując zrozumieć istotę fotografii, podejmuje wyczerpującą próbę pokonania przepaści oddzielającej znany symbol od rzeczywistego obiektu.

Mimo to nie miał wyboru. W odosobnieniu klimatyzowanego wieżowca GT mógłby przez tysiąc lat żonglować danymi z komputerów i układać je w miliony pięknych, logicznych matryc – musiał jednak wyjść na zewnątrz i sprawdzić, czy dane są prawdziwe, zanim przestawi przełączniki programujące Salmanasara z położenia „hipotetyczne” na „faktyczne”.

Wrócił gwałtownie do rzeczywistości, jakby ktoś przestawił mu taki sam przełącznik w głowie. Odtworzył z pamięci końcówkę pytania chłopca:

- ...jak Chińczycy mogą dokonywać takich zniszczeń w Kalifornii!
- Przykro mi, ale nie rozumiem... – przyznał zakłopotany Gideon.
- Proszę chłopcu wybaczyć – wtrącił wyraźnie zawstydzony nauczyciel.
- To niezbyt taktowne...

– Odpowiem na wszystkie pytania, nietaktowne także – zapewnił go Gideon – ale tego po prostu nie rozumiałem.

– Proszę pana – zaczął jeszcze raz chłopak. – Mamy tu telewizor. Nauczyciel każe nam, starszym uczniom, oglądać serwis informacyjny, zanim po szkole wrócimy do domu. Dlatego dużo słyszymy o Ameryce. Często powtarza się w wiadomościach informacja o szkodach wyrządzonych w Kalifornii przez chińskich agentów. Tylko że jeżeli Amerykanie są podobni do pana albo do Anglików, a Chińczycy naprawdę wyglądają tak, jak się ich pokazuje w telewizji, mają takie śmieszne oczy i inny kolor skóry, to dlaczego nie możecie ich rozpoznać i wyłapać?

– Rozumiem – przyznał niechętnie Norman. – Pozwolisz, Gideonie, że odpowiem?

Odepchnął się od dachu samochodu, o który dotąd się opierał, i podszedł do uczniów. Patrzył na tego, który pytał: maksimum trzynaście lat, a mimo to zadał pytanie czystą angielszczyzną z lekkim brytyjskim akcentem. Pewnie nauczył się od któregoś z europejskich prezenterów. Nie byle jakie osiągnięcie w takim wieku.

– Jak się nazywasz, progenie?

– Simon, proszę pana. Simon Bethakazi.

– Na pewno jesteś już wystarczająco dorosły, Simonie, żeby wiedzieć, jakie to uczucie, kiedy zrobiłeś coś głupiego i nie chciałbyś, żeby inni się o tym dowiedzieli. Nie chodzi o to, że zostałbyś ukarany, tylko o to, że mogliby cię wyśmiać. Albo może o to, że uchodzisz za jednego z najbystrzejszych uczniów w szkole, a bystry uczeń nie powinien robić głupstw. Czujesz?

Simon pokiwał głową. Słuchał w skupieniu.

– Sęk w tym, że czasem zdarzają się rzeczy zbyt poważne, żeby dało się je ukryć. Wyobraź sobie... Hmm, wyobraź sobie, że przewróciłeś dzbanek z mlekiem. Mleko się rozlało, a było to całe mleko, jakie mieliście w domu. Na dodatek była to twoja wina, bo się wygłupiałeś, na przykład próbowałeś zawisnąć na krokwi głową w dół.

Simon zrobił skonsternowaną minę, ale nauczyciel z uśmiechem wtrącił coś po shinkasku, chłopak się rozpromienił i z trudem powstrzymał od

uśmiechu.

– Mógłbyś próbować zrzucić winę na kogoś innego... Chociaż nie, tego byś na pewno nie zrobił; jesteś dobrym chłopcem. Mógłbyś próbować tłumaczyć, że potknąłeś się o prosiaka albo że kurczak cię przestraszył i się przewrócił. Chińczycy rzeczywiście musieliby być niezwykle zmyślni, żeby narobić tyle szkód, ile im się przypisuje. Ponieważ jednak Stany Zjednoczone są dużym, bogatym i dumnym krajem, nie lubimy przyznawać, że niektórzy z naszych mieszkańców nie są szczęśliwi, ba, są do tego stopnia nieszczęśliwi, że chcieliby zmian. Jest ich jednak niewielu, zbyt niewielu, żeby te zmiany przeforsować. Dlatego złością się i psują różne rzeczy, tak jak to się zdarza ludziom na całym świecie. Są także inni ludzie, którzy też chcieliby coś zmienić, ale na razie nie próbują jeszcze podkładać bomb ani podpalać domów. Gdyby jednak pomyśleli, że jest ich odpowiednio dużo, mogliby zacząć to robić. Dlatego wolimy, kiedy myślą, że te wszystkie katastrofy to sprawka kogoś innego. Rozumiesz?

– To może być zbyt wy rafinowane – mruknął nauczyciel do Normana.

– Ależ rozumiem! – przytaknął z zapalem Simon. – Widziałem, jak to jest, kiedy ludzie się złością! To było w zeszłym roku, kiedy pojechałem odwiedzić kuzyna na północy kraju. Widziałem na własne oczy, jak pan i pani z plemienia Inoko się pokłócili.

Słowa niedowierzania cisnęły się Normanowi na usta, zanim jednak zdążył je wyartykułować, Gideon zakaszłał znacząco.

– Przepraszam, ale musimy już jechać – wtrącił.

– Naturalnie – odparł z uśmiechem nauczyciel. – Dziękuję za ten miły gest. Klasa, trzykrotne hurra dla naszych gości. Hip, hip...

* * *

– Co Państwo ma do powiedzenia o tej... ehm... prezentacji? – spytał Norman, kiedy ruszyli w dalszą drogę.

– Szczera. – Gideon wzruszył ramionami. – Na pewno nie dowiadują się tego z telewizji, ale było to szczere.

– Chciałem o coś zapytać, ale wydaje mi się to głupie... – przyznał z wahaniem Norman. – A, do diabła z tym! Dlaczego Simon z takim zapalem podkreślał, że był świadkiem sytuacji, w której kogoś poniosło?

– To bardzo bystry dzieciak. Obyty.

– Nie jest idiotą, to widać, ale nie o to pytałem...

– Umiał to powiedzieć po angielsku. Po shinkasku nie dałby rady, a to przecież jego ojczysty język. Nieźle jak na trzynastolatka, prawda?

Norman w zdumieniu pokręcił głową.

– Zapytaj tego językoznawcę, który z wami przyjechał... – dodał Gideon.

– Jak on się nazywa?

– Derek Quimby.

– Właśnie. Zapytaj go, czy można po shinkasku wyrazić ideę złośczenia się na coś. Otóż nie, nie można. Można co najwyżej posłużyć się słowem, które oznacza „obłąd”.

– Ale...

– Zaufaj mi. – Gideon poprowadził samochód szerokim łukiem, żeby wyminąć dziury w jezdni. – Nie mówię biegle po shinkasku, ale umiem się dogadać. Fakty są następujące: można o kimś powiedzieć, że jest „rozdrażniony” albo „zirytowany”, ale oba te słowa pochodzą od rdzenia oznaczającego „wierzyciela”. Człowiek, na którego się zezłosisz, jest ci winien przeprosiny w takim samym sensie, w jakim można być komuś winnym pieniądze. Albo krowę. Możesz też nazwać kogoś „obłąkanym” i opatrzeć to słowo jednym z dwóch dodatkowych przedrostków: pierwszy wywodzi się od słowa „zabawny”, drugi od słowa „łzy”. W tym drugim przypadku będzie chodziło o człowieka, który nieodwracalnie zwariował, jest chory, trzeba się nim opiekować i po nim sprzątać. W pierwszym zaś zachęcasz ludzi, żeby śmiali się z kogoś, kto wprawdzie postradał zmysły, ale tylko chwilowo i prędzej czy później dojdzie do siebie.

– Utożsamiają złość z szaleństwem?

– Nie uważają jej za dość ważną, żeby zasługiwała na osobne określenie, tyle tylko mogę ci powiedzieć.

– Ale przecież na pewno zdarza im się tu czasem złościć!

– Oczywiście. Sam widziałem, jak Zaddie kiedyś się wściekł. Tyle tylko, że nie wściekał się na nikogo konkretnego; to był dzień, kiedy lekarze ostrzegli go, że umrze, jeśli nie ustąpi z urzędu. To mu zresztą wyszło na dobre, nawiasem mówiąc. Przeżył katharsis. Jedno, co trzeba podkreślić, to że nie wpadają w dziki szał, w którym mogliby coś poniszczyć i potem tego żałować. Jestem tu już ponad dwa lata i jeszcze nie widziałem, żeby rodzic uderzył dziecko. Tak jak nie widziałem, żeby dziecko uderzyło drugie dziecko. Owszem, może je popchnąć, przewrócić, wyskoczyć zza rogu i nastraszyć, udając lamparta. Wiesz, co dawno temu Mandingo mówili o Shinkach?

Norman powoli pokiwał głową.

– Że są czarownikami, którzy potrafią wykraść wojownikowi serce.

– Właśnie. Robią to, unikając wpadania w furję. Nie wiem, jak im się to udaje, ale z faktami nie da się walczyć: tysiąc lat, jeśli nie więcej, na tym samym terytorium. Tak jak ci mówiłem, kiedy przyjechałeś, strawili Holainich, Iniko i Kpała... Chcesz, żebym powiedział ci coś, w co nie będziesz w stanie uwierzyć?

– Już mi powiedziałeś.

– Nie, teraz tak na serio. Przypomniało mi się, kiedy zobaczyłem to ciało wyłożone na stole do pomalowania. Pierwszym chrześcijańskim misjonarzem w tym kraju był Hiszpan, brat Domingo Rey. Słyszałeś o tym, że Hiszpanie mieli faktorię handlową niedaleko Port Mey, taką wysuniętą placówkę Fernando Po? Jest tam nawet kamień pamiątkowy; jak będziesz miał chwilę, możesz się tam przejść, zobaczyć. Ale odbiegam od tematu... Brat Domingo zrobił coś bardzo niechrześcijańskiego, mianowicie po siedmiu latach pobytu tutaj zwariował i popełnił samobójstwo: utopił się. Był przekonany, że wpadł w szatańskie sidła. Nauczywszy się shinkaskiego w stopniu umożliwiającym nauczanie, zaczął od wybranych przepowiedni i najciekawszych fragmentów Ewangelii, ale ze zgrozą stwierdził, że ludzie, do których przemawia, mówią, nie, wszystko pomyliłeś, to nie był żaden Jezus z dalekich krajów, tylko nasz Begi, on był stąd, on to wszystko zrobił. Słyszałeś o Begim?

– Nie wydaje mi się – przyznał po chwili namysłu Norman.

– Instruktaż na temat Beninii, który pomija Begiego, jest nic niewart. Można by go chyba nazwać bohaterem ludowym, kimś w rodzaju Jacka Zabójcy Olbrzymów z angielskich legend albo Anansiego z Indii Zachodnich. Imię to oznacza „urodzonego w zimie”. Ponoć zawsze nosił ze sobą stępioną włócznię i tarczę z dziurą, przez którą mógł wyglądać. Jak się domyślasz, historie o Begim bardziej przypadły Shinkom do gustu niż te o Jezusie. Chcesz może usłyszeć tę, która wpędziła biednego braciszka w obłąd?

– Pewnie. Opowiadaj.

Gideon ostrożnie prowadził auto wśród dziur na wyjątkowo zrytym koleinami odcinku drogi.

– Mówi się, że Begi dożył sędziwego wieku i zyskał wielki szacunek i popularność, ponieważ umiał ośmieszyć czarowników, pokonać morskiego potwora, a nawet przechytryć ducha własnego dziadka. Dlatego wszyscy zgłaszali się do niego w potrzebie. Pewnego razu wódz Holainich, emir, z którego Shinkowie zrobili „Omee”, co oznacza „niestrawność”, uwielbiają kiepskie gry słów... Nieważne. Emir miał dość tego, że Shinkom co rusz udaje się wykiwać swoich panów i władców. Na przykład nałożył kiedyś ogromny podatek na Shinków. Ci poszli się poskarżyć Begiemu, a on poradził im, żeby zagnali wszystkie swoje płodne krowy do zagród, w których Holaini trzymają swoje byki, po czym, kiedy przyjdzie pora zapłaty podatku, oddali im ich własne cielęta. Spodobało im się jego poczucie humoru. Nawiasem mówiąc, powiedział podobno tak: „Dajcie emirowi to, co mu się należy”.

– Cesarzowi co cesarskie... – mruknął Norman.

– Otóż to. W końcu emir przysłał posłów, którzy mieli się dowiedzieć, kto go kantuje. Begi się przyznał, więc go zabrali i emir tradycyjnie kazał go przywiązać do kołków nad mrowiskiem. Kiedy stary i ślepy ojciec, wódz plemienia, przyszedł odwiedzić Begiego przed śmiercią, ten powiedział, żeby nie obwiniali Holainich za jego śmierć, ponieważ Holaini są po prostu za głupi, żeby zrozumieć, co do nich mówił.

– Ojcze, przebacz im, bo nie wiedzą, co czynią?

– Twoja przeszłość baptysty oszczędza mi wielu wyjaśnień... Przypuszczam, że gdyby brat Domingo był odrobinę sprytniejszy, wpadłby na to, że niektóre chrześcijańskie legendy przeniknęły aż tutaj, przekazywane z ust do ust, tak jak ponoć wieści o Buddzie dotarły do Rzymu i doprowadziły do kanonizowania go jako świętego Jozafata... Słyszałeś o tym? Tylko że klimat ideologiczny nie był wtedy sprzyjający... Tak czy inaczej, Begi uświęcił swoją osobą shinkaską ideę człowieka doskonałego, tolerancyjnego, spokojnego, dowcipnego i w ogóle. Dopiero kiedy jakiś inny, światlejszy misjonarz wpadł na pomysł, żeby przedstawić Begiego jako proroka wysłanego do Shinków, chrześcijaństwo przyjęło się tutaj i zaczęło się rozpowszechniać. Dzisiaj Shinkowie powiadają, że Begi miał więcej rozumu od Jezusa, bo przyszedł głosić swoje nauki ludziom, którzy byli w stanie go zrozumieć, a Jezus przecenił swoje możliwości i nauczał Brytyjczyków, którzy albo go nie rozumieli, albo przynajmniej zachowywali się tak, jakby go nie rozumieli.

Ciszę po tych słowach mąciło tylko buczenie silnika i sporadyczne jęki resorów. Pierwszy odezwał się Norman:

– Mówiłem ci wcześniej, że nigdy nie widziałem trupa. Nie wiem, jak mogłem to powiedzieć. – Przełknięcie śliny okazało się tytanicznym wysiłkiem, jakby gardło samo mu się zaciskało na myśl o planowanym wyznaniu. – Przecież... całkiem niedawno sam kogoś zabiłem.

– Jak to? Kogo?

– Bożą Córkę. Podniosła siekierę na Salmanasara, a wcześniej zdążyła odrąbać rękę jednemu z naszych inżynierów.

Gideon długo przetrawiał jego słowa.

– Jest takie shinkaskie przysłowie... – powiedział w końcu.

– Jakie?

– Przed tobą długie życie. Postępuj tak, żebyś miał być z czego dumny na starość.

na zbliżeniu (20)

STARA KOBIETA W STARCIU Z NISZCZYCIELSKĄ SIŁĄ

Decyzja o wykwaterowaniu lokatorów i wyburzeniu pod nową zabudowę
Została podjęta z zachowaniem wszelkich rygorów na zebraniu
Demokratycznie wybranych przedstawicieli ludu,
Z których żaden nie był w środku – tylko na progu,
I to krótko, podczas ostatniej kampanii wyborczej.
Wtedy to poczuli ten zapach i doszli do wniosku, że im się nie podoba.

Wicedyrektor z Ministerstwa Zdrowia
Powiedział, że to nie do pomyślenia, żeby dzieci i starcy
Żyli dzisiaj w nędzy jak w wiktoriańskiej Anglii.
Mówił o otwartych paleniskach, mówił o połamanych deskach
podłogowych,
O oknach z pojedynczymi szybami i toaletach bez hermetycznych pokryw.
Członkowie komisji wzdrygnęli się i zgodzili na wykwaterowanie.

Zawiadomienia wysłano do sześćdziesięciu siedmiu głów rodzin –
Listę sporządzono na podstawie spisu wyborców.
Ustalono datę przenosin do nowej, nowo wybudowanej kwatery.
Protesty można było zgłaszać zgodnie w obowiązującymi przepisami.
Gdyby ich liczba przekroczyła trzydzieści trzy procent,
Minister Mieszkalnictwa zorganizowałby publiczne wysłuchanie.

Na liście zabrakło kobiety nazwiskiem Grace Rowley.
Posłuszny instrukcjom komputer wyborczy,
Po tym, jak przez trzy kolejne lata nie zarejestrował jej obecności,
Oznaczył ją jako niezameldowaną, w domyśle – wyprowadziła się lub
umarła.
Na wszelki wypadek wystosował jednak pismo także do niej.
W wyznaczonym terminie odpowiedź nie wpłynęła.

*

Tak się złożyło, że był to poranek dnia jej siedemdziesiątych siódmych
urodzin.
Obudził ją zgiełk, jakiego nigdy przedtem nie słyszała,
Łoskot, grzmot osuwającej się ziemi, ryk silników.
Kiedy wstała i przerażona narzuciła przetłuszczony płaszcz
Na dawno nieprane rzeczy, w których zawsze sypiała,
W drugim pokoju zastała dwóch obcych mężczyzn.

Z upływem lat pokój zappełnił się pamiątkami z całego jej życia:
Były tam buty modne w czasach, gdy była śliczną dziewczyną,
Prezent od mężczyzny, za którego nie wyszła, czego potem często
żałowała,
Pierwsze wydanie książki, która później sprzedała się w milionowym
nakładzie,
Pęknięta gitara, przy której kiedyś śpiewała piosenki miłosne,
Płyta Piaf z jej złotego okresu.

Zabrział głos: – Jezu, Charlie, to jest warte majątek.
Gazeta, w którą zawinięta była jakaś ozdoba, informowała
O pierwszym triumfalnym lądowaniu człowieka na Księżycu.

Zabrzmiął głos: – Jezu, Charlie, widziałeś kiedy tyle śmiecia?
Wszędzie walały się nazwiska: Dylan, Brassens, Aldous
Huxley, Rauschenberg, Beethoven, Forster, Mailer, Palestrina...

Niczym muł odkładany leniwymi warstwami przez rzekę czasu,
Błotniste dziedzictwo minionych mód
Dowodziło związków panny Rowley z jej światem.
A potem stres... starość... nieważne, kontakt się urwał.
Mężczyźni, którzy obaj byli młodzi, podnieśli wzrok i
Stwierdzili, że na nich patrzy. O Boże, pomyśleli. O mój Boże.

*

Podparłszy się autorytetem demokratycznie wybranej komisji,
Zabrali Grace Rowley i umieścili ją w Domu.
Z upoważnienia demokratycznie wybranej komisji
Sprzedali na aukcji wszystkie jej rzeczy z wyjątkiem ubrań.
Zamożni handlarze antyków nabyli niektóre z nich
I sprzedali je z ogromnym zyskiem do prywatnych kolekcji, a nawet do
muzeów.

Kiedy po raz kolejny pojawiły się pytania odnośnie do nakładów
Na utrzymanie seniorów zamieszkujących lokale komunalne,
Wyjaśniono, że fundusze uzyskane ze sprzedaży dobytku panny Rowley
Z naddatkiem pokryły koszty jej utrzymania,
Ponieważ przeżyła jeszcze tylko miesiąc, a w dodatku
Dzięki akademii medycznej zaoszczędzono na pochówku.

ciągłość (28)

STĄD JEST JUŻ CAŁY CZAS POD GÓRKĘ

Ktoś przyniósł strzykawkę diadermiczną, zrobił zastrzyk przez krew zalewającą nadgarstek i przedwcześnie życzył Donaldowi dobrej nocy. Kiedy Donald się obudził, była prawdziwa noc. Ciemność zalegała na oknach pokoju, w którym się znajdował, tak nieprzenikniona, jakby zaczarowane szkło zmieniło się w hebanowe lustro. Rany na jego rękach zostały opatrzone, siniaki posmarowano jakimś środkiem przeciwbólowym. W blasku samoświecącego panelu ściennego przyglądała mu się bardzo mała dziewczynka w stroju pielęgniarki i sterylnej masce.

Znów się rozpadało. Słyszał bębnienie deszczu o ściany, przytłumione jak bicie w zwiotczały bęben. Poruszył rękami i poczuł słabe ukłucie bólu w ranach, które sam sobie zadał. Jęknął, kiedy krwista czerwień wypełniła mu całe pole widzenia.

Przygotowana na to dziewczynka dała mu kolejny zastrzyk – najprawdopodobniej z jakiegoś spoksa – prosto w obnażony biceps. Ukłucie pozostawiło po sobie tępy ból, ale natężenie zgrozy osłabło do znośnego poziomu, jak z nocnego koszmaru. Dziewczynka zmierzyła mu puls. Donald leżał spokojnie, nie protestując; on też wyczuwał tętnienie krwi pod dotykiem jej palców. Kiedy opadło do siedemdziesięciu paru uderzeń na minutę, pielęgniarka wstała i wyszła.

Zza drzwi dobiegły podniesione głosy, męski i damski. Trwała ostra kłótnia. Mężczyzna powiedział, że chce wejść, na co kobieta odparła, że będzie musiał poczekać, obojętne kim jest. Ostatecznie to ona wygrała i wmaszerowała do pokoju Donalda.

Jak na Yatakankę była wysoka (mierzyła metr siedemdziesiąt) i mocno zbudowana. Zamiast sharengu nosiła męską kurtkę, spodnie oraz buty, które głośno stukały na plastikowej podłodze. Włosy miała krótko ostrzyżone, w ręce trzymała rejestrator z pistoletowym uchwytem. Za nią weszło dwóch umundurowanych policjantów, którzy wspólnym wysiłkiem zamknęli drzwi, odcinając dostęp do pokoju pielęgniarki i niewidocznemu mężczyźnie.

– Lepiej się pan czuje? – spytała kobieta.

Donald pokiwał głową.

– To dobrze. Nasza opieka medyczna stoi na najwyższym możliwym poziomie, rzecz jasna. – Skinęła na jednego z policjantów, który podsunął jej krzesło w takie miejsce, żeby mogła na nim usiąść zwrócona twarzą do łóżka. – Nadinspektor Totilung, policja. Muszę zadać panu kilka pytań.

– Zanim oskarży mnie pani o morderstwo, jak się domyślam.

– Jeżeli to ma być jakiś amerykański żart, to proszę przyjąć do wiadomości, że nie mam czasu na towarzyskie pogawędki.

Totilung usadowiła duże, jędrne pośladki na wąskim siedzisku krzesła i wycelowała w Donalda rejestrator niczym garłacz.

– Kto to był? – spytał zniecierpliwiony Donald.

– Co?

– Człowiek, którego zabiłem. Kto to był?

Totilung ugryzła się w język, powstrzymując się od ciętej riposty w stylu „To ja tu zadaję pytania!”.

– Przepracowany student – odparła trochę niezręcznie. – Rodzina miała wobec niego zbyt wysokie oczekiwania, tak ludzie mówią.

Tak właśnie pomyślałem, zauważył w duchu Donald.

Z westchnieniem przytknął obandażowane knykie do skroni.

– Słucham, pani nadinspektor. Co takiego mogę pani powiedzieć, czego nie powiedzą świadkowie? Widziało nas mnóstwo ludzi.

– To prawda. Był nawet wśród nich posterunkowy Song – Totilung wskazała jednego z towarzyszących jej policjantów – ale w tym ścisku nie mógł oddać celnego strzału.

– Tak, przypominam sobie. Mignął mi w tłumie na chodniku.

Dzięki spoksom udawało mu się nie krzyżeć, chociaż miał ochotę wrzeszczeć na całe gardło: „Nie musiałem go zabijać! Był już nieprzytomny!”.

– Takie gadanie to strata czasu – powiedział Totilung. – Do rzeczy. Nazywa się pan Donald Hogan i jest pan reporterem English Language Relay Satelite Service, zgadza się?

– Ehm... tak.

– Celem pańskiej wizyty na uniwersytecie miała być rzekomo sterylizacja, obowiązkowa dla cudzoziemców przebywających w naszym kraju – mówiła dalej Totilung i nie czekając na odpowiedź, dodała: – Nawiasem mówiąc, tę sprawę mamy już z głowy.

Donald mimo woli złapał się za genitalia.

– Nie ma blizny, nie będzie pan odczuwał dyskomfortu. Lekarze zapewnili mnie również, że operacja przywrócenia płodności będzie stuprocentowo skuteczna.

Cofnął rękę jak zawstydzony chłopak, przyłapany na zabawianiu się ze sobą.

– Po co te pytania? – zapytał ze złością. – Wie pani o mnie więcej niż ja sam!

Totilung udała, że go nie słyszy.

– Przejrzeliśmy pańskie dokumenty i rzeczy osobiste. Zbadaliśmy też pańskie ciało. Jest pan zdrowy, w pańskim organizmie znajdują się jeszcze resztki środka pobudzającego, najprawdopodobniej przyjętego w celu zmniejszenia uciążliwości zmiany strefy czasowej... Zgadza się?

Donald ostrożnie skinął głową. Wprawdzie w bagażu, który zostawił w hotelu, miał słoiczek takiego właśnie leku, ale bynajmniej go nie przyjął. Musieli wykryć pozostałości po środkach podanych mu podczas pedekizacji.

– Nigdy przedtem nie zdarzyło się u nas, żeby nieuzbrojony człowiek pokonał wścieka – ciągnęła Totilung. – Chociaż u nas w ogóle jest niewielu wścieków, a nasz oświecony system społeczny dodatkowo zmniejsza ich liczbę – dodała bez większego przekonania, jakby cytowała obowiązkową formułę propagandową. – Prowadziliśmy jednak badania teoretyczne,

w których nasi specjaliści ustalili, że czas reakcji wścieka, który nie myśli racjonalnie, jest wyraźnie krótszy niż u zwyczajnego człowieka. Muszę jednak zaakceptować to, co powtarzają liczni świadkowie: pokonał pan wścieka, który nie tylko był od pana znacznie młodszy, ale także uzbrojony w phang. Stąd moje pytanie: co sprawia, że jest pan tak skuteczną machiną do zabijania?

Nikt mu nie powiedział, jak ma odpowiadać na takie pytanie; tym, którzy go szkolili, najwyraźniej nie przeszło przez myśl, że jego talent ujawni się w niesprzyjających okolicznościach.

– Ja... sam nie wiem... – odparł nieprzekonująco.

– Jest pan sportowcem? Niektórzy nasi psychologowie twierdzą, że wyczynowi sportowcy, tacy, którzy biją rekordy, potrafią rozmyślnie wprowadzić się w szal.

– Ehm... Nie, nie jestem sportowcem. Po prostu... dbam o formę.

– Nie był pan pod wpływem narkotyków, nie wpadł pan również w taką ślepą furię, która zrównywałaby pana ze wściekiem. To...

– Chyba wpadłem.

– Słucham?

– Wydaje mi się, że faktycznie wpadłem w furię. Zobaczyłem, jak wszyscy uciekają przed jednym chłopakiem tylko dlatego, że ma szablę. Obok mnie na ziemi leżał ten starszy człowiek, próbował wstać i nie mógł, jeszcze chwila i też by zginął. – Donald dźwignął się do pozycji siedzącej i spiorunował Totilung wzrokiem. – Poczuję wstyd... tak, to chyba było to. Wstydzilem się za nich, że uciekają, chronią własną skórę, a nikt nie pomoże leżącemu człowiekowi!

Urażona drwiną z ust cudzoziemca – i to na dodatek okrągłookiego! – Totilung odparła chłodno:

– Ale kiedy wściek...

– Tak, wiem: powiedziano im, że nie można stawić czoła wściekowi. Ale mnie się udało, prawda? Tak się wkurzyłem na widok tej bandy tchórzów, że rzuciłem się prosto na niego. Musiałem być obłąkany z gniewu, bo inaczej...

Ugryzł się w język.

– Proszę mówić dalej – ponagliła go Totilung. – Co pan chciał powiedzieć?

– Bo inaczej nie wepchnąłbym go w te szklane drzwi.

Na to wspomnienie żołądek podszedł mu do gardła.

Totilung przez dobre pół minuty siedziała zupełnie nieruchomo. Z jej grubo ciosanej, męskiej twarzy nie sposób było wyczytać, co myśli. W końcu wyłączyła rejestrator i wstała.

– Chciałabym się dowiedzieć znacznie więcej – przyznała – ale w tej sytuacji... – Wzruszyła ramionami. – Mam tylko dla pana małe ostrzeżenie.

– Jakie?

– W Yatakangu nie przepadamy za wyszkolonymi zabójcami podrzucanymi nam z zagranicy. Dopilnuję, żeby od tej pory przez cały czas, aż do wyjazdu, ktoś miał pana na oku. Nie chodzi tylko o to, co pan zrobił, ale o to, co jeszcze może pan zrobić.

Totilung odwróciła się na pięcie. Posterunkowy Song doskoczył do drzwi i je przed nią otworzył. Kiedy przekroczyła próg, Donald usłyszał, jak mówi do kogoś na zewnątrz:

– Teraz może pan z nim porozmawiać.

* * *

Yatakańska opieka medyczna mogła pomóc udręczonemu ciału Donalda, nie miała jednak sposobu na to, by uleczyć jego przerażoną duszę. Trzydzieści cztery lata łatwego i spokojnego życia nie przygotowały go na sytuację, w której ktoś nazywa go wyszkolonym zabójcą, i w dodatku ma rację. Zamyślony, ledwie zauważył przybycie nowego gościa w towarzystwie tej samej pielęgniarki, która była przy nim, kiedy się obudził.

– Panie Hogan? – spytał nieznajomy. – Panie Hogan...?

Donald zmusił się do obrócenia głowy i rozpoznał łysiejącego mężczyznę, którego uratował przed śmiercią z rąk wścieka. Widziany w pozycji stojącej intruz wyglądał drażniąco znajomo, jakby kiedyś, dawno temu, Donald widział go w telewizji.

Machinalnie wyartykułował yatakańskie powitanie, na które przybysz odpowiedział przyzwoitą angielszczyzną:

– Proszę mi pozwolić mówić w pańskim języku, dawno już nie miałem ku temu okazji. Angielski... hmm... wyszedł tu ostatnio z mody... Mniejsza z tym. Szanowny panie, przede wszystkim chcę wyrazić swoją wdzięczność i podziw, obawiam się jednak, że słowa są do tego zbyt miłkie.

To ostatnia rzecz, za jaką chciałbym być podziwiany, pomyślał Donald. A co dotyczy podziękowań... Nie zasługuję na nie.

Wyjaśnienie tego wiązałoby się jednak ze zbyt wielkim wysiłkiem, więc tylko skinął z westchnieniem głową.

– Ehm... Nie znam chyba pańskiego nazwiska...

– Nazywam się Sugaiguntung – odparł przybysz.

Wierzę w logikę, w związki przyczynowo-skutkowe, naukę i jej prawa jednorodne, które, poczęte przez antycznych Greków, rozkwitły pod Izaakiem Newtonem, cierpiały pod Albertem Einsteinem...

Ten fragment „creda materialistów”, które przed laty zacytował mu kolega ze studiów, wypłynął nieproszony na powierzchnię skonsternowanego umysłu Donalda. Jednocześnie przepływały przezeń także inne myśli: „Nie wierzę w takie zbiegi okoliczności”, „To było tuż przed budynkiem, w którym pracuje” oraz „Jezu, co za fatalny moment, żeby spotkać się z nim twarzą w twarz”.

Sytuacja była tak absurdalna, że musiał siłą woli stłumić histeryczny chichot, aż Sugaiguntung się zaniepokoił, jakby się obawiał, że jego rozmówca się dusi. Skinął na pielęgniarkę, ale Donald w ostatniej chwili zapanował nad swoim kretyńskim rozbawieniem.

– Chce mi się śmiać z samego siebie, że pana nie rozpoznałem – wymamrotał. – Najmocniej przepraszam... zechce pan usiąść?

Z wielką ostrożnością (zapewne spowodowaną raną od szabli na pośladkach) Sugaiguntung osunął się na pozostawione przez Totilung krzesło. Pochylił się i z poważną miną powiedział:

– Rozumiem, że jest pan dziennikarzem. Ponieważ mógłby pan w tej chwili pisać mój nekrolog... – Zawahał się. – Powiem tak: takiego długu nie

da się spłacić, ale może mógłbym zrobić dla pana coś, co byłoby użyteczne z zawodowego punktu widzenia? Wywiad na wyłączność? Wycieczka po moim laboratorium? Proszę swobodnie dysponować moim czasem; gdyby nie pan, nie miałbym już ani minuty.

Donald próbował uporządkować chaos w myślach, trochę jak człowiek, który za dużo wypił, ale nie chce się z tym zdradzić. Spoksy zadziałały, rzeczywiście się uspokoił. Odtwarzając w pamięci słowa Sugaiguntunga, wychwycił w nich ciekawe sformułowanie, które domknęło obwód w tej części jego umysłu, gdzie przechowywał dawno zauważone drobiazgi, takie jak ten, żeby w Yatakangu nie pstrykać palcami na ludzi.

Jezu, ależ to by było podłe... Ale już i tak się upodliłem, a przynajmniej otworzylibym sobie w ten sposób drogę na skróty poza granice tego kraju...

Kątem oka obserwował Sugaiguntunga. Wiedział, że naukowiec jest po pięćdziesiątce – może to wystarczy, żeby hołdował dawnym tradycjom, które reżim Solukarty tak ostro potępiał w swojej propagandzie. Warto zaryzykować.

W Yatakangu uważano niegdyś (a może uważało się tak w dalszym ciągu), że kiedy jeden człowiek uratował drugiemu życie, ocalony – jeden jedyny raz – musiał się oddać do dyspozycji swojego wybawcy, który miał prawo dowolnie rozporządzić jego losem. Dopóki nie wypełnił tego zobowiązania, nie miał prawa sam dysponować swoim życiem.

– Dobrze, panie profesorze – odezwał się Donald. – Jest coś, na czym mi zależy.

Sugaiguntung przekrzywił wyczekująco głowę.

– Nie jestem zwykłym dziennikarzem, panie profesorze.

Jestem wyszkolonym zabójcą... PRZESTAŃ!

– Studiowałem biologię, potem doktoryzowałem się z paleogenetyki. Powód, dla którego mnie tu przysłano i dla którego fakt, że nie rozpoznałem pana od razu, wydał mi się absurdalnie zabawny... Oczywiście przyjechałem po to, żeby pisać o programie optymalizacji genetycznej. Jeżeli dobrze rozumiem, wasz rząd złożył dwie poważne obietnice i poparł je pańskim nazwiskiem jako gwarancją ich spełnienia. Pierwsza z nich to zamiar oczyszczenia yatakańskiej puli genetycznej

i zagwarantowania, że przetrwają tylko osobniki zdrowe. Druga to zapowiedź stworzenia nowego, ulepszanego modelu człowieka. Specjaliści w moim kraju uważają za mało prawdopodobne, żeby dysponujący skromną liczbą wykwalifikowanych genetyków Yatakang był w stanie dotrzymać choćby pierwszej z tych obietnic, jeśli zaś chodzi o drugą, to tylko pan jeden byłby w stanie ją zrealizować. Dlatego zapytam wprost: czy to możliwe? Bo jeśli nie... Jeśli nie, to owszem, chętnie porozmawiałbym z panem i dostał wyłączność na taki wywiad, tak jak chętnie obejrzałbym pańskie laboratorium, ale wtedy to będzie strata czasu.

Słuchając swoich słów, zastanawiał się, czy jest głupcem. Keteng powiedział mu, że Amerykanom brakuje subtelności, a on właśnie spróbował najbardziej topornego z możliwych rozwiązań.

Cisza przeciągała się w nieskończoność. Donald prawie zwątpił w świadectwo swoich zmysłów, gdy Sugaiguntung pokręcił w końcu głową, jeden raz, z boku na bok: „nie”.

W jednej chwili Donald zapomniał o ranach i krwiakach, i usiadł na łóżku. Nie zwracał uwagi na pielęgniarkę, która pośpiesznie zaczęła poprawiać poduszki.

– Profesorze! Chce pan powiedzieć...

Sugaiguntung wstał i zaczął spacerować po pokoju.

– Jeżeli nie zdradzę komuś prawdy – powiedział z niezwykłą u Yatakańczyka zajadłością – to niechybnie zwariuję! Zmienię się we wścieka, jak ten mój nieszczęsny student! Panie Hogan! – Zniżył głos niemal do szeptu. – Jestem lojalnym obywatelem swojego kraju, patriotą. To moja ojczyzna i kocham ją szczerze, ale czy człowiek nie powinien chronić tego, co kocha, przed cudzą głupotą?!

Donald kiwał głową, zaskoczony wywołaną przez siebie reakcją. Jakby spojrział w głąb krateru Pradziada Loa i odkrył, że mgły się rozstąpiły, odsłaniając czerwoną jak kwiaty lawę.

– Ktoś tu był głupcem! – mówił z zapamiętaniem Sugaiguntung. – Widziałem sukces naszej władzy, widziałem zmiany i korzyści, jakie nam przyniosł... Czy mamy je teraz odrzucić, a wraz z nimi wszystko, o co

walczyłem? – Urwał nagle i spojrzał na Donalda. – Panie Hogan! Słyszał pan o mnie przed... przed ogłoszeniem tego programu?

– Oczywiście. Setki razy.

– W jakim kontekście?

– Najlepsze genetycznie modyfikowane bakterie na świecie. Odmiana kauczukowca, której zazdroszczą wam wszyscy konkurenci. Zmutowana tilapia, czyli żywność dla milionów, które w przeciwnym razie cierpiałyby z powodu niedoborów białka. Je...

– Dziękuję – przerwał Donaldowi profesor. – Ostatnio zdarzają mi się takie momenty, w których wyobrażam sobie, że mi się to wszystko śniło. Ale czy słyszał pan o czterech małpach, które popełniły samobójstwo?

– Samobójstwo?! Małpy? Myślałem, że to właśnie pańska praca z małpami stała się podstawą...

– No, jedna jeszcze żyje. – Sugaiguntung machnięciem ręki zbył wzmiankę o ostatnim ocalałym okazie i znów zaczął chodzić w tę i z powrotem. – Domyślam się, że poza biologią liznął pan też nieco psychologii? Małpa, która wpada na pomysł, jak się zabić, poniekąd zaczyna dzielić z nami to coś, co odróżnia nas od zwierząt. Skoro tego nie muszę panu tłumaczyć, to może wyjaśnię coś innego, coś, z czym nie udało mi się przebić do... pewnych ważnych tutaj osób.

Zacisnął pięści w powietrzu, jakby próbował fizycznie formować słowa z nicości.

– Proszę mi wybaczyć, jeśli będę wyrażał swoje idee odrobinę nieporadnie. Sam na dobrą sprawę nie rozumiem, czego się właściwie boję, ale dobrze wiem, że odczuwam lęk. Nie jestem z tego dumny, panie Hogan, proszę mi wierzyć, nie odczuwam najmniejszej dumy, ponieważ to, co z początku brałem za boski dar, okazało się nieznośnym brzemieniem, ale faktem jest, że nikt inny na świecie nie zrobił tego, co ja. Proszę tylko pomyśleć! Inną naszą wyłączną cechą jest język, umiejętność rozumienia symboli, tworzenia skojarzeń, przywoływania wizji przedmiotów i wydarzeń, których nie wyczuwają nasze zmysły. Poprawiłem geny orangutana i stworzyłem pięć młodych osobników, które także tę własność miały z nami wspólną. Ale my stworzyliśmy język, my,

ludzie! Natomiast te mały dorastały w świecie, który do nich nie należał, w świecie ludzi. Myślę, że to właśnie sprawiło, że cztery z nich znalazły sposób, żeby go opuścić. Piąty orangutan żyje, jeśli pan chce, może się pan z nim spotkać, porozmawiać... Zna kilkaset prostych słów...

– To coś fantastycznego! – wykrzyknął Donald.

Przypomniały mu się dziesiątki i setki genetycznie modyfikowanych zwierzków domowych, żalonych przedstawicieli tysięcznych rzesz, które po tym, jak człowiek je ulepszył, okazały się mniej zdadne do życia od swoich naturalnych krewniaków.

– Zaimponowałem panu? W takim razie pozwoli pan, że o coś zapytam. Co by pan zrobił, gdyby przyszli do pana, tak jak przyszli do mnie, i powiedzieli: dość prób na małpach, które są istotami niższymi, ojczyzna domaga się badań nad człowiekiem, a jeśli zdarzą się panu porażki, proszę po prostu odsunąć je na bok jak każdy inny nieudany eksperyment?

– Chce pan powiedzieć, że na razie nie odnotował pan sukcesów w pracy z ludzkim materiałem genetycznym?

– Sukcesów? A czym jest sukces? – spytał z goryczą Sugaiguntung. – Myślę, że w pewnym sensie odniosłem sukces. Wiele razy było tak, że po pobraniu od dawcy jądra komórkowego i umieszczeniu go w komórce jajowej nowy organizm zaczynał się rozwijać. Zdarzało mi się go poprawiać, naginać, zmieniać chromosomy, a potem rodziły się zdrowe dzieci, krew z krwi i kość z kości rodziców, których potomstwo w innym wypadku byłoby chore albo obłąkane... I wydaje mi się, że ludzie byli zadowoleni. Może można to nazwać sukcesem.

– Próbował pan naprawić gen porfirii u Solukarty?

– Tak, to też – przyznał Sugaiguntung. Nie zdziwił się, że Donald zna pilnie strzeżoną tajemnicę. – Wyszły jednak skutki uboczne w postaci rozszczepu podniebienia.

– To się da załatwić operacyjnie...

– Plus cyklopa i niezarastające ciemiączko.

– Rozumiem. Proszę mówić dalej.

– Nie bardzo wiem jak. – Sugaiguntung jakby nie widział otoczenia, lecz przez ściany patrzył wprost w nieodgadnioną przyszłość. Po omacku

odszukał krzesło i usiadł. – Kod genetyczny człowieka jest bardziej złożony od kodu bakterii, ale w gruncie rzeczy niewiele się od niego różni. Pierwszy mówi „dziel i łącz”, drugi „dziel i rozmywaj”, ale idea podziału jest w nich wspólna.

Profesor zawiesił głos. Zniecierpliwiony Donald wtrącił:

– Skoro potrafi pan nadać małpie umiejętność posługiwania się językiem... To brzmi tak, jakby był pan o krok od spełnienia złożonej przez wasz rząd obietnicy!

– Hm? – Sugaiguntung otrząsnął się z zamyślenia. – A tak, rzeczywiście: na podstawie wiedzy, którą w tej chwili dysponujemy, a także techniki klonowania i tektogenetyki, w ciągu najbliższych stu lat powinno udać się wyeliminować wszelkie wady dziedziczne w społeczeństwie yatakańskim.

– Nie takie twierdzenie lansują władze!

– Nie rozumie pan, panie Hogan? Mnie nie interesują zapowiedzi rządu. To obietnice polityczne, nie naukowe. – Sugaiguntung odetchnął głęboko. – Panie Hogan, czym jest człowiek? Można powiedzieć, że jest komunikatem przekazywanym od stuleci pod postacią chemicznego szyfru, ale to niewielka jego część. Wyobraźmy sobie ludzkie dziecko, które wychowało się wśród dzikich zwierząt. Czy, osiągnąwszy dojrzałość płciową, będzie człowiekiem? Owszem, może się parzyć i rozmnażać, powielając swoją formę fizyczną, ale poza tym będzie kiepską kopią zwierzęcia, które je wychowało! Proszę posłuchać, jest takie miejsce w chromosomie, które najprawdopodobniej mógłbym zmodyfikować w taki sposób, żeby po pięćdziesięciu czy stu nieudanych próbach spowodować taki rozwój przodomózgowia u dziecka, że przewyższy nas ono, tak jak moje orangutany przewyższyły swoje matki. Kto będzie uczył to dziecko? Po tym, jak cztery z pięciu moich małp popełniły samobójstwo, ponieważ nie potrafiliśmy ich nauczyć żyć inaczej niż jako ludzie, którymi przecież nie były? Mógłbym wprowadzić inną modyfikację, w miejscu, które koduje rozwój określonych mięśni i kości, i stworzyć człowieka wysokiego na trzy metry, o szkielecie zdolnym udźwignąć jego ciężar oraz mięśniach, które pozwolą mu biegać, skakać i rzucać. Nie mam stuprocentowej pewności, bo moim małpom siła nie była potrzebna, ale

wydaje mi się, że dałbym radę to zrobić. Może taki człowiek miałby różowe oczy i byłby zupełnie bezwłosy, ale...

Dreszcz przeszył ciało Donalda.

– Mógłby pan tworzyć nadludzi.

– Potrafię odczytywać treść jąder komórkowych z równą łatwością jak plan tego miasta – powiedział Sugaiguntung bez cienia zarozumiałości. – Gdybym miał do dyspozycji milion komórek pańskiego ciała... Powiedzmy, że wyhodowałbym je w kulturach z pobranych od pana skrawków skóry, których braku nie odczułby pan ani nie zauważył; gdybym je miał, powiedziałbym panu, dlaczego, z chemicznego punktu widzenia, jest pan takiego, a nie innego wzrostu, ma pan taki kolor włosów, jasną skórę zamiast ciemnej, jest pan inteligentny, nie ma kłopotów z trawieniem, a linie życia na wewnętrznej stronie pańskich dłoni rozwidlają się w odległości centymetra od nasady. Nie, nie widziałem ich; nie widać ich pod bandażami. Ale do pańskiego typu przynależy cała galaktyka cech skojarzonych. To samo można powiedzieć o każdym z nas. Mógłbym przeszczepić jądro jednej z pańskich komórek do komórki jajowej i podarować panu syna, który byłby do pana bliźniaczo podobny. Przy odrobinie szczęścia mógłby być od pana nieco wyższy, silniejszy, zwinniejszy, może nawet o parę procent bardziej inteligentny. Gdyby nalegał pan, że ma mieć blond włosy, pewnie udałoby mi się to osiągnąć. Powiem więcej: gdyby upierał się pan przy dziewczynce, prawdopodobnie byłbym w stanie wyprodukować jej wiarygodną namiastkę. Miałaby wprawdzie pewne atrybuty męskości: płaską pierś, wąsy... Ale nie miałyby penisa.

– Skoro już dziś potrafi pan tak wiele, to za dwadzieścia pięć lat...

– Kto po tak długim czasie nauczy mój rząd, żeby nie składał obietnic, których nie jest w stanie dotrzymać? – przerwał Donaldowi profesor.

Donald opadł na poduszki. Zaczynała go boleć głowa.

– Przepraszam, wszystko mi się miesza. Z pańskich słów wynika, że mógłby pan przeprowadzić drugą fazę programu optymalizacyjnego, którą powszechnie uważa się za mało realistyczną, podczas gdy pierwsza,

bazująca na dostępnej już dziś wiedzy, jest według pana nierealna...
Dobrze rozumiem?

Sugaiguntung wzruszył ramionami.

– Wiem, jak inteligentny musi być dobry tektogenetyk. Wyprodukowanie takiej... armii tektogenetyków z yatakańskiej puli genetycznej wymagałoby co najmniej stu lat. To niemożliwe, jeśli przez ten czas kraj ma poza tym jakoś funkcjonować.

– Czy rząd zdaje sobie z tego sprawę?

– Powtarzałem im to często i bez owijania w bawełnę. Odpowiadali, że to oni są od uprawiania polityki, a ja mam wracać do laboratorium i robić, co każą... – Sugaiguntung się zawahał. – W naszym kraju, ale podejrzewam, że u was jest podobnie, ludzie mają skłonność do ufania specjalistom. Kłopot w tym, że specjalizacja oznacza niewiedzę, a są pewnie niezmiennie fakty...

– Jeśli je odkryją – Donald przejął pałeczkę – będą woleli odpuścić pierwszą część programu i położyć większy nacisk na drugą: intensyfikację produkcji zmodyfikowanych, ulepszonych istot ludzkich!

– A do tego nie można dopuścić! – Sugaiguntung podkreślał każde słowo z osobna, uderzając pięścią w otwartą dłoń. – Z pięciu moich małp cztery popełniły samobójstwo. Bardzo się pilnowaliśmy; gdyby nie nasze zabezpieczenia, mogłyby zabić człowieka. Supermałpę można trzymać w zagrodzie, pod strażą, ale kto spośród nas, ludzi, miałby pilnować nadczłowieka? Jeśli będzie chciał zabić, zabije. – Zniżył głos do ledwie słyszalnego poziomu. – Sam powinien pan wiedzieć to najlepiej; zabił pan zaledwie kilka godzin temu.

* * *

Nie powinien był tego mówić. Donald znalazł się na wyciągnięcie ręki od swojej poprzedniej wersji – nawykłej do beznamiętnego przyjmowania informacji i układania ich jak elementów układanki, dopóki nie wyłoni się z nich nowy schemat. Nie przejmował się nawet tym, że (wbrew temu, jak zachowałby się prawdziwy reporter) nie próbuje notować słów naukowca;

zaufał swojemu wieloletniemu doświadczeniu w odsiewaniu i przyswajaniu najważniejszych faktów.

Kiedy jednak wypomniano mu bez ogródek jego niedawny czyn, pozostał mu tylko jeden sposób na to, żeby przetrwać ten fakt w sposób racjonalny: musiał znów zaakceptować nowego siebie, poprawioną wersję Donalda Hogana, spedekezowanego zabójcę, dla którego morderstwo to chleb powszedni.

Miał świadomość, że powinien wykorzystać to kluczowe, niepowtarzalne wyznanie Sugaiguntunga – a mimo to żał mu było genialnego naukowca, którego patriotyzm zaprowadził do współudziału w kłamstwie, poparcia propagandowego oszustwa i konfliktu z najdroższymi jego sercu ideałami. Wysiłek związany z pogodzeniem tych dwóch spraw był nie do zniesienia. Jakaś część Donalda skuliła się i wspięła na poziom podświadomy, jak związany siłami cząsteczkowymi atom, który tylko czeka na okazję do wyzwolenia swojej energii w chwili zapłonu.

– I co pan teraz myśli na temat waszego rządu, panie profesorze? – zapytał zjadliwym tonem.

– Jeżeli władza się nie zmieni, to zacznę się obawiać o los mojego kraju – odparł szeptem Sugaiguntung.

– Czego by pan chciał? Na czym panu najbardziej zależy?

– Na czym mi zależy? – Sugaiguntung zamrugał zdumiony. – Chciałbym... Chciałbym uwolnić się od tej presji. Mam pięćdziesiąt cztery lata, pomału wpadam w koleiny, ale mam nowe pomysły, których nie miałem sposobności wypróbować. Mogę uczyć młodych tego, co wiem, a czego nie umiem zapisać... Chciałbym być tym, kim powinienem: naukowcem. A nie politycznym figurantem!

– Czy widzi pan jakąkolwiek możliwość realizacji swoich pragnień pod rządami ludzi, którzy dziś rządzą w Yatakangu?

Cisza się przeciągała.

– Miałem nadzieję – odparł w końcu Sugaiguntung. – Zawsze miałem nadzieję, ale teraz... Teraz muszę udawać, że jest jeszcze jakaś nadzieja.

– Będzie mi potrzebny list polecający – odezwał się po chwili namysłu Donald. – Proszę w nim napisać, że mogę przyjechać do pana do domu i przeprowadzić z panem wywiad. I proszę podać adres. Dostanie pan to, czego pan chce. Przysięgam, dopilnuję, żeby dostał pan dokładnie to, czego pan chce.

kontekst (22)

MATKA I DZIECKO CZUJĄ SIĘ DOBRZE?

Cześć, witam was wszystkich, wściekłych na Radę Postępowania Eugenicznego, która odmawia wam prawa do rodzicielstwa! Nie byłoby może tak źle, gdyby przynajmniej paternalizm wyszedł z mody – ale on jest dziś modny jak nigdy przedtem. Jakoś znosicie sto i jeden zakazów wprowadzonych „dla waszego dobra”, a jeśli już znajdzie się coś, co możecie zrobić, to prawdopodobnie jest to działanie na korzyść ludzi, którzy mogliby tego zakazać, ale nie zakazali.

Jestem szczęściarzem – podobno mam dwójkę zdrowych progenów, tak mi powiedzieli. Prawdę mówiąc, zadzwoniły do mnie niedawno, po tym, jak wyszło na jaw, że podrzuciłem swój zasób fosforu z powrotem do puli ogólnoplanetarnej. Przy okazji rozmów z nimi zacząłem myśleć o ryzyku, jakie podjąłem, kiedy wesoło inicjowałem ich drogę przez świat, i niektóre fakty, do jakich się przy tej okazji dokopałem, przejęły mnie zgrozą. No bo kto normalny robi – bez uprzedniej analizy komputerowej – coś, co z prawdopodobieństwem osiem do stu grozi mu trwającym dziesięć lat, piętnaście albo i przez całe życie zniewoleniem przez chciwe, samolubne i tępe zwierzę?

Właśnie. Mówię o niedorozwiniętym dziecku.

Trochę pogrzebałem w papierach i znalazłem szacunkowe wyliczenia, jakie w 1959 roku przedstawił pewnemu dziennikarzowi w Sztokholmie Linus Pauling, człowiek, który rozpoznał i nazwał chorobę znaną jako fenyloketonuria. To najstarsze źródło, w jakim natknąłem się na konkretną, chłodną liczbę ośmiu procent. Jestem zbyt leniwy, żeby szukać dalej.

Pauling powiedział tak: mniej więcej dwoje dzieci na sto urodzonych w społecznościach, których archiwa się zachowały, cierpiało na jakieś schorzenie wrodzone. Nieliczne badania, w tamtym czasie prowadzone non stop aż do okresu dojrzałości dzieci, sugerowały, że sumaryczna liczba może sięgnąć ośmiu osobników na sto. Mowa tu o zaburzeniach mowy, aleksji, dichromatyzmie i innych upośledzeniach, których istnienia nie da się stwierdzić u noworodka.

Oczywiście nie wszystkie z nich były dziedziczne, wiele miało genozę wewnątrzmaciczną lub okołoporodową. Paralityk może mieć cudowny genotyp.

Jednakże na elegancką granicę rozdzielającą choroby dziedziczne, a więc zawinione przez geny, od przypadłości wrodzonych, lecz będących skutkiem wypadku, wylano całe kubły wielorybiej mierzwy. Żaden ze specjalistów, z którymi rozmawiałem (nie mówiąc już o laikach), nie potrafił określić przyczyn skomplikowanego schorzenia, nie wykonawszy uprzednio drogich i czasochłonnych badań materiału genetycznego rodziców.

Trzeba wam wiedzieć, że do czynników traumatyzujących („trauma” to – z greckiego – dosłownie „siniaki”, ale w tym przypadku chodzi o wszelkie czynniki zewnętrzne) zalicza się nadmierne narażenie na promieniowanie rentgenowskie w łonie matki, różyczkę matki, doustne przyjęcie przez matkę substancji rakotwórczych lub mutagennych, które odkładają się w gonadach, odloty na yaginołu podczas ciąży (yaginoł jest do tego stopnia uzależniający, że niektórym przyszłym matkom moglibyście wypalać rozżarzoną żelazem na ciele „Zaszkożysz dziecku!”, a one kazałyby wam tylko spadać z ich orbity, bo robicie tłok), a także stopniowe odkładanie się w tkankach pierwiastków radioaktywnych o długim okresie półrozpadu, takich jak niektóre izotopy strontu, jodu, węgla... *et cetera*.

Te czynniki w praktyce neutralizują postępy współczesnej medycyny, które pozwoliły wyeliminować tradycyjne przyczyny upośledzeń ruchowych. Jeśli decydujecie się na dziecko, to z ośmioprocentowym ryzykiem, że najpóźniej w okresie dojrzewania ujawni się jakaś wada wrodzona.

Nie wszystkie z tych wad są poważne, rzecz jasna. Na przykład alergia na pyłki jest dziedziczna, nie wrodzona, ale przy dzisiejszych lekach alergik-astmatyk może prowadzić całkiem normalne życie. Alergia, jak to dziś brzmi... Drobiazg, prawda?

Tyle tylko że przez całe swoje życie taki alergik wyda pewnie z siedemdziesiąt pięć tysięcy dolców na lekarstwa!

Jeżeli Rada Postępowania Eugenicznego odrzuciła wasze podanie, stało się tak dlatego, że w waszym przypadku ryzyko poczęcia upośledzonego dziecka oszacowano nie na osiem, tylko na osiemdziesiąt procent. Możecie się z nimi nie zgadzać co do definicji upośledzenia, tak jak chociażby w tej niedawnej awanturze o dichromatyzm. Trzeba im jednak przyznać, że mają pewne bardzo konkretne osiągnięcia. Pięćdziesiąt lat temu Pauling powiedział, że potrzeba dwudziestu pokoleń, zanim objawią się wszystkie cechy recesywne wywołane opadem radioaktywnym; dzisiaj specjaliści kontrolują je na bieżąco i twierdzą, że zajmie to najwyżej dwanaście pokoleń, co powinno pocieszyć nasze pra-pra-pra-dziesięć-razy-prawnuki, jeśli jakieś będziemy mieli.

Coś wam jednak powiem: obserwuję was od lat z maksymalną dawką cynizmu, na jaką mnie stać, i wiem, że nie ma w was nic aż tak dobrego, żeby warto było to powielić w ciałach waszych dzieci. Chowacie się za decyzją Rady Eugenicznej, żeby ukryć fakt, że w rzeczywistości unikacie odpowiedzialności związanej z opieką nad drugim człowiekiem, który prędzej czy później będzie musiał sam stawić czoło światu. Boicie się, że mógłby wrócić i powiedzieć, że to z waszej winy nie okazał się zwycięzcą w grze w życie. Znam nawet ludzi, którzy, mając czysty genotyp, wolą kłamać, żeby udawaną dziedziczną przypadłością tłumaczyć swoją bezdzietność.

Skąd ta nieuczciwość? Ja zwykle popieram ludzi, którzy nie chcą się rozmnażać, ale nie dlatego, że przedkładałam nad nich zdeklarowanych homoseksualistów albo faworyzuję fanatyków religijnych w rodzaju Bożych Cór, którym celibat pozwala maskować stan bliski histerii. Nie! Chodzi mi tylko o to, że człowiek, który nie upiera się przy kosztownym

luksusie rodzicielstwa, staje się dostępny jako potencjalny rodzic jednego z upośledzonych dzieci, które już mamy.

Jeżeli macie zakaz posiadania progenów, to na pewno wiecie o tym, że w przytułkach są do wzięcia dzieciaki o wiele lepsze od wszystkiego, co sami moglibyście spłodzić. Nie chcielibyście wychować dziecka, które jest od was mądrzejsze, przystojniejsze, seksowniejsze, zdrowsze i – ogólnie – bardziej udane?

Nie, kurzeszmac, nie chcielibyście. Wolelibyście, żeby taki progen został w publicznym sierocińcu, gdzie niedożywienie skutecznie ograniczy jego potencjał intelektualny, a brak miłości matczynej zrobi zeń przegranego neurotyka.

Kiedy osobniki jakiegoś gatunku zaczynają się obawiać własnych młodych, zapowiada się wielkie sprzątanie i zrzut do całosmietnika w ślad za dinozaurami. Niektórzy z nas, jak przed chwilą wykazałem, boją się, że ich progeny okażą się od nich gorsze, co jest poniekąd zrozumiałe. Inni jednak boją się czegoś wręcz przeciwnego – a to już jest nienormalne. A teraz jeszcze robicie drugiego Mesjasza z jakiegoś azjatyckiego naukowca, którym dwa tygodnie temu pies z kulawą nogą się nie interesował. W porządku, powiedzmy, że Sugaiguntung naprawdę potrafi zrobić to, co mówią, i wyszykować dziecko na zamówienie. O co poprosicie?

Mądrzejsze od was? Nie chcecie chyba dożywać swoich dni ze świadomością, że jesteście nudziarzami.

Głupsze? Nie chcecie poświęcić reszty życia na opiekę nad głupkiem.

Wy chcielibyście mieć progena, który będzie umiał się zachować do czasu, aż podrośnie, a potem ucieknie z domu, dzięki czemu będziecie mogli do śmierci narzekać, jakim okazał się niewdzięcznikiem. Wątpię jednak, by nawet Sugaiguntung umiał wam zagwarantować takie zaprogramowanie jajeczka.

– *fragment artykułu,
który pewne podekscytowane czasopismo
zamówiło u Chada Mulligana,
gdy odkryło, że on jednak żyje*

na zbliżeniu (21)

DZIECKO PORY SUCHEJ

Analiza lingwistyczna sugeruje, że w najstarszej formie imię „Begi” zapisywano raczej „Mpenki”, co najczęściej tłumaczy się jako „urodzony zimą”. Dokładniejsze tłumaczenie brzmiałoby „dziecko pory suchej”. Na północy Beninii (gdzie Begi miał się ponoć urodzić) grudzień i styczeń to dwa najmniej wilgotne miesiące w roku.

Sugerowano również, że pierwotna wersja imienia to „Kpegi” (czyli „cudzoziemiec”), ale wtedy w drodze ewolucji językowej nie doszłoby do uzyskania w/w formy „Mpengi”. Tak czy inaczej, w wierzeniach Shinków dziecko poczęte w okresie najobfitszych opadów (a zatem urodzone w środku zimy) powinno być bardziej dziarskie od innych. Próby wykazania, że Begi był w istocie mitem solarnym wywodzącym się z szerokości geograficznych, na których pory roku są dostatecznie zróżnicowane, żeby dać początek idei śmierci i odrodzenia słońca, są wprawdzie niezwykle nęcące, lecz zarazem bezowocne wobec braku innych niż ustne dowodów tej tezy. Jest jednak wielce prawdopodobne, że niektóre elementy znanego u nas mitu Begiego zawdzięczamy prehistorycznej interakcji międzykulturowej. Z drugiej jednak strony...[3]

BEGI I JEGO ZACHŁANNA SIOSTRA

Pewnego dnia Begi leżał na podłodze obok kosza z kawałkami smażonego kurczaka, które matka przygotowała na święto. Jego siostra,

myśląc, że Begi śpi, zabrała z koszyka największą nogę kurczęcia i ukryła ją pod dachem.

Kiedy rodzina zasiadła do posiłku, Begi nie chciał przyjąć poczęstunku z kosza.

– Większy ptak siedzi pod dachem na grzędzie – powiedział.

– Głuptas z ciebie – odparła matka.

Ale siostra wiedziała, o co mu chodzi.

Begi wspiął się na górę, wyjął nogę kurczęcia i ją zjadł.

– Ukradłeś ją i schowałeś – oskarżyła go siostra. – Chciałeś zachować największy kawałek dla siebie.

– Wcale nie – odrzekł Begi. – Śniło mi się, że pożądanie największego kawałka to najprostsza droga do otrzymania najmniejszego.

I rzucił jej ogryzioną kość[4].

BEGI I ZAGRANICZNY KUPIEC

Pewnego razu Begi wybrał się do Lalendi na bazar. Zobaczył tam kupca z innego plemienia, który sprzedawał garnki wykonane rzekomo ze złota. Begi zakradł się jednak za plecy mężczyzny, wyjął nóż i spróbował naciąć jedno z naczyń. Metal nie dał się kroić jak miękkie złoto, chociaż był żółty i błyszczący.

Begi podniósł największy garnek, nasikał pod niego i odstawił go z powrotem.

Następnie wrócił od frontu, gdzie zebrało się wielu ludzi zainteresowanych zakupem złotych garnków – w rzeczywistości wykonanych, o czym Begi już wiedział, ze zwykłego mosiądzu.

– Widzę tam piękny, duży garnek – powiedział Begi. – Przydałby mi się. Miałbym do czego sikać w nocy.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, mając go za głupca, który tak podłą ciecierz zamierza trzymać w naczyniu godnym najlepszego wina palmowego.

– Nasikaj do niego i pokaż, że nie przecieka – zażądał Begi.

Kupiec również się roześmiał, ale spełnił jego prośbę, powtarzając tylko, jaka to wielka szkoda, brukać tak cenne naczynie uryną.

Begi odczekał, aż kupiec skończy, po czym podniósł garnek. Ziemia pod nim była mokra od moczu.

– Nie kupię naczynia, choćby nie wiem jak pięknie wyglądało, jeżeli przecieka, kiedy się do niego nasika – powiedział.

I tak wszyscy klienci pobili kupca i zmusili do oddania im pieniędzy[5].

BEGI I MORSKI POTWÓR

Po wyjściu z domu starej i grubej kobiety Begi szedł przez las, pogwizdując zasłyszaną u niej melodię i akompaniując sobie na pięciu drewnianych płytkach *kethalazi*, który Brytyjczycy (wiele lat później odwiedzwszy zamieszkany przez Begiego rejon świata) nazwali „kieszonkowym fortepianem”.

Mały ptaszek usłyszał go i sfrunął na skraj ścieżki. Chciał usłyszeć tę nową melodię, ale zarazem troszkę się bał, bo Begi był przecież człowiekiem.

Na widok płochliwego ptaszka Begi zatrzymał się i usiadł na ścieżce.

– Nie bój się, mały kuzynie – powiedział. – Podobają ci się moja piosenka? Nauczę cię jej, jeśli ty nauczysz mnie jakiejś swojej.

– To uczciwa propozycja – odparł ptaszek. – Nic jednak nie poradzę na to, że się ciebie boję. Jesteś ode mnie tyle razy większy, ile razy potwór z morza jest większy od ludzi.

– Z pewnością jesteś mniejszy ode mnie – przyznał Begi – ale masz o wiele słodszy głos. Słyszałem, jak cały las rozbrzmiewał echem twojego śpiewu. Ale, ale... Co to za potwór, o którym wspomniałeś?

Ptaszek wyjaśnił mu, że w odległej o dzień marszu wiosce nad brzegiem morza olbrzymi potwór wyszedł z wody, porwał i pożarł dwoje dzieci. Reszta mieszkańców uciekła i ukryła się w lesie.

– Jestem większy od ciebie – przyznał Begi – ale ty lepiej śpiewasz. Może potwór jest większy ode mnie, ale wcale nie musi lepiej ode mnie myśleć. Pójdę i się przekonam.

– Jeżeli ty się go nie boisz, ja postaram się nie bać ciebie – obiecał ptaszek. Przysiadł Begiemu na głowie i wczepił mu pazurki w poskręcane włosy.

Begi szedł przez cały dzień, ucząc ptaszka piosenki starej kobiety. Po trwającej wiele godzin wędrówce dotarł do wioski, z której wszyscy uciekli przed potworem.

– Mały kuzynie! – rzekł. – Co to jest, tam, na horyzoncie, gdzie granatowa woda spotyka się z błękitnym niebem?

Ptaszek pofrunął nad morze, żeby to sprawdzić.

– Nadciąga burza – odparł, kiedy wrócił. – Widać chmury i pioruny.

– Doskonale – powiedział Begi i udał się na poszukiwanie potwora.

Potwór leżał na rynku, tylekroć większy od Begiego, ilekroć Begi był większy od ptaszka. Ptaszek z trudem powstrzymał się od odfrunięcia, taka go zdjęła groza, ale uczeplił się mocniej włosów Begiego i został.

– Ej, słabeuszu! – zaryczał potwór do Begiego. – Przybywasz we właściwej chwili! Strawiłem już dzieci, które pożarłem na śniadanie, więc ciebie zjem na kolację!

– Ja również jestem głodny – odparł Begi. – Przez cały dzień nic nie jadłem.

– Masz na głowie coś, co nadaje się do zjedzenia! – wykrzyknął potwór. – Korzystaj z okazji, póki możesz, bo zaraz cię połknę!

– Nic się nie bój – szepnął Begi do ptaszka. – Wolę słuchać, jak śpiewasz, niż cię zjeść. Coś mi się jednak widzi, że potwór nie przepada za muzyką. – Podnosząc głos, zwrócił się znów do potwora: – Nie! Trzymam tego ptaszka na trudne chwile, kiedy opadnę z sił i nie będę w stanie polować.

Potwór wybuchnął śmiechem.

– Jeżeli zaraz cię zjem, to kiedy nadejdzie ten dzień, w którym będziesz tak głodny, że zjesz swojego kompana?

– Nie wiem – przyznał Begi. – Tak jak ty nie wiesz, kiedy olbrzym, na którego grzbiecie siedzisz, postanowi zjeść ciebie.

– Nie siedzę na niczym grzbiecie! – zaperzył się potwór.

– W takim razie czyje szczęki zaciskają się wokół ciebie? Widzę je wyraźnie. Czyj głos sprawia, że drży sklepienie niebieskie? – I Begi uniósł swoją przytępioną włócznię.

Potwór obejrzał się na morze i ujrzał czarne chmury nadciągające nad wioskę i fale drżące się jak jęzor wygłodniałej bestii oblizującej pysk. Usłyszał grom przewalający się pod niebem jak burczenie w olbrzymim brzuchu.

– Oto olbrzym, na którego grzbiecie siedzisz – wyjaśnił Begi. – Nazywamy go morzem. My, ludzie, jesteśmy przy nim jak pchły, dlatego zwykle nic nam nie grozi; dla takiego kolosa byłibyśmy na jedno kłapnięcie paszczą. Mimo to czasem robi nam krzywdę: kiedy je rozdrażnimy, ono po prostu drapie się po grzbiecie. Ty jednak jesteś ode mnie tyle razy większy, ile ja jestem większy od ptaszka siedzącego mi na głowie. A sądząc po odgłosach, jakie morze wydaje, musi być dzisiaj baaardzo głodne.

Błysk pioruna był jak odbłask światła na kłach w rozwartej paszczy oceanu. Na ten widok potwór poderwał się z miejsca i czmychnął, wyjąc przeraźliwie. Nigdy więcej o nim nie słyszano.

Kiedy ludzie wyszli z ukrycia i wrócili do wioski, mówili do Begiego:

– Musisz być wielkim wojownikiem, skoro udało ci się przepędzić tę straszną bestię!

Na co on pokazywał im swoją tępą włócznię i dziurawą tarczę, z którymi się nie rozstawał.

– Co to znaczy? – dziwili się wtedy.

– To znaczy – wyjaśniał – że nie możesz użyć włóczni do zabicia kłuszącej cię pchły, a tarcza na nic się nie zda wobec potwora, który może cię połknąć w całości razem z nią. Jeśli chcecie pokonać jednocześnie i pchlę, i potwora, macie tylko jedno wyjście: musicie ich przechytrzyć[6].

Pewnego razu ludziom naprzykrzał się *tlele-ki* (duch przodka): straszył kobiety idące po wodę i zsyłał dzieciom koszmary senne.

Wódz wioski, ojciec Begiego, zwołał *kotlanga* (radę dorosłych), na której Ethlezi (dosł. czarownik, szaman) powiedział mu:

– To duch twojego ojca, dziadka Begiego.

Wódz ogromnie się zafrasował.

– Czego twój dziadek może od nas chcieć? – spytał Begiego.

– Jest tylko jeden sposób, żeby się dowiedzieć, czego chce duch – odparł Begi. – Pójdźmy go zapytać. Jeśli nie chcesz, pójdę sam.

Wysłuchawszy rad Ethleziego, jak uprzejmie rozmawiać z duchami, Begi udał się nocą w ciemne i odludne miejsce, gdzie widziano ducha.

– Dziadku – powiedział – przyniosłem ci wino palmowe i kozią krew. Posil się, jeśli chcesz, ale porozmawiaj ze mną.

Duch zjawił się, wypił wino i wzmocnił się krwią.

– Oto jestem, Begi – rzekł.

– Czego od nas chcesz? – zapytał Begi.

– Mam baczenie na wioskę i widzę, że źle się dzieje. Spory rozsądza się nie tak, jak ja bym je rozsądził, młodzi nie szanują starszych, dziewczęta spotykają się z chłopcami, których nie zamierzają poślubić. Jedzenia jest za dużo, ludzie są spasieni i rozleniwieni, wina zaś mają tyle, że upijają się i śpią, zamiast polować.

– Mój ojciec, nowy wódz, inaczej rozsądza spory, ponieważ ma do czynienia z innymi ludźmi – odparł Begi. – To rodzice nauczyli młodych rozmawiać ze starszymi, a tych rodziców ty sam tego uczyłeś. Dziewczęta same dziś wybierają sobie mężów, a kiedy wyjdą za mąż, są szczęśliwsze niż były ich matki. Jeśli zaś chodzi o lenistwo i spanie... Co w tym złego, jeśli wiemy, że takie duchy jak ty strzegą naszej wioski?

Duch nie wiedział, co na to odpowiedzieć, i odszedł[7].

BEGI I ZŁY CZAROWNIK

Begi przybył do wioski, w której wszyscy bali się czarownika imieniem Tgu. Tgu umiał sprawić, żeby krowy i kobiety poroniły, podpalał chaty, nie zbliżając się do nich, i robił szamańskie laleczki, a kiedy dźgnął swoim specjalnym nożem czyjś ślad na błotnistej ścieżce, człowiek ten popadał w chorobę lub umierał. Rzekł Begi do Tgu:

– Chcę, żebyś pomógł mi zabić człowieka, którego imienia nie mogę ci zdradzić.

– Musisz mi zapłacić – odparł czarownik. – I przynieść coś, co do niego należało: włos, zrzynek paznokcia, kawałek ubrania.

– Przyniosę ci coś takiego – obiecał Begi.

Oddał się i wrócił, niosąc garść ekskrementów. Dał czarownikowi również lustro i trochę cennych ziół, które zebrał po drodze.

Czarownik sporządził szamańską laleczkę i przypiekl ją na ogniu, zawodząc potężne magiczne pieśni. O świcie ludzie przyszli zobaczyć co się stało; wcześniej bali się przyjść, tak silna była jego magia.

– Ten człowiek umrze – zapowiedział czarownik.

– Mogę ci teraz zdradzić jego imię – rzekł Begi. – To Tgu.

Czarownik padł na ziemię, wstrząsany drgawkami, krzycząc, że został oszukany i że zaraz na pewno umrze.

Begi wziął wodza wioski na stronę i rzekł:

– Odczekaj jeszcze godzinę, a potem powiedz mu, że odchody należały do mojego znajomego z innej wioski, który też ma na imię Tgu. Pójdę teraz do niego i razem pośmiejemy się z głupoty czarownika[8].

BEGI I PAROWIEC

(Od autora: ta historia musiała bardzo niedawno zostać włączona do kanonu miejscowych wierzeń).

Begi udał się nad morze, gdzie zobaczył ogromny, dymiący statek. Biały człowiek ze statku przywitał go na brzegu.

– Witaj – powiedział Begi. – Bądź moim gościem na tej ziemi.

– Co za niemądra propozycja – zachnął się biały człowiek. – Przybyłem, żeby tu zamieszkać.

– W takim razie pomogę ci zbudować chatę – zaproponował Begi.

– Nie będę mieszkał w chacie – odparł biały człowiek. – Zamieszkam w domu z żelaza, z którego będzie unosił się dym i będę bardzo bogaty.

– Po co tu przybyłeś? – zainteresował się Begi.

– Będę wami rządził – odpowiedział biały człowiek.

– Czy tutaj lepiej się żyje niż tam, skąd przybywasz? – spytał Begi.

– Panuje tu upał, często pada, jest błotniście, nie lubię tutejszej kuchni i nie ma tu kobiet mojej rasy – poskarżył się biały człowiek.

– Skoro jednak postanowiłeś przybyć tu i się osiedlić, miejsce to musi być pod jakimś względem lepsze – zauważył Begi. – Jeżeli nie odpowiada ci pogoda, jedzenie i kobiety, to może chociaż uważasz, że nasza kraina jest lepiej zarządzana niż twój kraj ojczysty? Mój ojciec jest tu wodzem.

– Ja będę wami rządził – powtórzył biały człowiek.

– Jeżeli opuściłeś swoją ojczyznę, to dlatego, że cię z niej wygnano – powiedział Begi. – Dlaczego wygnaniec miałby rządzić lepiej od mojego ojca?

– Mam wielki parowiec z mnóstwem armat – odparł biały człowiek.

– Pokaż mi, jak robisz taki drugi – zażądał Begi.

– Nie potrafię – przyznał biały człowiek.

– Już rozumiem – rzekł Begi. – Umiesz tylko wykorzystywać dzieło innych i nic poza tym.

(Od autora: u Shinków stwierdzenie, że człowiek nie potrafi nic sam zrobić, jest wysoce obraźliwe. Dorosły, szanowany człowiek powinien sam zbudować sobie dom i wyrzeźbić sprzęty domowe).

Biały człowiek był jednak zbyt głupi, by zrozumieć znaczenie słów Begiego. Zszedł na ląd i tam zamieszkał.

Jednakże sto lat później przemyślał sprawę i wrócił do domu*.

³ Wstęp do pracy doktorskiej pani Kitty Gbe z Port Mey w Beninii: Univ. of Ghana, Legon, Akra, 1989 (str. xii + 91, 3 ryc., mapa).

4 *Op. cit.* str. 4.

5 *Ibid.* str. 18.

6 Za „Opowieści naszych afrykańskich braci: folklor Beninii i Złotego Wybrzeża” wielbnego dra Jerome’a Coultera: Londyn 1911 (str. vi + 347, kol. frontys., 112 wykr.).

7 Za „Begi, afrykański Jack Zabójca Olbrzymów” Rogera F. Woodsmana, w *Anthropological Communications*, vol. XII, nr 3.

8 Gbe, *op. cit.* str. 80.

ciągłość (29)

POKORNIE DONOSZĘ

Lekarz opiekujący się Donaldem chciał go zatrzymać w szpitalu na noc – dopiero po godzinnej kłótni i groźbie zawiadomienia agencji informacyjnej o uwięzieniu jej pracownika, niechętnie zgodził się go wypisać, ale kazał odesłać do hotelu oficjalnym samochodem i pod eskortą. Przez ten czas wieść o tym, jak Sugaiguntung omal nie zginął z rąk wścieka, musiała się doczekać dziesiątków plotkarskich wersji; całkiem możliwe, że Engrelay Satelserv poznało ją już od Deirdre Kwa-Loop. Donaldowi było to obojętne. Już pierwszego dnia misji odniósł sukces, jakiego nie spodziewali się ani ci, którzy go na tę misję wysłali, ani tym bardziej on sam. Najważniejsze nie było wypuszczenie historii w świat, tylko odkrycie, że człowiek, od którego zależy przyszłość całego yatakańskiego programu optymalizacyjnego, równie mocno obawia się jego powodzenia, jak i porażki.

Z obawy przed powszechnym ujawnieniem jego tożsamości i roli w ocaleniu profesora, Donald kazał się zaprowadzić do pokoju tylnym wejściem, z pominięciem hotelowego lobby. Znalezli mu więc windę bagażową i jedyną osobą, która była świadkiem jego przybycia, stał się znużony boy hotelowy. Donald spławił eskortę, sprawdził, czy drzwi do pokoju Bronwen są od jego strony zamknięte na zasuwkę, i otworzył komzestaw.

Jeden z wbudowanych weń obwodów można było nastawić na wykrywanie podsłuchu: Donald znalazł pluskwę w zewnętrznej ścianie szafy. Nie bawiąc się w subtelności, przypalił ją zapalniczką, tłumacząc sobie, że czujnemu reporterowi powinno zależeć na zachowaniu

wyłączności na najlepsze materiały. Odkrył również podsłuch w telefonie, ale niezbyt się nim przejął – pluskwa włączała się tylko podczas korzystania z aparatu.

Z wysiłkiem stworzył dwie wersje komunikatu dla agencji – jedną zapisał z zamiarem odczytania jej przez telefon, drugiej nauczył się na pamięć, żeby następnie wyszeptać ją do ukrytego urządzenia, które zaszyfruje ją i nałoży w postaci modulacji pasożytniczej na zwykły sygnał telefoniczny. Wersja pierwsza nieporadnie opisywała atak wścieka na Sugaiguntunga i fakt ocalenia go przez Donalda. Wersja druga sugerowała zainteresowanym, że naukowiec dojrzał do ucieczki i należałoby się nim zaopiekować.

Zamówił połączenie z najbliższym dostępnym satelitą telekomunikacyjnym i dowiedział się, że będzie musiał poczekać. Czekał więc, a kiedy w końcu udało się nawiązać łączność, przesłał swoją podwójną wiadomość. Przez ten czas usłyszał, jak drzwi prowadzące do pokoju Bronwen z korytarza otwierają się i zamykają, a następnie ktoś – bardzo delikatnie – próbuje otworzyć przejście łączące ich pokoje.

Zrobiwszy swoje, rozłączył się i schował komzestaw. Nie był głodny, nakarmili go przed wypisaniem ze szpitala. Mógłby ewentualnie coś wypić albo przypalić, ale zabrakło mu entuzjazmu. Rozebrał się i położył do łóżka.

Z ciemności wyskoczył na niego ukryty w zasadzce młody mężczyzna, którego szyja tryskała rzeką krwi.

Nie poleżał długo. Światło obrysowywało kontur drzwi do pokoju Bronwen. Odblokował zasuwkę i je otworzył. Siedziała na łóżku nago, w pozycji lotosu, spokojna i opanowana, jakby cały czas na niego czekała.

– Przepraszam – powiedziała. – Wcześniej byłam niegrzeczna. – Zaczęła rozplatać kończyny jak kwiat rozkładający płatki na słońcu. – Po prostu czułeś, że jesteś potrzebny gdzie indziej.

Donald pokręcił głową, nie rozumiejąc, o co jej chodzi, ale ona zdążyła już wstać i podejść, kołysząc lekko biodrami.

– Czy to prawda, co słyszałam? Że uratowałeś doktora Sugaiguntunga przed śmiercią z rąk wścieka?

– Tak, to prawda.

– Wyczułeś, że właśnie do tego będziesz potrzebny. Mam rację? To dlatego tak nagle mnie porzuciłeś. Masz dar, który nazywamy...

Donald nie zrozumiał użytego przez nią słowa – było długie, asonansowe i pochodziło raczej z sanskrytu niż współczesnego hindi.

– Nie – odparł Donald.

Stojąc nago na środku pokoju, nagle zaczął drżeć. Wydawało mu się, że noc jest bardzo gorąca, ale teraz ziąb przenikał go do szpiku kości. Wstrząsały nim dreszcze.

– Nie – powtórzył. – Jedyne dar, który mam, to dar zabijania, a ja go wcale nie chcę. Przeraza mnie.

Zaszczekał zębami.

– Zawsze tak jest, kiedy zostaniesz użyty jako naczynie dla boskiej mocy – odparła Bronwen, jakby całe życie poświęciła zgłębianiu tej kwestii. – To przeciąża ciało i umysł. I tak miałeś szczęście, mogło cię wypalić do cna.

Nie wypalić, tylko zamrozić, pomyślał Donald. Czy nie byłoby lepiej, gdyby ten wściek zabił Sugaiguntunga? I mnie przy okazji? Co ja mam z nim teraz zrobić?

Na to jednak nie miał wpływu.

Bronwen z zawodowym dystansem położyła mu dłoń na ciemieniu, a potem dotknęła lekko jego czoła, gardła, piersi, pępka, kości łonowej i ogonowej – siedmiu czakr.

– Cała moc przepłynęła ci z brzucha do głowy. Dlatego myślisz o sprawach, które nigdy nie istniały. Ściągnę ją z powrotem.

Z wdziękiem przyklęknęła na jedno kolano i zajęła się ciałem Donalda, używając do tego ust.

* * *

Ze snu, w który zapadł po gwałtownym kochaniu się z Bronwen, wyrwał go w końcu dzwonek telefonu, którego w pierwszej chwili nie rozpoznał, był bowiem krótszy i bardziej przenikliwy niż dźwięk aparatu, który miał w domu. Wygramolił się z łóżka, zataczając się, wrócił do swojego pokoju i po omacku włączył światło.

Otepiały patrzył na majaczący w ciemnościach aparat i czekał, aż ekran się rozjarzy. Długo trwało, zanim zdał sobie sprawę, że nie ma żadnego ekranu i powinien coś powiedzieć, żeby dać znać, że połączenie zostało nawiązane.

– Ehm... Hogan, słucham – zamamrotał.

– Tu Delahanty! – zabrzmiał podekscytowany głos. – Moje gratulacje, Hogan! Engrelay Satelserv nie spodziewało się tak wystrzałowego materiału!

– Jezu... To wszystko, co ma mi pan do powiedzenia? Tu jest wpół do trzeciej w nocy...

– Wiem, przepraszam. Pomyślałem, że zasługuje pan na to, żeby od razu się dowiedzieć, jak bardzo jesteśmy zachwyceni. Oczywiście pański materiał wymaga zredagowania...

Delahanty zawiesił głos. Donald czekał.

– Rozumie pan? Wymaga zredagowania!

Aha. Donald sięgnął po komzestaw i postawił go obok telefonu. Prześlą mu zaszyfrowaną wiadomość, którą później maszyna odtworzy w zrozumiałej angielszczyźnie. Kłopot w tym, że wyrażenia kodowe, które wtłoczono mu do głowy, wydawały się dziecinne i nieistotne w obliczu śmierci wścieka.

– Załapałem – powiedział. – Przepraszam, jestem zmęczony.

– Nie dziwię się. Pokonać wścieka... to wprost nie do wiary! No i dla nas było to absolutne zaskoczenie, bo oficjalne serwisy nie zająknęły się na ten temat ani słowem. Decyzja musiała zapaść na najwyższym szczeblu, tak że do czasu pańskiego przekazu dysponowaliśmy tylko plotkami z trzeciej ręki. A teraz wykorzystujemy tę wiadomość na maksa. Pan również, jak mniemam.

– Poprosiłem o wywiad w cztery oczy – przyznał obojętnie Donald.

– Świetnie! Proszę go nakręcić; nasza korespondentka na pewno dostarczy panu sprzęt.

Delahanty na chwilę zapuścił się jeszcze w gąszcz wylewnych pochwał, po czym zakończył połączenie.

Donald z ulgą przestawił pokręta komzestawu i odsłuchał automatycznie deszyfrowaną wiadomość odcedzoną z pierwotnej transmisji. Poddany modulacji szyfrującej głos Delahanty'ego był ledwie rozpoznawalny:

– Hogan, przekazałem materiał prosto do Waszyngtonu do analizy. Jest decyzja: trzeba go stamtąd wyciągnąć najszybciej, jak się da. Nigdy wcześniej nie zdradzał najmniejszych oznak niezadowolenia, ale może zmienił zdanie. Przerzuc go do obozu Jogajonga. W cieśninie Shongao mamy okręt podwodny; w taki sposób przetransportowaliśmy już Jogajonga. W tej chwili akwabandyci szaleją, ale za parę dni sytuacja się uspokoi. Liczymy na ciebie. Mogą być z tego medale, jeśli będziesz zainteresowany. Powodzenia... Ach, jeszcze jedno: eksperci mówią, że jeśli poradziłeś sobie ze wściekiem, poradzisz sobie ze wszystkim.

Wątyły szept ucichł. Donald siedział w ciemnościach wpatrzony w nicość. Myślał o Sugaiguntungu i perspektywie ewentualnego uprowadzenia go i przerwania na drugą stronę cieśniny, do zatoczki w dżungli, gdzie Jogajong przyczaił się dosłownie pod samym nosem ludzi, którzy chcieli jego śmierci, i o późniejszej ucieczce okrętem podwodnym z chińskimi myśliwymi-zabójcami depczącymi mu po piętach...

Chcę się stąd wydostać. Chcę się stąd wydostać. Chcę się stąd WYDOSTAĆ!

Czyjaś dłoń dotknęła jego ramienia. Podskoczył, okręcił się w miejscu... ale to tylko Bronwen przyszła zobaczyć, co u niego. Poruszała się tak cicho, że nie usłyszał jej kroków.

– Dzwonili z centrali – powiedział. – Są ze mnie zadowoleni.

Słowa pozostawiły mu plugawy osad na języku.

kontekst (23)

UNIKAĆ

Kopia – TAJNE – do archiwizacji

Dr Corning Mamy włączone szyfrowanie A? Mamy, dob rze. Dick, przepraszam, że
(Państwo) zawracam ci głowę.

Pan Nie ma sprawy, Raphaelu. Co możemy dla was zrobić, czego jeszcze byśmy
Richard nie robili?

Ruze
(Engrelay)

Dr Corning Rzeczywiście, sporo od was ostatnio wymagamy... Obawiam się jednak, że
będę miał jeszcze jedną prośbę. Macie ten kapitalny materiał od waszego
człowieka w Gongilungu, Donalda Hogana...

Pan Ruze Owszem. Niesamowite, prawda? Jesteśmy ogromnie wdzięczni, że go nam
oddaliście; nie spodziewaliśmy się, że będziemy mieli z niego pożytek, a tu
taka sensacja...

Dr Corning Przepraszam, nie zrozumiałem. Deszyfrator mówi coś o „oddaniu go” wam,
to musi być jakaś...

Pan Ruze Chcesz powiedzieć, że o tym nie wiedziałeś?

Dr Corning (nieczytelne)

Pan Ruze To jeden z waszych. My dajemy mu przykrywkę na czas tej wycieczki:
zatrudniliśmy go jako korespondenta specjalnego. Myślałem, że o to ci
chodzi, kiedy powiedziałeś, że sporo od nas wymagacie...

Dr Corning Nie, Dick. Myślałem o czymś zupełnie innym. O sprawie dla mnie chyba
najważniejszej. Słuchaj, będziesz się pewnie czuł naciskany, ale...

- Pan Ruze* Naciskaj śmiało. Sprawa z Hoganem generuje nam masakrycznie wielkie zyski, więc stać nas na hojność.
- Dr Corning* W takim razie przejdę od razu do rzeczy. Wiesz, że prowadzimy badania trendów we wszystkich głównych mediach. Nasze komputery twierdzą, że zamierzacie niedługo zaangażować państwa Uniwersalnych w wydarzenia w Yatakangu. (8 sekund przerwy) Rozumiem, nie potwierdzasz, ale ostatnim razem mieliśmy rację. I wcześniej też.
- Pan Ruze* A wy tego nie chcecie. Powiesz mi, dlaczego?
- Dr Corning* W tej chwili Yatakang w oczach opinii publicznej oznacza tylko jedno. My do tego tematu wolimy podchodzić powoli i ostrożnie.
- Pan Ruze* Za godzinę mam zarezerwowany czas obliczeniowy na Salmanasarze; jak zwykle chodzi o materiały do SKANALIZATORA. Zapodam mu program o Yatakangu, niech go oceni. Myślisz, że dostanę jakieś szczegóły?
- Dr Corning* Chętnie rzucę okiem na wyniki, jeśli nie masz nic przeciw temu. Ciekaw jestem, czy będą zgodne z naszymi.
- Pan Ruze* Czyli?
- Dr Corning* Przy pierwszej próbie szanse powodzenia programu oceniono na trzy do dwóch. Kiedy wprowadziliśmy dodatkowe informacje o zasobach ludzkich, jakimi dysponuje Yatakang, przewidywania spadły do pół na pół. Od tamtej pory aktualizujemy prognozy co czterdzieści osiem godzin. W tej chwili prawdopodobieństwo sukcesu wynosi dwadzieścia siedem procent.
- (11 sekund przerwy)
- Pan Ruze* Rozumiem. Boicie się, że nasze działania obudzą złudne nadzieje.
- Dr Corning* Udział państwa Uniwersalnych z automatu przyda wiarygodności tym twierdzeniom. Możecie sobie oszczędzić późniejszego wstydu, a nam masy problemów, jeśli...
- Pan Ruze* Czuję. Chyba moglibyśmy posłać ich jeszcze raz do ŚPG... Nawiasem mówiąc, Raphaelu, kiedy prosiłeś nas o zaangażowanie się w sprawę ŚPG, sugerowałeś, że szykuje się jakiś przełom. Czas płynie, a przełomu ani widu, ani słychu.
- Dr Corning* W tej sprawie prognozy są osiemdziesiąt dwa do osiemnastu na korzyść.

Kiedy pęknie dziewięćdziesiąt procent, sprawa się rypnie.

Pan Ruze Oby warto było czekać.

Dr Corning Warto, uwierz mi. A na razie... wielkie dzięki, Dick. Cieszę się, że się rozumiemy.

Pan Ruze Jak zawsze, nieprawdaż? Przekręcę do ciebie, gdy już Sal wypluje wyniki.
Na razie.

Dr Corning Na razie.

ciągłość (30)

WŁĄCZ, ROZKRĘĆ I NIECH SIĘ TOCZY

Siedzący u szczytu stołu w swoim gabinecie w dość nędznym i podupadłym budynku parlamentu prezydent Obomi z wysiłkiem zogniskował spojrzenie jedyne go oka na towarzyszących mu gościach. W jednym punkcie widok rozpływał się w pozbawione sensu plamy i wiry – lekarze mówili coś o urazie siatkówki i przeszczepie nerwu wzrokowego, i z żalem tłumaczyli, że rekonwalescencja po ewentualnej operacji potrwałaby miesiąc. Może teraz będzie miał miesiąc wolnego. Miał taką nadzieję.

Na lewo od niego siedzieli Ram Ibusa i Leon Elai, dalej Kitty Gbe i Gideon Horsfall. Naprzeciwko, na drugim krańcu stołu, zasiadał Elihu Masters, a z prawej strony prezydenta delegacja GT z Normanem House'em na czele.

– No więc? – przerwał długie milczenie Obomi.

Norman oblizał wargi i podsunął mu leżący na błyszczącym blacie gruby plik zielonych wydruków z Salmanasara.

– Uda się – powiedział. Zastanawiał się, co by zrobił, gdyby nie mógł wypowiedzieć tej krótkiej frazy.

– Masz jakieś zastrzeżenia, Normanie? – zainteresował się Elihu.

– Ehm... nie, nie mam. Chyba nikt z nas nie ma.

Terence, Worthy i Consuela zgodnie pokręcili głowami. Ich twarze miały podobnie oszołomiony wyraz, jakby nie mogli się pogodzić z tym, co podpowiada im rozum.

– Zatem możemy to zrobić – podsumował prezydent. – A czy powinniśmy? Leon?

Doktor Leon Elai ścisnął w dłoniach drugi okazały plik wydruków.

– Zaddie, nigdy przedtem nie pracowałem z takim materiałem; ledwie zdążyłem go przeczytać, tyle tego jest! Ale udało mi się przygotować coś w rodzaju streszczenia...

– Chętnie je usłyszę.

– Ehm, tak... Sprawa pierwsza: kłopoty z sąsiadami. – Spośród zielonych stron Elai wyciągnął odręcznie zapisaną białą kartkę. – Najprawdopodobniej przez pierwsze dwa lata będziemy oskarżani o uleganie neokolonializmowi. Później natężenie zarzutów się zmniejszy, a to przez wzgląd na presję ekonomiczną, żeby porozumieć się z nami i skorzystać na realizacji pomocniczych aspektów projektu. Staniemy się atrakcyjnym partnerem, ponieważ produkcja będzie u nas najtańsza na kontynencie. Poza tym będą mogli kupować od nas tanią energię. Najdalej po dziesięciu latach nasi sąsiedzi pogodzą się z nową rzeczywistością. Bardziej szkodliwe i długotrwałe mogą się okazać ingerencje Chin i Egiptu, możemy jednak liczyć na poparcie Afryki Południowej, Kenii, Tanzanii... Mam odczytać całą listę?

– Powiedz nam, jak to wyjdzie w ostatecznym rozrachunku.

– Prawdopodobieństwo bezpośredniej interwencji z zewnątrz, która groziłaby zatrzymaniem projektu, jest zerowe, chyba że któreś państwo byłoby gotowe przypuścić zmasowany atak raketowy. Wówczas jednak prawdopodobieństwo działań odwetowych ze strony ONZ wynosi dziewięćdziesiąt jeden procent.

W głosie Elaia zabrzmiała nuta nabożnego szacunku, jakby nigdy się nie spodziewał, że w polityce zagranicznej swojego kraju będzie operował takimi kategoriami.

– Doskonale, można zatem powiedzieć, że zazdrość innych nie będzie dla nas groźna. – Obomi przeniósł wzrok na Ibusę. – Ram, obawiam się trochę o wpływ tak ogromnych sum pieniędzy na naszą kruchą gospodarkę. Czy należy się spodziewać inflacji? niesprawiedliwej dystrybucji dochodów? Przesadnie rozbudowanego systemu podatkowego?

Ibusa z zapalem pokręcił głową.

– Dopóki nie zobaczyłem, co ten komputer Salmanasar może nam powiedzieć, miałem podobne wątpliwości, ale teraz wierzę, że sobie poradzimy, jeśli tylko będziemy mogli liczyć na pomoc General Technics przy przetwarzaniu informacji. W wielkim skrócie, pierwszy raz w historii będziemy mieli okazję bezpośrednio pokierować gospodarką państwa. Nie będzie żadnych podatków w tradycyjnym rozumieniu tego słowa! – Zerknął do swoich wydruków. – Na realizację projektu otrzymamy fundusze, w których pięćdziesięcioprocentowy udział ma rząd amerykański. Sfinansujemy z nich kredyty oraz wkład do funduszy inwestycyjnych, z których zyski zostaną przeznaczone na minimum żywnościowe, przydział ubrań dla wszystkich robotników i dzieci w wieku szkolnym, oraz podwyższenie standardu opieki medycznej. Udzielimy również rodzinnych zasiłków mieszkaniowych, które zgodnie z prawem będą musiały być spożytkowane na poprawę warunków bytowych, na przykład remonty domów. Sam początkowy koszt projektu będzie jednak trzykrotnie wyższy od naszego obecnego PKB. To oznacza, że kontrolując określone przez komputer wydatki, będziemy mieli bezpośredni wpływ na tak ogromną część pieniądza krążącego w gospodarce, jak w żadnym innym kraju na świecie. Przy najmniej korzystnym układzie wszystkich czynników Beninia rozprawi się z klęską głodu i podniesie jakość systemu opieki zdrowotnej, i to przy założeniu, że zwroty z planowanych inwestycji pozwolą wyłącznie na spłacanie odsetek od głównego kredytu. Znacznie bardziej prawdopodobne jest jednak, że nastąpi wyraźne obniżenie poziomu analfabetyzmu w społeczeństwie, podniesienie kwalifikacji technicznych, poprawa warunków życiowych, rozwój transportu publicznego, infrastruktury portowej, mieszkalnictwa, szkolnictwa... wszystkiego. Warto podkreślić, że po raz pierwszy w naszej historii wszystkie gospodarstwa domowe zostaną zelektryfikowane.

Głos Ibusy ścichł do szeptu, a wzrok się rozmył, jakby miał przed sobą wizję ze snu.

– Powiedziałeś, że nie będzie podatków, Ram! – przypomniał ostrym tonem Obomi. – Masz na myśli ceny urzędowe i potrącanie podatku

u źródła? To by wymagało potężnych organów ścigania, a ja zawsze byłem przeciwny narzucaniem czegokolwiek naszym ludziom.

– Ehm, to... nie będzie konieczne – mruknął Ibusa.

– Dlaczego?

– Przypuśćmy, że w pierwszym roku inflacja rzeczywiście sięgnie pięciu procent, co jest całkiem prawdopodobne. Dalszy jej wzrost powstrzymamy przez ograniczenie wypływu gotówki. Standard życia i tak się podniesie dzięki dotacjom i pożyczkom; ludzie nie odczują tego zmniejszenia podaży pieniądza. Nadmiar siły nabywczej uwolnimy w następnym roku, kiedy ludzie zaczną się przyzwyczajać do dobrobytu, przez ten czas jednak z tych funduszy będziemy udzielać kredytów, z których odsetki powiększą kapitał. Dzięki temu znów będziemy mieli nadwyżkę i tak przez cały czas, a po dwudziestu latach, kiedy podwaliny projektu będą gotowe i wszystko będzie działać jak trzeba, z zaoszczędzonych w ten sposób pieniędzy wykupimy na własność te spośród skredytowanych inwestycji, które uznamy za kluczowe dla dalszego niezależnego rozwoju państwa: infrastrukturę portową, energetyczną, cokolwiek uznamy za stosowne. Będzie nas stać na dokonanie właściwego wyboru.

Ibusa uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Kitty? – powiedział Obomi.

Grubiutka minister edukacji zwlekała chwilę z reakcją.

– Staralam się oszacować najlepiej jak się dało – odparła po namyśle – czego potrzebujemy, żeby zapewnić naszym amerykańskim przyjaciom niezbędną wykwalifikowaną siłą roboczą. Poprosiłam, żeby zapytali o zdanie swój komputer, który odpowiedział, że dostaniemy wszystko co potrzebne, i to w trójnasób. Nie rozumiem jak to możliwe!

– O ile dobrze pamiętam – wtrącił Norman – proponowała pani potrojenie liczebności kadry nauczycielskiej, rozbudowę bazy edukacyjnej według najlepszych współczesnych standardów oraz transformację miejscowej szkoły biznesu w narodowy uniwersytet dla dziesięciu tysięcy studentów. Resztę szkolenia należałoby zostawić instruktorom branżowym, zatrudnianym w miarę potrzeby. Jeżeli dobrze zrozumiałem raport Salmanasara, nie zdaje sobie pani sprawy z rozmachu

przedsięwzięcia. Nie bierze pani pod uwagę efektu sprzężenia zwrotnego. Jeżeli przyjmujemy, że tylko co dziesiąty uczeń wykaże szczególne uzdolnienia, to w klasie liczącej czterdzieścioro dzieci znajdzie się czworo takich, które po dalszym przeszkoleniu będą mogły prowadzić zajęcia dwie lub trzy klasy niżej i w ten sposób odciążą nauczyciela. Trzynastolatek może poświęcić godzinę dziennie na uzupełnienie wykształcenia dziecięcio- czy jedenastolatka. Za ledwie wczoraj w wiosce przy drodze do Lalendi poznałem chłopca nazwiskiem Simon Bethakazi. To był czysty przypadek. Pamiętasz go, Gideonie?

– Pamiętam. – Gideon pokiwał głową. – Zadał mi podchwytliwe pytanie o Chińczyków w Kalifornii.

– Właśnie. Jeśli dać mu szansę, za trzy lata sam zostanie nauczycielem w liczącej czterdziestu uczniów szóstej klasie, a ponieważ będzie im wykladał to, co zna już na pamięć, będzie też mógł studiować, może nieco wolniej niż jego odpowiednik w Europie czy Stanach, ale standardowy trzyletni kurs przedłuży się w jego przypadku najwyżej o rok. Zamierzamy ponadto zatrudnić doradców i nauczycieli, którzy, choć hojnie opłacani, w żaden sposób nie obciążą kieszeni waszego podatnika: będą to pracownicy GT łączący pracę przy projekcie z obowiązkową dydaktyką. Nie wszystkim się to spodoba, ale niezadowolonych od razu się wyruguje, a ci, którzy w nowym środowisku szybko się zaaklimatyzują, będą zadowoleni, że mogą przekazać swoją wiedzę następcom. Wyniki badań przeprowadzonych w Europie wprowadziliśmy do Salmanasara, który twierdzi, że możemy się spodziewać znalezienia co najmniej dwustu pięćdziesięciu ludzi odpowiedniego kalibru. – Norman urwał na moment. – Jest jeszcze jedna sprawa, którą pominęła pani w swoich wyliczeniach – ciągnął po chwili. – Pewnie przez skromność, ale zdarzają się sytuacje, w których skromność jest przeszkodą. Panie prezydencie, pozwoli pan, że skomplementuję was w sposób, który może się wydać przesadny, lecz zapewniam, że płynie ze szczerego serca?

– Elihu panu powie, że jestem niezwykle próżny – odparł Obomi, parsknąwszy śmiechem.

– Kiedy pierwszy raz opowiadał mi o tym kraju, byłem sceptyczny – przyznał Norman. – Nie rozumiałem, jakim cudem taka zapadła dziura jak Beninia może być tak wspaniała, jak utrzymywał. Nadal tego nie rozumiem! Wiem jednak, że oto jestem w kraju, w którym nie ma morderstw, wścieków, waśni plemiennych, zamieszek, złości ani wielu innych kwestii, które dla mieszkańców innych, rzekomo szczęśliwszych krajów, są codziennością. Wasi ludzie są ubodzy, czasem głodują, często chorują, żyją w chatkach z przeciekającymi dachami i orzą ziemię drewnianymi pługami zaprzężonymi w wychudzone woły... Na brodę Proroka, słucham sam siebie i wiem, że brzmi to nedorzeczenie, ale ostatecznie dochodzę do wniosku, że... prawie żałuję, że handlarze niewolników omijali Beninię. Gdyby było inaczej, byłbym dumny, wiedząc, że moi afrykańscy przodkowie mogli wywodzić się z plemienia Shinków.

No i już. Powiedział to. Odetchnął głęboko, wyczekując reakcji pozostałych. Elihu kiwał głową jak dobroduszny Budda, jakby właśnie to spodziewał się usłyszeć. Ministrowie wymieniali zakłopotane uśmiechy. Z ekipy GT Norman bez demonstracyjnego rozglądania się widział tylko siedzącego najdalej Dereka Quimby'ego: niski, krępy lingwista potakiwał z zapalem – niezwykle gest u białego w Beninii.

– Dziękuję, Normanie – odezwał się w końcu Obomi. – Doceniam twoje słowa. Ja zawsze tak właśnie się czułem i cieszę się, że przybysze potwierdzają mój sposób myślenia, który w innych okolicznościach mógłbym uznać za zaściankowy. Czy to znaczy, że podjęliśmy decyzję?

Wszyscy zgodnie przytaknęli.

– Wyśmienicie. Przy najbliższej sposobności przedłożymy projekt parlamentarzystom do ratyfikacji. Następnie uruchomi się procedurę kredytową i rozpocznie rekrutację zagranicznych doradców. Dobrze rozumiem, Normanie?

– Tak, panie prezydencie.

* * *

Kiedy wychodzili z sali, Gideon Horsfall odciągnął Normana na stronę.

– A nie mówiłem? – powiedział z miną spiskowca. – Mówiłem, że Beninia cię strawi! I to się właśnie stało!

Świat tu-i-teraz (13)

RÉSUMÉ

Salmanasar to komputer mikriogeniczny® pływający się w ciekłym helu, ale nigdzie nie widać Teresy.

Kiedy Eric Ellerman próbował dostać się do działu uprawy Przesady w fabryce Hitripu, zaczęto mu zadawać niewygodne pytania.

Zbadali kariotyp i wydali Poppy Shelton zezwolenie. Uczciła to imprezą. Roger przyłapał jakiegoś krwawiciela na próbie podrzucenia jej kapsułki yaginolu i tak mu wyklepał maskę, że ziom nakrył się nogami.

Norman Niblock House jest w praktyce samodzielny kierownikiem projektu benińskiego.

Guinevere Steel zastanawia się, jak pogodzić przybrane metaliczne nazwisko z trendem naturalnym, który jeszcze przed końcem lata zdominuje modę.

Frank uważa, że Sheena zachowuje się zgoła nierozważnie. Cięża przecież niedługo stanie się widoczna, a jest zwyczajnie niezgodna z prawem.

Arthur Golightly znalazł kolejną rzecz, o której zapomniał, że ją ma.

Zgodnie z przewidywaniami waszyngtońskich komputerów, Donald Hogan okazał się właściwym człowiekiem do tej roboty.

Oggie Lucas praktycznie podjął już decyzję w kwestii laski, którą Eric Ellerman podobno miał w LA. Miała na imię Helen, była blondynką i miała metr sześćdziesiąt pięć wzrostu.

Philip Peterson właśnie stracił kolejną dziewczynę.

Według Sashy Peterson, to zdecydowanie nie była dziewczyna dla niego.

Victor i Mary Whatmough pokłócili się po przyjęciu u Harringhamów, ale to dla nich normalka.

Elihu Masters jest zachwycony, że mógł wyświadczyć staremu przyjacielowi właściwą przysługę.

Pierwsze wykroczenie Gerry'ego Lindta było także drugim. I trzecim. I...

Profesor doktor Sugaiguntung boi się o przyszłość swojego kraju.

Grace Rowley nie żyje.

Lekarze wydali wyrok śmierci na wielce czcigodnego Zadkiela F. Obomiego.

Olive Almeiro ma poważne kłopoty: władze Hiszpanii ścigają ją za wystawienie na sprzedaż prawdziwych kastylijskich komórek jajowych.

Chad C. Mulligan jednak nie umiał zrezygnować z socjologii, ale ponieważ bycie socjologiem go wkurza, najczęściej chodzi pijany.

Jogajong w towarzystwie nielicznej grupy zwolenników czeka w obozie, aż opadnie chwilowa fala szalonego entuzjazmu dla poczynań reżimu Solukarty.

Pierre Clodard nosi się z myślą o rozwodzie z Rosalie, ale na razie wspominał o tym tylko swojej siostrze, Jeannine.

Jeff Young sprzedał partię aluminofagów, które wyrządziły wielce satysfakcjonujące szkody.

Henry Butcher siedzi w więzieniu.

Pojawiła się nowa opowieść o Begim. Nikt nie zna jej źródła. Nosi tytuł „Begi i Amerykanin”.

Państwo Uniwersalni nie wybrali się jeszcze do Yatakangu. Jeśli to zrobią, rozpęta się piekło.

Bennie Noakes od czasu do czasu powtarza:

– Jezu, ależ ja mam wyobraźnię!

Tymczasem wszyscy mieszkańcy planety Ziemia nie pomieściliby się już na wyspie Zanzibar. Niektórzy musieliby stać po kostki w wodzie.

(EKSPLOZJA POPULACJI Bezprecedensowe wydarzenie w dziejach ludzkości, do którego doszło wczoraj, chociaż wszyscy zarzekają się, że nastąpi najwcześniej jutro.

– Chad S. Mulligan, *Leksykon trendyźbrodni*)

na zbliżeniu (22)

KULMINACJA WIĘCEJ NIŻ CAŁEGO ŻYCIA WIEKOPOMNYCH DOKONAŃ

To nie był dobry dzień dla Georgette Tallon Buckfast. Zaczął się od cotygodniowego badania kontrolnego, po którym lekarz orzekł, że Stara GT znów się przepracowuje. Powiedziała mu, że jest kłamcą, a kiedy wskazał niemy dowód w postaci wyników – wysoki poziom produktów zmęczenia organizmu, nadciśnienie tętnicze – przeklęła i jego, i swoje ciało.

– Mam na tapecie większy interes, niż możesz sobie wyobrazić! – warknęła. – Największy w życiu! Po prostu pilnuj, żebym nie padła w pół drogi!

Ciało stawało się ciężarem; chętnie wymieniłaby je na nowy model, ale medyczni specje mogli je tylko rozbudowywać, podporać, uzupełniać protezami.

Nie potrafiła pogodzić się z faktem, że dysponując funduszami, za które kupuje całe państwo, nie może sobie kupić zdrowia.

Wcale nie jestem chciwa, nie w tym rzecz, rozmyślała. Nie proszę o młodość i urodę.

Bo i po co? Nigdy nie była piękna, a z czasem nauczyła się myśleć, że uroda byłaby tylko przeszkodą, hamulcem dla jej ambicji. A jeśli chodzi o młodość, pochlebiało jej, że nazywają ją „Starą GT”. Dzięki temu firma, z którą miała wspólne inicjały, lądowała na tej samej płaszczyźnie, co inne „stare” obiekty i idee – Old Faithful, Old Glory...[9]

Teraz, w takim dniu jak dzisiejszy, gdy znalazła się o krok od kulminacji największego przedsięwzięcia w historii firmy, przyda się odrobina oficjalności, może nawet mała uroczystość byłaby na miejscu. Szkoda tylko, że musi się to odbyć tutaj, w tej lodowatej komputerowej krypcie...

Czujny asystent otulił ją ciepłej i chwilowa irytacja minęła. Czekając na przewidzianą, ściśle określoną chwilę, Stara GT błędziła myślami daleko od tego miejsca.

Nie podobała mi się rekomendacja Elihu, nigdy nie ceniłam specjalnie młodego House'a, ale nauczyłam się w życiu rozpoznawać, kiedy ktoś się zaprze. Zresztą, gdyby okazało się to naprawdę konieczne, mogliśmy go stamtąd wycofać. A tymczasem jemu udało się sprzedać cały beniński rząd i od jutra będę zarządzać nie zwykłą korporacją, tylko całym państwem, którego w dodatku nie widziałam na oczy!

– To już, proszę pani – rozległ się przyciszony głos.

Stara GT skupiła wzrok na tajemniczym kształcie Salmanasara, którego pomogła stworzyć, ale którego nie rozumiała.

Ciekawe, pomyślała, czy Bóg też miewa takie odczucia w stosunku do stworzonych przez siebie istot.

Lubiła przemawiać i występować publicznie, ponieważ karmiła się składanymi jej hołdami, ale duch obecnych czasów temu nie sprzyjał. Ostrożnie wydzielala swoje wystąpienia ludziom, którzy potrafili je docenić – pojawiała się na zebraniach akcjonariuszy, którzy lubili czuć majestat i powagę firmy wartą miliardy dolarów. A to? To było zwykłe spotkanie personelu, głównie naukowców oderwanych od rzeczywistości.

Na dolnym poziomie mężczyzna ubrany na biało przestawiał jakieś przełączniki, z uwagą obserwowany przez swoich kolegów i członków zarządu. Naradzali się. Strasznie się to wszystko przeciągało.

Przecież czas reakcji Salmanasara mierzy się ponoć w nanosekundach? Tak pisali w raportach...

– Co się dzieje? – zaniepokoiła się.

Jej sekretarz poszedł zbadać sprawę, odbył szeptane konsultacje i w końcu przyprowadził mężczyznę o wyjątkowo zatroskanym wyrazie twarzy.

– Jest mi ogromnie przykro, proszę pani – zaczął tamten – ale gdzieś musiał się pojawić jakiś drobny błąd. Na pewno wkrótce go zlokalizujemy, ale chwilę to potrwa...

– O co chodzi?

– Hmm... – Mężczyzna zrobił autentycznie nieszczęśliwą minę. – Jak pani wie, uruchamialiśmy na Salmanasarze dziesiątki programów związanych z projektem benińskim. Zawsze funkcjonował bez zarzutu, ale dzisiaj akurat...

– Do rzeczy, głupcze!

– Tak, proszę pani. – Otarł twarz wierzchem dłoni. – Tamte analizy odnosiły się do sytuacji hipotetycznych; wszystkie założenia wyprowadziliśmy z naszych wcześniejszych badań. Tym razem uruchomiliśmy na Salmanasarze projekt wybrany jako optymalny, ten, który postanowiliśmy wprowadzić w życie. Ponieważ nie był już projektem hipotetycznym, trafił do innej sfery świadomości Salmanasara, gdzie mógł wejść w interakcję z całą jego wiedzą na temat świata rzeczywistego.

– No i?

– Salmanasar z miejsca go odrzucił. Powiedział, że jest niedorzeczny.

Czarny gniew wezbrał w głębinach umysłu Starej GT i rozlał się po ciele, poczynając od brzucha, gdzie doprowadził do posupłania i zaciśnięcia się wnętrzości, przez płuca, które nagle nie potrafiły wypełnić się zgęstniałym jak smoła powietrzem, serce, które załomotało o żebra, jakby miało zaraz wyrwać się z piersi, aż po gardło, język, który zeszywniał i potrzaskał jak stary, suchy papier, który ktoś poskładał i sprasował, i wreszcie mózg, w którym zrodziła się jedna myśl:

–!!!!!

– Lekarza! – zawołał ktoś.

– Xx xxx xx – powiedział ktoś inny.

– _____

–

–

.

9 Old Faithful – nazwa słynnego gejzeru w Parku Narodowym Yellowstone; Old Glory – określenie flagi amerykańskiej (przyp. tłum.).

ciągłość (31)

PRZYGOTOWANIA

Telefon znów zadzwonił. Donald zaklął i potykając się, dopadł aparatu. Z początku słyszał tylko głośny szum tła, jakby mnóstwo ludzi biegało w tę i z powrotem, a potem telefon znienacka ryknął rozwścieczonym kobiecym głosem:

– Hogan? Jesteś tam? Mówi Deirdre Kwa-Loop! Przed chwilą dzwoniли do mnie z centrali. Umówiliśmy się, pamiętasz? Miały być cztery godziny!

Oszołomiony Donald wpatrywał się w aparat takim wzrokiem, jakby mimo braku wyświetlacza mógł podążyć spojrzeniem wzdłuż kabla i zobaczyć twarz osoby, z którą rozmawia.

– Nie masz mi nic do powiedzenia? Jakoś nie jestem zdziwiona! Głupia byłam, że zaufałam takiemu krwawicielowi! Ale coś ci powiem: nie jestem nowicjuską i tak cię urządzę, że nigdy...

– Zapnij twarz! – warknął Donald.

– Takiego wała! Słuchaj mnie, białodupcu...

– Gdzie byłaś, kiedy ja szarpałem się ze wściekiem?! – ryknął Donald.

W lustrze obok telefonu zobaczył, że w pokoju Bronwen zapaliło się światło, delikatna brzoskwiniowa poświata.

– Kurżeszmac, co to ma do rzeczy?!

– Setka ludzi widziała, jak ten wściek prawie zabił Sugaiguntunga. Co miałem zrobić: odmierzyć cztery godziny na kriotonowym zegarze i zadzwonić do ciebie? Cały klub prasowy wiedział o wszystkim najdalej po pięciu minutach!

Przyśpieszony oddech. W końcu niechętnie:

– Wiesz, po czwartej po-pe zwykle nic ciekawego się już nie dzieje, więc...

– Więc co? Wyszłaś sobie na miasto?

Brak odpowiedzi.

– Ach, już rozumiem. – Głos Donalda ociekał sarkazmem. – Myślałaś, że zatrudnię gromadę gońców i powiem im: „Obiecałem coś pewnej kobiecie, która sama nie jest w stanie zrobić żadnego materiału. Macie cztery godziny, żeby ją znaleźć”? Wiesz, gdzie byłem cztery godziny później? Leżałem w klinice uniwersyteckiej, w śpiączce farmakologicznej! To ci wystarczy jako wytłumaczenie?!

Cisza.

– Wal się. Ja wracam do łóżka.

Rozłączył się. Niemal od razu telefon zadzwonił ponownie.

– Kurżeszmac, co znowu?!

– Tu recepcja, panie Hogan – powiedział wyraźnie zdenerwowany młody człowiek. – Mnóstwo dużo ludzi chce pana rozmawiać. Mówi, że pilne.

Donald przeszedł na yatakański i podniósł głos, tak żeby po drugiej stronie było go dobrze słychać nawet bez przełączania na głośnik:

– Powiedz im, żeby poszli handlować szczykami swojej babki. Jeżeli ktoś tu jeszcze zadzwoni przed godziną dziewiątą, zawinę cię, tak, ciebie osobiście, w skórę owrzodziałej krowy i wywieszę sępom na pożarcie. Zrozumiałeś?

Dopóki nie przyjechał do Yatakangu, nie przyszło mu do głowy, że przeklinanie w tym języku może dać taką satysfakcję.

Jeszcze przez chwilę się zastanawiał, a potem zebrał swoje ubrania, komzestaw i wszystkie rzeczy, które mogły mu się przydać rano, przeniósł je do pokoju Bronwen, zamknął drzwi między pokojami na zasuwkę i wrócił do łóżka.

Nie udało mu się jednak zasnąć. Czuł się tak, jakby jego umysł zepchnął przekazane mu przez Delahanty'ego nieprzyjemne informacje oraz wspomnienia ostatnich wydarzeń w głąb tuneli rezonansowych o różnej długości i teraz wszystkie te echa zbiegły się w jednym momencie. Ledwie

zwrócił uwagę na coś, czego na dobrą sprawę się spodziewał: kroki na korytarzu, donośne łomotanie do drzwi jego pokoju, drapanie i zgrzytanie, gdy ktoś dobierał się do zamka kluczem uniwersalnym – Donald pamiętał jednak o zamknięciu ich na dodatkową zasuwkę. Niedoszły intruz zaklął i poszedł sobie, zapewne żałując łapówki wręczonej recepcjoniście w zamian za podanie numeru pokoju.

Fakt ten był jednak mniej istotny od rezonujących pod czaszką Donalda sprzecznych myśli i obrazów. Dziesięć lat w roli gąbki chłonącej przetworzone informacje nijak nie przygotowało go do działań, jakich teraz od niego oczekiwano. Nawet jego ulepszona, spedekezowana wersja nie umiała podołać nowym wymaganiom.

Szept leżącej obok niego Bronwen zachęcał go do zatracenia się w zwierzęcej zmysłowości, ale nie był w stanie zareagować na jej słowa. Kazał jej się zamknąć i dać mu pomyśleć – natychmiast tego pożałował, ponieważ z mroku wyłoniło się oblicze kretyna, na którym rozplątana szyja powielala grymas tępo rozwartych ust.

Przerażony Donald stłumił jęk i obrócił się na bok.

Musi być jakiś sposób. Myśl. Myśl!

Stopniowo możliwości zaczęły się przeobrażać w plany. Wizja wścieka zbladła, wraz z nią ulotniła się przyprawiająca o mdłości zgroza, a jej miejsce zajęła niejasna дума z tego, czego się po nim spodziewają. Może zmienić historię.

Wiem, jak się spotkać z Sugaiguntungiem. Wiem, jak się skontaktować z Jogajongiem. Pozostaje tylko...

Odprężył się i zaznał wytchnienia, mimo że jego umysł niezmordowanie tasował i na nowo układał najnowsze wydarzenia.

* * *

O ósmej zamówił śniadanie i zaczął ostrożnie przebierać wśród wielu drobnych, podanych na zimno smażonych i marynowanych smakołyków: ryb, owoców i warzyw. Jedzenie słukiwał haustami wrzącej herbaty.

Bronwen – tak samo naga jak przez całą noc – usługiwała mu bez słowa i pilnowała, żeby się nasycił, zanim sama spróbuje choć kęs.

To mu się podobało. Było takie... sultańskie. I egzotyczne. Pasowało do tego nieznanego kraju, w którym się znalazł.

Nie wyobrażam sobie, żeby Gennice się tak zachowywała...

– Muszę wyjść – oznajmił w końcu. – Może spotkamy się wieczorem.

Uśmiechnęła się w odpowiedzi i objęła go. Przyszło mu do głowy, że aby faktycznie mogli się jeszcze spotkać, musiałyby nastąpić jakaś katastrofa – ale wyobrażanie sobie takich rzeczy na pewno przyniosłoby pecha. Ubrał się, zabrał sprzęt, zarzucił na ramię torbę z komzestawem i beczelnie zszedł do holu.

W recepcji panował wzmożony poranny ruch, ale poza personelem i zwykłymi gośćmi w holu znajdowali się również ludzie (o różnych kolorach skóry), którzy po prostu siedzieli beczynn timer – dopóki go nie zobaczyli, bo wtedy rzucili się na niego jak rekiny na ranionego pływaka, podnosząc kamery, rejestratory i głos.

– Panie Hogan, musi się pan...

– Panie Hogan, bardzo proszę...

– Proszę posłuchać, ja...

Otyła Arabka, która zareagowała szybciej od pozostałych, dosłownie podstawiała mu kamerę pod nos. Wyrwał ją z jej ręki i rzucił w twarz zbliżającemu się z drugiej strony Japończykowi. Kiedy drogę zastąpił mu barczysty Sikh w turbanie, Donald uderzył go kantem dłoni i przestąpił nad jego osuwającym się ciałem. Przy drzwiach stała palma w donicy: doskoczył do niej i przewrócił ją w poprzek wyjścia, utrudniając pościg wszystkim reporterom – poza jakimś upartym Afrykańczykiem, którego musiał kopnąć w pizszczel. Tamten potknął się, zatoczył i podciął następnego członka grupy pościgowej. Donald zdążył tymczasem wyskoczyć na ulicę i złapać taksówkę.

Dwóch mężczyzn o beznamiętnych twarzach jechało za nim drugim samochodem – domyślał się, że to Totilung spełnia swoją obietnicę. Zaproponował taksówkarzowi pięćdziesiąt tala, jeśli zdoła ich zgubić. Zapuscili się w labirynt wąskich uliczek na wpół zastawionych straganami,

aż w końcu udało im się wymanewrować w taki sposób, że stado kóz odgrodziło ich od prześladowców.

Zadowolony Donald zapłacił kierowcy i przesiadł się do pierwszej z brzegu riksy. Ze względu na kolor skóry i rysy twarzy nie mógł po prostu wtopić się w tłum, ale przynajmniej chwilowo nikt nie wiedział, gdzie dokładnie się znajduje.

Trzy riksy później znalazł się w rejonie, gdzie mieszkał Sugaiguntung. Nie spodziewał się zastać go w domu (chyba że lekarze zalecili mu przedłużony odpoczynek po ataku wścieka), ale też nie przyjechał tu po to, żeby przeprowadzić obiecany wywiad.

Pokręciwszy się pieszo po okolicy, stwierdził, że dzielnica wygląda dokładnie tak, jak na mapach: cicha, zamożna, zdystansowana od tętniącego życiem centrum, z pięknym widokiem na cieśninę Shongao. Zamiast bloków mieszkalnych stały w niej domy, każdy otoczony murem, z własnym ogrodem, który mógł być albo obsadzony kwiatami i ozdobnymi krzewami w zachodnim stylu, albo wyłożony kamiennymi płytami, wysypany żwirem i ozdobiony otoczkami. W całej dzielnicy były tylko trzy szerokie ulice, zapewniające dojazd taksówkom i samochodom dostawczym. Wszędzie poza nimi – zwłaszcza w niżej położonej nadmorskiej części – rozciągał się labirynt ścieżek, którymi Donald błąkał się, nasłuchując kroków ciekawskich gapiów.

Miał szczęście, że trafił na spokojny czas: większość rodziców była w pracy, dzieci w szkole, służba sprzątała w domach albo poszła na zakupy.

Dom Sugaiguntunga miał kształt litery T z bardzo krótką nóżką. Jego pięciokątny ogród najkrótszym bokiem przylegał do ulicy. Donald obszedł go dookoła, pomijając tylko frontową część, gdzie, wymachując pałką, przechadzał się znudzony policjant. Notował w pamięci co ciekawsze szczegóły, takie jak położenie karłowatego drzewka, którego gałęzie zwieszały się nad murem, a także obecność w domu przysadzistej służącej zajętej swoimi obowiązkami (jej cień padał na szklaną ścianę).

Żona? Gosposia? Prędzej to drugie. Przypomniał sobie raporty: żona Sugaiguntunga – starsza od niego kobieta, z którą był żonaty przez blisko

dwadzieścia lat – wypadła z łodzi i utonęła. Do wypadku doszło cztery lub pięć lat temu, raporty nie wspominały o drugim małżeństwie.

Miał zamiar zrobić jeszcze jedną rundkę, gdy spokój poranka zakłóciło pojawienie się na głównej drodze dużej grupy zaaferowanych młodych chłopców i dziewcząt, niosących transparenty wysławiające Sugaiguntunga i Solukartę. Wyraźnie mieli zamiar przyjść i pogapić się na dom wielkiego człowieka. Zwrócili wprawdzie uwagę policjanta, który wybiegł im na spotkanie i wdał się w zacieklą kłótnię z przywódcami marszu, ale zarazem trzydzieści, czterdzieści par wścibskich oczu spoglądało prosto w stronę Donalda. Usunął się za mur i zaczął cofać w stronę morza, tą samą drogą, którą zamierzał poprowadzić profesora, gdyby udało mu się go przekonać do wyjazdu.

Zjadł obiad w krytej sitowiem knajpce, gdzie obejrzał występ zonglera z oswojoną małpką; pozostali klienci – którzy widzieli w życiu więcej małp niż białych – oglądali jego. W końcu poczuł się nieswojo, zostawił niedopite miejscowe piwo ryżowe i wyszedł, kiedy uznał, że nawet sam właściciel za bardzo mu się przygląda.

Na pewien czas zaszył się w głębi lądu, po czym wrócił na plażę w porze sjeisty. Było prawie pusto, jeśli nie liczyć rybaków drzemiących w cieniu wyciągniętych na brzeg łodzi, ale na wszelki wypadek zapuścił się na zupełnie bezludny skrawek wybrzeża, zanim dyskretnie wyjął dołączony do ekwipunku kompas. Z jego pomocą określił, które z sześciu lub siedmiu zagłębień w zielonej linii brzegowej u stóp Pradziada Loa prowadzi do tajnego obozu Jogajonga.

Mniej więcej wtedy znów się rozpadało. Wrócił do miasta i skierował do biura człowieka, który miał mu zapewnić transport na drugą stronę cieśniny, tak zwanego niezależnego dziennikarza Zulfikara Halala. Znalazł go na drugim piętrze budynku, w którym na parterze mieścił się magazyn importera dywanów. Halal spał jak kamień w gryzących oparach haszyszu.

Jezu... To ma być mój łącznik z Jogajongiem?

Pakistańczyk był nieogolony i obszarpany, pokój zaśmiecały stare gazety, pozbawione etykiet szpule taśmy i paczki holofotografii. Było

widać, że Halal nie tylko tu pracuje, lecz także mieszka: stojący w kącie parawan nie do końca skrywał kłęb ubrań i stertę butów. A jednak...

Nie było łatwo go obudzić. Wypłoszony Halal zogniskował wzrok i na jego twarzy najpierw odmalowała się konsternacja, a zaraz potem lęk.

– *Hazoor!* – wykrztusił, gramoląc się na nogi. – Czcigodny pan musi być tym amerykańskim dziennikarzem...

– Owszem.

Halal oblizął wargi.

– *Hazoor*, proszę mi wybaczyć, nie spodziewałem się, że zjawi się pan w taki sposób! Powiedziano mi...

Wziął się w garść, doskoczył do drzwi i wyjrzał na zewnątrz. Uspokoił się trochę, widząc, że nikt nie podsłuchuje, ale i tak mówił dalej szeptem:

– Myślałem, że czcigodny pan skontaktuje się ze mną znacznie później, kiedy...

– Nie będzie żadnego „znacznie później” – uciał Donald. – Siadaj i słuchaj uważnie.

Wyłożył Halalowi, czego i kiedy od niego oczekuje. Halal przewrócił oczami.

– *Hazoor!* To ryzykowne! To trudnościowe! To kosztuje!

– Chrzanić koszty. Załatwisz to? – Donald wyjął plik banknotów pięćdziesięciotalowych i pomachał nimi Halalowi przed nosem.

– Czcigodny panie – mruknął przypoehlebnie Halal, zafascynowany widokiem pieniędzy – zrobię co w mojej mocy. Klnę się na grób mojej matki!

Donald trochę się wystraszył. Delahanty mógł sobie do woli ręczyć za tego Pakistańczyka, ale ziom nie wyglądał ani nie zachowywał się jak agent, któremu można by zaufać. Donald nie miał jednak wyboru – jeśli nie chciał kraść łodzi, żeby przepłynąć na drugi brzeg cieśniny, musiał zdać się na Halala.

– Nie chcę, żebyś robił co w twojej mocy – powiedział jeszcze, mając nadzieję wyrzucić trwale wrażenie. – Chcę, żebyś zrobił to, co ci kazałem. Zrozumiałeś? Jeśli zawiedziesz... Hmm, na pewno słyszałeś, jak załatwiłem tego wścieka na uniwersytecie?

Halal rozdziawił usta.

– Więc to prawda? Myślałem, że to bazarowa plotka!

– Własnymi rękami – podkreślił Donald. – Jeśli zawiedziesz, dorwę cię i wyzmę z ciebie krew jak wodę z mokrej szmaty. Klnę się na grób mojej matki.

* * *

Wrócił do dzielnicy targowej, tam gdzie rano wiozący go taksówkarz zgubił pościg. Pozostała mu jeszcze jedna sprawa do załatwienia, zanim miasto przebudzi się z poobiedniej drzemki. Musiał się śpieszyć.

Klucząc wśród straganów (pozamykanych, gdy ich właściciele przysypiali), wypatrzył budkę telefoniczną, prawie niewidoczną dla przypadkowych przechodniów. Ktoś wypróżnił się w niej na podłogę, ale to była tylko drobna niedogodność. Układając dwie wiadomości w komzestawie, starał się mieć oczy dookoła głowy. W jednej ręce trzymał udający wieczne pióro gazognat. Doskonale zdawał sobie sprawę, że gdy tylko zamówi połączenie z najbliższym satelitą Engrelay, może zwrócić czyjąś uwagę.

Wydawało mu się jednak, że nic podobnego nie nastąpiło – do chwili, gdy, spakowawszy sprzęt, odwrócił się do drzwi, żeby je otworzyć, i zobaczył Totilung stojącą po drugiej stronie wąskiego zaułka.

na zbliżeniu (23)

BEGI I WYROCZNIA

Begi przybył do wioski, której mieszkańcy wierzyli w znaki, omeny i wróżby.

– Jak to wygląda? – zapytał.

– Płacimy tej starej, mądrej kobiecie – odparli – a ona mówi nam, kiedy jest dobry dzień na polowanie, na zaloty, na budowanie nowego domu albo pogrzebanie zmarłego, tak żeby jego duch nie powstał.

– Jak ona to robi? – spytał Begi.

– Jest bardzo stara – odpowiedzieli – i bardzo mądra, i musi mieć rację, bo stała się bardzo bogata.

Begi udał się więc do domu mądrej kobiety i powiedział:

– Jutro wybieram się na polowanie. Powiedz mi, czy to dobry dzień.

Kobieta odparła:

– Obiecuj, że oddasz mi połowę wszystkiego, co przyniesiesz z polowania.

Kiedy Begi złożył żądaną obietnicę, kobieta rzuciła kości. Rozpaliła też małe ognisko z piór i ziół.

– Jutro będzie dobry dzień na polowanie – orzekła.

Następnego dnia udał się więc Begi w głąb buszu. Owinął się swoją najlepszą lamparcią skórą, zabrał ze sobą włócznię, tarczę, a także trochę mięsa, tykwę napełnioną winem palmowym i ugotowany ryż zawinięty w liść. Wrócił w nocy – całkiem nagi, z pustymi rękami – i od razu poszedł do mieszkania mądrej kobiety.

Przełamał na dwoje wiszącą na ścianie włócznię, następnie jej grotem rozplatał leżącą obok tarczę, rozdał ludziom połowę należącego do kobiety

mięsa i połowę ryżu, po czym wylał na podłogę połowę wina palmowego z dzbana.

– To moje! – zaprotestowała kobieta. – Co ty wyrabiasz?

– Oddaję ci połowę tego, co przyniosłem z polowania – odparł Begi.

Na koniec oddał połowę należącego do kobiety płaszcza, narzucił tę połówkę na grzbiet i wyszedł.

Od tej pory ludzie sami podejmowali decyzje i nie musieli już płacić starej kobiecie.

ciągłość (32)

NOWINA

Norman – dopiero co wyciągnięty z łóżka i wciąż jeszcze trochę oszołomiony – wpatrywał się w twarz na ekranie wideofonu. Była to twarz E. Prospera Rankina, sekretarza GT.

– Pomyślałem, że od razu do ciebie zadzwonię, Normanie – wyjaśnił – żebyś nie dowiedział się z telewizji; może będziesz musiał przedsięwziąć jakieś pilne środki ostrożności. GT jest po wylewie. Prawdopodobnie przed wieczorem wyzionie ducha.

Umysł Normana – porażony identycznością inicjałów twórczyni i jej dzieła – podsunął mu wizję korporacyjnego wieżowca, którego górne piętra eksplodują, a okna spływają ciemnoczerwoną krwią.

– Co my, tutaj, mamy zrobić? – spytał po chwili. – Zwolnić tempo?

– Wręcz przeciwnie.

Rankin odchrząknął. Było widać, że nie spodziewał się usłyszeć od Normana żadnych skonwencjonalizowanych wyrazów żalu. Georgette Talon Buckfast przez całe życie była człowiekiem, którego można podziwiać – ale nie kochać.

– Pierwszym efektem z pewnością będzie paniczna wyprzedaż akcji GT i spółek zależnych – mówił dalej Rankin. – Przewidywany spadek wartości sięgnie w dniu dzisiejszym od trzydziestu do czterdziestu milionów, i to bez względu na to, co zrobimy. Dlatego rozpaczliwie potrzebujemy czegoś, co błyskawicznie podbije kurs.

– I liczycie na to, że projekt beniński okaże się tą trampoliną. – Norman zmarszczył brwi. – A ja nie widzę powodu, dla którego miałoby być inaczej. Wczoraj, zgodnie z planem, załatwiliśmy ratyfikację w parlamencie.

Doktor Ram Ibusa wybiera się ze mną do Nowego Jorku, gdzie w imieniu rządu podpisze umowę.

– Ja natomiast widzę powód, dla którego może się nie udać – zaoponował posępnie Rankin. – Nie powiedziałem ci, co było powodem wstrząsu, który doprowadził do wylewu u GT.

Złe przeczucie zważyło się Normanowi na głowę z impetem trzęsienia ziemi.

– Kiedy przełączyliśmy w Salmanasarze tryb analizy projektu benińskiego z „hipotetycznego” na „rzeczywisty”, program został odrzucony. Technicy nie potrafią znaleźć przyczyny.

– Ale... – Norman desperacko szukał właściwych słów. – Przecież Sal musiał przedstawić jakiś powód tego odrzucenia!

– Pierwsze, co zrobili, to zapytali prosto z mostu, dlaczego to zrobił. W odpowiedzi wypluł wszystkie wprowadzone do niego dane na temat Beninii i jej mieszkańców i wyjaśnił, że są niespójne z obszernymi zasobami uprzednio zgromadzonych informacji. – Rankin uderzył pięścią w otwartą dłoń. – To niedorzeczne! Każdy element sprawdziliście na miejscu ty i twoi ludzie... Jakież pomysły?

Otępiały Norman pokręcił głową.

– Lepiej zacznij myśleć. Coś mi mówi, że tak czy inaczej będziemy musieli odpalić projekt, a potem modlić się o cud, który ocali nas od katastrofy. Jeżeli w ciągu maksimum czterdziestu ośmiu godzin nie opublikujemy wygrywającego posunięcia, zawiśnie nad nami katastrofa zupełnie innego rodzaju. Przeglądałem ostatnio raport o Beninii, ponoć tubylcy cieszyli się wśród sąsiadów opinią niezłych czarowników. Jesteś tam, na miejscu; przekonaj się, czy są w stanie sprawić cud, którego potrzebujemy!

Rankin rozłączył się i ekran wideofonu powoli poczerniał.

Świat tu-i-teraz (14)

PLAKATY WERBUNKOWE

KONSORCJUM BENIŃSKIE

(General Technics Inc.

General Technics (Great Britain and Commonwealth) Ltd.

General Technics (Australasia) Pty.

General Technics (France) SA

General Technics (Deutschland) GmbH

General Technics (Scandinavia) Aktiebolaget

General Technics (Latin America) SA

General Technics (Johannesburg) Pty.

Mid-Atlantic Mining Inc.

oraz wszystkie firmy i spółki zależne)

WRAZ Z RZĄDEM I MIESZKAŃCAMI BENINII

ogłaszają utworzenie PUBLICZNEGO FUNDUSZU INWESTYCYJNEGO.

Gwarantowana stopa zwrotu: PIĘĆ PROCENT ROCZNIE, realne perspektywy zysku w granicach OŚMIU PROCENT (na podstawie wyliczeń „Salmanasara” General Technics).

Warunki inwestycji: pierwsza transza 20 LAT z opcją wycofania się lub przedłużenia o kolejne 30 LAT, co łącznie daje 50 LAT.

Prospekt inwestycyjny oraz kopie (potwierdzone za zgodność z oryginałem) ww. analizy komputerowej dostępne na życzenie z...

*

KONSORCJUM BENIŃSKIE

zatrudni w Beninii osoby z doświadczeniem w pracy w Afryce Zachodniej, ze szczególnym uwzględnieniem dawnych terytoriów kolonialnych. Wysokie wynagrodzenie. Szczegółowe warunki zatrudnienia uzależnione od okoliczności, przewidywana średnia długość kontraktu: pięć lat. Dodatek na pokrycie kosztów podróży. Podczas dwóch lat zatrudnienia przysługuje jeden miesiąc urlopu w kraju ojczystym oraz dwa miesiące urlopu na miejscu. Zwrot kosztów przeprowadzki i osiedlenia się w Beninii. Wysoki dodatek mieszkaniowy uwzględniający prymitywne warunki lokalowe. Prosimy o składanie ofert na piśmie z wyszczególnieniem czasu spędzonego w Afryce Zachodniej i szczegółowym opisem zajmowanych stanowisk na adres...

*

KONSORCJUM BENIŃSKIE

poszukuje pracowników (doświadczenie w pracy w Afryce Zachodniej pożądane, choć niekonieczne) następujących branż:

Architektura

Edukacja

Transport

Łączność

Inżynieria lądowa

Mechanika

Medycyna (spec. med. tropikalna)

Urbanistyka

Prawo

Ekonomia

Cybernetyka

Energetyka i ogrzewnictwo

Budowa obiektów przemysłowych	Ekologia człowieka
Oczyszczanie wody	Opieka zdrowotna
Przemysł tekstylny	Rolnictwo
Hutnictwo	Inżynieria produkcji
Synteza tworzyw sztucznych	Elektronika
Górnictwo i mineralogia	Przemysł wydawniczy

oraz dosłownie WSZYSTKICH INNYCH SPECJALNOŚCI, jakich wymaga rządzenie nowoczesnym państwem w XXI wieku! Zgłoszenia przyjmuje...

*

MASZ OCHOTĘ WYRWAĆ SIĘ Z DOMU I ZOBACZYĆ KAWAŁEK ŚWIATA, ZANIM SIĘ USTATKUJESZ?

CHCESZ POMAGAĆ INNYM?

INTERESUJĄ CIĘ NIEZWYKŁE DOŚWIADCZENIA I WYSOKA PENSJA?

Projekt Beniński to jedna z najbardziej ekscytujących idei w dziejach świata, a teraz TY także możesz stać się jego częścią.

Zadzwoń pod...

*

Z banku OBRAZÓW: biały chłopiec w wieku ok. 17 lat bierze na ręce murzyńskie dziecko i pokazuje mu piękny, wysoki, nowy gmach pod błękitnym niebem.

Z banku DŹWIĘKÓW: „Myślisz o... Beninii?”

Z banku OBRAZÓW: zbliżenie na zadziwioną twarz dziecka.

Z banku DŹWIĘKÓW: „Oto zakątek szerokiego świata, w którym będzie się działo więcej niż gdzie indziej... w którym wydarzy się więcej cudów!”

Z banku OBRAZÓW: montaż scen, ekran podzielony – zwierzęta w dżungli, plac budowy, biegnące dzieci, łodzie na rzece itp.

Z banku DŹWIĘKÓW: „Motyw Beninii” nagrany specjalnie przez Em Thirty-Ones.

Z banku OBRAZÓW: Państwo Uniwersalni idą przez główny plac w wiosce, za nimi oswojone jelonki, kierują się (odjazd kamery) ku rysującym się na horyzoncie konturom pięknych nowych budynków, mieszkańcy wioski zostają w tyle, dzieci bawią się z jelonkami, próbują ich dosiadać, wybrać się na przejażdżkę.

Z banku DŹWIĘKÓW: „Motyw Beninii” cichnie, głos zza kadru: „Ty także możesz stać się częścią tego wielkiego, wspaniałego, bezprecedensowego przedsięwzięcia na miarę XXI wieku! Zanotuj numer najbliższej agencji werbującej ochotników!”.

DŹWIĘK na żywo: lokalne stacje nadawcze podają odpowiednie numery telefonów.

*

- Mary, kochanie, myślałem o tych ofertach pracy w Beninii.
- Wiem, Victorze. Wiem, że o nich myślisz. Ale zdajesz sobie sprawę, że wiele się tam zmieniło.
- Tutaj też wiele się zmienia, czyż nie? Szybciej i w mniej znośny sposób! Podjąłem decyzję. Złożę podanie.

* * *

– *T'avais raison, Jeannine. T'as parlé au sujet des Américains qui allaient s'intéresser à la Béninie, et voici une réclame que je viens de trouver dans le journal. Tu l'as vue?*

– *Montre-le-moi... Ah, Pierre! C'est épatant! Moi, je vais y écrire sur le champ! Toi?*

– *Je leur ai déjà donné un coup de téléphone.*

- *Mais... qu'est-ce que pense Rosalie de tout cela?*
- *Sais pas.*
- *Tu n'as pas demandé à ta femme si elle veut...?*
- *Heu! Je m'en fiche, Jeannine. Je te dis franchement: je m'en fiche!*

* * *

– Frank? Jak myślisz, czy w takim zacofanym kraju jak Beninia też mają jakieś ustawy eugeniczne?

– A co?

– GT zatrudnia ludzi, którzy są gotowi tam pojechać. Otworzyli biuro u nas w mieście, przyjmują kandydatów.

*

Uczyć: matematyki, angielskiego, francuskiego, geografii, ekonomii, prawa...

Kształcić: nauczycieli, lekarzy, pielęgniarki, inżynierów, meteorologów, mechaników, agronomów...

Budować: domy, szkoły, szpitale, drogi, porty, elektrownie, fabryki...

Wytwarzać: żelazo, aluminium, wolfram, german, uran, wodę, polietylen, szkło...

Sprzedawać: energię, antybiotyki, noże, buty, telewizory, krowie nasienie, alkohol...

Żyć: szybciej, dłużej, lepiej.

*

KONSORCJUM BENIŃSKIE CHCE... CHCE... CHCE...!

ciągłość (33)

MAM TO I ZNIKAM

Przestało padać, kiedy Donald wysyłał korespondencję, ale deszczówka spływała jeszcze rynsztokami. Przez krótką wieczność miał wrażenie, że jedynym dźwiękiem na świecie jest ciurkanie wody ściekającej do studzienki.

W końcu odezwała się nadinspektor Totilung:

– Panie Hogan, zdaje się, że profesor Sugaiguntung oczekuje pańskiej wizyty. Mówił mi, że zaproponował panu wywiad w cztery oczy.

– To prawda.

Głos Donalda skrzypiał jak zardzewiała furтка. Stojąc jeszcze jedną nogą w budce telefonicznej, z gazognatem w ręce i komzestawem na ramieniu, zerknął w bok, w stronę wylotu zaułka. Drogę blokował policjant z gotowym do strzału energetykami.

– Zaproponował również, że oprowadzi pana po laboratorium.

– To również się zgadza.

– Jest pan człowiekiem pełnym sprzeczności, panie Hogan. Każdy inny zagraniczny dziennikarz dałby sobie rękę odciąć w zamian za pańskie przywileje, tymczasem pan od rana nie skontaktował się z profesorem. Sądzi pan, że pańska centrala będzie z pana równie zadowolona jutro, jak była dzisiaj?

Totilung wbiła w Donalda spojrzenie swoich nieprzejednanych oczu – błyszczących, bystrych, ciemnych jak porzeczki w puddingu. Autentyczny strach zaczął wypierać początkowy wstrząs z jego umysłu. Spocona skóra szczypała boleśnie.

– Wieczorem zamierzam odwiedzić doktora Sugaiguntunga w domu.

– I spodziewa się pan tam znaleźć wszystko, co pana interesuje: zwierzęta doświadczone, wykresy, rysunki, analizy komputerowe, filmy, przyrządy? – Totilung nawet nie próbowała ukryć zgryźliwości w głosie.

– Pozwoli pani, że sam będę sobie planował zajęcia – odparł kąśliwie Donald. – Byłoby miło, gdyby pani wróciła po prostu do swoich obowiązków. Osobiście uważam, że wywiad jest ważniejszy od wycieczki po laboratorium, dlatego...

– W takim razie stracił pan swoją szansę. – Totilung wzruszyła ramionami. – Mam tu nakaz aresztowania pana pod zarzutem napaści z pobiciem oraz uszkodzenia kamery będącej własnością panny Fatimy Saud. – Odwróciła się do policjanta i dodała po yatakańsku: – Przynieś kajdanki. Tylko trzymaj go na muszce! To wyszkolony zabójca.

Ostrożnie, nie spuszczać Donalda z oka, policjant wyjął z kieszeni kajdanki i podeszedł do Totilung.

* * *

Oszukali mnie, rozmyślał Donald. Wrobili. Wpuścili w ślepy zaułek życia. Nigdy nie chciałem znaleźć się w sytuacji, w której – zapędzony w kozi róg – będę musiał zabijać albo dać się zabić. Oddałbym wszystko, żeby wrócić do starej, nudnej, nijakiej zwyczajności. Wszystko!

Nie mógł sobie pozwolić na aresztowanie, stratę czasu i ewentualną deportację. Dzisiaj musiał zerwać śliweczkę z drzewa i przewieźć ją do domu.

Narzucił sobie spokój, oddychał głęboko i miarowo. Jeżeli Totilung już wcześniej próbowała go namierzyć, to na wieść o tym, że Donald próbuje połączyć się z satelitą Engrelay, przyjechała zapewne prosto do wskazanej budki telefonicznej. Uliczka, od której odchodził ten zaułek, była wąska, wóz patrolowy by się w niej nie zmieścił – czyli musiał razem z kierowcą czekać na głównej ulicy na obrzeżach kwartału. Przy odrobinie szczęścia Donald miał więc na głowie tylko Totilung i jednego policjanta.

Zgarbił się z rezygnacją, kiedy sięgnęła po kajdanki i podeszła do niego; ustawiła się w taki sposób, żeby nie wejść na linię strzału policjantowi,

który szedł tuż za nią z wycelowanym energetykiem. Donald podniósł ręce, jakby potulnie podstawiał je do kajdanek – i strzelił z gazognata nie do Totilung, lecz do policjanta.

Wrzący strumień energii oparzył policjantowi policzek, oślepił go na jedno oko, wlał się do ust wraz z instynktownie wciągniętym haustem powietrza, wyzarzył mu płuca, zdławił go i zgiął w pół. Odruchowo pociągnięty spust energetyka odpalił ładunek, który zaskwierczał w odległej o pięć metrów stercie odpadków, ale Donald nie zawracał już sobie głowy rannym mężczyzną: kontynuując ruch rąk do góry, wbił te palce, których nie potrzebował do przytrzymywania pistoletu, od spodu w mięsistą zuchwę Totilung – która, zajęta kajdankami, nie zdążyła się zasłonić. Kopnął ją w nogę poniżej kolana, a gdy z bólu szarpnęła się w bok, upuścił gazognat, złapał ją za rękę i podciął.

Runęła na wznak z ustami rozwartymi do krzyku. Skoczył jej obiema nogami na brzuch i wydusił całe powietrze z płuc. Policjant zaczynał dochodzić do siebie – krztusił się i płakał, ale rozpaczliwie próbował wycelować broń, śmiertelnie przerażony, że zamiast Donalda mógłby zastrzelić swoją przełożoną.

Donald wybił się obunóż, wyrznął go z byka w korpus i wprasował w ścianę budynku. Miękka czapka nie stanowiła żadnej osłony, gdy głowa mężczyzny zderzyła się z ceglanym murem; zaskowyczał i wypuścił broń z ręki.

Donald złapał pistolet w locie, odwrócił go w ręce, zrobił krok w bok i zastrzelił najpierw policjanta, a potem Totilung.

Oto rzecz, którą umiemy najlepiej. Jesteśmy w tym niesamowici. Niewiarygodni. Niezrównani.

Działał szybko. Zsunął ciała razem. Wybrudził przy tym ręce klejącym się tłuszczem rozlanym po przypieczonej skórze, która pod wpływem ładunków energetycznych upodobniła się do skórki na wieprzowej pieczeni. Wytarł je o niezwęglony skrawek munduru policjanta i zdjął komzestaw z ramienia. Zgodnie z instrukcją, podłożył pod pokrywkę opakowanie zapalek. Z dłonią na pokrętle zmusił się do spokojnego rozeznania w układzie pobliskich uliczek; doszedł do wniosku, że jeśli

patrolówka Totilung chciała podjechać jak najbliżej, to w tej chwili musi się znajdować gdzieś na prawo od niego. Zgiełk miasta lekko się wzmógł – sjęsta miała się ku końcowi.

Przestawił pokrętko w ostatnie, nieoznakowane położenie i puścił się biegiem.

Wybiegłszy z zaułka, zobaczył pierwszych przechodniów i celowo, z wysiłkiem zwolnił kroku; prawą rękę z bronią trzymał w kieszeni kurtkoszuli, żeby nie rzucała się w oczy. Przeszedł dwadzieścia kroków, kiedy zza jego pleców dobiegł głuchy huk. Dookoła przestraszeni ludzie przystawali, odwracali się, pokazywali palcami. Poszedł za ich przykładem, żeby nie wyróżniać się z tłumu bardziej niż to konieczne, i zobaczył, jak dwa domy przy wylocie zaułka wałę się w gruzy w tumanach kurzu i dymu. Przerażliwe krzyki przeszły powietrze, szybko jednak zostały zagłuszone łoskotem kolejnych budynków, składających się jak kawałki mokrej tektury w powodzi gruzu i ciał.

* * *

Czas od tamtej chwili do zachodu słońca został poszatkwany na odrębne obrazy, postrzegane przez Donalda raczej instynktownie niż zmysłowo. W którymś momencie kulił się w załomie muru i wymiotował obiadem zjedzonym w nadmorskiej knajpce; z niejakim zaciekawieniem odnotował fakt, w jaki sposób jego żołądek przebarwił jedzenie. Kiedy indziej stał oparty o ladę jednego z wszechobecnych kiosków i udawał, że targuje się z właścicielem, czekając, aż minie ich przejeżdżająca patrolówka. Poszczególne doświadczenia nie układały się jednak w żaden ciąg. Miał wyraźnie określony właściwy moment, w którym musiał odzyskać kontakt ze światem, ale wcześniej wolał niczego nie percypować.

Zapadnięcie zmroku aktywowało rozkaz, który sam sobie wydał. Drżąc z osłabienia, które było wynikiem strachu, odrazy i wymiotów, wrócił jak lunatyk do dzielnicy, w której mieszkał Sugaiguntung.

O godzinie pół do ósmej od jego domu dzieliła go mniej niż przecznica. Powoli odzyskiwał zimną krew. Ukryty za kępką pachnących krzewów

przed wzrokiem policjantów, czuł, jak jego świadomość znów zaczyna się sprzęgać z wydarzeniami zachodzącymi wokół niego. Na nowo uczył się formować spójne myśli.

Spory tu ruch, zauważył. To chyba niemożliwe, żeby już odkopali ciało Totilung? Chociaż i bez tego nie trzeba geniusza, żeby się domyślić, co zrobiłem.

Musnął palcami spoczywający w kieszeni pistolet energetyczny; ładunek, z którym broń opuściła policyjną zbrojownię, był prawie nienaruszony. Próbował się pocieszać, że został przeszkolony – z wykorzystaniem najnowocześniejszych technik – w skutecznym używaniu takiej broni. Na próżno. Jediną drogą ucieczki mogło być działanie.

Działanie. Dodawanie? Raczej odejmowanie. Dzielenie. Jestem mniej niż człowiekiem.

Ostrożnie wychynął z kryjówki. Przeszedł za ledwie kawałeczek, kiedy musiał rzucić się na ziemię w cieniu ozdobnego żywopłotu, żeby nie wypatrzył go uzbrojony wartownik.

Czekają na mnie. Czyżby Sugaiguntung pożałował swojego wyznania? Wycofał się z zamiaru ucieczki? Nie pozwolę mu na to. Nie ośmielę się.

Pół godziny zajęło mu ustalenie, jak dokładnie wyglądają zabezpieczenia domu profesora. Poza patrolówką, która kursowała bezszelestnie w tę i z powrotem po trzech głównych ulicach w pobliżu, pięciokątnego ogrodu strzegło siedmiu policjantów – po jednym na każdy odcinek muru, plus dwóch przy bramie – ale poza tym, jak z ulgą stwierdził Donald, życie toczyło się swoim rytmem. Z okien płynęły dźwięki włączonych telewizorów, a w jednym z pobliskich domów trwały chyba próby tradycyjnej opery, bo było słychać bicie w gongi i wysilone w śpiewie głosy.

Przynajmniej nie musiał się zbyt martwić perspektywą spotkania ze wścibskimi sąsiadami.

Wychodząc rano z hotelu, wziął ze sobą kapsułkę spoksa, żeby w kluczowym momencie móc dodatkowo ukoić nerwy. Przełknął ją teraz, modląc się, by żołądek nie zbuntował się, dopóki jej nie strawi.

Kiedy spoks zaczął działać i nie groziło mu już nagłe szczęknięcie zębami, skierował się do ozdobnie zdeformowanego drzewa, które wypatrzył rano, a którego gałęzie zwieszały się na drugą stronę ogrodzenia. Policjant pilnujący tego skrawka muru za każdym razem przechodził dokładnie pod tym drzewem.

Przy następnej rundce też tak zrobił. Złączone stopy Donalda trafiły go w kark, reszta ciała – i ciężaru – podążyła za nimi i wgniotła go twarzą w rozmiękczone deszczem błoto. Walczył dosłownie kilka chwil, zanim zemdlął z ustami i nosem zatkanymi ziemią.

Donald unieszkodliwił mu energetyk, wrzuciwszy go do kałuży, w której broń rozładowała się w obłokach syczącej pary, i wspiał się z powrotem na drzewo. Przesuwał się ostrożnie po najgrubszym konarze, aż udało mu się zeskoczyć po drugiej stronie muru, wprost w kwitnący krzew, który złagodził jego upadek. Widział stąd główną bramę, gdzie dwaj strażnicy stali ramię w ramię w blasku lampy, odwróceny w tej chwili w drugą stronę.

Okna po tej stronie domu były ciemne – poza jednym, przesłoniętym drewnianą żaluzją. Donald ruszył ku niemu, wymijając plamę światła z lampy nad wejściem, i ukradkiem zajrzał do środka: Sugaiguntung siedział na niskim pufie przy stole zastawionym pustymi talerzami i miseczkami. Był sam, właśnie skończył jeść kolację. Drzwi do pokoju się otworzyły i Donald rozpoznał kobietę, którą widział już rano. Teraz zapytała profesora, czy ma posprzątać.

Przekradł się za najbliższy róg i obszedł budynek z drugiej strony. Poświęcił dyskrecję na rzecz pośpiechu, mając świadomość, że policjanci wkrótce zauważą nieobecność jednego ze swoich. Na tyłach domu znajdowały się oszklone przesuwane drzwi, prowadzące do ogrodu. Zajrzał przez nie, ale niczego nie zobaczył, w pokoju bowiem panował nieprzenikniony mrok. Postanowił podejść bliżej, kiedy oślepiające światło zatańczyło mu nagle na twarzy.

Oślepl. Przez ułamek sekundy był kompletnie zaskoczony i sparaliżowany, dopóki udrećzone oczy nie odpowiedziały mu, że to Sugaiguntung włączył światło, rozpoznał go i podszedł do drzwi.

Cofnął się z dłonią przy rękojeści broni. Żywił desperacką nadzieję, że nikt inny nie patrzy akurat w tę stronę.

– Panie Hogan! – wykrzyknął Sugaiguntung. – Co pan tu robi?

– Sam mnie pan zaprosił – odparował chłodno Donald. Chwilowy wstrząs wyparował bez śladu, zatarty błyskawicznym działaniem spoksa.

– Owszem, ale policja chce pana aresztować, a...

– Wiem. Dzisiaj rano uderzyłem kogoś kamerą, a ponieważ Totilung z rozkoszą by mnie deportowała, chce wykorzystać to zdarzenie jako pretekst. Co więcej, uda jej się, jeśli nie zgasi pan tego światła!

– Proszę wejść – mruknął Sugaiguntung, cofając się w głąb pokoju. – W domu jesteśmy tylko ja i moja przygłucha gosposia.

Donald przemknął obok niego. Sugaiguntung zamknął drzwi i opuścił żaluzje z listewek, odcinając pokój od świata na zewnątrz.

– Czy nadal chce pan zrobić to, o czym rozmawialiśmy wczoraj? – spytał Donald, na wszelki wypadek trzymając rękę blisko pistoletu.

Naukowiec zrobił zdziwioną minę.

– Czy chce pan przestać być narzędziem w rękach polityków? – przypomniał mu Donald. – Obiecałem, że mogę to panu załatwić. Ryzykuję w tym celu życie. Jak będzie?

– Cały dzień się zastanawiałem – przyznał po chwili Sugaiguntung – i myślę... że tak. To by było dla mnie spełnienie marzeń.

Z oddali dobiegł krzyk i tupot biegnących stóp. Donald poczuł się nagle wiotki jak szmata.

– Chwała Bogu. W takim razie musi pan zrobić to, co każe. Natychmiast. Może nawet jest już za późno, ale raczej w to wątpię.

* * *

Ścieżką na tyłach do drugiej furtki, przy której stali dwaj kolejni policjanci – Sugaiguntung biegiem po samej dróżce, Donald bezszelestnie tuż obok, po miękkiej ziemi. Strażnicy obejrzel się za siebie i włączyli latarkę.

– Szybko! – wydyszał Sugaiguntung. – Sierżant kazał wam biec za dom! – Wskazał na lewo. – Ktoś tam ogłuszył wartownika!

Policjanci spojrzeli we wskazanym kierunku. Zobaczyli ruszające się snopy świateł latarek, usłyszeli czyjś głos wykrzykujący rozkaz. Doszli do wniosku, że profesor mówi prawdę, i popędzili przed siebie.

Ledwie zniknęli za załomem muru, Donald otworzył furtkę i przepchnął przez nią Sugaiguntunga. Zaraz za nią rozpościerał się gąszcz krętych ścieżek, który zbadał rankiem. Na prawo w dole znajdowało się morze.

A co zrobię, jeśli się okaże, że ten krwawiciel Halal zawiódł?

Było jednak za późno na rozważanie takich przerażających ewentualności. Ponaglał Sugaiguntunga jak mógł, starając się nie dyszeć zbyt głośno i nasłuchując odgłosów pościgu. Niczego nie usłyszał, a tymczasem ścieżka wyprowadziła ich na spokojną uliczkę mieszkalną. Teraz musieli iść nieśpiesznie i od czasu do czasu przechodzić na drugą stronę ulicy, żeby uniknąć rozpoznania przez wieczornych spacerowiczów.

Minęło nie wiadomo ile czasu, zanim w końcu na jednym ze skrzyżowań dostrzegli taksówkę i udało im się ją zatrzymać. Pojechali nad morze i porzucili taksówkę w okolicy popularnej wśród turystów, obfitującej w restauracje specjalizujące się w rybie z grilla i yatakańskich piosenkach ludowych. Wtopili się w tłum, wykorzystując markizy, parawany i załomy murów do ukrywania się przed wścibskimi spojrzeniami. Donald wyprowadził ich na plażę, na której za dnia stało trzydzieści, może czterdzieści wyciągniętych na brzeg kutrów rybackich.

Na ostatnim odcinku serce podeszło mu do gardła. Prawie zemdłał z ulgi, gdy zobaczył, że – zgodnie z obietnicą Halala – mimo że większość kutrów wypłynęła na połów (ich światełka kolebały się na wodzie na tle majaczącego w oddali masywu Pradziada Loa), kilka nadal tkwiło na piasku; ich załogi dopiero się zbierały, rybacy żartowali, popijali arak i częstowali się papierosami.

– Pewien człowiek miał nam załatwić przewiezienie jedną z tych łodzi na drugi brzeg cieśniny – wyjaśnił Donald Sugaiguntungowi, zniżając głos.
– Proszę tu zaczekać. Znajdę go.

Naukowiec skinął głową. Jego twarz była jak maska, nie wyrażała żadnych emocji, jakby nie zdążył jeszcze przetrwać konsekwencji swojej decyzji. Perspektywa pozostawienia go samego była niepokojąca, ale

Donald nie miał innego wyjścia – tego człowieka znali wszyscy, nie można było ryzykować pokazywania go rybakom.

Halal zapowiedział, że na maszcie wybranego przez niego kutra będzie wisiała niebieska lampa. Obawy Donalda odżyły, gdy na żadnej łodzi nie znalazł takiego sygnału – w ogóle tylko jedna miała lampę na maszcie, ale nie niebieską. Zdesperowany próbował sobie tłumaczyć, że kolor nie ma znaczenia; może po prostu nie znaleźli niebieskiego klosza.

Trzej mężczyźni szykowali kuter do wyjścia w morze. Zwijali na dziobie typowe yatakańskie okrężnice i przepłukiwali je wodą, żeby zatoneły natychmiast po zrzuconiu za burtę.

Postawił wszystko na jedną kartę, zaufał swojej intuicji i zagadnął człowieka, który wyglądał na kapitana:

– Szukam Pakistańczyka. Nazywa się Zulfikar Halal.

Jeśli ten upalony tchórz zawalił sprawę, to go... Nie, nie będę miał okazji. Albo pójdę siedzieć, albo będę trupem!

Kapitan oderwał się od pracy i odwrócił do intruza. Długo patrzył, zanim wziął do ręki lampę i poświecił wprost na Donalda.

– To ty jesteś ten Amerykanin? Hogan?

W pierwszej chwili Donald nie zrozumiał pytania – mężczyzna wymówił jego nazwisko z silnym yatakańskim akcentem. Gdy tylko dotarł do niego sens słów, jego świat wywrócił się do góry nogami.

Odskoczył i wyszarpnął pistolet z kieszeni. Spodziewał się, że lada chwila z krzaków wyskoczą policjanci.

– Nie ma potrzeby! – dodał podniesionym głosem kapitan i wybuchnął śmiechem. – Ja cię znam. I wiem, gdzie chcesz płynąć: do Jogajonga. Jogajong ma wielu zwolenników wśród nas, rybaków. Rozeszła się dzisiaj wieść, że gdybyś potrzebował pomocy, powinniśmy ci jej udzielić. Wsiadaj.

kontekst (24)

JEDEN Z WIELU PRAKTYCZNIE IDENTYCZNYCH
WYDRUKÓW Z SALMANASARA

PROGRAM ODRZUCONY

P powód odrzucenia

ANOMALIE W DANYCH ŹRÓDŁOWYCH

P zdefiniuj P określ

DANE W NASTĘPUJĄCYCH KATEGORIACH NIEMOŻLIWE DO
ZAAKCEPTOWANIA: HISTORIA HANDEL INTERAKCJE SPOŁECZNE
KULTURA

P przyjmij dane bez zmian

PYTANIE POZBAWIONE SENSU REAKCJA NIEMOŻLIWA

ciągłość (34)

WIĘCEJ JEST WIARY W SZCZERYCH WĄTPLIWOŚCIACH

Norman powinien był wziąć udział w uroczystym podpisaniu przez Rama Ibusę kontraktu z Konsorcjum Benińskim, późniejszej konferencji prasowej i oficjalnym wieczornym bankiecie, ale zamiast tego przekazał Ibusę ludziom z wydziału reprezentacyjnego GT, a sam się ulotnił.

Zbyt wiele widział, słyszał i wyczuwał. Mimo pomyślnych wieści z giełdy (akcje GT odzyskały kurs z dnia śmierci założycielki i wszystko wskazywało na to, że będą się pięły wyżej), mimo związanej z tym udawanej radości, komunikatów podekscytowanych służb prasowych i płynącego z głośników skomponowanego na zamówienie „Motywu Beninii”, nie był w stanie znieść atmosfery panującej w wieżowcu GT. Było zbyt wiele szarych twarzy, zbyt wiele beztroskich masek spadło, gdy ich właścicielom wydawało się, że nikt nie patrzy. Podobny nastrój mógłby panować w obozie Żydów, gdyby Jahwe z sobie tylko znanych powodów odmówił uczynienia cudu i unicestwienia najwyższego kapłana Dagona.

Co więcej, według Normana nie było to zwykłe porównanie, lecz stwierdzenie faktu. Wszechwiedzący Salmanasar zawiódł wiernych wyznawców, a ci obawiali się, że doszło do tego nie z jego winy, lecz z ich.

Przekłete komputery! – rozmyślał Norman. Sztuczka Szejtana! Salmanasar mógł nas zawieść w tysiącu sytuacji, ale wybrał akurat tę, w której moje nadzieje i całe moje życie zależą od jego decyzji!

Kupił paczkę bay goldów i wrócił do domu.

* * *

Klucz Watch-&-Ward Inc. gładko wśliznął się do zamka. Drzwi przesunęły się w bok, odsłaniając wnętrze mieszkania: bałagan, poprzestawiane meble, przy barku puste butelki, których ktoś nie wyniósł do całonocznika – ale poza tym nic się nie zmieniło.

W pierwszej chwili pomyślał, że mieszkanie jest puste. Zajrzawszy do sypialni, stwierdził, że pościel jest trochę wymięta, ale tylko dlatego, że ktoś położył się na narzucie, nikt jednak nie spał w samym łóżku. Wzruszył ramionami, zapalił jednego z nowo kupionych blantów i wrócił do salonu.

Usłyszał ciche chrapanie.

Podszedł do drzwi dawnego pokoju Donalda i otworzył je na oścież. Chad Mulligan ze zmierzwionymi włosami i brodą rzucił się na łóżko i zasnął – goły jak święty turecki, jeśli nie liczyć butów.

Dopiero co minęła czwarta po-pe. Co ten gość sobie myślał, śpiąc o tej porze?

– Chad? – zagadnął Norman. I drugi raz, głośniejszym głosem: – Chad!

– Co... – Powieki zatrzepotały, opadły, podniosły się... i już tak zostały. – Norman! Kurzeszmac, nie spodziewałem się, że wrócisz do Nowego Jorku! Łojezu... Która godzina?

– Po czwartej.

Chad usiadł, spuścił nogi na podłogę i przetarł oczy, bezskutecznie powstrzymując gigantyczne ziewnięcie.

– Uuaah! Przepraszam, Norman... Uch! Witaj w domu. Wybacz, bez prysznic nie nadaję się do kontaktów z ludźmi.

– Od kiedy to sypiasz za dnia?

Chadowi udało się wstać, a nawet wspiąć na palce. Rozprostował ręce i przeciągnął zeszywniałe mięśnie.

– Rzadko mi się zdarza. Po prostu ostatniej nocy myślałem, myślałem i myślałem, nie mogłem zasnąć, a potem zamiast śniadania się schlałem i było po ptokach.

– O czym myślałeś? A poza tym poduszka ma wbudowany induktor, nie wiedziałeś? Uspilby cię.

– Po induktorach mam sny. A po alkoholu nie.

Norman wzruszył ramionami. Ani on sam, ani Donald nigdy nie mieli takich kłopotów, ale rzeczywiście przypominał sobie, że jedna, może dwie laski, które u nich nocowały, też się na to skarżyły: koszmary po induktorze.

– Idź się wykąp – powiedział. – Tylko szybko. Chcę z tobą pogadać.

Przyszedł mu do głowy pewien pomysł – najprawdopodobniej próżna nadzieja, nic więcej, ale w obecnym kryzysie należało wykorzystać każdą, nawet najmniejszą szansę.

– Jasna sprawa – mruknął Chad. – Mogę cię prosić o przysługę? Weź zamów jakąś kawę...

* * *

Pięć minut później Chad – ubrany, z włosami i brodą jeszcze mokrymi, ale schludnie przyczesanymi – wziął do ręki czekający na niego kubek z kawą i usiadł na krześle Donalda, naprzeciw Normana, który zajął miejsce na swoim ulubionym meblu.

– Zazdroszczę ci tego krzesła od Hille’a – przyznał z roztargnieniem Chad. – Prawdę mówiąc, to chyba jedyna rzecz w tym domu, której ci zazdroszczę. Wygodne jest. Poza tym wiesz, że pozostanie krzesłem, nie zmieni się nagle w projektor kosmoramiczny... Dobra, mów do mnie.

– Chad... Uchodzisz za najbardziej przenikliwego z żyjących analityków społecznych.

– Mierzwa. Uchodzę za pijacynę. Osiągnąłem stan, w którym upijam się tak szybko, że nie chce mi się nawet wyjść i poszukać jakiejś laski. A ja naprawdę lubię kobiety. – Mulligan przełknął łyk kawy i otarł wąsy wierzchem dłoni.

– Chcę cię zatrudnić – oznajmił chłodno Norman.

– Zatrudnić? Mnie? Chyba się upaliłeś. Po pierwsze, jestem tak bogaty, że nie muszę pracować. Doszedłem do wniosku, że wykończę samego siebie dwa razy szybciej niż swoje pieniądze. Próbuję zbić tę proporcję do półtora raza; gdybym nagle dostał robotę, szlag by trafił moje wyliczenia. Po drugie, i tak mnie nikt nie słucha, więc na co komu moja praca? Mam

nadzieję, że jasno się wyraziłem. Napij się... Nie, przypał sobie. Chodź, pójdziemy gdzieś, zgarniemy jakieś laski i uczymy twój powrót. Zrobmy coś. Cokolwiek!

– Mam praktycznie wolną rękę w prowadzeniu Projektu Benińskiego i chcę cię mieć u siebie. Sam powiedz, ile ci mam płacić.

– Ale za co? – Chad sprawiał wrażenie szczerze zdziwionego.

– Bo widzisz... Słyszałeś, jak Elihu piał z zachwytem nad Beninią, prawda?

– Też przy tym byłeś. Gadał, jakby miał bezpośrednią łączność z rajem.

– Uważasz, że łatwo mnie do czegoś przekonać?

– Pytasz, czy uważam cię za twardziela? Nie. Chociaż lubisz za takiego uchodzić. Co ty właściwie kombinujesz? Chcesz przejąć rolę Elihu? Powtarzać jego propagandowe gadki?

– No właśnie. Chad, Beninia spokojnie zajmuje się swoimi sprawami, kiedy dookoła panuje chaos. Było takich krajów więcej, ale wszystkie – Nepal, Tahiti, Samoa – ugięły się pod presją z zewnątrz i dały się zredukować do statusu dobrych miejsc na wycieczki z Jetteksem.

– A czego się spodziewałeś? Cały czas powtarzam ludziom, że jesteśmy obrzydliwym gatunkiem, mamy fatalne maniery i nie powinniśmy przetrwać – odparł Chad i zmienił temat: – Dostałeś mój list?

– Oczywiście, że dostałem. Nie odpisałem, bo byłem masakrycznie zajęty. Ale teraz mnie słuchaj, dobrze? Mniejsza o presję z zewnątrz. W Beninii od piętnastu lat nie doszło do zabójstwa; nigdy nie mieli tam wścieków, ani jednego; w ich języku nie można powiedzieć, że się człowiek złości, inaczej niż poprzez stwierdzenie, że zwariował; zaledwie jedno pokolenie wstecz tysiące uchodźców Inoko i Kpała przelały się przez granicę, ale nie doszło do żadnych niesnasek na tle plemiennym. Prezydent rządzi krajem, który ma milion mieszkańców, ja wiem, że według dzisiejszych standardów to błahostka, ale on kieruje nim jak domem, jak rodziną, nie jak narodem. Rozumiesz, co mówię? Nie potrafię wyjaśnić, na czym polega różnica, ale widziałem to wszystko na własne oczy.

Norman widział, że jego słowa zaczynają trafiać do celu – na części twarzy Chada widocznej ponad brodą i wąsami malowało się skupienie.

– Jedna wielka, szczęśliwa rodzina, tak? W porządku, rozumiem, ale czego ty właściwie ode mnie oczekujesz? Jak cię słucham, to wygląda na to, że oni tam świetnie radzą sobie sami.

– Nie widziałeś biuletynów, w których trąbiono o realizacji projektu benińskiego? Sam niedawno w wieżowcu GT widziałem powtórkę serwisu Engrelay Satelserv; pominęli tylko fakt, że po śmierci Obomiego Dahomalia i RUNG mogą stanąć do walki o schedę po nim.

– Śledzę wiadomości. Ciekawią mnie postępy twojego dawnego fumfla, Donalda.

Chwila kompletnego zaskoczenia.

– Co z nim? – zdziwił się Norman.

– Mówili o nim w tym samym biuletynie, w którym było o Beninii!

– Nie obejrzałem całości, tylko ten wycinek powtarzany w GT... Co Donald nawywijał?

– Nic takiego, ocalił Sugaiguntunga przed wściekiem. Wścieka zabił gołymi rękami.

– Donald?! Co ty, Chad, orbitujesz? Donald nawet za milion lat...

– Wszyscy ludzie są dzikimi zwierzętami, których nie należy spuszczać z uwięzi. – Chad wstał i podszedł do barku. – Chyba strzelę sobie klinika.

Oszolomiony Norman kręcił głową. Donald? Załatwił wścieka? Brzmiało to tak absurdalnie, że postanowił o tym zapomnieć i podjąć przerwany wątek.

– Chad, będę cię tak długo męczył, aż się zgodzisz, rozumiesz?

– Mam jechać do Beninii? – Chad odmierzył pokaźną porcję wódki i zaczął ręcznie mieszać whistlera, jakby nie ufał programowi barku. – Po co? Szukasz socjologa-konsultanta, zwróć się do kogoś z odpowiednim doświadczeniem. Co ja wiem o Afryce Zachodniej? Tyle co przeczytam i zobaczę w telewizji. Zatrudnij specjalistów.

– Specjalistów to ja już mam. Chcę CIE-BIE.

– Żebym zrobił coś, czego oni nie są w stanie?

– Wywrócił Beninię do góry nogami i wytrząsnął jej kieszenie.

Chad skosztował whistlera i dodał trochę angostury.

– Nie, Norman. Bądź miłym ziomkiem, zostaw mnie w spokoju, a ja sobie spokojnie będę gnił, aż umrę. Obiecuję ci, że wielką osłodą mojej przedwczesnej starości będzie świadomość, że gdzieś tam na dziobatej powierzchni naszej Matki Ziemi jest taki kraj, którego mieszkańcy nie zabijają się nawzajem, nie dostają pierdolca i w ogóle zachowują się jak na porządnym ludzi przystało. Nie chcę tam jechać, bo tak sobie myślę, że w głębi serca nie wierzę w istnienie takiego miejsca.

– Całkiem jak Salmanasar – zauważył Norman.

– Co takiego?

– Salmanasar odrzuca wszystkie nasze próby wprowadzenia faktów na temat Beninii do jego modelu świata rzeczywistego. Nie przyjmuje niczego, co dotyczy jej historii, gospodarki, kultury i społeczeństwa. Twierdzi, że w danych występują anomalie, i po prostu wypływa je z powrotem.

– Nie możecie mu kazać ich przyjąć?

– Jeśli odrzuca dane, to zamiast zlecać mu wyliczenia na ich podstawie, równie dobrze można by mu kazać przyjąć założenie, że upuszczone przedmioty spadają do góry. To wariactwo. Cały projekt beniński opierał się na założeniu, że każdy jego etap zostanie przeanalizowany przez Salmanasara: nie tylko wzięte z teorii wytyczne, ale także programy edukacyjne, przewidywane kryzysy dyplomatyczne, cała gospodarka kraju z dokładnością do kieszonkowego dla progenów, i to na pół stulecia naprzód. A on ciągle nawija o jakichś anomaliach, o których ja z doświadczenia wiem, że nie istnieją!

Chad popatrzył na Normana szeroko otwartymi oczami, a po chwili wybuchnął śmiechem.

– Ależ oczywiście, że istnieją. Przed chwilą sam mi o nich opowiadałeś. Norman, nie czujesz tego? Chyba coś ci wyzarło mózg. Ale niech ci będzie, wygrałeś; niech nikt nie mówi, że odmówiłem pomocy przyjacielowi w potrzebie. Poczekaj, dopiję drinka i razem pójdziemy odwiedzić Salmanasara.

Norman – wciąż zaskoczony, ale z zachowania Chada wnioskujący, że ten dostrzega jakieś absolutnie oczywiste rozwiązanie – miał zamiar coś

odpowiedzieć, kiedy zadzwonił wideofon. Odwrócił się wraz z krzesłem i pstryknął przełącznikiem.

Na ekranie wyświetliła się ożywiona podobizna Reksa Fostera-Sterna.

– Norman! – wypalił Stern. – Kurżeszmac, co ty tam robisz?! Prosper orbituje ze strachu; kiedy się dowiedział, że nie możemy cię znaleźć przed konferencją prasową, mało nie zemdleł!

– Nic nie szkodzi. Powiedz mu, że pracuję nad zatrudnieniem specjalnego doradcy. – Norman zerknął na Chada, który wzruszył ramionami i rozcapierzył tę dłoń, w której nie trzymał drinka.

– Kurżeszmac, świetny moment sobie znalazłeś na rekrutację! Co to za jeden, ten doradca?

– Chad Mulligan. Właśnie zabieram go na spotkanie z Salmanasarem, będziemy za pół godziny; możesz mu załatwić pozwolenie na bezpośredni kontakt głosowy?

– Pół godziny?! Norman, czyś ty...

– Pół godziny – powtórzył stanowczo Norman i przerwał połączenie.

– Wiesz co? – zagadnął go Chad. – Powiem ci, że to może być całkiem interesujące. Często myślałem o tym, że powinienem poznać Sala osobiście.

na zbliżeniu (24)

BEZ POWODU, CELU I UZASADNIENIA

Sierżant przetrzymał szeregowego Lindta Geralda S., nr 019 262 587 355, do samego końca, a kiedy wreszcie wręczył mu przepustkę, zmarszczył posępnie brwi.

– Kurzeszmać, Lindt, mam szczerą nadzieję, że na zewnątrz zachowujecie się lepiej niż w jednostce!

– Tak jest, panie sierżancie! – odparł Gerry.

Mimo że przebrał się już w cywilne ubranie, stał wyprężony na baczność, sztywny jak kawał drewna i wpatrywał się w punkt w przestrzeni tuż nad ramieniem sierżanta. Podczas szkolenia wstępnego stracił prawie trzy kilogramy i musiał ciasniej zapinać pasek spodni.

– Jakoś się nie dziwię – mruknął sierżant z pogardą. – W głębi serca jesteście mięczakiem, prawda?

– Tak jest, panie sierżancie.

– Ale mam nadzieję, że przynajmniej czegoś się w wojsku nauczyliście, hmm? No, nie traktujcie tej wiedzy jak słowa Bożego, danego raz na zawsze. Zanim z wami skończymy, wyrwiemy wam serce i przerobimy na swój sposób. Dobra, szeregowy, zmieńcie scenerię.

– Proszę o pozwolenie na odejście.

– Jesteście wolni, szeregowy.

* * *

Tym razem jechał do LA na przepustkę tydzień później niż kumple z poboru. Poprzednio miał trzydzieści sześć godzin obsuwy. Półtorej doby karnej musztry. Zaczynał z wolna łapać ideę: każdemu rekrutowi, który sikał w buty (taki był teraz obowiązujący żargon), od razu na wejściu przypadła rola kozła ofiarnego; dzięki temu podoficerowie nie musieli się wysilać i sami wybierać. Pozostali rekruci – widząc, jak jest traktowany – mieli się trząść ze strachu i być grzeczni.

Podczas dotychczasowych sesji szkoleniowych radził sobie lepiej niż przeciętna – był bystrzejszy niż inni i w lepszej formie fizycznej. Większość jego kumpli z tego samego naboru stanowiły brązowe kinole ze stanów, w których tacy jak oni nadal klepali biedę i nie mieli ani dość pieniędzy, ani dość wyobraźni, żeby wymigać się od poboru. Do tego dochodziła garstka białych z tych samych stanów, oraz całkiem pokaźna liczba Portorykańczyków, którzy dali się złapać komputerom. Domyślał się, że powodem, dla którego doczekał się specjalnego traktowania, była jakaś oficjalna dyrektywa mająca dodać animuszu jego towarzyszom: znajdźcie sobie jakiegoś jasnowłosego przystojniaka o niebieskich oczach i mu dołóżcie; nie będzie mógł się skarżyć, że to rasizm.

Był jedynym blondynem w całym oddziale.

To, że był lepszy od innych, nie ocaliło go przed gorszym traktowaniem.

Teza, antyteza... synteza.

Razem z innymi wsiadł na pokład poduszkiowca przewożącego na ląd rekrutów na przepustce. Nie odczuwał szczególnego entuzjazmu z powodu chwilowej wolności. Nie odczuwał szczególnego entuzjazmu z żadnego powodu – co najwyżej miał pewność, że nikomu nie zamierza włączyć w tyłek. Gdyby się nie bał, że wyjdzie na odmieńca, wołałby zostać w koszarach i napisać list do domu.

* * *

W miejscu, gdzie poduszkiowiec wyjeżdżał po betonowej pochylni na ląd i dalej na drogę, komuś udało się przeciągnąć między dwoma słupami drut z produkowanego przez GT monowłókna. Kierowcy się śpieszyło (tego

wieczoru miał obsłużyć jeszcze siedem kursów, zanim sam dostanie przepustkę) i zderzył się z drutem przy prędkości ponad sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Drut przeciął kabinę nie napotkawszy prawie żadnego oporu, porozrywał wiązania krystaliczne, nie naruszając mocniejszych od nich wiązań w obrębie cząsteczek. Na metalu i plastiku nie został żaden ślad – rozcięcia na nich natychmiast się zasklepiły zgodnie z zasadą Johanssena, zanim powietrze zdążyło wnikać w szczeliny i osłabić naturalną przyczepność krawędzi.

Tyle że siła zdolna rozdzielić części składowe była również w stanie zahamować ich ponowne połączenie.

Gerry Lindt odwracał się akurat do współpasażera, który go o coś zapytał; siła skręcająca wystarczyła, żeby po przecięciu drutem jego szyja nie zasklepiła się gładko. Może nawet dobrze się stało, ponieważ po uszkodzeniu rdzenia kręgowego i tak mógłby zostać sparaliżowany od szyi w dół. Jednakże takiej piekielnej udręki jak widok bezgłowego torsu (zarejestrowany przez jego oczy, gdy – wciąż osadzone w czaszce – staczały się na podłogę pojazdu) nie życzyłby mu nawet jego sierżant.

Oczywiście była to robota bojowników, nie żaden przypadkowy sabotaż. Natychmiast zorganizowano oblławę, zarządzono masowe aresztowania podejrzanych, po czym wśród ponad dwustu więźniów odkryto co najmniej czterech osobników opłacanych bezpośrednio przez Chińczyków.

Dla Gerry'ego Lindta nie stanowiło to wielkiego pocieszenia.

ciągłość (35)

W OCZEKIWANIU NA ODBIÓR

Przyprowadziwszy Sugaiguntunga na kuter, Donald odczuł przelotne ukłucie lęku, że naukowiec jednak się wycofa. Nie wiedział mnóstwa rzeczy o tym człowieku, którego życie odmienił swoją prawie boską interwencją. Może bał się morza? Albo miał klaustrofobię i nie da się zamknąć w ładowni?

Powód wahania Sugaiguntunga stał się jednak jasny przy jego następnej wypowiedzi:

– Powiedział pan... Jogajong?

– Zgadza się! – odwarknął Donald. – Komu innemu w tym kraju można zaufać, że ochroni pana przed tą bandą u władzy?

– Ja... nie zdawałem sobie sprawy. – Sugaiguntung obliznął wargi. – Nie mieszam się do takich rzeczy. To wszystko jest dla mnie takie nowe, to wstrząs... Panie kapitanie?

Szyper spojrzał na niego z uwagą.

– Naprawdę ufa pan temu człowiekowi?

Jezu Chryste, na debaty polityczne mu się zebrało?!

Donald wytężył słuch, nasłuchując dudniącego łoskotu policyjnego helikoptera albo huku turbin łodzi patrolowej.

– Tak, proszę pana – odparł kapitan.

– Dlaczego?

– Proszę na nas spojrzeć, na mnie i moich przyjaciół. Nosimy łachmany. Proszę spojrzeć na moją łódź: pilnie potrzebuje nowego silnika i świeżej farby. Marszałek Solukarta powtarza nam, rybakom, że jesteśmy opoką tego kraju, ponieważ dostarczamy cennej, zdrowej żywności, która

poprawia pracę mózgu. Następnie ustala cenę ryb na dwadzieścia tala za kosz, a kiedy narzekamy, zarzuca nam zdradę stanu. Nie wolno mi nawet rzucić pracy, żeby poszukać na łodzi innej, lepszej, za większe pieniądze. Proszę pana o wybaczenie... pan doktor Sugaiguntung, prawda? Ale temu krajowi nie potrzeba lepszych dzieci, tylko lepszych dorosłych, którzy lepiej wychowają swoje dzieci.

Sugaiguntung wzruszył ramionami i podszedł do łodzi. Nie wiedział jak się wspiąć na nadburcie – nie było żadnej drabinki ani schodka. Donald jeszcze raz obejrzał się nerwowo przez ramię, w końcu schował pistolet i pomógł kapitanowi wciągnąć naukowca na pokład.

– Ukryjcie się w ładowni – uprzedził ich kapitan. – Jest ciemna i cuchnąca, ale w cieśninie na pewno zatrzyma nas jakiś patrol, może nawet więcej niż jeden. Musimy płynąć bardzo powoli, zanim zaryzykujemy przeszukanie ładowni, trzeba nałowić sporo ryb, żeby zwieść strażników.

Donald zdał sobie sprawę, że dla rybaków to nie pierwszozna: szybko i sprawnie dwaj członkowie załogi zawinęli jego i profesora w stare brezentowe płachty, żeby nie poniszczyć im ubrań, i kazali im się położyć w najdalszym kącie ładowni, przy wywietrzniku. Zostali z Sugaiguntungiem sami. Kuter wyszedł w morze i wkrótce cały rozdygotał się w nierównym rytmie silników.

W mroku łagodnym tylko plamą szarości w miejscu, gdzie światło latarni na maszcie przesączało się przez żaluzje wywietrznika, Sugaiguntung jęknął cicho.

– Proszę się nie martwić – powiedział Donald. Wbrew jego woli słowa te zabrzmiały jak wyraz rozpaczliwej nadziei.

– Panie Hogan, ja nie wiem, czy postąpiłem właściwie! Może... może po prostu podporządkowałem się obyczajom, zamiast naprawdę podjąć decyzję.

– Nie rozumiem – przyznał Donald. Strzępy dawno przyswojonej wiedzy antropologicznej z wolna przeciekały mu z powrotem do świadomości. – Chociaż nie, może i rozumiem... Chodzi panu o siłę tradycji: ten, kto ocalił panu życie, ma do niego prawo.

– Tak mnie nauczono w dzieciństwie, a w nas, współczesnych, wciąż jest wiele miejsca na irracjonalność. Tylko raz w życiu otarłem się wcześniej o śmierć, gdy zaraziłem się pewnym wirusem; wtedy byłem jeszcze mały. Jeśli chciałeś odzyskać prawo dysponowania własnym życiem, musiałeś najpierw... jak to się mówi... zadośćuczynić? Musiałeś zadośćuczynić życzeniu człowieka, który cię uratował.

– Tak to się właśnie mówi po angielsku. Trochę to staroświeckie, ale poprawne – przytaknął z roztargnieniem Donald.

Przed chwilą usłyszał dźwięk zrzuconych do wody okrężnic. Wkrótce ładownia zacznie się wypełniać i Bóg jeden wie, ile kolejnych zrzutów ryb przyjdzie im przeżyć, zanim kuter będzie mógł się skierować na drugi brzeg cieśniny.

Sugaiguntung mówił jednak dalej, jak odtwarzane nagranie:

– Jako naukowiec wiem, że spalenie stożkowego kadzidelka w żaden sposób nie ułagodzi wulkanu, a jednak kiedy moja żona zapalała kadzidło dla Pradziada Loa i czułem w domu zapach dymu, w jakiś sposób... czułem się lepiej. Rozumie mnie pan?

Donald przypomniał sobie, z jakim uporem Norman korespondował z Biurami Badań Genetycznych, i parsknął niewesołym śmiechem.

– Tak mi się wydaje – przyznał.

– Widzi pan, sporo myślałem o tym, z czego zostałem zapamiętany, gdyby ten wściek mnie zabił. Bo raczej nie z rzeczy, z których jestem dumny; mam na myśli kauczukowce i bakterie dostosowane do ludzkich potrzeb. Zapamiętano by mnie z czegoś, czego nikomu nie obiecywałem! Czego nie byłem w stanie dokonać! Z czasem zaczęto by mnie mieć za oszusta, prawda? – spytał Sugaiguntung błagalnym tonem, jakby rozpaczliwie poszukiwał usprawiedliwienia dla swojej decyzji.

– Najprawdopodobniej tak – zgodził się z nim Donald. – Chociaż to by było nie fair.

– Właśnie: to by było nie fair – powtórzył z lubością naukowiec. – Nikt nie ma prawa kraść cudzej reputacji i wykorzystywać jej do uwiarygodnienia fałszu. To nie ulega wątpliwości. A teraz przynajmniej będę miał szansę powiedzieć prawdę. Mam rację?

– Nikt nie będzie tego panu utrudniał.

Skrzypnęła pokrywa i pierwsza partia obrzydliwie rzucających się ryb spadła do ładowni, żeby umrzeć w obcym żywiole. Po nich przyszły następne, i następne, aż wreszcie zebrała się ich taka masa, że osłoniły uciekinierów przed wzrokiem kogoś, kto pobieżnie zlustrowałby ładownię.

Wnętrznosci podeszły Donaldowi do gardła, gdy uświadomił sobie, że umierające ryby wydają specyficzny dźwięk. Świat powoli stał się ciemnym i śmierdzącym nie-miejscem.

* * *

Prawie zasnął – była to jedyna dostępna droga ucieczki – gdy usłyszał przytłumione wołanie kapitana:

– Panie Hogan! Mieliśmy szczęście: łódź patrolowa oddała się od nas, widzimy jej światła pozycyjne. Pośpieszcie się, możemy was teraz wysadzić na ląd!

Donald nieporadnie przegramolił się przez śliskie kopce ryb; ich łuski czepiały się jego ubrania i oblepiały je plamami fosforescencji; przypominał yatakańskiego ducha ze świątynnych malowideł. Kiedy wydzwignął się z włazu (po omacku, bo kapitan zgasił lampę na maszcie), odwrócił się i pomógł wyjść Sugaiguntungowi. Ociekając wodą, która zebrała się na dnie ładowni, i drżąc z zimna, stanęli obok siebie na skąnym pokładzie.

– Dałem znać wartownikom, są ukryci wśród drzew – wyszeptał kapitan. – Wiedzą, że jesteśmy przyjaciółmi. Nie będą strzelać.

– Co robią pańscy ludzie? – zapytał Donald, widząc, jak dwóch rybaków wychyla się z dziobu i sięga w ciemność.

– Na dnie leży przeciągnięty kabel – wyjaśnił kapitan. – Nie chcemy uruchamiać silnika, żeby nie hałasować, a przy tak słabym wietrze płynęlibyśmy zbyt wolno... O, jest.

Rozległ się cichy plusk i rybacy wyciągnęli kabel z wody, zaczepili o niego hak i wyteżywszy siły, zaczęli holować kuter ku brzegowi. Było pochmurno, ale Donald dostrzegł granicę między czarnym niebem

i czarnym łądem. Po lewej stronie nieliczne światełka na zboczach Pradziada Loa mrugały kpiąco.

Łodzią szarpnęło. Sugaiguntung stracił równowagę i złapał Donalda za rękę.

– Szybko! – ponaglił ich kapitan. – Wyskakujcie! Motorówka zawraca!

Donald nie potrafił rozróżnić światełek migoczących na wodach cieśniny, ale nie zamierzał spierać się z ekspertem.

– Co pan powie, jeśli zapytają, po co tu przyплыnęliście? – zainteresował się.

– Że chcieliśmy wyrzucić rybę *latah*.

– Dlaczego?

– Jest jadowita: ukłucie promieniem płetwy może przyprawić o szaleństwo. Nie odważą się zejść na ląd i was szukać, bo *latah* jest groźna nawet po śmierci. – Kapitan lekko popchnął Donalda. – Ale pośpieszcie się: jeśli faktycznie podplyną nas zagadnąć, będą się zastanawiać, dlaczego potrzebowaliśmy aż tyle czasu, żeby się pozbyć jednej małej rybki!

Donald poszedł za jego radą i zsunął się po burcie po stronie przeciwnej niż zbliżająca się motorówka. Zapadł się po kostki w miękkim piasku i pomógł wysiąść naukowcowi. Sugaiguntung miał dreszcze.

– Prosto przed siebie! – szepnął jeszcze kapitan. – Ktoś po was wyjdzie i nie będzie to duch!

Rzuciwszy ten gorzki yatakański żart, kazał ściągnąć kuter z mielizny i zawrócić.

Starając się iść jak najciszej, Donald wyprowadził Sugaiguntunga na suchy ląd. Ledwie przecięli wąziutki pas plaży, czepiły się ich najpierw włókniste trawy, a zaraz potem gałęzie krzewów. Widząc coś, co przypominało ścieżkę, Donald ruszył nią przed siebie. Sugaiguntung trzymał się dwa kroki z tyłu.

– Stać! – powiedział ktoś bardzo cicho po yatakańsku.

Donald natychmiast się zatrzymał – tak gwałtownie, że Sugaiguntung wpadł na niego i uczepił się go kurczowo. Było słyhać, jak szczeka zębami.

Na Boga, nie mógłby bardziej wyluzować? Przynajmniej jest u siebie, nikt go nie wziął do samolotu i nie wyrzucił z dala od domu, na drugim

krańcu świata.

Tyle że dom okazał się wcale nie mniej wrogi niż egzotyczna dżungla, rzecz jasna.

Z ukrycia wynurzył się jeden wartownik, potem drugi i trzeci. W ciemności majaczyły ich zdeformowane głowy – wszyscy nosili nocne okulary. Dwaj z nich, uzbrojeni w karabiny, trzymali się z tyłu, trzeci, wyposażony tylko w emiter czarnego światła, obejrzał Donalda i jego towarzysza. Potwierdziwszy ich tożsamość, odezwał się:

– Chodźcie z nami! Tylko cicho!

Nastał czas pszemieszczania się po omacku tunelem poskręcanym jak wnętrzności węża, chyba wykarczowanym w gąszczu, starannie uformowanym, wzmocnionym i zamaskowanym wszechobecną zielenią tak skutecznie, że Donaldowi ani razu nie mignęło niebo nad głową. Po dłuższym czasie teren zaczął się wznosić.

Sugaiguntung pojękiwał ze zmęczenia i ich przewodnik zwolnił kroku, za co Donald był mu bardzo wdzięczny. Wycucie kierunku na razie go nie zawiodło, ale z braku zewnętrznych danych powoli zaczynał mieć kłopoty z określaniem stron świata. Na ile mógł to stwierdzić, zbliżali się do Pradziada Loa – czyżby to na jego zbocze zaczęli się teraz wspinać? Wulkan piętrzył się na wysokość ponad dwóch tysięcy siedmiuset metrów; niedorzecznością byłoby próbować zaciągnąć Sugaiguntunga zbyt wysoko na jego stoki.

Nagle przewodnik dał im na migi znać, żeby się zatrzymali. Zdyszani wykonali polecenie, a on odbył prawie niesłyszalną dla nich krótką rozmowę z innym strażnikiem. Donald skorzystał z okazji do skupienia myśli na czymś innym niż zbyt szybki marsz pod górę i zdał sobie sprawę, że temperatura jest znacznie niższa niż w ciągu dnia, a mimo to z przodu napływa ciepłe powietrze. Czuł je na twarzy.

– Wyimińcie mnie – polecił przewodnik okrzyknięty przez strażnika.

Donald i Sugaiguntung posłusznie przeszli obok niego i po dziesięciu metrach znaleźli się na niewielkiej zadaszonej polanie, z dwóch stron osłoniętej wybrzuszeniami terenu. W głębi, na wprost, majaczyła wysoka na niespełna półtora metra ciemna plama, która mogła być wejściem do

jaskini. Na pniakach pozostałych po drzewach, które najpierw zostały wycięte, żeby utworzyć tę polanę, a następnie (bystre oczy Donalda wypatrzyły ślady, których nie sposób byłoby dostrzec z lotu ptaka) przeschęcione na te stojące dookoła i nagięte ku środkowi, przez co utworzyły ochronny baldachim, siedziało ośmioro, może dziewięcioro uzbrojonych po zęby ludzi w ciemnych ubraniach. Ciepłe powietrze, którego podmuch poczuł wcześniej, było od stojącego na środku polany grzejnika.

Jeden z mężczyzn wstał.

– Pan Hogan? – spytał z niezłym angielskim akcentem. – Nazywam się Jogajong. Witam w mojej kwaterze głównej. Zadał pan dzisiaj potężny cios tym, którzy chcieliby zniewolić Yatakang. Doktorze Sugaiguntung, jesteśmy zaszczytni, mogąc pana gościć.

Naukowiec wymamrotał w odpowiedzi coś, czego Donald nie zrozumiał.

– Nie jest to może luksusowy hotel – ciągnął Jogajong – ale myślę, że okazemy panom należyłą gościnność podczas oczekiwania na okręt podwodny, który ma was stąd zabrać. Proszę się nie obawiać, że wykrywacze podczerwieni namierzą grzejnik; w tej jaskini znajduje się gorące źródło, które czasem wydziela obłoki ciepłego gazu. Najbliższa wioska jest prawie kilometr stąd. Na ścieżkach wokół obozowiska trzymam ponad setkę zaufanych strażników, a poza tym, z czego chyba zdajecie sobie panowie sprawę, biorąc pod uwagę, jak do mnie trafiliście, mam również przyjaciół wśród zwykłych ludzi. Siadajcie, proszę. Jesteście głodni? Spragnieni? Chcielibyście zapalić?

Donald pociągnął nosem, wężąc. Jakby przejęty upomnieniem Jogajonga, obłok cuchnącej siarką pary wypłynął z wylotu jaskini, przywołując skojarzenia z piekłem.

Za to pewność siebie, jaką emanował przywódca rebeliantów, była przyjemnie uspokajająca. Donald miał okazję cofnąć się pamięcią do najświeższych wspomnień... i natychmiast stanął mu przed oczami moment największej zgrozy, gorszy nawet od tamtej chwili, gdy

Sugaiguntung zapalił światło w domu i wystawił go na widok publiczny przy szklanych drzwiach.

– Co się stało z Zulfikarem Halalem? – zapytał.

Nikt nie odpowiedział. Jogajong wzruszył ramionami.

– Powiedział, że transport na drugą stronę cieśniny jest drogi! – ciągnął Donald podniesionym głosem. – Zapłaciłem mu tysiąc tala, a ten krwawiciel nawet się nie pojawił!

– Kłamał – odparł beznamiętnie Jogajong. – Mamy dobry kontakt z pańskimi rodakami w Yatakangu. Gdy tylko dowiedzieliśmy się, co pan zamierza, poczyniliśmy własne przygotowania. Sześć kutrów czekało dziś na plaży dłużej niż zwykle; każdy z nich dowiózłby panów do mnie, nie dlatego, że przekupiłem kapitanów, ale dlatego, że ich o to poprosiłem.

– Chce pan powiedzieć, że mogłem w ogóle się z nim nie kontaktować?

– W rzeczy samej.

Donald zacisnął pięści.

– Ten przekłety...

– Istotnie, to słabe ogniwo w moim łańcuchu – przytaknął Jogajong. – Dlatego wolę polegać na swoich krajanach. Wy oczywiście uważacie szpiegostwo za brudną robotę i wolicie, żeby ktoś inny ubrudził sobie ręce. Złożę raport; ten człowiek nikogo więcej niż oszuka.

– Co dokładnie pan zrobi? – Wściekły Donald chętnie posłuchałby o torturach: przypalaniu ogniem i wyrywaniu paznokci.

– Szepnie się słówko, komu trzeba – mruknął Jogajong. – Aresztują go, a więzienia w Gongilungu nie są bynajmniej rajem... Proszę się tym nie martwić. I tak zrobił pan więcej niż było trzeba, a w ostatecznym rozrachunku nawet jego zdrada nie zniweczyła pańskiego aktu odwagi.

Donald westchnął i się odprężył. Przywódca rebeliantów miał oczywiście rację.

– Jak długo mamy czekać? – Donald jeszcze raz rozejrzał się po polanie.

– Powiedzieli panu?

– Do czasu, aż aktywność akwabandytów osłabnie na tyle, żeby okręt mógł bezpiecznie przypląć.

– Major Delahanty też tak mówił. Jak długo?

– W mojej ocenie... trzy do pięciu dni – odparł spokojnie Jogajong. – W razie potrzeby możemy podjąć pewne... hmm... działania dywersyjne, żeby odwrócić ich uwagę, ale wolelibyśmy tego uniknąć. Zniknięcie tak sławnej postaci jak doktor Sugaiguntung i bez tego przysporzy ogromnych kłopotów reżimowi Solukarty. Mam nadzieję, że nie uda im się ukryć prawdy. Domniemanie, że profesor z własnej woli opuścił kraj, bardzo by pomogło mojej sprawie.

Donald w zamyśleniu potarł podbródek.

– Hm... Jest pan pewien, że ujawnienie tej informacji byłoby korzystne?

– Całkowicie.

– Mógłby pan przekazać anonimową wiadomość komuś w klubie prasowym w Gongilungu?

– Z łatwością. Prawdę mówiąc, też o tym myślałem, ale potrzebne mi nazwiska ludzi, którzy potraktują taką informację poważnie, zamiast zlekceważyć ją jak zwykłą plotkę.

– Dam panu nazwisko – powiedział Donald.

– Świetnie! – Jogajong z wahaniem obejrzał się na swoich ludzi siedzących w milczeniu na pniakach. – Ale na razie muszę panów przeprosić, mam do dokończenia naradę sztabową. Porozmawiamy później, tak?

Donald pokiwał głową.

Naradę sztabową? – powtórzył w myślach. Czemu nie... Tak to pewnie wygląda w niezliczonych innych krajach: Rosji, Chinach, Afryce Południowej, na Kubie... Garstka mężczyzn i kobiet spotyka się w tajnej kryjówce, a potem wychodzą z ukrycia i jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej z banitów stają się ministrami! Kto lepiej ode mnie miałby wiedzieć, jak szybka i łatwa jest taka przemiana?

Fakt, że planowanie następnej rewolucji w Yatakangu odbywa się u stóp wulkanu, wydawał się nadzwyczaj wymowny.

na zbliżeniu (25)

CZŁOWIEK BEZ PRZEKONAŃ

Kiedy Jeff Young przeczytał o pułapce zastawionej na żołnierzy wychodzących na przepustkę z obozu na wodzie, dodał dwa do dwóch. Ten sam bojownik, który kupił od niego aluminofagi, pytał też o drut z monowłókna, który akurat był na składzie w warsztacie. Najwyraźniej wpadł mu w ręce któryś z brukowców przedrukowujących historię o francuskich bojownikach ruchu oporu w czasie drugiej wojny światowej, którzy zastawiali takie pułapki na kurierów motocyklowych. Różnica była tylko taka, że Francuzi musieli stosować struny fortepianowe, które – jako grubsze i łatwiejsze do zauważenia – nadawały się do użytku wyłącznie po zmierzchu.

Jeffowi zrobiło się trochę przykro na wieść o jedenastu zabitych i trzydziestu jeden ciężko rannych żołnierzach. Osobiście wołał takie akcje sabotażowe, które tylko wzburzały ludzi, upodabniając ich do mrówek, którym ktoś rozwalił mrowisko – inaczej mówiąc, żarty. W pewnym sensie.

Rzecz jasna, w wypadku, z którego wyszedł z jedną nogą krótszą, nie było nic zabawnego...

Najpiękniejsze w monowłóknie splecionym z pojedynczych, niezwykle długich molekuł było oczywiście to, że przecinało prawie każdy materiał z taką samą łatwością, z jaką nóż kroi ser, a jego odporność na zerwanie była niezwykle bliska teoretycznie wyliczonej wartości maksymalnej. Posługiwanie się nim było – co zrozumiałe – dość kłopotliwe: trzeba było mieć rękawiczki z siatki monomolekularnej, bo bez nich drut ciął ciało lepiej niż brzytwa.

Snując takie rozważania, Jeff wymyślił zupełnie nowy sposób unieszkodliwienia rapitransu, wpadł na pomysł wysadzenia w powietrze miejskiej magistrali gazowej z odległości nieprzekraczającej trzech kilometrów, oraz opracował projekt urządzenia, które później doprowadziło do zawalenia się tunelu piędzimetra na linii North Rockies.

kontekst (25)

ULUBIONA HISTORYJKA CHADA MULLIGANA

Wielce szanowany profesor filozofii stanął za katedrą, wziął do ręki kawałek kredy i nagryzmolił na tablicy pewne twierdzenie logiki symbolicznej. Odwróciwszy się do studentów, powiedział:

– Proszę państwa, zgodzicie się chyba, że jest to oczywiste?

Przyjrząwszy się bacznie swojemu dziełu, zaczął drapać się po głowie, aż w końcu rzekł:

– Przepraszam państwa na chwilę.

I wyszedł.

Wrócił po jakiejś półgodzinie i z promiennym uśmiechem oznajmił:

– Tak, miałem rację: to naprawdę jest oczywiste!

ciągłość (36)

IMPROWIZACJA

W chwili, gdy Norman z Chadem pojawili się w holu wieżowca GT, jakiś anonimowy pracownik wybiegł im na spotkanie z informacją, że Rex Foster-Stern chce się z nimi widzieć. Zaraz po nim zjawił się drugi i powiedział, że Prosper Rankin wszędzie szuka Normana. Trzeci nie został daleko w tyle: powiadomił Normana, że Hamilcar Waterford dopytuje się o miejsce jego pobytu. Rankin i Waterford mogli zaczekać, ale Rex – to co innego.

– Gdzie go znajdę? – spytał Norman.

– W komorze Salmanasara.

– Właśnie tam idziemy.

– Ehm... – Pracownik był wyraźnie zakłopotany. – Kim jest ten dżentelmen?

– To Chad Mulligan – odparł Norman i odsunął go z drogi.

GT do perfekcji opanowało zarządzanie wizerunkiem, ale Norman dostrzegał subtelne sygnały świadczące o powolnym pękaniu tej fasady. Nie miało znaczenia, że dwie grupy zwiedzających czekały w holu na oprowadzenie – dowodziło to tylko, że plotki o nieuchronnym upadku korporacji nie zdołały osłabić promocyjnego efektu kontraktu benińskiego. Nie miało znaczenia, że ekipa Engrelay Satelserv ściągnęła kamery i masę innego sprzętu, żeby zrelacjonować zaplanowany na wieczór oficjalny bankiet. Nie miało znaczenia, że wszędzie roilo się od reporterów o każdym możliwym kolorze skóry (reprezentujących też prawdopodobnie wszystkie pięć aleksandryjskich płci), którzy jednym okiem śledzili bieżące wydarzenia, a drugim spoglądali w przyszłość.

Odzwierciedleniem prawdziwej sytuacji było zachowanie szeregowych pracowników, szepczących po kątach; powaga członka zarządu, który, wychodząc z budynku, nie raczył się nawet uśmiechnąć do zagranicznego korespondenta; niemal namacalny zapach powszechnego napięcia.

I w dół, prosto na poziom, na którym znajdowała się komora Salmanasara. Ktoś musiał uprzedzić Reksa, że ma gości, bo kiedy drzwi windy się rozsunęły, powitał ich widok jego wzburzonej twarzy.

– Norman! Czy ty w ogóle masz pojęcie, ile kłopotów...

– Zrobiłeś to, o co prosiłem? – wszedł mu w słowo Norman.

– Co? Tak, niby tak, ale wiesz, to kosztuje, a z pieniędzmi krucho! Przez twoje widzimi się musieliśmy przełożyć zakontraktowany czas obliczeniowy wart pół miliona!

– Mała niedogodność w zamian za uniknięcie katastrofy... To chyba uczciwa cena? Jakie sumy wchodzi w grę w przypadku Beninii?

Rex otarł twarz wierzchem dłoni.

– Norman, ja wiem, że teoretycznie kierujesz tym projektem, ale...

– Kurzeszmac, Rex! Nie żadne „teoretycznie”, tylko faktycznie kieruję tym projektem! Nikt nie ma do stracenia więcej ode mnie, nikt! Może poza samymi Benińczykami i ewentualnie Elihu Mastersem. Co nam załatwiłeś?

Rex przelknął ślinę. Opuścił rękę.

– Za... niech no spojrzę... za sześć minut... Mulligan otrzyma pozwolenie na bezpośredni kontakt głosowy. Ale piętnaście minut to wszystko, co udało mi się wywalczyć; potem zaczyna się regularny, zakontraktowany czas SKANALIZATORA, a tego już nie odważyłem się przestawiać.

– Widzę też, że chwilowo spławiliście turystów.

– Twój dawny dział dostaje od tego świra, ale co ja im na to poradzę? Przecież sam nie wiem, jakich tajemnic firmowych będzie dotyczyła wasza gadka szmatka, prawda?

– Chad! – Norman zwrócił się do Mulligana. – Wystarczy ci piętnaście minut czy mam uderzać do Rankina i odwołać przydział dla SKANALIZATORA?

Chad podszedł bliżej i z takim samym zaciekawieniem jak pierwszy lepszy turysta z ulicy rozglądał się po komorze Salmanasara. Niektórzy

obsługujący sprzęt technicy byli wyraźnie speszeni jego natarczywym zainteresowaniem.

– Słucham? A tak, tak, wystarczy. Jeżeli nie załatwię tego w kwadrans, będzie to świadczyło o błędności mojego rozumowania.

– Panie Mulligan, twierdzi pan, że w ciągu kwadransa rozwiąże pan problem, który naszym technikom spędza sen z powiek od wielu dni? – Sądząc po głosie Reksa, mógłby eksplodować z czystej furii, gdyby odpowiedź na pytanie okazała się twierdząca.

Usatysfakcjonowany oględzinami zewnętrznej powłoki Salmanasara Chad bez pośpiechu odwrócił się do Reksa.

– A pan to kto? – zainteresował się.

– Foster-Stern, wice ds. projektów i planowania. To wszystko tutaj podlega pode mnie.

– Jasne. W takim razie możesz poświęcić chwilę na powtórkę informacji, których udzielił mi Norman. Zobaczymy, czy nie pominął czegoś istotnego.

To jest zupełnie nowy Chad Mulligan, uświadomił sobie zaskoczony Norman.

Już wcześniej zdarzało mu się słyszeć w tym głosie pogardę, zawsze jednak była to pogarda paląca, żarliwa, zrodzona z frustracji. Teraz wydawała się chłodna i przemyślana. Tak mógłby się zachowywać przełożony, który podwładnymi rządzi wyłącznie za pomocą obelg i sarkazmu. Podtekst był oczywisty: jestem lepszym człowiekiem od ciebie!

Nawet wyglądał inaczej. Zniknął zgarbiony, pogodzony z porażką i wyzuty z ambicji człowieczek, który zapowiada, że zdeprawuje się na śmierć. W jego ciele znać było napięcie, w oczach pojawił się błysk, jakby Mulligan szykował się do straszliwej walki, w której wie, że ma pięćdziesiąt jeden procent szans na zwycięstwo.

Jakby przez cały czas, odkąd go poznałem, próbował mi zaimponować, a teraz o tym zapomniał i stał się po prostu sobą, pomyślał Norman.

A Chad Mulligan będący sobą prezentował się o wiele bardziej imponująco. Wykrzywiona wargą, dłonie dźgające powietrze, jakby garściami formował materię słów wypowiedzianych szczekliwym głosem,

władcza aura otaczająca go, gdy przyciągał coraz to nowych słuchaczy spośród personelu. Pytanie i odpowiedź; pytanie źle zrozumiane, odpowiedź ucięta w połowie spojrzeniem spode łba; inżynierowie przekrzykujący się nawzajem w swojej gotowości do pomocy...

Oszołomiony Norman słuchał jednym uchem. Związał wszystkie nadzieje z człowiekiem, którego praktycznie nie znał, i myśl o tym, że trzyma w garści kwit na wygrany zakład, była trudna do przełknięcia.

U kogo widziałem wcześniej taką przemianę...

Refleksja „człowiek, którego praktycznie nie znam” podsunęła mu skojarzenie, a to doprowadziło go do odpowiedzi – odpowiedzi, która wydawała się niedorzeczna: Donald Hogan.

Ale takie były fakty. W taki sam sposób Donald zdradzał (rzadkie i bardzo dyskretne) oznaki podniecenia, gdy natknął się na zabawną lub potencjalnie znaczącą informację, która pasowała do nowego, fascynującego schematu jak zagubiony kawałek puzzli do całości obrazka.

I w taki sam sposób Donald zburzył tę wizję – jakby prawdziwy człowiek sięgnął obok Normana i roztrzaskał zniekształcające lustro, w które ten wolał dotychczas spoglądać.

Zabił wścieka gołymi rękami?! Nie Donald. Nie ten spokojny, łagodny, nijaki Donald, z którego temperamentem mierzyłem się dziesiątki razy w błahych domowych kłótniach!

Odsunął od siebie wizję swojego ciała leżącego na podłodze po tym, jak przesadził z prowokowaniem współlokatora, i skoncentrował się na teraźniejszości.

– Została nam minuta, tak? – mówił właśnie Chad. – Przecwiczmy jeszcze raz procedurę. Mówię „pytanie”, wtedy Sal przechodzi w tryb przyjmowania pytań i włącza mu się gadżet, który ogranicza odpowiedź do ogarnialnych rozmiarów. Jeżeli to nie zadziała, mówię albo „czekaj”, albo „anuluj”, zależnie od tego, czy chcę kontynuować temat, czy go zmienić.

Jego słuchacze zgodnie pokiwali głowami.

– A co mam powiedzieć, kiedy chcę, żeby przyjął nowe dane?

Pustka na twarzach, w końcu Rex przejął inicjatywę:

– Cóż, panie Mulligan, wydaje mi się, że nie powinien pan...

- Zapnij twarz. Co mam powiedzieć?
 - „Założenie” – odparł niechętnie Rex.
 - Ale to w sytuacji hipotetycznej! Co mam powiedzieć, żeby on to założenie przyjął?
 - Jak by to powiedzieć... Nie przewidzieliśmy możliwości wprowadzania nowego materiału w formie werbalnej...
 - Panie Foster-Stern, jeżeli zamierza mnie pan zwodzić, jestem gotowy powiedzieć Normanowi, że będzie musiał skasować przedział czasowy SKANALIZATORA. A tego by pan chyba nie chciał, co?
- Rex przełknął potężną kulę w gardle, jabłko Adama podskoczyło mu dziko. Odparł omdlałym głosem:
- Musi pan powiedzieć „Oto rzekłem raz trzeci”.
- Chad najpierw wybałuszył oczy, a zaraz potem wyszczerzył zęby w uśmiechu.
- Kurzeszmac! Więc ktoś w tym wielkim zigguracie miał kiedyś poczucie humoru! Założę się, że długo tu miejsca nie zagrażał.
 - Zakończone! – zawołał ktoś stojący blisko wyjścia wydruków Salmanasara. – Gotowy do komunikacji głosowej.

* * *

Oto rzekłem raz trzeci:

Prawdą jest powiedziane po trzykroć[10].

Ten urywek z *Wyprawy na Żmirlacza* tłukł się Normanowi po głowie, gdy patrzył, jak Chad z przyprawiającą o obłąd powolnością podchodzi do mikrofonu. Porównanie do wojownika szykującego się do bitwy było jak najbardziej trafione – Chad stanął przed niezrównanym wyzwaniem, być może jedynym, które było w stanie wytrącić go z roli rozczarowanego cynika, jaką sam sobie narzucił.

– Salmanasar? – powiedział Mulligan do mikrofonu. – Cześć, Sal. Nazywam się Chad Mulligan.

Głos Salmanasara zawsze przyprawiał Normana o dreszcze – nawet nie dlatego, że było w jego brzmieniu coś upiornego, ale raczej ze względu na skojarzenia, jakie przywoływał. Bazował na głosie sławnego operowego barytona i miał nadzwyczaj przyjemny tembr.

Kłopot w tym, że ów baryton popełnił samobójstwo. Ta świadomość sprawiała, że dla Normana głos Sala był trudny do zniesienia.

– Znam pańskie książki, panie Mulligan – odparł Salmanasar. – Mam również w archiwum wywiady, jakich udzielił pan telewizji. Rozpoznałem pana po głosie i wyglądzie.

– To mi pochlebia. – Chad usiadł na fotelu przed mikrofonem i otaczającą go baterią kamer. – Z tego, co słyszałem, nie masz czasu na puste gadki, więc od razu przejdę do rzeczy. Pytanie: co jest nie w porządku z projektem benińskim?

– Nie powiedzie się – odpowiedział Salmanasar.

Norman zerknął ukradkiem na Rekxa. Trudno było stwierdzić, czy przyczyną jego rozdrażnienia jest nonszalancja Chada, czy raczej świadomość, że wykorzystywanie Salmanasara w taki sposób spowalnia jego błyskawiczne reakcje do poziomu bliskiego ludzkiemu, a to oznaczało stratę cennego czasu. Umożliwienie maszynie porozumiewania się w zwyczajnej angielszczyźnie oznaczało przekazywanie wszystkich informacji poprzez instalacje pomocnicze, działające ponad tysiąc razy wolniej od światłopisów.

– Pytanie: dlaczego?

– Dane, które otrzymałem, zawierają niemożliwe do zaakceptowania anomalie.

– Pytanie: czy można powiedzieć, że nie wierzysz w to, co ci powiedziano o Beninii?

Nastąpiła całkiem mierzalna zwłoka w odpowiedzi. Rex zdążył nawet postąpić pół kroku w przód i już, już zamierzał powiedzieć coś o tym, jak to antropocentryczne idee zmuszają Salmanasara do przeczesywania wszystkich banków pamięci...

– Tak – rozległ się sztuczny głos. – Nie wierzę.

– Hmm... – Chad skubnął brodę. – Pytanie: które elementy danych są niemożliwe do zaakceptowania? Konkretnie.

Kolejna pauza, jeszcze dłuższa od poprzedniej, gdy Salmanasar analizował wszystko, cokolwiek powiedziano mu w związku z tematem, i odcedzał nieistotne informacje.

– Czynniki ludzkie w stosunkach społecznych – odparł w końcu. – Ponadto...

– Czeka! – przerwał mu Chad. Znowu wplótł palce w brodę i szarpnął lekko. – Pytanie: czy znasz język Shinków?

– Tak.

– Pytanie: czy słownik tego języka jest jedną z anomalii, które każą ci odrzucić dane?

– Tak.

Stojący dookoła technicy spoglądali po sobie ze zdumieniem; paru poważnie się na dyskretny uśmiech.

– Pytanie: czy warunki życia, przedstawione ci jako typowe dla Beninii, każą ci oczekiwać po ludziach innego zachowania niż to, o jakim jesteś informowany?

– Tak.

– Pytanie: czy stosunki polityczne Beninii i krajów ościennych również stanowią jedną z anomalii?

– Tak.

Natychmiast, bez żadnej zwłoki.

– Pytanie: czy wewnętrzna struktura polityczna kraju też jest anormalna?

– Tak.

– Pytanie: zdefiniuj „anormalna”. Bądź jak najbardziej konkretny.

– Antonim: *spójna*. Synonim: *niespójna*. Pojęcia powiązane: przystawanie, identyczność...

– Czeka! – Chad przygryzł wargę. – Kurzeszmac, to nie było dobre podejście do sprawy... ale chyba mam pewien pomysł... Sal? Pytanie: czy anomalia kryje się w danych odnoszących się bezpośrednio do Beninii, czy

też staje się oczywista dopiero gdy porównujesz Beninię do innych państw?

– To drugie. Gdyby zachodził pierwszy przypadek, anomalia jest na tyle nieznająca, że mógłbym ją przyjąć dla dobra dalszych rozważań.

– Co to w ogóle jest za ziom? – spytał ktoś stojący niedaleko Normana.

– Chad Mulligan – odpowiedział ktoś inny szeptem. Pytający wybałuszył oczy.

– W takim razie mam dla ciebie takie zadanie... – Chad zmarszczył brwi i zapatrzył się w przestrzeń. – Założenie: dane na temat Beninii, którymi dysponujesz, są prawdziwe. Pytanie: czego brakuje, żebyś mógł je pogodzić z innymi posiadanymi informacjami? Inaczej mówiąc: jakie dodatkowe założenie byłoby niezbędne, żebyś mógł zaakceptować Beninię i w nią uwierzyć?

Rex szarpnął się w przód jak marionetka. Rozdziawił usta. W podziemnej krypcie zrobiło się cicho jak makiem zasiał, było słychać tylko głos Chada i cichy pomruk procesów myślowych Salmanasara.

Norman patrzył, jak kolejnym widzom opadają szczęki.

Przecież to oczywiste!

Tymczasem milczenie przeciągało się i przeciągało, aż stało się naprawdę do zniesienia. Jeszcze sekunda i zacznę krzyczeć, pomyślał Norman. Jeszcze...

– Że na mieszkańców Beninii oddziałuje jakaś nieznana siła, która każe im zachowywać się niezgodnie ze schematami ludzkiej reakcji na podobne okoliczności zachodzące w innych krajach.

– Sal... – Chad zniżył głos. – Taka siła istnieje i jest obecnie przedmiotem badań specjalistów, którzy mają precyzyjnie określić jej naturę. Oto rzekłem raz trzeci!

Zrobił półobrót razem z fotelem i wstał. Dopiero wtedy Norman zauważył, że mimo panującego w komorze chłodu Chad ocieka potem, którego krople skrzyły się nawet na koniuszkach włosów jego brody.

– W porządku – powiedział znużony Mulligan. – Spróbujcie teraz.

Napięcie opadło w mgnieniu oka. Ktoś, kogo Norman nie znał, wskoczył na pusty fotel po Chadzie i rzucił pytanie do mikrofonu. Zabrzmiała

odpowiedź:

- Przewidywana stopa zwrotu z projektu benińskiego wyniesie...
 - Czekaj!
- Pytający spojrział na Reksa.
- Wygląda na to, że mu się udało, proszę pana! – zawołał.
 - Niech mi ktoś przyniesie jakiegoś drinka! – zażądał Chad Mulligan.

10 Przetłóżył R. Stiller.

na zbliżeniu (26)

WSZYSTKO W SWOIM CZASIE

Spiętrzone pod sufit automaty odtwarzające nagrania z patrolówek policji metropolitalnej z ostatnich dwunastu godzin (głównie na użytek komputera odpowiedzialnego za walkę z przestępczością) oznakowały wybrany fragment jednej z taśm i wysłały ją – opatrzoną kodem numerycznym – do pewnego sierżanta detektywa z działu analiz.

Kod miał następującą postać: 95 (naruszenie przepisów eugenicznych) – 16 (handel narkotykami) – 01 (kobieta) – 22 (przybliżony wiek) – 01 (jedna osoba).

Sierżant uśmiechnął się z przekąsem na myśl o tym, że w przestępstwo eugeniczne miałyby być zamieszany tylko jeden człowiek, i przewinął taśmę do wskazanego momentu, z góry wiedząc, czego się spodziewać: widoku laski w ewidentnej ciąży, orbitującej na jakimś psychodeliku. Sytuacja wymagała reakcji, zwłaszcza gdyby miało się okazać, że naszprycowała się yaginolem.

W ramach szkolenia sierżantowi pokazywano zdeformowane od yaginołu płody. Niektórzy kursanci rzygali na ich widok. Sierżant powstrzymał wtedy odruch wymiotny, ale po dziś dzień, kiedy przydarzył mu się senny koszmar, występował w nim w roli ojca takiego potwora – pozbawionego oczu, kończyn albo (to było chyba najgorsze) mózgu: przez niezarośnięte ciemiaczko można było zajrzeć do wnętrza czaszki i stwierdzić, że jest pusta.

* * *

Lekarz ją uprzedził, że od teraz musi być konsekwentna. Mogła się spodziewać cyklotymicznych wahań nastroju, które w normalnych okolicznościach sygnalizowałyby konieczność przejścia z dymiczachy na coś innego: yaginol byłby dobry dla ziomka lub laski bez brzucha, odjazdyna – dla ciężarnej. Odjazdyna miała przewagę nad dymiczachą, bo odlot w mniejszym stopniu zależał od początkowego nastroju, ale dymiczacha była znacznie łatwiejsza do zdobycia, a chodziło przecież o to, żeby wydać na świat dziecko, które zamiast tego zwyczajnego, ponurego, ohydneho miasta zwanego Londynem będzie zawsze oglądało prywatną krainę czarów, w której Poppy spędzała całe swoje życie. Dlatego kiedy lekarz kazał jej coś wybrać i do czasu porodu trzymać się raz podjętej decyzji, wybrała dymiczachę. Bała się, że może mieć kłopot z regularnym zdobywaniem odjazdyny, która była stosunkowo nowa na rynku; nie знаła jeszcze nikogo, kto by ją produkował w domu.

Jednak w te dni, kiedy jej taktowany przez gruczoły biorytm dołował w stronę depresji, bywało naprawdę źle.

Kiedy policja przyjechała do wysokiego bloku, w którym razem z Rogerem wynajmowali mieszkanie na spółkę z jeszcze jedną parą, Tedem i Sue, Poppy była akurat w dołku.

Dwaj posterunkowi nie zamierzali niepotrzebnie dodawać sobie roboty – i to właśnie powiedzieli Tedowi, który im otworzył. Nikt zresztą nie oczekiwał niczego innego: najgorsze, co się mogło wydarzyć w takiej sytuacji, to że żądny krwi prawostróż powęszy w powietrzu i zabierze delikwenta ze sobą; kończyło się to grzywną, przez którą przy następnym odlocie człowiek musiał się mocniej zakredytować. A ci dwaj nie mieli w planach nawet tego: chcieli się tylko upewnić, że pewna ciężarna dziewczyna, znana Radzie Eugenicznej i odpowiadająca przekazanemu do patrolówki rysopisowi, nie bierze yaginolu i nie zamierza obciążyć społeczeństwa poprzez wydanie na świat upośledzonego dziecka.

– Nie – odparł Ted. Poppy słyszała, jak tłumaczy się przed policją. – Oczywiście, że nie. Nie jest tak masakrycznie głupia.

– Tak czy inaczej, ziomuś, musimy ją zabrać na przejażdżkę. Do lekarza, po prostu.

Świat był pełen niosących się echem kolorów – ciemnych, ponurych, ot, taka główniana paleta. Świat był pełen dźwięczących zapachów, od których ciekło jej z nosa i oczu. Świat był pełen nieokreślonych zagrożeń, które oblekały jej skórę mrowiącą pieśzczotą niewidzialnych, zimnych ślimaków.

Później doszli do wniosku, że próbowała się ukryć, ale zamiast drzwi do szafy otworzyła okno. Dwadzieścia siedem kondygnacji ponad twardym brukiem ponurego, ohydneho miasta zwanego Londynem.

ciągłość (37)

W PRZECHOWALNI

Przydzielili Donaldowi i Sugaiguntungowi dmuchane materace przy wejściu do jaskini, która pełniła rolę arsenału i centrum łączności. Za załomem ściany stał niewidoczny z zewnątrz telewizor i znajdowało się całe miniaturowe studio radiowo-telefoniczne, tyle że przy korzystaniu z niego należało zachować dyskrecję: wulkany dobrze maskują ślady cieplne, ale charakterystyczne sygnatury sprzętu elektronicznego już niekoniecznie.

Kiedy wcześnie rano Donald przebudził się z niespokojnego snu, Sugaiguntung rzucał się na posłaniu i szczekał zębami. Zaniepokojony Donald przytknął mu dłoń do czoła: było suche i rozpalone, a profesor skarżył się na mdłości.

Na wołanie odpowiedziała dziewczyna w ciemnozielonym mundurze polowym: rozebrała Sugaiguntunga, włączyła pakiet diagnostyczny i zmierzyła temperaturę.

– To gorączka dżunglowa – orzekła w końcu. – Każdy ją tu łapie. Nie jest niebezpieczna.

– Możesz mu coś na nią dać? – spytał Donald.

– Nie jesteśmy w szpitalu – odparła ze smętną miną. – Mogę podać coś na zabicie gorączki i uderzeniową dawkę kwasu askorbinowego, ale potrzebny byłby raczej fremonowy wodzian chloralu z apiryną, a tego nie mamy. Może udałoby się go ściągnąć z Gongilungu, nie wiem. Sprawdź.

– Długo może go tak trzymać?

– Trzy dni, może cztery. Potem nabywa się trwałej odporności – tłumaczyła beznamiętnie dziewczyna. – Czasem drugiego dnia zdarzają

się majaczenia.

Tymczasem zjawił się powiadomiony o sytuacji Jogajong, jeszcze rozczochrany po wstaniu z łóżka. Wysłuchał sprawozdania dziewczyny, kiwając głową.

– Trzeba mu zapewnić ciepło i wygodę. Musi dużo pić. Nawet nieźle się złożyło, że akurat teraz się rozchorował: i tak nie miałby dokąd pójść.

* * *

Wieczorem pierwszego dnia Donald zaczął żałować, że nie wziął ze sobą zapasu spoksów; przydałoby mu się coś na uspokojenie. Pakiet diagnostyczny sugerował (tak jak podejrzewał), że nie dokucza mu ta sama choroba co Sugaiguntungowi, ale bezczynność wprawiała go w stan bliski gorączki. Jogajong nie mógł tego nie zauważyć, ale nawet tutaj, w swojej kryjówce w dżungli, miał ręce pełne roboty, dlatego dopiero wieczorem znalazł czas, żeby odwiedzić Donalda i zagadnąć go z typowo yatakańską uprzejmością:

– Nie jest pan przyzwyczajony do czekania, panie Hogan... To widać.

– Nie wiem, do czego jestem przyzwyczajony. – Donald westchnął. – Jeszcze całkiem niedawno większość czasu pochłaniała mi rutyna, od której robiło mi się niedobrze, po czym nagle zostałem z niej wyrwany i rzucony w sam środek tego chaosu. Moje nowe życie toczy się znacznie szybciej, przez co po dziesięciu dniach mam go tak samo dość, jak tamtego poprzedniego po dziesięciu latach.

Po drugiej stronie polany z gęstwiny wynurzył się jeden z młodych oficerów Jogajonga: niósł phang z nabitym na czubek nieżywym wężem. Pokazał go dowódcy, zasalutował i doczekał się uśmiechu aprobaty.

– To jakiś szczególnie jadowity wąż? – zainteresował się od niechcienia Donald.

– Nie, wcale nie. Za to bardzo smaczny. Prawdziwy rarytas. Nie mamy tutaj wielu luksusów.

– Bardzo smaczny! – Niewiele brakowało, żeby Donald zerwał się na równe nogi. – No, skoro pan tak twierdzi, to chyba...

Otarł spoconą twarz. Drażnił go kleisty, siarkowy odór z wulkanicznej solfatary, która tego dnia była ponoć wyjątkowo aktywna; nasączała wilgotne, nieruchome powietrze oparami, które nie miały gdzie się rozwiać.

– Przykro mi z powodu naszej obozowej rutyny i towarzyszącej jej nudy – powiedział Jogajong. Donald nie umiał stwierdzić, czy mówi to z przekąsem, czy całkiem serio. – Chętnie zorganizowałbym jakąś rozrywkę, może zabrał pana na jakiś wypad, ale aktualny klimat opinii niezbyt sprzyja mojej sprawie. Poza tym uważam, że jest pan zbyt cenny, żeby ryzykować pańską osobę w taki sposób.

Donald starannie przetrawił te słowa, zanim w końcu odparł:

– Czy to właśnie... ehm... aktualny klimat opinii sprawia, że tkwi pan w tym miejscu?

– Nie inaczej. Plan był taki, że po wylądowaniu tutaj zacznę działać otwarcie. Moja sprawa cieszy się ogromnym poparciem prostych ludzi, nieco mniejszym wśród zamożnych obywateli. Partia opozycyjna w Gongilungu jest słaba, mimo że pewne grupy moich zwolenników, na przykład rybacy, o których już pan wie, a także niektórzy intelektualiści i większość robotników budowlanych pozostali nam wierni. Na co bardziej odległych wyspach administracja całych dużych społeczności spoczywa w naszych rękach; miałem nadzieję rozpocząć powszechną kampanię, a nawet ogłosić niepodległość i, w razie potrzeby, wytrzymać oblężenie. Tak się niefortunnie złożyło, że obietnica optymalizacji nowego pokolenia zmusiła mnie do zmiany planów. Oczywiście, dzięki panu i pańskim dokonaniom kłamstwo zostanie zdemaskowane, a wynikłe z tego faktu oburzenie stanie się paliwem rewolucji.

Mówił w taki sposób, jakby na poparcie swoich słów dysponował opinią samego Salmanasara. I poniekąd tak właśnie jest, pomyślał Donald – waszyngtońskie komputery musiały bardzo wysoko ocenić jego szanse, zanim przerzucono go tu ze Stanów.

– Czy gdyby reżim Solukarty nie wpadł we własne sidła, naprawdę bylibyście gotowi wywołać wojnę domową?

Jogajong wzruszył ramionami.

– Na pewno trwałoby to dłużej, rozgrywało się wolniej, może przyszłoby nam za to słono zapłacić... Ale przecież wolność nie ma ceny.

– A życie? Jaka jest cena życia? – spytał rozgoryczony Donald.

– Pochodzę z kraju, w którym życie ludzkie od setek lat jest tanie. Ja znam cenę swojego życia, ale każdy sam musi zdecydować, ile jest wart, a potem tę wartość sobie wywalczyć.

– Większość ludzi nie ma takiej szansy.

– Przepraszam, chyba nie dosłyszałem...

– Powiedziałem, że większość ludzi nie ma takiej szansy! – odburknął Donald. – Mielicie jakieś wieści z Gongilungu, odkąd jestem w obozie? Mówią coś o domu, który wyleciał w powietrze?

– Wyleciał w powietrze? Było coś o domach, które się zawaliły po eksplozji, ale złożyli to na karb wadliwej kanalizacji. Zdarza się, że metan gromadzi się gdzieś, a potem wybucha.

– To jakaś wielorybia mierzwa. Musiałem odpalić bombę, żeby pozbyć się namolnej policjantki. – Donald spuścił wzrok na swoje dłonie. – Ile było ofiar?

– Niewiele – odparł po krótkim wahaniu Jogajong. – Siedemnaście, osiemnaście... Jakoś tak mi przekazano.

– Kobiety? Dzieci? – Własny głos zgrzytał Donaldowi w uszach.

– Wyłącznie kobiety i dzieci. To było do przewidzenia: mężczyźni byli w pracy. – Jogajong nachylił się do Donalda i położył mu rękę na ramieniu w geście pocieszenia. – Proszę nie zadrećcać się ich losem. Lepiej pomyśleć, tak jak ja, że zginęli dla dobrej sprawy.

Donald strząsnął jego dłoń.

– To nie jest moja sprawa.

– Ale sprawa wspólna dla naszych krajów – nalegał Jogajong.

– To prawda. Każdy kraj, mój, pański, dowolny inny ma takie same interesy i tak samo o nie dba: bierze ludzi, których interes państwa obchodzi mniej niż wiadro wielorybiej mierzwy, posyła ich za granicę i każe im zabijać kobiety i dzieci. Istotnie, tak właśnie wygląda ta sprawa w każdym kraju na świecie! A wie pan, jak ja nazywam tę sprawę? Bezczelną chciwością, ot co.

Zapadła cisza, którą przerwała dopiero chłodna deklaracja Jogajonga:

– Nie takiego zachowania spodziewałem się po amerykańskim oficerze!

– Nie jestem amerykańskim oficerem. Nadali mi stopień wojskowy, bo to łatwy sposób zaszantażowania mnie, żebym był grzeczny: jeżeli ich nie posłucham, to jako „porucznik” Hogan mogę zostać aresztowany i potajemnie skazany przez sąd wojskowy. Ale poza tym jestem całkiem zwyczajnym i nieciekawym ziomem, obdarzonym jednym talentem naturalnym i jednym wyuczonym za pomocą metod, o których wcześniej nawet mi się nie śniło. Ten naturalny mi się znudził, a ten wyuczony sprawił, że znenawidziłem samego siebie.

– U nas człowiek, który myśli tak jak pan, z własnej woli udaje się na spotkanie z przodkami. A przynajmniej tak to niegdyś wyglądało. Potem jednak ten uzurpator Solukarta przeszczepił na nasz grunt chrześcijańskie obyczaje i odciął nam tę drogę ucieczki. Myślę, że to właśnie dlatego mamy tylu wścieków.

– To możliwe. – W odległej przeszłości, przed miesiącem, Donald mógłby być zaintrygowany tą sugestią; teraz po prostu puścił ją mimo uszu. – Ale mnie jeszcze trochę brakuje do samobójstwa. Mogę się przynajmniej pocieszać myślą, że wszystko, co zrobiłem, posłużyło obnażeniu natury kłamstwa, a zaczynam dochodzić do wniosku, że kłamstwo należy do najgorszych ludzkich przewin. Stoi w jednym szeregu z zabójstwem. Tymczasem doświadczenie sprawia, że w jednym i drugim mamy ogromną wprawę.

– Sam zabiłem wielu ludzi, a jeszcze więcej widziałem takich, którzy zginęli z mojego rozkazu. Taka jest cena tego, czego pragniemy.

– Tego, co kłamcy lepsi od nas wmówili nam, że pragniemy.

Twarz Jogajonga zamarła w pochmurnym wyrazie.

– Przykro mi, panie Hogan. Dla mnie kontynuowanie tej rozmowy nie ma sensu.

– To jest nas dwóch – zgodził się z nim Donald i odwrócił się do niego plecami.

* * *

Drugi dzień był łudząco podobny do pierwszego – z tą tylko różnicą, że, zgodnie z zapowiedzią pielęgniarki, Sugaiguntung na kilka godzin popadł w malignę. Donald siedział przy nim w jaskini i słuchał jego yatakańskich monologów, których hipnotyczne brzmienie popychało go ku własnym rozmyśleniom albo po prostu usypiało. Pod wieczór jeden z rybaków z Gongilungu, ryzykując życie, przywiózł z apteki potrzebne lekarstwo i zanim Donald położył się spać, majaki ustąpiły.

Następny dzień również niewiele różnił się od pierwszego.

* * *

Kolejny również.

na zbliżeniu (27)

PRZEPIS NA WŚCIEKA

Philip Peterson przez cały wieczór siedział w domu sam, pogrążony w rozmyślaniach. Jego matka została zaproszona na jedno z tych przyjęć, które... no, które według niej były nieodpowiednie dla jej syna, ponieważ w odróżnieniu od niej nie był dostatecznie zahartowany i zblazowany. Sam więc urządził sobie małą imprezkę, którą zaczął od trzech whistlerów, zanim zainteresował się zawartością papierośnicy. Trawka nie od razu rozproszyła przygnębiający całun alkoholu, ale walka jednego z drugim sprawiła Philipowi nieco frajdy, tak jakby miał za chwilę walczyć, kochać się albo robić coś równie ważnego.

Około jedenastej po-pe zadzwonił do znajomej, ale jej nie zastał. Puścił swoje ulubione nagrania do zocka, za którymi Sasha nie przepadała, i tańczył do nich sam.

Zaczął się robić apatyczny, a ponieważ niezbyt mu się to podobało, połknął jedną z pigułek pobudzających Sashy; trzymała je we wbudowanej w wezłowie łóżka szufladzie, której istnienie – jak lubiła sobie wyobrażać – udało jej się ukryć przed synem. Niestety, jedyny efekt pigułki był taki, że nie pozwoliła mu zasnąć, ale wcale go nie ożywiła. Pogasił światła, usiadł na krześle i puścił wszystkie zocki jeszcze raz, od początku. Po ciemku obraz wyglądał znacznie lepiej; Philip prawie czuł jego fizyczne przyciąganie. Ubranie zaczęło mu przeszkadzać, zrzucił je więc i rozwlókł po całym pokoju, zataczając kolejne elipsy na dywanie. W końcu zgłodniał i poszedł sprawdzić, co mógłby zamówić do jedzenia. Wybrał jedno ze swoich ulubionych dań: prawdziwe wołowe żeberka na zimno z sałatką; zwykle zamawiał je, kiedy Sashy nie było w domu.

(Kiedy później ktoś zwrócił uwagę, że wybrał kod dania „bardzo krwistego”, czyli w pewnym sensie nie całkiem gotowego, padło wiele uczonych słów na temat symboliki męskości).

Siedział sam przy stole, kroił mięso i przegryzał sałatką, kiedy pięć po trzeciej przed-pe sygnalizator głównego wejścia zameldował, że ktoś posłużył się kluczem kodowym Watch-&Ward Inc. przeznaczonym dla tego mieszkania. Philip wstał, wyłączył nagranie, które akurat oglądał, i stanął obok drzwi.

Kiedy drzwi się otworzyły, w świetle padającym z korytarza zobaczył rozchichotaną Saszę w ściągniętej do pasa sukience, z pięknymi, pulchnymi, krągłymi piersiami wystawionymi na dotyk zachłannych ust towarzyszącego jej obcego mężczyzny, do którego szeptała „Cii”, „Zaczekaj chwilę” oraz „Tylko bądź cicho, żebyśmy nie zbudzili mojego syna”.

Wyciągnął rękę, gdy zamknęli za sobą drzwi, ale jeszcze nie włączyli światła, i trzymanym w niej nożem do mięsa rozciął do końca sukienkę Sashy. Materiał rozstąpił się z cichym jękiem, a skóra na jej plecach od prawej łopatki aż do pośladków rozstąpiła się z głośnym krzykiem. Światło. Intruz, który nie zdążył się jeszcze wyprostować po wiernopoddańczych hołdach składanych na ołtarzu jej dojrzałej kobiecości, powiedział coś w stylu, zaraz, chwileczkę, co się...

– Co ty robisz mojej matce mojej matce mojej matce? – zapytał Philip, przy każdym powtórzeniu tych słów gestykulując prawą ręką, w której przez przypadek ścisnął niezwykle ostry nóż do steków. Po trzecim geście nieznamy przewrócił oczami, zabalgotał i położył się na podłodze, obiema rękami zasłaniając klute rany brzucha.

Wysoki, przeszywający krzyk niósł się echem od ściany do sufitu i z powrotem do ściany. Philip wyłączył uszy i zaczął znów używać oczu, które zdążyły się tymczasem oswoić ze światłem. Przy drzwiach stała całkiem ładna kobieta, nie tak młoda jak dawniej, za to prawie naga, jeśli nie liczyć przyciskanych do piersi łachmanów. Nie mógł się jej oprzeć. Podszedł, upuszczając po drodze przedmiot, który do tej pory ścisnął w ręce, a kiedy próbowała unikać jego ust i upierała się przy tym brzydkim grymasie, w którym jej własne usta pozostawały szeroko otwarte, zatkał je

palcami. Po jakimś czasie przestała się opierać i pozwoliła mu zrobić to, na co miał ochotę, on zaś zrobił to z wielkim entuzjazmem, ponieważ ktoś, gdzieś, dawno temu powstrzymywał go przed zrobieniem tego, tłumacząc, że jesteś na to za młody, kochanie. A ja wcale nie jestem za młody. Przecież właśnie to robię, prawda?

Jednak po pierwszym razie przestała być taka ekscytująca więc wyszedł poszukać nowej bardziej energicznej partnerki i znalazł kolorową laskę która jechała windą ale nie krzyczała dostatecznie głośno próbował namówić jej białą współlokatorkę do której mieszkania klucz miała przy sobie wtedy ktoś kto akurat przechodził zobaczył jak wpycha ją przez drzwi do środka i prawostróże usmażyli go kiedy wyszedł szukać następnej ale już było za późno.

kontekst (26)

SAMEMU SOBIE Z OKAZJI MOJEGO DWUDZIESTEGO PIERWSZEGO WIEKU

Stworzyłem się w sterylnym szpitalu.
Jestem pewien, że ten akt, tak jak ja, był schludny i czysty.
Krew, ból, bałagan? Naprawdę sobie nie przypominam.
I tak wolałem zmienić scenerię.
Poszedłem do szkoły uczyć się tego, co mi odpowiada.
Potem dostałem robotę, zarobiłem trochę grosza
I znalazłem dziewczynę. Kochaliśmy się.
Któregoś dnia pewnie obrócę się w popiół,
Ale nie dumam o tym za często.
Chcę mieć pewność, że będę się lubił, dlatego
Ściśle przestrzegam przeczytanych napomnień:
Szoruję skórę, żeby pozbyć się jej zapachu,
Sypię talk, smaruję mleczkiem, kiedy robi się sucha,
Ale kiedy się podrapię... Na Boga, co za ból! I krew!

ciągłość (38)

NIE NA SPRZEDAŻ ALE DOSTĘPNY NA ŻĄDANIE

– Dzięki – powiedział Chad.

Norman nie wierzył własnym uszom.

– Kurzeszmac! – zachnął się. – Za co ty mi dziękujesz? Na brodę Proroka, powinienem klęczeć przed tobą! Zawdzięczam ci...

Urwał w pół zdania. W zasięgu słuchu znajdowało się zbyt wielu ludzi, żeby mógł powiedzieć prawdę – że nie chodziło o ratowanie inwestycji GT w Beninie, tylko o ocalenie całego projektu wraz ze wszystkim, co on, Norman, osobiście mu poświęcił. I za to właśnie był Chadowi wdzięczny. Ale na prezesowskiej kondygnacji wieżowca GT klębili się dostojni goście, w tym grupa przedstawicieli Państwa, które – poprzez swojego rzecznika Raphaela Corninga – nadzorowało całe przedsięwzięcie. Razem z innymi pracownikami i znajomymi z GT opadli Normana jak sfora psów gończych. Nie dane mu nawet było przekazać dobrej nowiny Elihu Mastersowi; Waterford dopiero rozesłał swoich ludzi, żeby szukali jego i Rama Ibusy, odbywających w tej chwili specjalnie przygotowaną wycieczkę po gmachu.

Chad wyczuł nastrój Normana i odgadł jego przyczynę.

– Jakie to życie bywa pomierzwione, co? – mruknął z krzywym uśmiechem. – Jesteś ukoronowaniem stworzenia, ziomuś, ale nie potrafisz tego znieść. Chyba po prostu musisz nauczyć się z tym żyć.

– Odkąd wróciłem do domu, znów zacząłem zauważać, jak wiele rzeczy nie pasuje mi w moim życiu – przyznał Norman.

– Ja tak wcześniej nie miałem. Znaczną część młodości spędziłem w zamkniętym środowisku akademickim. Może to dlatego dałem się zwieść i zacząłem sobie wyobrażać, że ktoś mnie posłucha, jeśli będę

krzyczał dostatecznie głośno, bo moi dawni studenci przynajmniej udawali, że słuchają, nawet jeśli nigdy nie postępowali zgodnie z tym, co się im mówiło... No cóż, chyba będę się musiał przyzwyczać.

– Do czego?

– Mówiłeś, że chcesz mnie zatrudnić.

– Ale... – Normanowi na moment odjęło mowę. – Przecież już zrobiłeś to, do czego zamierzałem cię zatrudnić: popchnąłeś Salmanasara z powrotem na pożądaną przez nas orbitę i...

– Jesteś skażony, Normanie – przerwał mu Chad. – Miły z ciebie facet, wyświadczyłeś mi przysługę i w ogóle, ale jesteś skażony. – Nie odwracając się, odstawił pusty kieliszek na przejeżdżający wózek kelnerski i zgarnął drugi, pełny. – Posłuchaj no, zamienniku. Co powiedzieli ludzie, którzy kręcili się przy Salmanasarze, kiedy ucinałem sobie z nim pogawędkę?

– Daruj sobie tę fałszywą skromność! – warknął Norman, poirytowany nie do zniesienia. – To poza. Nie pasuje ci, nie umiesz grać tej roli.

– Chodzi ci o tę „pogawędkę”? Kurzeszmac! – Chad jednym haustem opróżnił kieliszek. – Wbijże sobie do głowy, że to szczerą prawdą! A ja nigdy nie silę się na skromność: jestem od urodzenia zarozumiały i dawno przestałem marzyć o poprawie, ale to nie znaczy, że we wszystkim jestem taki świetny. Po prostu nie dałem sobie wcisnąć przeświadczenia, że prosta odpowiedź nie może być poprawna. Kiedy mówiłem, że jesteś skażony, miałem na myśli skażenie takim właśnie sposobem myślenia, który jest powszechniejszy od kataru, a wcale nie mniej osłabiający. Czy nikt nigdy nie zwrócił ci uwagi na fakt, że jedyna swoboda wynikająca z wolnej woli to prawo do popełnienia błędu? W krótkich słowach: Sal po prostu wykorzystał swoje naturalne możliwości, te same, których jego projektanci spodziewali się, na które liczyli i które przedstawiali jako gigantyczny przełom w cybernetyce, by chwilę potem odrzucić dowody ich istnienia! Zrobił dokładnie to samo, co ty w tej chwili, i tak samo się pomylił. Nawet...

Głos Prospera Rankina – uprzejmy, drażniący, a zdaniem Normana makabryczny – przeciął ten potok słów gładko jak monomolekularne włókno:

– Panie Mulligan... A może powinienem tytułować pana „doktorem”?

– Fakt, mam więcej doktoratów niż pies pcheł. Takie czasy. – Chad odwrócił się i zamrugał. Norman poczuł ukłucie lęku. – Jakie jeszcze przypadłości mogę uleczyć poza tą błahostką, którą już się zająłem?

Rankin uśmiechnął się nieszczercze w odpowiedzi: „To miał być żart?”.

– Nie nazwałbym tego błahostką, aczkolwiek nie chcielibyśmy, żeby rozeszło się, jak bardzo niepokoił nas Salmanasar przez ten krótki okres. Jesteśmy panu ogromnie zobowiązani za pańską przenikliwość i pomoc... Właśnie, skoro o tym mowa, tak się zastanawiałem... Czy został pan już oficjalnie zaproszony na nasz firmowy bankiet, na którym zamierzamy uczcić powodzenie benińskich negocjacji? Norman na pewno panu o nim wspominał.

– Nie, nikt mnie na nic nie zapraszał. Poza tą popijawą, która odbywa się w tej chwili, a którą wielce sobie chwale, ponieważ ludzie odpowiedzialni u was za catering znajdują się na trunkach.

Zapnij twarz, idioto.

Norman zmarszczył brwi i wyemitował tę myśl w stronę Rankina; żałował tylko, że nie może jej głośno wyartykułować.

Chcemy się z Chadem wymknąć po cichutku i skoczyć gdzieś do baru. Na trzeźwo czy po pijaku, wolę posłuchać tego, co on ma powiedzenia, niż...

– Dziękuję – odparł Rankin. – Zapewniam pana, że jedzenie spełnia równie wysokie standardy. Zamierzałem jednak zapytać, czy nie zechciałby pan później wystąpić u boku panów Ibusy, Mastersa i Corninga i powiedzieć paru słów.

Powiedz mu, gdzie może sobie wsadzić te swoje gadki.

Ale nadzieje Normana okazały się wyjątkowo płonne. Chad z zapalem kiwał głową, z błyskiem w oku, który Norman nauczył się interpretować jako sygnał niebezpieczeństwa.

– Ależ naturalnie, z przyjemnością wygłoszę krótkie przemówienie. Z największą przyjemnością.

Jeśli nawet wcześniej istniała możliwość, że Norman – niesiony zrodzoną z czystej ulgi euforią – będzie się dobrze bawił na bankiecie, to w tej właśnie chwili zniknęła. Smętnie przesiedział cały posiłek między jakąś przedstawicielką Państwa i żoną Rekxa, na cudzym miejscu, po tym, jak zaproponował, że swoje odstąpi Chadowi, żeby ten mógł usiąść w pobliżu Rankina i Waterforda bez konieczności wywracania wszystkiego do góry nogami. Bez przekonania skubał jedzenie na talerzu, po cichu licząc na wybuch wścieklej kłótni albo jakiś wybryk Chada, który schla się do nieprzytomności i będzie wymagał odstawienia do domu.

Z upływem czasu nastrój stopniowo mu się poprawiał. Co z tego, że spełnią się jego obawy i Chad popełni jakieś grube faux pas? Wielu ludziom z tej imprezy przydałaby się ostra reprimenda. A gdyby tak się złożyło, że wśród celów ataku Chada znalazłby się faktyczny szef projektu benińskiego, niejaki Norman Niblock House...

Kurzeszmać, zasłużyłem na to. Zdecydowanie.

Gdy tylko uznał, że nikt nie poczyta mu tego za nieuprzejmość, odsunął od siebie talerz i przypalił bay golda, żeby złagodzić spodziewany wstrząs. Zgodnie z odwiecznym schematem, Rankin, p.o. prezes, skinął na Rekxa Fostera-Sterna oddelegowanego do wznoszenia toastów i rozpoczęła się męka.

Rex wyraził żal z powodu nieobecności Starej GT, której smutny los kładzie się cieniem na nas wszystkich, i oddał głos Rankinowi, zonglującemu żałobą po GT, z podkreśleniem, że jej śmierć w żaden sposób nie zaszkodzi projektowi benińskiemu, i z talentem, którego sama GT mogłaby mu pozazdrościć, zdołał wykazać, że jedno nie przeczy drugiemu.

Następnie Ram Ibusa w imieniu rządu Beninii zapowiedział obiecaną rewolucję w sprawach wewnętrznych, której cały kraj niecierpliwie wyczekuje, doktor Corning udzielił oficjalnego błogosławieństwa podpisanemu pakietowi umów, a Elihu – litościwie oszczędny w słowach – zapewnił wszystkich, że Beninię czeka świetlana przyszłość.

Na koniec Rex znów wszedł na mównicę, a Norman nie mógł zrozumieć, dlaczego w tej rzekomo usprawnionej nowej erze każde

uroczyste przyjęcie musi się ciągnąć godzinami. Dlaczego nie każą Salmanasarowi opracować wersji skróconej, nie mniej oficjalnej, ale trwającej pięć minut?

– Mam teraz przyjemność i zarazem prawdziwy zaszczyt przedstawić państwu naszego gościa, który przy tej okazji, zresztą przy każdej innej również, właściwie nie wymaga specjalnej prezentacji. Z całym szacunkiem dla pana Rankina, a także dla doktora Mastersa, których przymioty są niepodważalne, wydaje mi się, że to właśnie ten człowiek jest najślynniejszy ze wszystkich tu zebranych. Jego myślenie pomaga kształtować nasze społeczeństwo. Poprzez swoje książki, artykuły i wywiady...

– Proszę nie zwać na mnie całej winy za stan społeczeństwa! – zaoponował głośno Chad.

Rex poczerwieniał.

– No tak... hmm... Nie wchodząc w szczegóły, muszę przyznać, że jego specjalistyczne konsultacje przy realizacji projektu benińskiego były wprost bezcenne, ale i tak są tylko jednym z wielu powodów, dla których postanowiliśmy go dzisiaj poprosić o wygłoszenie przemówienia. Doktor Chad C. Mulligan!

Usiadł w ostatniej chwili, zanim zmierzający na podwyższenie Chad zdążył go odepchnąć. Już wcześniej Norman zwrócił uwagę, że Mulligan głównie pije, zamiast jeść. Stanąwszy teraz na mównicy, lekko się chwia, ale alkohol nijak nie zaszkodził jego głosowi – gdy tylko zaczął mówić, technicy nagrywający przemowy na użytek SKANALIZATORA i do firmowego archiwum wzdrygnęli się i pośpiesznie zmniejszyli wzmocnienie sygnału z mikrofonów.

– Salmanasarze, panie prezesie, panie ambasadorze, wy wszyscy siedzący tutaj i wy, którzy być może podsłuchujecie nas z przestrzeni astralnej! Nie bez powodu zacząłem tę wyliczankę od Salmanasara, zamiast... Mam nadzieję, że transmitujecie to bezpośrednio do Sala, hmm? Tak? To dobrze. Poznałem go parę godzin temu i zupełnie zmieniłem zdanie na jego temat. Wcześniej myślałem, że podobnie jak inne komputery, z którymi miałem do czynienia, jest kretynem, wielgachnym,

rzecz jasna, ale jednak kretyńcem, którego trzeba prowadzić za rączkę i po kawałku wszystko tłumaczyć. Myliłem się. Gratuluję projektantom, którzy zapowiadali, że stworzą maszynę obdarzoną świadomością i wolną wolą. Winszuję doktorowi Ibusie, który będzie się cieszył płynącymi z tego faktu korzyściami, chociaż jeszcze pewnie nie do końca zdaje sobie z tego sprawę. O ile mi wiadomo, fakt ten zostaje właśnie pierwszy raz podany do publicznej wiadomości, i to tylko dlatego, że ja pierwszy zdałem sobie z niego sprawę.

Wśród pracowników (głównie z działu zarządzanego przez Reksa) zapanowało spore poruszenie. Norman – który z ulgą przyjął fakt, że Chad mówi całkiem do rzeczy, zamiast rzucać wyzwiskami albo pierdzieć do mikrofonów – wyprostował się na krześle.

– Nawiasem mówiąc, dobrze się stało, że zleciliście Salowi kierowanie projektem benińskim – mówił dalej Chad. – W przeciwnym razie albo przydzielilibyście do niego kogoś, kto wie, w co się pakuje, albo byłaby to idealna recepta na posłanie całego kraju do piekła. Nawet mój przyjaciel Norman House, który nie doczekał się należytego uznania za to, że bardziej liczą się dla niego mieszkańcy Beninii niż wpływ projektu na stan kont udziałowców, przeoczył ten drobiazg, o którym wspomniałem: fakt nabycia przez Salmanasara cechy przynależnej wyłącznie istotom rozumnym, jaką jest zjadliwość lub, jak wolą Anglicy, zrzędlivość, które to określenie nawet lepiej pasuje, moim zdaniem.

Członkowie zarządu zaczynali zerkać po sobie nerwowo. Waterford nachylił się Rankina i szepnął mu coś na ucho. Tymczasem Norman dochodził z wolna do wniosku, że tyrada Chada może mu jeszcze przypaść do gustu. Zaciągnął się bay goldem.

– Co zrobić z kimś, kto nam mówi, że mamy źle w głowie? Coś takiego irytuje, prawda? Zbija z pantałyku. Przypomina frustrację, jakiej doznajemy, kiedy maszyna nie chce robić tego, do czego została zaprojektowana. Tylko że maszynę możemy odesłać do serwisu albo wymienić na lepszy model. Nie możemy natomiast wymieniać ludzi, którzy nas drażnią; możemy co najwyżej schodzić im z drogi, a czasem nawet to jest niemożliwe. W Azji jest cała masa ludzi, którzy stawiają nam

tak zajadły opór, że mózg się lasuje, dlatego najczęściej wolimy udawać, że nie istnieją. Przynajmniej dopóki nie zaczną zabijać naszych synów, zatapiać naszych statków albo robić innych rzeczy, których nie będziemy mogli zignorować. No dobrze. Opowiedzieliście Salowi o Beninii, na co on zareagował mniej więcej tak: „Nie wierzę wam!”. I miał w tym masakrycznie dużo racji. Powiem wam dlaczego. Żyjemy w pięknym, wypasionym, zamożnym kraju. Na każdym skrzyżowaniu spodziewamy się, że zza rogu wyjdzie wściek. Kiedy dzwoniemy do Kalifornii, liczymy się z tym, że może odebrać jakiś skośny. Możemy znienacka wplątać się w zamieszki i trafić do więzienia wyłącznie za to, że znaleźliśmy się w niewłaściwym miejscu. Nawiasem mówiąc, właśnie coś takiego przydarzyło się niedawno Normanowi House’owi. Beninia to mały, biedny, zapuszczony kraik, który na pierwszy rzut oka w ogóle nie powinien istnieć. Skoro jednak nie toczy żadnych wojen, od piętnastu lat nikt tam nikogo nie zamordował, a w ich słowniku nie ma słowa na określenie człowieka „rozzłoszczonego” (można co najwyżej powiedzieć, że „zwariował”)... Powiem tak: kto z nas by w to uwierzył, gdyby usłyszał coś takiego w przypadkowej rozmowie? Ja nie. Powiedziałbym to samo, co czerwonemu braciszкови, gdyby zaczął mi opowiadać, jakim to rajskim ogrodem są Chiny. Nie wiem, czy wszyscy o tym słyszeliście, ale to właśnie dlatego zostałem przedstawiony Salmanasarowi. Nie zamierzam tutaj nikogo komplementować, przechodzę właśnie do uszczypliwych uwag, a możecie mi wierzyć, że są ludzie, których należałoby utopić w wielorybiej mierzwie za to, że zrzekli się odpowiedzialności przynależnej każdej myślącej istocie. Czy tak jak Sal, wy również pomyśleliście, że ludzie wprowadzający do niego informacje na temat Beninii są kłamcami, którzy zamierzają was okpić i oszukać? Komunizm żadnego państwa nie zmieni w raj na ziemi, ale przeludniony i słabo rozwinięty kraj, jakim są Chiny, zmienił w problem, którego bogate kraje nie mogą nie dostrzegać. Tam się coś dzieje, i to raczej coś innego, niż myślą sami Chińczycy... Zresztą nieważne. Fakty mówią same za siebie. Jeżeli fakty mówią wam, że się mylicie, to znaczy, że opieracie się na błędnej teorii; zmieniacie wtedy

teorię, nie fakty. Nie uczyli was tego w szkole? Nawet teraz... Norman? Słuchasz czy śpisz?

Chad wyrzwał znad skraju mównicy i odszukał wzrokiem Normana.

– A, tu jesteś. Łatwo cię wypatrzeć, masz wbudowaną przewagę nad innymi... Człowiek teoretycznie inteligentny, jakim jest Norman, nawet teraz nie wyciągnął oczywistego wniosku z argumentacji niezbędnej do przekonania Salmanasara, że raporty z Beninii nie kłamią. Tam się coś dzieje, wśród ludzi, coś, o czym nie wiecie ani wy, ani ja. Normanie, chciałeś mnie zatrudnić, ja cię spławiłem, potem zmieniłeś zdanie... Widzisz, ja też zmieniłem zdanie. Nieważne, czy mnie zatrudnisz: chcę się dowiedzieć, co tam się dzieje!

Grzmotnął pięścią w mównicę, aż mikrofony podskoczyły.

– Kurzeszmac, kiedy odlatuje najbliższy ekspres do Beninii?! Doktorze Ibusa, potrzebuję wizy czy mogę tak po prostu sobie tam polecieć? Podoba mi się idea kraju bez zamieszek, bez wścieków, bez wojen i bez mnóstwa innych rzeczy, które każą mi płakać nad rodzajem ludzkim! Dopóki nie usłyszałem o Beninii, myślałem, że tacy ludzie wyginęli, zostali zgładzeni przez chrześcijaństwo, wodę ognistą i bezgraniczną chciwość, jak Samoaniecy i buszmeni. Nienawidzę długich przemówień. Poza tym za dużo wypilem. Lepiej usiądę.

* * *

Cisza trwała długo. Fala słabych oklasków rozplynęła się po sali i ucichła. Siedząca obok Normana przedstawicielka Państwa zwróciła się do niego:

– Powiedział o panu parę miłych rzeczy, panie House. Na pewno pan na nie zasłużył.

– Zasługuję na to, żeby mi głowę pomniejszyli – odparł oschle Norman. Wstał.

– Słucham?

– Jestem głupcem! – odparował Norman i wyszedł.

Świat tu-i-teraz (15)

RÓWNI I WPROST PRZECIWNIE

Drogi przyjacielu – piszę do Ciebie jako człowieka, któremu zdarzało się w przeszłości wspierać moje przedsięwzięcia nawiązujące do idei Sprawiedliwości i Naturalnego Prawa Supremacji Białej Rasy. Z pewnością słyszałeś o tym, że te prokomunistyczne diabły z Waszyngtonu wyprzedają nasze niezastąpione zasoby naturalne bandzie wszawych czarnych żebraków z Beninii. Proponuję...

– A skoro mowa o pomocy zagranicznej: moim zdaniem można chyba z czystym sumieniem dać ogłoszony niedawno projekt beniński za przykład przedsięwzięcia, które znakomicie łączy oświecony egoizm ze wsparciem dla potrzebujących. Żałuję tylko, że nasz rząd wolał działać przez pośredników, zamiast...

PRZEWODNICZĄCY YUNG ATAKUJE USA
PROJEKT BENIŃSKI NAZYWA „BEZCZELNĄ AGRESJĄ
EKONOMICZNĄ”.

Zarząd ma przyjemność poinformować, że po okresie drobnych i przejściowych trudności projekt beniński ruszył pełną parą. Cieszy się absolutnym poparciem rządu Beninii, a najnowsze analizy Salmanasara...

– Kurzeszmać! W SKANALIZATORZE mówili, że oni w ogóle nie prowadzą wojen. Nigdy nie prowadzili. No więc, jeśli nie mają jaj, żeby się

bronić, to muszą być niezłe mięciuchy, dlatego uważam, że nie powinniśmy...

KURS AKCJI HOLDINGU GT WYSTRZELIŁ W KOSMOS REKORD Z 2005 POBITY

Nie myśl sobie, że jak w pierwszym szeregu wystawili paru czarniawych fagasów, to to już nie jest biała operacja. W Beninii opluwają groby naszych przodków poległych w Sharpeville i Bloemfontein, w Durbanie i Witwatersrand...

– Moi rodzice poznali się w Korpusie Pokoju. Tata mówi, że robota w Beninii będzie podobna do tego, co oni w takich krajach robili. Czy gdybym zgłosił się na ochotnika, ty byś...?

KAIR OKREŚLA PROJ BEN MIANEM „ŻYDOWSKIEGO SPISKU” RZĄD POPIERA BOJKOT PRODUKTÓW GT

Szanowny Panie Prezydencie Obomi – w telewizji mówili, że u was w kraju w ogóle nie ma wścieków. Mój synek, Andy, zginął z ręki wścieka. Mam jeszcze dwa milutkie progeny i nie chcę, żeby im też coś się przytrafiło, dlatego proszę mi powiedzieć, w jaki sposób mogłabym...

– Nie mam pojęcia, jaki możemy mieć interes w mieszaniu się w sprawy innego kontynentu. Dopóki tak wiele jest do zrobienia na miejscu, powinniśmy raczej...

PREMIER WIELKIEJ BRYTANII CHWALI PROJEKT BENIŃSKI REAKCJE W EUROPIE OSTROŻNE, NIEPRZYJAZNE

(LOGIKA Zasada rządząca ludzkim rozumowaniem. Jej naturę można wydedukować na podstawie analizy dwóch poniższych twierdzeń; oba jednocześnie uważane są za prawdziwe, i to często przez tych samych

ludzi: „Ja nie mogę, więc tobie nie wolno” oraz „Ja mogę, ale tobie nie wolno”.

– Chad S. Mulligan, *Leksykon trendybrodni*)

na zbliżeniu (28)

POWOLNA ŚMIERĆ

Eric Ellerman spodziewał się, że dadzą mu chociaż znać, kiedy zaczną się niecierpliwić. Jakoś go uprzedzą.

Nie uprzedzili.

Po pierwszym spotkaniu Oggie Lucas i jego zamienniki dali mu trzy dni, a potem znów namierzyli go w rapitransie, przewidywalnego jak wschód słońca. Wysłuchali jego tłumaczeń i kazali się bardziej postarać.

Ale jak? Przemysł ochroniarski dotrzymywał kroku rozwojowi szpiegostwa. Skomputeryzowana kamera zainstalowana nad olbrzymimi zbiornikami hydroponicznymi pozwalała im policzyć dosłownie każdy liść Przesady z osobna. Wpadł na pomysł, żeby wykraść tylko kawałek liścia i zrobić z niego sadzonkę; schował strzępek do buta i próbował przejść z nim obok czujników przy wyjściu. Czujniki wychwyciły zapach niesfermentowanej rośliny i wprawdzie strażnicy uwierzyli tłumaczeniom Erica, że liść musiał mu wpaść do buta przez przypadek, ale tak się niefortunnie złożyło, że tego samego dnia jeden z techników instalacji wodnej okazał się wybitnym durniem i próbował wynieść całą roślinkę, podobno na własny użytek. Po tym wydarzeniu ochrona bardzo przykręciła śrubę pracownikom.

Powiedział o tym Oggie'emu, ale wiracha nie słuchał. Zapowiedział, że albo dostanie towar za tydzień, albo...

Skopiować strukturę genetyczną z liścia po fermentacji? Nie do zrobienia bez sprzętu, jakiego używał w laboratorium, a nie trzyma przecież w kuchni drogiego analizatora molekularnego Jeansa-Whitmana. Zresztą każdą paczkę Przesady wychodzącą z fabryki bombardowano

promieniowaniem, które zacierało charakter najważniejszych genów; trzeba by kupić z tysiąc blantów, żeby mieć pewność.

Kłótnie z Ariadne były coraz gorsze. Penelope uderzył za którymś razem tak mocno, że przestraszył się samego siebie; nie płakała, stanęła tylko cicho w kącie i zaczęła rozmasowywać obolałe miejsce, a kiedy podszedł, żeby ją przeprosić i pocieszyć, uciekła przed nim.

Przyszło mu do głowy, że mógłby poprosić jakiegoś przyjaciela o pomoc, ale nikogo takiego nie miał. Nie zżył się specjalnie z pracownikami fabryki, a kiedy rozeszła się wieść, że Ariadne znowu jest w ciąży, wszyscy się od niego odsunęli – tak bardzo, że nawet nie mógł zdementować plotki.

Dzień przed zapowiedzianym przez Oggiego ponownym spotkaniem podjął decyzję: zamelduje o wszystkim przełożonym i poprosi o pomoc. Z samego rana poprosił o spotkanie z dyrektorem działu tektogenetyki. Dyrektor go wysłuchał, kiwając w zadumie głową, a po południu wezwał do siebie jeszcze raz, sam zaś zadzwonił na policję i wdał się w rozmowę z porucznikiem policji, który był przeświadczony, że Eric wszystko zmyślił, żeby zwrócić na siebie uwagę.

– Nie, oczywiście, że nie widziałem, jakie mieli buty! Otoczyli mnie w zatłoczonym wagonie rapitransu! Nie, nie wiem, jak się z nimi skontaktować... Zapowiedzieli, że sami mnie znajdą. Wiedzą, gdzie mieszkam.

Być może dyrektor wspomniał coś o nieprzyznaniu Ericowi oczekiwanej podwyżki po tym, jak Przesada odniosła sukces rynkowy. Być może napomknął o posiadaniu przez niego trójki progenów, w dodatku samych dziewczynek. Aspołeczność, coraz gorsze wyniki w pracy, początki paranoi...

Porucznik kazał mu zbyć czymś Oggiego i spróbować wyciągnąć od niego jakieś informacje – może wtedy policja zacznie działać, a na razie to on jest zajęty i ma za mało ludzi, żeby pilnować dorosłego obywatela.

* * *

Rozmowa, która odbyła się następnego dnia rano, składała się z dwóch zdań i poczwórnego wzruszenia ramion.

– Masz to, o co prosiliśmy, milusiński?

– Posłuchajcie, zaraz wam wyjaśnię, dlaczego to nie jest takie proste...

Wzruszenie ramion.

* * *

Od dawna się na to zanosilo, od wielu dni; sygnały i zwiastuny były dyskretne jak spadająca przed deszczem temperatura powietrza. Ich sąsiad z bloku – zwykle życzliwy, nagle nieprzyjazny. Penelope – zapłakana po powrocie ze szkoły i niedająca się pocieszyć. Ariadne – oszukana przez sprzedawczynię w blokosklepie przy wydawaniu reszty, a przy próbie wyklócenia się o swoje zaszczuta przez ludzi w kolejce, tak że pozostało jej tylko porwać zakupy i uciekać. Kultura bakterii w Laboratorium Erica – zniszczona po tym, jak ktoś do niej napluł. Na drzwiach mieszkania – narysowany szminką czerwony krzyż.

W końcu przyznał się Ariadne, że zamierza ubiegać się o posadę w Beninii, ponieważ GT twierdzi, że potrzebuje specjalistów w każdej dziedzinie, a więc z pewnością także wykwalifikowanych genetyków. Odpowiedziała mu, że nie chce, by jej dzieci dorastały w jakimś obcym, brudnym kraju. Pierwszą rundę sporu przegrał, ale ostatecznie zwyciężył, gdy Ariadne przyłapała dzieciaka Gadsdenów i jego zamienników na dręczeniu Penelope: straszili, że zmuszą ją do urodzenia mnóstwa dzieci, aż w końcu umrze, ale pójdzie do nieba, bo tak właśnie się dzieje z prawokatolikami. Zdążyli jej ściągnąć majtki.

W swojej naiwności myślał, że jego podanie o pracę po wysłaniu będzie bezpieczne – szpara w ścianie mieszkania powinna łączyć się bezpośrednio z opróżnianą dwa razy dziennie skrzynką pocztową. Zapomniał tylko, że już sam adres jest bardzo, bardzo znaczący.

W sobotę wieczorem poszedł kupić jakiś alkohol i blanty, żeby umilić sobie oczekiwanie. W sklepie ktoś go szturchnął i powiedział głośno:

– Ale tu tłok! W dodatku niektórzy, nie będę wymieniał nazwisk, ale są tacy, nie pomagają!

– Nie przejmuj się – zabrzmiał inny głos. – On wyjeżdża. Czas najwyższy.

– Serio? Dokąd się wybiera?

– Do Afryki. Wystarczająco daleko.

Nikomu nie powiedziałem, rozmyślał gorączkowo Eric. Nawet Penelope, bo mogłaby...

Zapłacił i wyszedł z zakupami. Dwóch wstawionych facetów ruszyło za nim. Nie znał ich. Zaczepiali wszystkich po drodze.

– Ej, patrz! – wołali. – Znasz go? To specjalny przedstawiciel papieża Eglantyna, taki ichni patriarcha!

W sobotni wieczór przechodniów było całkiem sporo.

– Ostatnio ktoś mnie o niego wypytywał. Mówił coś o jakiejś kobiecie z dwójką progenów, którą zostawił w LA.

– Że co?

– Helen Jakaśtam, nie pamiętam. Helen... Jones?

Wszyscy patrzą, słuchają, zaciekawieni.

– Przecież on ma już trójkę u nas w bloku. To razem będzie piątka.

– Piątka?

– Piątka!

Przy automacie z napojami ktoś rzucił w niego pustym plastikowym kubkiem. Trafił w ramię, którym Eric osłaniał przyniesione ze sklepu puszki i paczki.

– Ej, ty, ważniak! Zrobiłeś piątkę progenów? I zostawiłeś tamtą laskę z dwoma? Co się stało, nie chciała ci rodzić więcej prawokatolików?

Obca postać z sennego koszmaru zastąpiła mu drogę. Musiał się zatrzymać.

– A to co, planujecie milusi wieczór we dwoje? Żeby następny progen miał dobry start w życiu? Sporo alko, mnóstwo blantów... Musisz się nakręcić, żeby puknąć to grube krówsko? Ja bym musiał!

– To się lecz!

Czyjeś ręce szarpnęły zakupy. Próbował stawiać opór, ale odebrały mu wszystko.

– Co jest, ziom? Chcesz to dostać z powrotem?

– Oddawaj! To moje, zapłaciłem za to!

– Nie tak szybko, przyjemniaczku, nie tak szybko... Shirley, chcesz paczkę blantów? Sporo ich ma. Doug, może piwko?

– Nie! Przestań, mówię ci, przestań!

– Harry, łap. Ziomek świruje...

Paczka blantów przechodziła z rąk do rąk, zbyt szybko, żeby mógł ją przechwycić. Chrypiał boleśnie, oczy mu łzawiły, obraz przed oczami się rozmywał.

– Może poskarżysz się papie Eglantynowi, co, mały? Niech nas porazi gniew niebios! Grzeczny z ciebie chłopiec, prawda? Rozmnażasz się, jak ci kazali!

– Słyszałeś o jego pierwszej żonie? Miał żonę w LA, zrobił jej dwójkę dzieci, a potem przeprowadził się tutaj.

– A to krwawiciel jeden...

– Teraz też próbuje uciec, jak to się wydało, podobno chce jechać do Afryki, tak słyszałem...

– Tylko dlatego, że ma czysty genotyp...

– Przy każdej okazji popisuje się Biuletynem Małodziejnych, a tu się okazuje...

– Nic, tylko się drań, obie naraz. Spać się nie da, taki jest jazgot...

– Mój syn mówi, że jego córka pytała, dlaczego nie mamy bliźniaczek, jak oni...

– Krwawiciel jeden...

Następną rzeczą, która poleciała w powietrzu, była puszka piwa. Trafiła Erica w czoło i rozcięła skórę. Zamrugał gwałtownie, gdy krew zalała mu oczy.

– W samą orbitę, skarbie! W samą orbitę! Daj, teraz ja...

Trzask.

– Uważajcie, ucieka! Nie dajcie mu uciec...

– Ej, skoro on tak bardzo lubi się rozmnażać, może byśmy...

- Trafiłem! Znowu trafiłem! Donna, chcesz spróbować? Masz...
 - Łap go, Doug! Właśnie tak, zamienniki, teraz możemy...
 - Aaa-ha-ha-ha-ha! Ha-ha-ha-ha-ha! Ha-ha-ha-ha-ha!
 - Paczcie paczcie paczcie!
 - Będzie się musiał umyć, zanim znów pójdzie się spotkać z papą...
 - Ja się jej nie dziwię, że się go pozbyła: jeżeli tamta dwójka dzieciaków też tak wygląda...
 - Piątka...
 - Prawokatolik...
 - Łapcie go!
 - Auć! Jezu, krwawiciel mnie...
 - Widzisz, co zrobiłeś mojemu zamiennikowi? Widzisz?! Teraz cię...
- I tak właśnie zrobili.

Kiedy było po wszystkim, przestraszyli się, przenieśli go na stację rapitransu i kiedy nikt nie patrzył (poza tymi, o których wiedzieli już wcześniej, że patrzą), zepchnęli go z peronu pod nadjeżdżający pociąg, a potem mówili, że nagle zasłabł albo popełnił samobójstwo, wersje były różne, ale oczywiście po tym, jak rozeszła się wieść o nieszczęsnej Helen, którą porzucił w LA, i o piątce progenów i jego skrywanym prawokatolicyzmie i całej reszcie, nikt nie zadawał zbyt wielu pytań.

* * *

Kiedy Oggie usłyszał o tym w telewizji, był całkiem zadowolony. Zwłaszcza że Zink przez ten czas namierzył kogoś, kto był chętny wynieść z pakowni towar po fermentacji i podzielić się zyskami sześćdziesiąt do czterdziestu.

ciągłość (39)

LEPIEJ BYĆ WULKANEM

Podobnie jak poprzednio, Donald spędził dzień na spacerowaniu po polanie, dumaniu lub bezmyślnym przesiadywaniu na którymś z pniaków. Dokuczało mu to odosobnienie, zwłaszcza że bez przerwy napływały nowe wiadomości. Mimo odroczenia planowanego powstania, organizacja Jogajonga nie próżnowała – jej szpiedzy i agenci, obecni w każdym yatakańskim mieście, nieustannie przysyłali nowe raporty. Jogajong starał się zachowywać pozory otwartości, przedstawiał go wszystkim i chwalił przed każdym, kto przybył do obozowiska, ale nie było to do końca szczere. Kiedy buntownicy musieli coś przedyskutować, zawsze przydzielali Donaldowi kogoś, kto pilnował, żeby za bardzo nie zbliżał się do rozmówców.

Co w gruncie rzeczy niezbyt mu przeszkadzało. Podczas przeciągającego się oczekiwania sprawy ludzkie – nawet rozgrywające się na rewolucyjną skalę w kraju liczącym ponad dwieście milionów mieszkańców – powoli schodziły na drugi plan. Wpatrywał się w drzewa i dostrzegał bujność ich liści i kwiatów uczestniczących w cyklu rozkładu i odrodzenia; całkiem możliwe, że dziesięć tysięcy lat temu rosło tu inne drzewo tego samego gatunku... A gdzie był wtedy człowiek? Tu i ówdzie grube, dziwnie wstrętne grzyby czepiały się pni drzew, otoczone rojem insektów. Niżej były węże, robaki i skorpiony; z ich powodu doradzono Donaldowi, żeby zawsze wytrząsał zawartość butów przed włożeniem oraz sprawdzał dokładnie materac, zanim się położy. Wyżej fruwały ptaki, których nazw nie znał – nie licząc najbardziej kolorowych aleksandrett, trajkoczących piskliwymi, zgrzytliwymi głosikami. Dżunglę zamieszkiwało

jeszcze wiele innych stworzeń, ale większość bała się podchodzić bliżej, spłoszona zapachem człowieka.

Wsluchiwał się w szum wiatru w górnych gałęziach drzew. Kiedy padało, drażniło go nieregularne pluskanie i kapanie deszczówki; nie trzymało żadnego rytmu, jakby kpiło sobie z wszelkich schematów, a pośrednio – drwiło z rozumu. Powietrze było stale przesycone duszącym fetorem gnijącej roślinności albo wulkanicznych wyziewów. Niczym człowiek zmuszony gasić pragnienie w błotnistych kałużach, zaczynał sobie wyobrażać, że czyste powietrze ma swój wyjątkowy smak, tak jak ma go czysta woda, i zachłannie wdychał nadmorską bryzę, jakby spodziewał się jakiegoś oszałamiającego cudu oddechowego.

Ale wizja morza też była niepokojąca: olbrzymi, ciężki, cierpliwy, gniewny i wrogi potwór otaczał nieprzyjazną dżunglę-olbrzymkę i tak samo jak ona był zdolny zatrzeć wszelkie wspomnienie po człowieku. Donald wyteńczył umysł, usiłując wyobrazić sobie sto wysp Yatakangu, kwitnący kraj wysoko rozwiniętej nauki i techniki, zaawansowaną cywilizację, a dalej Chiny, Indie, Europę, Amerykę. Znane z map legendarne nazwy. To nie był schludny rysunek w odcieniach błękitu, zieleni i brązu na płaskim arkuszu papieru z eleganckimi, równymi krawędziami. To był chaos należący do Pradziada Loa, współczesnego Kronosa, który mógł w każdej chwili pożreć swoje dzieci.

Najczęściej patrzył właśnie na wulkan, który – zwykle otulony mgłą – od czasu do czasu wynurzał się z niej, jakby niespokojnie drzemiące bóstwo uświadamiało sobie istnienie wielbiącego je drobiazgu i przypominało sobie, że wypada mu się objawić.

Wspomnienie: Bronwen, jej szczupłe śniade ciało i spokojne stwierdzenie, że wiedział, że będzie potrzebny, by ocalić Sugaiguntunga. Przelotny kontakt. Statki mijające się nocą. O dziwo, złapał się na tym, że byłoby mu poniekąd na rękę, gdyby przegrała z białaczką. Zagarnęła do swojego umysłu znaczną część jego natury, większą, niż miał ochotę oddawać przy tak przypadkowej znajomości.

Także Deirdre Kwa-Loop. Jak Engrelay Satelserv wyjaśni nagłe zniknięcie z programu depesz, które tak szeroko reklamowali? Pewnie

będą publikować cudze doniesienia pod jego nazwiskiem, potem znajdzie się jakaś nowa sensacja, w końcu kapryśna uwaga widzów skieruje się gdzie indziej. Równie dobrze można by chcieć przypomnieć sobie tożsamość każdego włosa pozostawionego na grzebieniu, każdego ścinka paznokcia utraconego na rzecz cząstków. Dziś, jutro, *sub specie aeternitatis*, drobiazgi ku uciechu na wpół pustych umysłów. Niebaczny na wszystko – Pradziad Loa.

Ledwie odnotował fakt, że przybył goniec z wiadomością o przechwyconych transmisjach radiowych między Yatakangiem i Isolą; spadek aktywności akwabandytów miał umożliwić przybycie okrętu podwodnego dzisiaj wieczorem. Donald doszedł tymczasem do wniosku, że lepiej być wulkanem niż człowiekiem – wulkan przynajmniej nie cenił zbyt wysoko tego, co niszczył swoimi działaniami.

* * *

Po przyjęciu lekarstwa Sugaiguntung przestał gorączkować, ale nadal był bardzo osłabiony. Przez prawie trzy dni mdłości nie pozwalały mu przyswoić żadnego pokarmu, a kiedy w końcu wydobrzył na tyle, by zjeść trochę rosółu i łyżkę albo dwie aromatycznego ryżu, pielęgniarka skarżyła się, że trzeba je w niego wmuszać. Donald otrząsnął się z apatii na dostatecznie długą chwilę, żeby przemyśleć sensowność zabierania Sugaiguntunga na okręt podwodny. Jogajong uprzedzał, że procedura jest dość skomplikowana – wymaga łodzi, ochronnych skafandrów antyradarowych i unoszenia się na wodzie nawet przez kilka godzin, dopóki sonar nie wskaże, że okręt może się bezpiecznie wynurzyć i przyjąć ich na pokład. Fakt, że misja wielokrotnie kończyła się sukcesem (między innymi wtedy, gdy Jogajong został wywieziony za granicę, żeby odbyć szkolenie partyzanckie), był niezbyt pocieszający, ponieważ zdarzały się również sytuacje, w których na końcu była strzelanina i krew.

Odkąd Sugaiguntung zachorował, Donald prawie z nim nie rozmawiał. Deliryczne majaki naukowca miały pewien specyficzny urok, tak jak mógłby go mieć koncert białego szumu, ale kiedy ubiegłej nocy Donald

wrócił do jaskini, powitało go chrapanie, a dziś Sugaiguntung od rana leżał spokojnie na materacu i odpowiadał na pytania monosylabami lub skinieniem głowy. Upewniwszy się, że gorączka naprawdę ustępuje, Donald wolał zostawić go w spokoju.

Kiedy wszedł do jaskini pogrążony w rozmyślaniach o ucieczce, Sugaiguntung siedział po turecku, zawinięty w koc i zadumany. Gdy Donald zapytał, czy czuje się na siłach wyprawić się na okręt podwodny, odpowiedział pytaniem:

– Może mi pan przynieść kawałek papieru i długopis?

– Nie teraz – zbył go Donald. – Lepiej się pan czuje? Załatwili nam transport na wieczór.

– Nie chcę stąd wyjeżdżać.

Czyżby gorączka wciąż trawiła to wyniszczone ciało?

– Lepiej się pan czuje? – powtórzył pytanie Donald.

– Tak, znacznie lepiej. Prosiłem o papier. Mają tu jakiś?

Donald z wahaniem przygryzł wargę, w końcu złożył obietnicę (w której dotrzymanie sam nie wierzył), że coś załatwi, i tyłem wycofał się z jaskini. Poszedł szukać Jogajonga i znalazł go zajętego rozmową z pielęgniarką.

– Panie Hogan. – Jogajong skinął mu uprzejmie głową. – Podobno doktor Sugaiguntung wraca do zdrowia i zgodnie z planem będzie mógł zostać przerzucony na okręt.

– Właśnie mi powiedział, że nie chce wyjeżdżać – odparł Donald.

Dopiero słysząc swój głos, uświadomił sobie sens tych słów.

Po tym, co zrobiłem, co wycierpiałem, mam teraz zostać z niczym?!

Spojrzał w oczy Jogajonga i przez sekundę miał świadomość, że znajdują się na tej samej orbicie: w tym fragmencie wieczności bronili sprawy, której nic nie mogło stanąć na drodze.

– A co chce robić w takim razie?

– Nie pytałem.

– Tu nie może zostać. Rząd ma dobre komputery; wkrótce dostrzegą powtarzalność kursów łodzi w tym rejonie i wyciągną wnioski. Będziemy musieli przenieść się do bazy na innej wyspie, której mieszkańcy są bardziej przychylni naszej sprawie. To będzie długa i ciężka wędrówka

przez dżunglę i bagna, po drodze czeka nas wiele niebezpiecznych przepraw łodzią... To nie jest wyprawa dla schorowanego starszego pana.

– Wrócić też nie może – zauważył Donald.

Nawet gdyby mógł, i tak bym mu nie pozwolił, dodał w myślach.

– Pod pewnymi względami – odparł po namyśle Jogajong – łatwiej jest transportować człowieka nieprzytomnego.

– Przeszło mi to przez myśl.

– Utrata przytomności to zapewne ostatni objaw maligny, nieprawdaż?

– Naturalnie.

Rozumieli się doskonale.

Wtrąciła się pielęgniarka:

– Ale ja go tak nafaszerowałam lekami, że...

– Nie sprawiał pani problemów, kiedy podawała mu pani leki? – przerwał jej Jogajong.

Pokręciła głową.

– W takim razie wieczorem, niedługo przed wyruszeniem w drogę, pan Hogan...

Donald nie słuchał. Problem został rozwiązany, więc mógł wrócić do rozmyślań o Pradziadzie Loa.

na zbliżeniu (29)

W STANIE ZACHWIANEJ RÓWNOWAGI UMYSŁOWEJ

– Mary!

Mary Whatmough stała przy oknie i z goryczą wpatrywała się w napierającą falę identycznych przedmieść wieńczącą przeciwległy stok uroczej angielskiej doliny, kiedy usłyszała podekscytowany głos męża. Przełknęła na raz połowę ginu ze szklanki (nie wiadomo dlaczego miała wyrzuty sumienia, kiedy nalewała sobie duże drinki) i odwróciła się od okna w tej samej chwili, kiedy Victor wszedł do pokoju, wymachując trzymanym w ręce listem jak flagą zwycięstwa.

– Z Konsorcjum Benińskiego! Posłuchaj: „Szanowny...” i tak dalej... gdzie to ja... O, jest najważniejsze: „Nie możemy wprowadzić zagwarantować tak wysokiego wynagrodzenia jak kandydatowi o wyższych, bardziej specjalistycznych kwalifikacjach, stoimy jednak na stanowisku, że doświadczenie zaprezentowane przez Pana w liście aplikacyjnym będzie dla nas niezwykle cenne we wstępnych fazach projektu. Prosimy o kontakt i informację, w jakim dogodnym dla Pana terminie mógłby Pan przybyć do naszego londyńskiego biura i osobiście omówić szczegóły”.

Starannie artykułując (gin zadziałał na nią znacznie szybciej i mocniej, niż się spodziewała), Mary spytała:

– Czyżby niektórzy czarni wreszcie poszli po rozum do głowy?

– Co masz na myśli?

– Czy to nie oczywiste? Nigdy nie nadawali się do samodzielnego rządzenia, a teraz po prostu sobie to uświadomili i proszą innych o pomoc.

Victor złożył list na pół, po czym, spuściwszy wzrok, zaczął go składać w wąskie, równoległe paski.

– Ehm... – bąknął, nie podnosząc głowy. – Wydaje mi się, że podstawą tego projektu jest zupełnie inny sposób myślenia.

Przed oczami stanęła mu na moment twarz ślicznej dziewczyny na ekranie wideofonu. W tle – ciemna ludzka sylwetka.

Dużo się zmieniło, pomyślał. Nie ma sensu spodziewać się odrodzenia naszego świata, mego i Mary. Ale z Karen było tak przyjemnie... Może jest jeszcze szansa...

– Sposób myślenia może być inny, ale faktów nie zmienia.

– Być może – zgodził się bez przekonania Victor. – Ale wydaje mi się, że to by było... hmm... nierozważne, mówić w ten sposób. Ktoś mógłby się obrazić, prawda?

– Mój ojciec też tak mówił. – Takie słowa zawsze, od dwudziestu lat, stanowiły przygrywkę do kłótni. – I jak skończył?! Wyrzucony na zbity pysk przez bandę niewdzięcznych parweniuszy!

– Posłuchaj, kochanie, Benińczycy nie byłiby naszymi bezpośrednimi przełożonymi. Zatrudniłaby nas wynajęta przez nich firma amerykańska.

– Tysiąc razy ci mówiłam, co myślę o Amerykanach. Zaraz postawią nad tobą jakiegoś brązowego kinola, smarkacza dwa razy młodszego od ciebie, który będzie się upierał, żebyś mówił do niego „szefie” i kłaniał mu się w pas. Co robisz?

Victor metodycznie podarł list na czworo.

– To na nic, prawda? – powiedział w powietrze, nie zwracając się do żony. – Prędzej czy później upije się na jakimś bankiecie i nazwie premiera albo kogoś innego „brązowym kinolem”. Gdzie wtedy wyląduję? Wrócę tutaj? Trafie jeszcze gorzej?

Odwrócił się na pięcie.

– Dokąd idziesz?

– Weź się po prostu zamknij, dobrze?

Mary wzruszyła ramionami. Victor wiecznie się wściekał. Tak jak w zeszłym tygodniu na przyjęciu u Harringhamów; cud, że Meg Harringham go nie spoliczkowała. Przejdzie mu, zawsze mu przechodzi.

Ba, jutro o tej porze będzie pewnie zaprzeczał, że w ogóle coś takiego mówił. A list podarł tylko na cztery części, więc nadal da się go przeczytać. Poza tym to budujące, że ci durni Afrykanie po tylu latach wreszcie zdali sobie sprawę, kto ich karmi i...

Kiedy usłyszała strzał, nie wierzyła z początku, że dźwięk dobiegł z wnętrza domu. Nie uwierzyła w to zresztą nawet po tym, jak otworzyła drzwi gabinetu Victora i zobaczyła jego mózg rozbryźnięty na dywanikach ze skóry zebry.

ciągłość (40)

NAJWYŻSZEJ WAGI

Pojawił się problem z zakwaterowaniem personelu nadzorującego pierwsze etapy projektu benińskiego. Wydawało się, że nie pozostaje nic innego, jak wybudować nowe przedmieście Port Mey, co wiązałoby się z poważnym opóźnieniem – przynajmniej dopóki ktoś nie wpadł na pomysł, żeby zapytać o zdanie Salmanasara, który, przesiawszy swoje nieprzebrane zasoby informacji, znalazł rozwiązanie: ktoś wystawiał na sprzedaż wycofany ze służby lotniskowiec.

GT przeliczywało Nową Zelandię, który to fakt stał się przedmiotem zajadłego sporu w tamtejszym parlamencie (właściwie niepotrzebnie, bo jeśli za rok nadal będą zainteresowani okrętem, to będą go mogli sobie wziąć). Na razie jednak rozwiązanie to miało szereg zalet, poza symbolicznym wyrażeniem faktu, że przez najbliższe pół roku projekt nie posunie się zbyt daleko w głąb lądu. Prace wstępne koncentrowały się na ŚPG i zatoce, nad którą leżał Port Mey – ten pierwszy należało rozwinąć w taki sposób, żeby dostarczał jak najwięcej surowców, ta druga zaś wymagała pogłębienia, żeby port mógł przyjmować największe statki oceaniczne.

Po tej sugestii Norman żywił jeszcze większy szacunek dla Salmanasara. Akceptował wszystkie rozwiązania, które mogły przyspieszyć realizację projektu, żądza odniesienia sukcesu trawiła go niemal jak fizyczny głód.

Wyszedł na główny pokład lotniskowca, na którym jak zwykle nie ustawał ruch śmigłowców pasażerskich i towarowych, przywitał się z wysiadającym z jednej z maszyn Gideonem Horsfallem i oparł o reling od

strony lądu. W tej akurat chwili nie padało, ale przesycająca powietrze wilgoć była chyba jeszcze gorsza. Swędziała go do niej skóra głowy, a ubranie kleiło mu się do ciała.

Drapiąc się z roztargnieniem po głowie, patrzył w kierunku Afryki. Do portu wchodził właśnie kabotażowiec, atomowe silniki impulsowe prychały co dwie sekundy: paf... paf... paf... Kilkanaście ciemnych sylwetek na pokładzie pokrzykiwało i machało rękami w stronę lotniskowca. Norman też im pomachał.

Śmigłowiec z Akry zstąpił z powietrznej drabiny parę minut po czasie. Norman natychmiast doskoczył do drzwi i poczuł ukłucie zniecierpliwienia, gdy wyczekiwany przez niego gość odwrócił się jeszcze do współpasażerów, żeby się z nimi pożegnać – w końcu jednak zeskoczył na pokład i wyciągnął rękę na powitanie.

– Cieszę się, że wreszcie jesteś – powiedział Norman. – Nie śpieszyłeś się!

– Nie do mnie te pretensje – odparł Mulligan – tylko do ludzi z GT. Wszyscy, od Rankina do samego dołu, uważają mnie tam za jakiegoś cudotwórcę. W czym oczywiście jest trochę mojej winy, nie ukrywam. Pomyślałem, że łatwiej mi będzie zgłębiać podstawy w Nowym Jorku niż tutaj; podobno afrykańskie biblioteki nie są najlepsze. – Rozejrzał się po pokładzie. – Fantastyczna sprawa, takie nowe zastosowanie dla którejs z tych zabytkowych kryp. Jak się nazywa?

– Co? A tak, przedtem był *William Mitchell*, ale kazali nam zmienić, więc... – Norman parsknął śmiechem. – Nikt nie potrafił wymyślić nic lepszego niż *Salmanasar*.

– Męskie imiona dla takiej arki... Wiesz, zasadniczo to ja nie mam nic przeciwko dwojaczniemu, ale w takiej skali to lekka przesada. – Chad otarł czoło, na którym pot zaczął mu się perlić natychmiast po opuszczeniu klimatyzowanego helikoptera. – Pod pokładem jest chłodniej?

– Minimalnie. – Norman skierował się do najbliższej windy. – Co to byli za ludzie w helikopterze? Facet wydał mi się znajomy.

– Pewnie widziałeś zdjęcia. To zatrudnione przez was małżeństwo ze Stanów, Frank i Sheena Potterowie. Jadą w głąb kraju, mają tam

uruchamiać szkołę.

– Rzeczywiście, przypominam ich sobie. Ich podanie było na granicy dopuszczalności, dlatego trafiło na moje biurko. Było tam coś o nielegalnej ciąży... Ale poza tym wyglądali w porządku, więc postanowiłem zaryzykować. Jakby co, zawsze można ich później wycofać.

– Ciąża jest już ewidentna, ale sprawiają wrażenie bardzo sobie bliskich, a to dobry znak. A tak w ogóle, jak wam idzie rekrutacja?

– Spodziewaliśmy się czegoś więcej po dawnych urzędnikach kolonialnych. A może wcale nie, może to tylko ja mam wygórowane wymagania. – Norman przepuścił Chada do windy. – Pamiętam, że razem z aplikacją Potterów w tym samym dniu dostałem jeszcze jedną, z którą boksuję się do dzisiaj. Nie mogę się zdecydować.

– Na czym polega problem?

Winda się zatrzymała i wypluła ich w trzewia bestii. Norman skubnął brodę, zerknął na tabliczki informacyjne i skręcił w lewo.

– To był list z Paryża. Nie wiem, może to z mojej strony nadmiar doktrynerstwa, ale... To jest rodzeństwo, brat i siostra, których oboje rodzice byli *Pieds-Noirs*. Algierskie dziedzictwo niekoniecznie musi być zaletą.

– Nie przyjmuj ich, choćby cię błagali na kolanach. Nie bierzcie też żadnych Portugalczyków, Belgów i w ogóle miejcie się na baczności. Jezu, ależ poleciałem stereotypem... Dokąd mnie zabierasz?

– Jesteśmy na miejscu. – Norman otworzył stalowe drzwi i pierwszy wszedł do dużego, wygodnie umeblowanego i klimatyzowanego salonu, dawnej mesy oficerskiej. – Pomyślałem, że chętnie się czegoś napijesz po długiej podróży.

– Nie, dzięki – odparł krótko Chad.

– Jak to?

– No dobrze, może być zimne piwo. Ale nic mocniejszego. Wiele ci zawdzięczam, rozumiesz, między innymi także wyżęcie mnie z alkoholu. – Chad opadł na pierwsze z brzegu wolne krzesło. – Nie dałbym rady jednocześnie pić i podczytywać o Beninii.

– No, to jest dobra wiadomość – przyznał Norman. – Ehm... Doszedłeś może do jakichś wniosków?

– Wniosków? Obyś miał na myśli hipotezy. Przyleciałem przed pięcioma minutami i moja stopa nie została jeszcze na benińskiej ziemi, ale... Właśnie, skoro mowa o rekrutacji: załatwiłeś mi ludzi, których chciałem?

– Masakrycznie dużo ich było – burknął Norman. – Jak to powiedziałaś? Psycholodzy, antropolodzy, socjolodzy i syntetycy niespełnani niewolniczym przywiązaniem do „izmów”. Tak to szło?

– „Przyklejeniem”, nie „przywiązaniem”, ściślej rzecz biorąc. Masz ich, czy nie?

– Nad syntetykiem ciągle jeszcze pracuję – przyznał z westchnieniem Norman. – Ta dyscyplina przyciąga mniej specjalistów, niż powinna. Poza tym ludziom się chyba wydaje, że przez Salmanasara syntetycy stają się zbędni. Ale zgłosiłem problem przedstawicielom Państwa; Raphael Corning obiecał kogoś poszukać. Co do reszty... Sporządziłem listę tuzina kandydatów, będziesz mógł z nimi porozmawiać. Wszyscy mają świetne referencje od poprzednich pracodawców.

– Nie brzmi to zachęcająco. – Chad zmarszczył brwi. – Wolę ludzi, którzy narazili się szefom tyle razy... Ale nie, to tylko moje uprzedzenia. Dziękuję, wygląda to całkiem nieźle. Właściwie nawet chętnie napiję się tego piwa.

– Już ci je niosą.

– Świetnie. Jak sprawy? Jak się miewa Elihu?

– Wpadł dziś rano z Kitty Gbe, minister edukacji, żeby obgadać program selekcji pierwszej fali uczniów-nauczycieli. Po południu powinien być w pałacu.

– A prezydent? Jak się czuje?

– Nie najlepiej. Przybyliśmy za późno. On jest chory, Chad. Pamiętaj o tym, kiedy się spotkacie, ale pod... całunem starości tkwi niezwykła osobowość.

– Kto przejmie stery?

– Przypuszczalnie rząd tymczasowy z Ramem Ibusą na czele. Prawdę mówiąc, Zaddie już wczoraj podpisał swoją rezygnację; dokument będzie

można wykorzystać w każdej chwili, gdyby jego stan się pogorszył.

Chad wzruszył ramionami.

– To pewnie nie będzie miało większego znaczenia, w tej chwili krajem i tak rządzi Salmanasar, prawda? A po tym, jak miałem okazję go poznać osobiście, sądzę, że sobie poradzi.

– Obyś się nie mylił – mruknął Norman.

Dziewczyna przyniosła piwo i postawiła je na stole między Chadem i Normanem. Chad odprowadził ją zachwyconym spojrzeniem.

– Miejskowa?

– Kto? Kelnerka? Tak przypuszczam.

– Ładna. Jeśli mają tu laski takiego kalibru, to może mi się tu spodobać nawet jeśli nie znajdę tego, czego szukam. Ale, ale, byłbym zapomniał... Ty masz obsesję na punkcie blondynek, prawda?

– Nie mam już żadnej obsesji – odparł stanowczo Norman. – Obsesje nie idą w parze z Beninią.

– Zauważyłem. I cieszę się, że ty również to dostrzegłeś.

Chad za jednym zamachem pochłonął pół piwa i z westchnieniem zadowolenia odsunął szklanę.

– Wspomniałeś o tym, czego szukasz – przypomniał mu Norman, z przesadną gorliwością zmieniając temat. – Ze złożonego przez ciebie zapotrzebowania...

– ...wynika, że nie mam zielonego pojęcia, o co mi chodzi – wszedł mu w słowo Chad. – Bądź przygotowany na to, że jutro poproszę cię o coś zupełnie innego. Prawdę mówiąc, lecąc tutaj, uświadomiłem sobie, że przydaliby mi się także biochemicy i genetycy.

– Mówisz poważnie?

– Jeszcze nie, ale daj mi tydzień, może dwa, a zacznę. Poza tym potrzebni będą księża, imamowie, rabini, wróżbici, jasnowidze i... Kurzeszmac, Norman, skąd mam wiedzieć, kto jeszcze? Moja prośba wydawała mi się po prostu sensownym punktem wyjścia!

– Proś, o co chcesz – odparł po chwili milczenia Norman. – Mam przecucie, że w tej chwili jesteś ważniejszy niż wszystko inne, nawet projekt beniński.

– Znowu zaczynasz... Nie karm mojego ego, już i tak jestem dostatecznie próżny!

na zbliżeniu (30)

DÉFENSE D'ENTRER

Dom, widziany od strony ulicy, w pierwszej chwili wydał się Jeannine pusty, szybko jednak dostrzegła błysk światła, który wymknął się spod grubych, staroświeckich zasłon w oknie *salon*, i usłyszała stłumione dźwięki fortepianu. To był jeden z ulubionych kawałków jej brata, *La Jeune Fille aux Cheveux de Lin*.

O dziwo, drzwi wejściowe były otwarte. Weszła do środka. W świetle odległych latarni ulicznych dostrzegła bałagan w holu. Odłamki dużego wazonu chrupnęły jej pod nogami, marokański chodnik leżał skotłowany pod ścianą, powietrze było gęste od słodkiej woni trawki.

Muzyka ucichła. Jeannine otworzyła drzwi prowadzące do *salon* i zobaczyła sylwetkę brata rysującą się na tle rozkołysanej lampy. W mosiężnej popielniczce dymił zapalony blant, na wieku fortepianu stał kieliszek, a obok na wpół pusta butelka koniaku.

Wypowiedział jej imię neutralnym tonem; weszła i zamknęła za sobą drzwi. Podeszła do jednej z wykładanych poduszkami niskich ław.

– Gdzie Rosalie? – zapytała.

– Pokłóciliśmy się. Wyszła.

Jego dłonie błąkały się po klawiaturze na pozór samowolnie, formując długie, płaczliwe linie melodyczne, dziwnie bliskie arabskim pieśniom, których żaden fortepian nie był w stanie naśladować. Jeannine słuchała przez chwilę, zanim w końcu się odezwała:

– Dostałeś odpowiedź od Amerykanów.

– Tak. A ty?

– Też. Domyślam się, że zostałeś przyjęty i to doprowadziło do kłótni?

– Przeciwnie.

Wstał gwałtownie, zatrzaskał fortepian, dopił koniak w kieliszku i przeniósł go razem z butelką na stolik przed siostrą. Przysiadł się do niej, dolał sobie trunku i spojrzał na nią pytająco, a wyczytawszy w jej spojrzeniu zgodę, prawie zerwał się na nogi, żeby przynieść drugi kieliszek.

Powstrzymała go gestem.

– Nie wstawaj. Możemy pić z jednego.

– Jak chcesz.

Zgasił papierosa, otworzył pudełko i jej podsunął.

– Powiedziałaś „przeciwnie”. To znaczy, że cię odrzucili?

– Tak. I dlatego wkurzyłem się na Rosalie. A ty?

– Mnie też nie przyjęli.

Po tych słowach zapadła długa cisza. W końcu przerwał ją Pierre:

– Niezbyt się tym przejąłem. A powinienem. Pamiętam, że bardzo liczyłem na to, że będę musiał jechać do Afryki, a tu co? Nie dostałem pracy, straciłem żonę, a mimo to jest mi wszystko jedno.

– Na pewno się nie pogodzicie?

– Na samą myśl robi mi się niedobrze. Warto się godzić, jeśli to pogodzenie miałoby być posklejaniem rozbitych kawałków? Tak się robi tylko z najcenniejszymi przedmiotami.

– No to jesteśmy w jednej galerii – przyznała po chwili milczenia Jeannine. – Raoul nie rozumiał, jakie to dla mnie ważne. Posprzeczaaliśmy się, tym razem po raz ostatni. Szkoda zachodu.

– Obcy tego nie rozumieją. Nie mogą.

Pierre opróżnił kieliszek i znowu go napełnił. Gdy tylko wypuścił go z rąk, jego siostra upiła pośpieszny łyk.

– Jakie masz plany? – spytał Pierre.

– Jeszcze nie zdecydowałam. Ponieważ postanowiłam wrócić do Afryki, rozejrzę się chyba za jakimś innym sposobem. Nie widzę szans na powrót do domu, ale są jeszcze inne kraje, w których Europejczyk może żyć. Może okazać się lepsze od bagnistego państwka w równikowym pasie deszczowym.

– Egipt chętnie zatrudnia Europejczyków – przytaknął Pierre. – Głównie Niemców i Szwajcarów, ale Belgów też.

– Raoul powiedział mi coś jeszcze: Rada Wspólnej Europy jest bardzo zaniepokojona obecnością Amerykanów w Beninii, do tego stopnia, że dla zachowania równowagi chce udzielić pomocy Dahomalii i RUNG.

– Do tego też będą potrzebowali doradców. A mimo to... – Pierre z wysiłkiem przełknął ślinę. – To było bardzo trudne, schować dumę w kieszeń i ubiegać się o pracę u *les noirs*. A kiedy po tym upokorzeniu dowiadujesz się, że wszystko na darmo... To wprost nie do zniesienia.

– *Mon pauvre*. Wiem, co czujesz.

Jeannine sięgnęła po kieliszek. Popijając, spojrzała ponad jego krawędzią w oczy Pierre'a.

– Tak – powiedział. – Naprawdę wiesz, co czuję. Chybabym zwariował, gdybym wiedział, że na całym świecie nie ma ani jednego człowieka, który by mi współczuł.

– Ja też. – Z wyraźnym wysiłkiem oderwała wzrok od jego oczu i odstawiła kieliszek. – A wiesz, tak sobie myślę, że stąd się właśnie bierze ten chaos w moim życiu – ciągnęła, nie patrząc już na brata. – Od jednego mężczyzny do drugiego, jeśli związek przetrwa rok, to już sukces... Moje serce szuka kogoś takiego jak ty. Szuka i nie znajduje.

– Przynajmniej masz dość siły, żeby ciągle szukać – zauważył Pierre. – Ja się poddałem. Chociaż przyznaję się do tego dopiero wtedy, kiedy muszę. Raz, teraz drugi.

Powietrze zdawało się duszne nie tylko od dymu, ale także od słów, które należało wypowiedzieć, ale nikt nie potrafił tego zrobić.

Pierre wstał z wysiłkiem, jakby gęsta atmosfera fizycznie mu ciążyła.

– Posłuchajmy muzyki. Dokucz mi ta pustka w domu.

– Jest pusty jak moja dusza – powiedziała Jeannine, zaciągając się dymem.

– Czego posłuchamy? Czegoś triumfalnego? Marsza pogrzebowego?

– Zagrasz coś czy puścisz z taśmy?

– Puszczę. Nie mam ochoty grać. – Pierre przejrzał taśmy na stojaku i wrzucił jedną do odtwarzacza. – Berlioz trochę nas ożywi, nie? – mruknął

i zgasił lampę. – Ma ciekawą wizualizację, pewnie jeszcze jej nie widziałaś.

Ekranik odtwarzacza rozświetlił się biało-złotymi wzorami. W ich blasku Pierre znalazł drogę powrotną do ławy. Siedząc sztywno, przez jakiś czas oglądali obrazy. Od łoskotu muzyki pękały bębniaki w uszach – zamilowanie mistrza do wielkich orkiestr znalazło godnego partnera w nowoczesnym systemie nagłośnienia.

– Powinienem kupić nowy odtwarzacz – powiedział Pierre. – Ten gubi głębię, jeśli człowiek nie siedzi dokładnie na wprost ekranu.

– Chodź, przysuń się. Źle się siedzi, co? Trzeba mieć afrykańskie kości, żeby siedzieć wygodnie na tym cholerstwie. Chcesz się przenieść na fotele?

– Nie, nie da się wcisnąć dwóch foteli przed ekran, za mało miejsca... O to też się czasem z Rosalie kłóciliśmy.

– Dobrze widzisz? Czekaj, oprę się o ciebie. Obejmij mnie. O tak, tak jest dobrze.

Upłynęło trochę czasu. Jej włosy pachniały. I były takie miękkie, kiedy oparł o nie policzki. Dopasowane do muzyki obrazy i kolory były pierwszorzędne, przebijały się do niego pomimo dręczącej go depresji i apatii, i usypiały. Poczuł, ale nie zareagował, kiedy szczupłe, mocne palce Jeannine oplotły jego dłoń; kiedy poruszała się lekko, on tylko odpowiednio wygodnie zmieniał pozycję. Kiedy zaczęła gładzić palcami wierzch jego dłoni i nadgarstka, całkiem naturalnie przyszło mu skopiować ten ruch. Dopiero po chwili zorientował się, że dotyka jej obnażonej piersi.

Ekran zdominowały biel i błękit. W chwili niespodziewanej jasności spojrział na nią i zobaczył połyskujące na jej policzkach łzy: dwie małe, błyszczące rzeki wypływające z dwóch ciemnych sadzawek.

Głośna muzyka prawie zagłuszyła jej słowa, ale usta uformowały je dostatecznie wyraźnie:

– Nigdy nie znajdziemy nikogo innego, Pierre, prawda?

Nie potrafił odpowiedzieć.

– Taka jest prawda – ciągnęła, nieco głośniejszym, znużonym głosem. – Może przestańmy udawać? Mam dość wszystkich, Pierre, wszystkich poza tobą. Możesz być moim bratem, ale przez całe życie byłeś też moim jedynym przyjacielem, a ja już nie jestem młoda. Paryżanie nie chcą mieć

z nami do czynienia, Francuzi nas ignorują, w Europie panuje chaos jak w wymiocinach zachłannego psa, a teraz jeszcze się okazuje, że *sales noirs* też nas nie chcą. Powiedz, gdzie indziej mielibyśmy się zwrócić?

Pierre pokręcił głową i jedną ręką uczynił gest mający wyrażać brak wszelkiej nadziei.

– *Ainsi je les emmerde tous* – powiedziała Jeannine.

Na razie tylko poluzowała bluzkę i rozchyliła jej poły w taki sposób, żeby podsunąć mu pierś do głaskania; była to bardzo piękna pierś, pełna w sposób, który przekraczał granicę bujności. Teraz rozpięła bluzkę do końca, zdjęła ją i odrzuciła na bok. Nie próbował jej powstrzymać, ale też nie pomagał.

Długo przyglądała mu się badawczo, trzymając go na odległość wyciągniętej ręki.

– Czasem podejrzewam, że kobiety cię porzucają, bo nie jesteś aż tak męski, jak sobie wyobrażam. Czy tak właśnie jest, Pierre?

Jego twarz pociemniała z gniewu.

– Bynajmniej! – odwarknął.

– A ja bez dwóch zdań jestem atrakcyjną kobietą. Dzisiaj, kiedy dostałam ten list, olśniło mnie nagle, czego naprawdę chcę. I czego ty także chcesz. Chcemy, żeby świat umarł, ale żeby jego kawałek ocalał. Możemy... nie: musimy szukać tego, czego pragniemy, ale w rozsądny sposób. Nie samotnie. Pewne rzeczy będzie trzeba załatwić, ale ja się tym zajmę. Są takie miejsca, w których wyżej ceni się człowieka niż papier stwierdzający, gdzie się urodził. – Zawiesiła głos. – Moglibyśmy mieć dzieci, Pierre.

– Zwariowałaś? – wyszeptał pobladłymi wargami.

– Zastanów się – odparła spokojnie i rozparła się wygodnie na poduszkach, zapatrzona w ekran. Położyła dłonie na piersiach w geście fałszywej skromności, o którym wiedziała, że rozpala większość mężczyzn.

Kiedy poczuła pierwsze muśnięcie jego ręki, podsunęła mu zachłanne usta do pocałunku.

kontekst (27)

SPRAWOZDANIA GRUP BADAWCZYCH

„Z językoznawczego punktu widzenia, shinkaski w swojej czystej, tradycyjnej postaci (obserwowanej dziś wyłącznie u najstarszych mężczyzn i kobiet recytujących pieśni, bajki i opowieści ludowe, których nauczyli się w dzieciństwie) jest typowym przedstawicielem dominującej w tym rejonie podgrupy językowej. Odnotowano pewną liczbę anomalii poza cytowanymi w źródłach – najbardziej znaczące z nich to pokrewieństwo słów oznaczających »wojownika« i »głupca« oraz homonimiczność wyrazów »rana« i »choroba«.

Jednakże »czysty« język shinkaski jest praktycznie w zaniku. We wszystkich ośrodkach miejskich obserwuje się znaczną kontaminację angielszczyzną, chociaż nie wykształcił się typowy dla pidginu samowystarczalny słownik. Dialekt holaiński jest pidginem, ponieważ zachodzi w nim hybrydyzacja lokalnej leksyki z obcą gramatyką i *vice versa* – te dwa przeciwstawne bieguny często współwystępują zresztą u jednego użytkownika, który modyfikuje swój język w zależności od poziomu porozumienia z rozmówcą. W całej północnej części kraju, gdzie wpływy holaińskie są najsilniejsze, większość mieszkańców – bez względu na pochodzenie – rozumie holaińskie słowa i prostą gramatykę, na co dzień jednak porozumiewa się językiem, który należy sklasyfikować jako kontaminowany shinkaski.

Zarówno Inoko, jak i Kpała zachowali w swoich enklawach język ojczysty (aczkolwiek z silną kontaminacją shinkaską), ale w praktyce są dwujęzyczni albo wręcz (jak to się dzieje w przypadku dzieci, które w szkole muszą porozumiewać się po angielsku) trójjęzyczni.

Angielski jest językiem władz, handlu zagranicznego i – w znacznej mierze – inteligencji. Telewizja nadaje we wszystkich pięciu językach, w tym także po angielsku; w realizowanych na miejscu programach rozrywkowych mówi się po shinkasku, w tych sprowadzanych w gotowej postaci z zagranicy – po angielsku.

W dalszym ciągu można znaleźć w języku tubylców ślady arabskiego, hiszpańskiego i suahili, a także – w rejonach przygranicznych – licznych dialektów ościennych, z których często pochodzą powszednie określenia przedmiotów wymiany handlowej.

Systematyczna analiza zarejestrowanego słownictwa zostanie podjęta zaraz po...”.

* * *

„Mieszkańcy należą do rasy negroidalnej, w której na północy zaznacza się wyraźny wpływ Berberów, natomiast w okolicy Port Mey występuje pokaźna mniejszość pochodzenia angielskiego i indyjskiego. Średnia wzrostu u obu płci jest niższa niż w krajach ościennych (różnica wynosi ok. 1-2 cm u mężczyzn i 2-3 cm u kobiet), podobnie jak średnia masa ciała. Ten fakt tłumaczy się (a) uboższą dietą, oraz (b) upośledzającym wpływem chorób endemicznych. Mieszkańcy są dobrze obeznani z trypanosomiazą i malarią i należycie wyedukowani w zakresie związanej z nimi publicznej opieki zdrowotnej. Istnieje jednak zdradziecki i najwyraźniej odporny na antybiotyki szczep »gorączki czarnej wody«, któremu zdarza się zbierać śmiertelne żniwo wśród dzieci (choć nie wśród dorosłych). Rozwój gruźlicy, ospy i innych chorób udało się powstrzymać poprzez program powszechnych szczepień, dobrze przyjęty przez miejscową ludność, ale...”.

* * *

„Mediana poziomu IQ wśród uczniów zbadanych przez nasz zespół leży niemal 2½ punktu poniżej wartości notowanej w krajach ościennych. Nie

jest na razie pewne, czy jest to różnica statystycznie znacząca, ponieważ wystąpiły problemy z uwzględnieniem szumu tła. Zakładając jednak, że różnica jest istotna, można by ją najprawdopodobniej złożyć na karb wielopokoleniowego niedożywienia. Dieta – złożona w głównej mierze z sago, mączki kukurydzianej itp. – jest w niewielkim stopniu uzupełniana substancjami bogatymi w białko i świeżymi warzywami. Dzięki rządowym wysiłkom edukacyjnym w zakresie wykorzystywania owoców cytrusowych udało się zwalczyć skorbut. Dostępna jest również mączka rybna.

Z drugiej strony, udało się znaleźć pewną niewielką liczbę wyjątkowo uzdolnionych dzieci, z których jedno uzyskało w skali IQ wynik bliski 176. Trwają badania zmierzające do wykrycia ewentualnych innych niezwykłych cech genetycznych...”.

* * *

„Zaobserwowano liczne sprzeczne rytuały związane z tradycyjnymi przełomowymi wydarzeniami: narodzinami, osiągnięciem dojrzałości, ożenkiem, rodzeniem dzieci, rodzicielstwem, chorobą oraz śmiercią. Niektóre z nich są pochodzenia lokalnego, inne mają rodowód muzułmański lub chrześcijański. Załączona tabela przedstawia najbardziej znaczące cechy ww. rytuałów, a także rejony ich najczęstszego występowania. Uwaga: wydarzenia te traktowane są raczej jako okazja do świętowania, nie przypisuje im się natury magicznej ani religijnej. Nie sposób jednak ustalić, czy jest to naturalny stan rzeczy, czy też efekt stopniowej derytualizacji europejskich świąt religijnych w okresie kolonialnym...”.

* * *

„U Holainich rodzina ma najczęściej strukturę patrylinearną, natomiast wśród Shinków – na południu, zwłaszcza w miastach, gdzie obserwuje się największą mobilność męskiej siły roboczej – grawituje ku

matrylokalności. Niemniej jednak obie płcie cieszą się równością wobec prawa, folklor zaś wskazuje, że kobiety wyróżniające się silną osobowością były przyjmowane do zmaskulinizowanych rad plemiennych jeszcze przed przybyciem Europejczyków. Skomplikowana terminologia rodzinna Shinków powoli ustępuje miejsca uproszczonemu modelowi, który najprawdopodobniej czerpie z angielszczyzny i nauk misjonarzy. Na razie nie udało się jednak stwierdzić...”.

* * *

„Idee społeczne badano zarówno w języku shinkaskim, jak i angielskim. Wyniki wykazują znaczne zróżnicowanie. W angielskim najwyżej cenione były takie cele jak »zamożność« i »zostanie prezydentem«; w shinkaskim wyżej punktowały (w swobodnym przekładzie) »poważanie« oraz »sympatia społeczności«. Nie ustalono na razie, czy przyczyną tego rozżewu jest jakiś faktyczny konflikt, czy po prostu większa dostępność określonych terminów...”.

* * *

„W sposób typowy dla społeczeństw prymitywnych przysłowia i powiedzenia ludowe odgrywają dużą rolę w rozmowach towarzyskich. Ich treść jest jednak dość specyficzna.

Powszechny podziw dla Begiego doskonale ilustruje fraza »Mógłbyś przyjmować Begiego w domu« – pochwała człowieka, który może być dumny ze swojej rodziny.

Z dogłębnymi badaniami różnic uzusu językowego Shinków i Holainich, a także wpływów Inoko i Kpała, trzeba zaczekać do...”.

* * *

„Chad Mulligan – do wszystkich grup badawczych:

Nie ustaliliście! Nie jesteście pewni! Badania trwają!
Może dla odmiany podrzucilibyście mi jakiś konkret – najlepiej w miarę szybko?”.

ciągłość (41)

PRZYSZYTY IGŁĄ Z NITKĄ

Godzinę po zachodzie słońca Jogajong podał Donaldowi rękę na pożegnanie i przekazał go pod opiekę jednego ze swoich adiutantów. Eskortowany przez czterech uzbrojonych partyzantów – towarzyszyło im jeszcze czterech, niosących Sugaiguntunga zakutanego w rodzaj kokonu z foliowych pasów – Donald ruszył inną ścieżką niż ta, którą przybył. Przez plecy przewiesił schludnie zrolowane antyradarowe skafandry wypornościowe, w których spodziewali się z profesorem spędzić wiele samotnych, ciemnych godzin, zanim okręt będzie mógł po nich przypłynąć.

Ścieżka miała wyboje, a pożyczone okulary do czarnego światła nie były zbyt skuteczne. Tutaj, na zboczach rozchodzących się promieniście od szczytu Pradziada Loa, było tak ciepło, że zarówno roślinność, jak i otaczających go ludzi widział tylko jako rozmazane plamy. Miał wrażenie, że towarzyszący mu Yatakańczycy – nawykli do bezszelestnego poruszania się w dżungli – reagują nieskrywaną wzdrganiem za każdym razem, gdy zaczepi o nisko zwisającą gałąź albo potknie się na grudzie błota.

Jakoś jednak udało im się pokonać wymagany dystans i pierwszy etap podróży zakończył się u źródeł niewielkiej rzeczulki. Z brzegu wyrastał toporny pomost, do którego przycumowano sfatygowaną dłubankę z wiosłem napędowym na rufie. Wioślarz siedział po turecku na pomoście i palił papierosa, który, choć starannie ukrywany w stulonych dłoniach, jarzył się jak świetlik, gdy tylko palce mężczyzny się rozwierały.

Partyzanci ostrożnie ułożyli Sugaiguntunga na dziobie i przykryli go starymi workami. Następny wsiadł Donald i zajął miejsce na ławeczce

w połowie długości łodzi. Dwaj partyzanci usiedli za jego plecami i położyli sobie energetyki na kolanach. Wbrew swojej woli Donald zastanawiał się, ile uwagi poświęcają jemu, a ile oficjalnemu zadaniu wypatrywania szpiegów na łądzie. Poza hasłem, którym się przedstawili, nie padło ani jedno słowo. Łódź spłynęła na środek wąskiej strugi i przewoźnik zaczął rytmicznie pracować wiosłem, które swoim poskrzypywaniem do złudzenia przypominało świerszcza.

Rzeka przywodziła na myśl tunel z wodną posadzką. Drzewa na obu brzegach pochylały się ku sobie i splatały w górze, a z ich połączonych koron zwieszały się pnącza i mchy. Czasem wydarł się jakiś nocny ptak, raz dało się słyszeć spanikowane małpy, zapewne spłoszone przez węża. Na dźwięk tego jazgotu Donaldowi przeszedł po plecach dreszcz.

W miejscu, gdzie rzeczka uchodziła do większej rzeki, minęli wioskę – panowały w niej absolutne ciemności, ale na wszelki wypadek partyzanci kazali się Donaldowi położyć na dnie. Kiedy pozwolono mu wstać, znajdowali się już daleko, na środku głównego nurtu, który niósł ich żwawo naprzód. Przewoźnik wciągnął wiosło napędowe do wnętrza łodzi, a zamiast niego wziął do rąk inne, mniejsze, służące do sterowania.

Mamy dwudziesty pierwszy wiek.

Myśl ta przyszła Donaldowi do głowy bez żadnego szczególnego powodu.

A to jest Yatakang, jeden z krajów najzasobniejszych w bogactwa naturalne, który także pod względem naukowym trudno by nazwać zacofanym – vide Sugaiguntung. A ja płynę sobie w środku nocy łodzią wiosłową.

Na brzegach coraz częściej pojawiały się oznaki, że okolica jest zamieszкана. To był jeden z trudniejszych odcinków podróży. Donald znowu musiał porzucić swoją ławkę i przycupnąć na dnie, zerkając sponad nadburcia. Policyjna motorówka cumowała przy paliku wbitym w dno rzeki naprzeciw wioski (większej niż pierwsza, obok której przepływali), ale nikogo w niej nie było. Minęli ją bez przeszkód, a kiedy została daleko za rufą, wiosłarz znów wziął się do roboty – bez jego pomocy rozleniwiony

tutaj nurt niósł ich bardzo wolno, z czego Donald wywnioskował, że zbliżają się do ujścia i walczą z naporem zalewającej je morskiej wody.

Przy samym ujściu rozciągał się długi naszyjnik zabudowań małego portu – rybackiego, jeśli sądzić po suszących się sieciach, widocznych w świetle nielicznych lamp elektrycznych na nabrzeżu – ale i tu nikogo nie było widać. Rybacy wypłynęli na nocny połów i nie było sensu czekać: nie wrócą przed świtem. Donald odetchnął nieco swobodniej.

Niedaleko brzegu wioślarz ustawił kruchą łajbę prostopadle do dotychczasowego kierunku, a jeden z partyzantów wziął do ręki leżącą na dnie latarkę. Włączył ją i wystawił za burtę; Donald domyślał się, że latarka emituje głównie ultrafiolet.

Dziesięć minut ciągnęło się bez końca. W końcu duży kuter rybacki wynurzył się z nocnych mgieł, które spowiły powierzchnię morza. Oprócz przepisowych świateł sygnałowych niósł również dodatkową niebieską lampę. Wioślarz minął Donalda i wywiesił za burtę odbijacze. Chwilę później łodzie niemal bezgłośnie stuknęły o siebie.

Donald nieporadnie pomógł partyzantom przełożyć Sugaiguntunga do spuszczonej z kutra sieci. Razem asekurowali go, gdy jechał na sznurze do góry i zniknął za nadburciem. Kiedy Donald poszedł w jego ślady, na górze chwyciły go liczne dłonie.

Kapitan kutra przywitał się z nim i kazał od razu zapakować Sugaiguntunga w skafander, ponieważ zamierzali wykorzystać mgłę i zrzucić ich do wody bliżej brzegu niż to wcześniej planowano. Donald nie próbował kwestionować tej decyzji. Zobojętniały na wszystko, odczuwał tylko niejasną rozpacz na myśl o powrocie do domu. Stary Donald Hogan, który mieszkał w najbogatszym kraju na świecie, przepadł bezpowrotnie, a on nie umiał powiedzieć, w jaki sposób ten nowy, noszący jego nazwisko, zareaguje na powrót do dawnego życia.

Apatycznie wykonał polecenie: po kolei wsunął kończyny Sugaiguntunga we właściwe otwory w plastikowym kombinezonie i pozamykał zawory butli wypornościowych. Genetyk miał być nieprzytomny jeszcze przez około godziny.

Dokładnie sprawdził całe wyposażenie: kapsułki do barwienia wody, nadajniki radiowy i ultradźwiękowy (do użycia w sytuacji skrajnie niebezpiecznej), linki ratunkowe, żelazne racje, nóż... Po namyśle zabrał nóż Sugaiguntungowi i oddał kapitanowi kutra. W obozie naukowiec wspomniawszy coś o tym, że zmienił zdanie – na wszelki wypadek lepiej więc, żeby był nieuzbrojony. Chociaż oczywiście rekonwalescent w podeszłym wieku i tak nie stanowiłby zagrożenia dla zabójcy po pedekizacji.

Sam również włożył skafander. Kapitan polecił jednemu ze swoich ludzi połączyć Donalda z Sugaiguntungiem linką – nie można było ryzykować, że w wodzie zdryfują daleko od siebie. Następnie wytłumaczył Donaldowi, że opuszczają ich do wody w nurcie, który wyniesie ich wprost w najgłębsze rejony cieśniny, gdzie ukrywa się okręt podwodny. W odległości kilkunastu kilometrów czekały też jednostki z baz w Isoli, w razie potrzeby gotowe dla odwrócenia uwagi przeprowadzić pozorowane natarcie na port, w którym Chińczycy tankowali i remontowali swoje łodzie. Atak stanowiłby poważne naruszenie neutralności Yatakangu, ale przejście Sugaiguntunga na stronę Amerykanów było tego warte – a poza tym wszyscy liczyli na to, że obejdzie się bez niego.

A potem hop! na prowizoryczną ławeczkę sznurową – i za burtę. Osunęli się do wody prawie bez pluśnięcia, we dwóch: szpieg i zbieg. Rybacy pomachali do nich, ledwie widoczni we mgle i mroku, i kuter rozpląnął się w nicość. Zostali sami we wszechświecie płam i fal.

* * *

Pływamy tak już chyba z godzinę... Chociaż nie: zegarek mi podpowiada, że dopiero trzydzieści pięć minut.

Donald wyteżył wzrok i zobaczył dokładnie to, co spodziewał się zobaczyć: nic. Kolebanie się na wodzie mogło doprowadzić do szału, a na pewno przyprawić o mdłości, zwłaszcza że podczas pobytu w obozie nie odżywiał się najlepiej. Mimo że Jogajong bardzo dbał o zrównoważenie diety i dobry stan zdrowia swoich zwolenników, jedzenie było monotonne i niespecjalnie kuszące. Teraz jednak żałował, że nie napchał się po uszy

czymś zwyczajnym, na przykład gotowanym ryżem. W jego żołądku głód wdał się w spór z nudnościami.

Naprawdę będą w stanie nas tu wypatrzeć? A potem podpłynąć i bezpiecznie wziąć nas na pokład?

Nie było sensu upominać się w duchu, że w taki właśnie sposób Jogajong wymknął się z kraju, a potem wrócił, ani że wartość Sugaiguntunga zmusi amerykańskie władze do przyjęcia najbezpieczniejszej strategii. Reszta wszechświata wydawała się nieskończenie odległa, jakby to miejsce nie miało połączenia z żadnym innym. Galaktyki oddaliły się na maksymalną odległość i teraz, rozdzielone otchłanią, której żadne światło nie mogło przebyć, one również zaczynały się rozpadać.

Czy okaże się, że było warto? Czy ocaleń mieszkańców Yatakangu przed monstrualnym kłamstwem, jak zapewniał mnie Sugaiguntung?

Ale to było w Gongilungu – bo już w obozie Jogajonga genetyk napomykał o powrocie i niechęci do współpracy.

Dlaczego nie wypytałem go o powody tej decyzji?

Próbował sam przed sobą ukryć odpowiedź na to pytanie, ale na próżno.

Dlatego że się bałem. Gdybym w nieuczciwy sposób wykorzystał siłę przesądu i zażądał od Sugaiguntunga należnej mi tradycyjnej nagrody, to wołałbym nie znać odpowiedzi. Chcę wierzyć jak najdłużej, że poszedł ze mną z własnej woli.

Rozległ się jęk, który zmroził mu krew w żyłach. W pierwszym ułamku sekundy rozgorączkowana wyobraźnia zinterpretowała ten odgłos jako dźwięk syreny policyjnej motorówki, brnącej w oddali przez mgłę. Dopiero nieskończenie długą chwilę później rozpoznał wypowiedziane głosem Sugaiguntunga yatakańskie słowo.

Oddalili się na całą długość łączącej ich linki. Donald pośpiesznie wybrał ją i przyciągnął profesora. To musiał być dla niego wstrząs, ocknąć się w takim miejscu; trzeba go jak najszybciej uspokoić, zanim pomyśli, że postradał zmysły.

– Wszystko w porządku, doktorze Sugaiguntung. To ja, Donald Hogan!

Złapał profesora za rękę i zajrzał mu pod ochronny kaptur kombinezonu. Sugaiguntungowi oczy wychodziły z orbit, gdy ze zgrozą wpatrywał się w przestrzeń, ale po chwili otrząsnął się i odprężył.

– Gdzie jestem? – spytał.

– Czekamy na amerykański okręt podwodny, który ma nas stąd zabrać – wyjaśnił półgłosem Donald.

– Co takiego?! – Sugaiguntung wyprężył się, podskoczył gwałtownie na wodzie i omal nie wysliznął z uchwytu Donalda. – Pan mnie... pan mnie uprowadził?!

– Sam pan powiedział, że chce uciec – przypomniał Donald. – Gorączkował pan, nie był sobą, nie chciałem dodatkowo obciążać pańskiego organizmu marszem przez dżunglę, dlatego...

– Pan mnie uprowadził! – powtórzył Sugaiguntung. – Przecież panu powiedziałem! Powiedziałem, że zmieniłem zdanie i nie chcę z panem płynąć!

– Nie mógł pan wrócić do Gongilungu. Klamka zapadła, nie było odwrotu. Stąd również nie ma pan dokąd wrócić, pozostaje tylko brnąć naprzód.

Znikąd nie ma powrotu! Nigdy, nigdy, nigdy nie ma powrotu!

Sugaiguntung osłabł trochę po tym wybuchu, ale wyrwał się z uścisku Donalda, który na to pozwolił, tylko mocniej ścisnął łączącą ich linkę, tak że pozostali w zasięgu wyciągniętej ręki. Naukowiec kręcił głową na wszystkie strony, aż upewnił się, że naprawdę się rozdzielili.

Kiedy się w końcu odezwał, głos miał chrypliwy i znużony:

– Co ja mam na sobie? Dlaczego to jest takie sztywne? Nie mogę się ruszać.

– Kombinezon został napompowany powietrzem, żeby utrzymać pana na wodzie, dlatego jest sztywny. To... sam nie wiem, wydaje mi się, że to zwykły skafander wypornościowy, takich samych używają lotnicy i załogi okrętów podwodnych. Jogajong trzyma kilka sztuk w obozowisku.

– A tak, słyszałem o nich. – Zachlupotała woda, gdy Sugaiguntung obmacywał ekwipunek, którym był obwieszony. – Już rozumiem. Radionadajnik, nadajnik dźwiękowy... Dzięki nim nas znajdują?

– Mamy ich użyć dopiero w ostateczności, gdyby nie mogli nas namierzyć inaczej. Ale proszę się nie martwić, dokładnie wiedzą, gdzie mają po nas przy płynąć – zapewnił Donald z większym optymizmem niż sam odczuwał.

– To znaczy, że jeszcze nie przy płynęli?! – W słowach naukowca dał się słyszeć niepokój.

– Za duże ryzyko. W okolicy roi się od yatakańskich patroli, Chińczyków też podobno nie brakuje...

– Rozumiem.

Sugaiguntung jeszcze raz ostrożnie zbadał kombinezon, znieruchomiał i umilkł.

Donaldowi to odpowiadało. Znowu wyteżył wzrok, usiłując przeniknąć mgłę.

Jezu, kiedy oni wreszcie przy płyną? Ile mamy czekać? Godzinę? Dwie? Trzy?

– Pan mnie porwał! – wypalił znieczeka Sugaiguntung. – Nie znalazłem się tu z własnej woli! Nie będę współpracował z waszym rządem!

– Powiedział pan, że przełożeni pana oszukali! – odparował przygnębiony Donald. – Tak jak oszukują pańskich rodaków! Solukarta twierdził, że może pan stworzyć nadludzi, co jest ohydny kłamstwem!

– Ale ja mogę stworzyć nadludzi.

* * *

Donald poczuł się jak obwieszony wielkimi ołowianymi obciążnikami.

– Zwariował pan – powiedział. – To gorączka... Tak, to musi być gorączka.

– Nie, nie – odparł beznamiętnie Sugaiguntung. – To przyszło po gorączce, kiedy leżałem sam w jaskini. Miałem okazję przemyśleć sprawę, na które od lat nie starczało mi czasu. Zawsze były jakieś wątki poboczne, którymi nie mogłem zająć się sam, zlecałem więc je moim studentom, a nie

wszyscy z nich prowadzili badania jak należy. Cztery lata temu, może pięć, wpadłem na pewien pomysł...

– Jaki?

– Obiecujący. Jak wpływać na związki pomiędzy molekułami poprzez kompresję sygnału w czasie. Odpowiednio zaprogramowany komputer dokonywałby zmian tak szybko, że te byłyby wzajemnie niezależne. Jedna nie wpływałaby na inne.

– I myśli pan, że to byłaby droga do sukcesu?

– Nie, chociaż w ten sposób osiągnąłem częściowy sukces w przypadku orangutanów. Niestety, ani wasz przesławny Salmanasar, ani nawet K'ung-fu-tse, którego mają w Pekinie, nie są dostatecznie szybkie, żeby wyeliminować wszystkie skutki uboczne.

– To jak pan sobie wyobraża osiągnięcie celu? – zdziwił się Donald. Pociągnął za linkę i znalazł się twarzą w twarz z naukowcem. Cały kleił się od potu w skafandrze.

Zamiast odpowiedzieć wprost, Sugaiguntung ciągnął tym samym obojętnym tonem:

– Potem wypróbowałem inną obiecującą metodę. Opracowałem roztwory do kąpieeli materiału genetycznego, w których pożądane reakcje zachodzą odpowiednio powoli, bez ryzyka gwałtownego zniekształcenia sieci cząsteczkowej.

– Wiem, czytałem o tym – burknął Donald. – To jest ten sposób na sukces?

– Sprawdza się w wypadku prostych genów, ale przy bardziej złożonych, jak u człowieka, już nie. Zanim proces dobiegł końca, następowała destabilizacja wraz z rozkładem elementów organicznych.

– No to co, na Boga, było...

– Pewien postęp udało mi się osiągnąć po stabilizacji genów w temperaturze ciekłego helu, ale przywrócenie normalnej aktywności w tak zamrożonym materiale trwa bardzo długo; byłaby to metoda nieopłacalna do masowego stosowania. Poza tym wzrost temperatury musiał być idealnie łagodny i równomierny: odchylenie o stopień lub dwa w każdej chwili groziło rozpadem genów, a wtedy cały wysiłek poszedłby

na marne. Odrzuciłem więc ten pomysł i zająłem się badaniem strojonych rezonansów dźwiękowych, które...

Nie mówi mi nic konkretnego; gada, żeby gadać. Tylko po co?

Donald rozejrzał się dookoła. Poczuł delikatne muśnięcie wiatru na policzku. Czy to tylko jego wyobraźnia, czy mgła naprawdę się rozwiewała? Ależ tak, właśnie tak! Na tle gwiazd zarysował się stożek Pradziada Loa.

Jeżeli okręt zaraz nie przyplynie, będziemy widoczni jak na dłoni, jak...

Ta myśl zdechła w połowie, wypchnięta z jego umysłu nagłym olśnieniem. Nagle zrozumiał przyczynę gadatliwości Sugaiguntunga.

– Ty pomierzwiony krwawicielu! – wyszeptał. – Włączyłeś nadajniki?

Nie czekając na odpowiedź, jedną ręką szarpnął linkę, a drugą po omacku sięgnął po nóż. Wyszarpnął broń z pochwy; wyobraźnia podsuwała mu dźwięki zbliżających się motorówek patrolowych, syk pocisków energetycznych uziemianych w wodzie i wzbijających gejzery pary. Zamierzał tylko oddzielić nadajniki od skafandra Sugaiguntunga, odciąć im zasilanie i zatopić je na dnie oceanu.

Naukowiec wyczuł jednak jego intencje i spróbował złapać go za rękę. Woda i napęczniały kombinezon skutecznie ograniczały mu ruchy. Dziwaczny pół kopniak, pół wypad zachwiał nim i wytrącił go z równowagi. Nóż dosięgnął celu.

Jeden z napełnionych powietrzem segmentów kombinezonu eksplodował burzą bąbelków, z których ostatnie miały ciemną barwę. Donald wyszarpnął nóż. Dudniło mu w uszach, czuł mrowienie na całym ciele.

– Tętnica udowa – orzekł Sugaiguntung tym samym co wcześniej beznamiętnym głosem. – Proszę nie próbować zatamować krwotoku, i tak panu na to nie pozwolę. Przynajmniej w taki sposób wynagrodzę mojemu ludowi zdradę, której się dopuściłem, gdy zwątpiłem w słowa mądrzejszych ode mnie. Byłem... nielojalny... ale teraz dołączę do moich przodków w sposób, który...

Nagle głowa opadła mu na ramię, a na zwróconą ku odsłoniętym gwiazdom twarz wypłynął wąty, tajemniczy uśmiech.

Światła było jeszcze za mało, żeby dało się rozeznaczyć kolor wody, ale Donald i bez tego wiedział, że jest czerwona. Z otwartymi szeroko oczami wypuścił z ręki nóż, puścił linkę i patrzył, jak woda staje się coraz czerwieńsza, czerwona jak lawa, i Pradziad Loa eksplodował mu w mózgu i dołączył kolejną ofiarę swojego gniewu do wcześniejszych niezliczonych tysięcy.

Kiedy okręt wynurzył się, żeby zabrać go na pokład, Donald przestał krzyczeć tylko dlatego, że zdarte gardło odmówiło mu posłuszeństwa.

na zbliżeniu (31)

RODZI SIĘ DZIECKO

Kiedy Dora Kwezi stanęła w drzwiach klasy, Frank Potter nie od razu zwrócił na nią uwagę: stał tyłem do uczniów, pisząc na tablicy i praktycznie krzycząc przez ramię, tak głośno deszcz łomotał o dach. Musiała dwa razy do niego zawołać, zanim ją usłyszał:

– Panie Potter... Panie Potter!

Odwrócił się do niej. Była ubłocona prawie do kolan, przemoczona sukienka oblepiała jej młode, zgrabne ciało. Skąd ten pośpiech?

– Panie Potter, musi pan natychmiast iść do żony!

Na Boga... Nie, to niemożliwe. Jezu, proszę, tylko nie to... To za wcześnie, jeszcze pięć tygodni!

– Zróbcie to ćwiczenie – zwrócił się machinalnie do klasy, a przechodząc po drodze do wyjścia obok ławki najstarszego z uczniów, dodał: – Pilnuj ich, Lemuelu. Liczę na ciebie.

Złapał parasol, otworzył go i w ślad za Dorą wybiegł na deszcz.

Przez mlaskające bagnisko „rynku”, po schodkach na werandę, do przydzielonego im małego domku. Kiedy tu przyjechali, zrozpaczona Sheena rozejrzała się po wnętrzu i zaczęła sporządzać listę rzeczy, które uważała za niezbędne do przetrwania. Nie było nawet wodociągu – zapas wody w umieszczonym na dachu zbiorniku uzupełniano raz na tydzień z beczkowitzu.

Ale tu przynajmniej ich dziecko mogło legalnie przyjść na świat...

– Jest w sypialni! – Dora wskazała drogę, a Frank przepchnął się obok niej i rzucił parasol na podłogę, nie zwracając sobie głowy składaniem go.

Sheena leżała na łóżku z zamkniętymi oczami i bladą twarzą. Rozdęty brzuch wydymał jej przyciasną sukienkę, jakby chowała pod nią dynię. Mama Kwezi – najlepsza namiastka lekarza, jaką można było znaleźć w tej zapomnianej wiosce; akuszerka i obmywaczka zwłok w jednej osobie – siedziała obok i przemywała jej twarz maczaną w zimnej wodzie szmatką.

– Czy to... – wykrztusił Frank. Nic był w stanie skończyć zdania.

– Niedługo. – Mama Kwezi wzruszyła ramionami. – Widywałam już przedwczesne bóle.

Po angielsku mówiła całkiem dobrze, tylko spółgłoski były po shinkasku wzmocnione.

Frank przypadł do łóżka i złapał Sheenę za rękę. Otworzyła oczy i posłała mu słabiutki uśmiech, który niemal natychmiast przeszedł w grymas bólu.

– Kiedy się zaczęło? – spytał Frank.

– Będzie chyba... ze dwie godziny... – wychrypiała.

– Dlaczego nic nie powiedziałaś, na miłość boską?!

– To za wcześnie, Frank! O miesiąc za wcześnie!

– Źle jest się bać – wtrąciła Mama Kwezi. – Ja się urodziłam, ty się urodziłaś... Przecież każdy się kiedyś rodzi.

– Ale jeśli dziecko rodzi się pięć tygodni przed czasem, to... – Frank ugryzł się w język, ponieważ zdając sobie sprawę, że właśnie takich słów Sheena nie powinna słuchać.

– Owszem, będzie słabe – przytaknęła Mama Kwezi. – Nic na to nie poradzicie.

– Musimy ją stąd zabrać, przewieźć do szpitala!

Mama Kwezi spojrzała na Franka wielkimi, okrągłymi oczami. Skinęła na kręcącą się przy wejściu Dorę, żeby wyręczyła ją w obmywaniu rozpalonej twarzy Sheeny, i odciągnęła Franka na bok.

– Jak chce ją pan zawieźć? – spytała, posławszy mu smutne spojrzenie. – Droga do Lalendi zawsze jest błotnista, a przy deszczu...

– Zadzwonię po śmigłowiec!

Nie skończył mówić, gdy zdał sobie sprawę, że gada bzdury. Deszcz stał się niemal litą ścianą wody – była to ostatnia fala ulew przed zbliżającą się

zimową porą suchą.

– Albo nie, poduszkowiec! Przejedzie po błocie, po wszystkim przejedzie!

– To prawda, proszę pana, ale czy zdąży obrócić z Lalendi tutaj i z powrotem... w niecałe dwie godziny?

– Tak szybko?!

– Nie dłużej. Wyczułam... – Mama Kwezi położyła dłoń na własnym wydatnym brzuchu, szukając właściwego słowa.

– Skurcz?

– Tak, skurcz. Lada chwila wody odejdą.

Świat Franka ześliznął się z osi obrotu i przekoziółkował jak oszalały.

Mama Kwezi objęła go współczująco ramieniem.

– To zdrowa i silna dziewczyna, proszę pana. Pan też będzie silnym ojcem dla dziecka. Ja jestem bardzo doświadczona i ostrożna, i mam dobre lekarstwa, i książkę przysланą z Port Mey z najnowszymi zaleceniami, którą przeczytałam i wszystko pamiętam. Nie jestem jakąś wioskową wiedźmą.

– Tak, Mama, ja wiem... Dasz radę. Będiesz świetna. – Frank z wysiłkiem przełknął ślinę. – Ale takie małe i słabe dziecko...!

– Zaopiekujemy się nim. Proszę iść, zadzwonić do Lalendi. Niech przyślą samochód. Przyda mi się porządny doktor w angielskim stylu, który powie, co jest nie tak. Widziałam kiedyś w Lalendi taką specjalną kołyskę z bardzo mocnym powietrzem w wielkich puszkach, dobrą dla niemowląt.

Jezu... I pomyśleć, że dawno, dawno temu, przed tym przeklętym rozporządzeniem Rady Eugenicznej, chciałem zafundować Sheenie w ciążę tlenową terapię hiperbaryczną...

Trudno jednak było uwierzyć w istnienie takich wynalazków, kiedy dookoła widziało się chałupiny z drewna i złomu – tylko w samym środku wioski znalazło się kilka nowoczesnych budynków: szkoła, ich dom, klinika, biblioteka. I te wcale nie nowe chaty z tanich, standardowych prefabrykatów betonowych. W wiosce, gdzie telewizja była wydarzeniem, które wszyscy schodzili się oglądać w czymś na kształt prymitywnego kina;

gdzie był jeden telefon, nie było lamp ulicznych, w domach zamiast świetlnych sufitów ludzie mieli jarzeniówki, nie było tego, nie było tamtego...

Ile tysięcy lat historii można przeskoczyć w jeden dzień? Oto on – obywatel kraju, przy którego bogactwach legendarne antyczne państwa wyglądały jak żebracy – odczuwa ten sam co nadzy jaskiniowcy lęk przed niepojętym procesem, w którym człowiek staje się człowiekiem.

Wyrzął przez okno. Wieść się rozeszła, na deszczu wielkie, okrągłe oczy wyzierały spod prowizorycznych kapturów: to gromadziły się wioskowe kobiety, jakby zamierzały dołączyć do tradycyjnego rytuału towarzyszącego wszystkim narodzinom, jakie Frank oglądał od chwili swojego przybycia. Zacisnął pięści i zaczął podnosić ręce, żeby pogrozić gapiom, ale powstrzymał się w pół gestu. Rozluźnił palce.

W domu odmówili mi prawa do bycia ojcem, więc to już nie jest mój dom. Nie może nim być. Związałem swój los z tymi ludźmi, tutaj. Lubie ich. Z niektórymi się przyjaźnię. Jeżeli mam cierpieć część tych samych niedogodności, które oni znoszą... Cóż, człowiek musi płacić za to, czego pragnie jego serce...

Podszedł do drzwi i wyszedł na zewnątrz. Jedna z kobiet niepewnym głosem wypowiedziała tradycyjną formułę przynoszącą szczęście w chwili narodzin:

– Bracie, oby twoje dziecko było jak Begi!

Nie mówił jeszcze płynnie po shinkasku, chociaż w czasie wolnym pilnie uczył się języka, ale to rytualne zawołanie słyszał wystarczająco często, żeby umieć udzielić właściwej odpowiedzi:

– Begi wszędzie, gdziekolwiek przybył, przynosił powodzenie. Jeżeli ma przyjść i do nas, radujmy się wszyscy!

Kobiety wyraźnie się odprężyły, zaczęły się uśmiechać i poszturchiwać porozumiewawczo. Uśmiechnął się w odpowiedzi i dodał po angielsku:

– Nie stójcie tak na deszczu. Wejdźcie na werandę.

Przez tłumek kobiet przepchnął się wódz Letli i jego najstarszy syn, obaj noszący niezwykle imię Bruce na cześć urzędującego niegdyś w Lalendi administratora.

– Idzie pan do telefonu, panie Potter? – zagadnął wódz. – Nie ma potrzeby, mój syn dzwonił już do szpitala. Przyślą poduszkowiec z pielęgniarką i wszystkimi lekarstwami.

W pierwszej chwili Frank nie zrozumiał – dalej brnął naprzód i prawie zszedł z werandy, zanim stanął jak wryty.

Nawet nie musiałem prosić, pomyślał. Nie przyszło mi do głowy prosić kogoś, żeby mnie w tym wyręczył. Coś jest ze mną nie w porządku. Człowiek wcale nie musi się czuć poniżony, kiedy w trudnej chwili poprosi o pomoc.

Dużo o tym myślał, czekając przy łóżku, aż jego dziecko przyjdzie na świat.

* * *

To była dziewczynka. Wciąż żyła, kiedy przenieśli ją do namiotu tlenowego i pielęgniarka z Lalendi zaczęła wyczyniać straszne rzeczy z rurkami i igłami podłączonymi do buczącej maszyny zasilanej z silnika ambulansu. Miejscowe kobiety patrzyły z nabożną czcią, niektóre modliły się na głos. Takie określenia jak „odżywianie dożylne” czy „podtrzymanie środowiska łożyskowego” nie mówiły im zupełnie nic. Frankowi mówiły niewiele więcej, ale w końcu zrozumiał, że wszystkie te działania mają ułatwić bezbronnej kruszynie przetrwanie w nieprzyjaznym świecie dzięki przywróceniu jej ciepła i wsparcia, na jakie mogła liczyć w ciele matki.

– Sporo czasu upłynęło od epoki jaskiniowców – powiedział do bladej, osłabionej Sheeny.

Nie rozumiała, ale i tak się do niego uśmiechnęła.

ciągłość (42)

I POWIEDZ, KTÓRE NASIENIE WZEJDZIE

Od miesiący Norman prawie nie myślał o Donaldzie, co najwyżej sporadycznie zdarzało mu się zastanawiać, co się z nim stało. Kiedyś, ktoś, przy jakiejś okazji napomknął o kryzysie politycznym na linii Stany Zjednoczone – Yatakang, który bardzo szybko eskalował do etapu zerwania stosunków dyplomatycznych, a następnie został w jakiś sposób załagodzony; mogło to mieć związek z rozpaczliwymi manewrami Engrelay Satelserv, zmierzającymi do zatuszowania faktu, że z Gongilungu przestały przychodzić depesze sygnowane nazwiskiem Donalda. Działania te miały niezwykle spektakularny przebieg i jeszcze bardziej spektakularny finał.

Norman zanotował sobie wtedy w pamięci, żeby dowiedzieć się czegoś więcej na ten temat – mógłby popytać Elihu, może wy badać kogoś z Państwa... Jednakże zaraz potem pojawił się kolejny problem na jego poletku i nie zdążył wprowadzić zamiaru w czyn.

Chad miał rację, kiedy mówił, że od tej pory to Salmanasar będzie rządził Beninią. Nie można było jednak zrzucić całej odpowiedzialności na barki maszyny – informacje przynajmniej częściowo musiał także przetwarzać człowiek upoważniony do podejmowania ludzkich decyzji. Tym człowiekiem był Norman. Od miesiący żył tak, jakby śnił na jawie, ledwie świadomy tego, co je i w co się ubiera; niecierpliwił się na swoje ciało, kiedy się męczyło, złościł się, kiedy hormony wzbudzały w nim żądze. Najważniejszy był niezakłócony przebieg projektu – i przynajmniej z tej jednej dziedziny życia Norman był zadowolony.

Wyprzedzili harmonogram i przed terminem przenosili już centrum kierowania projektem do nadmuchiwanej kopuły na przedmieściach Port Mey. Nowa szeroka droga połączyła ją z portem, który dzięki pogłębiarkom mógł przyjąć statki o ponaddwukrotnie większym zanurzeniu niż przedtem. Powstawały nabrzeża i falochrony. W odległości dwóch, trzech kilometrów od miasta wykopano gigantyczny zbiornik osadowy, do którego surowce z ŚPG można było pompować w postaci płuczki rurami o średnicy przewyższającej wzrost człowieka. Licząca pięć statków flota rozwijała te rury ze szpul i kładła na dnie oceanu.

Proporcje liczebne ludności kolorowej do białej w Port Mey zmieniły się gwałtownie, gdy pracownicy GT i ochotnicy z kilkunastu krajów na innych kontynentach przemieszali się z tubylcami. Nowa zabudowa mieszkaniowa, elektrownie, pojazdy, ludzie... Norman musiał w jakiś sposób zapamiętywać ich wzajemne relacje.

Dlatego, kiedy pewnego dnia depesza wylądowała na jego biurku, z początku wpatrywał się w nią tępo, niczego nie rozumiejąc.

Wynikało z niej, że Donald dowiedział się o projekcie benińskim i chce mu się przyjrzeć z bliska, zwłaszcza że kieruje nim jego dawny znajomy. Czy pan House będzie łaskaw wskazać dogodny termin dla odwiedzin pana Hogana?

Depesza była opatrzona podpisem oraz numerem wideofonu, który – sądząc po kierunkowym – znajdował się gdzieś pod Waszyngtonem. Norman zamówił połączenie i wrócił do swoich zajęć.

Po jakimś czasie ekran się rozświecił. Trwała burza i kiepskie łącze satelitarne obfitowało w zakłócenia, ale Norman zorientował się, że rozmawia z kimś, kto nosi biały kitel i znajduje się w gabinecie lekarskim.

– Panie House, jestem doktor Oldham. Domyślam się, że otrzymał pan moją wiadomość dotyczącą pańskiego przyjaciela Donalda Hogana?

– Tak, oczywiście. Nie rozumiem tylko, dlaczego musiał zwrócić się do mnie za pańskim pośrednictwem, żeby zapytać, czy może mnie odwiedzić.

– Chyba powinienem panu wyjaśnić – odparł po chwili doktor Oldham – że nie dzwonię z Waszyngtonu, jak mógł pan domniemywać po numerze kierunkowym, tylko ze szpitala St. Faith. Czy ta nazwa coś panu mówi?

– Ależ naturalnie – przytaknął powoli Norman. – To wojskowa klinika psychiatryczna, prawda?

– Zgadza się. – Oldham odkaszlnął. – Pański przyjaciel był świadkiem traumatycznych wydarzeń podczas swojego pobytu w... hmm... No tak, przecież fakt, że wyjechał do Yatakangu, nie był tajemnicą, prawda? Szczerze mówiąc, postradał zmysły. W dalszym ciągu obserwujemy pewne reperkusje... Dlatego chciałem pana wy badać.

– Na brodę Proroka... – mruknął Norman. – Co wyście mu zrobili, krwawiciele?

– Panie House, to bardzo...

– Skoro dzwoni pan do mnie z St. Faith, to musi pan być oficerem. W stopniu pułkownika? Generała?

– Rzeczywiście, jestem pułkownikiem, ale nie używamy tu...

– Nieważne. Odpowie pan na moje pytanie?

– Porucznik Hogan – odparł sztywno Oldham – został w pewnym sensie poszkodowany w służbie dla ojczyzny. Wszelka inna interpretacja tego, co się wydarzyło, byłaby niestosowna i nieusprawiedliwiona. Mam nadzieję, że to jest jasne.

– Jak pan chce. – Norman westchnął. – Ale dobrze, trzymajmy się raz obranej orbity. Pytał pan, czy Donald może tu wpaść i zapoznać się z projektem benińskim. Odpowiedź brzmi: tak, oczywiście, że może, a jeśli zwolnicie go ze służby, z przyjemnością go u siebie zatrudnię. Proszę mu to przekazać, może to go podniesie na duchu, jeśli zмага się z depresją.

– Istotnie – przytaknął krótko Oldham. – Sam pan się przekona, czy taka nowina zrobi na nim jakiegokolwiek wrażenie.

* * *

Przez pewien czas po tej rozmowie Norman zachodził w głowę, co takiego mogło się stać, że Donaldowi odbiło. Zawsze sprawiał wrażenie ziomka rozsądnego, zrównoważonego, wręcz obojętnego. Czy właśnie to go doprowadziło do klęski? Nadmierna samokontrola?

Nie było sensu zgadywać.

Nagle zdał sobie sprawę, że od miesięcy nie interesował się wiadomościami w telewizji – siadał wprawdzie przed ekranem, ale jego umysł za każdym razem błędził gdzie indziej, bliżej spraw, które mogły dotyczyć go bezpośrednio. Przypominał sobie parę naprawdę ważnych wydarzeń, takich jak dyplomatyczna awantura z Yatakangiem, ale tak naprawdę nie wiedział ani co ją spowodowało, ani co pozwoliło później załagodzić spór. Wybuchła straszna kłótnia o to, czy Sugaiguntung kłamał (albo może czy ktoś kłamał w jego imieniu, Norman nie pamiętał dokładnie), program optymalizacji genetycznej nazwano oszustwem, a potem wybuchła jakaś rewolucja, wyspy poprzehodziły na stronę armii buntowników dowodzonej przez faceta o śmiesznym nazwisku, które Normanowi kojarzyło się z tętentem końskich kopyt, Chińczycy oskarżyli Amerykanów o sprowokowanie tej awantury i w odpowiedzi zaczęli dozbrajać... Gdzie to było? Przeszukano statek i znaleziono w ładowni pociski jądrowe... Nie w Chile, tylko...

Przestał myśleć i kazał komuś przygotować wyciąg z wydarzeń w Yatakangu za ostatnie pół roku. Dopiero wtedy mógł wrócić do pracy.

* * *

Kiedy jego przyjaciel w końcu zjawił się w Port Mey, pierwszą reakcją Normana był szok. Donald schudł co najmniej piętnaście kilogramów, oczy miał podkrążone, policzki zapadnięte, włosy przyprószone siwizną. Wraz z nim z samochodu wysiadł wysoki, czujnie rozglądający się mężczyzna, który w dziwny sposób kojarzył się Normanowi z ochroniarzem.

Udało mu się pokryć zmieszanie uprzejmością: wyciągnął rękę do Donalda i przywitał się z nim serdecznie. Donald odpowiedział wiotkim uściskiem dłoni i z niepokojącą bezpośredniością zapytał:

– Zastanawiasz się, co spowodowało tę zmianę? Dobra, dobra, nie sil się na grzeczność; przecież przez lata mieszkaliśmy razem, zapomniałeś? To znaczy, tamten drugi Donald Hogan z tobą mieszkał.

Norman zmartwiał. Jaki „drugi” Donald? O co tu chodzi? Czy to objaw obłądu?

Ponad ramieniem Donalda spojrzął na towarzyszącego mu mężczyznę, który w odpowiedzi tylko wzruszył ramionami i odął wargi.

– To jest Tony – przedstawił go Donald. – Bez niego nie chcieli mnie puścić. Właściwie niespecjalnie mi przeszkadza, przynajmniej dopóki nie znajdzie mnie chcica, bo kiedy on się tak cały czas gapi, trudno mi namówić jakąś laskę, żeby... Zresztą, nieważne. – Teraz zachowywał się prawie normalnie. – Miło cię znowu widzieć! Wiesz, że coraz bardziej stajesz się osobą publiczną? Mówią o tobie we wszystkich programach telewizyjnych, dniem i nocą! Więc pomyślałem, że wpadnę i zobaczę, co ich tak wszystkich nakręciło.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Przygotowałem dla ciebie plan wycieczki, jakie zwykle organizujemy dla największych szych.

– Mam nadzieję, że uwzględnią moich znajomych, którzy tu są. Nie ma ich wielu, ale słyszałem, że jest Chad. No i pewnie Elihu, co?

– Załatwiłem ci spotkanie z Elihu dziś po południu, spodziewałem się, że będziesz się chciał przywitać. Jest oczywiście dość zajęty, ale na pewno znajdzie czas, żebyście mogli się przynajmniej razem napić. Z Chadem jest gorzej: wyjechał w głąb kraju, tropi pewien pomysł podsunęty przez jedną z grup badawczych. Postaram się was spiknąć, ale równie dobrze można próbować złapać rybę gołymi rękami...

Gawędząc, Norman zaprosił Donalda pod kopułę.

* * *

Wycieczka z Donaldem była dla Normana koszmarem. Nie spodziewał się takiej przemiany i przez cały czas był spięty, w każdej chwili spodziewał się jakiegoś irracjonalnego wybuchu z jego strony. Wybuch nie nastąpił, ale on – nie znając dokładnie istoty zaburzenia – nie mógł przestać się na niego przygotowywać. Kiedy przyszła pora wizyty u Elihu w ambasadzie, był bliski wyczerpania.

Mastersowi towarzyszył Gideon Horsfall, co Norman przyjął z ogromną ulgą: dwie inne osoby będą mogły wziąć na siebie ciężar rozmowy, a on odpocznie i poczeka, aż konwersacja zejdzie na temat bezpośrednio go

dotyczący. Zaczęło się od niezobowiązującej pogawędki o takich ogólnie wiadomych sprawach jak pogarszający się stan zdrowia prezydenta Obomiego i postępy projektu benińskiego, ale prędyż czy później Donald musiał napomknąć o Chadzie Mulliganie, a wtedy Elihu zerknął znacząco na Normana.

– Przykro mi, ale nie bardzo wiem, czym się zajmuje – przyznał ambasador. – Normanie, jesteś jego oficjalnym przełożonym... Zechcesz powiedzieć coś więcej?

– Prowadzi szeroko zakrojone badania socjologiczne w całym kraju. – Norman wzruszył ramionami. – Jest przekonany, że miał rację, mówiąc Salmanasarowi o działającej wśród tubylców nieznannej sile. Teraz jej szuka.

– I co z nią zrobi, jak już ją znajdzie? – spytał Donald zaskakująco nieprzyjaznym tonem.

Norman poczuł ciarki na głowie.

– To chyba jego musiałbyś o to zapytać – odparł pojednawczo.

– Zamierza dzięki niej zmieniać ludzi?

Zapadła niezręczna cisza.

– On sam z pewnością się zmienił – przyznał w końcu Elihu. – Przy pierwszym spotkaniu wziąłem go za pyskatego alkoholika, teraz zaś, odkąd lepiej go poznałem, myślę, że był rozgoroczony odrzuceniem. Zajęcie, które tutaj znalazł i które bez reszty go pochłania, zmieniło go.

– Ja też się zmieniłem – powiedział głośno Donald. – Opowiadałem wam o tym?

– Panie Hogan – odezwał się Tony, siedzący samotnie w kącie – jeśli pan nie przestanie, będę zmuszony...

– Podać mi spoksy i mnie stąd zabrać! – wszedł mu w słowo Donald. – Zapnij twarz, z łaski swojej. Kto wpadł na pomysł, że prędyż dojdę do siebie, kiedy będzie mnie niańczył taki krwawiciel... Zresztą mniejsza z tym. Co z tego, że będę o tym mówił, hę? To jest ambasador Stanuff Zyednoczonych A-me-ry-ki, pamiętasz? – Zrobił przerwę dla nabrania tchu i zwrócił się do Elihu. – Słyszeliście pewnie o pedekizacji. Ci pomierzwieni krwawiciele mnie spedekizowali. Zabrali mnie i przeszkolili, a kiedy

skończyli, nie byłem już Donaldem Hoganem, chociaż wydaje mi się, że mam prawo używać jego nazwiska, bo on i tak nie żyje. Widzicie...

Kiedy Elihu z Gideonem wymieniali zaskoczone spojrzenia, na zewnątrz wybuchło jakieś zamieszanie.

– Przepraszam cię, Donaldzie – wtrącił z wyraźną ulgą Elihu. – Gideonie, bądź tak miły i sprawdź, co się tam dzieje, dobrze?

Pozbawiony publiczności Donald zagapił się na swoje ręce: trzymał je na kolanach, zwrócone wnętrzem dłoni ku górze, i przekrzywiając głowę, spoglądał to na jedną, to na drugą.

Zza uchylonych drzwi dobiegł znajomy donośny głos:

– Jego gościem może być choćby i królowa Saby we własnej osobie, nic mnie to nie obchodzi! Chcę rozmawiać z Normanem House'em!

Donald podniósł głowę.

– To Chad!

– Istotnie – mruknął Norman, podchodząc do drzwi.

W westybulu Chad stawiał czoło dwóm młodszym urzędnikom z nadmiernie rozwiniętym szacunkiem dla protokołu. Na widok Normana odepchnął ich i wparował do pokoju.

– Cześć, Elihu... Donald! Skądżeś ty się tu wziął, jak Boga kocham?! Zaraz mi opowiesz. Normanie, musiałem cię jak najszybciej znaleźć i ci to powiedzieć. – Triumfalnym gestem oparł ręce na biodrach i stanął w lekkim rozkroku. – No, mój stary fumflu, wygląda na to, że udało nam się rozwiązać zagadkę!

– Jak to? – Norman poderwał się z krzesła. – Czy...

– Niniejszym to właśnie stwierdzam. Przynajmniej w obliczu dotychczas poznanych faktów. Elihu? Możesz posłać któregoś ze swoich przydupasów, żeby przyniósł mi solidnego drinka? Trzeba to uczcić!

Chad kopniakiem przysunął sobie wolne krzesło, rozsiadł się na nim i uśmiechnął od ucha do ucha.

– Więc co to jest? – spytał niecierpliwie Norman.

– Mutacja.

* * *

Przez sekundę, może dwie wszyscy przetrawiali to słowo w milczeniu, zanim Donald – rozdrażniony faktem, że Chad odciągnął od niego uwagę słuchaczy – powiedział:

– Czyli zmiana. A ja właśnie miałem wam powiedzieć, w jaki sposób mnie zmienili. Zrobili...

– Zapnij twarz, Donald, dobrze? – burknął Chad. – Mam dobre wieści dla Normana i nie mogę się doczekać, kiedy je usłyszy. To go może rozbawić.

Zaskoczony Donald wytrzeszczył oczy. Nie przywykł chyba do tego, żeby ktoś kazał mu się zamknąć, ale tylko wzruszył ramionami i posłusznie zamilkł.

– Ooo, dzięki. – Chad przyjął podsuniętego drinka i pociągnął solidny łyk. – W skrócie było tak... Streszczę sytuację na użytek Donalda i Elihu, i może Gideona, bo nie wiem, czy trzymaliście rękę na pulsie, hmm?

Przeczące ruchy głów.

– Zacząłem od wysłania w teren socjologów, psychologów i antropologów, ale nie byli mi w stanie powiedzieć nic ponad to, co już wcześniej wiedziałem. Pomyślałem, do diabła, może to coś w jedzeniu, i kazałem Normanowi ściągnąć jakichś dietetyków. A jak już zacząłem kombinować, oprócz środowiska zewnętrznego pomyślałem o środowisku metabolicznym, więc poprosiłem też o genetyków i...

– I w pojedynkę zdołałeś wywrócić do góry nogami mój całoroczny budżet na płace. – Norman westchnął.

– Kilka miesięcy temu mówiłeś, że to najważniejsza rzecz na świecie, więc jeśli teraz zamierzasz ścibolić kasę, to nawet nie chcę o tym słyszeć. Wracając do tematu: dawno temu, od razu na samym początku doszedłem do wniosku, że nie dam rady sam pokierować taką ekipą, dlatego poprosiłem o syntetyków, którzy ogarnialiby całość problemu. Dopiero parę dni temu dostałem pierwszego z nich. Syntetyk, sztuk: jedna. Gdybym miał ich pół tuzina, poszłoby o wiele szybciej...

– Na brodę Proroka, Chad! Zrobiłem, co mogłem. Mówiłem ci przecież, że...

– Zapnij twarz, Norman. I nie bądź taki drażliwy. Nie mam do ciebie pretensji, po prostu opowiadam, jak było. Tak czy inaczej, spiknąłem tego zioma z genetykiem, który wyróżnił się tym, że najbardziej zalał za skórę całej profesurze na swojej uczelni. We dwóch urządzili sobie kapitalną całonocną debatę, przy której zresztą byłem obecny, bo za żadne skarby świata czegoś takiego bym nie przepuścił, i doszli do pewnych wniosków: Po pierwsze, Shinkowie uważają, że wzajemne zabijanie się jest kiepskim pomysłem, bez względu na okoliczności. Po drugie, praktycznie wszyscy inni są przeciwnego zdania. Mówią co innego, ale potem ponoszą ich nerwy i ktoś obrywa po łbie. Po trzecie, sytuacja, jaką tutaj obserwujemy, to klasyczny przykład syndromu przeludnienia: bieda, napływ obcych, którzy zjadają całkiem spory kawałek skąpego wspólnego tortu, brak prywatności, brak własności *et cetera*. Zgadzam się, że Port Mey jest jedynym naprawdę dużym miastem, ale według najkorzystniejszych szacunków jest o dwadzieścia procent za duży, żeby przy obecnym standardzie życia uniknąć aktów przemocy i wandalizmu. Po czwarte... Dobrze liczę? Nieważne, kurzeszmac... Mój oswojony syntetyk wyjaśnił genetykowi ideę wyzwalacza. Czujecie? O, po tej minie widzę, że nie wszyscy. Wyzwalaczem nazywamy coś, co uruchamia gwałtowną relację emocjonalną. To może być obelga, widok rozbierającej się laski, jakiś fetysz, brodawka sutkowa prowokująca do possania... cokolwiek. Co najważniejsze, może to być czynnik, którego istnienia nie rejestrujemy w sposób świadomy. Próbowaliście porównać na wykresie wyniki sprzedaży dezodorantów i dostępnych w handlu afrodyzjaków? Mój znajomy kiedyś to zrobił. Uzyskał dwie niemal równoległe linie. Włosy łonowe mają sens: skupiają podniecający zapach, który wywołuje odruchową reakcję. Ale bez dezodorantów ciężko by się nam żyło, ponieważ inne naturalne zapachy ciała również są wyzwalaczami. Woń innego mężczyzny, który oddaje się ostrym ćwiczeniom fizycznym, włącza reakcję terytorialno-agresywną. Z grubsza rzecz biorąc: oto rywal, który napiera szybko i stanowczo, więc powinienem odesłać go w diabły. Każda ściśnięta społeczność miejska, z jaką miałem do czynienia, używa obrzydliwych perfum, żeby zniwelować ten efekt, a następnie dorzuca

jakiegoś erotycznego aromatu, na przykład piżma, żeby prowokować odruchy zablokowane tamtym pierwszym sztucznych zapachem. Na wojnie mężczyźni nie zmieniają ubrań całymi tygodniami lub nawet miesiącami; nie mają się kiedy umyć ani wypachnić. Stłoczeni w oblężonym zamku zaczynają się łamać nie tylko ze strachu i rozpacz, lecz także dlatego, że otacza ich tłum innych mężczyzn, z którymi nie wolno im walczyć. Atmosfera gęstnieje... i bum! To, co do tej pory powiedziałem, to odrażająco uproszczone streszczenie wypowiedzi mojego nowego fumfla w rozmowie z tamtym genetykiem. Więc ten genetyk mówi, w porządku, jest rzeczą oczywistą, że taki czynnik ma całkowicie racjonalne podłoże, a to znaczy, że można go przypisać jakiemuś fragmentowi ludzkiego genomu, którego jeszcze dokładnie nie zbadaliśmy, zobaczmy więc, co to za fragment i czy można wskazać gen odpowiedzialny za produkcję określonych wydzielin. Musieliśmy pojechać na północ i zrobić masę badań porównawczych na imigrantach wżenionych w shinkaskie rodziny, ale bracia moi, dzisiaj, dziś rano, dopięliśmy swego.

Z triumfalnym uśmiechem Chad powiódł wzrokiem dookoła i jednym haustem dopił drinka.

– Wśród Shinków występuje pewna dominująca mutacja. Ja jej nie dostrzegam, ale moi genetycy twierdzą, że widać ją na kilometr, kiedy zestawisz się genotyp czystej krwi Inoko z genotypem pół Inoko, pół Shinki. Dzięki niej Shinkowie poza normalnymi zapachami ciała wydzielają dodatkowo inhibitor reakcji terytorialno-agresywnej! Wchodzisz uzbrojony po zęby do zwyczajnej, brudnej, niehigienicznej chaty pełnej Shinków, masz szczerzy zamiar rozprawić się z rywalami płci męskiej, bierzesz głęboki wdech... Niespełna godzinę później jesteś już szczęśliwym, rozleniwionym, niegroźnym wałkonem. To opada jak ciepły deszcz z nieba...[11]. Przepraszam, jestem trochę nakręcony.

– Na brodę Proroka... Czyli mieli rację ci, którzy twierdzili, że Shinkowie potrafią wykraść wojownikowi serce.

– Mieli rację, kurzeszmac! Gdyby ktoś potraktował to powiedzonko poważnie, oszczędziłby mi pół roku roboty!

– Chwileczkę... – Elihu zmarszczył brwi. – Czy to znaczy, że każdy Shinka nosi przy sobie... a właściwie wydziela... jakiś rodzaj środka uspokajającego?

Chad pokiwał głową.

– Można to chyba tak ująć.

– Dlaczego nikt tego wcześniej nie zauważył? Musi być przecież wyraźna różnica między...

– Ależ zauważył, zauważył. Norman o tym wiedział, nawet ty sam o tym wiedziałeś; wsadziliście to do Salmanasara razem z resztą danych, a on ten fakt odrzucił, bo dostrzegł jego znaczenie, które uszło waszej uwagi. Wydawało mi się, że go przechytryłem, kiedy pchnąłem go na właściwą orbitę projektu benińskiego, ale to on od początku był sprytniejszy.

– Skoro genetyk twierdzi, że to taka oczywistość, to przecież... – próbował zaoponować Norman.

– Już do tego dochodzę. To jest ta część, którą miałem na myśli, mówiąc, że może cię rozbawić. – Chad doskonale się bawił. – Domyślam się, że chciałeś zapytać, dlaczego żaden specjalista wcześniej tego nie zauważył? Dlatego że ta mutacja ocaliła Shinków przed masowym niewolnictwem. Holaini, którzy zamierzali hodować Shinków jak niewolnicze bydełko, mniej więcej pokolenie później stracili zapał do tej roboty, po części z powodu krzyżowania się z nimi, a po części dlatego, że nowi znajomi skutecznie osłabiali ich agresywne skłonności. Od tamtej pory inne nacje łowców niewolników omijały shinkaskie tereny jak skażone zarazą. Przypuszczali, że działa na nich potężna magia, i mieli rację! Praktycznie wszystkie przekrojowe badania genetyczne rasy negroidalnej wykonano albo w Nowym Świecie, albo w najbardziej rozwiniętych krajach afrykańskich, takich jak Afryka Południowa. Masakrycznie biedna Beninia nie byłaby w stanie czerpać korzyści (jakikolwiek by były) z ustawodawstwa eugenicznego. Do tej pory nikt nie mapował genotypu żadnej większej próbki Shinków, a już z całą pewnością nikt nie szukał tego, co my.

Zapadło milczenie.

– Szkoda – mruknął ledwie słyszalnie Norman, wpatrując się w ziemię. – Zaczynałem mieć nadzieję, że może moi przodkowie pochodzili właśnie stąd. Lubię to miejsce.

– Jak można go nie lubić? Czy jest taki drugi kraj na Ziemi, w którym nie masz poczucia, że ludzkie składniki twojego środowiska są twoimi wrogami i chcą cię załatwić? Kiedyś było takich miejsc więcej, ale dziś, o ile mi wiadomo, zostało tylko to jedno. – Chad wysączył ostatnie krople drinka. – Jeszcze raz to samo, bardzo proszę!

– Jestem trochę oszołomiony – przyznał Gideon. – Jeśli dobrze rozumiem, sugeruje pan, że wojnę można wyleczyć jak chorobę, stosując odpowiedni lek.

– Jesteśmy na samym początku tej drogi, ale coś takiego z pewnością nie wydaje się niemożliwe – przytaknął Chad. – Ale spójrzmy dalej, bo to może być godny cel prawdziwego programu optymalizacji genetycznej: wbudować każdemu dziecku przychodzącemu na świat inSZTYNKt Shinków. Przepraszam za ten żarcik. Ale, ale, skoro już o tym mówimy... Co słyhać z tym ich projektem w Yatakangu? Nie słyzałem o Sugaiguntungu co najmniej od... od bardzo dawna.

Pozostali goście spojrzeli po sobie. Norman kątem oka widział, że Donald spina się cały, jakby chciał coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili zrezygnował.

– Sugaiguntung nie żyje, Chad – odparł w końcu Elihu. – Nie wiedziałeś?

– Jezu, nie! – Chad na wpół poderwał się z krzesła. – Po przyjeździe tutaj skupiłem się wyłącznie na swojej robocie, a wiecie, jak to wygląda na wsi: jeden telewizor na całą wioskę i pięciuset oglądających, tak że z daleka to nawet ekranu nie widać.

– Yatakański program optymalizacyjny okazał się chwytem propagandowym – wyjaśnił Gideon. – Sugaiguntung przyznał się, że nie dałby rady zrobić tego, co twierdzi rząd...

– Właśnie, że by dał – wtrącił Donald.

– Słucham?

– Dałby radę. Sam mi to powiedział, tuż przed tym, jak go zabiłem.

– Daj spokój, Donaldzie. – Norman znów bardzo się starał, by jego głos brzmiał łagodnie i kojąco. Donald najwyraźniej dostał kolejnego napadu irracjonalizmu. – Sami zabili Sugaiguntunga, kiedy próbował uciekać. A on chciał uciec z powodu rozsiewanych przez nich kłamstw.

– Ale masz świadomość, że rozmawiasz z człowiekiem, który był przy jego śmierci?

Po chwili Norman z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Owszem, znam wersję oficjalną – przyznał kwaśno Donald. – Jak w każdym dobrym kłamstwie, było w niej ziarno prawdy: Sugaiguntung zamierzał uciec, bo nie wierzył w możliwość ulepszenia człowieka. Ale potem uświadomił sobie, że to jednak jest możliwe. I wcale nie było tak, że yatakańskie patrole namierzyły go w wodzie dzięki wbudowanym w kombinezon nadajnikom i zastrzeliły, a ja uciekłem; taką wersję podano do publicznej wiadomości, ale w rzeczywistości to ja go zabiłem. Nożem. Kiedy na różne sposoby objaśniał mi, dlaczego nie może dotrzymać złożonej obietnicy. Bo widzicie, oni mnie nauczyli zabijać ludzi. Zabrali mnie do takiego miejsca na wodzie i tam pokazali mi wszystkie metody zabijania, jakie tylko przysły im do głowy. Mogę wam którąś zademonstrować, jeśli chcecie. – Wstał chwiejnie. – Nie chcę nikogo zabić, ale bez ochotnika się nie obejdzie, rozumiecie; muszę mieć z kim pracować. Rozumiecie to, prawda? To się nazywa pedekizacja i jest najbardziej wyrafinowaną formą ulepszenia człowieka przez człowieka, jednym z naszych najdoskonalszych i najdonioślejszych osiągnięć...

Tony – w butach na miękkiej podeszwie – bezszelestnie zaszedł go od tyłu, przystawił mu do karku iniektor diadermiczny i zrobił zastrzyk. Musiał często ćwiczyć ten manewr, bo zdążył schować iniektor do kieszeni i podnieść ręce w samą porę, żeby złapać osuwającego się na podłogę Donalda.

– Pan wybaczy – powiedział, nie zwracając się do nikogo konkretnego. – Przy pedekizacji dla celów militarnych obserwuje się czasem taką właśnie przesadną reakcję. Oczywiście nie należy traktować poważnie jego zapowiedzi wypróbowywania umiejętności na ludziach... To element zaburzeń psychicznych będących skutkiem traumatycznych przeżyć

w Yatakangu. A teraz panowie wybaczą: wezwę karetkę i odwiozę go do hotelu, zanim się ocknie. Podałem mu bardzo małą dawkę, w sam raz, żeby się odprężył...

Goście ambasadora stali jak sparaliżowani, gdy Tony najpierw mówił do nich, a potem wziął Donalda na ręce i wyniósł z sali. Dopiero trzask zamykających się za nim drzwi wybudził ich wszystkich z transu. Nikt jednak nie śpieszył się z zabraniem głosu.

Chad pierwszy zerwał się z krzesła i zaczął spacerować po sali, posyłając zjadliwe spojrzenia w ślad za Tonym i jego bezwładnym brzemieniem.

– Najwyższe osiągnięcie, też coś! Słyszałem o tym kurestwie, pedekizacji wojskowej. Moim zdaniem to największe draństwo, jakie jeden człowiek może wyrządzić drugiemu, znacznie gorsze niż po prostu zabicie go!

– Mówił coś o „drugim” Donaldzie i o tym, że ma prawo używać jego nazwiska, bo tamten nie żyje – powiedział Norman. Próbował powstrzymać się od wzdrygnięcia, ale bez powodzenia. – Zlituj się, Allahu! Nie miałem pojęcia, że coś takiego jest możliwe... I pomyśleć, że zaproponowałem mu pracę przy projekcie, gdyby tylko był zainteresowany.

Spojrzał na Elihu i przeżył szok, widząc, że twarz ambasadora wygląda równie staro jak twarz Obomiego.

– A zatem Sugaiguntung nie żyje – podsumował Chad. – Donald go zabił. Tego nam tylko brakowało, czyż nie? W dodatku Donald twierdzi, że Sugaiguntung jednak umiałby przeprowadzić obiecaną optymalizację... – Zawiesił głos. – I ja osobiście myślę, że to mogła być prawda. A wy? Wszyscy spece, których pytałem o zdanie, są zgodni: jeśli ktoś z żyjących mógł tego dokonać, to właśnie on. Jezu, toż to się rzygać chce, nie? – Odwrócił się gwałtownie do pozostałych i uderzył pięścią w otwartą dłoń. – Czy to nie jest typowe? Bierzemy gościa z ulicy, przeciętnego, niegroźnego, spokojnego ziomka i robimy z niego maszynę do zabijania, a on zabija jedyne człowieka, który mógł nas ocalić przed nami samymi!

– Myślę, że gdyby przedstawić problem Salmanasarowi... – zaczął Norman, ale Chad tupnął i wszedł mu w słowo:

– Norman, na Boga, co jest warte bycie człowiekiem, jeżeli potrzebujemy maszyny, żebyśmy sami siebie nie zniszczyli?

* * *

Nikt więcej się nie odezwał. Przybity Chad zwiesił głowę i ruszył do drzwi. Norman skinął głową Gideonowi i Elihu, dogonił Chada w westybulu i objął go ramieniem.

– Przepraszam, poniosło mnie – mruknął wpatrzony w przestrzeń Chad. – Chyba lepiej zostać ocalonym przez maszynę, niż nie zostać ocalonym w ogóle. Poza tym tak sobie myślę, że jeśli potrafią majstrować przy bakteriach, to pewnie będą też umieli zsyntetyzować to coś, od czego Shinkowie robią się tacy wyluzowani. Co w tym złego, że miłość bliźniego będziemy mieli w aerozolu? To jest zaraźliwe, obojętne skąd się bierze.

Norman pokiwał głową. W ustach zupełnie mu zaschło.

– Ale to nie w porządku – wyszeptał Chad. – To nie jest coś, co produkuje się w fabryce, pakuje do puszki, zawija w papier i sprzedaje! To nie jest coś, co powinno się... zrzucić w bombach z oenzetowskich samolotów! A tak właśnie się stanie, wiesz? Nie powinno tak być. To nie jest towar, lekarstwo, narkotyk. To myśl, uczucie, krew tętniąca w sercu. To nie jest w porządku!

Nagle puścił się biegiem, tupiąc głośno w wykafelkowanym westybulu, i z rozmachem otworzył dwuskrzydłowe drzwi wejściowe. Zatrzymał się dopiero na schodach za nimi, odrzucił głowę w tył i wykrzyczał – miastu, Afryce, światu:

– Bądźcie przekłęci, idioci! Wy wszyscy! Nie nadajecie się do tego, żeby kierować własnym głupawym życiem! Jesteście durniami, ja to wiem; obserwuję was i oplakuję, i... O Boże! – Głos mu się załamał, przeszedł w chrapliwy jęk. – Kocham was! Próbowałem was nie kochać, ale nic na to nie poradzę. Kocham was wszystkich...

* * *

Dużo później, kiedy ludzie z całego gmachu – Elihu, Gideon i dziesiątki obcych twarzy – zbiegli się, żeby zobaczyć, o co tyle krzyku, Chad nie stawiał oporu, gdy Norman wziął go za rękę i dyskretnie odprowadził.

¹¹ Przełożył S. Barańczak.

Świat tu-i-teraz (16)

NEKROLOG

BUCKFAST, Georgette Tallon („Stara GT”). Przyczyna zgonu: wylew krwi do mózgu. Miejsce: główna siedziba korporacji, którą stworzyła i której poświęciła całe życie. Wiek: 91 lat.

ELLERMAN, Eric Charles. Przyczyna zgonu: cytat, samobójstwo, koniec cytatu. Miejsce: tory rapitransu niedaleko miejsca zamieszkania. Wiek: 33 lata.

HOGAN, Donald Orville. Przyczyna zgonu: pedekizacja militarna. Miejsce: obóz na wodzie, LA. Pozostawił po sobie Donalda Hogana, wersję drugą.

LINDT, Gerald Shamus, szeregowy armii amerykańskiej. Przyczyna zgonu: działania bojowników. Miejsce: LA. Wiek: 19 lat.

NOAKES, Benjamin Ralph („Bennie”). Przyczyna zgonu: jedna działka za dużo, jeden trip za daleko. Miejsce: w domu. Wiek: 24 lata.

PETERSON, Philip Hugh Clarence. Przyczyna zgonu: trafienie ładunkiem z policyjnej broni energetycznej. Miejsce: mieszkanie jednej z ofiar. Wiek: 20 lat.

PETERSON, Sasha Maureen (*nee* Wilde). Zginęła z ręki syna, w swoim domu. Wiek: 44 lata.

ROWLEY, Grace Jane. Przyczyna zgonu: starość i powikłania wynikłe ze złamanego serca. Miejsce: państwowy dom opieki dla ubogich seniorów. Wiek: 77 lat.

SHELTON, Poppy. Przyczyna zgonu: upadek z wysokości. Miejsce: pod oknem własnego domu. Wiek: 23 lata.

SUGAIGUNTUNG, Lyukakarta Moktilong (dr n.med., dr biochemii, prof. tektogenetyki na Uniw. Zaangażowania). Przyczyna zgonu: rana kłuta tętnicy udowej. Miejsce: odludny rejon cieśniny Shongao. Wiek: 54 lata.

WHATMOUGH, Victor Ernest. Przyczyna zgonu: strzał w głowę „w stanie zachwianej równowagi umysłowej”. Miejsce: w domu. Wiek: 60 lat.

*

A także ofiary wścieków, zamieszek, sabotażu, działań partyzanckich, chorób, przedawkowania narkotyków, wypadków, wojen, podeszłego wieku...

*

Mimo powyższego dziesiątki tysięcy przedstawicieli rodzaju ludzkiego musiałyby stanąć po kolana w wodzie wokół Zanzibaru.

na zbliżeniu (32)

CHŁODNYM OKIEM

Skąpany w ciekłym helu, samowystarczalny, nieruchomy i doskonale poinformowany dzięki swoim mechanicznym zmysłom: Salmanasar.

Od czasu do czasu przez jego obwody przepływa impuls niosący cybernetyczny odpowiednik stwierdzenia:

– Jezu, ależ ja mam wyobraźnię.

kontekst (28)

WIADOMOŚĆ OD SPONSORÓW

Ta nie-powieść Johna Brunnera została spisana na elektrycznej maszynie do pisania Smith Corona 250 z czarną taśmą kodaka, na papierze uszlachetnionym Spicers Plus Fabric i Commercial Bank, przełożonym kalką marki Serillo.